



PO ZMIERZCHU

ALEXANDRA

BRACKÉN

Ty również możesz wpływać na rzeczywistość. Przeczytaj
i przekonaj się, że prawdziwa moc tkwi w ludzkim umyśle.

Y – iluzjonista, mentalista
mag.coty.com



ALEXANDRA
BRACKEN

PO ZMIERZCHU

TŁUMACZENIE
MAGDALENA KRZYSIK



KRAKÓW 2015

*Z wyrazami miłości i wdzięczności dla Merrilee, Emily
i niezliczonej rzeszy innych osób, które w różnych zakątkach
świata wytrwale pracowały, by ta trylogia trafiła w Wasze ręce*

W młodości serc naszych dotknął ogień.

Oliver Wendell Holmes Jr.

Prolog

Czerń to brak koloru.

To cichy, pusty dziecięcy pokój. Najmroczniejsza godzina nocy, która więzi cię na pryczy, przygniata do niej kolejnym koszmarem. To mundur opinający szerokie ramiona wściekłego młodego mężczyzny. Czerń to błoto. Pozbawione powieki oko, które obserwuje twój każdy ruch. Ciche brzęczenie ogrodzenia sięgającego tak wysoko, że rozdziera niebo.

To droga. Zapomniany nocny nieboskłon poznaczony bledącymi gwiazdami.

To lufa kolejnego pistoletu przystawiona do twojego serca.

Barwa włosów Pulpeta, siniaków Liama, oczu Zu.

Czerń to zapowiedź jutra naznaczonego kłamstwem i nienawiścią.

Zdrada.

Widzę ją w tarczy rozbitego kompasu, czuję w paraliżującym uścisku rozpacz.

Uciekam, ale podąża za mną jak cień. Goni mnie, pożera, zatruwa. To przycisk, który nigdy nie powinien zostać wciśnięty, drzwi, które nie powinny były się otworzyć, zaschnięta krew, której nie dało się usunąć. To zgłiszcza budynków. Samochód ukryty w lesie. To dym.

Ogień.

Iskra.

Czerń jest kolorem pamięci.

To nasz kolor.

Jedyny, którego użyją, by opowiedzieć naszą historię.

1

W miarę jak oddalałam się od centrum miasta, cienie wydłużały się. Szłam na zachód, w kierunku chowającego się za horyzontem słońca, które rozpalało resztkę dnia. W zimie najbardziej nienawidziłam tego, że noc zdawała się coraz bardziej wdzierać w popołudnie. Na zasnutym smogiem niebie nad Los Angeles widniały ciemne fioletowe i popielate smugi.

W normalnych okolicznościach, przemierzając sieć ulic w drodze do bazy, cieszyłabym się z dodatkowej osłony zmroku. Atak zmienił jednak oblicze miasta nie do poznania: Los Angeles było zrujnowane, pełne posterunków wojskowych i polowych aresztów. Na dodatek wszędzie zalegały spalone przez impuls elektromagnetyczny auta, które do niczego się już nie nadawały. Przemierzenie choćby kilometra pośród tego pobojuwiska bez zgubienia drogi było prawdziwym wyczynem. Bez miejskiego oświetlenia, w którego przymglonym blasku poruszaliśmy się podczas nocnych akcji przed atakiem, byliśmy zmuszeni polegać na odległych światłach konwojów wojskowych.

Pospiesznie rozejrzałam się wokoło i przycisnęłam dłoń do kieszeni kurtki, by się upewnić, że latarka i pistolet ciągle tam są – zdobyłam je dzięki uprzejmości szeregowej Morales i miały mi służyć tylko w przypadku bezwzględnej konieczności. Nie mogłam pozwolić, by ktoś mnie schwytał lub zauważył, jak biegnę w ciemnościach. Musiałam wrócić do bazy.

Przed godziną szeregową Morales pechowo weszła mi w drogę, kiedy samotnie wracała z patrolu na autostradzie. Zająłam pozycję za przewróconym wrakiem samochodu jeszcze przed wschodem słońca i tkwiłam tam, obserwując wznoszący się kawałek jezdni – migotał zalany falą sztucznego światła. Godziny upływały mi na liczeniu małych nieumundurowanych postaci, które krzątały się przy furgonetkach i pojazdach wojskowych ustawionych zderzak przy zderzaku jak barykada na odcinku autostrady w zasięgu mojego wzroku. Ciało tężało mi ze strachu, ale wiedziałam, że

nie wolno mi odpuścić.

Opłaciło się. Szeregową wyposażyla mnie nie tylko w nowy sprzęt, którego potrzebowałam, by bezpiecznie powrócić do bazy, ale też w informacje, dzięki którym mieliśmy się w końcu wydostać z tego przeklętego miasta.

Rozejrzałam się na boki, po czym pokonałam stertę cegieł, które kiedyś były fasadą banku. Syknęłam z bólu, czując, jak ręką ocieram o coś wyszczerbionego. Poirytowana kopnęłam w rupieć – metalową literę C, która odpadła z napisu z nazwą instytucji – i natychmiast tego pożałowałam. Brzdęk i stukot odbiły się echem od pobliskich zabudowań, zagłuszając ciche szepty i nieśmiałe kroki.

Rzuciłam się pędem do zrujnowanego budynku i przykucnęłam za najbliższą stabilną ścianą.

– Czysto!

– Czysto...

Obracając się, obserwowałam, jak po drugiej stronie ulicy żołnierze rzucają się przeszukiwać zasypane odłamkami szkła wejścia do biur i sklepów. Naliczyłam dwanaście hełmów. *Muszę się schować.* Rozejrzałam się, omiatając wzrokiem poprzewracane nadpalone meble, po czym ruszyłam w kierunku jednego z biurek z ciemnego drewna i wsunęłam się pod nie. Chrobot gruzu na chodniku zagłuszał dźwięk mojego nierównego oddechu.

Nie ruszałam się z miejsca. Zapach dymu, popiołu i benzyny palił mnie w nozdrza, ale cierpliwie czekałam, aż głosy ucichną. Niepewność ścisnęła mi żołądek, w końcu jednak wypełzłam spod biurka i zaczęłam się czołgać po podłodze w kierunku wyjścia. Patrol ciągle był w zasięgu mojego wzroku – żołnierze sprawdzali rumowisko w połowie ulicy – ale nie mogłam czekać już ani minuty dłużej.

Kiedy przedarłam się przez wspomnienia szeregowej Morales i zlepiłam ze sobą kawałki informacji, których potrzebowałam, poczułam, jakby z piersi w końcu spadł mi kawał betonu. Kobieta pokazała mi dziury w obstawie autostrady tak wyraźnie, jakby zaznaczyła je na mapie grubymi czarnymi liniami. Po wszystkim musiałam jedynie wymazać z jej pamięci obraz naszego spotkania.

Wiedziałam, że byli agenci Ligi Dzieci nie będą zadowoleni, że mi się udało.

Żadna z ich metod nie przyniosła rezultatów, a do tego ilość jedzenia, jaką zdobywali, systematycznie malała. Cole niezmiennie ich naciskał, żeby pozwolili mi spróbować, ale agenci zgodzili się dopiero pod warunkiem, że pójde sama – żeby uniknąć dodatkowego „ryzyka”. Wskutek niedostatecznej ostrożności podczas wypraw na miasto straciliśmy już dwóch ludzi.

Nie byłam lekkomyślna, ale zaczynałam się czuć zdesperowana. Wiedziałam, że musimy wykonać jakiś ruch, bo w przeciwnym razie pokona nas głód.

Armia Stanów Zjednoczonych i Gwardia Narodowa szczelnie otoczyły centrum Los Angeles, wykorzystując sieć autostrad. Wijące się drogi ciasno oplotły miasto niczym betonowe potwory, odcinając nas od świata zewnętrznego. Od Los Angeles odchodziło wiele dróg: autostrada sto jeden biegła na północ i wschód, międzystanowa dziesiątka na południe, a stodziesiątka na zachód. Być może udałoby się nam uciec, gdybyśmy wyjechali natychmiast po wydostaniu się na powierzchnię z ruin Bazy, ale... Pulpet nazwał nasz ówczesny stan „nerwicą frontową”. Twierdził, że to niewiarygodne, iż w ogóle byliśmy zdolni się poruszać.

Miałam do siebie pretensje. Powinnam była zmusić pozostałych do ucieczki, tymczasem zupełnie się rozsypałam. Powinnam była... Gdybym tylko nie myślała o jego twarzy uwieszonej w ciemności. Przycisnęłam dłoń do oczu, by odeprzeć nudności i kłujący ból w czaszce. *Myśl o czymś innym. O czymkolwiek.* Bóle głowy, które dopadały mnie po ataku, były nie do zniesienia. O wiele gorsze od tych nękających mnie w przeszłości, kiedy usiłowałam się nauczyć kontrolować swoje zdolności.

Nie wolno mi było się zatrzymać. Zwalczyłam odrętwienie w nogach i przeszłam do równego biegu. Byłam tak wyczerpana, że dusiło mnie w gardle i opadały mi powieki, ale adrenalina utrzymywała mnie w ruchu, chociaż w głębi duszy chciałam po prostu zasnąć. Nie pamiętałam, kiedy ostatnio spałam wystarczająco głęboko, żeby zapomnieć o otaczającym mnie koszmarze.

Ulice były pokryte pęcherzami porozrywanego asfaltu. W wielu miejscach zalegały też zwały gruzu, którego wojsko nie zdążyło jeszcze uprzątnąć. Raz po raz mijałam jasne plamy koloru: czerwony but na wysokim obcasie, torebkę, rower... Wszystko porzucone i zapomniane. Niektóre przedmioty wypadły z pobliskich okien,

a żar eksplozji osmolił je czernią. Rozmiar niepotrzebnych zniszczeń przyprawiał mnie o mdłości.

Kiedy przebiegałam przez kolejne skrzyżowanie, spojrzałam w głąb Olive Street zaintrygowana widokiem rozżarzonego pola światła, w jakie zamienił się leżący trzy przecznice dalej Pershing Square. Były park przekształcono w obóz dla internowanych – stworzony pośpiesznie pośród tłących się ruin miasta. Nieszczęśnicy znajdujący się za jego ogrodzeniem pracowali w pobliskich budynkach, kiedy prezydent Gray przeprowadził atak. Uderzenie wymierzono w Ligę Dzieci i Koalicję Federalną, czyli niewielką grupę zjednoczonych przeciw Grayowi byłych polityków. Prezydent utrzymywał, iż był to odwet za to, że obie te organizacje odegrały znaczącą rolę w ostatnim zamachu na jego życie. Obserwowaliśmy takie obozy, szukając Cate i pozostałych. Liczba internowanych rosła w oczach – zatrzymywano i więziono wbrew woli coraz więcej cywilów.

Po Cate i towarzyszących jej agentach, którzy opuścili Bazę przed atakiem, nie było jednak śladu. Jeśli nie zdążyli wyjechać z miasta, musieli sobie znaleźć naprawdę świetną kryjówkę. Nawet *my* nie mogliśmy ich odszukać, mimo że korzystaliśmy z procedur awaryjnych.

Zbliżał się kolejny niewielki konwój wojskowy – dzięki brzęczeniu odbiorników radiowych i chrobotowi opon wiedziałam, że nadjeżdża, kiedy przemieszczał się co najmniej dwie przecznice dalej. Powstrzymałam jęk frustracji i schowałam się za porzuconym szkieletem terenówki. Czekałam. Buty mijających mnie żołnierzy wzniecały chmury kredowego szarego kurzu. Gdy przeszli, wstałam, otrzepałam się i rzuciłam do biegu.

Nasza grupa – niedobitki, które zostały z Ligi Dzieci – zmieniała kryjówkę co kilka dni i nigdy nie zatrzymywała się zbyt długo w jednym miejscu. Wychodziliśmy na zewnątrz w poszukiwaniu jedzenia i wody albo by obserwować obozy, jeśli jednak zaistniał choćby cień podejrzenia, że ktoś nas śledzi, przenosiliśmy się. Wiedziałam, że to rozsądne, ale zaczynałam się już gubić i czasem nie byłam pewna, gdzie w danym momencie stacjonowaliśmy.

Gęsta cisza panująca we wschodniej części miasta była o wiele bardziej niepokojąca niż kakofonia wystrzałów karabinów maszynowych i dział wypełniających

powietrze w pobliżu Pershing Square. Zacisnęłam dłoń na latarce w kieszeni, ale ciągle nie miałam odwagi, by ją wyjąć, nawet po tym, jak otarłam się łokciem o chropowatą ścianę. Spojrzałam na niebo. Księżyc jak na złość był w nowiu.

Lęk – ten sam, który od wielu tygodni siedział mi na ramieniu i saczył do ucha mroczne scenariusze – zamienił się teraz w rozżarzony nóż powoli wbijający się w moją pierś i rozrywający wszystko, co stanie mu na drodze. Zakaszlałam, usiłując się pozbyć zatrutego powietrza z płuc. Na kolejnym skrzyżowaniu postanowiłam w końcu przystanąć i wślizgnęłam się do wnętrza z bankomatem.

Weź oddech – nakazałam sobie. – *Zrób porządkny wdech*. Potrząsnęłam rękami, ale ociężałość pozostała. Zamknęłam oczy i przysłuchiwałam się dochodzącemu z oddali hałasowi helikoptera szatkującego powietrze z zawrotną prędkością. Przeczucie – natarczywe, nagłace przeczucie – nakazywało mi skręcić wcześniej w Bay Street, zamiast iść Alameda Street aż do skrzyżowania z Seventh Street. Druga droga do naszej obecnej siedziby przy Jesse Street i Santa Fe Avenue była prostsza. Gdybym ją wybrała, szybciej przekazałabym pozostałym szczegóły, a co za tym idzie, szybciej opracowalibyśmy plan i *wynieśli się* z miasta.

Wiedziałam jednak, że jeśli ktoś mnie śledzi, łatwiej będzie mi go zgubić, skręcając wcześniej. Moje stopy przejęły dowodzenie i poniosły mnie na wschód w kierunku rzeki.

Zbliżając się do drugiej przecznicy, dostrzegłam cienie zmierzające w moją stronę. Gwałtownie zahamowałam, wyrzucając w przód ręce, żeby chwycić się skrzynki pocztowej i nie wypaść na sam środek ulicy.

Raptownie uszło ze mnie powietrze. *Zbyt blisko*. To musiało się tak skończyć. Powinnam była zwolnić i upewnić się, że droga jest bezpieczna. Pulsująca krew rozsadzała mi skronie. Kiedy sięgnęłam, by je potrzeb, poczułam na czole coś ciepłego i lepkiego, ale zupełnie to zignorowałam.

Zgięłam się wpół i z pochyloną głową ruszyłam przed siebie, usiłując zobaczyć, dokąd zmierzają żołnierze. Już i tak byli za blisko magazynu, w którym się ulokowaliśmy. Pomyślałam, że jeśli zawrócę po własnych śladach, może ich prześcignę, zdolałam dotrzeć do bazy i ostrzec innych.

Postaci jednak po prostu się zatrzymały...

Na rogu skrzyżowania podeszły do zapadniętej fasady sklepu żelaznego, po czym weszły do środka przez rozbite okna. Usłyszałam śmiech i rozmowy – krew w moich żyłach zwolniła.

To nie byli żołnierze.

Pokonałam odcinek dzielący mnie od sklepu, po czym przeciągając dłonią po ścianie budynku, dotarłam do okna i przykucnęłam.

– Gdzie to znalazłeś?

– Naprawdę nieźle, stary!

Znowu śmiech.

– Boże, nie sądziłem, że kiedykolwiek tak się ucieszę na widok bułek...

Zerknęłam ponad parapetem. W środku trzech naszych agentów – Ferguson, Gates i Sen – pochylało się nad kilkoma opakowaniami z przekąskami. Gates, były żołnierz marynarki wojennej, zabrał się do otwierania paczki chipsów ziemniaczanych z taką siłą, że niemal rozerwał ją na pół.

Mają jedzenie. – Nie potrafiłam tego pojąć. – *Mają co jeść.*

Byłam tak osłupiała, że musiałam przetwarzać każdą myśl z osobna.

Nie dzielą się jedzeniem z pozostałymi.

Czy tak to wygląda za każdym razem, kiedy ktoś wychodzi na zewnątrz?

Agenci za wszelką cenę chcieli osobiście wyprawiać się po zapasy – sądziłam, iż po prostu się bali, że jeśli którekolwiek z dzieci zostanie pojmane, zdradzi położenie naszej obecnej siedziby. Ale czy naprawdę tak było? Może po prostu chcieli pierwsi dorwać się do zdobyczy?

Lodowaty gniew zamienił moje palce w szpony. Wbijałam sobie w dłonie połamane paznokcie, a kłujący ból zawtórował ściskowi w żołądku.

– Boże, ale to dobre – powiedziała Sen. Była potężną, wysoką kobietą z mięśniami zdającymi się rozsadzać pergaminową skórę. Zawsze miała taki sam wyraz twarzy... Jakby skrywała jakąś mrozącą krew w żyłach tajemnicę. Jeśli już raczyła się odezwać do któregoś z dzieci, to tylko po to, by warknąć na nie, żeby się zamknęło.

Stałam zaskłuchana w ciszę, która zapadła po jej słowach, i czułam, jak z każdą

sekundą wzbiera we mnie gniew.

– Powinniśmy wracać – powiedział Ferguson i zaczął wstawać.

– Nic im się nie stanie. Jeśli Stewart będzie się rzucał, Reynolds zamknie mu usta...

– Bardziej martwię się o...

– O tę pijawkę? – dokończył Gates, śmiejąc się gardłowo. – Wróci ostatnia. O ile w ogóle się jej uda.

Na te słowa uniosłam brwi ze zdziwienia. *Pijawka?* Tego jeszcze nie było. Przeżywano mnie już znacznie gorzej, ale najbardziej obrażało mnie podejrzenie, że nie zdołam przemierzyć miasta, nie dając się złapać.

– Jest dużo wartościowsza niż reszta – stwierdził Ferguson. – Chodzi tylko o to, że...

– O nic nie chodzi. Nie chce się podporządkować i przez to jest obciążeniem.

Obciążeniem. Przycisnęłam pięść do ust, żeby powstrzymać żółć podchodzącą mi do gardła. Wiedziałam, jak Liga radzi sobie z „obciążeniami”. Wiedziałam również, co zrobię każdemu agentowi, który podniesie na mnie rękę.

Sen odchyliła się do tyłu, opierając dłonie o podłogę.

– Bez względu na to plan się nie zmienia.

– W porządku. – Gates zwinął w kulkę opakowanie po chipsach, które właśnie pochłonął. – Ile tego musimy zanieść do bazy? Nie pogardziłbym jeszcze jedną bułką...

Opakowanie paluszków i torebka bułek do hot dogów. Oto, co mieli zanieść siedemnaścioru dzieciom i grupie agentów, którym przypadła rola nianie.

Zaczęli się podnosić, więc przywarłam do ściany budynku. Czekałam, aż wyjdą przez okno i rozejrzą się wokoło, po czym wstałam i ruszyłam ich śladem, zaciskając dłonie w pięści. Utrzymywałam spory dystans aż do chwili, kiedy w końcu moim oczom ukazał się magazyn.

Zanim agenci przecięli ostatnią ulicę, Sen uniosła nad głowę zapaloną zapalniczkę, tak by ustawiony na dachu agent mógł zobaczyć płomień. W odpowiedzi rozległ się cichy gwizd oznaczający pozwolenie na wejście.

Przebiegłam dzielącą nas odległość, zanim Sen zaczęła się wspinać za swoimi towarzyszami po drabinie przeciwpożarowej.

– Agentko Sen – rzuciłam oschle.

Kobieta gwałtownie odwróciła głowę, jedną ręką przytrzymując się drabiny, a drugą sięgając do pistoletu wsuniętego w kaburę. Dopiero po chwili zorientowałam się, że odkąd zaczęłam ich śledzić, przez cały czas też zaciskałam dłoń na broni tkwiącej w kieszeni mojej kurtki.

– Czego? – warknęła na mój widok i dała Gatesowi i Fergusonowi sygnał, by kontynuowali wspinaczkę.

Nie cieszysz się, że mnie widzisz, prawda?

– Muszę ci coś powiedzieć... Chodzi o to... – Miałam nadzieję, że uzna drżenie mojego głosu za objaw strachu, a nie rozsadzającej mnie wściekłości. – Nie ufam Cole’owi.

Udało mi się przykuć jej uwagę. Błysła zębami w ciemności.

– O co chodzi? – zapytała.

Tym razem to ja się uśmiechnęłam, po czym włamałam się do jej umysłu, nie siląc się na delikatność. Przedzierałam się przez obrazy pryczy, szkoleń, Bazy, agentów, odrzucając je na bok, zanim zdołały okrzepnąć. Czułam, jak kobieta się wygina i drży pod naporem mojego ataku.

Wiedziałam, kiedy trafiłam na to, czego szukałam. Wyobrazila sobie wszystko niezwykle żywo, uknuła plan z nikczemną starannością, której nawet ja nie doceniłam. Wszystko, co dotyczyło spisku, miało nienaturalny blask, jakby było oblane ciepłym woskiem. Zobaczyłam samochody, znajome twarze dzieci na wpół ukryte za kneblami. Pokryte kurzem mundury wojskowe. Czarne mundury. Wymiana.

Wydostałam się na powierzchnię... Walczyłam o powietrze, nie mogłam zaczerpnąć głębokiego oddechu. Byłam przytomna jedynie na tyle, by oszukać pamięć agentki i w miejsce wspomnienia z ostatnich kilku minut wstawić fałszywe. Nie czekałam, aż dojdzie do siebie – przepchnęłam się przed nią, żeby wejść na drabinę.

Cole. – Mój umysł wariował, a w pole widzenia zaczynała wnikać czerń. – *Muszę powiedzieć Cole’owi.*

Wiedziałam, że powinnam jak najszybciej oddalić się od Sen, zanim ulegnę przerażająco silnej pokusie, by wpakować jej kulę w łeb.

Nie wystarczyło jej, że zatrzymuje dla siebie jedzenie, że grozi nam, że nas zostawi, jeśli nie będziemy cicho albo się nie pospieszymy czy nie dotrzymamy reszcie kroku. Chciała się z nami rozprawić raz na zawsze. Wydać nas jedynym ludziom, którzy jej zdaniem potrafili nas kontrolować.

Kierowała nią żądza zdobycia pieniędzy, dzięki którym mogłaby sfinansować kolejną akcję.

2

Zanim dotarłam do drugiego poziomu magazynu, paliło mnie w klatce piersiowej, a głowę wypełniała płatanina mrocznych, przerażających myśli. Usłyszałam grzechot schodów przeciwpożarowych – to Sen zaczęła się za mną wspinać. Pragnęłam się znaleźć jak najdalej od niej. Pospiesznie odgarnęłam ciemne bojowe kurtki zasłaniające okno, przełożyłam nogi nad parapetem i opuściłam się z drugiej strony.

We wnętrzu panował półmrok. Nerwowo omiatałam wzrokiem kolejne migające kałuże światła świec, przeskakując między dzielącymi je ciemnymi przestrzeniami. Dzieci zdawały się wciśnięte w przeciwległy kąt pomieszczenia, jakby Gates i Ferguson zapędzili je tam w zamian za jedzenie.

Nie ma Cole’a – pomyślałam, przeczesując palcami włosy. – *Niech to szlag.*

Potrzebowałam go. Musiał się dowiedzieć. Nie mogliśmy tego tak zostawić.

– A może by tak ktoś choć podziękował? – parsknął Gates.

Miałam wrażenie, że jego słowa poruszyły grubą warstwę ciszy, która jak kurz zalegała w pomieszczeniu. W powietrze natychmiast wzbily się ciche, nerwowe podziękowania, po czym dzieci ponownie się uspokoiły, wpatrując się albo w podłogę, albo w siebie nawzajem. Zobaczyłam to, czego nie chciałam do siebie dopuścić. W ostatecznym rozrachunku miesiące, a nawet lata, które spędziliśmy, szkoląc się i walcząc u boku agentów, okazywały się nic niewarte. W ich oczach byliśmy jedynie towarem czekającym na spieniężenie.

Odnalazłam twarze przyjaciół. Vida też wróciła z wyprawy na miasto. Jej brązową skórę szpeciła wstrętna rana, którą Pulpet usiłował opatrzyć. Czarny plecak leżał tuż obok nich. Przygryzłam usta, starając się nie pokazać, że poczułam ulgę. W środku znajdowały się wyniki badań, ledwie uratowane przed spaleniem przez Clancy’ego – strony z wykresami, tabelami i medycznymi zapiskami zebrane przez jego matkę podczas poszukiwań sposobu na wyleczenie OMNI.

– Dziadku, przysięgam, że jeśli nie przestaniesz się tak cackać... – syknęła Vida.

– Pozwól mi to chociaż zdezynfekować! – usłyszałam sprzeciw Pulpety.

Liam siedział oparty o ścianę z dłońmi na podkurczonych kolanach. Kątem oka przyglądał się Gatesowi z tym samym zatwardziałym wyrazem twarzy, który miał od czasu ataku. Kiedy nadeszła jego kolej, nie sięgnął po jedzenie, tylko podał je Pulpetowi.

*Agenci byli gotowi wydać również moich przyjaciół. Co, jeśli bym ich dzisiaj nie zauważyła? Co, jeśli bym się nie zatrzymała i nie podsłuchiwała, o czym mówią? Wzięliby nas z zaskoczenia. Przez kolejnych kilka dni wszystko by ukartowali. Nie miałabym czasu, by cokolwiek zrobić. Jak mogłam uwierzyć, że jestem w stanie uchronić swoich bliskich? Przecież nie potrafiłam uchronić nawet *jednego* dziecka, i to wtedy, kiedy najbardziej tego potrzebowało. Jude...*

Sen wtargnęła do pomieszczenia i walnęła mnie w ramię. Ledwo to poczułam.

Byłam świadoma jej obecności, ale nie miało to znaczenia. Zdawało mi się, że lewitując nad ziemią, przenoszę się do ciemnego tunelu. Na oślep przeciskałam się między zwalonymi ścianami, które lada chwila mogły wszystko pogrzebać. Gonili mnie odległe krzyki, czyjeś niewidzące oczy, ryk pękającego betonu i wdzierająca się do środka ziemia, która porywała wszystko, co napotkała po drodze. Twarz majacząca mi pod powiekami była piegowata z wielkimi brązowymi oczami, które robiły się coraz większe, gdy patrzyły na swój własny koniec. Nic nie zdołało powstrzymać biegu zdarzeń, których byłam świadkiem. Żadne z przyjemnych wspomnień nie było wystarczająco silne, żeby wymazać wizję tego, co musiało się stać. Wyraźnie widziałam, jak Jude na zawsze osuwa się w ciemność.

Poczułam, że tracę łączność z rzeczywistością. Każdy mój nerw płonął, każda cząstka mnie wirowała i to coraz szybciej. Napięcie we mnie narastało, aż w końcu byłam pewna, że mnie rozerwie. Świadomość, że wszyscy wokół będą tego świadkami, jeszcze pogarszała sytuację.

Ktoś objął mnie w talii tak delikatnie, że prawie tego nie zauważyłam, ale wystarczająco stanowczo, by obrócić mnie w kierunku drzwi, i na tyle mocno, by mnie podtrzymać, kiedy przy pierwszym kroku ugięły się pode mną kolana.

Temperatura na korytarzu była przynajmniej o kilka stopni niższa niż ta w

ciasnym pomieszczeniu. Cisza i ciemność sprawiły, że rozpalona krew przestała mi bulgotać pod skórą. Ktoś poprowadził mnie zaledwie parę kroków od drzwi, bym mogła się schować przed wzrokiem pozostałych. Następnie ostrożnie opuścił mnie na ziemię i usadowił z głową między kolanami. Znajome dłonie zdjęły mi z ramion kurtkę i odgarnęły włosy z zalanego potem karku.

– Już dobrze, skarbie – usłyszałam głos Liama.

Coś zimnego dotknęło mojej szyi – może butelka wody.

– Oddychaj głęboko.

– Nie potrafię... – wymamrotałam między płytkimi wdechami.

– Jasne, że potrafisz – powiedział spokojnie.

– Muszę... – Uniosłam ręce, chwytając za niewidzialne więzy krępujące mi tchawicę.

Liam ujął moje dłonie i przytulił je sobie do piersi.

– W tej chwili nic nie musisz – uspokajał mnie. – Wszystko w porządku.

Chciałam powiedzieć: „Nieprawda. Nie masz o niczym pojęcia”. Ostry ból przeszył moją prawą skroń i z każdą sekundą pulsował coraz mocniej i mocniej.

Bliskość Liama pomagała. Zmusiłam się, by zsynchronizować swój oddech z ruchem opadania i wznoszenia się jego klatki piersiowej. Zimne powietrze powoli rozplątywało bezładne kłębowisko myśli zasupłane z przodu mojej czaszki. Wypełniające mnie napięcie zelżało na tyle, że zdołałam się wyprostować i oprzeć o ścianę.

Liam kucał przede mną, wpatrując się we mnie badawczo swymi niebieskimi oczami. Przestał marszczyć brwi, dopiero kiedy sam wypuścił odrobinę wstrzymywanego powietrza. Następnie przechylił butelkę wody i zmoczył chustkę, którą wyciągnął z tylnej kieszeni. Powoli i czule starł krew i brud z moich dłoni i twarzy.

– Lepiej?

Pokiwałam głową, biorąc od niego wodę, żeby się napić.

– Co się stało? Wszystko w porządku? – zapytał.

– Chodzi o to... – Nie mogłam mu powiedzieć.

Razem z Pulpetem od wielu dni obmyślał sposób wymknięcia się pozostałym podczas opuszczania miasta. Nienawidził tylko jednego: agentów. Gdyby się dowiedział, czego byłam świadkiem, zmusiłby nas do ucieczki jeszcze tej nocy, a w najgorszym wypadku mógłby przypadkowo się zdradzić i wzbudzić podejrzenia. W przeciwieństwie do Cole'a nigdy nie potrafił panować nad swoimi emocjami. Przejrzeliby go na wylot. Przeczytali jak codzienną gazetę i tak samo szybko by się go pozbyli, ze strachu, że podburzy pozostałe dzieci.

– Po prostu poczułam się przytłoczona – dokończyłam.

– Często ci się to zdarza? – Liam usiadł przede mną ze skrzyżowanymi nogami.

Boże. O dopadających mnie atakach też nie chciałam rozmawiać. Nie byłam w stanie. Nawet z nim. Musiałabym mówić o Judzie, o tym, co się stało, i o wszystkim innym, o czym nie mieliśmy czasu porozmawiać, zanim zawalił się świat. Liam zdawał się to wyczuwać.

– Nie było cię cały dzień – zmienił temat. – Zaczynałem się martwić.

– Zajęło mi chwilę, zanim znalazłam odpowiednią osobę, którą mogłam się posłużyć – wyjaśniłam. – Nie wyszłam tam, żeby bezmyślnie się narażać.

– Nic takiego nie mówię. Szkoda tylko, że mi nie powiedziałaś.

– Nie wiedziałam, że muszę.

– Nie *m u s i s z*. Nie jestem twoją niańką. Po prostu się wystraszyłem, rozumiesz?

Nie odpowiedziałam. Tak to teraz między nami wyglądało. Byliśmy razem, ale jakby osobno... Inaczej niż jeszcze kilka miesięcy wcześniej. Zawiodłam jego zaufanie tak bardzo, że nie byłam pewna, czy kiedykolwiek wrócimy do tego, co było kiedyś. Co gorsza, czułam, że uciekam w jedyny znany mi schemat postępowania – biłam się z wypełniającymi moją głowę myślami, więziłam je w sobie, tak by nie mogły zainfekować nikogo innego. Skrupulatnie cegła po cegle wznosiłam między nami niewidzialny mur. I to nawet wtedy, kiedy go przytulałam, trzymałam za rękę czy całowałam.

Było to bardzo samolubne. Miałam tego świadomość. Brałam tak wiele, nie dając w zamian wszystkiego... Potrzebowałam go jednak. Potrzebowałam jego obecności. Widoku jego twarzy, dźwięku jego głosu, poczucia, że jest bezpieczny i że mogę go

chronić. Tylko dzięki temu mogłam przetrwać każdy kolejny dzień.

Przy Liamie nie dało się wyprzeć ani stłumić uczuć. Musiał wszystko przegadać. Był wrażliwszy niż ktokolwiek, kogo znałam. Usiłował zacząć ze mną tę rozmowę od wielu dni. „Nie jesteś odpowiedzialna za to, co spotkało Jude’a. Ani za wydarzenia w Bazie...”

– Ruby, co jest grane? – zapytał, ujmując mnie lekko za nadgarstki.

– Wybacz – wyszeptałam, bo nie znajdowałam innych słów. – Przepraszam, nie chciałam być taka... Nie chcę się na tobie wyżywać. Nic się nie dzieje. Powinnam była ci powiedzieć, ale bardzo się spieszyłam. – *I wiedziałam, że będziesz próbował mnie przekonywać, że to zbyt niebezpieczne, a nie chciałam się kłócić.* – Ale dowiedziałam się, czego trzeba. Wiem, jak nas stąd wydostać.

Przyglądał mi się, zaciskając usta w cienką linię. Najwyraźniej moja odpowiedź zupełnie go nie usatysfakcjonowała. Pragnął jednak zostawić ten temat i porozmawiać o innych sprawach.

– Czy to oznacza, że w końcu możemy pogadać o tym, co dalej?

– Cole nie pozwoli nam odejść. – *A już na pewno nie tobie.*

– Moglibyśmy odnaleźć moich rodziców...

– Czy chaotyczne błądzenie w poszukiwaniu twojej mamy i Harry’ego nie jest równie niebezpieczne, jak pozostanie tutaj? To nasza walka... Tego właśnie chcieliśmy, pamiętasz? Cole zawarł ze mną umowę. Obiecał, że teraz skupimy się na pomaganiu dzieciom. Na wyzwaniu obozów.

O tym właśnie marzyliśmy, kiedy byliśmy w East River. Wówczas to Liam stał za sterem, przekonując, że naszym głównym celem powinno być ratowanie dzieci z programów rehabilitacyjnych. Może byłam głupia, sądząc, że to, co się wydarzyło, nie wpłynie na jego marzenia. Jego wzrok przesunął się na drzwi w głębi korytarza, które mogliśmy otwierać tylko ja i Cole. Drzwi, za którymi czaił się potwór.

– Cole teraz tak mówi, a agenci tylko udają, że są po naszej stronie – skwitował. – Wcześniej czy później wrócą do dawnych zamiarów.

Starałam się zachować kamienną twarz. *Szybciej niż ci się wydaje*, pomyślałam ponuro.

– To już nie jest Liga – odparłam.

– Właśnie. Może być dużo gorzej.

– Nie, jeśli zostaniemy i przypilnujemy, by się tak nie stało. Możemy przynajmniej jeszcze trochę poczekać? Zobaczyć, co się wydarzy? Jeśli sprawy przybiorą zły obrót, uciekniemy, obiecuję. Muszę mieć pewność, że Cate i pozostałym się udało. Jeśli tak, będą na nas czekać. Cate ma przy sobie pendrive’a z wynikami badań Leda Corporation nad przyczynami OMNI. Jeśli połączymy te informacje z danymi na temat leczenia... Pomożemy nie tylko sobie, lecz także *k a ż d e m u* dziecku, które po nas przyjdzie.

Liam potrząsnął głową.

– Nie chcę, żebyś myślała, że to wszystko na nic, ale co, jeśli na stronach, które wyłowiłaś z płomieni, nie ma nic wartościowego? Patrząc na to, co obecnie z nich rozumiemy, równie dobrze moglibyśmy porwać je na strzepy. Zupełnie nic by to nie zmieniło. Po prostu nie chcę, żebyśmy pokładali w nich zbyt wielką nadzieję. Nie wiadomo, czy kiedykolwiek to wszystko ułoży się w sensowną całość.

Wiedziałam, że to prawda, ale jego słowa rozpały we mnie tak gwałtowny sprzeciw i gniew, że niemal go odepchnęłam. Nie potrzebowałam racjonalnych argumentów. Potrzebowałam nadziei, że kiedyś zdołam spojrzeć na zwęglone strony i znaleźć ukryty w nich sens. *Projekt Śnieżycy. OMNI. Profesor.*

Pozbycie się tej resztki wiary oznaczałoby, że ulotna chwila dominacji nad Clancym nie była żadnym zwycięstwem. Wyszłoby na to, że w ostatecznym rozrachunku to on ciągle wygrywał: przeżył atak na Bazę, a informacje, które tak bardzo usiłował pogrzebać pod jej gruzami, były bezużyteczne.

Potrzebowaliśmy teg. *Ja* tego potrzebowałam. Przed oczami stanęły mi twarze bliskich w poświacie promieni słonecznych. Zanim się obejrzałam, obraz zniknął zastąpiony przez inny. Teraz widziałam mroczne wnętrza Baraku 27 i zapadnięte policzki Sam, która po chwili rozpułała się jak duch. Pod powiekami rozbłysł mi niekończący się korowód twarzy – wszystkich, których zostawiłam za elektrycznym ogrodzeniem Thurmond.

Wbiłam sobie paznokcie w uda, wykręcając materiał spodni tak mocno, że prawie

go rozrywałam. Mogłam temu uparcie zaprzeczać, ale okrutna prawda była taka, że brakowało nam zasadniczych odpowiedzi. Jediną osobą, która mogła ich udzielić, była Lillian Gray, matka Clancy'ego, której dzięki jego wysiłkom mieliśmy nigdy nie odnaleźć.

– Ja się nie poddaję. – Głos Liama nabrał stanowczości. – Jeśli to się nie uda, wymyślimy coś innego.

Wyciągnęłam rękę, żeby pogłodzić go po porośniętym sztywnym zarostem policzku. Westchnął, ale się nie sprzeciwił.

– Nie chcę się kłócić – powiedziałam cicho. – Nie znoszę, kiedy się spieramy.

– Więc nie rób tego. To nic trudnego, skarbie. – Oparł swoje czoło o moje. – O pewnych rzeczach musimy jednak decydować razem. O tym, co ważne. Obiecuj mi to.

– Obiecuję – wyszeptałam. – Ale musimy pojechać na Ranczo. Nie ma innej drogi.

Przed powstaniem Bazy siedziba Ligi mieściła się na północy Kalifornii, w miejscu, któremu nadano niewinny kryptonim Ranczo. Jego położenie było obecnie ściśle strzeżone: Ranczo miało status „ostatniej deski ratunku”, z której można korzystać wyłącznie w sytuacjach krytycznych. Jedyne starsi agenci – włącznie z Cole'em – znali to miejsce z jego początków i wiedzieli, jak je odnaleźć.

Miałam pewność, że jeśli Cate udało się wydostać, czeka na nas właśnie tam – tak przewidywał protokół postępowania. Widziałam ją oczami wyobraźni, jak przemierza w tę i w tę pusty korytarz, spodziewając się nas w każdej chwili. Podejrzewałam, że umiera ze zmartwienia.

Ponura myśl wślizgnęła się do mojej głowy, wypędzając pogodną wizję.

Będę musiała jej powiedzieć. O Boże, czemu nie pomyślałam o tym wcześniej? Przecież ona nie ma prawa wiedzieć. Ufała mi. Kazała mi się nim opiekować. Nie miała pojęcia, że Jude...

Zamknęłam oczy, skupiając się na dotyku dłoni Liama, która delikatnie gładziła mnie po plecach.

– ... u diabła ma być? – Głos Sen wystrzelił z pomieszczenia i pognał w głąb

korytarza, przebijając bańkę mydlaną, którą wokół siebie stworzyliśmy. – Stewart, nie pierwszy raz zachowujesz się jak kretyn, ale to jest...

– Przypływ geniuszu? – dokończył za nią Cole i niemal zobaczyłam, jak się uśmiecha. – Nie ma za co.

Zerwałam się na równe nogi, zanim Liam zdążył mi rzucić rozdrażnione spojrzenie.

– Chodź – powiedziałam. – Coś się dzieje.

– Dobrze, już dobrze – odparł, kładąc mi dłoń na lędźwiach i prowadząc w kierunku pomieszczenia. – Cole zawsze robi dużo szumu.

Agenci otoczyli Cole’a tak ciasno, że ponad ich głowami wystawała jedynie jego czarna wełniana czapka. Spojrzałam na dzieci, z których większość wstała zaintrygowana zamieszaniem.

– Roo?

Wyprostowałam się gwałtownie, czując, jak na dźwięk znajomego przezwiska ściska mnie w żołądku. Obróciłam się w kierunku, z którego dobiegał głos Nico.

– Czego?

– Czy wszystko...? – Chłopiec spojrzał na agentów. – Czy wszystko w porządku?

– A jak myślisz? – warknęłam.

Nico wzdrygnął się na mój ton, co z jakiegoś powodu jeszcze bardziej mnie rozsierdziło. Nie miałam dla niego nawet cienia współczucia. Smutny, wystraszony, zdradziecki Nico.

Zieloni płatali się bez celu, od kiedy zdali sobie sprawę, że nie da się naprawić ich urządzeń elektronicznych – dwoje Żółtych, którzy nam zostali, w żaden sposób nie było w stanie ich uruchomić. Nico przez większość czasu spał i tylko czasami, gdy zauważył mnie lub Vidę, rzucał kilka słów.

To, jak bardzo dał się zmanipulować Clancy’emu, kiedyś wzbudzało we mnie litość. Wyparowała ona jednak w chwili, gdy uzmysłowiłam sobie, że jeśli Nico nie zdradziłby młodemu Grayowi informacji o projekcie Śnieżyca i miejscu pobytu jego matki – gdyby nie był tak głupi, żeby poprosić syna prezydenta, by nas wytropił – wszystko potoczyłoby się inaczej. Jude wciąż by żył, a my nie utknęlibyśmy na dnie

piekieł, w które zmienilo się Los Angeles.

– Ruby... – odezwał się Liam strofującym tonem.

Miałam to gdzieś, nie zamierzałam pocieszać zdrajcy.

Uniosłam dłoń na znak protestu w chwili, kiedy Pulpet i Vida przedarli się przez otaczający nas tłum i stanęli obok.

– Nic ci nie jest? Jesteś ranna? – zapytał Pulpet.

– Ona ewidentnie kona. Wykrwawia się u twych stóp, zgredzie. – Vida przewróciła oczami, po czym zwróciła się do mnie: – Znalazłaś to, czego szukałaś?

– Tak... – odparłam.

– Wybacz, że troszczę się o swoją przyjaciółkę – warknął Pulpet, odbijając piłeczkę. – Zdaję sobie sprawę z tego, że to pojęcie obce psychopatom...

– Ta psychopatka śpi zaledwie metr od ciebie – przypomniała mu Vida ociekającym słodyczą tonem.

– Wy naprawdę jesteście siebie warci – podsumował Liam.

Odciełam się od rozmowy. Cole spojrzał na mnie, unosząc brwi w niemym pytaniu. Skinęłam głową, na co spuścił wzrok na stojącą obok niego kobietę o latynoskich rysach.

Była w średnim wieku, ale miała pooraną zmarszczkami i wyraźnie zmęczoną twarz. Jej granatowa sukienka, która zapewne była niegdyś bardzo szykowna, rozeszła się na szwie. Włosy miała poszarzałe od kurzu albo siwizny i upięte w luźny niedbały kok. Rozglądała się po pomieszczeniu i szeroko otwartymi oczami omiatała dzieci.

– Wiecie, kto to jest? – zapytał Cole.

– Jednostka, która teraz może nas wszystkich zidentyfikować i zadenuncjować – wypaliła w odpowiedzi Sen.

– Nazywam się Anabel Cruz – odezwała się kobieta z zadziwiającą dawką godności jak na kogoś, kto chodził na połamanych obcasach.

– Chryste, co za ciemnoty – rzucił Cole na widok tępych spojrzeń. – Pani senator Kalifornii? Międzynarodowy łącznik Koalicji Federalnej? Pracowała nad tworzeniem sieci kontaktów międzynarodowych i negocjowała pomoc humanitarną od innych

krajów.

Sen nie wyglądała, jakby wywarło to na niej wrażenie. Znowu napadła na Cole'a, biorąc się pod boki:

– Czy zadałeś sobie jakikolwiek trud, żeby potwierdzić jej tożsamość? Jeśli pracowała dla KF, czemu jej nie przymknęli?

– Sama mogę odpowiedzieć na to pytanie – powiedziała pani senator z błyszczącymi oczami. – Kiedy zaczęły się ataki, byłam na spotkaniu z ludźmi z Powiększenia poza naszą siedzibą.

– Ma pani na myśli tę podziemną agencję informacyjną? – zapytał Gates.

Liam spojrzał na mnie pytająco. Dyskretnie i najprościej, jak się dało, wyjaśniłam mu, o co chodzi. Z tego, co wiedziałam, organizacja zrzeszała dziennikarzy i wydawców, którzy wylądowali na czarnej liście Graya za opisywanie „drażliwych” tematów takich jak zamieszki i protesty.

Liam otworzył usta z dziwnym błyskiem w oczach.

– Tak, tę samą... – Cole spojrzał na agentów. – Zdaję sobie sprawę z tego, że nie świadczy to najlepiej o zdrowym rozsądku naszego gościa, ale...

– Wypraszam sobie! – Pani senator zaplotła ręce na piersi.

– Materiały upubliczniane przez Powiększenie nie zawsze się kleją – powiedziała Sen, obrzucając kobietę kolejnym badawczym spojrzeniem. – Owszem, od czasu do czasu zdarzają im się krótkie chwile chwały, ale Gray w końcu i tak ich uciszy. Działają tylko online, na portalach społecznościowych, które jeszcze nie zostały zablokowane, i wydają skłcone na kolanie ulotki. Mają za słaby zasięg. Robią wielkie nic.

Co do tego Cole i Sen byli najwyraźniej zgodni.

– Razem z panią senator w mieście został uwięziony dziennikarz – wyjaśnił Cole.
– Byłem na codziennych zwiadach i usłyszałem, że wojsko szturmuje pobliski budynek. To jego śledzili. Zastrzelili go na miejscu i pewnie to samo zrobiliby z nią, gdyby się nie wylegitymowała.

– Ale ty wkroczyłeś do akcji i ją ocaliłeś. – Sen przewróciła oczami.

Nienawiść, jaką żywiłam do tej kobiety, zaczynała we mnie wygrywać ze

zdrowym rozsądkiem. Poczułam, że robię krok do przodu.

– Gratuluję, udało ci się przyprowadzić kolejną gębę do wykarmienia! – parsknęła.

– Dobrze, że mi przypomniałaś... – Cole zsunął z ramienia wypchany plecak i rzucił go jednej z Zielonych. – Natknąłem się na sklep, a w nim na chłodnię z zapasem przyzwoitych owoców. Nie ma tego dużo, ale to i tak lepsze od śmieci, którymi żywiliśmy się ostatnio.

Dziewczynka, która złapała plecak, wyglądała, jakby właśnie dostała od Cole’a tort urodzinowy samodzielnie przez niego upieczony i polukrowany. Pulpet błyskawicznie do niej doskoczył – równie dobrze mógłby się teleportować – i zaczął rozpakowywać zapasy. Pozostali poszli w jego ślady.

– Dziękuję, nie jestem głodny – odparł Cole, kiedy w podzięcie dzieci chciały mu wręczyć całe jabłko.

Gdy odwrócił się do Sen, na jego twarzy ciągle gościł uśmiech, który pod jej pełnym pogardy spojrzeniem zrobił się jeszcze szerszy. W jego opanowaniu, w tym, jak pochylił głowę w prawą stronę, czaiło się jednak coś niebezpiecznego. Był jak zapalka, czekająca, by otrzeć się o coś choć odrobinę szorstkiego.

– Jestem trochę zaskoczony, Sen. Sądziłem, że bardzo się ucieszysz z kogoś takiego w zespole. Kiedy w końcu się stąd wydostaniemy, pani senator niebawem się nam przyda w przekazaniu reszcie świata wieści o tym, co robimy – powiedział lekkim tonem. – Zaczynamy nowy rozdział, prawda?

Niestety Sen zupełnie nie była zainteresowana nawiązaniem współpracy z resztą świata. Chciała puścić z dymem nasz świat. W słowach Cole’a drzemało jednak pytanie – wyzwanie. Im dłużej mówił, tym bardziej nerwowo pozostali agenci przestępowali z nogi na nogę i tym częściej rzucali sobie ukradkowe spojrzenia. Co bystrzejsi Zieloni wyraźnie zaczynali się doszukiwać w rozmowie ukrytych znaczeń w przeciwieństwie do większości dzieci, które bez zastanowienia złożyły znajome napięcie na karb codziennych frustracji.

On wie. Ta myśl pojawiła się w moim umyśle jak ostre ukłucie. Może nie znał wszystkich szczegółów, ale najwyraźniej przeczuwał, że agenci złamią dane nam

słowo i nie pomogą w wyzwaniu obozów. Podpuszczał Sen, chcąc ją sprowokować, by zdradziła się przed dziećmi.

– Z przyjemnością podzielę się swoimi pomysłami – powiedziała senator Cruz. – Wiecie, jak wydostać się z miasta?

Cała uwaga zebranych skupiła się teraz na mnie.

– Tak... Jest tak, jak podejrzewaliśmy. Wojsko nie ma wystarczających sił, by jednocześnie patrolować ulice i kontrolować autostrady na całej długości. Nocą na kilku odcinkach stoją jedynie puste pojazdy z zapalonymi reflektorami, by stwarzać pozory – wyjaśniłam. Następnie podeszłam do wiszącej na ścianie mapy samochodowej Los Angeles, którą znaleźliśmy nieopodal w jednym z opuszczonych aut. Wskazałam trzy miejsca, które widziałam w umyśle funkcjonariuszki. Byłam dumna z tego, jak spokojnie brzmi mój głos, kiedy pod powiekami stanęły mi mroczne obrazy. SSP. Naszywki z czerwonym symbolem Psi. Plastikowe zaciski. Kaganiec. Pieniądze. Broń. Nie byłam w stanie spojrzeć na żadnego z agentów. Wiedziałam, jak zamierzali mi odpłacić za wydostanie ich z miasta. Cichy głosik zrodzony w mrocznych zakamarkach umysłu zaczął mi podpowiadać: „kłam”. Kusił, bym pominęła kilka szczegółów. Bym pozwoliła im otrzeć się o niebezpieczeństwo tak blisko, żeby dotkliwie to odczuli.

– Proszę. Zaznacz je dla nas – powiedział Cole, podając mi długopis.

Gates burknął coś pod nosem, na co odwróciłam się w jego stronę, splatając ręce na piersi, i spojrzałam mu prosto w oczy. Natychmiast uciekł wzrokiem, udając, że wyciera usta i nos w rękaw. Strach, jaki odmalował się na jego bladej twarzy, podbudował moją pewność siebie bardziej niż dotyk Cole’a, który położył mi dłoń na karku i pochylił się nad moim ramieniem, by przyjrzeć się naniesionym przeze mnie oznaczeniom.

– Jestem pewna, że takich dziur jest więcej. Ale widziałam tylko te.

Cole rozejrzał się wokoło, po cichu obliczając, ile osób przypadnie na jedną grupę, jeśli wykorzystamy tylko trzy potencjalne drogi ucieczki. W magazynie przebywało siedemnaścioro dzieci oraz dwudziestu czterech agentów z oddziału, który przybył wyzwolić Bazę – pięcioro z tej grupy zginęło w pierwszym ataku, a

reszta zdezerterowała. Wychodziło mniej więcej osiem grup po pięć osób. To było wykonalne.

– Akcja musi być szybka i idealnie zaplanowana w czasie – stwierdziła Sen. – Od najbliższego miejsca, do którego nie dotarł impuls elektromagnetyczny, mogą nas dzielić setki kilometrów... Będziemy musieli przemierzyć je pieszo.

– Zaznaczyli to na mapie, którą widziałam – rzuciłam, po czym zdjęłam zatyczkę z długopisu i zakresliłam odpowiednie miejsca. Na zachodzie Beverly Hills, na wschodzie Monterey Park, na północy Glendale i na południu Compton. Dawało to mniejszy obszar, niż się spodziewałam. – Podzielimy się na zespoły i wyruszymy za kilka godzin. O trzeciej–czwartej nad ranem.

– Ale przecież musimy omówić strategię – zaprotestował Gates. – Zgromadzić zapasy.

– Nie. Jedyne, co musimy, to wydostać się z tego przeklętego miasta. I to tak szybko, jak tylko się da – odparł Cole. – Pozostali najpewniej czekają na nas na Ranczu.

Chwyciłam go za nadgarstek, zerkając w kierunku drzwi. Skinął delikatnie głową, po czym ponownie zwrócił się do zebranych.

– Wszyscy natychmiast pakujcie się do łóżek. Wynosimy się stąd za kilka godzin – rzucił, a słysząc, że jedna z młodszych Zielonych pisnęła z wrażenia, dodał: – Dziękuję, Blair! O to właśnie chodzi! Trochę entuzjazmu! Niebawem czeka nas zmiana scenerii!

– Nie możesz podejmować takiej decyzji bez skonsultowania tego z pozostałymi – Sen mu przerwała. – Nie masz prawa nam rozkazywać.

– Wiesz co? Chyba właśnie to zrobiłem. Ktoś ma z tym problem?

W pomieszczeniu zaległa cisza. Dzieci potrząsały przecząco głowami. Twarze agentów były ponure i napięte. Nikt się jednak nie odezwał.

– A co z internowanymi? – zapytała senator Cruz, ruszając w naszym kierunku, by z bliska przyjrzeć się mapie. – Zostawimy ich tu na pastwę losu? Wolałabym zostać i...

– Dać się złapać i trafić pod ich sąd? – wtrącił Cole. – Mówiła pani, że była w

trakcie poważnych rozmów ze światowymi przywódcami... Czy nie wolałaby pani dożyć kolejnych negocjacji, wiedząc, że doprowadzenie ich do końca pomoże *w s z y s t k m m*?> Chyba że nie powiedziała nam pani prawdy?

– Nie kłamałam – wypaliła gwałtownie, a w jej ciemnych oczach pojawił się błysk. – Aresztowano moich przyjaciół i znajomych. Ryzykowaliśmy życie, by ocalić ten kraj.

– Świat się dowie, co się tu wydarzyło – obiecał Cole. – Nie zostawimy ich na długo. Dopilnuję tego, a pani mi w tym pomoże.

Po tych słowach przeszliśmy do omawiania strategii ewakuacji. Trzeba było obmyślić system podziału na grupy i wybrać szlak prowadzący na północ.

– Trzymacie się jakoś? – zwrócił się Cole do dzieci, które powoli kierowały się w stronę drzwi, po czym znów spojrzał na mnie. – Wszyscy się najedli?

Chór głosów odpowiedział, że tak. Oczywiście było to kłamstwo. Nie wiedziałam, czy dzieci sądziły, że prawda go rozczaruje, czy pchnie do kolejnej wyprawy na powierzchnię po więcej. Cole miał taką charyzmę, że był w stanie przekonać kota, by oddał mu futro. Zaufanie dzieci zdobył jednak, udowadniając, że mu na nich zależy.

– Potwierdzam swój udział w turnieju karcianym – dodał, kiwając na jednego z mijających go Zielonych. – Mam zamiar zwyciężyć, Sean. Lepiej miej się na baczności.

Chłopiec parsknął.

– Nikt ci nie broni mieć nadziei, staruszk. Zobaczymy, czy dotrzymasz nam tempa.

Cole chwycił się za serce, jakby go postrzelono.

– Banda żółtodziobów! Mógłbym was sporo nauczyć o wygrywaniu...

– Czy mówisz o tym, co reszta z nas nazywa *o s z u k i w a n i e m*?! – zawołał do niego Liam. Razem z Pulpetem, Vidą, Nico i jeszcze jednym Zielonym umiejscowili się pod oknem.

Zaniepokojona obrzuciłam spojrzeniem ich plecy, a następnie ich ręce i podłogę wokół. *Gdzie to jest?*

– Gada tak, bo zawsze przegrywa. – Cole puścił oko do dzieci.

Agenci przenieśli się na drugą stronę pomieszczenia bliżej mapy, by – jak podejrzewałam – stworzyć własną wersję planu. Senator Cruz próbowała im coś tłumaczyć, ale ją ignorowali.

Gdzie się podział plecak? Okrążyłam otaczające mnie dzieci, przeszukując podłogę. Dostrzegłam go na ramieniu Fergusona. Temperatura podskoczyła mi o kilka kresek. Natychmiast zdałam sobie sprawę, że aby odzyskać wyniki badań, będę musiała wniknąć w umysł każdego z agentów.

Cole stanął w drzwiach i pochylił głowę. Odczekałam minutę i ruszyłam za nim. Agenci najwyraźniej niczego nie zauważyli, a nawet jeśli, mieli nas gdzieś. Przecież dałam im wszystko, czego potrzebowali, by wprowadzić swoje zamiary w życie.

W korytarzu wciąż było o kilka stopni chłodniej. Kiedy wyszłam poza lunę słabego światła wydostającą się przez drzwi, nie widziałam prawie nic. Przez sekundę pożałowałam, że nie wzięłam ze sobą zdobycznej latarki, ale doszłam do wniosku, że mrok pasuje do rozmowy, jaką za chwilę miałam odbyć. Budynek magazynu był zupełnie surowy – otaczał nas jedynie beton i kolorowe rury. Niczym w grobie, nawet powietrze było tu stęchłe.

Odliczyłam pięćdziesiąt kroków, pewna, że dochodzę do końca korytarza, kiedy niespodziewanie chwyciła mnie wyłaniająca się z ciemności ręka. Zostałam wciągnięta w małą, ciasną wnękę, najprawdopodobniej schowek. Serce waliło mi jak szalone, kiedy usłyszałam trzask zamykających się za mną drzwi.

– Jak tam, perełko? – zagaił Cole. – Miałś pracowity wieczór, co?

Przez ostatnie dwa tygodnie udawało mi się utrzymywać względny stan równowagi jedynie dlatego, że tłumiałam w zarodku każdą przerażającą emocję, jaka zaczynała we mnie pączkować. Teraz jednak byłam tak wstrząśnięta, że tłumione napięcie niespodziewanie ze mnie uszło. Choć chwila nie była na to zbyt odpowiednia, wstrząsnął mną szloch: nie potrafiłam wydusić z siebie słowa.

– Boże, perełko... – Cole położył mi dłoń na ramieniu, by mnie uspokoić. Strzelił palcami i na ich czubkach zamigotał płomień, wypełniając ciasną przestrzeń światłem.

– Kiedy wracałam... podsłuchiłam Sen i pozostałych... Oni nie... nie mają

zamiaru zawieźć nas na Ranczo. Zajrzałam do jej myśli... Oni chcą... Planują...

– Jeszcze raz od początku – uspokajał mnie Cole. – Powoli. Powiedz mi wszystko, co słyszałaś i widziałaś.

Powtórzyłam mu słowo w słowo całą rozmowę. Opowiedziałam, że agenci zamierzają zabrać ze sobą do samochodów po jednym dziecku lub po dwoje. Że chcą odjechać godzinę czy dwie od miasta i je obezwładnić. Wymienić życie na splamione krwią pieniądze. Zakupić broń i materiały wybuchowe, a następnie dokonać zamachu na Graya, który, jak zakładali, był na tyle głupi, żeby ukrywać się w świeżo odbudowanym Waszyngtonie.

Cole miał beznamiętny, chłodny wyraz twarzy, jakiego Liam nigdy nie byłby w stanie przybrać. Gdybym nie dostrzegła drżenia jego ręki, nie zorientowałabym się, jak bardzo był wściekły. Przez długą chwilę milczał. Czułam, jak po twarzy spływa mi strużka potu. Przez moment miałam ochotę otworzyć drzwi i wpuścić do środka chłodne powietrze.

W końcu się odezwał:

– Zajmę się tym.

– *R a z e m* się tym zajmujemy. Ale to ty musisz podjąć decyzję. I to natychmiast. Nie możesz ciągle balansować pośrodku, usiłując równocześnie stać po obu stronach. Zdecyduj się. Jesteś z nami czy z nimi?

– Oczywiście, że jestem z wami – odparł ostro, wyraźnie poirytowany, że podałam to w wątpliwość. – Przecież to dotyczy również mnie. Złożyłem ci kiedyś obietnicę, pamiętasz? Chcesz ze mnie zrobić kłamcę?

– Nie. Ja po prostu... – Wzięłam głęboki wdech. – Nie chcesz powiedzieć innym, że jesteś jednym z nas. Nawet Liamowi. Od tamtej nocy nawet nie spojrzaleś na wyniki badań.

– Nie wierzę! A nie przyszło ci do głowy, że robię to celowo?! Staram się odwrócić uwagę od tego, że mam osobisty interes, by znaleźć sposób na pozbycie się pewnych rozkosznych zdolności. – Dla dodania wagi swoim słowom pozwolił, by płomyk na jego palcach zgasł, po czym ponownie go zapalił. – Nie mogę pokazać, że interesuję się tymi sprawami, inaczej ściągnę na siebie uwagę agentów. Zaczęliby

pytać i węszyć. Gram w tę grę od wielu lat.

– To nie jest gra, pod żadnym względem. Teraz nie oddadzą nam już wyników badań.

– Jestem tego świadomy i poczyniłem pewne kroki. Nazywają się Blair i Sara.

Obie dziewczynki były Zielone. I miały fotograficzną pamięć.

– Dałeś im to do zapamiętania?

– Przetestowałem je. Kazałem każdej odtworzyć wykres albo tabelę i zrobiły to bezbłędnie. Myślę, że powinniśmy pozwolić agentom zatrzymać plecak. To pomoże uśpić ich czujność.

Trzymałam się prosto i patrzyłam ponad jego głową. Wystarczyło, że słyszałam jego południowy akcent, nie chciałam dodatkowo widzieć uśmiechu... Wolałam mieć się na baczności, bo charakterystyczny urok osobisty braci Stewartów potrafił być niebezpieczny.

– Mam pewien pomysł. Ale przeczuwam, że nie bardzo ci się spodoba – dodał.

– Ładny początek.

– Mówię poważnie, perełko. To musi pozostać między nami, rozumiesz? W przeciwnym razie nic z tego nie będzie. Obiecuj mi, że nikomu nie powiesz. To jedyny sposób, by się ich pozbyć, zanim oni pozbędą się nas.

Wyciągnął do mnie rękę. Zawahałam się, ale w końcu podałam mu swoją. Trzymałam jego dłoń wystarczająco długo, by poczuć, jak naturalne wewnętrzne ciepło rozgrzewa otaczające nas powietrze.

Clancy powiedział mi kiedyś, że wśród obdarzonych zdolnościami psionicznymi musi istnieć naturalna hierarchia. Że ci z największą mocą powinni przewodzić pozostałym i to tylko dlatego, że nikt nie jest w stanie się im sprzeciwić. Teraz, ściskając dłoń Cole'a, zrozumiałam, że to prawda, ale z innego powodu. Jako najsilniejsi widzieliśmy całe spektrum dobra i zła towarzyszącego zdolnościom. Wzbudzaliśmy strach i nienawiść, ale przy tym baliśmy się i nienawidziliśmy samych siebie. Żadne z nas nie prosiło się o to, co dostało. Nigdy nie korzystaliśmy ze swoich mocy dłużej, niż było to absolutnie konieczne, ani nie wykorzystywaliśmy swojej pozycji. W praktyce więc jako ci, którzy mieli największą moc, musieliśmy stać w

pierwszym szeregu, choćby dlatego, że potrafiliśmy najlepiej chronić pozostałych.

Uścisnęłam mu dłoń. Zanim ponownie przybrał codzienną maskę aroganckiej nonszalancji, na jego twarzy pojawił się przebłysk ulgi i wdzięczności.

– W takim razie jaki jest kolejny ruch? – zapytałam. – Jak zdołamy cokolwiek osiągnąć bez wyszkolonych ludzi? Dokąd pójdziemy?

– *My* ruszymy na Ranczo. *Oni* do kwatery głównej w Kansas z resztą agentów. Unikną odpowiedzialności za swoją podłość, ale przynajmniej nie dotrą na Ranczo. To nasze miejsce.

– Jak zamierzasz to zrobić?

– Perełko, powinnaś raczej zastanowić się, jak długo zajmie ci przekonanie ich, że Ranczo jest zniszczone i огоłocone ze wszystkiego, co mogłoby się nam przydać... Że to marna kryjówka.

Zamarłam, kiedy dotarło do mnie, co planował.

– Chcesz, żebym na nich wpłynęła. Przecież jest ich ponad dwudziestu...

– Masz trzy godziny, potem wyruszamy. – Cole pozwolił, by płomień na jego palcach znowu zgasł. – Proponuję zabrać się do roboty.

3

W krzątaniu poprzedzającej ewakuację każdy dostał jakieś zadanie do wykonania. Część dzieci wysłano, by przejęły wartę. Niektórzy pakowali dodatkowy sprzęt, który udało się nam zgromadzić. Jeszcze inni jak Liam i Pulpet rozdzielali resztki jedzenia między poszczególne zespoły. Krążyłam wśród agentów niczym ledwie wyczuwalny podmuch wiatru, delikatnie muskając ich umysły. Razem z Cole'em ustaliliśmy porządek, w jakim powinnam działać, by sprawić, że zmiana planów wyda im się zupełnie naturalna. Na początku miałam się zająć agentką Sen.

Studiowała mapę i zmieniała początkowe ustalenia dotyczące składu zespołów. Stałam tuż za jej plecami. Ponieważ już wcześniej wtargnęłam do jej umysłu, ponowne wniknięcie było łatwiejsze niż wsunięcie klucza w naoliwiony zamek.

Przy każdym kolejnym agencie czułam, że działam coraz wolniej, zmuszona przedzierać się przez posępne sceny przemocy, szkoleń i senne mary. Spędziłam z tymi ludźmi sześć miesięcy, a teraz w zaledwie dwie godziny zrozumiałam, jaką czuli nienawiść – do Graya, do nas, do wszystkiego, co stanęło im na drodze. Wypełniająca ich bolesna tęsknota tworzyła wokół czarne dziury, w które nawzajem się wciągali.

Kiedy skończyłam, czułam się jak skała, która przetrwała osunięcie się ziemi. Opanowana na tyle, żeby otworzyć trzecie z kolei drzwi w korytarzu i zająć się Clancym Grayem.

Szturchnęłam go stopą w bok trochę mocniej niż było to konieczne.

– Obudź się. – Zaświeciłam mu latarką prosto w mętne oczy.

Jęknął.

– Jeśli nie przyszłaś po to, by mnie rozkuć, poinformować o nagłej i tragicznej śmierci któregoś z braci Stewartów albo nie przyniosłaś mi czystych ubrań i lusterka, to nie jestem zainteresowany.

Zahaczyłam piętą o jego ramię, zmuszając, by przewrócił się na plecy. Rzucił mi mroczne spojrzenie zza ciemnej grzywki, której strąki zasłaniały mu oczy. Ohydna

czarna maź oblepiająca mu skórę – pamiątka z przedzierania się przez kanały Bazy – zamieniła się w suchą, spękaną szarą skorupę, której kawałki sypały się z niego nawet przy najmniejszym ruchu brwi.

– Żadnego jedzenia? – Parsknął. – Niezaspokajanie podstawowych potrzeb to tortury... Mogłem się tego spodziewać.

– To nie są tortury. – Przewróciłam oczami. Przynajmniej nie w tradycyjnym rozumieniu tego słowa. Podejrzewałam, że przebywanie z dala od innych w samotności i zamknięciu wcale mu tak bardzo nie przeszkadza. Miałam wrażenie, że najbardziej doskwiera mu brak dostępu do informacji: zza ściany dobiegały go zaledwie urywki rozmów. W tym tkwiła jego największa udręka. Oraz w brudnych ubraniach, które miejscami kleiły mu się do skóry.

Podniosłam spodnie dresowe i podkoszulkę i upuściłam mu je na twarz.

– Zaraz uwolnię twoje ręce i stopy. Dam ci szmatę i wiadro z wodą, żebyś się umył. Potem ruszysz za mną cicho i będziesz robił dokładnie to, co ci powiem.

Użyłam małego noża, który dostałam od Cole'a, i przecięłam plastikowy zacisk wokół kostek Clancy'ego, ignorując ślady, jakie zostawił mu na skórze.

– Co się dzieje? – zapytał, siadając. – Co robisz?

– Przenosimy się.

– Dokąd? – Clancy pocierał nadgarstki, które też mu uwolniłam. – Podobno kilka przecznic stąd jest stara rzeźnia. To byłby prawdziwy postęp.

Zaczął się rozbierać. Odwróciłam się i niedbale rzuciłam mu szmatę przez ramię, po czym wbiłam wzrok w podłogę, słuchając, jak się szoruje.

– Oczywiście ciepła woda byłaby straszną fanaberią – gderał. – Nie mam nawet koca...

Znieruchomiał. Usłyszałam, jak szmata z plaśnięciem spada na podłogę. Odwróciłam głowę i spojrzałam ponad linią jego barków. Zmrużył oczy, wyraźnie się nad czymś zastanawiając.

– O co naprawdę chodzi?

– Przenosimy się – powtórzyłam, przełykając ogarniające mnie obrzydzenie.

Clancy nie miał dostępu do żadnych informacji. Nie dostawał nic prócz

absolutnego minimum, na które i tak nie zasługiwał. Nie powiedziałam nic więcej i poczułam delikatne mrowienie w potylicy – to jego umysł obijał się o mój, jakby pukał, bym go wpuściła. Zablokowałam dostęp i wysłałam mu wizję zatrzaskujących się drzwi. Włożyłam w to taką siłę, że aż się wzdrygnął.

– Zamierzacie mnie wymienić... Wydać – powiedział zdenerwowanym tonem. – To dlatego mam być czysty i świeży.

Gdyby jego domysły nie były tak bliskie tego, co planowali zrobić z nami agenci, spróbowałabym go podręczyć tą wizją. W zaistniałej sytuacji nie potrafiłam się na to zdobyć.

– Chciałbyś tego, prawda? Nagiałbyś kilku żołnierzy do swojej woli i zorganizował sobie ucieczkę...

– Imponujące! Więc jednak ciągle potrafisz złożyć zdanie z więcej niż trzech słów. – Prychnął, po czym wsunął czystą koszulkę przez głowę i naciągnął nogawki spodni. Wyglądał bladziej, niż zapamiętałam. Był tak wychudzony i przezroczysty, jak wszyscy. – Ciągłe jesteś taka wściekła? Nie mów mi, że to przez tego głupiego dzieciaka.

Nie pamiętam, co się stało po tym, jak przywaliłam mu w szczękę po raz pierwszy. Kiedy wróciła mi świadomość, czyjeś ręce trzymały mnie w pasie, a ja wciąż się miotałam i szarpałam.

– Hej! Uspokój się! – Cole puścił mnie i odepchnął z dala od Clancy’ego i od siebie. – Nie zniżaj się do jego poziomu! Weź się w garść!

Przycisnęłam pięść do piersi, walcząc o oddech. Clancy trzymał dłonie nad głową. Cole podniósł go na nogi, przeciągnął mu ręce do tyłu i skrępował je nowym zaciskiem. Następnie nałożył mu na głowę starą poszewkę na poduszkę i związał ją, by się nie zsunęła.

Bez słowa zaciągnął mnie ku drzwiom. Twarz tężała mu od gniewu.

– Masz się skupić – syknął. – Czeka nas wiele godzin jazdy, a on będzie z nami w aucie przez cały ten czas. Jeśli czegoś spróbuje, to ty będziesz musiała go powstrzymać.

Wbiłam wzrok w Clancy’ego. Zauważyłam, jak pochyla ku nam głowę. Skąd

miałam wiedzieć, że właśnie teraz nie „próbuję czegoś” na Cole’u? Potrafił kontrolować wiele osób naraz i to w dużo gorszych okolicznościach. To byłaby dla niego pestka. Założyłam, że odseparowanie go od pozostałych wystarczy, by ich uchronić, ale co, jeśli się myliłam?

– A więc wybieramy się na przejażdżkę?! – zawołał.

Próbowałam dostrzec w twarzy Cole’a choćby ślad obcego wpływu, kontrolując bańkę strachu rosnącą mi w piersi. Miał przytomne oczy i zachowywał się trzeźwo. A nawet uśmiechał się kpiąco.

– Nie możemy go jakoś pozbawić przytomności? – wyszeptałam. – Byłoby bezpieczniej. Dla nas wszystkich.

– Tylko siłą, a wolałbym nie ryzykować i przypadkowo nie uszkodzić mu mózgu – odparł, po czym już głośniejszym głosem dodał: – Pojedzie w bagażniku. Związany, zakneblowany, bezbronny. Taki, jakiego lubię go najbardziej.

Clancy skinął głową w naszym kierunku. Gdybym nie znała go tak dobrze, mogłabym przysiąc, że w jego głosie pobrzmiwała nutka desperacji.

– Ależ nie ma takiej potrzeby... – rzucił.

– Nie pojedziesz na tylnym siedzeniu – odparł Cole. – To zbyt ryzykowne. Ktoś mógłby cię zobaczyć. A zresztą pewnie próbowałbyś zwać.

Clancy prychnął.

– I oddalić się od wyników badań projektu Śnieżyca, zanim je zniszczę?

Cole rzucił mi porozumiewawcze spojrzenie i uśmiechnął się bez słowa. Zdałam sobie sprawę z niespodziewanej korzyści z zapamiętania wyników badań przez Zielonych. Clancy nie miał pojęcia, że na wszelki wypadek stworzyliśmy rodzaj kopii zapasowej.

– To brzmi rozsądnie, prawda, perełko?

Pociągnęłam Cole’a na korytarz i zamknęłam za sobą drzwi.

– Może rzeczywiście nie powinniśmy go zabierać. Jeśli wymknie się na Ranczu, wszystko zniszczy. – Zacisnęłam dłonie w pięści, usiłując zwalczyć wstręt, jakim napawało mnie wspomnienie swojej naiwnej wiary, że mam Clancy’ego pod kontrolą.

Niektórzy przychodzili na świat, by nigdy nie podnieść oczu na ludzi obok. Byli

skupieni jedynie na *własnych* zachciankach i potrzebach. Nikt inny nie miał dla nich znaczenia. Odcinali się od współczucia, litości i poczucia winy. Niektórzy przychodzili na świat jako potwory. Teraz to rozumiałam.

– Hej – szepnął Cole. – Ja też najchętniej bym go udusił, chyba o tym wiesz?

– Ma więcej masek niż najlepszy aktor – ostrzegłam. – Jeśli coś nie przynosi mu bezpośrednich korzyści, nie współpracuje. A jeśli coś mu *zagrozi*...

– Nie może się z tobą mierzyć, perełko.

– Chciałabym, żeby tak było. – Potrząsnęłam głową.

– Skupmy się na tym, co może nam dać, jeśli zdołamy przewieźć go w miejsce, gdzie będzie chciał współpracować – powiedział Cole. – Tajne dane, wgląd w rozumowanie swojego ojca... Jest również wartościowym potencjalnym towarem wymiennym.

– Jest zbyt nieprzewidywalny.

Nawet jeśli oddalibyśmy go ojcu, istniało spore prawdopodobieństwo, że ucieknie i wywoła jeszcze większe spustoszenie. Czy jednak branie go ze sobą, by mieć go na oku, było lepszym wyjściem?

– Zapominasz, że tak naprawdę chcemy tego samego co on. – Cole wyraźnie walczył ze sobą, by nie przewrócić oczami. – Wszyscy dążymy do tego, by odsunąć jego ojca od władzy.

– Nie. On chce zniszczyć własnego ojca. A to różnica. Jeśli mu się uda, może dojść do sytuacji, o jakich nam się nie śniło.

Nie pomyślałam o tym, że jeśli ponownie skrepujemy Clancy'emu ręce, będę musiała go nakarmić. Rzucił mi nienawistne spojrzenia i pluł jak kot, rozwścieczony, że przycięto mu pazury. Skóra mi cierpła. Żadnemu z nas się to nie podobało.

Kiedy wróciłam do głównego pomieszczenia, Liam powitał mnie współczującym spojrzeniem i paczką chipsów ziemniaczanych, poklepując miejsce na podłodze obok siebie. Było nieprzyzwoicie wcześnie. Połowa osób wyglądała, jakby przysypiała, a druga połowa niespokojnie chodziła tam i z powrotem. Na zewnątrz zerwał się wiatr. Wyjąc, omiatał krawędzie magazynu i wdzierał się w pęknięcia w dachu – mroczna ścieżka dźwiękowa idealnie pasująca do naszego poranka.

– Dobra, będę się streszczał – oznajmił Cole. – Podzielimy się na zespoły, które pójdą do trzech różnych punktów ewakuacyjnych. Jeśli punkt, do którego zostaliście przydzieleni, z jakiegoś powodu przestanie być bezpieczny, na przykład zastaniecie tam żołnierzy albo coś podejrzanego, udajecie się do kolejnego najbliższego.

Stojąca obok niego Sen przyglądała się siedzącym na podłodze dzieciom z kpiącym uśmieszkiem. Sama miała ochotę się uśmiechnąć. Łechtało mnie przyjemne poczucie przewagi. *Szerokiej drogi*, pomyślałam.

– Kiedy już będziecie wiedzieć, z kim i dokąd macie się udać – ciągnął Cole – sprawdźcie na mapie, gdzie znajdują się przygotowane dla waszych zespołów samochody i jak przebiega dalsza droga. Zespół A to ja, Ruby, Liam, Vida, Nico, nasz gość i ten, jak mu tam... w śliczniutkiej koszuli na guziki.

Oburzony Liam wyrzucił w górę ręce. Pulpet jedynie wzruszył ramionami.

– To i tak lepsze niż „zgred”. Ale, dla sprostowania, mówią na mnie Pulpet.

– Nico nie może być z nami – wtrąciłam się. Dzieciakowi nie można było ufać, jeśli znajdował się w pobliżu Clancy’ego. Nie ręczyłam też za siebie, gdyby wsypał nas kolejny raz.

Kątem oka zobaczyłam, jak chłopiec się wycofuje i chowa z tyłu grupy. Liam chwycił mnie za ramię, ale nie podniosłam głowy. Wiedziałam, że gdybym spojrzała mu w oczy, zobaczyłabym rozczarowanie. On nie rozumiał.

– Dobrze – powiedział Cole. – Nico, pójdziesz z zespołem D.

– Czy to ja jestem „gościem”? – rozległ się kobiecy głos.

Dopiero teraz przypomniałam sobie o pani senator.

– Pani jest w zespole C. Gość zespołu A jest o wiele mniej sympatyczny.

Najwidoczniej wiedziała o obecności Clancy’ego, bo jej jedyną odpowiedzią było krótkie:

– Rozumiem.

Cole omówił szczegóły tras, którymi poszczególne zespoły miały wyruszyć na północ stanu. Wszystkie biegły bocznymi drogami, co wprawdzie wydłużało podróż i zwiększało koszty benzyny, ale za to było bezpieczniejsze. Kiedy skończył, zaległa cisza, jakby wszyscy potrzebowali chwili, by przyswoić sobie nowe informacje.

– Idź po niego – zwrócił się do mnie, a kiedy wychodziłam, powiedział do pozostałych: – Połączcie się w zespoły i w drogę. Uważajcie na siebie. Powodzenia. Widzimy się na północy.

Kiedy weszłam, Clancy wstał z trudem. Ciągle miał skrępowane ręce i zasłoniętą głowę.

– To już? Która jest godzina?

Odsłoniłam mu twarz.

– Jeśli tylko zauważę, że coś kombinujesz...

– To mnie ukatrupisz. Boże, jesteś tak irytująca, jak moja była niańka. *Zrozumiałem*. – Prychnął, po czym się odwrócił i szturchnął mnie skrępowanymi dłońmi. – To wygląda równie podejrzanie jak worek na głowie. Jeśli coś się wydarzy, może będę musiał użyć rąk...

– Nic się nie wydarzy – powiedziałam, chwytając go pod ramię i wywlekając na korytarz.

Okazało się jednak, że musimy się cofnąć, żeby uniknąć stratowania przez pozostałych, którzy rzucili się pędem do różnych wyjść.

– Gotowi?! – zawołał do mnie Cole spod okna, kiedy wciągnęłam Clancy'ego do głównego pomieszczenia.

Senator Cruz wciąż tam była, wciśnięta między dwóch agentów, którzy za nią odpowiadali. Na widok syna prezydenta zamarła. Clancy uśmiechnął się ironicznie, taksując ją spojrzeniem.

– Spokój – warknęłam. – Zostaw ją albo wyrzucę cię przez to okno.

– Pozwól, że ci pomogę – odezwał się Liam i mnie podsadził. W tej samej chwili spojrzał na Sen, a widząc, jak agentka zaciąga paski plecaka zawierającego wyniki badań, rzucił mi pytające spojrzenie.

Położyłam mu dłoń na ramieniu na znak, że wszystko w porządku. Następnie odwróciłam się i chwyciłam Clancy'ego za barki. Chciałam pomóc mu utrzymać równowagę, ale przerzucając przez ramię okna drugą nogę, zahaczył o coś butem, wypadł mi z rąk i upadł bezwładnie głową w dół na schody przeciwpożarowe.

– Widzę, że nie przysługuje mi nawet cień godności – warknął, prostując się i

niezgrabnie poprawiając koszulę skrępowanymi rękami.

Wychyliłam się nad schody, żeby zobaczyć, gdzie jest Cole. Stał już na ziemi z odbezpieczoną bronią, obserwując pobliskie okna z maksymalnie skupioną miną, którą wiele razy widziałam u Liama. Wiatr rozwiewał mu włosy i wybrzuszał kurtkę – dał tak mocno, że musiałam się cofnąć przed podmuchem.

– Z braci Stewartów on jest chyba lepszą partią. Przystojny. Niepokorny. Pasuje do ciebie – wyliczał Clancy, podążając za moim spojrzeniem. Najwidoczniej *zupełnie* mnie nie znał.

Powstrzymałam się od odwracania, dopóki nie znaleźliśmy się na ulicy z plecami przyciśniętymi do ściany budynku. Dopiero wtedy sprawdziłam, czy z Vidą, Pulpetem i Liamem wszystko w porządku.

– Coś nie tak? – zwróciłam się do Cole’a.

Potrząsnął głową.

– Droga wolna.

Ruszyliśmy na wschód, by następnie podążać wzdłuż torów kolejowych leżących na dnie Los Angeles River. Nasze wyjście znajdowało się mniej więcej trzynastcie przecznic dalej na północ, ale gdybyśmy wybrali prostą drogę, byłaby to ciemna, cicha i pełna napięcia wędrówka. Spojrzałam w tył, jednak panowały takie ciemności, że podążającej za nami grupy dzieci zupełnie nie było widać – poczułam, jak wzdłuż kręgosłupa przebiega mi dreszcz. Cole nakazał, że na wszelki wypadek mają poczekać dziesięć minut, zanim ruszą za nami drogą ewakuacyjną. Gdyby coś poszło nie tak, usprawniłoby im to odwrót. Byli na uprzywilejowanej pozycji.

Nie spuszczałam oczu z drogi, cały czas trzymając Clancy’ego za ramię. Miał nieznośnie ciepłą skórę. Poranek ujął miasto w chłodny uścisk – rozgrzewające słońce jeszcze nie weszło – ale nasz „gość” zdawał się odporny na zimno. I na wszystko inne.

Cole gwałtownie wstrzymał oddech i wyrzucił w górę rękę, nakazując, byśmy się zatrzymali. Clancy z zainteresowaniem pochylił się do przodu, żeby sprawdzić, co się dzieje.

– Powodzenia – rzucił i z powrotem się wycofał.

Nasza trasa biegła pod autostradą sto jeden, która tworzyła most nad rzeką i pobliskimi torami kolejowymi. Z tego, co wyczytałam w pamięci funkcjonariuszki SSP, wojsko zablokowało tory wykolejonymi wagonami towarowymi i mocno je oświetliło. Ponad nimi na autostradzie stały dwa wozy bojowe i dodatkowe reflektory skierowane w naszą stronę. Tego, co zobaczyłam obok nich, zupełnie się jednak nie spodziewałam. Żołnierze. Ostrożnie i cicho posuwaliśmy się do przodu, a ja starałam się ich policzyć. Nie sądziłam, że będą stanowić problem. Nagle kilka ciemnych postaci podeszło do krawędzi wiszącego nad nami odcinka drogi. Unosiły dłonie w sposób pozwalający się domyślić, że patrzą przez lornetki.

Cole przywarł do torów, a ja pociągnęłam za sobą na ziemię Clancy'ego. Pulpet zaczął się dopytywać, o co chodzi, ale ktoś – pewnie Vida – zakrył mu usta.

Niech to szlag. Niech to szlag. Ogarnął mnie strach. Jak mogłam się tak pomylić? Wokół wciąż panowała gęsta ciemność, ale znajdowaliśmy się już na granicy łuny reflektorów. Cole zaklął cicho, zawrócił i machnął ręką, byśmy zrobili to samo. Vida wyjęła pistolet i zaczęła się czołgać z powrotem, ciągnąc za sobą Pulpeta za koszulę.

Wiatr podwiał mi tył kurtki, odsłaniając nagie plecy. Po naszej lewej kawałki blachy pokrywające mur wzdłuż torów łomotały, jakby zaraz miały odpaść. *Powoli*. napominałam się. – *Nie panikuj. Powoli.* Gwałtowne ruchy i hałas przyciągnęłyby uwagę żołnierzy.

Niespodziewanie rozległ się trzask jak przy łamaniu kości... To wiatr wyrwał całą płachtę blachy i cisnął ją prosto na nas. Schyliłam głowę, nakrywając ją wolną ręką i kalkulując, jak szybko będziemy musieli się zerwać do biegu, kiedy blacha zacznie z łoskotem obijać się o tory.

Jedno uderzenie serca, drugie, trzecie... Poza wyciem wiatru i moim ciężkim oddechem wokół panowała kompletna cisza. Podniosłam głowę, dostrzegając, jak zaskoczenie na twarzy Cole'a zamienia się w ulgę. Odwróciłam się, żeby sprawdzić, co było tego przyczyną.

Wielki zardzewiały kawał blachy tkwił w miejscu, w które uderzył po pierwszym niebezpiecznym odbiciu. Wyginał się w naszą stronę i oprócz tego, że drżał jak napięty mięsień, był nieruchomy. Liam wyciągał rękę w jego kierunku. Na jego twarzy widniało całkowite skupienie. Już wcześniej widziałam, jak za pomocą swoich

zdolności podnosi dużo cięższe przedmioty i rzuca nimi... Tym razem jednak za przeciwnika miał porywisty wiatr.

Pulpet się poruszył, ale Liam tylko szepnął:

– Wszystko pod kontrolą.

Cole pstryknął palcami, żeby przyciągnąć moją uwagę, i wskazał w górę na autostradę. Wśród znajdujących się tam żołnierzy znów zapanowało zamieszanie. Wycelowane w nas reflektory zgasły i w tym momencie wojskowa ciężarówka podjechała do stojących na drodze pojazdów bojowych. Dopiero po chwili dotarło do mnie, co się dzieje.

Przyjechali, żeby wymienić samochody i światła. To nie był patrol ani wartownicy.

Jeden z pojazdów ruszył, zawrócił szerokim łukiem na pustych pasach autostrady i popędził na zachód. Wpatrywałam się w jego oddalające się tylne światła, a kiedy zniknął, znów spojrzałam w górę, mrużąc oczy w blasku reflektorów. Żadnego ruchu. Odjechali.

Cole doszedł do takiego samego wniosku. Powoli uklęknął, a następnie wstał, nakazując, byśmy poszli w jego ślady. Liam za pomocą swoich zdolności z jękiem uniósł blaszaną płachtę, wyginając ją w łuk nad naszymi głowami, po czym cisnął na suche, betonowe dno Los Angeles River. Pozwolił, by brat pomógł mu wstać, ale od razu go odepchnął.

– Jak na kogoś, kto jest miernotą w sporcie, masz niezły refleks – skwitował Cole.

– To pewnie znaczy „dziękuję” w języku, którym nie mówię – burknął Liam, zaciskając zęby i odwracając oczy. – Możemy ruszać?

Cole trochę dłużej zawiesił na nim wzrok z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Dobrze. Idziemy.

Kiedy dochodziliśmy do Glendale, słońce już świeciło. Obszar ten nie był wprawdzie objęty nadzorem wojskowym, ale leżał tak blisko miejsca tragedii, że podlegał albo przymusowej, albo podszytej paniką ewakuacji. Wokół nie było żywej duszy. Cole ruszył przodem, by się upewnić, że pobliskie ulice są puste. Mnie ogarnęło jednak dziwne przeczucie – nienaturalne mrowienie pod skórą nie pozwalało

mi się rozluźnić. Uniosłam głowę, by omieść wzrokiem każdy zaułek, sąsiednie dachy, a nawet linię horyzontu zrujnowanego miasta w poszukiwaniu źródła tego niepokoju. Zbierające się we mnie chmury burzowe robiły się coraz większe i ciemniejsze. Obawiałam się, że kiedy w końcu całkowicie się uformują, spuszczą na nas potworną ulewę.

Nieruchome kałuże – pozostałość po deszczu sprzed kilku dni – pokrywał kożuch sadzy i popiołu. Potrząsnęłam głową. Wszystko wydawało mi się dziwne... Budynki nie miały wyrw i pokrywała je warstwa bladej szarości, a nie złowieszczej czerni jak w centrum miasta. Przekroczyłam betonową zaporę odgradzącą miejsca parkingowe i mrużąc oczy, spojrzałam na stojący obok budynek – zamknięty supermarket.

– Tam... – powiedział Cole, wskazując na oświetlony wysokimi latarniami ulicznymi parking za niewielkim centrum handlowym.

– Dzięki Bogu. – Pulpet odetchnął, kiedy przechodziliśmy z jednego parkingu na drugi. Gapił się na migające latarnie, jakby nigdy wcześniej czegoś takiego nie widział.

Liam od razu skierował się w stronę najbliższej stojącej ciemnoniebieskiej osobówki, wyciągając z plecaka powyginany druciany wieszak na ubrania. Nie czekając na polecenie Cole'a, wyłamał zamek. Następnie wsunął się pod siedzenie kierowcy i wyszarpał spod deski rozdzielczej kable, by zrobić zwarcie i odpalić samochód.

– Co to ma być?! – zawołał Pulpet. – Nie będzie minivana?

– Chwila, chwila – rzucił Cole, kiedy silnik zaczął charczeć, po czym wyciągnął Liama z auta i je zgasił. – Boże, kto, do cholery, cię tego nauczył?

– A jak myślisz? – odparował Liam, wyrывая się bratu.

– Harry? – Cole roześmiał się z niedowierzaniem. – Czy za uczenie wrażliwej młodzieży, jak ukraść samochód, nie powinni odbierać aureoli?

Spojrzenie Liama prawie stopiło lakier samochodu.

– Skończyłeś? – burknął.

– Nie, po prostu się zastanawiam... – Cole rozdrapywał ranę i zupełnie nie zdawał sobie z tego sprawy. – Harry. Harry. Stary zastępowy Stewart. Po co cię tego uczył?

– Bo wiedział, że nie wykorzystam tej wiedzy w złej wierze. – Liam uśmiechnął się do niego kwaśno. – A co, tobie tego nie pokazał?

Spojrzenie Cole'a było jeszcze bardziej lodowate niż riposta Liama. Palce jego prawej dłoni nieznacznie drgnęły, zanim zdążył ją schować do tylnej kieszeni spodni.

– Boże. Dramat rodziny Stewartów. Co za nudy – rzucił skwaszony Clancy. – Myślałem, że nam się spieszy.

– Bo tak jest. – Zwróciłam się do Liama: – Czy ten samochód ma paliwo?

Pokiwał głową.

– Powinno starczyć na jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów.

– Super, tylko że go nie zabieramy – powiedział Cole. – Tam stoi beżowa terenówka, którą poprowadzisz, braciszku.

Liam rzucił spojrzenie na tamten samochód i potrząsnął głową.

– To pożeracz paliwa. A do tego ociężały i w razie wypadku bardziej wywrotny...

Cole podniósł rękę, by uciszyć brata, w tak protekcyjny sposób, że nawet mnie to rozzłościło.

– Zamierzasz mieć wypadek? Nie? W takim razie zamknij się i rób, co ci każę...

– Nie będziesz mi rozkazywał...

– Właśnie, że będę! Ja tu dowodzę, czy ci się to podoba, czy nie! To ja mam doświadczenie w terenie. Ja nas stąd wydostanę. I to ja każę ci wziąć terenówkę, na wypadek gdybyśmy musieli jechać polnymi drogami.

Liam zrobił krok w przód.

– Jeśli będziemy musieli jechać polnymi drogami, to i tak mamy przekichane. Wolałbym auto, które nie żre paliwa. – Spojrzał na mnie, pochylając głowę w cichej prośbie o wsparcie.

Przygryzłam usta i potrząsnęłam głową. Nie tym razem. Ta kłótnia nie była tego warta. Cole wracał do nas szybkim krokiem od pobliskiego czerwonego pick-upa, nic nie było w stanie skłonić go do zmiany zdania.

Przed wieloma miesiącami, kiedy we czwórkę przemierzaliśmy bezdroża, spuszczając resztki benzyny z baków porzuconych samochodów, jak sępy obierające z kości ostatnie żyłaste kawałki mięsa, kierowaliśmy się dwiema prostymi zasadami:

poruszać się szybko, nie dać się zauważyć. Niezależnie od sytuacji większość naszych reakcji była impulsywna. Trzeba też przyznać, że dokonaliśmy kilku wątpliwych wyborów. Był to jednak nasz jedyny sposób, by żyć i przetrwać – tak radzili sobie wszyscy odmieńcy pragnący uniknąć obozów i umknąć łowcom nagród. Patrząc teraz na rozwścieczoną twarz Cole’a, zrozumiałam, że nie wie prawie zupełnie nic o tym, jak wyglądało życie Liama po jego ucieczce z programu szkoleniowego Ligi. Technicznie rzecz ujmując, Cole był jednym z nas, ale nigdy nie stanowił części programu badawczego Ledy i nie doświadczył okrutnego traktowania ze względu na swoje zdolności. Nie był więc zmuszony dostosować się do naszej rzeczywistości.

Bracia pokłócili się o szczegóły dotyczące samochodowej podróży już wcześniej tego ranka, co teraz oszczędziło nam trochę czasu. Rzuciłam ostatnie spojrzenie trzem postaciom wdrapującym się do terenówki wskazanej przez Cole’a, po czym pociągnęłam Clancy’ego w kierunku czerwonego pick-upa, który przypadł nam w udziale.

Czułam się dziwnie w związku z tym, że nie jedziemy wszyscy jednym autem, ale w przeciwieństwie do Liama natychmiast zrozumiałam decyzję Cole’a. Stał za tym ten sam powód, dla którego przez ostatnie dwa tygodnie miałam wyłączność na niańczenie Clancy’ego – karmienie go i użeranie się z jego zranionym ego. Jeśli to ja byłam za kierownicą, drugi Pomarańczowy miał mniejsze szanse na manipulowanie samochodem. Tylko ja mogłam go zablokować. Gdyby prowadził ktoś inny, Clancy z pewnością w końcu wniknąłby do jego umysłu i przejął kontrolę. Widziałam to tak wyraźnie, jakby młody Gray sam umieścił mi w myślach ten obraz.

Wolałabym, żeby Cole również jechał osobno, ale to nie podlegało dyskusji. Widocznie nie przyszło mu do głowy, że Clancy może się wedrzeć do jego woli i rozkazać mu sięgnąć po pistolet lub nóż, by mnie zaatakować.

Mieliśmy pół baku benzyny. Silnik zapalił. Cole rozciął zaciski krępujące ręce Clancy’ego i założył mu nowe, zahaczając o pas bezpieczeństwa. Następnie przypiął mu nogi do wajchy pod siedzeniem i z powrotem zasłonił mu głowę.

Pozostawało mi tylko wziąć głęboki oddech i wrzucić bieg. Po raz ostatni spojrzałam na upiorne miasto odbijające się we wstecznym lusterku i mocniej ścisnęłam kierownicę.

W końcu opuszczaliśmy to ponure miejsce i wszystko, co w nim pogrzebaliśmy.

Po dwudziestu minutach jazdy niezwykle dobitnie odczuliśmy kilka wad samochodu. Klimatyzacja nie działała, siedzenia ze sztucznej skóry były przesiąknięte potem poprzedniego właściciela i na dodatek szyby po mojej stronie nie dało się opuścić.

Siedzący po prawej Clancy zginał się wół. Podejrzewałam, że albo śpi, albo usiłuje niepostrzeżenie zsunąć sobie zasłonę z głowy, ocierając się o kolana. Cole, który usiadł po jego drugiej stronie, przyglądał się ulicom za oknem. Wczesnopopołudniowe światło wyraźnie podkreślało sine cienie pod jego oczami. Nareszcie nigdzie się nie spieszył i nie wydawał rozkazów. Wyglądało na to, że bezruch sprawił, iż jego ciało w końcu poddało się bólowi i wyczerpaniu. Poruszył barkami, poluzowując pas bezpieczeństwa, i wykrzywił usta.

Wcześniej pokazał mi na mapie, dokąd jechać. Kierowaliśmy się do miasteczka o nazwie Lodi, nieco na południe od Sacramento. Gdybyśmy mogli się poruszać po autostradzie, pojechalibyśmy prosto wzdłuż wybrzeża i byłibyśmy na miejscu maksymalnie w pięć godzin. Gdyby działały pociągi i samoloty i gdyby Gray nie ustawił wzdłuż wybrzeża statków, trwałoby to jeszcze krócej.

Obejrzałam się przez ramię, by spojrzeć na jadącą za nami terenówkę. Liam najwyraźniej na to czekał, bo uniósł rękę na znak, że wszystko w porządku. Siedzący obok niego Pulpet rozprawiał o czymś, podkreślając gestami każde słowo. Ten widok był mi tak znajomy i tak dodawał otuchy, że niemal rozpędził grozę ziejącą od wszystkiego wokoło.

W przeszłości kalifornijskie miasto Burbank było miejscem tętniącym życiem. I to pod każdym względem. Jego znaczenie wzrosło szczególnie w ostatnich latach. Wiele firm związanych z mediami już od dawna miało tu swoje studia albo siedziby główne, a te z pobliskich miast przeniosły się tu ostatnio wskutek fuzji albo skuszone możliwością podnajmu sprzętu. Teraz jednak ulice były ciche i puste, zupełnie jakby wkroczył tu Gray i je zamknął.

Gdzie się, do cholery, wszyscy podziali. Równie dobrze moglibyśmy przejeżdżać przez najpodlejsze miasto na wschodzie Stanów. Krajobraz był rodem z westernu i

niemal spodziewałam się, że zaraz zobaczę, jak ulicę przecina pchana wiatrem stara gazeta. Poczułam, jak serce zaczyna mi szybciej bić. Miałam wrażenie, że cień, który deptał nam po piętach w Los Angeles, wrócił i tłukł mi się po głowie jak grom.

– Nie podoba mi się to – powiedział Cole, jakby czytał w moich myślach. – Skręć w następną w prawo...

Gdybym nie spojrzała we wsteczne lusterko, żeby dać znak Liamowi, niczego bym nie zauważyła. Jadąca za nami terenówka w jednej chwili zniknęła – huk, z jakim uderzył w nią pojazd bojowy, wałnął mnie w głowę niczym łom. Skręciłam gwałtownie kierownicę. Samochód za nami przeokołkował, rozpryskując na wszystkie strony szkło i kawałki gumy, po czym mocno się kołysząc, z powrotem stanął na kołach.

Nadepnęłam na hamulec i wpadłam w poślizg. Pasy zablokowały się na piersi Clancy’ego, zapierając mu dech.

– Co to, do cholery, było? – warknął, usiłując się zasłonić skrępowanymi rękami przed uderzeniem w deskę rozdzielczą.

To o Cole’a jednak powinnam się była martwić.

Walczyłam z pasami, kiedy jego zaskoczona twarz nagle się zmieniła. Dźwięk, który wyrwał się z jego gardła, był zbyt nierówny i zduszony, by uznać go za krzyk. Brzmiał nieludzko.

Cole otworzył z impetem drzwi. Sądziłam, że rzuci się pędem w stronę pojazdu wojskowego i dwóch uzbrojonych żołnierzy, którzy zbliżali się do terenówki. Wyskoczyłam z samochodu, ale on zrobił tylko krok w przód, zacisnął prawą dłoń w pięść i pojazd bojowy natychmiast stanął w płomieniach.

Fala uderzeniowa wywołana przez niewielką eksplozję odrzuciła mnie w tył na samochód. Wybiła okna w pobliskich budynkach i tylną szybę naszego pick-upa. Zaskoczeni żołnierze wylądowali na ulicy. Cole ruszył w ich stronę. Był niepokojąco opanowany. Wyciągnął pistolet z kabury i wymierzył go w napastników z charakterystyczną dla siebie precyzją. Oddał strzał w twarz młodego żołnierza leżącego bliżej terenówki. Drugiego podniósł, zrzucił mu hełm i raz po raz zaczął go walić pięścią w twarz.

Nie mogłam na to patrzeć. Nie mogłam... Serce obijało mi się jak szalone o ściany klatki piersiowej. Rzuciłam się pędem w stronę terenówki. Pod stopami chrzęściły mi kawałki przyciemnianych szyb. Samochód został uderzony w drzwi kierowcy, ale dostrzegłam za nimi ruch – szeroko otwarte oczy Liama napotkały moje spojrzenie przez to, co zostało z przedniej szyby.

– Jesteś cały?! – zawołałam, krzywiąc się na dźwięk kolejnego strzału rozdzierającego powietrze.

Liam siedział wyprostowany jak struna, ściskając z całej siły kierownicę. Jego twarz była zupełnie pozbawiona koloru, nie licząc zaczerwienienia odcisniętego na lewym policzku i coraz bardziej purpurowej nasady puchnącego nosa. Sflaczała poduszka powietrzna spoczywała na jego kolanach.

– O Boże – wymamrotałam. – A pozostali?

Pulpet przecisnął się na tylne siedzenie do Vidy i mrużąc oczy, badał rozcięcie na jej skroni. Jego ciemna skóra zrobiła się popielata.

Płonący pojazd pożerał otaczające nas powietrze, raz po raz posyłając ku nam fale rozpalonego gorąca. Dławił mnie dym, ale musiałam przekrzykiwać trzask wyginającego się metalu i szkła.

– Żyjecie?! – zawołałam.

Vida wyciągnęła w górę kciuki, z trudem przełykając ślinę, jakby jeszcze nie ufała sobie na tyle, by się odezwać.

– Liam?

Ręce trzęsły mi się jak szalone, kiedy usiłowałam nacisnąć klamkę w przednich drzwiach. Wielkie wgniecenie sprawiało jednak, że metal odskakiwał i protestował. Buzowało we mnie tyle adrenaliny, że omal nie wyrwałam ich z zawiasów.

– Liam? Liam, słyszysz mnie?

Odwrócił się do mnie powoli, otrząsając się z odrętwienia.

– Mówiłem mu, że to auto łatwo się wywraca.

Z powodu ulgi niemal wpadłam w szloch. Wsunęłam głowę przez okno i go pocałowałam.

– Wiem.

– Mówiłem mu.

– Wiem, wiem, że mówiłeś – powiedziałam cicho i spokojnie, usiłując wypiąć go z pasa. – Jesteś ranny? Niczego nie złamałeś?

– Bark. Boli mnie. – Zaciśnął powieki, walcząc z bólem. – Pulpet? Vida?

– Jesteśmy cali – odezwał się Pulpet. Brzmiał zaskakująco spokojnie, choć mówił, jakby miał katar. Kiedy odwrócił się do nas, zobaczyłam, że z nosa leci mu krew, kapiąc na usta. – Myślę, że ma wybity bark. Ruby, widzisz gdzieś moje okulary? Spadły mi, kiedy otworzyły się poduszki powietrzne.

– Co się stało? – zapytała Vida, wskazując na płonący pojazd. – Jak to...

– Trafiłem w bak paliwa... Poszczeniło mi się. – Zza moich pleców dobiegał głos Cole'a.

Pozostali byli zbyt odurzeni albo przerażeni, by ocenić nikłe prawdopodobieństwo tego wytłumaczenia.

Cole przepchnął się przede mnie i sam chwycił za klamkę. Po chwili zawahania okrążyłam auto i szarpiąc, otworzyłam drzwi od strony pasażera. Uklękłam i badałam palcami podłogę, aż natrafiłam na okulary. A raczej na to, co z nich zostało.

– Znalazłaś je? – zapytał Pulpet. – Co się stało?

Uniosłam pogniecione oprawki z pękniętymi szklami, żeby pokazać je Vidzie.

– Tak, znalazła je, dziadku – powiedziała Vida i w niespodziewanym przypływie współczucia i poklepała go po ramieniu.

Drzwi od strony kierowcy w końcu otworzyły się z ciężkim zgrzytem. Liam przewrócił się na bok, usiłując wydostać lewą stopę, która utknęła pod zgniecioną deską rozdzielczą. Przez cały czas przyciskał prawą rękę do boku, uważając, by nią o coś nie zahaczyć.

– Niech cię cholera – warknął Cole. Emocje wrzały mu tuż pod skórą. Prawa ręka trzęsła mu się i wyginała, kiedy sięgnął, by pomóc bratu. – Czy ty naprawdę zawsze musisz się w coś wpakować?

– Staram się, jak mogę – powiedział Liam przez zaciśnięte zęby. – Boli, jak nie wiem.

– Podaj mi rękę. To nie będzie przyjemne, ale...

– Zrobisz to? – wtrącił się Pulpet. – Sprawdź, czy pewnie stoisz...

Nie wiem, co było gorsze: dźwięk wskazującej na miejsce kości czy bolesne wycie, które rozległo się zaraz potem.

– Musimy się stąd wynosić – rzuciła Vida i kopniakiem otworzyła tylne drzwi. – Ten złom już dalej nie pojedzie. Przesiadamy się do was. Jeśli będziemy tu tkwić i dalej się nad sobą rozczulać, ktoś nas w końcu rozwali.

– Okulary?! – zawołał Pulpet, wyciągając dłoń w kierunku, gdzie, jak myślał, stoję.

Vida ujęła jego rękę i położyła ją sobie na ramieniu, zabierając ode mnie pogięte druciane oprawki. Zatrzymałam ją na sekundę, by się upewnić, że naprawdę nic jej nie jest. Była potłuczona, posiniaczona, ale nie krwawiła. To naprawdę cud...

Clancy. Odwróciłam się jak rażona piorunem. Serce na chwilę przestało mi bić, ale przez tylną szybę naszego auta dostrzegłam jego ciemną sylwetkę. *Cholera.* To najprostsza droga, by go zgubić. Chaos. Nieuwaga. Spanikowałam, moim umysłem zawładnął strach. Bez chwili namysłu rzuciłam się na ratunek przyjaciołom. Nawet nie pomyślałam, żeby wyciągnąć kluczyki ze stacyjki. Gdyby Cole nie związał mu nóg, byłby już bardzo daleko.

Postaraj się bardziej – pomyślałam, wbijając sobie paznokcie w dłoń. – *Musisz się starać bardziej.* Poziom adrenalinę powoli opadał, ale nie potrafiłam całkowicie opanować drżenia.

– Szczerze mówiąc, dziadku – głos Vidy na nowo przyciągnął moją uwagę – tak naprawdę tym razem nieźle sobie poradziłeś.

– Nie widzę twojej twarzy, więc nie mogę ocenić, czy to było szczerze... – odparł Pulpet.

Założyłam plecak na oba ramiona, po czym podbiegłam do Cole'a, który podtrzymując kulejącego Liama, prowadził go do samochodu. Okrążyliśmy zwłoki żołnierzy. Nie byłam w stanie na nie spojrzeć ani ocenić, do czego posunął się Cole w przypływie wściekłości. Liam przytulał stłuczoną rękę do piersi. Objęłam go w pasie, by go podtrzymać, ale bardziej po to, by się upewnić, że nic mu nie jest. Że żyje.

Pochylił ku mnie głowę i powiedział:

– Pocałuj mnie jeszcze raz.

Spełniłam prośbę. Delikatnie i pospiesznie przyłożyłam usta do kącika jego ust, do maleńkiej białej blizny.

– Całe życie mignęło mi przed oczami. Taki buziak nie wystarczy – powiedział, widząc wyraz mojej twarzy.

Cole prychnął, ale jego ciało wciąż było napięte od gniewu, którego nie potrafił się pozbyć.

– Nieźle, braciszku. Nie wiedziałem, że potrafisz tak czarować.

Wciągnęliśmy Liama na pakę naszego pick-upa i ułożyliśmy go obok Pulpeta, który przyciskał do serca to, co zostało z jego okularów.

– Niech to szlag – rzucił Liam, kiedy je zobaczył. – Przykro mi, stary.

– Były na receptę – odparł Pulpet cichym, ponurym głosem. – To były szkła na receptę.

Cole wysunął spod brata jasnoniebieską plandekę i przykrył nią całą trójkę.

– Co ty wyprawiasz? – warknęła Vida, siadając.

– Nie podnoście się i nie odkrywajcie. Odjedziemy, jak najdalej się da, i zmienimy samochód. Istnienie ryzyko, że zdążyli zgłosić przez radio, czym jedziemy.

– Pozwolę sobie zauważyć, że cholernie mi się to nie podoba – rzuciła.

– Przyjąłem to do wiadomości – odparł Cole i zamknął burtę.

Wdrapałam się z powrotem za kierownicę. Poddałam się wibracjom pracującego silnika. Clancy w końcu zdołał zsunąć sobie z głowy poszewkę i chociaż nie patrzyłam na niego, kątem oka dostrzegłam, że mi się przypatruje. Po raz pierwszy od kilku tygodni ponure poirytowanie, które podszywało każdy z jego nastrojów, znikło... Clancy się uśmiechał. Jego wzrok przeniósł się na Cole'a, który trzasnął drzwiami z taką siłą, że całe auto się zakołysało. Na kolanach miał coś, co wyglądało jak skórzany worek, oraz pistolet, który najpewniej zabrał jednemu z żołnierzy. Oba przedmioty drgały w rytm spazmatycznych skurczów prawej dłoni, którą w końcu wsunął sobie pod udo. Jego widok przywołał wspomnienie Masona. *Czerwony* – pomyślałam. – *Ogień*. W mojej głowie poruszyły się luźne końce wspomnień, które nagle splotły się w pewien wzór.

Czerwoni w Thurmond poruszali się dziwacznie: zataczali się, zamiast chodzić prosto, pokracznie wyginałi ręce, kiedy chcieli pomachać. Sądziłam jednak, że te osobliwe tiki wynikały z tego, że trzymano ich w strasznej ciasnocie.

Ale Mason... Dzieciaki z Nashville wołały na niego Spazm, bo jego ciało wyginało się spazmatycznie w dziwnym rytmie. Myślałam... chociaż nie, tak naprawdę nigdy się nad tym nie zastanawiałam... Założyłam, że wynikało to ze sposobu, w jaki został wyszkolony, że to вина rządowego programu, który złamał mu osobowość, by uczynić z niego idealnego żołnierza.

Wyglądało na to, że wszyscy Czerwoni cierpieli na jakiś rodzaj nerwowego tik. Jeśli ja byłam w stanie to zauważyć, choć miałam kontakt zaledwie z kilkorgiem z nich, to ktoś, kto wносił poprawki do szkoleń, ulepszał je i obserwował, na pewno tego nie przegapił.

– Clancy... – zaczęłam.

– Ale zabawa – odparł, wybuchając śmiechem.

Cole cały zesztywniał, a jego twarz przybrała beznamiętny wyraz. Gniew rozpalający jego jasne oczy osłabł i zmętniał. Poznawałam to spojrzenie.

Rzuciłam swój umysł przeciwko umysłowi Clancy’ego, ale natrafiłam na ścianę. Odparł mój atak – ostre ukłucie przeszło mi czaszkę i zamieniło się w pulsujący ból. Nie było czasu, bym w ten sposób zerwała ich połączenie. Coś mogło się stać. Clancy mógł zamienić Cole’a w swoją marionetkę. Uniosłam łokieć i walnęłam młodego Graya tak, jak nauczył mnie Trener Johnson – prosto w skroń. Clancy wywrócił oczami i opadł w przód, uderzając czołem w deskę rozdzielczą.

Wdepnęłam pedał gazu, wprawiając koła w ruch. Chciałam się oddalić od wznieconego przez Cole’a ognia. Wiedziałam, że dym może zostać łatwo wykryty przez pierwszy lepszy helikopter czy patrol. To nie była pora, by się zastanawiać nad konsekwencjami tego, że Clancy wie. Musiałam jedynie nas stamtąd wydostać.

Skronie wciąż mi pulsowały, a serce waliło jak szalone, kiedy odwróciłam głowę i zobaczyłam, jak Cole pociera czoło.

– Co, do jasnej cholery...? – Powtarzał to jedno zdanie za każdym razem głośniejsze, aż w końcu ryknął: – Co, do jasnej cholery?!

Czułam swąd dymu i widziałam, jak się trzęsie.

– Cole, posłuchaj mnie, musisz się opanować. Spokojnie...

Zaczął przeszukiwać skórzaną saszetkę, którą miał przy sobie, aż w końcu wyciągnął z niej fiolkę przezroczystego płynu i strzykawkę. Patrzyłam to na niego, to na drogę, ale nie zdążyłam zareagować, kiedy z impetem wbił igłę w kark Clancy’ego.

– Cole!

– To unieszkodliwi tego gnoja do czasu, aż przejdzie mi ochota, żeby rozwalić mu łeb – warknął. – Cholera. Czułem się zupełnie inaczej, niż kiedy ty zrobiłaś to ze mną w Bazie. Nie wierzę. – Wrzucił strzykawkę i fiolkę z powrotem do saszetki i cisnął ją na deskę rozdzielczą.

Ręka przestała mu drżeć, ale bijący od niego niepokój elektryzował powietrze. Czułam się, jakbym siedziała obok kogoś, kto się zastanawia, czy nie odbezpieczyć ładunku wybuchowego.

Obrócił się w stronę okna i wbił wzrok w rozmazujące się budynki. Jego odbijająca się w szybie twarz powiedziała mi wszystko, czego on nie potrafił. Podpalił pojazd bojowy, bo stracił nad sobą kontrolę. Całkowicie.

– Co ci pokazał?

– Mnie samego.

– Jak to?

Cole oparł czoło o szybę i zamknął oczy.

– Widziałem obóz dla Czerwonych. Nie wiem gdzie. To, co robili tym biednym dzieciom, by je wyszkolić... Nie wiem, jak to wytłumaczyć, ale zobaczyłem, jak inni nas postrzegają... Zabijał mnie dym. Mieli obojętne twarze, ale przez chwilę umierałem ze strachu. Czułem się tak, jakbym naprawdę tam był. Schwytali mnie, miałem być następny.

– Przykro mi – powiedziałam ze ściśniętym gardłem. – Nie zareagowałam na czas. Powinnam była...

– Sam się zdradziłem – przerwał mi stanowczo. – Nie obwiniaj się, perełko. To nie przez ciebie. Powiedziałaś mi, że był związany z projektem Jamboree.

Powinienem się opanować, a nie zachowywać jak potwór. *Cholera jasna!* – Walnął pięścią w drzwi. – Całkiem straciłem głowę. Nie myślałem. To mnie pokonało. Przez chwilę we mnie wygrało.

Jego słowa ścisnęły moje serce jak pięść. Znałam to uczucie. To bez znaczenia, jak potężną miało się moc i jak pożyteczne były zdolności, którymi się władało. One miały własną wolę. Jeśli choć na chwilę traciło się nad nimi władzę, znajdowały sposób, by się wymknąć.

– Zielonym i Niebieskim przychodzi to z taką łatwością, prawda? – powiedział cicho. – Łatwiej im to kontrolować i ukrywać. Nie chrzani im to życia tak jak nam. My musimy być czujni, w przeciwnym razie upadamy. A tego nam nie wolno.

Liam, Pulpet, Vida i wszyscy pozostali nie byli w stanie zrozumieć, ile pracy kosztowało mnie kontrolowanie swojej mocy, tak by ona nie przejęła kontroli nade mną. Poluzowanie smyczy choćby przez sekundę mogło oznaczać, że kogoś skrzywdzę. Że skrzywdzę samą siebie.

– Mam poczucie, że cały czas balansuję na granicy i nie mogę... Nie mogę jej przejść, bo panicznie się boję, że wszystko zepsuję. Niszczę każde dobro, które mnie spotyka. Chciałbym przestać. Bardzo długo zupełnie tego nie kontrolowałem...

– Myślisz, że ja to potrafię? Boże. Przez większość czasu czuję, jak pali mnie to żywym ogniem pod skórą. Wrze i bulgocze, zmuszając, bym w końcu pozbyła się napięcia. Trwa to, odkąd byłam małą dziewczynką.

Cole zaśmiał się ponuro i ciągnął dalej:

– To nigdy nie był głos, który coś mi podszeptował. Ale przymus. Jakbym stał zbyt blisko ognia i chciał włożyć rękę w płomień, by zobaczyć, jak gorący jest naprawdę. Nie mogłem spać w nocy. Byłem pewien, że to dlatego, że mój ojciec jest prawdziwym diablem. Księciem ciemności we własnej osobie.

– Mówisz o Harrym? – zapytałam skołowana.

– Nie, o swoim biologicznym ojcu. Harry jest...

– Racja, zapomniałam.

– Lee dużo o nim opowiada? – zapytał, po czym nie czekając na odpowiedź, dodał: – Tak, nasz prawdziwy tata... Kompletny kretyń, a do tego przebiegły padalec.

Fatalne połączenie. Ciągłe wyobrażam sobie, że kiedyś go znajdę, włamię się do starego domu i puszczę z dymem jego cały świat.

– Liam wspomniał o nim tylko raz. Kiedy stracił nad sobą panowanie – powiedziałam, ledwo powstrzymując się od drażenia tematu. Tej jednej części swojego życia Lee nie chciał ze mną dzielić i choć wiedziałam, że jest dla niego bardzo bolesna, odczuwałam wielką pokusę, żeby dowiedzieć się więcej.

– To dobrze. Miejmy nadzieję, że nie pamięta nawet połowy z tego, co się działo. Ten gość był... potworem. Kiedy puszczały mu nerwy, zamieniał się w diabła. Podejrzewam, że jeden z nas po prostu musiał coś po nim odziedziczyć. Kiedyś się zastanawiałem, czy to, jakie obudziły się w nas zdolności, w jakimś stopniu zależało od naszych wrodzonych cech. Sądziłem, że mój ogień to jego gniew. Jego wściekłość.

Wiedziałam, że to nie pomoże, bo sama byłam raczej odporna na pocieszenie, ale musiałam mu to powiedzieć. Musiałam.

– *Nie jesteś* potworem.

– Czy to nie potwory zioną ogniem? Czy to nie potwory palą królestwa i kraje? – Cole posłał mi krzywy uśmiech. – Ty też siebie tak nazywasz, prawda? Nieważne, ile razy inni powtarzają ci, że to nieprawda, ty masz na to dowód. Nie możesz sobie ufać.

Zapadłam się w siedzenie. Po raz pierwszy zadałam sobie pytanie, czy tak jak reszta z nas Cole też zrobiłby wszystko, by odnaleźć lekarstwo.

– Tobie nie chodzi o obozy... Mam rację? – zapytałam. – Tylko o lek.

Z trudem przełknął ślinę.

– Trafiony, zatopiony. Możesz sobie myśleć, że jestem dupkiem.

– Dlaczego miałabym tak myśleć? Bo nie chcesz dłużej cierpieć? Bo pragniesz być normalny?

– Co to znaczy normalny? Jestem pewny, że nikt z nas już tego nie pamięta.

– Dobrze. – Nie odpuszczałam. – W takim razie chcesz życia wolnego od tego całego bagna. Ja też pragnę się tego pozbyć, bardziej niż zaczerpnąć kolejny oddech. Dawniej tak nie było. Nie pozwalałam sobie myśleć o przyszłości, ale teraz odczuwam przymus. Z całego serca pragnę wolności, a mam wrażenie, że im bardziej się wysilam, by jej dosięgnąć, tym dalej mi umyka.

Cole potarł dłońmi twarz i kiwnął głową.

– Czasem jej nie doceniam... Zapominam o niej, bo działam automatycznie, a za każdym razem, kiedy los skopie mi tyłek, udaje mi się podnieść. Ale robi się coraz trudniej, prawda?

– Tak. – Przyznałam to po raz pierwszy. To słowo było tak puste jak ja w środku.

– Pewnie kiedyś w końcu nie uda mi się pozbierać, ale nie to jest dla mnie najstraszniejsze. Najbardziej się boję, że któregoś dnia po prostu eksploduję... Samoistnie się zapalę. Pograżę wszystkich, na których mi zależy, bo nic nie mogę poradzić na to, że ciągle jestem wściekły. – Znowu wyciągnął do przodu rękę i wbił w nią wzrok, czekając na skurcz. Kiedy drgnęła, przeniósł spojrzenie na Clancy'ego. – Trzymają ich zamkniętych w białych pomieszczeniach. Cały czas pali się tam światło, do środka sączą się głosy. Głosy, które nigdy nie milkną, powtarzające bzdury takie jak: „Mylisz się. Przyznaj, że się mylisz, byśmy mogli ci pomóc”. Krzywdzą dzieci. Naprawdę wyrządzają im krzywdę, i to ciągle od nowa. Kolana uginały się pod mną od samego patrzenia, a przecież to nie mnie bito. Czy to się działo naprawdę? Czy Clancy może zmyślać takie rzeczy?

Ścisnęłam mocniej kierownicę.

– Może włożyć ci w myśli, co tylko chce, ale podejrzewam, że prawda jest na tyle straszna, że nie musiał jej podkręcać.

– Nie wiem, co wkurza mnie bardziej: czy to, co robią tym dzieciakom, czy to, że znaleźli sposób, by kontrolować ich ogień. Jak, do jasnej cholery... – Potrząsnęła głową, jakby chciał ją z czegoś oczyścić. – Nie wiem, co zrobię, jeśli Clancy powie pozostałym, jeśli powie Liamowi. Żadne z dzieci już się do mnie nie zbliży.

– Nie powie – obiecałam. – Ile tego masz? – Wskazałam na saszetkę.

Rozpiął ją.

– Jeszcze trzy fiolki.

– W takim razie zostanie nieprzytomny, aż dojedziemy na Ranczo, a tam go odizolujemy. Będziemy trzymać go oddzielnie i tylko ja będę mieć z nim kontakt.

– Byłoby prościej, gdybyśmy go zabili. – W jego słowach nie było emocji ani wściekłości i może dlatego zrobiły na mnie takie wrażenie. Zimny, bezwzględny

pragmatyzm. Ta nagła zmiana była niepokojąca.

– Nie możemy – przypomniałam mu i wykorzystując jego własny argument, dodałam: – Jest jedyną osobą, która wie, gdzie przebywa jego matka. Nie możesz mu nic zrobić, dopóki jej nie znajdziemy. Potrzebuję tego lekarstwa. Czymkolwiek jest, potrzebuję go. Nienawidzę Clancy’ego z całego serca, ale bardziej nienawidzę takiego życia. Nie mogę znieść myśli, że to nigdy się nie skończy.

Cole odwrócił się do okna i wbił wzrok w budynki, które mijaliśmy.

– W takim razie oboje, perełko, będziemy musieli znaleźć sposób, by zawsze być o krok przed naszymi potworami.

Pokiwałam głową. Ścisnęło mnie w gardle. Chciało mi się płakać – nie wierzyłam, że oto w końcu mam kogoś, kto mnie rozumie. Kto walczy nie tylko ze wszystkim i wszystkimi wokół, ale też z samym sobą.

– Jesteś pewna, że to nie koszmar senny? – zapytał cicho. – Że zaraz po prostu się nie obudzimy?

Utkwiłam oczy w drodze. Wiatr nawiewał na nią kurz z pustyni, co nadawało jej delikatny złoty połysk widoczny mimo ciemnych chmur, które się nad nami zbierały.

– Tak – powiedziałam po chwili.

Bo marzyciele zawsze budzą się z koszmarów i zostawiają w tyle nękające ich potwory.

4

Wraz z uderzeniem pierwszego gromu zaczął padać deszcz. Właśnie minęliśmy Mojave – niewielkie miasteczko u stóp skalistych zboczy gór. W oddali ponad postrzępionymi koronami masywu dostrzegłam pierwsze przebłyski zieleni.

– Widzisz tamten motel? – Cole wskazał mały dwupiętrowy budynek na rogu ulicy. – Zatrzymaj się obok. Musimy załatwić im jakieś auto i zmienić nasze.

Życie najwyraźniej uszło z tego miejsca już jakiś czas temu. Świadczyły o tym zaniedbane budynki użyteczności publicznej i kompletnie zrujnowane domy. Przez ostatni rok przywykłam do tego typu scenerii tak bardzo, że już nie przerażał mnie widok opustoszałych placów zabaw, świeżej ziemi na cmentarzach ani zabitych deskami i zamkniętych na cztery spusty drzwi. Wyglądało na to, że nawet Kalifornia, która funkcjonowała niezależnie od reszty kraju pod rządami Koalicji Federalnej, borykała się z tym samym, co pozostałe stany. Nowa rzeczywistość dyktowana przez kryzys gospodarczy dotarła i tu.

– Niewykluczone, że ktoś tu mieszka – powiedziałam. – Może wkraczamy na czyjś teren...

– Spójrz na te samochody – odparł Cole. – Na warstwę pokrywającego je brudu. Stoją tu od dawna. Nie wiem jak ty, ale ja nie widzę żadnego ruchu ani w oknach hotelu, ani nigdzie indziej. Zaparkuj. Zajedź obok tej szarej toyoty.

Zgasiałam silnik. Cole upewnił się, że Clancy w dalszym ciągu jest nieprzytomny i zabezpieczony plastikowymi zaciskami, po czym ruszył na poszukiwanie sprawnego auta z pełnym bakiem. Ja tymczasem zeskoczyłam z siedzenia kierowcy i pobiegłam na tył, by rozwiązać plandekę. Cała leżąca pod nią trójka usiadła jednocześnie, mrużąc oczy w bladym świetle dnia.

Chłodny deszcz spływał mi po twarzy i szyi, kiedy pomagałam im się wydostać. Powietrze było gęste od cudownego, nieopisanego zapachu towarzyszącego wyłącznie pustynnym burzom.

– Hej – rzuciłam, chwytając mocno Liama za ramiona, kiedy ześlizgiwał się z paki. – Wszystko w porządku?

Liam pokiwał głową i ścisnął mnie za bark.

– Pulpet, zaczekaj, do jasnej cholery – burknął.

Bez okularów Pulpet nie widział zupełnie nic. Potknął się o dziurę w chodniku i wyrócił, zanim którekolwiek z nas zdążyło go złapać. Liam podał mu sprawną rękę, by pomóc mu wstać, po czym zaprowadził go na skraj należącego do motelu parkingu i razem zniknęli za rogiem. Sądząc po braku wyjaśnień i po tym, jak szybko się poruszali, domyśliłam się, o co chodzi.

– Czy w kabinie było wam tak przytulnie jak nam? – zapytała Vida, zeskakując i stając obok mnie. Rozciągnęła ręce i plecy, czemu towarzyszył chrupot zastanych kości.

– Udało się nam nie pozabijać – odparłam. – Było wam strasznie niewygodnie?

– Daliśmy radę. – Wzruszyła ramionami. – Było trochę ciasno i chwilami zimno. W pewnym momencie wzięłaś ostry zakręt i nasz ślepy kompan niechcący zapoznał się bliżej z pewnymi częściami mojego ciała. Za każdym razem, gdy o tym wspominam, wygląda, jakby chciał się zapaść pod ziemię. Będę go tym dręczyć i męczyć, aż padnie!

– Nie możesz sobie odpuścić? – zapytałam znacząco.

– Zobaczę. I tak najbardziej wkurzył się wtedy, kiedy się założyliśmy, kto wymyśli dla niego gorsze przezwisko.

– Niech zgadnę, kto wygrał...

– Wyobraź sobie, że twój harcerzyk. Daj spokój, kiedy usłyszałam: „Pulpet hrabina cały się spina”, prawie się posikałam ze śmiechu.

Postanowiłam, że zanim wyruszymy, z całej siły przytulę Pulpeta.

Kiedy odwróciłam głowę, by sprawdzić, czy przypadkiem chłopcy nie wracają, moją uwagę przykuła plama koloru. Osłaniając oczy przed deszczem, zrobiłam krok w stronę dwóch niewielkich domów ustawionych pod dziwnym kątem niedaleko skrzyżowania. Między jednym z nich a parkingiem stał popękany betonowy mur pomazany graffiti.

– Co się stało? – zapytała Vida. – Czemu masz taką minę?

Nie była to żadna wielka sztuka – mur pokrywały głównie bohomazy i to różnej maści. Starłam z twarzy krople deszczu i odgarnęłam mokre włosy. Odczytałam wypisane zamaszyście niezmywalnym markerem imiona: „Henry, Jayden, Piper i Lizzy”. Powyżej widniał duży czarny okrąg, który w środku miał kształt przypominający półksiężyc. Podeszłam bliżej, by lepiej się przyjrzeć. Vida podążyła za mną.

Omiatałam ścianę wzrokiem ledwie świadoma dochodzącego zza moich pleców odgłosu kroków. Jeden z napisów – litery, K, L, Z i H – był na tyle świeży, że spływał, skapując na ziemię. Przycisnęłam do niego palce i tak jak się spodziewałam, ubrudziłam je klejącą niebieską farbą.

– Nieźle! – powiedział Liam z zaskoczeniem i parsknął śmiechem, stając obok mnie.

– Co nieźle? – zapytał Pulpet.

– To kod drogowy. Pamiętacie? Używaliśmy go w East River.

Spojrzałam na Pulpeta, który zmarszczył brwi, najwyraźniej równie zdezorientowany jak ja. Liam od razu dał się porwać rytmowi życia w East River i zaprzyjaźnił się z każdym, kogo napotkał. Ja trzymałam się głównie Clancy’ego, a Pulpet raczej z nikim się nie spoufalał.

– To system opracowany dla poprawienia bezpieczeństwa podczas poruszania się poza granicami naszej siedziby – wyjaśnił Liam, jakby nigdy nic. – Używaliśmy go, żeby łatwiej odnaleźć drogę powrotną po wypadach po żywność. Musiało go znać każde dziecko, które samodzielnie opuszczało obóz. – Przyłożył dłoń do półksiężyca. – Pamiętam ten znak. Oznaczaliśmy nim bezpieczne miejsca. Takie, gdzie można bez obawy zostać na noc czy odpocząć.

– Co to za imiona? Dzieci, które tędy przechodziły? – zapytała Vida.

– Dokładnie. To na wypadek, gdyby trzeba było się rozdzielić albo zostawić ślad dla grupy podążającej z tyłu. – Deszcz przybrał na sile, tak że Liam zamilkł na moment i wytarł sobie twarz. – Osobne symbole służą do oznaczania miejsc, gdzie można znaleźć żywność, zaopatrzenie, inne wskazują dom z przyjaciółmi,

pomocnymi ludźmi i tak dalej.

– Clancy to wymyślił? – zapytałam.

– Niewiarygodne, co? Też nie sądziłem, że jest zdolny pomyśleć o kimś innym niż tylko o sobie i nie paść przy tym z obrzydzenia.

– Ciekawe... – Pulpet wyciągnął jedno z rozbitych szkielec swych okularów i spojrział przez nie jak przez lupę, ignorując parsknięcie Vidy. – Te dzieciaki musiały przybyć tu aż z Wirginii.

Tak jak my, chciałem powiedzieć. Nasza sytuacja była jednak, łagodnie mówiąc, wyjątkowa.

Liam nagle ujął mnie za rękę i odciągnął od pozostałych, prowadząc do miejsca, gdzie ogrodzenie domu łączyło się z siatką otaczającą parking. Nieco dalej po przeciwnej stronie ulicy znajdował się kościół, na którym grubymi czarnymi pociągnięciami pędzla ktoś namalował jedną pod drugą dwie zwrócone w tę samą stronę litery V i obrysował je okręgiem. Wyglądały jak strzałka.

– Założę się, że to kierunkowskaz.

– Nie wierzę – wybąkałem. – Widziałam takie co kawałek, odkąd wyjechaliśmy z Los Angeles. Nie miałam pojęcia, czym są. Sądziłem, że mają związek z budową dróg.

– To zabawne, bo ja pamiętam je z zamierzchłych czasów... Widziałem je, kiedy jechaliśmy przez... – Zawahał się. – Przez Harrisonburg?

Spojrzałem na niego zdeorientowany. Po chwili jednak zdałem sobie sprawę, o co chodzi, i jego pytający ton zabolął mnie jak rozdrapana rana.

– Jechaliśmy tamtędy razem, prawda? Dobrze pamiętam czy coś miesza?

Nie mogłem patrzeć na jego twarz i malującą się na niej frustrację. Całkowicie rozbił mnie jednak brak najmniejszego śladu oskarżenia w jego głosie. Zdawałem sobie sprawę z tego, że to, co robiłem z jego pamięcią, było w dużej mierze nieodwracalne. Zdarzały mu się jednak chwile, kiedy prawdziwe wspomnienia nakładały się na te wtłoczone mu do głowy przeze mnie. Kilka razy podsłuchiłem, jak prosił Pulpeta o wyjaśnienia, ale teraz po raz pierwszy stanęłam z tym twarzą w twarz. Bolało mnie w klatce piersiowej. Gdybym mogła, bez wahania zamieniłabym

się w kałużę, by móc uciec do kanałów burzowych i zniknąć.

– Dobrze pamiętasz – wybąkałam. – Jechaliśmy tamtędy do tego pamiętnego supermarketu.

Zaczęłam się odwracać w stronę motelu, ale złapał mnie za nadgarstek. Zjeżyłam się, czekając na to, co powie.

Liam nie odezwał się jednak od razu, jedynie spojrzał w dół i gładził kciukiem delikatną skórę na przegubie mojej ręki.

– Pamiętam inny motel – powiedział w końcu. – Wyglądał prawie identycznie jak ten, choć nie miał czerwonych drzwi. – Potarł kark. Miał smutny wyraz twarzy. – Zachowywałem się jak kretyn, usiłując ci wcisnąć parę skarpetek.

Wbrew wszystkiemu uśmiechnęłam się.

– Pamiętam. Przypominam sobie też adresowane do mnie serenady Doorsów. „*Come on baby, light my fire...*”.

– Gdybyś nie wybuchła śmiechem, pewnie okrasilibym to układem tanecznym. Byłem gotowy na wszystko, by sprawić, żebyś się uśmiechnęła.

Serce zabolalo mnie w zupełnie inny sposób. Wspięłam się na palce i delikatnie pocałowałam go w policzek. Z parkingu dobiegł ostry gwizd. Cole machał na nas, stojąc obok białej osobówki. Liam przewrócił oczami na jego widok, ale ruszył do drzwi od strony kierowcy. Cole potrząsnął głową i wskazał na Vidę.

– Ona poprowadzi. – Powstrzymał Liama, zanim ten zdążył wypowiedzieć choćby słowo protestu. – Żadnych „ale”. Musisz oszczędzać bark. Potem się zamienicie.

– Ty skończony dupku! Nic mi nie jest...

– Czy tak właśnie się objawia miłość braterska? – zastanawiał się na głos Pulpet.

– Mnie taki układ pasuje – rzuciła Vida, ignorując go. – Może w końcu pobijemy rekord sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Na razie! A, i proszę, postaraj się nie wpakować nas prosto na kolejny patrol wojskowy, dobra?

– Jedź ostrożnie! – zawołałam za nią, wiedząc, że i tak na nic się to nie zda.

– Gotowa? – zapytał Cole, po czym zamiast skierować się z powrotem do czerwonego pick-upa, obrócił mnie w stronę innego: niebieskiego. – Mam dla nas nową furę. Stara pewnie została zgłoszona. Jego wysokość czeka już na nas w środku,

unieszkodliwiony.

– Nie chcesz prowadzić? – zapytałam, widząc, że kieruje się do drzwi od strony pasażera.

– Dlaczego pytasz? Potrzebujesz odpocząć czy dasz radę pociągnąć jeszcze kilka godzin? Przydałaby mi się mała drzemka. Możemy się zamienić, kiedy się ściemni.

Byłam trochę zaskoczona tym, jak szybko Cole odpłynął, kiedy ruszyliśmy w drogę. W jednej chwili opierał głowę o szybę i mówił mi, żebym skręciła w następną w prawo i włączyła wycieraczki, a w kolejnej nic go już nie obchodziło.

Wiedziałam, że sobie poradzę. Samochód był dość nowoczesny i miał wbudowany elektroniczny kompas. Musiałam jedynie kierować się na północ i wyglądać drogowskazów na Lodi albo Stockton.

Moją uwagę głównie przykuwały jednak symbole namalowane na ścianach budynków, murach, markizach i witrynach sklepowych. Odkąd odkryłam ich istnienie, widziałam je wszędzie. Nie mogłam się od nich opędzić, biły mnie po oczach.

Kiedy w oddali zamajaczyły kolejne, poczułam, jak ogarnia mnie szalona myśl. Zawahałam się i zerknęłam na Cole'a, zastanawiając się, jak bardzo się na mnie zdenerwuje. Szybko się do nich zbliżaliśmy i wiedziałam, że jeśli teraz za nimi nie podążę, mogę zupełnie stracić trop...

Czy to ma sens? Nawet nie znasz tych dzieci...

Tak naprawdę sens był dla mnie oczywisty. Wiedziałam, co to znaczy tułać się i walczyć o przetrwanie. Jeśli te dzieci potrzebowały pomocy, chciałam im ją zaoferować.

Skręciłam w pierwszą w prawo, ale później strzałki nakazywały gwałtownie zmienić kierunek. Prowadziły mnie z dala od autostrad, którymi przeprawiłabym się przez góry i trafiła na Oak Creek Road. Z dala od trasy, którą w innym życiu miło byłoby przemierzyć dla samych widoków. Ponownie skręciłam w prawo w Tehachapi Willow Springs Road okrążając niewielkie miasteczko. Na wszystkich drogowskazach oznaczających zbliżający się obszar zabudowany widniał duży znak X z małym kółkiem na środku. Przywodził mi na myśl czaszkę ze skrzyżowanymi pieszczelami, więc na wszelki wypadek trzymałam się na baczności.

Właśnie mijaliśmy park wodny, kiedy mój umysł zaczął delikatnie tracić świeżość. Coraz częściej niespodziewanie łapałam się na tym, że opadają mi powieki. *Przestań* – myślałam. – *Obudź się, obudź*. Cole zasługiwał, by w końcu się zregenerować po dwóch piekielnych tygodniach tułaczki po Los Angeles. Musiałam sobie poradzić. Musiałam być przytomna przynajmniej do kolejnego przystanku na tankowanie.

Światło dnia gasło z każdą mijającą minutą – zimowe słońce zachodziło dzisiaj wcześniej za srebrne chmury burzowe. Betonowy drogowy znak oznaczający przydrożny parking zdawał się błyszczeć w szaroniebieskiej poświacie, a pokrywające go wymalowane sprayem symbole przez kontrast zdawały się jeszcze ciemniejsze. Dostrzegłam inicjały – podczas dalszej jazdy mogłam przynajmniej zająć uwagę rozmyślaniami nad ich znaczeniem.

PGJR... Paul, George, John i Ringo... Papuga, Głuszczyk, Jaguar, Rosomak... Pistolet, Glock, Jerycho, Rewolwer...

HBFB... Huba, Brzoza, Fikus, Borówka... Hummus, Bekon, Flaczki, Buraki... Harrisonburg, Bedford, Fairfax, Bristol...

Pod spodem widniał kolejny niewyraźny ciąg liter. Zwolniłam, usiłując je odczytać przez zasłonę deszczu. Ulewa już prawie całkowicie zmyła napis, ale udało mi się dojrzeć niewyraźne „KLZH”.

Kia, Lexus, Z: nie wiem co, Honda... – Nie bardzo mi się udało. – *Kansas, Led Zeppelin, ZZ Top, The Hollies*. – Największym problemem było to cholerne Z... – *Zebra, Zoo, Zero, Znój, Zu*. I tyle. Mój mózg nie był w najlepszej formie.

Uśmiechnęłam się, ziewając. *K – coś tam, Liam, Zu, Hina*. Ach, *Kylie, Kylie z East River, to się nada*. Jeszcze raz: *Kylie, Liam, Zu, Hina*. Albo może: *Kylie, Lucy, Zu i Hina...*

Pogrążyłam się w całkowitym odrętwieniu i ciszy. Uszy najpierw wypełnił mi szum wpadającego przez wywietrzniki powietrza, a następnie łomot obijającego się o ściany klatki piersiowej serca.

Kylie, Lucy, Zu i Hina. – Mój umysł wyśpiewywał ich imiona ciągle od nowa jak w jakimś transie. – *Przestań*. – Chciałam się od tego uwolnić. – *Kangur, Lew, Zebra, Hiena* – powtarzałam, ale nie potrafiłam się pozbyć mrowienia wypełniającego mi żyły.

Jeżeli naprawdę to dziewczynki zostawiły ten podpis, nie mogły ujść daleko. Dotarło do mnie, że jeśli potrafiły odczytać kod, to musiały być... Musiały kiedyś być w East River! Znałam tylko jedną grupę dzieci, która opuściła to miejsce. Grupę Zu.

Przestań! Nabrałam wielki haust powietrza, po czym podkreśliłam ogrzewanie, by dodać sobie otuchy. Wiele innych imion zaczynało się od tych liter. Bez względu na to, kim była dodatkowa dziewczynka, jeśli to grupa Zu, brakowało litery T reprezentującej Talona – nastoletniego chłopaka, który z nimi wyruszył. Próbowałam przywołać z pamięci twarze Kylie, Lucy, Talona i Hiny, ale nie potrafiłam. To dziwne, bo pamiętałam ich włosy, to, jak nosili bandany, i dźwięk ich głosów... Jednak nie byłam w stanie przypomnieć sobie ich twarzy. By bardzo nie cierpieć, wyparłam tak wiele ze wspomnień dotyczących East River, że tamte doświadczenia równie dobrze mogła mieć inna osoba.

Jeśli jednak chodziło o Zu... Pamiętałam każdy szczegół, każdy pieg na jej nosie i sposób, w jaki tuż po obudzeniu sterczały jej włosy.

Kątem oka zauważyłam kolejne dwa symbole – widniały na kierunkowskazie prowadzącym na pobliską autostradę. Podano też na nim odległość do najbliższego miasta. Jednym ze znaków był półksiężyc wpisany w okrąg, a drugim kilka strzałek skierowanych w prawo na wschód, a nie prosto jak te na kierunkowskazie.

Włączyłam reflektory, zalewając łuną światła kępki drzew rosnące po obu stronach drogi. Zaczęłam zjeżdżać na pas awaryjny, by podzielić się swoją teorią z Pulpetem i Liamem, ale zmieniłam zdanie.

Ostatnie dni były dla Liama wyjątkowo ciężkie. Dawanie mu nadziei, która zaraz mogła zostać zdeptana, wydało mi się okrutne. Pulpet poradziłby sobie z rozczarowaniem, ale Liam... Nie zniosłabym jego smutku, gdyby się okazało, że to pomyłka. Już i tak zawiodłam go zbyt wiele razy i to na różnych płaszczyznach. Nie chciałam spełnić do dna kielicha goryczy.

Ponad wszelkie pojawiające się w mojej głowie wątpliwości wybijał się jednak cichy głosik: *A co, jeśli to naprawdę ona?*

Kylie, Lucy, Zu i Hina. KLZH.

Takie myślenie było niebezpieczne. Pozwalałam sobie wierzyć, że czasem życie

ma swoje niemal magiczne sposoby, by naprawiać złamane losy. Że historia potrafi się potoczyć znacznie lepiej i prościej, niż człowiek sobie wyobrażał.

Farba była przecież na tyle świeża, że spływała pod silnymi strugami deszczu... Nie mogli zejść daleko.

Nie rób sobie tego, upominałam się w myślach. Z pewnością nie znajdowaliśmy się w pobliżu miejsca, gdzie, jak twierdził Liam, mieszkał wuj Zu, bo już dawno je minęliśmy. Poza tym pośród inicjałów brakowało T dla Talona. Może kierowało mną wyczerpanie albo desperacja, a może potrzeba udowodnienia sobie, że życie czasem bywa łaskawe, ale po prostu nie mogłam obojętnie przejechać obok.

Nie wiedziałam, co ryzykowaliśmy, podążając tym tropem, ani dokąd nas on zawiedzie. Podejrzywałam jednak, że może to być nasza jedyna szansa na odnalezienie Zu.

Jude by to zrobił. I to bez namysłu.

Nie ukrywam, że skręcając w prawo, czułam się, jakbym postradała rozum. Pozostali najwyraźniej też byli zdezorientowani, bo Vida delikatnie zatrąbiła, by się upewnić, że wiem, co robię. Wjeżdżaliśmy na pogrążoną w ciemności polną drogę dojazdową. Brnęliśmy przez błoto po świeżych śladach zostawionych przez inny samochód. Gęste drzewa rosnące wzdłuż drogi splatały się ze sobą guzowatymi gałęziami – jechałam na tyle szybko, by móc się przez nie przedrzeć, łamiąc je i rozrywając zasłonę z liści.

Cole nie zareagował na wcześniejszy dźwięk klaksonu Vidy, dopiero ten hałas wyrwał go z trwającego już od dwóch godzin snu. Patrzyłam, jak siada prosto i raz po raz przeciera dłońmi twarz, usiłując oprzytomnieć.

– Trzeba było mnie obudzić! – Mrużył oczy oślepiony blaskiem podświetlanych zegarów w desce rozdzielczej. – Zaraz... Gdzie my, do cholery, jesteśmy? Czemu jedziemy na wschód zamiast na północ?!

– Mam przecucie – wyjaśniłam.

– Tak? A ja wrzód na wątrobie! Czyli ciebie! – Patrzył na mnie gniewnie ponad pochylonym Clancym. – Co jest grane?

– Podejrzewam...

Drzewa nagle się rozstały i można było zobaczyć, że droga prowadzi do budynku, który kiedyś musiał być przepięknym domem. A raczej ogromną posiadłością. Miał dwa piętra i podwójny szeroki garaż. Fasada była zrobiona z kamienia i drewna, dzięki czemu jego okazała bryła wkomponowywała się w krajobraz.

– Doczekam się odpowiedzi? – zapytał Cole, kiedy zaparkowałam auto.

– Podejrzewam, że mogą się tu ukrywać jakieś dzieci. Chcę się jedynie szybko rozejrzeć. Przysięgam, *p r z y s i ę g a m*, że zajmie mi to tylko chwilę.

Cole zacisnął zęby, ale widząc moją minę, w końcu pokiwał głową i powiedział:

– Zgoda, ale weź ze sobą Vidę. Masz dwie minuty.

Pozostali otworzyli drzwi samochodu, ale tylko Liam wyszedł na deszcz.

– Co się dzieje?! – zawołał.

– Potrzebuję na chwilę Vidy. Tylko jej. Nikogo więcej! To szybka... akcja.

– Co znowu za akcja? – marudził Pulpet. – Jedna z serii „Ruby pakuje się w śmiertelne niebezpieczeństwo”?

Zatrzasnęłam drzwi na znak, że nie będę nic tłumaczyć, ale wzdrygnęłam się na widok podekscytowanego spojrzenia podchodzącej do mnie Vidy.

– Chodzi o Cate?

Jej twarz jaśniała nadzieją: skośne oczy zrobiły się szerokie, a na ustach pojawił się zaczątek niepewnego uśmiechu. Wypełnił mnie lęk... Bałam się, że jeśli Cate nie przeżyła, jeśli nigdzie na nas nie czekała, to VIDA rozsypie się na dobre.

– Myślę, że mogą się tu ukrywać jakieś dzieci.

Na moje słowa natychmiast wzięła się w garść. Patrzyłam, jak wsuwa dłoń do kieszeni bluzy, sięgając po swój pistolet.

– Dobra, kumam. Jak chcesz to rozegrać?

Drzwi od frontu oraz okna na pierwszym piętrze były zabite deskami, podobnie jak tylne i boczne wejścia. Początkowe podekscytowanie Vidy szybko wyparowało, kiedy brnęliśmy przez błoto i wysoką trawę, potykając się i ślizgając, by drugi raz okrążyć dom. Nie zauważyłam żadnej drabiny, po której można by się wspiąć na drugą kondygnację. Nigdzie nie paliło się światło i nie było słychać najmniejszego

szmeru. Moją uwagę zwrócił jednak osobliwy ciemny kształt wiszący na bramie garażowej. Podeszłam bliżej i zamarłam – był to niestarannie wycięty z metalu półksiężyc przybity gwoździem.

Bezpieczne miejsce. Odetchnęłam z ulgą i sięgnęłam do zimnej metalowej klamki. Vida została z tyłu, ale trzymała broń w gotowości.

Mierzyła jednak w pustą przestrzeń.

Nie było tu ani śladu samochodów, pakunków czy kulących się na kocach dzieci. Zdawało się, że oprócz sterty narzędzi ogrodowych i kubłów na ziemi leżą jedynie śmieci. Gdziekolwiek spojrzeć, piętrzyły się kolorowe papierki.

Vida rozgrzebała je butem. Kiedy moje oczy przyzwyczyły się do ciemności, zauważyłam jednak inne oznaki tego, że niedawno przebywała tu przynajmniej jedna osoba. W oczy rzuciła mi się niewielka sterta koców i porzucona torba sportowa.

– Daj spokój – powiedziała Vida. – Jeśli ktoś tu był, to zmył się wiele dni temu.

– Na podjeździe widziałam odcisnięte w błocie ślady opon – odparłam, zastanawiając się, czy moje słowa zdradzają wypełniające mnie wątpliwości. Ruszyłam w stronę prowadzących do domu drzwi, ale zatrzymałam się na widok kłódki.

Cole zatrąbił na nas, co było dla mnie jak otrzęzwiające uderzenie w twarz.

Zachowujesz się jak wariatka – pomyślałam. – *Weź się w garść. Masz ważniejsze rzeczy na głowie...*

Nie. Nie miałam nic ważniejszego do roboty. Prawda była taka, że przyszedłabym tu pieszo. Aż z Los Angeles. Po ciemku i w ulewnym deszczu, jeśli dzięki temu miałabym odnaleźć Zu. Niczego nie pragnęłam bardziej. Musiałam się upewnić, że jest cała i zdrowa i że nic jej nie grozi. Nie chciałam jej zawieść tak, jak zawiodłam pozostałych.

Ruszyłam za Vidą do wyjścia. Choć w głębi duszy spodziewałam się rozczarowania, i tak czułam się smutna, mała i zawstydzona. Teraz byłam wdzięczna za deszcz, bo w razie czego mógł zamaskować łzy, od których dzieliło mnie jedno nietrafione słowo czy jedna zabłąkana niewdzięczna myśl.

Vida podparła się pod boki i omiotła wzrokiem linię drzew tworzącą wokół domu

wysoki mur.

– Moglibyśmy tu odpocząć przez kilka dni. Nie jestem ślepa i też widziałam znaki. Wiem, że gdybyś nie przyjechała sprawdzić tego miejsca, dręczyłoby cię to przez resztę życia.

– Przepraszam, że was tu zaciągnęłam – wymamrotałam.

Vida machnęła ręką i ruszyła w kierunku swojego samochodu. Drzwi po stronie Liama były otwarte i lampka na suficie jasno oświetlała dwie wyraźnie zmartwione twarze.

Nagle Vida przystanęła na skraju podjazdu, pochyliła się i powoli coś podniosła. Coś białego, oblepionego błotem.

– Hej, mała! – krzyknęła, rzucając znalezisko w moją stronę.

Miałam drżące, śliskie od deszczu palce, ale jakimś cudem udało mi się to złapać.

Był to mały but. Z pewnością dziecięcy. Biały materiał zrobił się niemal czarny od błota i brudu, ale sznurówki zachowały swoją różową barwę. Przyglądałam mu się, przeciągając palcami po nierównym zszyciu z boku.

Cole dał mi jasno do zrozumienia, że moja eskapada się skończyła. Usiadł za kierownicą i opuścił szybę. Rzuciłam bucik z powrotem na ziemię.

– Wiem, wiem – wybąkałam.

Dzwoniłam zębami tak mocno, że aż cała się od tego trzęsłam. Cole zlitował się nade mną i skierował na mnie podmuch ciepłego powietrza, nie odezwał się jednak przy tym ani słowem. Ja też nie podejmowałam rozmowy.

Ten but... Boże, but z poskręcanyymi różowymi sznurówkami.

Vida zawróciła auto i pojechała przodem w kierunku głównej drogi. Cole ruszył za nią. Przedzierając się przez drzewa i krzaki, majstrował przy radiu. Panujący wokoło bezruch zburzył jedynie jakiś zwierzak uciekający nam spod kół.

– Czy masz jakiegokolwiek pojęcie, gdzie jesteśmy? – odezwał się Cole. – Widziałaś nazwę miasta?

Mój umysł był całkowicie skupiony na znalezionym bucie. Obsesyjnie myślałam o zszyciu z boku i o tym, że mimo chłodu i deszczu wydał mi się ciepły. I te sznurówki, różowe sznurówki... Zupełnie jak...

Nabrałam powietrza tak gwałtownie i głośno, że Cole nadepnął na hamulec.

– Co? Co się stało?!

Bez słowa wyjaśnienia zaczęłam rozpinać pas bezpieczeństwa, po czym wyskoczyłam z auta i rzuciłam się pędem z powrotem w stronę domu.

Znałam te sznurówki. To ze względu na nie wybrałam te buty. Wygrzebałam je z samego dna kosza w supermarkecie, bo wiedziałam, że się jej spodobają. Wiedziałam...

Wystrzał z pistoletu, który odbił się echem od otaczających nas ciemnych gór, był jedynym, co zdołało mnie powstrzymać...

Siłą rozpędu poleciałam w przód, ślizgając się na błocie i wyrzucając w górę ręce. Oba samochody się zatrzymały. Cole otworzył drzwi od swojej strony, żeby powstrzymać Liama i Vidę przed rzuceniem się w moim kierunku. Wszystkie pistolety, które mieliśmy, zostały wycelowane w drzewa.

Zrobiłam nieśmiały krok do przodu. Nie obawiałam się łowców nagród, żołnierzy SSP, Gwardii Narodowej czy nawet właścicieli domu. Myślałam jedynie, jak okropnie musi się czuć dziecko, ukrywając się w lesie, podczas gdy nieznajomi przetrząsają jedno z niewielu miejsc, które miało być bezpieczne.

Nie zastrzelili mnie jeszcze. To był dobry znak.

– Zu?! – zawołałam, usiłując przekrzyczeć szeleszczący w liściach deszcz.

Żadnej odpowiedzi.

– Zu?! – krzyknęłam, robiąc kolejny krok w przód. – Suzume! Zu!

Zdawało mi się, że otaczający mnie las wydaje z siebie przeciągłe westchnienie, na powrót osuwając się w noc. Jeśli ktoś się w nim czaił, nie była to ona. Zu wyszłaby do mnie.

Ale czy na pewno?

Poczułam ostre ukłucie rozpaczyny głęboko w trzewiach i zaczęłam się wycofywać.

– Dobrze. Przepraszam, już sobie idziemy.

Odwróciłam się przez ramię i zobaczyłam, jak Cole opuszcza broń. Liam minął drzwi, stanął obok brata i wyciągnął rękę w moim kierunku, ale zaraz ją opuścił. Zrobił krok w przód i nagle stanął jak wryty z szeroko otwartymi oczami.

Kiedy odwróciłam się z powrotem w stronę lasu, nie widziałam niczego poza nią.

Z zarośli wystrzeliła biało-różowo-czarna postać, wyrwawszy się bladym dłoniom, które starały się ją pochwycić i wciągnąć z powrotem. Jej pająkowate nogi ślizgały się na błocie, pokonując dzielącą nas przestrzeń tak szybko, że ledwie zdążyłam wyciągnąć do niej rękę.

Zu wpadła na mnie z siłą, jaka byłaby w stanie poruszyć ziemię. Przewróciłam się na plecy, pociągając ją za sobą, otoczyłam ramionami i wydałam z siebie coś między śmiechem a szlochem. Wtuliła twarz w moje włosy i przywarła do mnie całą sobą. Zrobiła się zupełnie wiotka, jakby chciała się ze mną złąć.

Najprawdziwsza, niczym niezmacona radość spadła na mnie jak grom z jasnego nieba. Roztańczyła moje myśli i zalała mnie ciepłem aż po czubki palców u stóp. Byłam tak otulona tym uczuciem, że dopiero po dobrej minucie zdałam sobie sprawę z tego, jak bardzo Zu dygocze i jaka jest lodowata. Płakała. Wydawała z siebie ciche jęki, które nie były oznaką radości. Odgięłam się w tył, by spojrzeć na jej twarz, a ona jeszcze mocniej chwyciła mnie za rękaw, potrząsając głową.

– To chyba twoje? – powiedziałam, podnosząc but.

Pozwoliła mi zetrzeć błoto ze swojej bosej stopy, a następnie wsunąć na nią but i go zawiązać. Podejrzewałam, że zgubiła go, biegnąc ku drzewom. Musieli nas usłyszeć i spanikować.

– Zu! – Liam biegł tak szybko, że się poślizgnął i wpadł w nas z impetem. – Zu!

Wystarczyło jedno spojrzenie i radość na jego twarzy ustąpiła miejsca panice i trosce. Chwycił jej wyciągnięte ręce, dokładnie studiując liczne siniaki i rany. Próbował zrozumieć, czemu patrzy na nas, jakbyśmy wrócili z zaświatów, i nie chce nas puścić, jakby się bała, że rozpłyniemy się w powietrzu.

– To ona?! – wołał zrozpaczony Pulpet, kuśtykając w naszą stronę. – Nic nie widzę...

– Poczekaj, bo się zabijesz... – Vida zawróciła, by pomóc mu wyjść zza drzwi samochodu, po czym poprowadziła go w naszą stronę.

Pulpet poklepał kieszeń i wyciągnął z niej szkło okularów.

– Co taka mała dziewczynka robi w takim strasznym miejscu? – zapytał Liam,

pozwalając, by Zu przeciągnęła palcami po jego mokrych włosach i ujęła w dłonie jego twarz.

Pulpet opadł na kolana, ochlapując nas błotem, po czym wyciągnął ręce w stronę, gdzie, jak mu się wydawało, klęczała Zu.

– Mam nadzieję, że nie jesteś sama! Wiesz, czym grozi samotne podróżowanie...
– podjął.

Zu przyparła go do ziemi, tak że błoto chlupnęło pod jego plecami, a z płuc uszło mu powietrze.

– Niech ci będzie... – wymamrotał, ostrożnie ją przytulając. – Jesteś lodowata. Musimy okryć cię kocem, zanim się wyziębisz...

Zu wyciągnęła dłoń i zakryła mu usta, co wywołało u Liama salwy śmiechu. To, co w odpowiedzi pojawiło się na jej ustach, było uśmiechem – nieśmiałym i trzęsącym się, ale jednak uśmiechem. Poczułam, że z radości chce mi się płakać.

Przeglądałam się jej uważnie, usiłując porównać dziewczynkę, którą miałam przed oczami, z tą z pielęgnowanego w pamięci wspomnienia. Włosy jej odrosły i teraz kręciły się wokół uszu. Cała się zmieniła. Była wyższa i szczuplejsza. A właściwie przeraźliwie chuda. Miała zapadnięte policzki. Nawet w ciemnościach mogłam dojrzeć, że pozostali, którzy wyłonili się zza drzew, nie wyglądali lepiej. Ciemne postaci zbliżały się do nas nieśmiało, mrużąc oczy w świetle samochodowych reflektorów. Naliczyłam dwanaścioro – różnego wzrostu i budowy, ale wszystkie były dziećmi. Wszystkie.

Moim oczom ukazały się Kylie i kuzynka Zu Hina. Potem zobaczyłam Lucy i od razu przypomniałam sobie te wszystkie razy, kiedy nakładała mi jedzenie w East River. Jej widok przywiódł mi na myśl dym ogniska, drewno i zachody słońca odbijające się w wodach jeziora. Wszystkie trzy patrzyły na nas jak na jakieś zjawy.

– Wybacz – zaczęła Kylie. – Gdybym wiedziała, że to ty, nie wystrzeliłabym. Ale... Łowcy nagród i żołnierze. Sama rozumiesz...

Usłyszałam, jak za nami Cole wzdycha ciężko.

– Będziemy potrzebować jeszcze jednego auta, prawda?

5

Chociaż żyłam nadzieją, że kiedyś odnajdziemy Zu, nie przypominam sobie, bym choć raz się zastanowiła, co będzie potem. W przeciwieństwie do mnie Liam zaczął się tym martwić, kiedy tylko ją zobaczył.

– Miałyście być w domu wuja Zu. Co się stało? Czemu tam nie czekacie? – zwróciłam się do dziewczynek.

– Nie było go. Chciałyśmy zostać mimo to, ale zdarzył się wypadek... Zaraz po tym, jak się tam zjawiłyśmy – wyjaśniła Kylie, prowadząc nas za sobą.

W pewnej chwili drzewa się przerzedziły, ukazując niewielką pogrążoną w ciemności polanę. Najwidoczniej kiedy dzieci usłyszały nasze samochody, zagasły ogniska, bo w powietrzu wciąż unosił się zapach dymu.

– Jaki wypadek? – zapytał Liam.

– Tragiczny. Napatoczył się pewien gość, który, jak się później okazało, był w porządku... On... Nieważne, to bez znaczenia. – Kylie potrząsnęła burzą ciemnych loków i wygładziła podartą koszulkę. – Od tamtej pory przenosimy się z miejsca na miejsce. Kiedy zauważyłam oznakowany szlak, podążyłam nim z nadzieją, że trafimy na inne dzieci. Tak się stało, ale one wcale nie mają lepiej niż my.

Otworzyłam szerzej oczy na widok przemoczonych prowizorycznych namiotów z prześcieradeł i starych puszek po produktach spożywczych oraz wiader, do których dzieci łąpały deszczówkę.

– Wjechaliście tu autem, prawda? – odezwał się Liam. – Gdzie je ukryliście?

– Za szopą z tyłu domu. – Kylie bezskutecznie usiłowała wyjąć mokrą koszulkę.

Stojące wokół niej dzieci przedstawiły się nam wszystkie naraz. Żadnego z nich nie rozpoznawałam. Lucy pospiesznie wyjaśniła, że dwóch chłopców – Tommy i Pat – opuściło East River dwa miesiące przed tym, jak my się tam pojawiliśmy. Trzej członkowie plemienia, do którego należeli, odłączyli się od nich, ponieważ nie byli w stanie znieść trudów marszu, i słuch po nich zaginął. Pozostałą dziesiątkę stanowiły

przypadkowo spotkane przez dziewczynki podczas tułaczki po kraju dzieci – wszystkie miały około piętnastu lat.

Tommy był tak wysoki i chudy jak rosnące obok niego drzewo. Burzę miedzianych loków w większości skrywał pod ciasną czapkę. Pat, o głowę od niego niższy, poruszał się i mówił, tryskając dziką niepohamowaną energią, aż trudno było za nim nadążyć.

– No cóż... – Cole przyglądał się ich żalosnemu obozowisku. – Każdy orze, jak może...

Lucy wystąpiła do przodu i stanęła przed nami, odrzucając w tył zaplecione w warkoczyki blond włosy. Miała na sobie za dużą sportową bluzę z kapturem i czarne podarte na kolanach legginsy.

– A co wy tu robicie? Kiedy opuściliście East River?

Dopiero teraz się zorientowałam, że dziewczynki nie mają o niczym pojęcia. Niby skąd miały wiedzieć? Spojrzałam na Liama, ale on patrzył w dół na Zu, kurczowo wczepioną w jego rękę.

– Przełożmy opowieści na później – rzucił Cole. – Spakujcie wszystko, co chcecie ze sobą zabrać.

– Zaraz, zaraz – zaprotestował Liam. – Zaczekaj, przecież oni nawet nie wiedzą, czego mogą się spodziewać.

Cole przewrócił oczami i zwrócił się do dzieci, klaszcząc w dłonie:

– Będę się streszczał. Należeliśmy do grupy o nazwie Liga Dzieci. Ale pewnego dnia prezydent Gray postanowił nas zniszczyć, podobnie jak Koalicję Federalną oraz całe Los Angeles. Teraz kierujemy się na północ, żeby założyć bazę i wymyślić nowe sprytne sposoby, by mu dokopać. Jakies pytania?

Tommy podniósł rękę.

– Zniszczyli Los Angeles? Dosłownie?

– Już od dawna nie musimy używać metafor. Zamienili miasto w dymiącą kupę gruzu. Możecie tu zostać, ale wojsko kontroluje granice stanu i autostrady. Najprawdopodobniej przejęło też resztki benzyny i jedzenia. Oznacza to, że jeśli nie znajdziecie sobie bezpiecznej kryjówki, wasze życie stanie się jeszcze większą

udręką.

Podejrzewam, że dzieci były zbyt zszokowane, żeby się rozpłakać. Rzucały sobie zaskoczona spojrzenia, z trudem przyswajając niespodziewane informacje.

Jakby już nie głodowały, pomyślałam, patrząc, jak przemoczona koszulka Kylie przykleja się do jej wystających kości biodrowych.

– A gdzie niby mielibyśmy pojechać? – zapytał Pat.

– Powiedz im prawdę – Liam ostro przerwał bratu. – Ranczo samo w sobie może i jest bezpieczne, ale my już zawsze będziemy na celowniku. Nigdy nie zrobiłeś niczego bezinteresownie, więc gdzie jest haczyk, Cole? Pójdą z nami i każesz im walczyć? Będą musieli sobie zapracować na jedzenie i łóżka?

– Przypuszczam, że wszyscy będziemy spać w śpiworach – odgryzł się Cole z podszywającą każde słowo irytacją. – Ale nie ma żadnych haczyków. Jeśli będą chcieli, byśmy ich wyszkolili, zrobimy to. Jeśli zapragną walczyć, kim jestem, żeby im tego zabronić? Mam jednak przeczucie, że zależy im na znalezieniu przyczyny OMNI i sposobu leczenia tak samo jak nam. Podejrzewam też, że nieprędko spotkają kolejną grupę chętną, by pomóc im odnaleźć rodziców.

– Nie wmawiaj im, że to...

– Że co? – zapytałam cicho, odciągając Liama na bok. – Że dzięki temu przeżyją? Liam... Rozumiem, o co ci chodzi. Walka jest niebezpieczna, ale takie życie też jest ryzykowne, prawda? Choroby, głód i ciągła tułaczka. Nie muszą zostawać na Ranczu na zawsze. Opracujemy bezpieczny system ewakuacji i jeśli będą chcieli, wydostaniemy ich stamtąd.

Widziałam, że cierpi. Trudno było mu się pogodzić z myślą, że wpadłam w niewolę Ligi... Prawdopodobieństwo, że zaakceptuje taki los dla Zu, było więc bliskie zera. Bez względu na to, jak bardzo pragnął wyzwolenia obozów i znalezienia sposobu na wyleczenie OMNI, w pierwszym odruchu niezmiennie wybierał drogę, która była najbezpieczniejsza dla jego najbliższych.

– Kiedy to wszystko się skończy – spojrzałam na Cole'a, który gorliwie pomagał dzieciom się pakować – pojedziemy, gdzie tylko będziemy chcieli. Czy to nie jest warte ryzyka? Zu będzie bezpieczna jedynie wówczas, gdy pojedzie z nami. To

jedyny sposób. Zaopiekujemy się nią.

Nigdy nie powinniśmy byli dać jej odejść.

Liam westchnął.

– Hej, Zu, chcesz nam pomóc wzniecić małą wojnę? – rzucił.

Zu spojrzała najpierw na niego, potem na mnie – ściągnięte brwi świadczyły o tym, że się zastanawia – po czym wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: „Pewnie. I tak nie mam nic lepszego do roboty”.

– Niech wam będzie. – Liam wypowiedział te słowa z przeciągłym westchnieniem.

Poczułam, jak uchodzi ze mnie napięcie. Liam jedną ręką objął mnie, a drugą Zu i podeszliśmy do pozostałych. Znów było tak jak kiedyś. Miałam wrażenie, że pewniej stoję na nogach, że wracam do świata.

Przyjaciele już na nas czekali oparci o bok auta. Kiedy się do nich zbliżyliśmy, Pulpet aż podskoczył z wrażenia i zasypał Zu gradem pytań, na które jeszcze nie otrzymał odpowiedzi. Vida rzuciła jej tylko jedno spojrzenie i zaplotła ręce na piersi.

– Hej, Vi, to jest...

Nie pozwoliła mi dokończyć ani nie uścisnęła wyciągniętej ręki dziewczynki. W jej spojrzeniu płonęło milczące i bezpodstawne oskarżenie. Zaciskała zęby, wyraźnie powstrzymując się od plucia jadem.

– Możemy w końcu się zabrać z tej cholernej dziury? – rzuciła i ruszyła w stronę lasu.

W jednej chwili poczucie bezpieczeństwa prysło. Niepostrzeżenie ogarnął mnie chorobliwy niepokój, rozziewający moją uwagę na dwoje. Jedna część mnie chciała pobiec za Vidą, a druga, ta głośniejsza i stanowcza, pragnęła pozostać dokładnie tu, gdzie byłam przyjemnie otulona miłością najbliższych mi osób. Moje serce jeszcze mocniej wezbrało czułością, kiedy Zu kolejny raz oplotła ramionami chudy pas Pulpeta, a on pogłaskał ją po głowie w charakterystyczny dla siebie niezgrabny sposób.

Liam ruszył za Vidą, która zniknęła w ciemności. Kiedy wrócił, zobaczyłam malujące się na jego twarzy pytanie – najwyraźniej nie tylko ja nie wiedziałam, o co

chodzi.

Nie miałam pojęcia, czemu się wściekła.

Kiedy dotarliśmy do Lodi, było już nad ranem i księżyc rozpoczynał swą wędrówkę ku zachodniemu horyzontowi. Przespałam lekkim snem całe cztery godziny, ale wcale nie czułam się lepiej. Jechaliśmy bocznymi drogami, przemierzając Kalifornię spacerowym tempem, co wydłużyło i tak już przeciągającą się podróż o kilka godzin. Co więcej, sporo czasu zabrało nam również znalezienie dodatkowego samochodu i benzyny, której musiało starczyć dla wszystkich. Łącznie byliśmy w drodze równe dziesięć godzin. Miałam wrażenie, że utknęliśmy w rzeczywistości, w której czas jednocześnie rozciągał się i kurczył – minuty mijały jak szalone, ale było ich nieskończenie wiele. Raz po raz zalewały mnie fale niepokoju i strachu. Złapałam się nawet na tym, że odmawiam pełne desperacji ciche modlitwy o to, byśmy znaleźli Cate i pozostałych. Do tej pory wszystko układało się aż za dobrze, ale wiedziałam, że nie mogę stracić czujności. Pamiętałam, że życie lubi dodawać skrzydeł tylko po to, by zaraz mi je podciąć.

Miejscowość, a przynajmniej jej obrzeża okazały się bardziej wiejskie, niż się spodziewałam. Otaczały nas pola, które kiedyś mogły być winnicami, ale teraz leżały odłogiem, marnując się i umierając w cieniu rzędu długich srebrnych baraków.

– To tam – powiedział Cole, wskazując palcem na jeden z nich.

Nie miałam pojęcia, jak je od siebie odróżnia, bo dla mnie wszystkie wyglądały identycznie, zwłaszcza że było ciemno.

– Myślisz, że tu są?

– Zaraz się dowiemy.

Niebo nabrało bladego lawendowego odcienia, kiedy nasz mały samochodowy konwój przemierzył puste ulice i dojechał na granicę miasteczka. Cole był wyraźnie spokojniejszy i pogodniejszy. Zwolnił i skręcił do komisum samochodowego, po czym wjechał na jedno z zadaszonych miejsc parkingowych i stanął między furgonetką, która najprawdopodobniej należała kiedyś do firmy tępiącej szkodniki, a samochodem zakładu elektrycznego.

To nie jest komis – pomyślałam. – Może kiedyś, ale nie teraz.

– Dobra. – Cole wziął głęboki oddech i wbił wzrok w sufit auta, mamrocząc coś pod nosem. – Jesteś gotowa?

– A co z nim? – Kiwnęłam głową w stronę bezwładnego ciała Clancy’ego.

– Na razie niech tu zostanie. Przed chwilą zaaplikowałam mu kolejną dawkę. Wrócę po niego, kiedy się upewnimy, że nic nam nie grozi.

Nie wydawało mi się, by był to najlepszy pomysł, ale czułam się tak zmęczona, że tylko pokiwałam głową, chcąc uniknąć kłótni. Poza tym Clancy ciągle oddychał głęboko i równomiernie, zgięty wpół i nieprzytomny. Tym razem osobiście sprawdziłam, czy ma skrępowane ręce i nogi. Była to ostatnia kompletna i spójna myśl, jaka przyszła mi do głowy.

Kiedy wysiadałam z auta, z wyczerpania bolało mnie całe ciało. Zmęczenie oblepiało mi gardło i wypełniało oczy łzami. Natychmiast podszedł do mnie Liam, rzucając pytające spojrzenie w kierunku pick-upa. Machnęłam ręką, żeby się nie martwił, i przywarłam do niego, pozwalając otoczyć się ramieniem. Uporczywie usiłowałam policzyć dzieci, za każdym razem zaczynając od Zu i Hiny, ale nie byłam w stanie dobrać do numeru dziesięć bez pomyłki, przez co ciągle musiałam zaczynać od nowa. Aby nie zasnąć, postanowiłam się skupić wyłącznie na głosie Pulpeta – zasypywał Vidę gradem pytań dotyczących rozmazanych kształtów, które nas otaczały. Mój mózg działał jednak zbyt wolno, by zrozumieć, czemu krążymy przed drzwiami jakiegoś dziwnego baru.

Liam podążył za moim wzrokiem.

– Nie odezwała się do Zu ani słowem – wyszeptał. – Wiem, że nie jest typem milusińskiej, ale czy to normalne? Jeśli to się nie zmieni, w końcu stracę cierpliwość.

Znowu spojrzałam na Vidę.

– Zazwyczaj potrzebuje trochę czasu, żeby się przełamać. Pogadam z nią.

Bar, przed którym staliśmy, nazywał się Smiley’s Pub. Cole zaglądał do środka przez jedno z okien, nie zważając na to, że neon z napisem „OTWARTE” się nie świeci. Wypuścił powietrze i nacisnął klamkę. Zamknięte.

– Czy to bar? – szepnął za moimi plecami Pulpet. – Możemy wejść? Nie jesteśmy pełnoletni.

– Daj spokój, dziadku. – Vida westchnęła. – Brak mi na ciebie słów.

Zajrzałam przez okno. We wnętrzu dominowało jasne błyszczące drewno, z którego wykonano bar i wiszące za nim półki. Siedzenia pokrywała czerwona sztuczna skóra. Na ścianach między zdjęciami kobiet w bikini prężących się na samochodach wisiały podobizny gwiazd rocka.

– Musimy się włamać? – zapytałam Cole’a.

– Nie. Sprawdziałem tylko, czy ciągle używają tego budynku jako przedsionka. Wejście na Ranczo jest za barem.

Przez chwilę byłam zdezorientowana, sądząc, że ma na myśli ladę w środku. Cole jednak zszedł z krawężnika i kiwnął brodą w kierunku wąskiej alejki między budynkiem baru a stojącym obok pustym sklepem. Ruszyliśmy za nim i omijając kubły na śmieci i ustawione jedna na drugiej puste skrzynki, dotarliśmy do tylnych drzwi. Cole bez wahania podszedł do umocowanego przy nich elektronicznego zamka i wcisnął sześciocyfrowy kod. Urządzenie mrugnęło, zapiszczało i drzwi odskoczyły, ukazując wnętrze wyglądające jak typowe zaplecze. Na ścianach wisiały puste półki.

– Czekają nas długa droga w dół! – zawołał przez ramię. – Czy ktoś ma lęk wysokości?! Ktoś boi się ciemności?! Nie, jasne, że nie! Jesteście najlepsi! Tylko uważajcie, zrozumiano?!

Długa droga w dół. Boże, kolejny podziemny tunel? Przypuszczałam, że jest bardzo rozległy, bo skoro nie byłam w stanie zobaczyć głównego budynku Rancza sprzed baru, nie mógł być blisko. Podobne rozwiązanie zastosowano w Los Angeles. Wejście mieściło się na parkingu podziemnym, skąd zjeżdżało się windą do tak zwanej Tuby. Tamten tunel był jak z piekła rodem – przesiąknięty smrodem kanałów, ze śliskimi od pleśni ścianami. Człowiek miał wrażenie, że na drugim końcu czeka na niego sam diabeł.

Żeby dotrzeć do wjazdu w podłódze stanowiącego wejście do tunelu, musieliśmy się wcisnąć do niewielkiej sypialni na tyłach baru, a następnie podnieść łóżko i dywan. Kiedy Cole otworzył wjazd kopniakiem, uderzył nas powiew zimnego, stęchłego powietrza.

– Nieźle – powiedzieli chórem Tommy i Pat, zaglądając w słabo oświetloną

przestrzeń.

Kylie zrobiła kwaśną minę, patrząc na Lucy, ale zeszła jako trzecia po Cole'u. Większość nastolatków ruszyła za nią. Wszyscy byli zbyt zmęczeni, by protestować albo się zastanawiać, dokąd idą. Młodsze dzieci znosiły to gorzej. Zu i Hina były obrazem totalnego wyczerpania. Chwiały się na nogach, jakby potajemnie wychyliły kilka głębszych za barem, i nie były w stanie skupić wzroku na Liamie, który usiłował naprowadzać je na szczeble drabiny. Po nich przyszła kolej na niedowidzącego, niewiarygodnie marudnego Pulpeta, któremu musieliśmy pomóc zlokalizować właz. Za nim poszedł Liam.

Wiedziałam, że strach, który zdawał się zachodzić mnie od tyłu i przykładac ostrze do gardła, jest nieracjonalny. Miałam świadomość, że nie jesteśmy atakowani, że przede mną kroczą dzieci, którym już nic nie grozi, i że muszę podążyć za nimi, jeśli chcę dotrzeć na Ranczo. Wiedziałam to wszystko. Ale nie mogłam się ruszyć.

Liam zauważył, co się dzieje, i uśmiechnął się do mnie ciepło. Mimo że było między nami tyle niewypowiedzianych słów, wciąż potrafił wyczytać ze mnie każdą obawę. Pogładził mnie po włosach, przytulił dłoń do mojej twarzy i pocałował w skroń.

– Nowy tunel, nowy cel, nowe zakończenie – obiecał. – W porządku?

Przełknęłam ślinę i zmusiłam się, by pokiwać głową. Zaczął schodzić, a kiedy jego jasne włosy zniknęły mi z oczu, poczułam, jak ze strachu robi mi się ciasno we własnej skórze i przewraca mi się w żołądku.

Nowy koniec – powtarzałam w myślach raz po raz jego słowa. – *Jakiś koniec.*

To był dopiero początek.

Wyprostowałam się, odrzuciłam w tył kucyk i zrobiłam pierwszy krok. Drugi. Trzeci. Starłam się nie myśleć o tym, że ciemność gęstnieje i zdaje się mnie połykać. Kiedy byłam już pewna, że drabina nigdy się nie skończy, poczułam pod nogami twardy grunt.

Reszta poranka była dziwaczna, jakby nierzeczywista. Tunel był obwieszony sznurami choinkowych lampek, z których część migotała, a część w ogóle nie działała. Dzięki nim można było zobaczyć jedynie niewielki kawałek ścieżki. Otaczał

nas surowy, nagi beton. Niski sufit i wąskie przejście potęgowały każdy odgłos – szepty i westchnienia roznosiły się wokół jak duchy. Brałam jeden płytki wdech za drugim, wyraźnie czując, jak krew zaczyna pulsować tuż za moimi oczami. To naprawdę był prototyp kwatery w Los Angeles. Konstrukcja wyglądała na znacznie mniejszą i jeśli wierzyć temu, co mówił Cole, częściowo znajdowała się nad ziemią, ale była na tyle podobna do Bazy, że przeszedł mnie dreszcz.

Mój umysł łowił i wypuszczał kolejne obrazy i dźwięki, filtrując wszystko przez mlecze soczewki. Miałam wrażenie, że obserwuję rzeczywistość przez pryzmat wspomnień kogoś innego. Zapach potu i wilgotnych ubrań. Jęk bólu Vidy. Mętny, pozbawiony nadziei wzrok Pulpeta wpatrującego się w ciemność.

Zu zasnęła z rękami zaplecionymi wokół szyi niosącego ją na barana Liama. Szliśmy tak długo, że chwilami zapomniałam, dokąd zmierzamy.

Kawałek przed nami Cole wspiał się do połowy schodów i uderzył w coś metalowego – duży zardzewiały kwadrat, który zapewne był drzwiami. Od strony tunelu nie było klamki. Ktoś musiał nam otworzyć z drugiej strony.

– Co, jeśli nikogo tam nie ma? – usłyszałam głos Pulpeta, choć dla własnego dobra udawałam, że nic takiego nie powiedział.

Cole walił pięścią w metal przez kolejną minutę, a kiedy nie odniosło to skutku, dzieci stłoczyły się za jego plecami i zrobiły to samo.

Nie ma nikogo – pomyślałam. – Nie udało się im.

Nie mogłam oddychać. Nie mogłam się ruszyć. Ściany zaczęły na mnie napierać z obu stron, a stojące za mną dzieci blokowały mi odwrót. Poczułam, że Liam obejmuje mnie ramieniem, ale pod jego ciężarem moja klatka piersiowa jeszcze się skurczyła. Potknęłam się o własne stopy i poleciałam w tył w tym samym momencie, gdy rozległ się głośny chrobot i tunel zalała fala światła.

Cate?

Zasłoniłam oczy, usiłując rozpoznać stojącą w drzwiach postać, kiedy Cole zawołał:

– Witaj, Dolly!

– O mój Boże! – W jej głosie pobrzmiwała wątła nutka akcentu z Nowego Jorku

albo New Jersey. – Pospieszcie się, wchodźcie do środka. Boże! Myślałyśmy... Bałyśmy się, że będziemy musiały wyruszyć na poszukiwania.

Liam prowadził nas po schodach ku fluorescencyjnemu światłu. Dopiero kiedy musnęła nas delikatna fala ciepła, zdałam sobie sprawę, jak było mi zimno. Przekroczyłam próg, mrużąc oczy.

Dolly wydała z siebie rozdrażnione westchnienie, po czym minęła sznurek dzieci i podeszła do mnie, Liama i Cole'a. Mrugając, patrzyła to na jednego, to na drugiego brata, w końcu rzuciła:

– O matko, kolejny Stewart? Jakim cudem światu udało się przetrwać?

– Świat miał dużo szczęścia – odparł Cole. – Wszyscy tu jesteście?

Dolly wyraźnie się zawahała.

– Niezupełnie.

– A Cate?! – wykrzyknęła Vida w niepohamowanym przypływie nadziei.

– Conner ma się dobrze, choć umiera ze zmartwienia.

Liam chwycił mnie mocniej i spojrzał mi w oczy. Z jego twarzy tryskała tak szczerą radość, że kiedy się w niego wtuliłam, musiałam się uśmiechnąć. Zaskoczyło mnie, że pierwszym uczuciem, które wypełniło dziurę zostawioną przez strach, nie była ekscytacja ani ulga. Te emocje przysły dopiero jak cień za ostrym nagłym bólem promieniującym z mojego wnętrza. *Ona nie wie.* Choć miała minimalne szanse, Cate przeżyła, dotarła tu, by na nas poczekać. Dolly miała zawiadomić ją o naszym przybyciu, ale nie o tym, co się stało z Jude'em. Bałam się, że będę musiała się powstrzymywać, by nie rzucić się jej na szyję i wypłakać, zanim przejdzie mi to przez gardło. *Ona o niczym nie wie.*

Dowie się jednak.

– Co masz na myśli, mówiąc, że niezupełnie? – zapytał Cole, rozglądając się wokoło. – Dziesięcioro agentów przybyło, żeby otworzyć to miejsce, tak? A Conner przyprowadziła swoją dwunastkę...

Tenisówki Dolly zapiszczały cicho, kiedy nerwowo przestępowała z nogi na nogę. Od odpowiedzi wybawił ją dźwięk bosych stóp uderzających o podłogę. Serce podskoczyło mi do gardła, kiedy zza rogu nagle wyłoniła się czupryna jasnych blond

włosów. To Cate pędziła nam na spotkanie.

Vida rzuciła się ku niej, przedzierając się przez tłum dzieci, i niemal powaliła ją na ziemię.

– Przepraszam, przepraszam. – Cate łkała. – Byliśmy poza strefą ataku i nie mogliśmy się przedostać z powrotem, bo wzniesli barykady... – Spojrzała przez ramię Vidy na mnie i na jej twarzy pojawił się uśmiech ulgi.

O Boże, o Boże, ona nie wie. Nie byłam w stanie wydusić z siebie słowa. Nie mogłam się poruszyć. Czułam, jak robi mi się gorąco, jak razem z potem przez wszystkie pory mojej skóry paruje poczucie winy, wstyd, gniew i smutek. Cate nie patrzyła już na żadne z nas, tylko na pustą przestrzeń obok mnie. Omiotła wzrokiem tłum, obrzuciła spojrzeniem kolejne twarze, coraz mocniej tuląc do siebie Vidę. Szukała go.

Nie musiałam nic mówić. Cate wszystko zrozumiała, kiedy tylko znów spojrzała na mnie.

Liam chwycił moją rękę i mocno ją ścisnął, przyciągając mnie do siebie. Przytuliłam twarz do jego zdrowego barku, słuchając bicia jego serca i usiłując złapać oddech i powstrzymać napływające do oczu łzy.

– Mam pomysł... – Dolly położyła rękę na barku Tommy’ego. – Chodźcie, pokażę wam, gdzie są łazienki i gdzie będziecie spać. Wszystkie pokoje są otwarte, możecie wybrać, który chcecie. Prześcieradła i koce zorganizujemy dopiero jutro, dobrze?

– Co się stało z pościelą? – zapytał cicho Cole.

– Zabrali ją. – Dolly wzruszyła ramionami, po czym spojrzała porozumiewawczo na niego, na dzieci i znowu na niego na znak, żeby przestał zadawać pytania.

Poprowadziła nas kolejnym jasnym korytarzem. Wiszące na suficie świetlówki wybielały wszystkim skórę, sprawiając, że brud stawał się jeszcze bardziej widoczny. Przyklejone do ścian zdjęcia falowały od ruchu powietrza, który powodowaliśmy. Uderzył mnie ostry zapach chloru. Doszliśmy do szeroko otwartych drzwi dużego pomieszczenia wielkości szkolnej sali gimnastycznej, zarzuconego śpiworami i pośłaniami.

Odpoczynek – pomyślałam. – *W końcu mogę się zatrzymać.*

– Hej, perełko – powiedział Cole. – Pójdiesz z nami na chwilę? Chciałbym zdać sprawozdanie Cate, żeby miała pełny obraz.

Liam ścisnął mnie jeszcze mocniej i prawie powiedziałam „nie”. Obawiałam się, że nie dam rady porozmawiać z Cate, póki nie odzyskam sił. Ale Cole i ja tkwiliśmy w tym razem. A poza tym chciałam wiedzieć, gdzie się podzieli pozostali agenci.

– Zaraz wrócę – obiecałam Liamowi. – Wybierz nam wygodny pokój.

– Niech ci będzie... – zaczął niepewnie, ale ruszył za pozostałymi na dół, rzucając mi przez ramię ostatnie spojrzenie.

Cole pokierował mnie do pomieszczenia znajdującego się na lewo od wejścia do tunelu. Nie weszłam za nim od razu, chciałam lepiej przyjrzeć się wnętrzu. Byłam, łagodnie mówiąc, rozczarowana...

Baza w Los Angeles wyglądała dość surowo – jakby ktoś wykopał w ziemi głęboki dół, wypełnił go betonem, a na koniec urządził za pomocą niedopasowanych kafli, biurek i stołów. Nieosłonięte kable i rury wisiały nam nad głowami i nigdy nie mieliśmy pewności, czy będzie ciepła woda. Ranczo jednak wyglądało na zapomniane. Mimo że agenci mieszkali tu już przynajmniej od tygodnia, podłogę pokrywała gruba warstwa szarego pyłu i kurzu, a w drzwiach wisiały powyłamywane klamki. Farba łuszczyła się ze ścian, a drewno wielu drzwi zupełnie popękało. Nieliczne żarówki były w większości spalone, wskutek czego niektóre odcinki korytarza tonęły w ciemności. Tynk odpadał z sufitu i jego duże kawałki leżały na ziemi pod ścianami. Odnosiło się wrażenie, że nikomu nie zależy na tym miejscu. Rozglądałam się wokoło i czułam, jak zalewa mnie fala niepokoju. Tak podchodziło się do miejsca, w którym nie zamierzało się zostawać, a już na pewno traktować jako domu.

– ... co za kretyński pomysł! To chyba jakiś durny żart?!

Głos Vidy wprowadził mnie do pomieszczenia, w którym byli już wszyscy. Przekroczyłam próg i niemal wpadłam na szafki na dokumenty, mocno zatrzaskując za sobą drzwi. W środku panowała ciasnota, mieściło się tam ledwie jedno biurko, trzy krzesła i kilka oprawionych w ramki map Stanów Zjednoczonych.

To pewnie pierwsze biuro Albana, pomyślałam. Pomieszczenie nie było wprawdzie tak zagracone jak jego siedziba w Bazie, ale kilka szczegółów, w tym zwisająca ze ściany oklapła amerykańska flaga, niezaprzeczenie dowodziło, że to on urządził to miejsce.

– Sen skontaktowała się z Ranczem natychmiast po opuszczeniu Los Angeles i oznajmiła, że udaje się do Kansas – wyjaśnił mi Cole oparty o front biurka.

Cate stała obok niego, ale jej wbity w podłogę wzrok i ciasno zaplecione na piersi ręce świadczyły o tym, że myślami jest zupełnie gdzie indziej. Vida chodziła tam i z powrotem po ciasnej przestrzeni z rękami na biodrach.

– I agenci, którzy tu przebywali, odeszli – dokończyłam za niego. *Cholera*.

Cole był pewien, że agenci, którzy wyjechali z Cate w poszukiwaniu transportu, byli wobec niej przynajmniej na tyle lojalni, by zostać i pomóc.

– Tak, i to zabierając niemal wszystko, co się dało, łącznie z większością jedzenia – odpowiedział Cole z zaskakującym spokojem w głosie. – Cate i Dolly zamierzały wyruszyć na poszukiwania, by nas odnaleźć. Wygląda na to, że naprawdę udało ci się wszystkim wmówić, że jedziemy do Kansas. Będziemy musieli wyposażyć to miejsce od zera, ale to jest do zrobienia.

Cate nagle uniosła głowę.

– Jak to udało się jej wszystkim wmówić?

– Wiedzieliście o tym? – W głosie Vidy pobrzmiwała uraza. – To wy ich odesłaliście?

Podniosłam ręce. Miałam ochotę uciec jak najdalej przed ich nienawistnymi spojrzeniami i ledwie oparłam się odruchowi, by przywrzeć do drzwi.

– Tak. Zmanipulowałam ich, by pojechali prosto do Kansas, żebyśmy mogli się od nich odłączyć. Przyznaję, że powinnam się była upewnić, że nie nawiążą kontaktu z agentami stąd, zanim przyjedziemy.

– Co ty bredzisz? – syknęła Vida.

– Chciałam zadać to samo pytanie. – Cate zmierzyła Cole’a lodowatym spojrzeniem. – Wyjaśnij, co dokładnie zamierzaliście dzięki temu osiągnąć.

– Nic takiego... Chcieliśmy tylko ocalić życie wszystkim dzieciom, które były z

nami – odparował Cole, opierając dłonie na kolanach. – Chcesz wiedzieć, co planowała twoja kumpela Sen? Chcieli rozdzielić dzieci między kilka samochodów i wywieźć je daleko od Los Angeles, tak żeby myślały, że nic im nie grozi, po czym wydać je żołnierzom w zamian za kasę.

Nie sądziłam, że to możliwe, ale Cate zbladła jeszcze bardziej. Vida przestała chodzić i stanęła jak wryta.

– Skąd masz pewność? – zapytała Cate.

– Zobaczyłam to w jej umyśle – odparłam, pozwalając, by wypełniająca mnie żółć przebiła się przez słowa. – Zaplanowała wszystko co do minuty. Potrzebowali pieniędzy, żeby kupić broń i materiały wybuchowe na czarnym rynku. Chcieli uderzyć w Waszyngton. Wyzwalanie obozów zupełnie ich nie obchodzi.

– Wszystko poszło zgodnie z planem... Prawie wszystko – poprawił się Cole. – Nie daj się zwariować, Conner. Nikomu nic się nie stało. Żadnego ryzyka. Odejdzie twoich towarzyszy broni świadczy jedynie o tym, że nasze przeczucia były słuszne. Wszyscy mają gdzieś pomaganie dzieciom. Teraz przynajmniej Ranczo należy do nas i nikt nie wie, jakie mamy plany. Jeśli agenci zostaną zatrzymani albo aresztowani przez ludzi prezydenta, dostarczą im mylnych informacji. Ta baza świetnie nadaje się dla nas, nie dla nich. Jest cicha, ma elektryczność i wodę, a teraz również mnóstwo wolnego miejsca do pracy.

– Tak, spójrzmy zatem na to, czego nie mamy! – Cate w końcu nie wytrzymała. Na jej pobladłej twarzy pojawiły się wypieki, trzęsła się i było widać, że ledwo panuje nad wściekłością. – Pozbawiliście nas profesjonalistów. Ludzi potrafiących przeprowadzić ataki na obozy, na których tak wam zależy. Mogących ochronić te wszystkie dzieci! Powinniśmy byli poświęcić czas na przeciągnięcie ich na naszą stronę, a nie manipulować nimi, żeby sami wpadli na pomysł, by odejść. A poza tym jak śmiesz podejmować tego typu decyzje, nawet się ze mną nie konsultując?! Nie mogę... – Potrząsała głową, świdrując mnie wzrokiem z takim gniewem, że musiałam odwrócić oczy. – Ruby, co to ma znaczyć?

– Daj spokój, Conner – rzucił Cole z irytacją w głosie. – Chodzi o to, by przygotować te dzieci do walki. Żeby urosły w siłę.

– Ty chcesz urosnąć w siłę – odcięła się ostro Cate.

Gdyby w pokoju nie było Vidy, nie wiem, jak Cole by na to odpowiedział albo co by zrobił. Widziałam, jak zaciska pięści.

– Rozumiem, Cole – kontynuowała Cate. – Naprawdę. Ale to nie była właściwa droga. Zabrali komputery. Mam *jeden* laptop i to tylko dlatego, że wczoraj wieczorem wzięłam go ze sobą do sypialni, żeby trochę popracować, i zdołałam go schować, kiedy zaczęli mówić o wyjeździe. Uniemożliwią nam dostęp do systemu. Co wtedy zrobimy? Spaliłeś most, a nie ma innej drogi powrotnej.

Liga Dzieci przez wiele lat nieprzerwanie tworzyła sieć informacji na każdy temat. Obejmowała ona miejsca pobytu byłych polityków, bazy danych łowców nagród i SSP, plany budynków i tajne lokalizacje. Liczyłam na to, że przed wyzwoleniem obozów będziemy mieć wgląd w te dane. Potrzebowaliśmy przede wszystkim zdjęć satelitarnych obozów, które cudem udało się zrobić.

– Zieloni potrafią się włamać do sieci Ligi, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości – powiedział Cole. – Przecież to oni ją stworzyli. A ja poczyniłem pewne kroki i zabezpieczyłem nam kopię zapasową wyników badań nad leczeniem OMNI. Zastanawia mnie tylko jedno: gdzie jest pendrive z danymi, które wykradłem z Leda Corporation, dotyczącymi przyczyny choroby?

Cate zacisnęła zęby i odwróciła wzrok. Z trudem przełknęła ślinę. Milczała tak długo, że załapa mnie fala lodowatego paraliżującego strachu.

– Jest w śmieciach. Nie byliśmy wystarczająco daleko od miasta, kiedy nastąpił atak. Impuls elektromagnetyczny wszystko wymazał... Przykro mi. Żałuję... – Urwała w pół słowa, potrząsając głową.

Opadłam ciężko na jedno z krzeseł. Miałam coraz silniejsze wrażenie, że idę długim tunelem w kierunku przeciwnym do pozostałych. Prawie nie usłyszałam sarkastycznego „no to cudownie” Cole’a i nie zarejestrowałam, że Cate wstała i skierowała się do drzwi.

– Dokąd się wybierasz? – warknął Cole, kiedy mnie mijała. – Pozwól tym dzieciom trochę się przespać.

– Nie idę do dzieci – odparła chłodno. – Jadę za agentami, żeby naprawić to, co

zepsuć. Namówić ich do powrotu i współpracy.

Chłód w jej głosie przeszył mnie na wskroś. Nigdy jej takiej nie widziałam. Jeszcze nigdy nie wystrzeliła we mnie pełnego arsenału swojego gniewu. Sama jednak też byłam zła, a nawet wściekła. To ona nas zostawiła. Nie było jej obok, kiedy tego potrzebowałam, i robiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby pomóc pozostałym przetrwać.

– Chcesz, żeby wrócili? – zapytałam. – O kogo ci chodzi? O tych, którzy opuścili cię bez mrugnięcia okiem i polecili się bawić w terrorystów? A może o tych, którzy chcieli wydać nas żołnierzom SSP?

Nie była w stanie nawet na mnie spojrzeć.

– Jestem pewna, że zaszło jakieś nieporozumienie...

– Masz rację – odparłam. – To ja nie rozumiałam, jak bardzo wypierasz prawdę...

– Ruby! – warknęła Vida. – Zamknij się, do chole...

– Nie wiem, ile razy będą jeszcze musieli ci to udowadniać, ale tym ludziom nigdy nie zależało na Lidze, do której ty się przyłączyłaś. Na Lidze, której celem było uwalnianie dzieci tkwiących w obozach. Zrozum, że wiele dzieci codziennie umiera na chorobę, którą niebawem być może będzie dało się wyleczyć. Nie potrzebujemy agentów! Są skazą na tym, co usiłujemy osiągnąć! *O b u d ź s i ę!*

– Nie pozwolę, by dzieci udawały żołnierzy – odparła Cate.

– Kiedyś nie miałas z tym problemu – odcięłam się gorzko.

– Nadzorowali cię wyszkoleni agenci, którzy przewodzili grupom bojowym...

– Jasne. Masz na myśli tych, którzy potem zmienili front i zaczęli się nas po kolei pozbywać? A może Roba, który próbował zabić w jednym „wypadku” mnie i Vidę? Czy ty w ogóle wiesz, że ruszył za nami w pościg? *P o l o w a ł* na nas. Założył mi kaganiec!

Vida miała poszarzałą twarz i stała jak zamurowana. Odruch, by bronić Cate przed atakiem, wyraźnie walczył w niej ze świadomością, że mówiłam prawdę. Cole chciał położyć mi rękę na ramieniu, ale się odsunęłam. Czekałam, aż Cate na mnie spojrzy. Czekałam na odpowiedź.

– Razem z Dolly opuszczę was z samego rana – powiedziała cicho. – Agenci

wyjechali zaledwie kilka godzin temu. Jeszcze zdążymy ich dogonić.

Poczułam się, jakby wymierzyła mi policzek.

– Dobrze. W takim razie jedź.

– Powodzenia – dodał Cole z ledwie wyczuwalną ironią w głosie.

Spojrzała na mnie ostatni raz, po czym z impetem otworzyła drzwi i głośno je za sobą zatrzęsnęła. Vida zerwała się i popędziła za nią. Patrzyłam przez okna sali komputerowej tak długo, aż zniknęły. Wytrzymałam tylko chwilę i już miałam za nimi pobiec, ale Cole chwycił mnie za rękę i zatrzymał.

– Pozwól im ochłonąć. Są zdenerwowane, ale nie dało się tego inaczej rozegrać.

– Naprawdę? – Pytanie wystrzeliło z moich ust, zanim zdążyłam się ugryźć w język. Czułam, że do mojego złamanego serca przenikają wątpliwości.

Z tunelu dobiegł nas kolejny głośny jęk protestu otwieranych drzwi. Oboje zerwaliśmy się na równe nogi i popędziliśmy do korytarza. Byłam tak pewna, że to Cate spełnia swoją obietnicę i wychodzi, znikając w ciemnościach, że widok brudnych, zmęczonych twarzy ośmiorga dzieci niemal zwałił mnie z nóg.

Każde kolejne wyglądało na jeszcze bardziej przerażone. Na samym końcu pojawiła się senator Cruz, która pokonując kilka ostatnich stopni, odganiała się od wyciągniętych w jej stronę chętnych do pomocy rąk. Stanęła po mojej lewej i zaczęła się rozglądać, unikając nieufnego spojrzenia Dolly.

– Pobiliście rekord szybkości! – powiedział Cole, po czym zaczął poklepywać dzieci po plecach. W odpowiedzi otrzymał kilka uśmiechów i pełnych ulgi uścisków.

– Mieliście jakieś problemy?

– Nie. Wprawdzie po twoich wyjaśnieniach nie bardzo wiedzieliśmy, jak dojdziemy do bazy zza baru, ale kiedy dotarliśmy na miejsce, wszystko się poukładało. – Zach, wysoki, śniady lider jednego z zespołów Niebieskich, zdawał się zupełnie niewzruszony. Przeczesał palcami swoje ciemne włosy i rozejrzał się wokoło.

Jeśli przyjąć, że chłopak był uosobieniem luzu i pewności siebie, to Nico stanowił jego całkowite przeciwieństwo. Zdawał się mały i przerażony. Włosy sterczały mu na wszystkie strony, jakby przez minioną dobę rwał je sobie z głowy. Zaplótł ręce na

piersi, chwytając się za łokcie, i ciężko oddychał. Do chwili, gdy zobaczył Cate... Przedzierała się do niego, odsuwając pozostałe dzieci, ale on zamiast rzucić się na nią jak wcześniej Vida, schował twarz w dłonie i zaczął łkać.

Tylko tak można opisać dźwięki, które z siebie wydawał. Wzniosły się ponad podekscytowany gwar i stłumiły pytania i śmiech, zamieniając je w szept. Przewróciło mi się w żołądku – musiałam odwrócić wzrok i wsłuchać się w brzęczenie świetlówek. Żadne z dzieci do niego nie podeszło, jedynie senator Cruz, która swoim wyrazem twarzy dała jasno do zrozumienia, co myśli o naszej reakcji. Kobieta otoczyła go ramionami, ubiegając Cate.

Odwróciłam się do Dolly, by zapytać o prysznice i sypialnie. Pragnęłam się odciąć od nieznośnego szlochu Nico, rozczarowania Cate i naiwnego podekscytowania pozostałych dzieci, które nie wiedziały, że są w miejscu rozgrabionym do tego stopnia, że niemal nie da się w nim mieszkać.

Z tego, co zdążyłam zauważyć, Ranczo miało dwa poziomy o identycznym rozkładzie. Każdy z nich był rozplanowany wzdłuż dwóch równoległych korytarzy, które łączyły się na obu końcach podwójnymi drzwiami. Od każdego z nich odchodziło dziesięć pomieszczeń. Przy korytarzu, do którego wchodziło się z tunelu schodami, znajdowało się kilka maleńkich pokoi do spania, kuchnia oraz pralnia. Jedne drzwi były otwarte, więc zajrzałam do środka – stały tam cztery łóżka piętrowe.

Z sąsiedniego pokoju dochodziły głosy. Były stłumione, ale rozpoznałam wybuch oburzenia Pulpeta. Podeszłam do drzwi i chwyciłam za klamkę. Zdziwiłam się, że są zamknięte.

– ... nie mogła normalnie nam powiedzieć? – Vida prychnęła. – Nie wierzę, po prostu nie wierzę, do jasnej cholery! Jeśli nasze życie było w niebezpieczeństwie, czemu konspirowała z Cole’em? To my powinniśmy byli się dowiedzieć jako pierwsi!

Oparłam czoło o drzwi i słuchałam dalej.

– Ona i Cole już od jakiegoś czasu zachowują się jak najlepsi kumple – zawtórował jej Pulpet. – Wcale mnie nie dziwi, że odstawili taki numer.

– To nie ma sensu. – Liam mówił tak cicho, że ledwie go słyszałam.

Zaczęłam się wycofywać. Krew dudniła mi w uszach – nie mogłam uwierzyć, że mówią o mnie z takim gniewem.

Ruszyłam w dół korytarza w kierunku schowka, o którym powiedziała mi Dolly. Po ręcznikach nie było ani śladu, ale w worku na cywilne ubrania, którego zapomnieli agenci, znalazłam miękką obszerną czarną koszulę. Wzięłam ją ze sobą i poszłam do łazienki, szczęśliwa, że przynajmniej nie będę musiała wkładać z powrotem swoich brudnych ciuchów.

Mijający poranek wydawał mi się coraz mniej realny. Rozebrałam się i weszłam do jednej z kabin prysznicowych. Woda wytrysnęła z zardzewiałej słuchawki lodowatym strumieniem, natychmiast mnie ochładzając i łagodząc mrowienie skóry głowy. W każdej z kabin znajdowały się zbiorniki na mydło i szampon: pokaźne przemysłowe pojemniki, które były już w połowie puste. Zgarbiłam się i wbiłam wzrok w wirującą pod stopami i znikającą gdzieś głęboko, głęboko wodę. Oddychałam. Smugi brudu, które nie chciały zejść z moich żeber i nóg, okazały się siniakami. Oddychałam. Wdech, wydech.

Po prostu oddychałam.

6

Nie sędę, bym spała. Raczej na przemian traciłam i odzyskiwałam przytomność. Leżąc płasko na plecach z rękami złożonymi na brzuchu, słuchałam odgłosów budzącego się do życia Rancza. Po korytarzu niosły się głosy: pytania o nastawione wcześniej pranie, narzekania na brak ciepłej wody w prysznicach, śmiech... Kiedy usłyszałam, że woła mnie Vida, zamknęłam oczy.

Wstawaj – rozkazałam sobie. – Musisz się z tym zmierzyć...

Przerzuciłam nogi przez krawędź łóżka, potarłam twarz i zaczesalam włosy do tyłu, usiłując spać je w kucyk. Włączyłam światło i otworzyłam drzwi. Kiedy wyszłam, Vida właśnie zawracała na drugim końcu korytarza.

– Co się dzieje? – zapytałam.

– No nareszcie! Wyspałeś się, śpiąca królewno? – syknęła. – Czekają na ciebie... Czekają przez godzinę, ale się nie pojawiłaś! Co, jesteś za dobra, żeby powiedzieć im „do widzenia”?!

Poczułam, jak na dnie mojego żołądka wije się coś lodowatego.

– Cate i Dolly już wyjechały?

Po wszystkim, co się wydarzyło przez ostatnie kilka miesięcy, byłam zaskoczona, jak dotkliwie mnie to zabolalo. Nie zajrzały do mnie, żeby się pożegnać, nie zostały, by do końca nas wysłuchać. Cate wołała zaryzykować i zniweczyć wszystko, co osiągnęliśmy, odsyłając agentów. Była gotowa błagać ich, by wrócili, sabotując nasze działania.

– Jest prawie trzecia po południu – powiedziała Vida.

Gapiałam się na nią z niedowierzaniem. Lodowata maska na jej twarzy w końcu zaczynała tajać. Pokręciła głową, burcząc coś pod nosem, a ja udawałam, że jej nie słyszę.

– Cały czas spałaś? Musiałaś być bardziej sterana, niż myślałam.

– Posłuchaj... – zaczęłam. – Jeśli chodzi o sprawę z rana...

Wyciągnęła przed siebie otwartą dłoń.

– Rozumiem. Mam tylko jedno pytanie: czy nie powiedziałaś mi o planie Sen, bo się bałaś, że dziabnę ją nożem w nery?

– Tak, po części dlatego.

– W takim razie nie znasz mnie tak dobrze, jak ci się wydaje. Bo celowałabym prosto w serce... Ale rozumiem.

– Gdzie są wszyscy?

– Dziadek leży gdzieś i gnije. A harcerzyk wkurza towarzystwo w kuchni.

– Co? Jak to? – zapytałam, ale Vida tylko wzruszyła ramionami. – A Zu?

W jednej chwili jej twarz znowu zastygła. Kiedy się odezwała, jej głos był tak ostry, jakby chciała mnie oskalpować.

– Czy wyglądam, jakby mnie obchodziło, gdzie ona się podziewa?

– Vida, posłuchaj...

Cokolwiek ją uwierało, nie chciała o tym rozmawiać. Zanim się obejrzałam, kierowała się w stronę schodów.

– Musimy w końcu o tym pogadać – powiedziałam, ruszając za nią. Spojrzenie, które mi posłała, zatrzymało mnie jednak w pół kroku. Tak patrzył tylko ktoś, kto chciał być zostawiony w spokoju.

– A tak przy okazji – rzuciła jednak – na wypadek gdyby cię to obchodziło, kiedy Cate wchodziła do tunelu, powiedziała mi: „Przekaż Ruby, że kto igra z ogniem, w końcu się sparzy”. Mówi ci to coś?

– Nie – odparłam po chwili. – Nie mam pojęcia, o co jej chodziło.

Vida po części miała rację. Liam rzeczywiście był w kuchni, z tym, że na jej tyłach, w ciemnej spizarce za kuchenkami i zlewozmywakami. Otworzył drzwi na oścież, by wpuścić do środka trochę światła i wspomóc niewielką latarkę, którą ścisnął między zębami. Bazgrał coś w małym kołowym notesiku. Sięgnęłam do włącznika światła, gotowa się nabijać, że go przeoczył, ale... nic. Spróbowałam dwukrotnie, żeby się upewnić.

Liam wyciągnął latarkę z ust i się uśmiechnął. W jednej chwili minione kilka

godzin opadło ze mnie i rozpląnęło się w mulistą kałużę.

– Wyobraź sobie, że potrzebujemy trzydziestu sześciu nowych żarówek. Co im strzeliło do łbów, żeby je ze sobą zabrać? – Dziwił się.

– Dokładnie trzydziestu sześciu? – Zaśmiałam się lekko. – Ocenieś to na oko?

Wyglądał na zdeorientowanego.

– Nie. Policzyłem. Wcześniej zrobiłem obchód z Kylie i Zu. Przydałoby się nam też pięć nowych zamków do drzwi, kilkanaście litrów płynu do prania i jakieś dwa tuziny ręczników. I jeszcze to... – Liam wskazał przed siebie na półki. – Niewiarygodne. Nie mam pojęcia, skąd wytrzasnęli tyle puszek z burakami. Boże, nawet nie potrafię sobie wyobrazić, co można z nimi zrobić.

– Na przykład usmażyć, ugotować zupę, zamarynować...

– Faj! – Zatkanął sobie uszy i naprawdę się wzdrygnął. – To już wolałbym duszone pomidory.

– Naprawdę jest aż tak fatalnie? – Weszłam za nim do spiżarni.

Rzeczywiście było źle. A nawet gorzej. Poza kilkoma bochenkami chleba i plasterkami wędliny schowanymi w lodówce dysponowaliśmy jedynie warzywami w puszkach i śmieciowym jedzeniem takim jak paluszki i chipsy.

Liam przerzucał produkty z nadzieją, że znajdzie makaron, puszki zupy albo owsiankę, a ja oparłam się o niego i zamknęłam oczy. Na plecach czułam ciepło jego piersi i z przyjemnością słuchałam, jak wychodzą z niego kolejne podekscytowane słowa. Pociągnął mnie delikatnie za włosy.

– Nudzę cię, co? – rzucił.

– Nie, przepraszam. Naprawdę cię słucham. Mówiłeś o Lucy, prawda?

– Tak. Należała do grupy dziewczyn, które zajmowały się rozdzielaniem zapasów jedzenia w East River. Myślę, że pomoże nam rozdysponować to, co mamy, i doradzi, o co powinniśmy się postarać.

Racja. Wiedziałam, że będziemy musieli zorganizować zespoły odpowiedzialne za wyprawy po żywność i zaopatrzenie. Było nas jednak bardzo niewiele i podejrzewałam, że Cole wyrazi na to zgodę jedynie, jeśli sytuacja zrobi się naprawdę tragiczna. A już zupełnie nie wyobrażałam sobie, że pozwoli wyjść Liamowi.

– Jesteś zmęczona – powiedział, gładząc mnie kciukiem po policzku. – Gdzie się podziewałaś? Chciałem na ciebie poczekać, ale zasnąłem, jak tylko przyłożyłem głowę do poduszki.

– Wzięłam prysznic i byłam tak wykończona, że nie miałam siły szukać waszego pokoju – odparłam, nie przyznając się, że celowo położyłam się gdzie indziej. Nie chciałam teraz tego poruszać, bo moja głowa była równie ciężka jak serce. Po spięciu z Cate wyparowała ze mnie cała waleczność. – Znalazłam pierwsze wolne łóżko i starałam się zasnąć.

Sięgnął na górną półkę, zdjął z niej puszkę zawierającą jedną porcję owoców i zerwał wieczko, zanim zdążyłam zaprotestować. Kiedy wychylałam jej zawartość, wrócił do skrupulatnego liczenia zapasów. Na jego twarzy malowały się wszystkie rozmowy, które chciał ze mną odbyć, i każde nurtujące go pytanie, co wypełniało mnie narastającym niepokojem.

– Niechętnie cię o to pytam, ale... Zamierzałaś nam powiedzieć o agentach i o tym, co zrobiliście, prawda? Nie kazałabyś się nam zastanawiać, co sprawiło, że na Ranczo dojechały same dzieci?

– Powinnałam być wam powiedzieć, kiedy tylko wyjechaliśmy z miasta. Ale tyle się działo, że po prostu mi to umknęło.

– Mogłaś nas wtajemniczyć przed wyjazdem – odparł łagodnie.

– Nie było na to czasu. A poza tym gdyby ktoś w jakikolwiek sposób pokazał, że wie, co się dzieje, agenci mogliby się zorientować, co zamierzam. Musieliśmy się spieszyć.

– Ty i Cole.

– Twój brat zna agentów lepiej niż ktokolwiek z nas. Potrzebowałam jego pomocy, by sprawić, że moja sugestia wyda się im prawdopodobna.

A poza tym gdybym ci powiedziała, nalegałbyś, byśmy odeszli, dodałam w myślach.

Chwilami, a w zasadzie przez większość czasu trudno było mi uwierzyć, że którekolwiek z nas miało kiedyś odrębne życie. Nasze światy zbiegły się i były tak mocno ze sobą splecione, że miałam odruch, by o wszystkim mu mówić, by

wsluchiwać się w jego myśli i sprawdzać, czy biegną tym samym torem co moje. Wprawdzie kiedyś zataiłam przed nim, czym jestem i co zrobiłam swoim rodzicom, ale teraz... Nie chodziło o to, że sekret dotyczący agentów był gorszy, ale z jakiegoś powodu naszło mnie uwierające, silne przeczucie, że nasze połączenie zaczęło szwankować. Zakłóciłam naturalny porządek naszej relacji. Przygryzłam usta, patrząc, jak marszczy brwi tak samo jak jego brat, kiedy się koncentrował.

– To dlatego spanikowałaś, prawda? Dopiero tu się dowiedziałaś...? – Liam potarł dłonią czoło. – Cholera. Co teraz będzie?

– Zbierzemy się podczas kolacji, żeby omówić plan wyzwolenia kilku obozów.

– To całe nasze jedzenie, więc kolacja zapowiada się raczej skromnie... Ale coś wymyślę. Wszystko będzie dobrze.

Przytulił mnie i przyciągnął ku sobie. Przycisnęłam twarz do jego ramienia, objęłam go w pasie i wydałam z siebie rozedrgane westchnienie.

Było mi dobrze. Właśnie jego bliskości potrzebowałam teraz najbardziej. Po raz pierwszy od rana głowy nie wypełniała mi gonitwa myśli. Tu, w ciemnościach, w jego objęciach, wszystko inne zdawało się odległe. Serce chciało wyskoczyć mi z piersi. Liam całował moje włosy i policzki, a ja myślałam: *Nie wolno mi go stracić. Nie wolno...* Nie mogłam powiedzieć mu wszystkiego, jeśli miał skorzystać na tym, co usiłowaliśmy osiągnąć. Nie, jeśli miałam go chronić. Ale z *t e g o* nie musiałam rezygnować, prawda?

– Wierzysz mi, że chcę cię chronić? – zapytałam. Wiedziałam, że brzmi to irracjonalnie, ale nagle wydało mi się bardzo ważne. Wyraźnie widziałam, że go zraniłam, zatajając prawdę o agentach.

– Kochanie, gdybym miał wybierać między tobą a setkami najlepszych ochroniarzy, bez wahania wybrałbym ciebie.

Zaskoczyłam go, stając na palcach i namiętnie całując go w usta. Odsunęłam się, ale w dłoniach ciągle mięłam jego koszulę. Mój własny głos wydał mi się cichy i szorstki. Z trudem znajdowałam słowa. Byłam tak skrepowana, że wydawało mi się, iż nie zdołam powiedzieć tego, co zamierzam.

– Chcę...

Wyraz oszołomienia zniknął z jego twarzy. Patrzył na mnie skupiony. Czekał.

Chcę... Czułam, że robię się czerwona, ale nie wiedziałam, czy to z zawstydzenia, czy przez obrazy, które pojawiły mi się przed oczami. Po raz pierwszy czułam się tak onieśmielona i spięta. Całowaliśmy się już wcześniej. *Naprawdę* się całowaliśmy. Ale za każdym razem popychał nas do tego strach, niepokój albo gniew, a później gwałtownie odciągał nas od siebie świat zewnętrzny. Teraz po raz pierwszy mogłam naprawdę objąć go myślami. Całego. Powoli go studiować. Dotyk jego dłoni. Szorstkość zarostu. Delikatne, ciche dźwięki wydobywające się z jego gardła podczas pocałunku.

Byliśmy w spiżarni zaraz przy kuchni, w której krzątały się dzieci. Racjonalna część mnie rozumiała ograniczenia tej sytuacji. Nie wiedziałam jednak, co się stanie i kiedy w innym miejscu znowu uda się nam być tylko we dwoje. Poczułam, jak ogarnia mnie lekki strach, karmiony w takiej samej mierze paniką i pragnieniem. Nie miałam pojęcia, co zrobić, jak tego nie zepsuć.

Liam odchylił się, by się oprzeć o półki i wziął mnie za rękę. Zalała mnie fala ulgi, kiedy zobaczyłam, że się uśmiecha. Rozumiał. Oczywiście, że rozumiał. Od chwili, kiedy mnie spotkał, znał mnie lepiej, niż ja sama.

Kiedy się odezwał, brzmiał słodko, ale jego twarz wyrażała coś zupełnie innego. Miał błyszczące, głodne spojrzenie. Zakłuło mnie w żołądku, kiedy zdałam sobie sprawę, że to z mojego powodu.

– Skarbie, mnie też przyszło coś do głowy.

– Naprawdę? – zapytałam cicho. Nie mogłam się skoncentrować, bo w tej samej chwili przeciągnął kciukiem po mojej dolnej wardze.

– Naprawdę. Biorąc pod uwagę to, że ty masz siedemnaście, a ja osiemnaście lat, uważam, że mamy pełne prawo cieszyć się sobą jak normalne nastolatki. Jak zwykle szczęśliwe, szalone dzieciaki. – Zahaczył dwa palce o pas moich dżinsów i pociągnął mnie ku sobie.

Uwielbiałam, kiedy mówił do mnie zniżonym głosem. Jego akcent stawał się wtedy jeszcze wyraźniejszy i ciepły niczym letnie powietrze na dziesięć minut przed burzą. Spadł na mnie grad uroku charakterystycznego dla braci Stewartów, przed

którym nie potrafiłam się bronić.

– Chcesz poznać zasady? – zapytał.

Serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi, kiedy kiwałam głową. Liam przesunął dłonią po moim biodrze i wsunął mi ją pod bluzkę, idealnie wpasowując jej ciepły kształt w zagłębienie moich lędźwi. Zamknęłam oczy, a jego usta delikatnie otarły się o moje. Jego dotyk dodawał mi odwagi. Odepchnęłam niepewność, zanim zdołała mnie dopaść.

– Po pierwsze, nie możesz się za wiele nad tym zastanawiać. Po drugie, to ty wyznaczasz granice. Po trzecie, możesz robić wszystko, co sprawia ci przyjemność. Po czwarte...

– Przestań gadać... – przerwałam mu, wyciągając na oślep rękę, żeby zamknąć drzwi. – I mnie pocałuj.

Roześmiał się, ale nie powiedział już ani słowa. Jego radość była zaraźliwa. Ja też się roześmiałam, ponieważ łaskotały mnie wszystkie zakończenia nerwowe. I jeszcze dlatego, że pierwsza zasada, którą wymienił, była zupełnie niepotrzebna. Liam był jedyną myślą w mojej głowie. Tysiącem dzikich uczuć eksplodujących w mojej klatce piersiowej. Pogłębił pocałunek, otwierając mi usta. Odwzajemniłam muśnięcie jego języka, otrzymując w zamian cichy jęk zadowolenia.

Byłam normalna. Szczęśliwa. Szalona. Dla niego.

Po tym, jak przez pół godziny wołał mnie na korytarzu, Cole w końcu wmaszerował do kuchni i rzucił się przeszukiwać dużą rozpadającą się lodówkę. Zajęło mi chwilę, żeby odkleić się od Liama i doprowadzić do porządku. W końcu jednak wyszłam do Cole'a.

– Bestia musi coś zjeść – powiedział, nalewając wody do plastikowego kubka. – Zapomniałaś o nim?

Cudowne lekkie szczęście w jednej chwili zupełnie ze mnie wyparowało i znowu dopadła mnie rzeczywistość.

– Cały czas pamiętam o Clancym. – Irytacja dodawała moim słowom ostrości. – Ale czy przypadkiem nie kazałeś mi zdać się w tej kwestii na ciebie?

– Nigdy się na niego nie zdawaj! – zawołał ze spiżarni Liam.

Cole się uśmiechnął.

– Po tych wszystkich prochach, którymi go naszprycowałem, z bólu pęknie mu łeb. Kiedy pakowałem go do jego małej celi, dopiero zaczynał dochodzić do siebie. Prawie gotował się z wściekłości.

– Dobra. Miejmy to z głowy.

Zamiast na górę Cole poprowadził mnie korytarzem w głąb dolnego poziomu. Minęliśmy kilka pokoi, po czym zatrzymaliśmy się przed drzwiami z napisem „ARCHIWUM”, a Cole wyciągnął mały brelok z kluczem i mi go wręczył. Zamek nie puścił od razu, ale w końcu ustąpił. Rozejrzałam się wokoło, by się upewnić, że nikt nas nie obserwuje, i szarpnęłam za klamkę, sprawdzając, czy drzwi się zatrzasną. Wślizgnęliśmy się do środka i Cole pociągnął za sznurek przytwierdzony do jedynej zwisającej z sufitu żarówki.

Moim oczom ukazały się proste metalowe półki zagracone pudłami i stertami papierów – jeśli wierzyć napisowi na drzwiach, najprawdopodobniej była to dokumentacja odbytych misji. Na pierwszy rzut oka wyglądało to dość przekonująco. Obrzuciłam spojrzeniem równe rzędy teczek i segregatorów, podczas gdy Cole przesuwiał dwie znajdujące się na tylnej ścianie szafki.

– To ta – powiedział. – Ta z czerwonym pudełkiem. Pociągnij.

Sięgnęłam ponad górną krawędź pudełka wielkości koperty. Ktoś całkiem niedawno stał kurz z jego wieczka, szukając wajchy schowanej na poprzecznej tylnej listwie szafki. Zacisnęłam na niej palce i uniosłam ją. W odpowiedzi rozległo się głośne kliknięcie i szafka z impetem odskoczyła w moją stronę. W znajdującym się za nią korytarzu automatycznie zapaliły się świetlówki, zalewając ciasny schowek oślepiającym białym światłem.

Po chwili marszu surowym tunelem dotarliśmy do kolejnych zamkniętych drzwi. Tym razem musiałam wsunąć kluczyk w zamek i wstukać kod dostępu: 4-0-0-4-0-0-4. Drzwi odblokowały się z sykiem.

– Zaczekam tu na ciebie – powiedział cicho Cole. – Daj znać, jeśli będziesz mnie potrzebować.

Był to kolejny punkt naszej umowy: Cole chciał, by ktoś czuwał za drzwiami za

każdym razem, gdy przynosiłam Clancy'emu jedzenie. Najpierw uznałam, że może to być on, Cate lub Vida, ale później do listy dodałam też Pulpeta, który zawsze był odporny na wpływy młodego Graya.

Weszłam do kolejnego korytarza, pozwalając, by Cole zamknął za mną drzwi. Znajdowały się tu wejścia do dwóch cel szerokich na trzy metry i długich na mniej więcej metr. W każdej z nich stały prycza, plastikowa toaleta oraz wiadro, przy którym można było umyć twarz i zęby. W porównaniu z zawilgoconymi, zapleśniałymi pomieszczeniami w bloku przesłuchań w Bazie miały o niebo wyższy standard. Były również o wiele jaśniejsze – nagie fluorescencyjne żarówki zwisające z sufitu rzucały mocne światło, które odbijając się od białych ścian, stawało się niemal oślepiające. Z pewnością nie były to warunki, do jakich przywykł Clancy, choć wyglądał na dość zadowolonego, leżąc na pryczy z rękami zarzuconymi na twarz. Cole najwidoczniej umył go i przebrał w czysty dres, zanim go tu zamknął. Uważałam, że Clancy nie zasługiwał nawet na tyle.

Podeszłam bliżej, ale on nawet się nie poruszył. Metalowa klapka w oddzielających nas drzwiach miała kolejny zamek – zgadywałam, że mój klucz pasuje i do niego. Nie pomyliłam się. Otworzyła się z piskiem, ale Clancy w dalszym ciągu nawet nie drgnął. Rzuciłam na ziemię torbę z jedzeniem i postawiłam szklankę z wodą na wąskiej podpórce z drugiej strony drzwi. Clancy czekał. Odezwał się, dopiero kiedy zawróciłam, by odejść.

– Wprowadzanie się nie idzie wam za dobrze, co? – W jego głosie brzmiała niepokojąca ciekawość. Przekręcił głowę i spojrzał na mnie. – Twoje myśli są tak głośne, że słyszę je nawet przez szybę.

To było niemożliwe, ale w pierwszym odruchu wystraszyłam się, że mówi prawdę. Czułam jednak, jak bezskutecznie dobija się do mojej głowy, próbując wniknąć do umysłu. Zawsze towarzyszyły temu fale mrowienia na potylicy i wzdłuż szyi.

Stopą przyciągnął ku sobie jedzenie, a kiedy rozłożył kanapkę, zrobił kwaśną minę.

– Co to ma być? Na wschód od Teksasu nie uświadczy się steków? Co to za mięso?

Już miałam przewrócić oczami, ale zdałam sobie sprawę, że mówi poważnie.

– To szynka wieprzowa.

Powąchał kanapkę, wykrzywiając z obrzydzeniem usta, po czym z powrotem zawinął ją w folię.

– Wolę umrzeć z głodu.

– Bardzo proszę.

– Z innej beczki – zupełnie zignorował moją zaczepkę – jestem rozczarowany, że nie obnosisz się ze swoim sukcesem. Spodziewałem się, że wpadniesz tu, triumfując, szczęśliwa, że odnalazłaś swój mały pendrive. Co zepsuło ci humor?

– Właśnie na to patrzę.

Roześmiał się lekko.

– Przecenilem cię, zakładając, że przez te kilka godzin wszystko zrozumiesz. Ciekawe, czy ten dysk w ogóle działa, czy impuls elektromagnetyczny zupełnie go wyczyścił. A jak się mają cenne strony, które uratowałaś od spalenia? O Thurmond nawet nie pytam, bo pewnie nie masz pojęcia, co się tam wyczynia.

Miałam wrażenie, że niewidzialna ręka zaciska mi się na gardle, zmuszając, bym pochyliła się do przodu. *Thurmond?* Co takiego mogło się tam dziać, że Clancy patrzył na moją zdziwioną minę z takim rozbawieniem.

Nic nie mów – rozkazałam sobie, walcząc z paniką, która zaczynała się wić wokół myśli o obozie. – *Nie reaguj.*

Clancy odłamał kawałek chleba i wrzucił go sobie do ust. Widząc, że o nic go nie pytam, uśmiechnął się kpiąco.

– Jeśli cię to interesuje, będziesz musiała zajrzeć i sama się przekonać. – Postukał się w skroń.

Nie wiedziałam, czy to wyzwanie, czy zaproszenie.

– Wiem, że jesteś wściekła o to, co się wydarzyło w Los Angeles.

Thurmond – nie mogłam myśleć o niczym innym. To słowo było niby zakażenie, o czym, jak podejrzewałam, Clancy dobrze wiedział. – *Więzimy go od wielu tygodni, więc niemożliwe, by miał jakiekolwiek świeże informacje.* Ale co, jeśli to wcale nie były nowe fakty...? Co, jeśli była to karta, którą zachował dla siebie, by móc nią

zagrać w najdogodniejszym momencie?

Odpowiedziałam dopiero po chwili.

– *W ś c i e k ł a* to za mało powiedziane.

Pokiwał głową.

– Pewnego dnia... Za kilka miesięcy albo lat być może zrozumiesz, że zniszczenie wyników tych badań było bezinteresowne, a nie egoistyczne – stwierdził.

– Bezinteresowne? – Odwróciłam się na pięcie, choć byłam już w drodze do drzwi. – Odebranie dzieciom nadziei na przeżycie i doczekanie zmiany, okradzenie ich z jedynej realnej szansy na powrót do rodzin i domów było *b e z i n t e r e s o w n e*?

– Tego właśnie chcesz? Myślałam, że z czasem wyzwolenie Thurmond stanie się dla ciebie najważniejsze – rzucił, przyglądając się winogronom, które mu przyniosłam. – Są z upraw ekologicznych?

Odwróciłam się i skierowałam do drzwi najszybciej, jak potrafiłam, nie biegnąc.

– Ruby, posłuchaj. Leczenie jest kolejnym sposobem, by nas kontrolować, by uniemożliwić nam podejmowanie decyzji. Co się stało, kiedy przyniosłaś dane do Bazy? Pozwolili ci choćby na nie spojrzeć? Wiesz, gdzie teraz są?

Zacisnęłam dłonie w pięści.

– To nie żaden magiczny opatrunek, który zagoi wszystkie nasze rany. Leczenie nie zmaże piętna tego, kim dla nich jesteśmy. Jeśli nawet nie wykaże skutków ubocznych, to oni i tak cały czas będą czekać, obserwować nas w napięciu, czy choroba nie wróciła. Powiedz mi... – Podciągnął nogi i usiadł po turecku na pryczy.

Patrzyłam w milczeniu, jak bębni palcami o kolana.

– Czy wiedza o możliwości leczenia zmieniła sposób, w jaki agenci was traktują?

Przestrzeń między nami wypełniła się ciszą. Clancy się uśmiechnął.

– Cel, do którego dążą, zupełnie nie ma z wami związku. Zamydlili wam oczy, by was tu sprowadzić, by zdobyć wasze zaufanie, ale nie dotrzymają obietnic. Tyczy się to również Stewarta.

– Jedyną osobą, której nie wolno mi zaufać, jesteś ty – odparowałam.

– Niezależnie od tego, co starasz się osiągnąć – odparł ściszone głosem –

sprowadź tu jak najwięcej dzieci, które cię wesprą. To one pójdą za tobą i ci zaufają. W przeciwieństwie do dorosłych, którzy zawsze będą widzieć w tobie jedynie użyteczną broń.

– Mówisz tak, jakby znalezienie dzieci rozproszonych i ukrywających się po całym kraju było banalnie proste.

– Pomogę ci wytropić błąkające się plemiona. Sama będziesz mogła wyszkolić te dzieciaki i nauczyć je, jak się bronić. Zbliżamy się do finału. Jeśli ich nie odnajdziesz, ich śmierć będzie skutkiem ubocznym tej wojny.

Zazgrzytałam zębami, ale nim zdążyłam wystrzelić jakąkolwiek ripostę, Clancy znowu zaczął mówić.

– Zapomnij o dorosłych, Ruby. Upewnij się, że stoisz na czele dzieci. Jeśli sprawisz, że cię pokochają, będą ci wierne do końca.

– Mam *sprawy*, żeby mnie pokochały? – Poczułam, jak zalewa mnie fala gniewu.

– Nie wszystko w East River było kłamstwem – powiedział chłodno.

Wszystko, co ważne, każde moje wspomnienie związane z tym miejscem było zabarwione czernią podstępного dotyku jego umysłu. Na samą myśl o tym, jak mi się przypatrywał z drugiej strony ogniska, jak przeniknął przez wszystkie z moich zapór bezpieczeństwa, z jakim niekłamany uwielbieniem patrzyły na niego te dzieci, przeszedł mnie dreszcz. Korytarz zrobił się dla mnie zbyt ciasny i zbyt zimny, bym mogła w nim stać i wysłuchiwać wypluwanych przez niego bzdur.

Obróciłam się z powrotem do drzwi, przekręciłam zamek i upewniłam się, że zgasłam światło. Głos Clancy'ego wciąż jednak płynął do mnie przez ciemność. Zanieczyszczał powietrze, zdawał się mnie osaczać.

– Kiedy będziesz gotowa przejąć dowodzenie i w końcu zabrać się do roboty, daj mi znać. Będę tu na ciebie czekał.

Rzuciłam mu przez ramię ostatnie spojrzenie – naprawdę wyglądał tak, jakby nie chciał być nigdzie indziej.

Cole odezwał się do mnie, dopiero kiedy wróciliśmy do głównego korytarza i od Clancy'ego oddzielało nas kilka par drzwi. W dalszym ciągu był jednak rozkojarzony: marszczył brwi i zaplótł ręce na piersi.

– Słyszałeś, co mówił? – zapytałam.

Pokiwał głową.

– Przez małą kratkę pod oknem do obserwacji.

– Czy przed atakiem przechwyciliście jakieś nowe informacje o Thurmond? Czy po Bazie krążyły jakieś plotki?

– Miałem nadzieję, że chociaż ty masz pojęcie, o czym mówił. Sprawdzę to.

Skierowałam się na lewo od klatki schodowej do dużego pomieszczenia, które kiedyś było aulą, gdzie mieliśmy zjeść kolację. Cole ruszył dalej, najpewniej do biura Albana. Gdy mnie wyprzedzał, chwyciłam go za nadgarstek.

– Kiedy przygotujemy konkretny plan wyzwalań obozów? – zapytałam.

– Nie dzisiaj – odparł. – Wciąż czekamy na dwa samochody z dziećmi, a poza tym chciałbym zadzwonić do kilku osób, które kiedyś pomagały nam zdobywać zaopatrzenie. Wyposażenie tego miejsca jest teraz naszym priorytetem. Żadne z tych dzieci nie uwierzy, że może cokolwiek zdziałać, jeśli nie zdołamy im załatwić czystych ubrań i porządnie ich nakarmić. Już poprosiłem kilku Zielonych, żeby pomyśleli nad możliwymi strategiami działania. Zrób sobie małą przerwę. Niedługo bierzemy się do pracy.

Pomachałam mu, kiedy zniknął za drzwiami łączącymi korytarze, i podążyłam za wonią sosu do spaghetti. Kiedy weszłam do auli, moim oczom ukazały się ułożone w równe rzędy rozkładane ławy i krzesła. Na wytartym stole do bilardu, który agenci łaskawie nam pozostawili, stało małe radio, a obok niego dwa spore garnki, sztucce oraz śmiesznie mały stosik papierowych talerzy.

Dopiero teraz, po kilku godzinach, zauważyłam, że Ranczo zmieniało swoje

oblicze i zaczynało wyglądać całkiem schludnie... Ciche korytarze na dolnym poziomie rozbrzmiewały teraz hałasem pralek i suszarek, które zdawały się pracować na okrągło. Dostrzegłam też, że kafelki pokrywające podłogę stały się bardziej białe niż żółte. Co więcej, kiedy weszłam do łazienki, żeby obmyć twarz, kran nie tryskał już na wszystkie strony rdzawą wodą. Otaczał mnie zapach chloru i środków czyszczących. Poczułam się prawie jak w domu...

Na drzwiach auli zauważyłam dwie kartki. Stanęłam przy nich i od razu rozpoznałam pismo Liama. Dopiero po chwili zorientowałam się, czemu służą widniejące na nich tabelki i dlaczego do obu przymocowano ogryzki ołówków. Były to grafiki obowiązków. W nagłówkach poszczególnych kolumn Liam umieścił hasła: pranie, sprzątanie, sprawy organizacyjne, przygotowanie posiłków. Pod spodem widniały imiona dzieci. Każde musiało pomagać, ale mogło sobie wybrać zajęcie. Tylko Liam mógł coś takiego wymyślić.

Zauważyłam, że moi przyjaciele rozmawiają przy jednym ze stołów, pochylając ku sobie głowy. Vida spostrzegła mnie pierwsza i natychmiast ucichła, odchyliła się w tył i jak gdyby nigdy nic podniosła widelec do ust. Nałożyłam sobie trochę makaronu i ruszyłam w ich stronę.

– Co się dzieje? – zapytałam, zajmując wolne miejsce i szturchając Liama w bok.
– Widziałam tabele obowiązków. Trzeba było powiedzieć mi wcześniej, żebym zdążyła się gdzieś wpisać.

Liam podniósł wzrok znad swojego notesu i przesuwając dłoń, odsłonił ciąg cyfr wyglądających na skomplikowane równanie.

– Nie przejmuj się. Masz inne rzeczy na głowie – powiedział.

Inne rzeczy niestety nie obejmowały przebywania z nim sam na sam w spiżarni.

– Co tam masz? – Pochyliłam się ku niemu, żeby spojrzeć na zapiski.

Rzucił mi łobuzerski uśmiech.

– Próbuje ustalić, kiedy powinniśmy się wyprawić po jedzenie. Sprawdziłem pobliskie miasteczka i myślę, że jest kilka, do których moglibyśmy uderzyć przy minimalnym ryzyku, że spotkamy jakichkolwiek mieszkańców.

– Cole powiedział, że się tym zajmie – odparłam.

Liam prychnął, wzbudzając mój niepokój.

– Wychodzenie na zewnątrz jest w tym momencie zbyt niebezpieczne. Zostawcie to jemu – dodałam.

Zu przyglądała mi się niepewnie. Wskazałam na jej talerz ze spaghetti – nawet go nie tknęła.

– *My* moglibyśmy wyjść. – Liam nie odpuszczał. – Ty, ja i Vi. Założę się, że Kylie też by się do nas przyłączyła. Byłoby jak kiedyś.

Zu sięgnęła przez stół, chwyciła go za przedramię i przycisnęła je do blatu. Zaczęła potrząsać głową, szeroko otwierając oczy. Nie mógł pójść. Ona nie zamierzała mu na to pozwolić. W głębi duszy cieszyłam się, że to od niej wyszedł protest, i całym sercem byłam za nią. Chciałam, żeby został w bazie, gdzie niebezpieczeństwo nie miało do niego dostępu.

– Robiłem to tysiąc razy – powiedział do niej łagodnie. – Czemu się tak zachowujesz?

Zu puściła jego rękę i skuliła się zupełnie jak nie ona. Zaczęłam ją wypytывать, o co chodzi, ale przerwał mi sfrustrowany jęk Pulpeta.

– Poddaję się! Już nawet nie jestem głodny! – wybuchnął, odpychając od siebie talerz. Na jego koszuli widniało więcej sosu niż na makaronie, który zostawił. Okazało się, że trafienie widelcem pełnym śliskich nitek do ust jest sporym wyzwaniem, kiedy z mechanizmu koordynacji ręka–oko wypadnie rola oka.

Vida nie zmiażdżyła go w odpowiedzi, więc zaskoczona rzuciłam jej spojrzenie. Powietrze wokół nas wibrowało od wesołych rozmów i śmiechu, co sprawiało, że jej milczenie zdawało się jeszcze bardziej niepokojące.

– Nie trzeba było wyrzucać starych szkieł. Nie były aż tak popękane – powiedziała w końcu.

– A co miałem zrobić? Przykleić je sobie taśmą klejącą do twarzy? – odgryzł się Pulpet. – Przykładać jedno z nich do oka jak lupę?

– Wtedy przynajmniej nie musiałbyś się nad sobą użalać i nie obijałbyś się o wszystko – rzuciłam.

Przed kolacją w przypływie bezsilności i frustracji Pulpet wyrzucił szkła od

okularów do kosza. Wyłowiłam je jednak i zaniiosłam do jego sypialni, wierząc, że sięgnie po nie, kiedy się uspokoi i znowu zacznie myśleć racjonalnie.

– Możemy poprosić Cole’a, żeby dopisał okulary do listy potrzebnych nam rzeczy – dodałam.

– Szkła były na receptę – warknął Pulpet. – Nie wiem, jaką dokładnie mam wadę, więc Cole nie zdoła ich zamówić. Okulary do czytania są za słabe i boli mnie głowa, kiedy noszę je zbyt długo...

Vida przesunęła coś po blacie stołu, ani na chwilę nie podnosząc oczu znad talerza. Pulpet najwyraźniej uznał, że to łyżka lub widelec, bo w przeciwnym razie, jak podejrzewałam, od razu by po to sięgnął.

Oprawki leżących przed nim okularów były mniej więcej takiego samego rozmiaru i kształtu jak te zniszczone. Szkła nie pasowały idealnie i trochę odstawały, ale całość wyglądała znośnie. Rozłożyłam je i wsunęłam Pulpetowi na nos – niemal podskoczył ze zdziwienia i zdezorientowany zaczął badać je palcami.

– Co takiego...? Przecież... Zaraz, zaraz...

– Tylko się nie posikaj – rzuciła Vida, jakby nigdy nic grzebiąc w swoim talerzu.
– Dolly miała zapasową parę okularów do czytania. Wzięłam je od niej wczoraj i wymieniłam szkła na twoje. Wyglądasz w nich tak głupio jak w swoich starych, ale przynajmniej coś widzisz, prawda?

Ja i Pulpet gapiliśmy się na nią oszołomieni.

– Vi... – zaczęłam.

– Co? – wyrzuciła z siebie zupełnie nienaturalnym tonem. W jej głosie było jednak więcej niepewności niż gniewu. – Miałam dość robienia za psa przewodnika. Czuję się podle, wybuchając śmiechem za każdym razem, kiedy się potykał albo w coś wlaził... A nie lubię się czuć aż tak podle.

– Sprzeciwianie się własnej naturze jest strasznie trudne – zaczął Pulpet.

– Chciał powiedzieć „dziękuję” – przerwałam mu. – To bardzo miłe z twojej strony, Vi.

Jeszcze nigdy nie widziałam jej tak zażenowanej.

– Nie przesadzaj – wymamrotała. – Nie uratowałam głodujących dzieci w Afryce.

Jeśli rozwali tę parę, ma przekichane.

– Co takiego? – Przez naszą rozmowę przedarł się zaskoczony głos Liama, kiedy przysunął sobie bliżej kartkę, na której Zu do nas pisała. – Jesteś pewna? Na sto procent? Czemu nie powiedziałaś mi tego wcześniej?

Zu wyjęła mu kartkę z ręki. Liam tak bardzo nie mógł się doczekać, aż skończy pisać, że wyciągnął się ku niej przez stół, śledząc każde słowo.

„Myślałam, że odejdiesz, by ich odnaleźć. Przepraszam”.

– Daj spokój – powiedział, kładąc jej dłoń na głowie. – Nie zrobiłbym tego. Nie zrobię. Nie przepraszaj, rozumiem. Ale jesteś pewna? To wygląda na niewiarygodny zbieg okoliczności...

Kiedy przeczytał jej odpowiedź, zbladł, jakby zrobiło mu się niedobrze.

– To naprawdę mogła być ona... Ale jak do tego doszło? Co robiłaś w Arizonie?

Pulpet pomachał przyjacielowi ręką przed nosem.

– Może nas wtajemniczysz?

– Zu... – Liam przycisnął sobie pięść do gardła i przez chwilę je pocierał. – Wygląda na to, że po drodze do Kalifornii Zu natknęła się na moją mamę... Od dłuższego czasu staram się dowiedzieć, gdzie ukrywają się moi rodzice.

Zu ciągle była blada i uważnie przyglądała się Liamowi, jakby nie do końca mu wierzyła. Odchyliłam się do tyłu, a tłąca się we mnie iskierka zmartwienia przeobraziła się w żywy płomień. Kiedyś nasza czwórka uznawała trzymanie się razem za priorytet. Prawie nigdy się nie rozdzielaliśmy, a nawet wtedy żadne z nas nie zostawało samo. Rozumiałam przypływ emocji związany z ponownym zjednoczeniem naszej paczki i potrzebę nadrobienia straconego czasu. Jednak desperacja, którą widziałam w Zu, oraz świadomość, że dziewczynka przez cały ten czas zdawała się śledzić nasze losy, upewniając się, że nie zniknęliśmy, rozsadzała mi serce na małe kawałeczki.

Co ją spotkało? Nigdy wcześniej nie widziałam, by miała w sobie tyle lęku i niepokoju. Ktoś to w niej obudził, odsłonił każdy nerw. Rozdarł i obnażył jej ból.

– A co, twoim starym oberwało się od kundli Graya za to, że nawiałeś z obozu? – zapytała Vida z charakterystycznym dla siebie wyczuciem.

– Dlaczego Arizona? – zapytałam. – Chociaż pewnie przypadkowy wybór jest tak samo dobry jak każdy inny.

Stłoczyliśmy się nad Zu, która jak szalona pisała kolejną wiadomość, rzucając nam pełne wyrzutu spojrzenia. Liam podniósł rękę.

– Nie spiesz się.

Wreszcie skończyła. Jej odpowiedź zupełnie mnie zaskoczyła, a sądząc po tempie, w jakim z twarzy Liama wyparowały resztki koloru, jego też.

„Ukrywają dzieci pod swoim dachem, by je chronić. Kobieta przedstawiła się tak, jak mi mówiłeś: Della Goodkind, ale zorientowałam się, że to ona, bo wygląda i mówi jak ty. Powiedziałam jej, że jesteś bezpieczny”.

– O Boże – wymamrotał Pulpet, kiedy przekreśliłam kartkę w jego stronę. – Czemu w ogóle mnie to nie dziwi? Cała rodzina najwidoczniej spadła z księżyca i to prosto na głowę.

Zu pstryknęła go końcówką ołówka w nos w ramach reprimendy, po czym znowu zaczęła stawiać zamaszyste zawijasy: „Widziałam ją tylko kilka minut, ale była bardzo miła”.

Liam wyglądał jak wygłodzone dziecko, które natknęło się na kosz piknikowy.

– Powiedziała coś jeszcze? Był tam Harry? Mówisz, że pomaga dzieciom. Zapytała cię, czy chcesz z nią zostać? Zaproponowała to którejkolwiek z dziewczynek? Czy Talon jest z nią?

– Na które z tych pytań ma odpowiedzieć najpierw? – przerwał mu Pulpet. – Zmieściłeś chyba dziesięć w dwóch sekundach.

Zu skuliła się na krześle. Ołówek spadł ze stołu na jej kolana, a wraz z nim jej spojrzenie opadło na rąbek podkoszulki, który zwijała w palcach.

– Kylie powiedziała, że Talon nie dojechał do Kalifornii – zaczęłam ostrożnie. – Czy ktoś zrobił mu krzywdę? Czy on...?

– Czy dzieciak wykorkował? – Ton Vidy był zimny jak stal. – Oj, wybacz. Czy powinnam zachowywać się jak reszta i traktować cię jak dziecko? Chcesz, żebym pokrywała wszystko lukrem? Czy może potrafisz być dużą dziewczynką?

– Wystarczy! – fuknął rozwścieczony Liam.

– Nie masz pojęcia, co wygadujesz – zawtórował mu Pulpet.

– To nie fair – zaczęłam.

Jedyną osobą, która nie okazała żadnych emocji i zdawała się nieporuszona słowami Vidy, była Zu. Przez chwilę dziewczynka mierzyła Vidę tak samo nieustępliwym spojrzeniem. Następnie znów pochyliła się nad kartką i zaczęła coś pospiesznie pisać. Liam i Pulpet aż gotowali się z wściekłości.

Kiedy skończyła, podniosła kartkę, tym razem tak, by Vida również mogła odczytać zapisane na niej słowa. „Ścigali nas łowcy nagród i Talon zginął w wypadku samochodowym. Odłączyłam się od pozostałych, a przyjaciel pomógł mi dojechać do Kalifornii”.

Westchnęłam cicho i zamknęłam oczy, z całej siły usiłując sobie tego nie wyobrażać. *Boże... Talon. Nikt nie zasługuje na taką śmierć.*

– Przyjaciel? Jakies dziecko? – dopytywał Pulpet.

Potrząsnęła głową, ale nie pociągnęła tematu.

– Dorosły? Podwiózł cię *d o r o s ł y*? – Liam potarł twarz dłońmi. – O Boże. Dostaję dreszczy ze strachu na samą myśl o tym. Nie powinniśmy byli się rozdzielać. Nigdy. Przenigdy. O Boże. Nie bałaś się, że cię wyda?

Zu była tak blada, że zastanawiałam się, czy w ogóle oddycha. Podniosła oczy na sufit i szybko mrugała, jakby chciała osuszyć nabiegające jej do oczu łzy.

– Zu ma nosa do ludzi – powiedziałam, obejmując ją ramieniem.

Moja mała dziewczynka. Głód i stres sprawiły, że wyglądała na jeszcze kruchszą.

– Na jakiej podstawie doszłaś do takiego wniosku? – Pulpet poprawił sobie okulary na nosie. – Może na tej, że wpuściła cię do auta, zamiast się przed tobą zamknąć?

– Dokładnie tak – odparował Liam. – Przypominam sobie jednak, że *k t o ś* chciał się pozbyć Ruby.

– Właśnie – dodałam. – Wielkie dzięki, chciałeś mnie wywalić przy pierwszej lepszej okazji.

– Wybaczcie, że starałem się chronić swoich przyjaciół! – prychnął Pulpet.

Zu znowu zaczęła coś pisać, ale Vida wyrwała jej kartkę, podetknęła pod nos i

przedarła na pół.

– Jeśli chcesz coś powiedzieć, to gadaj, do cholery! – wrzasnęła.

Jej krzesło zaskrzypiało, kiedy odsunęła się od stołu i zgarnęła z niego swój talerz. Widziałam, jak bardzo ze sobą walczy, po jej sztywnej szyi i cofniętych barkach. To dziwne, ale przed oczami stanęła mi scena ze starych kreskówek wyświetlanych w weekendy: zobaczyłam isierkę na nieuchronnie skracającym się lonce jednej z lasek ze sterty dynamitu.

– Vi! – zawołałam.

Musiałam biec, żeby ją dogonić, bo zdążyła już przemierzyć korytarz i teraz gnała schodami na dolny poziom napędzana siłą smukłych mięśni i wściekłości.

– Vida! – Nie miałam pojęcia, dokąd zmierza.

Chwyciłam ją za rękę, ale mnie odepchnęła i to tak mocno, że wpadłam na ścianę. Ostry ból przeszył mi bark, ale się nie wycofałam. Vida skrzywiła się z pogardą, ale w chwili, kiedy się zorientowała, co zrobiła, wyraz jej twarzy złagodniał.

– Lepiej już sobie idź – powiedziała, a ja zdałam sobie sprawę z tego, że sama nie wie, dokąd biegnie. Chciała po prostu uciec z auli. Jak najdalej od nas.

– Nie zostawię cię tak – odparłam. – Co się dzieje? Porozmawiaj ze mną.

Nie odpowiedziała i ruszyła przed siebie. Po chwili jednak odwróciła się na pięcie. Źle oceniłam sytuację. Całkowicie się pomyliłam.

– Na litość boską, czy ty nie możesz raz odpuścić? – warknęła. – Nie pozwolisz człowiekowi samemu przerobić pewnych rzeczy, co? To bardzo zabawne, bo przecież wiem, że też sobie nie radzisz z niektórymi sprawami.

– Postaram się popracować nad tym, żeby mniej mi zależało – odparłam.

Zach szedł korytarzem w naszym kierunku. Rozglądał się, usiłując omijać wzrokiem kąt, w którym się zaszyliśmy. Obie równocześnie odwróciłyśmy się do niego plecami. Vida zaczęła, aż jego kroki ucichną, po czym ciężko westchnęła.

– Naprawdę myślałam, że ty i ja... – Umilkła, po czym sztucznie się zaśmiała. – Nieważne. Pewnie i tak cię to nie obchodzi.

– Przed chwilą mi wypomniałaś, że za bardzo się przejmuję, a teraz twierdzisz, że mnie nie obchodzisz? Zdecyduj się.

– Chodzi o wszystko. O nic! Boże, a co to ma do rzeczy? – wypaliła, przeciągając dłońmi po krótkich włosach. Były odbarwione jeszcze tylko na końcówkach, a niebieski odcień już prawie zupełnie z nich zszedł. – Cieszę się, cholernie się cieszę, że doczekałaś tego wzruszającego zjednoczenia ze swoimi *prawdziwymi* przyjaciółmi. W końcu jesteście razem i możecie do woli nawijać o tym, jak to było wspaniale, kiedy byliście tylko we czworo. I opowiadać sobie durne anegdoty, których nikt inny nie kuma. Proszę bardzo. Nie mogę znieść tylko jednego: chce mi się rzygać, kiedy patrzę, jak...

– Jak co? – Z trudem się hamowałam, by nie podnieść głosu. – No co? Wylej to na mnie. No dalej. Najwidoczniej bardzo cię to wkurza, skoro wyżywasz się na małej dziewczynce, która przeszła piekło. Nie pomogę ci, jeśli mi nie powiesz, co się dzieje!

Iskierka w końcu dotarła do sterty dynamitu. Eksplozja wyglądała jednak inaczej, niż się spodziewałam. Vida rozdygotała się tak bardzo, że nie była w stanie nabrać powietrza.

– Po prostu go zastąpiłaś! W swojej głowie wymieniłaś Jude’a na tę małą, jakby był dla ciebie nikim, jakbyśmy nic dla ciebie nie znaczyli! Rozumiem! Ale nie udawaj, że cię obchodzi, bo najwyraźniej masz mnie gdzieś!

Płakała, naprawdę płakała, a ja byłam tak zaskoczona jej reakcją, że stałam jak wryta. Odwróciła się ode mnie i wycofała głębiej w kąt. Biły od niej fale gniewu i upokorzenia.

Po prostu go zastąpiłaś.

Jakbyśmy nic dla ciebie nie znaczyli.

Czy naprawdę tak myślała? Przeszył mnie głęboki, rozsadzający ból. Że nigdy... Że nigdy mi na nich nie zależało? Że miałam ich gdzieś? To prawda, że na początku byłam dla nich oziębła, ale to dlatego, że musiałam się chronić. Dopuszczanie do siebie ludzi, kruszenie muru wokół własnego serca było ryzykowne. W Lidze, gdzie musiałam jakoś przeżyć, nie mogłam się tak odsłaniać.

Podstawową umiejętnością, którą człowiek musiał opanować w Thurmond, było skrywanie uczuć, zarówno tych dobrych, jak i tych złych. Kontrolowanie emocji, zanim ujdą, by przypadkiem nie zauważył ich ktoś w czarnym mundurze. Jeśli byłeś

nijaki, stawałeś się niewidzialny. Jeśli nie dawałeś się sprowokować, dawali ci spokój i nie karali. Odruchowo przyjąłem tę samą strategię w Lidze: żyłem od jednej chwili do następnej, od akcji do akcji, od szkolenia do szkolenia, tłumiąc każdą zabłąkaną emocję. W przeciwnym razie poczucie niesprawiedliwości, strachu i żalu rozsądziłoby mnie. Nikt nie miał najmniejszego powodu, by zakwestionować moje oddanie sprawie. Przez długi czas był to jedyny sposób, jaki znałem, by chronić się przed światem i ludźmi.

Ale Jude... Jude od razu przebił się przez mój system obronny. Nie wiedziałam, czy to dlatego, że był świadomy mojej strategii, czy po prostu postanowił zrobić mi na przekór.

Zastanawiałam się, czy Vida wini mnie za wszystko, co się stało. Czy jeśli to ona byłaby liderką, do niczego by nie doszło? Czy wszyscy...? Zamknęłam oczy, usiłując wymazać przebiegające mi przez głowę obrazy. Jude leżący na ziemi. Dławiący się własną krwią. Jego skrzywiony kark i powyginane kończyny. Spojrzenie pełne błagania, bym mu pomogła, bym go zabiła i tym samym skróciła jego mękę.

Cholerny koszmar. Pulpet w kółko mi powtarzał, że to stało się natychmiast, że... Czemu tak trudno wypowiedzieć słowo „śmierć”? Jude *umarł*, nie odszedł. Nie zasnął ani nie osunął się w cień. Umarł. Jego życie się skończyło. Już nigdy nie wypowie żadnego słowa. Jego historia dobiegła końca, tak jak zakończą się kiedyś wszystkie inne historie. Nie był w lepszym miejscu. Nie było go przy mnie. Jude wraz ze swoimi marzeniami został pogrzebany pod zwałiskiem betonu, ziemi i popiołu.

– Boże! – Głos Vidy brzmiał oschle. – Nawet nie potrafisz temu zaprzeczyć, do cholery! Zostaw mnie w spokoju! Zjeżdżaj stąd, zanim...

– Myślisz, że nie wiem, że to moja wina? Że gdybym lepiej go pilnowała... Gdybym w ogóle go ze sobą nie wzięła... – powiedziałam cicho. – Wyobrażam sobie, jak się czuł, jak w ostatnich chwilach musiał się dusić przygnieciony nieznośnym ciężarem. Zastanawiam się, jak bardzo cierpiał. Nie potrafię uwierzyć zapewnieniom Pulpeta, który przysięga, że wszystko stało się tak szybko, że na pewno niczego nie poczuł. Nieustannie do tego wracam. Musiał się potwornie bać... Tam, na dole, było strasznie ciemno, prawda? A on tam został. Myślisz, że zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje? Czekał, aż po niego wrócimy i... – Wiedziała, że papłam bez sensu,

ale nie mogłam przestać. – W ogóle nie powinien był opuszczać Bazy. Miał tylko piętnaście lat... Tylko piętnaście...

Vida oparła się o ścianę i zsunęła się po niej.

– To moja wina. Czemu, do jasnej cholery, nie możesz tego zrozumieć. – Szlochała, przyciskając dłonie do twarzy. – To ja szłam z tyłu, ty byłeś daleko! Powinnam była go usłyszeć! Powinnam była kazać mu iść przed sobą, ale byłam tak śmiertelnie przerażona, że wyłączyłam myślenie!

– Nie, Vi, nie! – Przykucnęłam przed nią. – Wokół panował straszny huk.

To w najmniejszym stopniu nie była jej wina. Poczułam, jak targa mną silne uczucie troski, i wzdrygnęłam się na samą myśl, że ktoś mógłby teraz przechodzić obok i zobaczyć ją tak słabą. Wiedziałam, że jeszcze zwiększyłoby to poczucie upokorzenia, które na pewno ją ogarnie, kiedy już się pozbiera. Zmieniłam pozycję i usiadłam tak, by zasłonić ją przed wzrokiem ewentualnych gapiów. Kiedy się ku niej pochyliłam, nie zaprotestowała.

– Ani ty, ani Cate nie wypowiadacie jego imienia. – Łkała. – Ja potrzebuję o nim rozmawiać, ale wy najchętniej zamknęłybyście go w pudełku i odłożyły na półkę.

– Wiem, że myślisz, że mi nie zależy. – Moja klatka piersiowa stawiała się niezdolnie ciasna. – Boję się, że jeżeli nie utrzymam tych wszystkich uczuć w sobie, to się rozsypię. Jeśli chodzi o ciebie i o pozostałych... Od zawsze staram się tylko o to, żebyśmy byli razem i żeby nikomu nic się nie stało, ale najwyraźniej nie bardzo mi to wychodzi.

– Masz na myśli ich. – Vida przyciągnęła kolana do piersi. – Rozumiem. To twoi przyjaciele.

– A ty się do nich nie zaliczasz? – zapytałam. – Nie prowadzę rankingu ludzi, na których najbardziej mi zależy. Nie potrafiłabym tego zrobić, choćbym chciała.

– Gdyby wybuchł pożar, kogo ratowałabyś najpierw?

– Vida!

Przewróciła oczami i wytarła twarz.

– Daj spokój, mała. Żartowałam. To jasne, że nie mnie. Sama potrafię świetnie o siebie zadbać.

– Wiem. Nie mam pojęcia, kogo wyniosłabym jako pierwszego, ale jeśli miałabym wybrać kogoś do pomocy w akcji ratunkowej, to nie miałabym wątpliwości.

Wzruszyła ramionami i po chwili dodała cicho:

– Na samą myśl o powrocie do pokoju robi mi się... Wiem, że to zabrzmi, jakbym się czegoś nawąchała, ale ciągle sprawdzam różne zakamarki i szukam go, spodziewając się, że w końcu mi się uda. Kiedy się na tym łapię, mam wrażenie, że coś miażdży mi krtań.

– Ja robię to samo – powiedziałam. – Spodziewam się, że spotkam go za najbliższym rogiem.

– Zachowuję się jak totalna idiotka. Jestem zazdrosna o małą dziewczynkę i wszystkich pozostałych. O to, że znowu jesteście razem, a nam już nigdy się to nie uda. Nie potrafisz nawet spojrzeć na Nico... Na litość boską, Ruby, co się musi wydarzyć, byś przestała go karać? Kiedy w końcu mu wybaczysz?

– Wybaczę, kiedy uwierzę, że jego przeprosiny są szczere.

Spojrzała na mnie karcąco.

– Jude był jego jedynym przyjacielem. Żadna kara, którą mu wymierzysz, nie będzie cięższa od tej, którą sam sobie zadaje. Cate tym razem nie zdoła go z tego wyciągnąć. Jest w gorszym stanie niż wtedy, gdy przywieźli go do Bazy prosto z laboratorium, gdzie robiono na nim te paskudne eksperymenty.

Wzięłam głęboki wdech.

– Przepraszam, że zwałam na ciebie obowiązek poinformowania Cate...

– Nie. – Wyciągnęła w górę palec. – Możesz mnie przeprosić za to, że najzwyczajniej stchórzyłaś i nie porozmawiałaś z nią o tym. Nie rozumiem tego. Nie pojmuję, dlaczego wszyscy, na których mi zależy, są kompletnie rozsypani i żadne z was nawet nie próbuje pomóc drugiemu. Zupełnie jakbyście się bali, że zmierzenie się z pewnymi sprawami będzie za bardzo bolało. Jude by do tego nie dopuścił. Na pewno nie. Był z nas najlepszy.

To niesamowite, ale Jude rzeczywiście wszystkich nas rozgryzł. Doskonale rozumiał, kim jesteśmy i czego pragniemy. Dotarło do mnie, że niektórzy ludzie

rodzą się, by odegrać rolę łączników w relacjach. Otwierają nas na innych i na siebie samych. Przywołałam w pamięci jego słowa o tym, że chciał znać nie tylko czyjąś twarz, ale także jego cień.

– Masz rację. – Jude był niezastąpiony i stąd właśnie brało się moje poczucie straty, którego nikt inny nigdy nie zrozumie. Leżało mi na klatce piersiowej jak kamień.

– Nie jestem dobra w ckliwych pocieszeniach – ostrzegła Vida. – Ale jeśli będziesz chciała jeszcze kiedyś tak pogadać... to wiesz, gdzie mnie szukać, zgoda?

– Zgoda. – Nie wiem dlaczego, ale nagle zupełnie opadłam z sił. Zdziwiło mnie to, bo przecież prowadziłam już wiele wykańczających rozmów. Oparłam głowę i ramiona o ścianę. Może czułam się tak, bo wiedziałam, że Jude byłby z nas dumny. W końcu zaszłyśmy naprawdę daleko i bardzo wiele sobie powiedziałyśmy.

– Proszę cię, porozmawiaj z Nico. Nie każ się błagać. Nie traktuj go, jakby nie był człowiekiem, do cholery.

– Wydaje mi się, że go nienawidzę – wyszeptałam.

– Popełnił błąd. Każdemu z nas się to zdarzyło.

Odepchnęłam się dłonią i podwinęłam palce na zimnych kafelkach, by wstać.

– Zrobili jej krzywdę? – zapytała nagle Vida, wyciągając rękę, by mnie powstrzymać. Nie wypowiedziała tych słów specjalnie delikatnie, ale ponieważ nie mówiła bezpośrednio do Zu, w jej głosie pobrzmiwała nowo odkryta wrażliwość. – Roztrzepali jej mózg na jajecznicę?

A może mi się wydawało.

– Nie – powiedziałam cicho, przypominając sobie, jak Liam usiadł obok Zu i gładził jej włosy. – Nie chce mówić, więc jej nie zmuszamy. To jej decyzja.

Vida pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Wygląda na to, że napatrzyła się na straszne potworności. Coś musiało jej sięść na psychice.

– Nie naciskaj jej w tej sprawie, zgoda? Pozbawiono ją wszystkich innych wyborów. A tak przynajmniej może decydować o tym, co powiedzieć i kiedy.

Odwróciłam się na odgłos zbliżających się do nas kroków. Zu stanęła w pół drogi,

wciskając ręce w kieszenie. Vida pomachała do niej, by podeszła, po czym zaczęła, aż dziewczynka na nią spojrzy, i powiedziała:

– Wybacz, Zet. Nie powinnam była się na tobie wyżywać. Pokój?

Napięcie malujące się na twarzy dziewczynki nieco zelżało. Wyciągnęła rękę na zgodę, ale Vida zamiast zrobić to samo, szturchnęła ją pięścią.

– No dobrze – powiedziałam, podnosząc swoje zeszywniałe ciało z podłogi. – Wracamy? Chłopcy pewnie się zastanawiają, gdzie zniknęliśmy.

– A niech się trochę pomartwią – odparła Vida. – Mamy kilka spraw do nadrobienia.

Korytarz był zalany znajomą czerwoną poświatą, w której blasku czaiło się coś niepokojącego. Kiedy zrobiłam kolejny krok, czerwień stała się jaśniejsza i zaczęła jeszcze intensywniej pulsować. Przyglądałam się zdjęciom w ramach wiszącym po bokach na nagich ścianach. Pamiętałam i rozpoznawałam te twarze. Młody agent, który zginął podczas ucieczki z niewoli po nieudanej akcji. Kobieta, która nie dotarła na spotkanie z łącznikiem – pamiętałam, że wciągnięto ją do ciemnej furgonetki i słuch po niej zaginął.

Przesuwałam dłonią po ścianie pod zdjęciami, licząc je po dwa, a następnie po trzy. Wszyscy zginęli. To tu Liga upamiętniała życie tych, których poświęciła, przypominała twarze osób, które nigdy nie zostaną pochowane. Liczna rzesza kobiet i mężczyzn, którzy zginęli, zanim się pojawiłam. Prawie osiem lat umierania.

Moje palce zatrzymały się pod poważną twarzą Blake’a Johnsona. Sprawiał wrażenie małego i bardzo młodego – może wyglądał tak, bo otaczały go starsze twarze, albo po prostu zdjęcie zrobiono zaraz po sprowadzeniu go do Ligi. Tak, na pewno to drugie. Kiedy wychodził na swoją pierwszą i ostatnią akcję, wyglądał dużo dojrzalej. Skąd wzięła się aż tak znacząca różnica w twarzy czternasto- i szesnastolatka?

Coś ciepłego i mokrego dotknęło moich palców u stóp. Cienka strużka czarnej cieczy przypominającej atrament gromadziła się na podłodze i wsiąkała w moją skórę. Plamiła ją. Miniaturowy strumyk powstał z czterech oddzielnych wijących się dopływów. Chciałam oprzeć się o ścianę i uderzyłam ręką w jedno ze zdjęć. Dłoń przeszył mi ostry, piekący ból, który w końcu zmusił mnie, bym podniosła oczy. Szyby ostatnich dwunastu fotografii były pęknięte, a ich ramki poskręcane powyginanymi kawałkami metalu.

Czerwone światło zrobiło się jaśniejsze, po czym przygasło i znów rozbłysło. I tak w kółko. Podniosłam rękę, żeby osłonić oczy, i zobaczyłam, że jego źródłem jest

neon z napisem „WYJŚCIE”. Przy kolejnym rozbłysku żarówki zauważyłam, skąd wypływa ciemny strumień. Okazało się, że to wcale nie atrament.

Postać leżała twarzą do ziemi. Jej ręce i nogi były powyginane pod dziwnymi kątami. Chłopiec... Chudy chłopiec. Z dużymi dłońmi i stopami, do których zdaje się nie zdążył dorosnąć. Cate porównała je kiedyś do łap szczeniaka. Wystrzeliłam do przodu w chwili, kiedy światło ponownie przygasło, a gdy rozbłysło, byłam już na tyle blisko, by zobaczyć, kto to. Na ziemi leżał Jude.

Był cały we krwi. Spływała mu po twarzy, rękach i skrzyconym karku. Krzyczałam i krzyczałam, nie mogłam przestać... Miał otwarte oczy, a jego usta, choć zanurzone w kałuży lepkiej mazi, wciąż się poruszały. Jego ciało poddawało się mimowolnym drgawkom.

Czyjeś ręce chwyciły mnie za ramiona i przeciągnęły z tego korytarza do innego. *Nie! O Boże! Jude potrzebuje pomocy! Muszę mu pomóc!*

Mój umysł oprzytomniał tak nagle i gwałtownie, że dostałam mdłości. Zatoczyłam się na miękkich nogach, ale czyjeś dłonie zdołały mnie podtrzymać. Szczekałam zębami – ktoś mną potrząsał, by mnie obudzić.

– Spokojnie, spokojnie.

Usłyszałam południowy akcent. Liam? Nie, Cole. Moim oczom ukazała się zmartwiona twarz. Wiszące na suficie lampy rzucały czyste białe światło, a szyby na obu końcach korytarza jeszcze doświetlały wąską przestrzeń. Skupiłam się na oknie za głową Cole’a, przez które zobaczyłam sztangi, bieżnie i maty. Siłownia. Twarz chłopaka była rumiana od wysiłku i pokryta kropelkami potu – trenował. *Skąd się tu wzięłam? Nie szukałam go przecież. Nie wychodziłam z...*

Cole zaciągnął mnie do sali ćwiczeń. Klimatyzacja działała tu na pełnych obrotach i w momencie wysuszyła plamy potu, które miałam na plecach i pod pachami. Położył mnie na jednej z ławek i zniknął na chwilę, po czym wrócił z małym ręcznikiem i plastikowym kubkiem z wodą.

Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że dygoczę, póki nie spróbowałam się napić. Cole ujął moją lewą dłoń i przyłożył do niej ręcznik. Spojrzałam w dół, zaskoczona, że po nadgarstku aż do zgięcia łokcia płynie mi krew. Jej plamy widniały również na moich dżinsach i podkoszulce.

Podskoczyłam, a przynajmniej tak mi się wydawało. Przed oczami znów zobaczyłam Jude'a i przypatrywałam się temu, jak czerwone światło zamieniło jego krew w czarny atrament. Ale przecież to nie była jego krew... Nie byliśmy w Bazie. Ani w Los Angeles.

Zostawiliśmy Jude'a w Los Angeles.

– Wiesz, gdzie jesteś? – zapytał Cole, przykucając przede mną. Zaczekał, aż pokiwałam głową, po czym dodał: – Przepraszam, że obudziłem cię tak gwałtownie. Wiem, że nie powinno się tak robić, ale zobaczyłem, jak przechodzisz obok, a potem usłyszałem twój krzyk. Nie wiedziałem, że masz tyle pary w płucach, poważnie.

Ledwie słyszałam, co mówi.

– Lunatykowałam?

– Na to wygląda – odparł ze współczuciem. – Czym przecięłaś sobie rękę?

Wzruszyłam ramionami. Bolało mnie gardło.

– Która godzina?

– Około piętej nad ranem. – Linie wokół jego ust były teraz bardzo mocno zaznaczone. Rumieńce schodziły mu z twarzy, ustępując miejsca cieniom, które kładły się pod jego oczami i wystającymi kośćmi policzkowymi. Żuchwę porastał świeży zarost. – Urwałaś sobie całe pięć godzin snu.

– I tak spałam więcej niż ty – odparowałam.

– Najwyraźniej. Postanowiłem pobiegać i spróbować uciec od koszmarów, zamiast się w nich pławić. – Na wyświetlaczu bieżni, z której korzystał, migał symbol pauzy. – Mam za dużo adrenaliny. Za dużo myśli tłucze mi się po głowie. Muszę wyładować nadmiar energii.

W pełni wróciłam do rzeczywistości, dopiero kiedy wychwyciłam łagodny głos prezenterki telewizyjnej dochodzący z odbiornika na ścianie. Nozdrza wypełnił mi zapach plastiku, potu i metalu, który w końcu zdominował przykrą woń krwi.

Cole przyglądał mi się przez chwilę przenikliwym wzrokiem, jakby dostrzegał we mnie coś, czego obecności sama nie byłam świadoma. W przeciwieństwie do Cate, Liama i Pulpeta, a nawet Jude'a, pozwalał, by emocje po prostu ze mnie opadły. Nie wypytywał, jak się czuję ani co widziałam. Właśnie tego było mi trzeba. Zepchnąć to

za siebie i tam zostawić.

Odjął rękawkę od mojej dłoni i przyjrzał się rozcięciu.

– Wygląda na dość płytkie – stwierdził, wstając. – Już zaczęło się goić. Chociaż pewnie przez chwilę będzie cię niemiłosiernie szczypać. – Kiedy skończył, podciągnął brzeg koszulki, by zetrzeć sobie pot z twarzy, mimochodem odsłaniając kawałek umięśnionego brzucha.

Odwróciłam wzrok.

– Przychodzisz tu co rano?

– Co rano od dwóch dni, od kiedy tu jesteśmy – odpowiedział rozbawiony. – Staram się wrócić do formy. Nie ćwiczyłem od dłuższego czasu. Pomaga mi to też... – Zrobił ręką dziwny ruch. – Pozbyć się napięcia.

– Tęsknię za wysiłkiem – wyrwało mi się. – Za poczuciem, że jestem silna. Wierzę, że oboje wiemy, dokąd zmierzamy. Ale nie mogę się pozbyć wrażenia, że kręcę się w kółko jak szalona, żeby tam dotrzeć. A kiedy myślę o wynikach badań nad przyczyną OMNI... Cholera jasna, nie mogę uwierzyć, że je straciliśmy. Że po wszystkim, co przeszliśmy, nie mamy nawet tego. Kiedyś potrafiłam sobie radzić z pewnymi rzeczami. Teraz jednak... Wygląda na to, że ostatnimi czasy nie daję rady.

– I co zamierzasz z tym zrobić? – Cole zaplótł ręce na piersi. – Zdiagnozowałaś swój problem, więc jak zamierzasz go rozwiązać? Przestań myśleć o pendrivie i o przyczynach choroby. Nie marnuj energii na rozpamiętywanie przeszłości i użalanie się nad sobą. Skoro ta droga została przed nami zamknięta, skupmy się na odkryciu sposobu leczenia. No dalej, powiedz mi, co zamierzasz z tym zrobić.

– Prowadzić szkolenia. Musimy wytrenować wszystkie dzieci. Będziemy ich potrzebować w walce.

– Nie możesz nikogo szkolić, dopóki sama nie wrócisz do formy.

– Czy to propozycja?

Na jego twarzy powoli pojawiał się uśmiech.

– A co? Boisz się, że twój demon nie nadaży za moim?

Mój demon bez trudu prześcignąłby twój. I go zgubił.

– Jeśli myślisz, że to proste, to się mylisz – ostrzegł i kiwnął głową w stronę

bieżni. – Robię się silniejszy i szybszy i nawet jeśli wciąż nie potrafię pobić swoich demonów, przynajmniej jestem w stanie na chwilę o nich zapomnieć. Kiedy trenowałaś na poważnie ostatni raz?

– Przed...

O Boże, kiedy to było? Tydzień przed wyruszeniem na poszukiwanie Liama? Treningi w Bazie na początku były bardzo brutalne. Walczyliśmy do upadłego omdlałymi, słabymi kończynami. Miałam pęcherze na stopach i dłoniach, a nieblednące sińce sprawiały, że wyglądałam, jakbym przeżyła poważny wypadek samochodowy. Ból parzył mnie, ciągnął i wykręcał, jakby chciał kształtować moje ciało według własnego pomysłu.

Długotrwały trening wzmacniał nas i pozwalał wyostrzyć umiejętności psioniczne. Obejmował podnoszenie ciężarów i ćwiczenia wytrzymałościowe, które wykonywaliśmy naprzemiennie co drugi dzień. Dla urozmaicenia wplatano również samoobronę, kick-boxing i obchodzenie się z bronią. Pracując z taką intensywnością, człowiek skupia się na każdym wykonywanym ruchu, usiłuje maksymalnie wzmocnić nawet najmniejszy mięsień. Dzięki temu na chwilę ucieka przed swoimi myślami.

W pewnym momencie osiągnęłam równowagę. Byłam silna zarówno mentalnie, jak i fizycznie i poważnie zdeterminowana, żeby doprowadzić każdą operację do końca. Ale gdzieś po drodze, gdy szukałam Liama, z niewiadomego powodu zgubiłam to. Z powrotem dopuściłam do siebie wątpliwości i niepewność i straciłam nad sobą kontrolę.

– Chciałabym, żeby ktoś przycisnął mnie mocniej niż trenerzy – powiedziałam. – Nie mogę ciągle się rozsypywać i czekać, aż otaczający mnie ludzie poskładają mnie z powrotem w całość. Chcę móc o wszystkich zadbać.

Cole wyciągnął przed siebie ręce.

– Rozumiem.

– Nie sądzę. – W moim głosie pobrzmiwała niezamierzona desperacja. – Mam wrażenie, że za każdym razem, kiedy już myślę, że wyszłam na prostą, znowu trafiam do tego tunelu. Wokół mnie walą się ściany, zupełnie jakbym...

– Nie! – Cole wstał. – Nie będziemy tu siedzieć, trzymając się za ręce jak na sesji

terapeutycznej w stylu Cate Conner. Nie zamierzam robić ci terapii sztuką i malować dłońmi. – Dwoma długimi susami przemierzył pomieszczenie, przegrzebał niebieski plastikowy koszyk i wyciągnął z niego starą, sfatygowaną parę rękawic bokseńskich.

Rzucił mi je i zaplótł ręce na piersi, ale stanął, jakby gotował się do walki. Włożyłam je bez chwili zawahania czy troski o swoją skaleczoną dłoń. W odpowiedzi dostałam skiniecie głową, które rozgrzało mnie od środka. Jeśli byłam gotowa, to on też.

Sięgnął po rękawice dla siebie, a ja wstałam i ruszyłam w kierunku przeciwległego końca sali ku czarnym matom. Plastik, pot i guma – poznawałam ten zapach. Nabrałam go głęboko w płuca i zajęłam pozycję, pozwalając, by mój ciężar wbił się w cienką piankę.

– I jeszcze jedno – Cole odwrócił się do mnie, uderzając rękawicą o rękawicę – jeśli chcesz być silna, musisz oberwać. I to porządnie. Skończymy dopiero wtedy, kiedy nie będziesz w stanie ustać na nogach albo się podnieść.

– Zrozumiałam. Tylko nie przestawaj, żeby dać mi fory.

Prychnął.

– I pamiętaj, nikomu ani słowa o tym, że trenujemy. Ani Conner, ani Vidzie, Liamowi czy komukolwiek innemu.

Co to kogo obchodzi?

– Najpierw sprawdźmy, czy dasz radę trafić mnie pierwszy – droczyłam się, ale jego spojrzenie pozostało poważne i zabarwione czymś, czego nie rozumiałam. – O co chodzi? Wstydzisz się, że walczysz z dziewczyną?

– Wątpię, żeby spodobała się im ta metoda terapeutyczna – powiedział, cofając jedną stopę i unosząc ręce, by chronić twarz. Mówił tak cicho, że ledwie go słyszałam. – Oni się nie spalają, prawda? W przeciwieństwie do nas.

Jego pięść wystrzeliła w przód, trafiając mnie w skroń. Straciłam równowagę, ale utrzymałam się na nogach. Wraz z bólem zalała mnie fala gniewu, że dałam się zaskoczyć. Gdy wymierzyłam cios, Cole się uśmiechnął. Przystanął i zmienił pozycję, zmuszając mnie, bym zrobiła to jeszcze raz i kolejny, aż w końcu uderzyłam dokładnie tak, jak tego chciał. Szturchnął mnie łobuzersko w ramię i uśmiechając się

szeroko, kopnął w nogę. Następnie odskoczył i zadał kolejny cios w mój brzuch.

Mijały minuty, a ja zdawałam się poruszać w ich rytmie. Mimo że serce straciło wolę walki, mięśnie wciąż pamiętały, co robić. Kiedy udało mi się zablokować cios i odparować go prosto w brzuch Cole'a, zaala mnie gorąca fala ekscytacji. Mój przeciwnik wypuścił powietrze po części ze śmiechu, po części z bólu. Zanim zdążył sobie przypomnieć, że miał mnie uczyć, leżeliśmy na matach, usiłując złapać oddech.

Nie – pomyślałam, sięgając ręką, by odgarnąć z oczu mokre od potu włosy. – Oni nie są tacy jak my.

Kilka godzin później zebraliśmy się w auli, żeby oficjalnie rozpocząć planowanie ataku na obozy. Mięśnie miałam jak z galarety, ale mgła sennego koszmaru już nie przesłaniała mi umysłu.

Przyglądałam się siedzącym w kręgu na podłodze dzieciom. Były wśród nich nowe – przyjechały ostatnim samochodem, kiedy ja brałam prysznic po treningu z Cole'em. Czwórka nowo przybyłych dzielnie walczyła z wycieńczeniem i wyjaśniała, że zatrzymały ją problemy z samochodem. Cole zaszedł mnie od tyłu i lekko pchnął w ich kierunku. Nieznacznie się cofnęłam, byłam trochę onieśmielona, ale jego uśmiech dodawał mi otuchy.

– Przecież o tym rozmawialiśmy, pamiętasz? Przekaż im najważniejsze rzeczy.

– Czy to nie ty powinienes...?

– Nie, to twoja rola. – Znowu delikatnie mnie pchnął, nie zwracając uwagi na podejrzliwe spojrzenie Pulpeta. – Pokaż im, co potrafisz, perełko.

Spraw, żeby cię pokochali. Potrząsnęłam głową, ignorując niski głos Clancy'ego wypełniający mi uszy. Zu przesunęła się w tył i machnęła ręką na Hinę i Tommy'ego, żeby zrobili to samo i otworzyli dla mnie krąg.

– Chodzi o to... – zaczęłam, ale urwałam w pół zdania. Nagle przestałam się przejmować wpatrzonymi we mnie twarzami i skupiłam na tym, że nie wszyscy się tu pojawili. Spojrzałam na Pulpeta, który obrywał brzegi dziury w dżinsach, przez co wyglądał jak wcielenie wymuszonej nonszalancji. – Gdzie są Liam, Kylie i James?

– Pewnie w łazience – wydusił z siebie nienaturalnie piskliwym głosem.

Nagle wszystkie dzieci spuściły po sobie oczy. Nawet Zu.

Nie zrobiłeś tego, Liam – pomyślałam, walcząc z narastającym przypływem paniki. – *Błagam cię, chyba nie wyszedłeś na zewnątrz po zapasy? I to bez broni?*

– Wyszli na zewnątrz – szepnął cichy głosik.

Rozejrzałam się wokoło, ale nie odnalazłam tego, kto to powiedział.

– Kto wyszedł? – zapytał Cole. – Któreś z...

Dokładnie wiedziałam, kiedy zauważył, kogo brakuje. Znieruchomiał i przybrał beznamienny, kontrolowany wyraz twarzy. Wyglądał jak ktoś, kto za chwilę spokojnie i metodycznie popełni morderstwo.

– Dlaczego to zrobili? – zapytałam.

– Żebyśmy mieli co jeść! – burknął Pulpet.

– Dokąd poszli? – Musiałam się powstrzymać, by nie zacząć krzyczeć i by nie wyciągnąć rąk i z całej siły nie potrząsnąć Pulpetem.

– Do najbliższego miasteczka – odezwała się Lucy. – Obiecali, że wrócą za godzinę.

– Naprawdę? Jeśli ktoś skręci im kark, to przynajmniej poziom inteligencji w tym miejscu wzrośnie – wycedził Cole, po czym zwrócił się do całej grupy: – *Nie wolno* wam wychodzić na zewnątrz, dopóki nie ukończycie szkolenia, które pokaże wam, jak się bronić, i zanim nie wyposażymy się w broń. Dopilnuję, żebyśmy byli bezpieczni, ale musicie mnie słuchać, bo inaczej nic z tego nie będzie. Rozumiemy się?

W odpowiedzi kilkoro dzieci pokiwało głowami i wydało się z siebie słowa potwierdzenia.

– Dobrze – powiedziałam. *Do jasnej cholery, Liam, co ty sobie wyobrażasz?* – Już dobrze. – Zmusiałam umysł, by wrócił na właściwe tory. – Przede wszystkim chciałam was poinformować, że wykradziony przez Cole’a pendrive zawierający wyniki badań nad przyczyną OMNI został zniszczony przez impuls elektromagnetyczny.

Vida najwyraźniej powiedziała już o tym Pulpetowi i Zu, bo w porównaniu z pozostałymi dziećmi wyglądali na zupełnie nieporuszonych. Na widok ich twarzy poczułam w żołądku ostre ukłucie beznadziei. Pokonałam je jednak, świadoma, że Cole mnie obserwuje.

– Nie ma szans, by je odzyskać? – zapytał Tommy.

– Nie – odparł Nico. – Próbowaliśmy wszystkiego. Pliki przepadły.

– Ale w dalszym ciągu mamy wyniki badań nad sposobem leczenia – wyjaśniłam pospiesznie. Zieloni spisali je i zgrali na nasz jedyny laptop. Całe piętnaście stron zaszyfrowanych danych. – To na razie musi nam wystarczyć. Sądzę jednak, że powinniśmy się też zająć wyzwaniem obozów. Po pierwsze dlatego, że to nasz obowiązek, a po drugie to najlepszy sposób, by pociągnąć Graya do odpowiedzialności za to, co się z nami stało. Ja i Cole – wskazałam na niego – nie będziemy jednak w stanie zrobić tego sami. Chciałam więc was zapytać, czy się do nas przyłączycie. Rozumiem, że możecie się bać albo nie chcieć brać udziału w akcjach. Naprawdę. Nie ma się czego wstydzić. Jest tyle do zrobienia, że nie opuszczając bazy, i tak możecie być częścią operacji. Istnieje również szansa, że kiedy zrobi się odrobinę bezpieczniej, znajdziemy sposób, by odesłać was do domów i do rodziców. – Zaczekałam, aż zaczną kiwać głowami. – W takim razie uważam, że najlepiej będzie zacząć od wspólnego obmyślenia planu potencjalnego uderzenia na obóz. Proponuję podzielić się na małe grupki po cztery osoby lub pięć i zacząć się zastanawiać, jak moglibyśmy coś takiego przeprowadzić. Nie przejmujcie się, gdy coś wyda wam się zbyt szalone albo niemożliwe do wykonania przy środkach, jakimi obecnie dysponujemy. Puśćcie wodze fantazji: zobaczymy, co z tego wyniknie.

Pozwoliłam, by podzielili się sami, z dumą obserwując, jak stare zespoły Ligi przyjmują nowe dzieci. Cole klepnął mnie w ramię z pełnym uznania uśmiechem, po czym zaczął się przechadzać między nimi. Odwzajemniłam uśmiech. Czułam się tak lekko, że miałam wrażenie, że mogłabym podskoczyć pod sam sufit.

Nie trwało to jednak długo. Obecność jakiejś osoby za mną cicho i ciężko położyła się cieniem na mojej radości. Nie musiałam się odwracać, żeby wiedzieć, że to Pulpet. Moja irytacja stawała się tym większa, im dłużej karał mnie milczeniem. Spojrzałam w bok na Vidę. Jak królowa zasiadła pośrodku grupy, w której znajdował się Tommy, Pat i jeszcze dwoje dzieciaków z Ligi. Pozwoliła, by chłopcy zalewali ją pochwałami, zachwytem i adoracją przez dobre trzy minuty, zanim raczyła się wypowiedzieć na temat ich pomysłów.

– Kiedy wreszcie zaczniesz nas uprzedzać o swoich zamiarach? – zapytał w końcu

Pulpet. – Mam wrażenie, że po prostu oznajmiasz nam pewne decyzje, bo wiesz, że z niektórymi z nich zupełnie byśmy się nie zgodzili.

Wypuściłam przez nos powietrze, które wstrzymywałam, i odwzajemniłam jego surowe spojrzenie.

– Na moje oko problem tkwi w tym, że nie wierzycie, iż jestem w stanie podjąć dobrą decyzję bez waszego udziału.

Cole ostrzegał mnie, że tak będzie. Twierdził, że przejmuję się zdaniem zbyt wielu osób i właśnie przez to nigdy nie czuję się pewna swoich wyborów. Moi przyjaciele powtarzali w kółko, że mi ufają. Najwyraźniej jednak tak nie było.

– Dlaczego pozwoliliście Liamowi wyjść? – zapytałam stanowczo. – Nawet nie jest uzbrojony.

Pulpet wyrzucił ręce w powietrze.

– Liam i reszta to Niebiescy, do jasnej cholery! Boże, Ruby, musisz... A zresztą nieważne.

– Co muszę?

Pulpet obrzucił mnie pełnym złości spojrzeniem, a ja nie pozostałam mu dłużna.

– Posłuchaj – westchnął ciężko – nie wiem, co tak naprawdę łączy cię z Lee, i zdaję sobie sprawę z tego, że to nie mój interes. Szczerze mówiąc, ledwo za wami nadążam. Niemniej nie mogę obojętnie patrzeć, jak ktoś traktuje jednego z moich najlepszych przyjaciół tak, jak ty traktujesz ostatnio Lee.

– O co ci chodzi?

– Trzymasz go na dystans. Jesteś tu, ale równocześnie gdzie indziej, rozumiesz? Nawet kiedy przebywasz z nami, jesteś jakaś nieobecna. Wyłączasz się, unikasz tematów, masz przed nami tajemnice. A raz na jakiś czas po prostu znikasz. Czy jest jeszcze coś, o czym nam nie mówisz?

– Bardzo skrupulatnie wypomniałeś mi wszystko, co robię, ale najwyraźniej nie masz pojęcia, o co chodzi. *Znikam*? Może sam chciałbyś *potrenować*, by mieć pewność, że nie wyjdiesz na mięczaka, szkoląc dzieci? Albo *układać plany*, tak żeby nikt nie został ranny ani zabity? I jako jedyny doglądać Clancy'ego? – Zniżyłam głos do wściekłego szeptu.

Pulpet był wyraźnie zaskoczony. Wyciągnął rękę i położył mi ją na ramieniu, ale kiedy jego spojrzenie łagodniało, moje robiło się coraz bardziej zacięte. Nie miałam ochoty, by patrzył na mnie w taki sposób.

– Chcę tylko, żebyś z nami rozmawiała – powiedział. – Wiem, że już nigdy nie będzie jak kiedyś, ale tęsknię za tym. Tęsknię za... – Pokręcił głową. – Nie chciałem tak na ciebie naskoczyć.

– Ale ci nie wyszło. – Westchnęłam.

– Ktoś musiał ci to powiedzieć. Moim zdaniem postanowiłaś trzymać sztamę z Bratem Cwaniakiem. W porządku, rozumiem. Ale nie zapominaj, kto parł do wyzwolenia obozów od pierwszej chwili, gdy dotarliśmy do East River. Nie pamiętasz? Liam miał plan, w który mocno wierzył. Przekonywał do siebie dzieci, tak jak to tylko on potrafi, pracując wśród nich i pomagając im. Musisz pozwolić mu coś zrobić, Ruby! Przyznaj, że jesteś zła, bo wyszedł na zewnątrz bez twojego pozwolenia.

Potrząsnęłam głową z niedowierzaniem. Moje myśli były tak samo poplątane jak uczucia.

– Jestem zła, bo to niebezpieczne! Bo może zostać schwytany albo zabity! A ja nie jestem gotowa... – urwałam w pół słowa, zaskoczona przyływem emocji, które mnie ogarnęły. Czułam frustrację, złość, a ponad wszystko strach. – Nie jestem gotowa, by znów kogoś stracić...

Pulpet wypuścił powietrze, wziął mnie w ramiona i niezgrabnie poklepał po plecach. Przycisnęłam dłonie do jego barków, by przytulić go mocniej. Pragnęłam przypomnieć sobie radość, jaką czułam, kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy od wielu miesięcy, gdy okazało się, że żyje. Wspomnienie uleciało jednak, zamieniając się w blednący promień słońca. Wiedziałam, że jego słowa nie miały być oskarżycielskie ani okrutne. Pulpet po prostu pragnął, byśmy byli bezpieczni i trzymali się razem. Nie wybiegał w przyszłość i całkowicie skupiał się na naszym wąskim gronie. Ja nie mogłam sobie na to pozwolić. Już nie. Walczyłam z tym odruchem, bo musiałam brać pod uwagę *w s z y s t k i c h*.

– To tylko jedna osoba, wiem. Ale to jeden z *n a s* – powiedział Pulpet, jakby

czytał w moich myślach. – Uważam też, że powinniśmy się skupić na Zu. Musimy wydobyć z niej całą historię o człowieku, z którym podróżowała. Nie sądzę, by wystarczyło po prostu poczekać, aż będzie gotowa, żeby o tym rozmawiać.

Pokiwałam głową, opierając się o ścianę, i spojrzałam na Zu. Siedziała między Hiną i Lucy z oczami wbitymi w podłogę. Dłonie położyła równo na kolanach i podwinęła pod siebie nogi.

– To, że ich tu przywieźliśmy, nie było błędem, prawda? – zapytałam. – To maluchy. Nie pozwolę im walczyć, ale nie mogę się pozbyć przeczucia, że to wszystko odbije się na nich w sposób, którego nie jestem jeszcze w stanie przewidzieć.

– Nie będziemy mogli ich uchronić, jeśli postanowimy dać im wybór. O to chodzi, prawda? O zapewnienie im oraz tym, którzy przyjdą po nich, szansy na życie lepsze niż nasze. Na wyjście z kryjówki.

Tak, dokładnie o to chodziło. O wolność, która miała przyjść, kiedy znikną nasze zdolności, i która pociągała za sobą konieczność dokonywania życiowych wyborów. O wolność w wyborze miejsca do życia i osób, z którymi chcieliśmy dzielić swój dom. O pozbycie się strachu przed każdym cieniem. Spełnienie marzenia, by dzieci mogły dorastać bez lęku, że kiedyś nie obudzą się ze snu albo niespodziewanie zgasną jak żarówka.

Wiedziałam równie dobrze jak Cole, że jedynym rozwiązaniem, które mogło przynieść nam wyzwolenie, było rozwiązanie siłowe. Prawdziwa bitwa. Ale koszty... Rozejrzałam się wokoło po ożywionych twarzach dzieci. Próbowałam chłonąć cichy gwar i śmiech w nadziei, że pomoże mi to opanować ściskający mi klatkę piersiową strach. Nie mogłam mieć obu rzeczy naraz. Nie mogłam poprowadzić dzieci do walki, nie ryzykując, że któreś zginie i nie będzie mogło się cieszyć z jej wyniku.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo tego pragnę, Ruby. Wrócić do domu i zobaczyć rodziców. Pospacerować po naszej dzielnicy w biały dzień. Wiem, że moje zdolności pewnie będą mi ciążyć przez całe życie, ale chcę się dalej uczyć, żeby w przyszłości nikt nie mógł mi niczego odmówić ze względu na brak wykształcenia. To mi wystarczy. Wiem, że nie będzie łatwo i że będę miał szczęście, jeśli wyjdę z tego cały, ale jeśli istnieje szansa, że spełnią się moje pragnienia, to jestem gotowy

zaryzykować. – Pulpet zamilkł na chwilę, po czym dodał cicho: – To, co się wydarzy, jest warte ryzyka. Będziemy świadkami wielkiej zmiany.

– Czyżbyś opuścił zastępy realistów?

Pulpet odwzajemnił mój uśmiech.

– Pieprzyć realistów. Wstępuję w szeregi ryzykantów.

Godzinę później w drzwiach tunelu stanął Liam i pozostali, którzy z nim wyszli. Każdy tachał duże kartonowe pudło albo plastikowy pojemnik. Ich głosy niosły się po długim korytarzu, kipiąc od podekscytowania. Najwyraźniej zupełnie się nie spodziewali, co ich czeka na drugim końcu.

Pierwszy naszym oczom ukazał się Liam. Jego twarz i ręce pokrywała cienka warstwa kurzu, a włosy sterczały mu na wszystkie strony rozczochrane przez porywisty wiatr. Kiedy zobaczyłam, jaki jest rozbawiony, uśmiechnięty i szczęśliwy, zapomniałam, czemu tak bardzo się na niego wściekałam.

Ale brata nie udało mu się zmiękczyć.

Cole stał na prawo od wejścia i opierał się ramieniem o ścianę. Przez ostatnią godzinę nie odezwał się ani słowem, ale oddychał coraz ciężiej. Chociaż zaplótł ręce na piersi, nie zdołał ukryć drżenia palców prawej dłoni, które podskakiwały co kilka minut. Od wybuchu dzieliła go jedna iskra. Widziałam to bardzo wyraźnie.

Mimo to nie udało mi się zerwać na nogi wystarczająco szybko. Liam miał sekundę, by ucieszyć się na mój widok... Potem dopadł go starszy brat. Cole wyrzucił w przód ręce, chwycił go za koszulkę, odwrócił i gwałtownie przyparł do ściany. Liam upuścił pudło, posyłając puszki i opakowania we wszystkich kierunkach. Pod moimi nogami wylądowało jasnoczerwone pudełko płatków do mleka.

– Jezu Chryste – wydusił z siebie, ale Cole już ciągnął go za sobą w kierunku biura Albana.

Złapałam drzwi, zanim zatrzasnęły mi się przed nosem, i zobaczyłam, jak Cole ciska brata na duże zniszczone biurko.

– O co ci chodzi, do cholery?! – wydyszał Liam.

Cole był od niego trochę wyższy, ale teraz gniew jakby rozciągnął Liamowi kręgosłup, sprawiając, że wydawał się dorównywać wzrostem bratu, a nawet go

przerastać. Byli o krok od rzucenia się sobie do gardeł, a mimo to nigdy wcześniej nie wyglądali tak podobnie.

– O co mi chodzi?! Ciekawe, jak ty byś zareagował, gdybyś się dowiedział, że jakiś dzieciak dobrał sobie dwoje towarzyszy i wyszedł stąd, żeby dać się zabić. Czy naprawdę jesteś aż tak głupi? – zaatakował go Cole, wymachując wściekle rękami. – Mam nadzieję, że było warto. Mam nadzieję, że poczułeś się lepiej, kolejny raz odgrywając bohatera. Wiedz tylko, że naraziłeś na szwank całą operację! Ktoś mógł was śledzić! Ktoś w tej chwili może obserwować ten budynek!

Liamowi w końcu puściły nerwy. Pchnął Cole’a na stojące za nim puste regały i przyparł go do nich, przyciskając rękę do jego piersi.

– Odgrywać bohatera? A jak ty się zachowujesz od samego początku? Panoszysz się i wydajesz rozkazy, choć nie masz *żadnego* prawa przewodzić tym dzieciom. Nie masz pojęcia, co czują i przez co przeszły!

Cole zaśmiał się drwiąco i przez chwilę naprawdę myślałam, że wyjawi bratu swój sekret, choćby tylko po to, by mu dopiec albo wywołać szok i przerażenie, którego od tak dawna się obawiał.

– Udało mi się! – grzmiał Liam. – Nikt nas nie śledził, bo nikt nas nie zauważył. Robiłem to setki razy i to w tysiącokrotnie gorszych warunkach i zawsze sobie radziłem... Powiedziałbym ci o tym, gdybyś nie traktował mnie jak dziecka, które nie potrafi nic innego, jak tylko się moczyć, czekając, aż ktoś się nim zajmie!

Miał rację. Ze wszystkich zgromadzonych w nowej bazie to on miał największe doświadczenie w wyprawach po zapasy. Zespoły odpowiedzialne za ochronę w East River zdobywały jedzenie, leki i ubrania, polegając jedynie na samochodach dostawczych porzuconych przy pobliskiej autostradzie.

– Czemu zachowujesz się tak, jakby ci na mnie zależało? – Liam kipiał ze złości. – Przez tyle lat ignorowałeś moje istnienie, myśląc, że...

– Nie masz pojęcia, co myślę – odparował Cole, w końcu odpychając brata. – Chcesz wiedzieć? Naprawdę? Powiem ci... Przez cały ten czas zastanawiałem się, jak powiem mamie, że kolejne z jej dzieci nie żyje.

Miałam wrażenie, że jego słowa wyssały resztkę powietrza znajdującą się w

pokoju. Liam zrobił się blady jak ściana, a jego dotąd zaciśnięta szczęka opadła.

– Zmusiłeś mnie, bym to ja jej powiedział, pamiętasz?! Nie potrafiłeś przestać płakać, nie byłeś w stanie nawet wyjść z pokoju Claire. Mama była na dole i przygotowywała dla niej drugie śniadanie do szkoły. To ja musiałem do niej zejść i jej to przekazać.

Przycisnęłam dłoń do ust. Obraz malujący mi się przed oczami był potwornie bolesny. Liam zachwiał się, wpadł na biurko i złapał się za jego brzeg, żeby całkiem nie stracić równowagi. Przez chwilę widziałam jego zrozpaczoną twarz, ale szybko schował ją w dłonie.

– Przepraszam... Boże, przepraszam. Nie pomyślałem... Po prostu chciałem coś zrobić...

Chociaż widziałam już wiele różnych odcieni gniewu Cole'a, przeraźliwie lodowaty wyraz jego twarzy i ton głosu zupełnie mnie zaskoczyły.

– Jesteś tu jedynie dlatego, że nie wiem, gdzie się zaszyli mama i Harry, i nie mogę cię im odesłać... Co masz taką minę?

Liam od zawsze był jak otwarta księga. Każda myśl, która przychodziła mu do głowy, w końcu malowała się na jego twarzy. Każdy, kto na niego patrzył – nawet totalnie rozbita, przerażona jak zwierzę dziewczyna, którą kiedyś byłam – od razu wiedział, że mówi dokładnie to, co myśli. Jeśli Liam coś komuś proponował, to dlatego, że najzwyczajniej w świecie tego chciał. Nie stosował żadnych haczyków, nie było drugiego dna, nie oczekiwał niczego w zamian. Nieraz zastanawiałam się, jak musi boleć serce, które tak głęboko wszystko odczuwa, które nie potrafi ukryć nawet największych sekretów.

Na wspomnienie rodziców Liam podniósł wzrok na brata. Cole zobaczył jego twarz i od razu się zorientował. Ja zresztą też.

Liam mu nie powiedział, pomyślałam. Nie rozumiałam dlaczego. Obaj wiedzieli, że ich matka i ojczym ukrywają się pod fałszywym nazwiskiem. Od kiedy opuścili dom w Karolinie Północnej i zaczęli się ukrywać, przedstawiali się jako Della i Jim Goodkindowie. Poszukiwania w internecie i książkach telefonicznych prowadziły od jednej ślepej uliczki do drugiej. Liam powinien był od razu poinformować Cole'a, że

Zu spotkała ich matkę. Powinien był wstać od stołu i natychmiast odnaleźć brata...

– Ty wiesz! – Tym razem Cole naprawdę go uderzył. Lodowate opanowanie rozpadło się na kawałki i jego pięść wylądowała na brodzie Liama. – Kłamałeś mi prosto w twarz, do cholery! Gdzie oni są?!

– Przestańcie! – krzyknęłam. – Dajcie spokój!

Liam ruszył na brata, zamachnął się i wyprowadził cios. Zobaczyłam błysk w oku Cole'a i wślizgnęłam się między nich, ledwie blokując wymierzoną w jego brzuch pięść. Przez sekundę Liam siłował się ze mną, by dopiąć swego, ale po chwili odzyskał zmysły. Dokładnie widziałam, jak cierpienie i rozżalenie uchodziły z niego z gwałtownym wydechem. Miał przerażony wzrok. Musiałam mocno chwycić go za koszulę, żeby go zatrzymać, bo wiedziałam, że w pierwszym odruchu paniki rzuci się do ucieczki. Drugą rękę wyciągnęłam w stronę Cole'a na znak, żeby się nie ruszał.

– O Boże – powiedział Liam zachrypniętym głosem. – Dlaczego to zrobiłaś? To było strasznie głupie...

Rozluźniłam chwyt, po czym położyłam mu rękę na plecach i stanęłam obok. Wciąż ciężko oddychał, starając się uspokoić wrzące emocje. Powinna była się spodziewać, że szybko ogarnie go poczucie wstydu. Z natury nie był wojownikiem. Przeczuciwałam, że świadomość skrzywdzenia kogoś, na kim mu zależy, przysporzyłaby mu znacznie więcej cierpienia niż pięści Cole'a.

– Liam powinien być kwatermistrzem – rzuciłam.

Cole zaplótł ręce na piersi.

– To...

– To świetny pomysł – dokończyłam za niego. – Nie ma za co. Wie, gdzie są wasi rodzice, i z radością wyjawi ci teraz wszystkie szczegóły.

– W zamian za nadanie mu tego tytułu? – Cole potrząsnął głową, rzucając bratu pełne powątpiewania spojrzenie. – Czy ty w ogóle wiesz, kto to jest kwatermistrz?

– Jasne, że wiem – syknął Liam przez zaciśnięte zęby. – Podejrzewam, że starasz się tego nie pamiętać, ale przez kilka miesięcy należałem do Ligi.

– Nie chodzi o żadną wymianę – wtrąciłam się. – Liam sprawdzi się w tej roli najlepiej z nas. Ktoś musi się tym zająć, i to szybko. A poza tym jesteście braćmi,

kochacie się i powinniście szanować to, co każdy z was potrafi. Radzę, byście skupili się na walce, która nas czeka, a nie na skakaniu sobie do oczu. Zrozumiano?

– Widać jak na dłoni, że jesteś jedynaczką. Relacje rodzeństwa nie mają wiele wspólnego z logiką – burknął Cole.

Lokalizowanie źródeł zaopatrzenia i branie na siebie odpowiedzialności za jego sprowadzanie było poważnym zadaniem. Pewnie sama bym się zastanawiała, czy Liam temu podoła, gdybym wcześniej nie widziała na własne oczy, jak sobie radzi.

– Cole – powiedziałam łagodnie, sprawiając, że Liam znowu się spiął. – On już to robi.

– Nie chodzi o to, czy sobie poradzi, czy nie, ale czy na to zasługuje – wypalił Cole. – Zignorował wyraźny rozkaz, by nie opuszczać bazy, i działał na własną rękę.

– Racja! Zapomniałem, że obwołałeś się liderem – syknął Liam, a nienawiść w jego głosie przyprawiła mnie o dreszcze. – Świetnie, że zapytałeś nas o zdanie. Co, bałeś się, że ktoś podważy twoje kwalifikacje? Że ktoś wytknie ci, że niewiele wiesz o nas i naszym życiu? A może to kolejna decyzja, którą podjęliście tylko we dwoje z nadzieją, że pójdziemy za wami jak barany, na wszystko się zgadzając.

Odsunęłam się od niego. Ton jego głosu ranił mnie bardziej niż słowa. Cole zachował się odwrotnie: podszedł bliżej i spojrzał bratu prosto w twarz. Trzeba przyznać, że Liam nawet nie drgnął. Przynajmniej do chwili, kiedy Cole powiedział:

– Moje kwalifikacje? To nie ja skazałem ponad setkę dzieci na śmierć wskutek dziecinnie zaplanowanej i fatalnie przeprowadzonej ucieczki z obozu, który, szczerze mówiąc, wcale nie był taki zły.

– Przesadziłeś – ostrzegłam Cole’a, czując, jak podnosi mi się ciśnienie. – To, że postrzegasz każdy obóz jako „nie taki zły”, dowodzi, że nie masz pojęcia, o czym mówisz. Obaj...

– Chcesz mnie ukarać? – warknął Liam, odpychając mnie na bok, żebym nie odgradzała go od brata. Szyję i twarz oblewała mu wściekła czerwień. Trząsł się tak samo jak jego głos. – Proszę bardzo. Powiedz jak. Jeśli chcesz się obnosić ze swoją władzą, zrób to i nie marnuj dłużej mojego czasu.

Rzuciłam Cole’owi ostre ostrzegawcze spojrzenie, ale był już w połowie zdania.

– Wyszoruj łazienki. Wybielaczem.

Drwiący uśmiech nie był u Cole’a niczym niezwykłym. Na twarzy Liama widziałam go jednak po raz pierwszy.

– Już to zrobiłem – powiedział z dumnym, pełnym pogardy spojrzeniem.

– Wyczyść zapasowe zbiorniki na ścieki.

– Zrobione.

– Pranie. Przez miesiąc. Samodzielnie.

– Pozwól, że ci przypomnę, że pozwoliłeś, by agenci wywieźli stąd całą pościel i ręczniki.

Cole głośno wypuścił powietrze przez nos i zmrużył oczy. Najwyraźniej coś przyszło mu do głowy, bo jego zaciśnięte usta rozciągnęły się w uśmiechu.

– W takim razie możesz posprzątać garaż.

Odwróciłam się ku niemu zdziwiona.

– Co posprzątać?

Nie powiedział ani słowa więcej, jedynie podszedł do drzwi, otworzył je i przytrzymał dla nas. Kątem oka zauważyłam, że wyprzedzając mnie, Liam obserwuje moją reakcję. Później jednak, kiedy ruszyłam za nimi w dół schodów, widziałam już tylko jego plecy. Cały czas trzymał się o dwa stopnie przede mną i ani raz nawet się nie obrócił, by sprawdzić, czy wciąż za nim idę. Kiedy przechodziliśmy przez kuchnię, do wypełniającego mnie strachu dołączyła dezorientacja. W gładkich powierzchniach ze stali nierdzewnej widziałam odbicie swojej twarzy. Minęliśmy zlewozmywaki, kuchenkę, piekarnik oraz spiżarnię i w końcu dotarliśmy do ściany z metalowym regałem pełnym garnków, patelni i brytfann.

Cole pociągnął za regał, napinając mięśnie rąk, i z trudem przesunął go po wyścielającym podłogę linoleum, by odsłonić ukryty za nim sekret.

– Serio? – powiedziałam zirytowana. – Kolejne tajemne drzwi?

Liam w końcu na mnie spojrzał, unosząc brwi.

– Jest ich więcej?

– Nie są tajemne – odparował Cole i ruszył w głąb ciemnego korytarza, przebierając dłońmi po ścianie w poszukiwaniu włącznika światła. Naszym oczom

ukazał się zawilgocony betonowy tunel. – Przestaliśmy korzystać z tych pomieszczeń i po prostu je opuściliśmy. Myślę, że to mogłoby być nasze wyjście awaryjne. To ważne, żeby wszystkie dzieci wiedziały, gdzie się znajduje.

– Do czego służyło wcześniej? – zapytałam, z całego serca chcąc wypełnić ciszę. Teraz szłam pomiędzy braćmi, próbując nadążyć za zdecydowanym, szybkim tempem Cole’a, wpatrzona w mięśnie jego szerokich ramion napinające się pod koszulką. Myślałam jednak o Liamie i o tym, jak parująca z niego złość zaciąga mgłą powietrze wokół nas.

Szedł za mną i czułam na sobie jego wzrok tak intensywnie, że równie dobrze mógłby wyciągnąć rękę i szarpnąć mnie za warkocz. Szuranie naszych kroków i szum oddechów odbijały się echem od ścian, a potworność całej tej sytuacji potęgowała świadomość, że bracia są o jedną złośliwość od rzucenia się sobie do gardeł i sprania się do nieprzytomności.

– Używaliśmy tych pomieszczeń do przeprowadzania symulacji. Trzeba je sprzątnąć, żebyśmy teraz też mogli zaplanować i przećwiczyć tu naszą akcję – wyjaśnił Cole. – Składowaliśmy tu wszystkie nagromadzone przez lata graty.

– Fantastycznie – burknął Liam. – Podejrzewam, że nie ma tu nic, co mogłoby się nam przydać.

Cole wzruszył ramionami.

– Zaraz się dowiesz, braciszku.

Liam tylko warknął w odpowiedzi.

Sięgnęłam do tyłu i zwolniłam. Nagle ogarnął mnie nieodparty strach, że to na mnie Liam był najbardziej zły. Mógł mieć do mnie pretensje, że niewystarczająco się za nim wstawiłam. Bałam się też, że zatajenie przed nim planu, który ułożyłam z Cole’em, zraniło go bardziej, niż się spodziewałam. Szukałam jego dłoni – potrzebowałam otuchy, chciałam go pocieszyć i przeprosić. Pragnęłam poczuć, że mam go obok. Nawet nie zapytałam, jak się czuje. Teraz był pokiereszowany emocjonalnie, ale nie wiedziałam, czy z wyprawy nie przyniósł siniaków, stłuczeń i ran.

Moja ręka trafiła w pustkę. Zawisła w zimnym powietrzu. Nic. Boże, wyglądało

na to, że *n a p r a w d ę* jest zły, a może nawet wściekły. W klatce piersiowej zawiązał mi się bolesny supeł. Cofnęłam dłoń i przycisnęłam ją do boku, by zmniejszyć rozdzierające poczucie odrzucenia.

Nagle Liam złapał mnie jednak za palce, ale zamiast spleść je ze swoimi, przycisnął do nich usta, po czym pokonał dzielącą nas odległość, żebyśmy mogli iść obok siebie. Otoczył mnie ramieniem i pozwolił mi się do siebie przysunąć. Gładziłam go po plecach w górę i w dół, w górę i w dół, aż poczułam, jak jego napięte mięśnie się rozluźniają. Kiedy na mnie spojrzał, wyraz jego twarzy złagodniał już na tyle, że poczułam nagłą potrzebę, by wspiąć się na palce i dać mu czułego całusa. Odważyłam się. Opuścił głowę, starając się ukryć lekki uśmiech zadowolenia. Pierwszy raz od jego powrotu poczułam się spokojna.

Miedzy nami wszystko gra – pomyślałam. – Jest dobrze.

Przemierzenie korytarza zabrało nam pięć minut. Teraz czekała nas wspinaczka po schodach. Z zaskoczeniem spostrzegłam, że wychodzimy na powierzchnię. Drzwi u szczytu wyglądały na wykute z twardego metalu, ale nie były zamknięte na klucz. Nikt ich jednak nie otwierał od tak dawna, że Cole musiał z całej siły pchnąć je ramieniem, a kiedy puściły, niemal stracił równowagę.

Kpiący uśmieszek zszedł Liamowi z twarzy, kiedy przekroczyliśmy próg.

Było jasne, że znajdujemy się w jednym z pobliskich magazynów – którymś z wielu identycznych długich białych budynków, od jakich roило się w tej części Lodi. Wyglądało na to, że zajmuje on mniej więcej tę samą powierzchnię co Ranczo, z tym, że był jednokondygnacyjny i zdecydowanie gorzej zagospodarowany. Otaczał nas beton i metal. Rzędy okien ciągnące się u szczytu ścian pokrywała warstwa kurzu i zasłaniał materiał zaciemniający. Zwisające ze stropu żarówki zamigotały i ożyły, oświetlając piętrzące się wszędzie sterty gratów.

Przestrzeń nie była podzielona ściankami, nie miała również wydzielonych pomieszczeń. Z tego, co zdążyłam zauważyć, nie postarano się o ogrzewanie ani jakąkolwiek warstwę izolacyjną. Był to po prostu niedokończony garaż. Znajdowało się tu zresztą kilka samochodów, a raczej wypatroszonych karoserii, które podparto na podnośnikach. Liam podszedł do najbliższego wraku i przykucnął nad jego leżącymi na ziemi wnętrznościami. Wszystkie opony i kołpaki wisiały na bramie

głównej, którą zabezpieczono licznymi łańcuchami i kłódkami. W większości otaczała nas jednak dziwaczna i chaotyczna zbieranina rozmaitych różności: połamane ramy łóżek, śpiwory oraz pudełka pełne śrubek i gwoździ. Ruszyłam do jednego z worków na śmieci i niepewnie go otworzyłam. Na szczęście zawierał tylko pogniecione stare ubrania, które najpewniej pochodziły z jednego z pojemników na dary.

Wokół unosił się dziwny kwaśny zapach, wyraźnie czuło się spaliny i benzynę. Powietrze było ciężkie od kurzu, który musiałam odmiatać z twarzy, by móc oddychać. Wyglądało na to, że Liga przechowywała tu rzeczy bez ładu i składu. Poczułam, że zapala się we mnie pierwsza iskierka buntu, i odwróciłam głowę, szukając Cole'a. Jak się okazało, przeszedł na drugą stronę pomieszczenia.

Liam stał w miejscu, trzymając się pod boki. W jego oczach błyszczało coś, czego nie potrafiłam rozszyfrować. Otrząsnął się z pierwszego szoku i teraz nie wydawał się w najmniejszym stopniu przytłoczony. Biła z niego chęć działania. Z jakiegoś powodu widział w tym miejscu coś, co było przede mną ukryte. Potencjał.

Mnie z kolei zalewała krew.

– To strasznie dużo roboty! Cole! Liam sam sobie nie poradzi! – zawołałam.

– Jasne, że nie. Może dobrać sobie do pomocy kilkoro młodszych dzieci z tych, które nie wezmą udziału w treningach. I swojego serdecznego przyjaciela. Tego, który to zawsze wygląda, jakby coś go ugryzło.

Ruszyłam w jego kierunku.

– Nie robią tego w jedną noc! *W s z y s c y* powinniśmy pomóc!

Brzdęk metalu uderzającego o beton zmusił mnie, bym odwróciła głowę. Liam przeszedł od samochodu do sterty rowerów splątanych jak krzaki jeżyn. Ostrożnie wsunął dłoń między ramy, koła i szprychy, usiłując czegoś dosięgnąć. Ruszyłam, by mu pomóc. Przechodząc ponad leżącą na ziemi lampą, zobaczyłam błysk srebrnego metalu, a następnie otarłam palcami o oponę. Liam zaśmiał się bezgłośnie. Poruszał się teraz dużo szybciej, a na twarzy miał zaraźliwy uśmiech.

– Co to jest? – zapytałam, kiedy stawialiśmy na ziemi naszą zdobycz. – Motor crossowy?

Liam aż trząśł się z podekscytowania. Gładził śliski metal maszyny, ścierając z niej kurz i brud.

– Ale piękność, co? – zachwycił się.

– Skoro tak twierdzisz... – odparłam.

Wyglądało mi to na skrzyżowanie motocykla crossowego ze zwykłym i jak się okazało, nie byłam daleka od prawdy. Liam pospieszył z wyjaśnieniami:

– To dual-sport. Ma możliwości motoru crossowego do jazdy w terenie, ale popatrz... Lusterka i prędkościomierz pozwalają jeździć nim po zwykłych drogach. To chyba... Tak, to Suzuki. Wo w, zaraz padnę!

– Widzę. – Zaśmiałam się. – Myślisz, że jest na chodzie?

Liam dotykał maszyny z nabożeństwem, sprawdzając ją centymetr po centymetrze.

– Wygląda na to, że jest w przyzwoitym stanie. Choć widać, że strasznie go eksploatowali i nie bardzo o niego dbali. Podejrzewam, że bez trudu go naprawię. Co? – zapytał, widząc moją minę.

– Czy ty w ogóle umiesz coś takiego prowadzić?

– Czy umiem? – Prychnął, po czym pochylił się nad motocyklem i zbliżył swoją twarz do mojej. Jego jasnoniebieskie oczy błyszczały od emocji i ja też poczułam, że przeszywa mnie dreszcz ekscytacji.

Rzeczywistość wokół nas niespodziewanie została pochłonięta przez spokojny, cichy, elektryczny szum. Dzielące nas kilka centymetrów musiało być równie nieznosne dla niego, jak dla mnie, bo położył palce na moich dłoniach opartych na zniszczonym skórzanym siedzeniu. Jego dotyk rozszedł się po mojej skórze jak promienie popołudniowego słońca. Musnął ustami mój policzek, po czym ogrzewając mi ucho ciepłym swojego oddechu, cicho i ponętnie szepnął:

– Nie dość, że potrafię prowadzić, to jeszcze mogę nauczyć cię kilku rzeczy.

– Hej! Co to ma być, gang motocyklowy?! – warknął Cole. – Nie przyprowadziłem was tu po to, żebyście wybierali sobie prezenty! Chodźcie tu oboje!

Liam odsunął się ode mnie z pochmurnym wyrazem twarzy. Jego radosna ekscytacja zniknęła jak płomień świecy zdmuchnięty jednym oddechem. Wydałam z

siebie cichy jęk irytacji. Rozczarowanie musiało się odmalować na mojej twarzy, bo w tej samej chwili Liam znowu się do mnie uśmiechnął, zakładając mi niesforne pasemko włosów za ucho. Tym razem jego uśmiech był łagodniejszy i bardziej nieśmiały, ale przeznaczony wyłącznie dla mnie. Rozgrzał mnie od stóp do głów.

Liam upewnił się, że podnózek utrzyma motocykl, i wytarł *smar* z rąk w koszulkę. Przyjęłam jego wyciągniętą dłoń i lekko ją uścisnęłam. Ostatni raz obejrzał się przez ramię, by rzucić okiem na swoje znalezisko, i ruszyliśmy w kierunku stojącego przed piętrzącą się stertą palet Cole'a. Dopiero kiedy stanęliśmy całkiem blisko, zdałam sobie sprawę, co na nich leży.

Już kiedyś widziałam takie kartonowe pudła i rozpoznawałam widniejący na ich ściankach napis: RACJE ŻYWNOŚCIOWE 10 × 24 GODZINY. ZATWIERDZONE PRZEZ NATO / OTAN.

– Co to jest? – zapytał Liam.

– Pomoc humanitarna – powiedziałam, ubiegając Cole'a. Widok pudeł sprawił, że poczułam pustkę. – Wiesz, z jakiego przyszły kraju?

– Widziałaś takie wcześniej? – Cole uniósł brwi. – Rząd trzyma takie rzeczy pod kluczem. Ani jedna z podobnych paczek nie trafiła też do Bazy.

– Natknęliśmy się na nie... – Puściłam rękę Liama i zrobiłam krok do przodu, by nie musieć patrzeć na jego reakcję. – W Nashville. Wojsko zamknęło jedzenie i leki w starym hangarze na lotnisku.

Wspomnienie tamtej akcji wracało do mnie regularnie jak przypływ. Bez ostrzeżenia wyskakiwało z najmroczniejszych zakamarków mojego umysłu, za każdym razem zaskakując mnie i przypierając do ściany. Trupio blady, walczący o każdy oddech Liam. Nóż wbity w moje plecy. Cicha odwaga Jude'a, kiedy wystąpił do przodu i cisnął w żołnierzy elektrycznym impulsem. Chwila, gdy się zgubiłam. Rob. Kaganiec. Krew na rozbitej przedniej szybie.

Odwróciłam się plecami do pudeł i palet, z trudem trzymając się na nogach i czekając, aż przygniatający mi piersi ciężar opadnie i będę mogła znowu oddychać. Za każdym razem było mi trudniej odeprzeć te wizje.

– Rozumiem – powiedział w końcu Liam. – Ale skąd to się tu wzięło? I od kiedy

tak stoi?

– Kilka lat. Ale większość tych rzeczy się nie psuje i jest bardzo trwała. Przypomniałem sobie o tym, dopiero kiedy zobaczyłem listę zaopatrzenia w biurze. – Cole wyciągnął z tylnej kieszeni niewielki scyzoryk, a następnie rozłożył ostrze i rozciął jedno z pudeł.

Pod stopy posypały się nam czerwone opakowania z jedzeniem. Na każdym widniał prosty obrazek przedstawiający człowieka wkładającego jedzenie do ust oraz flaga Chin.

– Podobno rząd ukrywał pomoc humanitarną spuszczaną na Stany z powietrza przez inne kraje, by móc głosić kretyńską propagandę w stylu: „Jesteśmy Amerykanami. Poradzimy sobie sami. Świat nas opuścił”. Ten ładunek znaleźliśmy w Nevadzie.

– I nie wykorzystaliście go? – zapytałam.

– Nie musieliśmy. Mieliśmy zapasy jedzenia. Alban chciał go zatrzymać jako dowód na to, że Gray działa przeciw społeczeństwu, ale nic z tego nie wyszło. Ten budynek jest pełen niezrealizowanych pomysłów i niewykorzystanych planów... – Cole zamknął oczy i potarł czoło grzbietem dłoni. Widziałam, jak jego ponurą twarz wykręca ból, kiedy zwrócił się do Liama: – Jeśli uda ci się doprowadzić to miejsce do ładu, możesz się uważać za kwatermistrza. I myśleć nad sposobem zdobywania zapasów.

– Zapasów czyli jedzenia, środków czystości i tym podobnych? – rzucił Liam dla pewności. – Jeśli oczekujesz, że będę się uganiał za bronią...

– Nie wygłupiaj się – przerwał mu Cole. – Żeby zdobyć benzynę, broń i tony amunicji, której potrzebujemy, będziemy musieli wykorzystać kontakty senator Cruz.

– Chyba nie trzeba nam aż tyle. W końcu czeka nas bitwa, może dwie, a nie cała cholerna wojna, co? – Liam się zdenerwował.

– Ty zajmij swoją małą, śliczną główkę śniadaniem, lunchem i kolacją – wypalił Cole. – Poważne rzeczy zostaw starszym.

Posłałam mu karcące spojrzenie, ale je zignorował. Pochylił się i podniósł z ziemi jedno z opakowań żywnościowych, po czym zaczął przerzucać je z ręki do ręki ze

zmarszczonym czołem, wyraźnie się nad czymś zastanawiając.

– Teraz mamy na głowie większy problem – powiedział. – Z planu, który rodzi się w auli, wynika, że będziemy potrzebować znacznie więcej ludzi. Do uderzenia na obóz musimy mieć jeszcze przynajmniej dwadzieścia osób. Jeśli macie jakieś genialne pomysły, jak zdobyć dodatkowe siły, zamieniam się w słuch.

Głowę wypełniały mi zmęczenie i rezygnacja. Podejrzewam, że nieświadomie westchnęłam, bo obaj bracia obrócili się w moją stronę z identycznym zainteresowaniem malującym się na twarzach.

– Wydaje mi się – mój ton zdradzał niepokojącą pewność, która się we mnie rodziła – że mam pewien pomysł.

Dzieci były tak pochłonięte obmyślaniem planu, że bez trudu wymknęłam się niezauważona i ruszyłam na dół. Nie musiałam też co chwila oglądać się przez ramię, by sprawdzić, czy nikt mnie nie obserwuje, kiedy otwierałam drzwi archiwum i przekraczałam jego próg.

Ciemność zdawała się oblepiać moją skórę, więc pospiesznie sięgnęłam do zwisającego z żarówki sznurka. Byłam zaskoczona własną reakcją. Słyszałam swój ciężki oddech i ogarnęło mnie przedziwne uczucie – moje ciało poddawało się panice, choć umysł był zupełnie spokojny i obserwował wszystko chłodno i z dystansem. Serce wyrywało się z piersi, wałąc jak szalone. Uszy wypełniły nieistniejące dźwięki, a ziemia zdawała się falować pod stopami. Podobno tak właśnie działa na człowieka ciemność. Kiedy wyłącza się jeden zmysł, pozostałe się wyostrajają. Mrok wzmacnia niepokój i zmienia jego kształt, tak by nas więził i paraliżował. Nic dziwnego, że Jude tak bardzo się go bał.

W ciasnej przestrzeni archiwum nietrudno było uwierzyć, że jest się w pułapce. Racjonalna część mnie wiedziała, że nie ma się czego bać. Z pomieszczenia wychodziły dwie pary drzwi – dwie drogi ucieczki. Jedynym sposobem na ciemność było się w nią zagłębić i po prostu ruszyć z miejsca. W kółko to sobie powtarzałam, jednak mrok za każdym razem zupełnie mnie zaskakiwał. Można się było w nim zgubić. Pożerał wszystko, co dobre.

To nie Los Angeles. Odepchnęłam od siebie wspomnienie pyłu i dymu.

To nie ten tunel. Zwalczyłam obraz twarzy Jude'a i dźwięk jego błagalnego głosu.

Skup się na tym, co dzieje się tu i teraz. Walczyłam z ciągle nowymi wizjami.

Wytrzymałam w ciemnościach tak długo, jak potrafiłam. W końcu pociągnęłam jednak za sznurek i blade żółte światło nasyciło otaczające mnie powietrze. Nad pustymi półkami wznosiły się, opadały i wirowały chmury kurzu. Skupiłam się na nich, czekając, aż oddech mi się uspokoi i znowu uwierzę, że jedyne, czego

powinnam się obawiać, to potwór po drugiej stronie drzwi.

Nie spieszyłam się. Wiedziałam, że najważniejsze to odzyskać czujność i spokój. Przekroczenie progu z rozbieganymi myślami byłoby jak podanie Clancy'emu nabitej broni. A tym razem nie miałam ze sobą wsparcia Cole'a.

Młody Gray leżał płasko na pryczy, podrzucając kulkę ze zmiętej torebki po kanapce. Podrzucał ją i łapał. Góra-dół, góra-dół. Cały czas wesoło pogwizdywał. Na dźwięk zamka złapał kulkę po raz ostatni i wyciągnął szyję, by na mnie spojrzeć.

– Mam teorię i chciałbym ją potwierdzić – powiedział. – Agenci, którzy tu byli, wyjechali, prawda?

– Pudło – skłamałam.

– Dziwne, że zupełnie ich nie słyszę. Tylko dzieci. – Dla wyjaśnienia wskazał na znajdujący się nad nim otwór wentylacyjny. – Pewnie odeszli, zanim zdążyliście tu dojechać. A pozostali? Co się stało? Porzucili was? Nie przyjechali?

Moje milczenie było dla niego wystarczającym potwierdzeniem.

– To świetne wieści. – W jego głosie pobrzmiwało szczere podekscytowanie. – Lepiej wam będzie bez nich. Plan ciągle zakłada atak na obozy? Dokopałaś się do informacji o Thurmond?

Znowu to samo. Ciągle zarzucał na mnie tę przynętę z nadzieją, że ją złapię i zacznę się zamartwiać. Zaplotłam ręce na piersi, żeby zamaskować drżenie, którego nie byłam w stanie opanować. *O co ci chodzi? Co się dzieje?*

– Naprawdę chcesz udawać, że gramy w jednej drużynie?

– Przecież jestem drużynową maskotką, nieprawdaż? – Wykrzywił usta w wymuszonym uśmiechu. – Daruj sobie obraźliwe komentarze, jeśli przysłaś prosić mnie o przysługę. Nie oszukuj się. Dobrze wiem, że potrzebujecie mojej pomocy, by wytropić dzieci, które powiększą zastępy waszej wesołej gromady. Jeśli chcesz informacji, sama będziesz musiała je ze mnie wyciągnąć.

Dwie minuty rozmowy i miarka się przebrała. Clancy Gray był mistrzem w doprowadzaniu ludzi na skraj wytrzymałości i przekonywaniu ich, by sami rzucali się w przepaść. Nie zamierzałam dawać mu tej satysfakcji.

– Gdzie zostawiłeś pliki? W Kolorado? W Wirginii?

– Daj sobie spokój z plikami. To, czego szukasz, znajduje się bliżej, niż sądzisz – powiedział, unosząc brwi. – Nie jesteś głupia: dobrze wiesz, o czym mówię.

Wiedziałam.

– Ty naprawdę upadłeś na głowę. Wiem, że mnie zablokujesz. Chcesz mi pokazać, że nie dam rady, i tym samym poprawić sobie samopoczucie?

– Kiedyś w Kolorado udało ci się bez trudu przebić przez moje wspomnienia. Podobnie zresztą jak w tej norze w Los Angeles, którą nazywaliście Bazą. Skąd ten brak pewności siebie? – Próbował mnie sprowokować.

Znałam go jednak lepiej, niż myślał. Wiedziałam, że tak naprawdę mówi: „Jestem znudzony, chcę się rozerwać”.

– Ja z kolei jestem zaskoczona wysokim poziomem twojej pewności siebie po tym, co się stało w Los Angeles – odparowałam. – Naprawdę się wzruszyłam, przeglądając twoje cenne wspomnienia chwil z mamą. Byłeś małą beksą, co?

Zmarszczył brwi, widocznie próbując mnie rozgryźć. Przez chwilę żałowałam, że przywołałam postać jego matki. Obawiałam się, że jest zbyt wcześnie, by sygnalizować, iż się nią interesuję. Zbyt wcześnie, by mu zdradzać, że o niej myślę. Jeśli chciałam wyciągnąć z niego informacje o miejscu jej pobytu i dowiedzieć się, co dokładnie jej zrobił, musiałam obmyślić strategię.

Starałam się mieć neutralny wyraz twarzy i równy oddech. *Robiłaś to wcześniej, Ruby.* Jeśli raz wydeptałam ścieżkę do czyjegoś umysłu, kolejne wnikięcie zawsze było łatwiejsze. W przypadku Clancy’ego za każdym razem musiałam to robić z zaskoczenia. Co więcej, niezmiennie doprowadzał mnie do takiej furii, że gdyby przełożyć moją siłę mentalną na fizyczną – jestem tego prawie pewna – mogłabym własnoręcznie zburzyć betonową ścianę.

Clancy zamrugał, a ja rozwinęłam niewidzialne macki swojego umysłu. Ich ostre końcówki były gotowe zakotwiczyć się w jego myślach, zanim uniósł ciemne gęste rzęsy i napotkał moje spojrzenie.

Ruszyłam na niego, ale zablokował mnie z taką siłą, że miałam wrażenie, iż wpadłam prosto w szklaną ścianę. Skrzywiłam się, walcząc ze sobą, by nie podnieść ręki i nie potrzeć centrum bólu znajdującego się dokładnie u nasady nosa. Głuche

mrowienie zamieniło się w przeszywające nieznośne pulsowanie.

– Wyszłaś z wprawy – powiedział zaskoczony. – To było gorzej niż żałosne. Kiedy ostatni raz to robiłaś?

Zamknij się, pomyślałam, próbując trzymać swoją zranioną dumę na wodzy.

Wolisz rozmawiać w taki sposób?, jego głos przesączył się do mojej głowy, choć usta nawet mu nie drgnęły. Już kiedyś zrobił to w East River, traktując jako koleżeńskie wyzwanie... Uczucie było identyczne: jakbym pod skórą miała tysiące uwieczonych ciem, które biły skrzydłami i szamotały się tak bardzo, że pragnęłam je wydrapać.

To prawda, byłam nierozruszana. Ale istniała różnica między kiepską formą a wypadnięciem z gry. Clancy musiał ciągle karmić poczucie własnej wartości zwycięstwami takimi jak to, żeby mieć na czym oprzeć swoje wielkie ego. Liczyłam na jego arogancję i niezgodę na dopuszczenie do siebie myśli, że ktoś może być od niego silniejszy.

No dalej, dupku...

Chciałam, by naprawdę uwierzył, choćby na chwilę, że jestem beznadziejna. By nie przyszło mu do głowy, że moje zdolności są jak mięsień, którego po prostu od kilku tygodni nie ćwiczyłam.

Pokręciłam głową, przywołując na twarz minę, która miała wyrażać frustrację i gniew. Miałam nad nim przewagę. Wiedziałam, że wierzy, iż śmiertelnie rani moją dumę. Widziałam to na jego twarzy. Sądził, że korzystając ze swoich zdolności, przeżywam katusze. Bawiło go to, rozkoszował się widokiem mojej porażki.

Podejrzewałam, że tylko tak może się poczuć silny, będąc zamknięty za dziesięciocentymetrową kuloodporną szybą.

Macki umysłu niespokojnie wiły mi się w czaszce. Nie wiedziałam, że mam aż tyle siły, ale udało mi się nie roześmiać i utrzymać wściekły, zdenerwowany wyraz twarzy. Potrzebowałam, by Clancy stracił czujność jedynie na moment. Na ułamek sekundy. Czulałam się, jakbym próbowała uderzyć kogoś, kto stoi za zbrojoną betonową ścianą. Jednak jak w każdej walce, bez względu na to, jak bardzo była nierówna, istniały sztuczki i nieczyste zagrania.

Byłam tego świadoma i gotowa to wykorzystać.

– Wybacz, nie mogłem się powstrzymać. Spróbujesz ponownie? – Clancy zaplótł ręce na piersi, gapiąc się na mnie zza szyby. – Proszę cię, tym razem chociaż udawaj, że się starasz.

Teraz odwzajemniłam jego uśmiech.

Spadłam na niego jak młot, mierząc prosto w czystą białą zasłonę, którą zarzucił na własne myśli. Następnie wyhamowałam, pozwalając mu zareagować i wypchnąć moją obecność z głowy. Jego macki otarły się o moje tak delikatnie jak muśnięcie grzbietu dłoni o policzek.

Przekręciłam zamek w drzwiach jego celi i pchnęłam je stopą. Clancy odskoczył zszokowany i wielka biała płachta spowijająca jego umysł podniosła się na tyle, że zdołałam wnikać do krętych korytarzy jego myśli. Kolory nagle zrobiły się niezwykle wyraziste. Zobaczyłam dziewicze szmaragdowe trawniki, dom przycupnięty nad szafirowym morzem, lejącą się ametystową suknię i błyski aparatu fotograficznego, które jak promienie słoneczne przechodzące przez diament wypełniały świat czystym światłem.

Nie sądziłam, że potrafię działać tak szybko. Przeglądałam kolejne wspomnienia, jednocześnie wycofując się z jego celi i przekręcając klucz w masywnym zamku w drzwiach. Zwycięstwo nie trwało jednak długo. Wspomnienia i myśli Clancy’ego zawsze przepływały przez mój umysł jak chmury burzowe – skłębione, ciemne na brzegach, jakby zaraz miały pęknąć. Tym razem były przesadnie jasne, ładne i nieruchome. Zupełnie jakbym przeglądała plik zdjęć, zamiast błądzić po krętych niekończących się ścieżkach. Czułam, że poruszam się niesiona wielką siłą. To nie ja trzymałam ster.

Gwałtowne szarpnięcie wyrwało mi z pola widzenia celę i cały blok więzienny. Otaczająca rzeczywistość zniknęła w jednej chwili jakby nigdy nic, zastąpiona przez inny znajomy obraz.

Zobaczyłam Clancy’ego siedzącego tyłem do mnie. Ruszyłam w jego stronę, pozwalając, by wspomnienie okrzepło. Naraz otoczyły nas ściany z ciemnego drewna i uginające się pod ciężarem książek i dokumentów półki. Następnie przed Clancym

pojawiło się biurko, a po chwili pod jego poruszającymi się w powietrzu palcami zmaterializował się laptop, obok którego wyrosły równe białe sterty dokumentów.

Ktoś musiał otworzyć okno, bo biała zasłona oddzielająca łóżko od reszty pokoju unosiła się, muskając moje plecy. Wspomnienie było tak wyraźne, że słyszałam nawet odgłosy dzieci bawiących się przy kominku piętro niżej. Delikatny wietrzyk wypełniał pomieszczenie wilgotnym zapachem rosnących nieopodal drzew.

Wzdrygnęłam się. Byliśmy w East River.

Obraz zaczął się poruszać i jakaś siła pchnęła mnie do przodu, ale jakby w zwolnionym tempie. Podeszłam do Clancy'ego, który pracował i równocześnie oglądał telewizję – akurat przemawiał jego ojciec.

Wzięłam gwałtowny wdech. Mimo że racjonalna część mojego umysłu wiedziała, że to, co widzę, nie jest prawdziwe – że nie jestem w jednym pokoju z Clancym – nie potrafiłam się zmusić, by go dotknąć albo choć pochylić się nad jego ramieniem.

Jak on to robi? To nie było wspomnienie, lecz coś zupełnie innego. Czułam się, jakbym weszła na scenę w trakcie przedstawienia. Jako widz przekroczyłam już wszelkie granice, nigdy jednak nie byłam uczestnikiem cudzych wyobrażeń.

Clancy odetchnął głęboko, jedną ręką rozpinając kołnierzyk koszuli, a drugą wystukując na klawiaturze adres e-mailowy i hasło...

Zapadł się głębiej w fotel i odwrócił głowę. Patrzył teraz w górę, jakby prosto na mnie...

– Zapamiętałaś? – zapytał.

Uciekłam z jego głowy, przerywając połączenie, zanim zdążył... Żeby nie mógł... Sama nie wiedziałam dlaczego. Żeby nie mógł mnie tam uwięzić? Czy to w ogóle możliwe? Czy był do tego zdolny?

Lampy w korytarzu z powrotem rozbłysły i nagle intensywne światło zakłuło mnie w oczy. Wiedziałam, że mój umysł jeszcze nie doszedł do siebie i wciąż nie pozbył się paniki, bo nozdrza wypełniał mi zapach palonego drzewa dochodzący z odległego ogniska.

Clancy położył się na pryczy i wziął do ręki swoją kulkę z papieru po kanapce. To bardzo dziwne, ale kiedy wspomnienie zniknęło i stanęłam na pewnym gruncie, nie

czułam ani strachu, ani złości. A przecież koniec końców Clancy jednak zdołał odebrać mi kontrolę. Byłam raczej zaintrygowana. Nigdy wcześniej nie prowadził mnie przez swoje wspomnienia w ten sposób. Wprawdzie w East River pokazywał mi obrazy z przeszłości, które zdołał posklejać, ale to było zupełnie inne doświadczenie. Nie miałam pojęcia, że jesteśmy w stanie zrobić coś takiego. Pulsujący ból między oczami zniknął i po raz pierwszy po zanurzeniu się w jego myśli nie czułam się ani wycieńczona, ani zdezorientowana. Jeszcze przez sekundę dałam się ponieść fali tego pierwszego poczucia zwycięstwa, kiedy udało mi się go przechytryć i sforsować jego system bezpieczeństwa.

– Do zobaczenia jutro, Ruby – powiedział Clancy, wyrzucając kulkę w górę.

Audjencia najwyraźniej się skończyła. Kiedy się od niego oddalałam, kłatkę piersiową wypełniło mi przedziwne uczucie lekkości: migoczące, drgające i błyszczące. Najwyraźniej trzymałam swojego demona na uwłędzi zbyt długo. Potrzebował się wyrwać, rozciągnąć kończyny i przypomnieć sobie, jakie to przyjemne mieć nad kimś kontrolę. *Ja* przypomniałam sobie, jakie to przyjemne. I było mi z tym bardzo dobrze.

W naszej nowej bazie był tylko jeden laptop. Każdy z Zielonych oddałby wszystko, by się do niego dostać, jednak honorowo komputer został przekazany w ręce temu, komu powierzyła go Cate. Przynajmniej na początek.

Nico przesiadywał przed nim całymi dniami w ogołoconej sali komputerowej. Czasem otaczała go mała grupka dzieci, które zaglądały mu w ekran przez ramię i wskazywały na coś palcami, a kiedy tylko zdjął ręce z klawiatury, rzucały się w nią klepać.

Obserwowaliśmy je zza długiego okna wychodzącego na korytarz.

– Przy tych dzieciakach sępy to puchate żółciutkie kurczaczki – skwitował Cole. – Jak myślisz: czy gdyby teraz padł trupem, po prostu zepchnęłyby jego ciało z krzesła i zrobiły sobie z niego podnózek?

– Nudzi im się. Jeśli nie damy im nic do roboty, zaczną wymontowywać elektroniczne zamki z drzwi i przerabiać je na telefony komórkowe – odparłam.

– To Cate powinna się z nimi użerać. Ani ty, ani ja nie mamy do tego

cierpliwości.

Jedna z Zielonych pisnęła, kiedy Nico w końcu oddał jej laptop.

– No właśnie...

Jakimś cudem udało mi się przebrnąć przez ten dzień bez wracania myślami do Cate i wyrazu jej twarzy, gdy zdała sobie sprawę z tego, co zrobiliśmy.

– Meldowała się już? – zapytałam.

Cole zakołysał się na piętach i zmarszczył czoło.

– Nie.

– Powinna była nas posłuchać. – Nie zdawałam sobie sprawy, że naprawdę to powiedziałam, póki Cole nie położył dłoni na mojej głowie, by dodać mi otuchy.

– Zapamiętaj moje słowa, perełko. Kiedy odeślą ją z kwitkiem, Conner wróci tu na kolanach i z podwiniętym ogonem. Dobrze jej to robi. Każdy czasem potrzebuje kopniaka od życia. Żeby nie stracić czujności.

Nie miałam ochoty tego słuchać. Nie chciałam, żeby dostała aż taką nauczkę – mój gniew miał płytkie korzenie. Zabolało mnie, kiedy odeszła, i nie byłam na tyle dumna, by udawać, że jest inaczej. Rozumiałam jednak jej decyzję i jej odruchową potrzebę sklejania pęknięć i wygładzania poszarpanych brzegów. Nie wierzyła, że agenci z lekkim sercem nas porzucają, wykorzystają i skrzywdzą, bo jej nigdy nie przyszłoby to do głowy.

Dobijało mnie, że po przyjeździe na Ranczo rozmawialiśmy tylko raz i to w taki sposób. Podczas ucieczki z Bazy potwornie ją rozczarowałam – zawiodłam zaufanie, którym mnie obdarzyła, nie potrafiłam ochronić naszego zespołu. Powinnam była się przemóc i porozmawiać z nią, zanim wyszła. Odezwać się choćby słowem, by móc przynajmniej odrobinę się do niej zbliżyć. Teraz być może było już za późno. Obawiałam się, że straciłam szansę, by naprawić naszą relację.

Ta jedna zatruta myśl sprawiła, że poczułam się, jakby ktoś przewlekł mnie na lewą stronę i wytarł mną podłogę. Nie wiedziałam, co miałabym jej powiedzieć, i podejrzewałam, że przeprosiny nie sprawią, że mi przebaczy. Jak jednym słowem wyrazić ciężar, który przygniata człowiekowi piersi? *Przepraszam, przepraszam, przepraszam, przepraszam...*

Bałam się, że „przepraszam” nie wystarczy. Strata była zbyt wielka. Słowo to odbijało się echem w pustce, którą pozostawił po sobie Jude. Nie naprawiało tego, co on mógłby naprawić – a na pewno by to zrobił.

Cole pomachał przyjacielsko do Zielonej imieniem Erica, która na nas spojrzała. Dziewczyna zrobiła się purpurowa i z powrotem schyliła głowę, chowając się za Nico. Niebieskie światło ekranu nadawało chłopcu upiorny wygląd na wpół zamrożonego trupa. Im dłużej się koncentrował, tym bardziej pogłębiały się i wyostrzały jego rysy.

– Uważam, że udostępnianie mu serwera Clancy’ego to zły pomysł – powiedziałam cicho. – Kiedy w grę wchodzi młody Gray, Nico przestaje myśleć racjonalnie.

– Rozumiem twoje zastrzeżenia, ale chłopak stoi teraz po naszej stronie. Jestem gotowy na niego postawić. Wie, że musi się starać bardziej od innych. Już nigdy nie zawiedzie ani ciebie, ani Cate, jeśli tylko będzie to zależało od niego.

– I w tym właśnie tkwi największy problem: nie wiemy, czy jego zachowanie zależy tylko od niego.

– Zaraz, zaraz. Sama wstawiałaś się za Liamem, pamiętasz? Teraz ja wstawiam się za Nico i nadeszła twoja kolej, żeby się zgodzić.

– Liam nie przekazał poufnych informacji na temat Ligi synowi prezydenta, który następnie nie tylko zdradził nas wszystkich, ale również najprawdopodobniej zniweczył jedyną szansę na odkrycie metody leczenia. – Odwróciłam się plecami do dzieci i oparłam o szybę.

– Racja, ale gdyby Nico nie wciągnął w to wszystko Clancy’ego, ten nie skłoniłby cię do powrotu i nawet nie wiedziałabyś, że taka metoda istnieje.

Na chwilę odebrało mi mowę.

– Przyznaj, że nigdy tak o tym nie myślałaś. – Cole wzruszył ramionami. – Ta tragedia stworzyła w tobie i w centrum twojego świata ziejącą czarną otchłań, która wsysa myśli, zanim zdążysz się im bliżej przyjrzeć. I ciągle chce więcej. Cierpienie nie maleje ani trochę, kiedy zestawisz to, co straciłaś, z tym, co zyskałaś, prawda?

Potrząsnęłam głową, po czym odepchnęłam się od ściany i podałam mu kartkę

papieru, na której zapisałam adres e-mailowy i hasło ze wspomnienia Clancy'ego. Cole wziął ją bez słowa i spojrzał na widniejące na niej zapiski.

– Wiesz co? – powiedział cicho. – Jest coś, czego nie mówi się o przebaczeniu... Przebacza się nie dla dobrej osoby, która nas skrzywdziła, ale dla samego siebie.

– Komu to ukradłeś? – zapytałam.

– Wyobraź sobie, że wiem to z własnego doświadczenia.

Przewróciłam oczami.

– Z pewnością...

Mój umysł nie był w stanie sformułować do końca myśli. Zanim się obejrzałam, już jej nie było. Ulotniła się tak jak cienie majaczące mi przed oczami. Powrót do rzeczywistości był równie gwałtowny. Cole spuścił wzrok i przywołał na twarz uśmiech, który szczerze mówiąc, sprawił mi ból. Po chwili wzruszył ramionami i zaplótł ręce na piersi. Czułam, że czeka, bym coś powiedziała, a im dłużej milczałam, tym trudniej było mu przede mną stać i nie reagować. Widziałam dokładnie, kiedy to, co w nim najkruchsze, wezbrało i podeszło pod samą skórę. Niepewność sprawiła, że przez chwilę wyglądał dużo młodziej, zupełnie jak chłopczyk, który czeka, żeby wymierzono mu karę.

– Komu musiałeś wybaczyć? – zapytałam. Wiedziałam, że to nie moja sprawa, ale jego reakcja zrodziła we mnie pustkę. Chciałam poznać prawdę. Pragnęłam, by mi powiedział i choć na chwilę pozbył się ciężaru.

– Nieważne, to nie ma znaczenia... Po prostu o tym pomyśl, dobrze? – Szukał właściwych słów, przeczesując palcami krótkie włosy.

Było tak wiele możliwych odpowiedzi na moje pytanie. Może wybaczył rodzicom to, że nie zauważyli, czym jest. Może Liamowi, że go nie słuchał. Agentom, którzy pozostali z nim po rozpadzie Ligi, by później się od niego odwrócić. Jednak to, że Cole nie był w stanie mi odpowiedzieć czy choćby na mnie spojrzeć, mówiło mi, że chodzi o kogoś lub coś innego. W przeciwnym razie nie byłoby mu tak trudno. Podejrzewałam, że skrywa coś o wiele gorszego.

Cole doszedł do takiej wprawy w przywdziewaniu zbroi, że i ja się na to nabierałam i nie dostrzegałam kłębiącej się pod spodem prawdziwej burzy. Nikogo

nie dopuszczał na tyle blisko, by wyznać, jak głęboko sięga jego ból. Miałam nadzieję, że może z czasem nauczy się mi ufać i będę mogła stać się dla niego tym, kim Liam i pozostali byli dla mnie. To przyjaciele nie pozwolili, by koszmar Thurmond i świadomość tego, czym jestem, zredukowały moje życie do marnej samotnej egzystencji.

– Niech ci będzie – powiedziałam, wyciągając mu z ręki kartkę i popychając go w kierunku pokoju. – Chodźmy.

Nico podniósł oczy, po czym spuścił je i znowu podniósł, jakby jego mózg musiał się upewnić, że to naprawdę ja przed nim stoję.

– Czy mógłbyś ściągnąć pliki z tego serwera? – poprosiłam.

Wlepił we mnie wzrok tak długo, że zaczęłam przestępować z nogi na nogę.

– Jasne. Nie ma problemu – wybąkał w końcu, biorąc ode mnie kartkę.

Zieloni odsunęli się od niego, żeby zrobić nam miejsce, ale kiedy Nico wyświetlił na ekranie kilka okien, z powrotem go otoczyli. Naszym oczom ukazały się linijki zawiłego kodu.

– Słuchajcie – powiedział Cole swoim najbardziej kumpelskim tonem. – Czy ktoś z was mógłby podejść do pokoju pani senator i ją do nas przysłać? Pozostałym będę dozgonnie wdzięczny, jeśli pomogą Lucy przygotować w miarę przyzwoitą kolację.

Dzieci były zbyt bystre, by dać się oszukać – dobrze wiedziały, że Cole chce się ich pozbyć, ale i tak go posłuchały. Kiedy się rozchodziły, na ekranie pojawiło się nowe okno i spora liczba folderów.

– Dlaczego się ich pozbyłeś? – zapytałam, gdy ostatni z Zielonych wyszedł z pomieszczenia i zamknął za sobą drzwi.

Cole bez słowa wskazał na Nico, który zupełnie znieruchomiał i wyglądał, jakby przestał oddychać. Opadłe i wysunięte do przodu ramiona sprawiały wrażenie, jakby chciał się skulić i zniknąć.

– Nico, przyjacielu – podjął Cole tym samym wyluzowanym tonem. – Czy mógłbyś...?

– Nie, nie wyjdę. – Odpowiedź była tak cicha, że ledwie ją usłyszałam.

– Może jednak...

– *Nie wyjdę* – powtórzył Nico stanowczo i kliknął w pierwszy z folderów.

Dopiero wtedy zobaczyłam, jak się nazywa: THURMOND.

W środku znajdowało się około pięćdziesięciu plików: filmów, zdjęć oraz zeskanowanych dokumentów. Nico jeździł kursorem po pulpicie, wypuszczając gwałtownie powietrze, po czym zatrzymał go nad jednym ze zdjęć.

Jeszcze zanim je otworzył, z jakiegoś powodu w głębi duszy czułam, czyją podobiznę zobaczę na ekranie. Zawsze wydawał się młodszy niż w rzeczywistości, ale widok Nico jako małego chłopca wbił się we mnie jak ostry kolec. Ciemne włosy miał zgolone prawie do zera, a opalona skóra w kolorze cementu kontrastowała ostro z ciemnymi oczami bez wyrazu. Głowę pokrywały mu jeszcze niezabliźnione rany.

O Boże! Gwałtownie zebrało mi się na wymioty. *O Boże...*

Siedemnastoletni teraz Nico patrzył na siebie z przeszłości jak na nieznajomego. To było piekło, z którego udało mu się wydostać – nie uciekał jednak ani nie zaprzeczał jego istnieniu. Choć tego nie chciałam, powoli wzbierał we mnie szacunek: chłopiec wydawał się zupełnie spokojny, podczas gdy ja miałam wrażenie, że jeszcze chwila, a się rozsypię.

Thurmond. Tak wyglądał Nico w Thurmond. Na początku obóz służył wyłącznie badaniom nad przyczyną OMNI, z biegiem czasu rozszerzył jednak swoją działalność. Zanim przekroczyłam jego próg, Leda Corporation przejęła tę gałąź badań i przeniosła ich obiekty, czyli dzieci, do swojego laboratorium w Filadelfii. Cole przeniknął do struktur tej organizacji pod przykrywką, by zdobyć cenne wyniki eksperymentów. To również on wyciągnął stamtąd Nico, potajemnie podpowiadając Albanowi, w jaki sposób można wykraść chłopca. Wcześniej Clancy wydostał się z Thurmond, porzucając pozostałe dzieci.

– Wszystko w porządku? – Cole przyciągnął sobie krzesło i usiadł obok Nico, a po chwili ja zrobiłam to samo. – Nie musisz tego oglądać. Ja i Ruby możemy sami przejrzeć te pliki.

– To od *n i e g o*, prawda?

Spojrzałam na Cole'a, który pokiwał głową.

– Jeśli to dane dotyczące programu badań przeprowadzanych w Thurmond –

powiedział Nico – to być może są tu jakieś informacje o przyczynie OMNI. Albo przynajmniej hipotezy, które wykluczyli. To jest... – Nico aż się zatrząsł, gdy nabierał powietrza, po czym wypuszczając je, zamknął zdjęcie i wrócił do pełnej listy. – Warto się temu przyjrzeć. Może uda się nam coś z tego wyciągnąć.

Senator Cruz wsunęła głowę przez drzwi. Cole pomachał do niej, by weszła, a następnie ustąpił jej miejsca, pospiesznie wyjaśniając, co się dzieje.

– O Boże. – Westchnęła, pochylając się ku laptopowi, kiedy Nico otworzył folder KOALICJA FEDERALNA i na ekranie między innymi pojawiło się jej nazwisko. Nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Serwer zawierał setki, dosłownie setki profili różnych osób, posortowane w odpowiednich folderach. Były tu dane funkcjonariuszy SSP, mężczyzn i kobiet z najbliższego otoczenia prezydenta Graya, agentów Ligi, Albana oraz różnych dzieci, a wśród nich moje, Liama i Pulpeta. W ostatnim przypadku Clancy najwyraźniej wykradł oryginalne pliki z sieci SSP i łowców nagród i wzbogacił je w nowy punkt pod tytułem „Obserwacje”.

Oto, co napisał o mnie: „Waha się, kiedy podejmuje decyzje dotyczące wyłącznie jej samej. Gdy chodzi o bliskie osoby, bardziej pewna siebie, czasem nawet nadopiekuńcza. Żadnych poważnych wad. Nie przepada za słodyczami, lubi starszą muzykę, która przypomina jej ojca. Pozwala sobie na jedno nierealistyczne marzenie – odnalezienie babci. Na oznakę przyjaźni reaguje desperacką potrzebą bliskości i czułości. Na swój sposób pociągająca fizycznie. Naiwna, niemściwa, zbyt łatwo wybaczająca...”.

Zacisnęłam zęby poirytowana i zawstydzona tą niezbyt pochlebną opinią. Zbyt łatwo wybaczająca? Jeszcze się przekona.

– Patrzcie, folder „Plemiona” – powiedziałam. – Otwórz go.

– Plemiona? – Senator Cruz się zdziwiła.

– Clancy nazwał tak grupy dzieci, które opuściły East River, czyli bezpieczną przystań... Koniec końców wcale nie była bezpieczna... Wszystkie grupy odpowiednio wyposażał i uczył specjalnego kodu, dzięki któremu mogły oznaczać szlaki wiodące do swoich nowych siedzib – wyjaśniłam. Nieraz się zastanawiałam, ile

z tych „plemion” opuściło East River, zanim się tam zjawiliśmy. Teraz dostałam odpowiedź: dwanaście grup w większości po pięć–sześć osób.

Naszym oczom ukazała się tabela z kolumnami podzielonymi według grup, zawierająca daty oraz nazwy miejsc. Nico przeglądał dane, aż w końcu trafił na kolumnę grupy Zu. Znajdowały się w niej dwa wpisy: jeden podawał Kolorado, drugi Kalifornię. Ostatni zrobiono przed miesiącem.

Wiedział, gdzie jest Zu. A przynajmniej tyle, że udało się jej przedostać na zachód. Zaplotłam ręce za plecami, by ze złości nie walnąć w ekran. Przez cały ten czas, gdy traciłam nadzieję, że kiedykolwiek ją odnajdę, on wiedział.

– Skąd miał aktualne informacje? – zapytał Cole. – To kopalnia złota, ale tylko pod warunkiem że dane są prawdziwe.

– Kiedyś mi powiedział – zaczął ostrożnie Nico i rzucił mi ukradkowe spojrzenie, które bardziej poczułam, niż zobaczyłam – że istnieje numer, na który dzieci mogą dzwonić i zostawiać wiadomości dotyczące swojego położenia albo prosić o pomoc. Twierdził, że pomaga małym grupom się odnajdywać i łączyć w większe. Wiedział o wszystkim.

W to nie wątpiłam. Na serwerze znajdowało się tyle informacji, że podejrzewałam, iż ich dokładne przejrzanie zajmie nam kilka dni. Na pierwszy rzut oka nie było wśród nich niczego o Lillian Gray – tego się zresztą spodziewałam.

– Możesz wrócić do folderu zawierającego informacje o Thurmond? – poprosiłam.

Kątem oka zobaczyłam, jak senator Cruz zakrywa sobie dłonią usta i się prostuje.

– Czy wszystkie obozy tak wyglądają? – zapytała z niedowierzaniem.

– To jakby porównywać zgniłe jabłka – odparł Cole i wiedziałam, że obserwuje jej reakcję tak samo jak ja. – Wszystkie są ohydne, ale istnieją takie, które w porównaniu z pozostałymi wyglądają apetycznie – dodał.

– Który z plików jest najnowszy? – zwróciłam się do Nico. – Możesz to ustalić?

– Tak, ten...

– Plan ewakuacji pożarowej? – Senator Cruz chciała się upewnić.

Zdążyliśmy już wcześniej przejrzeć ten dokument. Zawierał mapki, na których

oznaczono, w jakim porządku SSP i nadzorcy obozu ewakuują baraki w przypadku wybuchu pożaru. Pozostałe dane dotyczyły funkcjonariuszy SSP i wyników badań przeprowadzanych w miejscu znanym mi jako Infirmeria. Rzecz jasna nigdzie nie pojawiało się imię i nazwisko Clancy'ego. Gdyby istniały jakiekolwiek dowody na to, że sam był obiektem eksperymentów, z pewnością znalazłby sposób, by je zniszczyć. Nigdy nie dopuściłby, żeby ktokolwiek zobaczył go zupełnie bezbronnego.

– Clancy ciągle insynuuje, że w Thurmond coś się dzieje... – powiedziałam.

– Jesteś pewna, że cię nie zwodzi, by wyprowadzić cię z równowagi? – Senator Cruz poklepała mnie po ramieniu. – Jego ojciec uwielbia pogrywać sobie w takie gierki.

Nico już miał zamykać folder, kiedy Cole wziął gwałtowny wdech.

– Czekaj, przesun z powrotem do góry – rzucił, po czym zmrużył oczy i zaczął pocierać dłonią zarost na szczęce.

Patrzyłam to na niego, to na ekran, usiłując zrozumieć, co tak bardzo przykuło jego uwagę.

– Cholera... – powiedział cicho.

Poczułam, jak coś ciężkiego osiada na dnie mojego żołądka.

– Co?

– Ten plan zakłada ewakuację dzieci z obozu... Czy nie łatwiej byłoby przenieść je do wewnętrznego okręgu, by tam przeczekały, aż ogień zostanie opanowany? Albo zgromadzić je na obrzeżach? Z jednego na drugi koniec Thurmond jest ponad półtora kilometra, prawda? I czemu stworzyli tylko jeden scenariusz postępowania? Co, jeśli ogień wybuchnie w Mesie albo w Fabryce? Patrząc na strzałki i cyfry, łatwo założyć, że to plan na wypadek pożaru, ale tak naprawdę nic innego na to nie wskazuje.

– W takim razie co to jest? – Byłam zupełnie zdezorientowana.

– Podejrzewam, że kiedyś był to plan ewakuacji, na wypadek gdyby istnienie obozu zostało wykryte albo gdyby Gray został odsunięty od władzy. Ale spójrzcie...

Pochyliłam się do przodu. Cole wskazywał na górę strony, gdzie obok daty 10 grudnia ubiegłego roku widniał napis: ZMIENIONO. Przekreślona data znajdująca się obok była sprzed pięciu lat.

Cole przejął myszkę i przejechał z powrotem w dół strony.

– Nadali temu nazwę operacyjną Kardynał. Patrzcie... Myślałem, że numery obok każdego z baraków oznaczają dokładny czas, w jakim żołnierze SSP powinni do nich dotrzeć, ale jeden, zero, trzy może oznaczać 1 marca, prawda?

– Zaraz, zaraz. I co to niby znaczy? – zapytałam.

– To oznacza, że nie ewakuują obozu – powiedział cicho Nico. – Usuwają z niego dzieci. Cztery baraki dziennie.

– Czy mam rację, zakładając, że zdecydowaliby się na coś takiego tylko wtedy, gdyby chcieli zamknąć obóz? – spytała senator Cruz.

– Jest jeszcze jeden plik o nazwie „Kardynał” – powiedział Cole. – Tak, ten z listą małych obozów.

– I spisem funkcjonariuszy SSP, którzy mają zostać przeniesieni. O Boże. – Nie mogłam w to uwierzyć.

Przycisnęłam dłonie do twarzy i musiałam sobie przypominać, by oddychać. Rzeczywistość kurczyła się wokół mnie i napierała na moje ramiona tym bardziej, im dobitniej rozumiałam, co się dzieje. *Zamykają obóz.*

– Skarbie, nic ci nie jest? – Senator Cruz się zmartwiła. – Nie rozumiem. Czy to nie jest dobra wiadomość? Z tego, co mówiliście, warunki w obozie...

– Gdyby patrzeć na to z perspektywy warunków, byłoby to błogosławieństwo – powiedział Cole. – Ale likwidacja obozu prawdopodobnie oznacza również przeniesienie albo zniszczenie wszelkich danych i dokumentów, które się w nim znajdują. Nie mówiąc nawet o tym, że zniknie największy dowód okrucieństwa programów rehabilitacyjnych. Thurmond jest silnym symbolem. Jest najstarszym i największym obozem i domyślałam się, że to stąd reszta czerpie wzory poniżania i maltretowania.

– Rozdzielają dzieci... – Zaschło mi w gardle. Większość z nich żyła razem od dziesięciu lat. Stały się dla siebie rodzinami. A teraz nawet to miało im zostać odebrane?

– Rozumiem. W takim razie ten obóz odpada. – Senator Cruz odchyliła się w tył i złożyła dłonie na kolanach. – Gdzie indziej można by przeprowadzić dużą akcję?

– Nie ma alternatywy – odparł Cole. – I tak uderzymy na Thurmond. To nasz ostateczny cel.

Podniosłam wzrok. Najwidoczniej szok odmalował się na mojej twarzy, bo Cole zrobił zdezorientowaną minę.

– O co ci chodzi? Powtórzyłem to z dziesięć razy dziś rano. Thurmond bez względu na wszystko. Czemu tak na mnie patrzysz?

Przeglądałam w myślach wydarzenia minionego dnia, usiłując sobie to przypomnieć. Musieliśmy rozmawiać po treningu... Albo może zaraz przed powrotem Liama i pozostałych? Miniony ranek w moich wspomnieniach pokrywała dziwna błyszcząca powłoka – zmęczenie osiadało na nim jak para na lustrze.

– Nie wierzę! Wygląda na to, że musimy cię przypilnować, żebyś się wyspała – powiedział Cole, jakby czytał w moich myślach.

– Czy pięć tygodni wystarczy, by zorganizować taką misję? – Na twarzy pani senator widniało zmartwienie.

– Damy radę – rzucił Cole.

– Poprosiliście dzieci, żeby spisały swoje pomysły, prawda? Nie chcę nikogo obrażać, ale, na Boga, czy wy naprawdę wierzycie, że te maluchy zdołają wymyślić plan udanej operacji wojskowej, a następnie ją przeprowadzić?

– Jesteśmy wyszkoleni dokładnie do takich rzeczy – wyjaśniłam. – Przynajmniej ci z nas, którzy byli w Lidze. Potrzebujemy czasu, by popracować z pozostałymi dziećmi, sprowadzić kolejne i nauczyć je działać pod presją.

Cole sięgnął do niewielkiej sterty kartek, które zebrał od dzieci, i podał je kobiecie.

– Jestem pod wrażeniem niektórych pomysłów, zawierają masę dobrych rozwiązań. Zieloni z pewnością zawstydziliby niejednego z agentów... W najśmielszych marzeniach nie sądziłem, że dostaniemy statystyczne wyliczenia prawdopodobieństwa sukcesu albo... – Zmrużył oczy, wpatrując się w jedną z kartek.

– Chryste, nawet nie wiem, co znaczy to słowo... W każdym razie zanim uderzymy na Thurmond, będziemy musieli przeprowadzić próbny atak na któryś z mniejszych obozów, by sprawdzić, czy nasz plan jest wykonalny.

– Na którykolwiek z obozów? – zapytała pani senator, prostując plecy.

– Najlepiej na któryś na naszym wybrzeżu. Spróbujemy dopasować jego rozkład do rozkładu Thurmond, by próba była jak najwierniejszym odzwierciedleniem głównej akcji.

– Czy w grę wchodzi Nevada?

Cole oparł się o biurko, a w oczach zapaliła mu się isierka podekscytowania.

– Myśli pani o Oazie?

Oaza? W jednym z korytarzy w Bazie wisiała mapa Stanów Zjednoczonych, na której pinezkami zaznaczono wszystkie obozy znane Lidze, zarówno duże, jak i te małe. Zamknęłam oczy, usiłując przywołać w pamięci pastelowe kolory stanów, poruszając się ze wchodu na zachód. Ten obóz leżał w północnowschodniej części Nevady. Daleko.

Nico nie odrywał oczu od ekranu komputera.

– To tam trzymają dzieci pracowników Koalicji Federalnej – powiedział.

Senator Cruz skinęła głową, ciężko przełykając ślinę i chwytając się za gardło. Utkwiła wzrok w czymś za nami, być może w ściennym zegarze.

– Jest tam moja córka Rosa. Umieściłam ją w kryjówce z babcią, ale Gray był bardzo zdeterminowany... Wynajął specjalne siły tylko po to, by odnaleźć nasze dzieci. Byśmy mogli się stać przykładem. Wiem o co najmniej dziesięciu innych pracownikach Koalicji, którzy podejrzewają, że ich dzieci zostały uwięzione właśnie tam. To znaczy kiedyś podejrzewali. Boże. Czy istnieje choć cień szansy, że ludzie aresztowani po ataku wciąż żyją? Czy kiedykolwiek zobaczą swoje dzieci?

– Na pewno – powiedział Cole, choć nie był przekonujący. – Nie wolno tracić nadziei. Bez względu na to, czy ich rodzice żyją, czy nie, dzieci zawsze znajdą u nas schronienie. Będą mogły walczyć, jeśli zechcą. Bo do Los Angeles nie mają po co wracać.

Nico zaczesał włosy w tył, po czym wstał i zaplótł ręce na piersi, chwytając się za łokcie. Nerwowo łypał oczami na wszystkie strony, próbując zatrzymać wzrok na czymkolwiek, tylko nie na nas.

– Pójdę... Idę wziąć prysznic.

Rzucił się ku wyjściu jak poparzony. Mijając jedno z biurek, zahaczył o nie biodrem i prawie się wywrócił. Nie byłam jednak pewna, czy poczuł ból.

Zrobiłam krok w jego stronę, ale się opanowałam. Cole uniósł brwi i spojrzał na mnie pytająco. Potrząsnęłam głową. *Nie*. Nie miałam zamiaru za nim iść. Może i przez kilka minut czułam się winna, że zmusiliśmy go, by stanął oko w oko z przeszłością, ale nie byłam gotowa go pocieszać ani chronić przed mrocznymi wspomnieniami. Nie mogłam tego zrobić, bo w głębi duszy cieszyłam się, że cierpi tak samo jak ja.

To nie ty zrzuciłaś bomby na miasto, pomyślałam.

Jednak Nico także nie był temu winien. To nie on zaplanował przeprowadzony przez wojskowych atak. Nie on odpowiadał za usunięcie Albana ze stanowiska w krwawym nocnym zamachu, który na zawsze podzielił Ligę. Nie on...

Przycisnęłam sobie dłoń do czoła. Nie chciałam teraz o tym myśleć. To było jak drażnienie napuchniętego odcisku, który jeszcze nie pękł. Musiałam się skupić na Thurmond. Na tym, że najwyraźniej mieliśmy niespełna dwa miesiące, by nie tylko zgromadzić wyposażenie, ale też odnaleźć dodatkowe dzieci, wyszkolić je, wykombinować transport, dostać się do Nevady i stamtąd wrócić. Przerastało mnie to. Było jak góra, która zdawała się coraz wyższa, im bardziej się do niej zbliżałam.

– Zwołam dziś wieczorem spotkanie, by opracować ostateczny plan – oznajmił Cole. – Objaśnimy pozostałym cel, do którego dążymy, i zagonimy wszystkich do pracy. W międzyczasie...

– Tak, tak, oczywiście. Skontaktuję się z Kanadyjczykami, zobaczymy, co będą w stanie dla nas zrobić w kwestii amunicji i paliwa. – Pani senator pogładziła mnie po ręce i uściśnęła moją dłoń.

Ledwie to poczułam.

– Jest pani moją królową, *madame* – rzucił Cole, posyłając jej zniewalający uśmiech.

– Oaza – przypomniała mu, kierując się w stronę drzwi.

– Spotykamy się tu punkt dziewiętnasta. Przedstawię wam plan.

Senator przystanęła i obróciła się, by na niego spojrzeć. Trwało to zaledwie

ułamek sekundy, ale dostrzegłam malującą się na jej twarzy nadzieję.

– Dziękuję – rzuciła.

Zaczekałam, aż wyjdzie, po czym pochyliłam się do przodu i oparłam czoło na biurku. Zamknęłam oczy, ale ból głowy się nie zmniejszył. Kiedy myślałam o Thurmond, połyskliwa warstwa pokrywająca moją świadomość zrobiła się jeszcze grubsza. Podniosłam się bezwiednie, bo nagle przed oczami stanęły mi obrazy mężczyzn w czarnych mundurach. Likwidowali obóz, pozbawiając mnie tej przyjemności. Niszczyli wszelkie dowody, by świat nigdy się nie dowiedział, co naprawdę tam zaszło.

– Ruby? – Cole machał do mnie z drugiego końca pomieszczenia z dziwnym wyrazem twarzy. – Wszystko w porządku?

– Tak. – Potarłam zmęczone oczy. – Czemu pytasz?

– Rozglądałaś się po pokoju, zupełnie jakbyś...

Odzyskałam przytomność, a przynajmniej uwolniłam się od powolnych, ogłupiających, bezkształtnych rozmyślań, w których się pogrążyłam.

– Nic mi nie jest. – Przerwałam mu. – Wracając do planów przygotowanych przez dzieci: przejrzałeś je?

– Tak. – Wślizgnął się na krzesło przed laptop Nico i zaczął klikać myszką. – Są niezłe, ale zdaje się, że znam lepszy.

– Czyj?

– *T w ó j* – oświadczył. – Przecież kiedyś ułożyłaś szczegółowy plan uderzenia na Thurmond, pamiętasz? I dałaś go Albanowi za plecami Conner.

Rzeczywiście. Trzy miesiące, które upłynęły od tego wydarzenia, równie dobrze mogły być trzema latami. Kiedy agenci zabrali mój plan i przekształcili go, by móc wysyłać do obozów dzieci obłożone ładunkami wybuchowymi, poczułam się tak, jakby odcięto mi nogi na wysokości kolan. Zmienili mój sen w koszmar.

– To, co dzieje się w Thurmond, jest... naprawdę pochrzanione. To pewnie kiepsko oddaje rozmiary tragedii, jaka się tam rozgrywa, ale taka jest prawda. Będziemy musieli pracować ciężiej i szybciej. Misja musi być gotowa do początku marca. W pełni przygotowany plan bardzo by nam pomógł, bo moglibyśmy od razu

zacząć działać i realizować to, nad czym myślałaś przez wiele miesięcy.

Cole sięgnął między kartki z planami naszkicowanymi przez dzieci, wyciągnął spomiędzy nich niewielki notatnik i rzucił mi go.

– Proszę. Spisz wszystko, co pamiętasz. A ja do wieczora spróbuję złożyć pomysły pozostałych w spójny i możliwy do przeprowadzenia plan.

W szufladzie jednego z biurków z przodu pomieszczenia znalazłam długopis i usiadłam nad notesem. Na początku szło mi opornie, zwłaszcza że wstydziłam się swojego paskudnego charakteru pisma z nierównymi zawijasami. Im dłużej jednak pisałam, tym robiło się łatwiej, choć słowa przychodziły powoli, jakby nie do końca ufały, że tym razem będzie inaczej. Jakby nie wierzyły, że warto od nowa rozbudzać w sobie nadzieję.

Będzie inaczej. Mój plan zakładał, że przed atakiem jedno dziecko trafi do obozu z maleńką kamerą zainstalowaną w okularach, która prześle zdjęcia z wnętrza Thurmond do kwatery głównej i pozwoli dopracować szczegóły operacji. *Cole przyrzekł, że się uda.* Następnie wjedziemy do środka pojazdami wojskowymi, odwrócimy uwagę żołnierzy SSP oraz nadzorców. Obezwładnimy ich, ale nie zabijemy. *Jeśli ty w to nie wierzysz, oni tym bardziej nie uwierzą.* Jednego ze strażników zostawimy na posterunku – wejdę do jego umysłu, by raportował do centrali, że wszystko w porządku, aż wystarczająco się oddalimy.

Zapisałam obustronnie dziesięć kartek. Moje pismo stawało się coraz mniej wyraźne, w miarę jak w krwi znowu zaczęło mi buzować podekscytowanie. Przed oczami przewijały się idealnie ostre obrazy opisywanych wydarzeń. Kiedy skończyłam, dłoń omdlewała mi ze zmęczenia i czułam się wypompowana, ale głowę miałam jasną. Było mi lepiej. Odzyskałam spokój, a to naprawdę bardzo wiele.

Wstałam i odwróciłam się do Cole'a, który przez cały ten czas nie wyszedł z pomieszczenia. Raz po raz słyszałam dochodzące z jego komputera odgłosy i część mojego mózgu, która nie była zajęta pracą, domyśliła się, że ogląda ściągnięte z serwera filmiki. Dobiegał mnie płacz, ciche błaganie, pytania na zawsze pozostawione bez odpowiedzi. Były to odgłosy, których nauczyłam się nie dopuszczać do siebie w Thurmond dla własnego dobra. Nie wiem, jak bym skończyła, gdybym każdej nocy miała koszmary.

Blask bijący z ekranu oświecał twarz Cole'a i tylną ścianę. Zostałam przy swoim biurku, zaskoczona jego osłupiałą miną. Kiedy cofnęłam się o kilka kroków, zobaczyłam odbicie tego, co oglądał, w wychodzących na korytarz oknach. Na ekranie pojawiły się płomienie, zalewając Cole'a złowieszczymi kolorami. Jego twarz robiła się na przemian pomarańczowa, czerwona i złota. W jednej chwili okrucieństwa, który zdołałam odzyskać, zniknął, bo nagle uświadomiłam sobie, na co patrzę. Zmroziło mnie, a włosy na karku stanęły mi dęba.

Kamera zrobiła zbliżenie na twarz młodego, najwyżej trzynastoletniego chłopca przywiązanego do metalowego słupka. Dyszał ciężko i szarpał się, próbując rozerwać więzy krepujące mu ręce. Ogoloną głowę znaczyły elektrody, od których odchodziła platanina kabli. Zrobiło mi się niedobrze, żółć podeszła mi do gardła. Przycisnęłam dłoń do ust i musiałam się przemóc, by nie odwrócić wzroku od okrutnej prawdy, z którą się mierzyłam.

Cole podniósł na mnie oczy, kiedy stanęłam obok, ale zaraz z powrotem spojrzał na ekran. Lepszego zaproszenia nie oczekiwałam. Włączył filmik od początku. Gardłowe odgłosy Czerwonego i jego krzyki zmieszane z uwagami spokojnie wypowiedzanymi do kamery przez naukowca czyniły całość jeszcze bardziej nieznośną.

– Testowali tego chłopaka, żeby zbadać, jakie emocje wyzwalają jego zdolności – powiedział Cole wpatrzony w ostatnie nieruchome zbliżenie twarzy dziecka, mokrej od potu i łez. – Chcieli prześledzić, jak przetwarza to jego mózg. Ruby... – odwrócił się, tak że widziałam jego twarz z profilu – chciałbym, żebyś po zebraniu i po ustaleniu strategii operacyjnej zrobiła wszystko, co w twojej mocy, by odnaleźć Lillian Gray. *W s z y s t k o*. Rozumiesz?

– Tak – odparłam w końcu, kiedy znowu włączył filmik od początku. – Rozumiem.

10

Kiedy wyszłam z sali komputerowej, znowu widziałam wszystko jak przez mgłę. Stawiałam kolejne kroki, ale pod powiekami miałam uwięzione obrazy dzieci. Poparzenia. Zabiegi operacyjne. Pobieranie krwi. Przesłuchania. Setki różnych wersji pytań: „Co się dzieje?” i „Dlaczego to robisz?”.

Nie byłam do końca przytomna, ale na szczęście moje nogi wiedziały, dokąd mnie zaprowadzić. Miałam wrażenie, że minął nie dzień, ale cały rok, i że spędziłam go pod wodą. Jedyne, czego pragnęłam, to na chwilę się położyć, by później móc znowu próbować wypłynąć na powierzchnię.

Moi przyjaciele zajęli jeden z pustych pokoi na dolnym poziomie, w którym dostało mi się skrzypiące łóżko. Szczerze mówiąc, byłam tak zmęczona, że równie dobrze mogłabym się zwinąć w kacie na zimnej podłodze korytarza. Chciałam choć na chwilę przymknąć oczy.

Ktoś najwyraźniej miał tę samą potrzebę. Górne światło w pokoju było wyłączone, ale świeciła się nocna lampka stojąca na rozklekotanej małej komodzie pod tylną ścianą. Zdałam sobie sprawę z tego, jak bardzo za nim tęsknię, dopiero kiedy go ujrzałam. Na jego widok w sercu rozbłysło mi małe światełko. Liam leżał na brzuchu na jednym z dolnych łóżek z twarzą odwróconą do ściany i rękami wsuniętymi pod bluzę, która służyła mu za poduszkę. Najwidoczniej niedawno wyszedł spod prysznica, bo włosy i plecy wciąż miał wilgotne.

– Hej – powiedziałam, podchodząc bliżej. Chciałam najpierw sprawdzić, w jakim jest humorze. Jeśli wolał być sam, zostawiłabym go bez chwili zawahania.

Na dźwięk mojego głosu jego ramiona, a następnie całe ciało widocznie się rozluźniło. Oparłam kolano na wolnym skrawku materaca, a on od razu je objął.

– Cześć – wymamrotał. Nie wydawał się rozespany, ale bez wątpienia był potwornie zmęczony. – Czas na kolację?

– Jeszcze nie. Jak tam prace w garażu?

– Do przodu. Widać już połowę podłogi. Nieźle, prawda? – W końcu podniósł głowę i odwrócił się do mnie. – Mam dla ciebie prezent.

Podążyłam za jego wzrokiem i spojrzałam na komodę, gdzie na lewo od lampki nocnej leżało kwadratowe plastikowe pudełko. Podniosłam je i wybuchłam śmiechem. Było to opakowanie płyty kompaktowej *Pet Sounds* zespołu The Beach Boys. Otworzyłam je i uśmiechnęłam się na widok książeczki z informacjami i płyty.

– Zupełnie jakby nasza piosenka wszędzie za nami podążała – powiedział.

Chodziło mu o kawałek *Wouldn't It Be Nice*, który otwierał krążek.

Uśmiechnęłam się.

– Nasza piosenka?

– *Wouldn't it be nice if we were older** – zaczął i zanucił resztę. – Pomyślałem, że może przyda ci się jakaś przyjemna muzyka, żeby zagłuszyć odgłosy łomotu, jaki spuszczacie sobie nawzajem z Cole'em, jeśli zamierzacie to robić co rano.

Ciepło, które zagnieździło mi się pod sercem, zniknęło. Zamknęłam pudełko i przycisnęłam je do piersi.

– Skąd o tym wiesz?

– Tylko wy pojawiliście się na śniadaniu z nowymi siniakami. Nietrudno połączyć fakty. – W końcu na mnie spojrzał. – Proszę cię... Proszę, uważaj na siebie. Na samą myśl o tym, że on cię bije albo popycha, mam ochotę go zabić.

– To tylko sparingi. Muszę trenować.

– Nie mogłaś poprosić Vidy?

Poczułam, że robi mi się gorąco.

– Czy ty coś insynuujesz?

Nie chciałam mu się tłumaczyć. Nie powinien ode mnie tego wymagać. To nie miało z nim nic wspólnego. Zaczęłam się odsuwać, ale zdążył złapać mnie za rękę.

– Nie. Jasne, że nie. Przepraszam. Nie o to chodzi. – Zamknął oczy i westchnął. – Znalazłem tę płytę w schowku jednego z wraków w garażu. Wziąłem ją, bo sprawiła, że o tobie pomyślałem.

Odłożyłam pudełko na komodę.

– Wybacz – ciągnął, podnosząc na mnie swoje niebieskie oczy. – Strasznie

dostałem dzisiaj w kość.

Poczułam, że ściskająca mi żołądek frustracja zaczyna ustępować.

– Wiem, że sama świetnie potrafisz o siebie zadbać, ale ta myśl ciągle doprowadza mnie do szału. Pewnie zachowuję się jak hipokryta, biorąc pod uwagę to, jak bliski byłem dziś rano, by cię uderzyć.

Zdawałam sobie sprawę, że spędził cały dzień na przerzucaniu gratów, usiłując je mniej więcej posortować. A wcześniej porządnie dostało mu się od brata. Miał więc pełne prawo być dla mnie trochę oschły.

Usiadłam na krawędzi łóżka.

– Nic się nie stało. Mówię serio. Nawet nie byłeś wystarczająco blisko, żeby zrobić mi krzywdę. Nie wskoczyłabym pomiędzy was, gdybym nie była pewna, że zdołam zablokować twój cios. – Podniosłam jego rękę, przygięłam mu kciuk do wnętrza dłoni i nakryłam czterema pozostałymi palcami. – A poza tym zaciskałeś pięść w ten sposób... To najprostsza droga, żeby złamać sobie kciuk.

Przycisnęłam usta do kostek jego dłoni na znak, że tylko się z nim drocę, i w końcu się uśmiechnął.

Miękka bawełniana koszulka lekko podniosła mu się na plecach, odsłaniając skrawek skóry. Wyciągnęłam rękę i dotknęłam go, a następnie podciągnęłam materiał trochę wyżej, delikatnie gładząc go dłonią po lędźwiach.

– Ale przyjemnie – wyszeptał. – Zostaniesz? Przez chwilę nie chcę widzieć nikogo poza tobą.

Przesunął się do ściany, zapraszając mnie, bym położyła się obok. Przyszło mi to zupełnie naturalnie. Idealnie się w niego wpasowałam, zupełnie jakbyśmy byli wycięci z jednej całości.

– Wszystko w porządku? – zapytałam, przyciskając dłonie do jego piersi, na co objął mnie w pasie i przyciągnął bliżej.

Każda rzecz wychodząca z tutejszej pralni pachniała ostro proszkiem do prania i wybielaczem, łącznie z koszulką, którą miał na sobie. Pod spodem jednak wyczuwałam woń ciepłej skóry, lasu i miętowej pasty do zębów. To właśnie był Liam.

Jego zapach działał na mnie odurzająco. Brałam jeden uspokajający wdech za drugim.

– Jestem totalnie wypruty.

Cisza, która nastąpiła po jego słowach, była pierwszym posmakiem spokoju, jakiego zakosztowałam od wielu miesięcy. Przydymione słabe światło, równomierne unoszenie i opadanie jego klatki piersiowej pod moim policzkiem, ciepło wtulonego we mnie ciała – wszystko to spiskowało przeciwko mnie. W jednej chwili byłam zupełnie przytomna, czułam, jak palce Liama delikatnie odgarniają włosy z mojej twarzy, a w kolejnej odpływałam powoli w słodki sen.

Obudził mnie dopiero czuły pocałunek.

– Kolacja – powiedział Liam głosem, który świadczył o tym, że też dopiero co otworzył oczy. – Ktoś przed chwilą wydzierał się na cały korytarz, że już czas.

Żadne z nas się jednak nie poruszyło.

– Jak ci minął dzień? Nawet cię nie zapytałem.

– Jesteś pewny, że chcesz wiedzieć?

Na te słowa odsunął się odrobinę i spojrzał na mnie z poważną miną.

– Zdobyłam dostęp do prywatnych plików Clancy’ego. Oprócz listy różnych plemion i ich ostatnich kryjówek to komputerowy pamiętnik najgorszych koszmarów.

– Jak to zrobiłaś?

Teraz to ja rzuciłam mu karcące spojrzenie.

– Tak jak zwykle.

Uważnie obserwowałam jego reakcję, słysząc niewypowiedziane słowa, które nas od siebie oddalały. Były niemiłym przypomnieniem. *To właśnie robię. Taka właśnie jestem.*

Przyjął to zupełnie spokojnie.

– Znaleźliście coś na temat sposobu leczenia?

– Kilka informacji o badaniach nad przyczyną OMNI przeprowadzanych w Thurmond... Wygląda na to, że mają zamiar zamknąć obóz pod koniec marca.

– Cholera. Przykro mi.

– Cole i tak chce przeprowadzić atak.

– Cóż... Dwa miesiące to i tak lepiej niż dwa tygodnie... Coś wymyślimy. Mogę cię o coś zapytać i prosić o szczerą odpowiedź?

Trochę się na to obruszyłam.

– Rola kwatermistrza, którą dla mnie wyprosiłaś, i złożenie na mnie odpowiedzialności za zdobywanie zaopatrzenia to nagroda pocieszenia?

– Co masz na myśli?

– Czy to sposób, żeby mnie tu zatrzymać? Żeby odsunąć mnie od centrum wydarzeń? Kiedy zrobi się gorąco, mam tu na was czekać i modlić się, żebyście wrócili cali i zdrowi?

– A jak myślisz, co my będziemy robić, kiedy ty wyruszysz na zewnątrz? – odparłam. – Nie. I musisz wiedzieć, że Cole spanikował tylko dlatego, że nie powiedziałeś mu, dokąd idziesz. Czułam się tak samo... Po prostu zniknąłeś. Zdaję sobie sprawę, że potrafisz walczyć, jeśli trzeba, ale podejrzewam, że twój brat tego nie wie.

– Cole nie ma pojęcia, przez co przeszedłem ani do czego byłem zmuszony. Traktuje mnie, jakbym nie wiedział, jak trzymać broń. – Ścisnął mocno fałdy mojej koszulki na plecach. – Ale się myli. Harry nauczył mnie tego, zanim opuściłem dom. Po prostu nie chcę używać pistoletu, póki nie muszę.

– I tak powinno być – odparłam. – Czasami nie mogę uwierzyć, że przeżyliśmy to wszystko. Zastanawiam się, kiedy zaczęliśmy sięgać po broń, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie. Muszę nauczyć pozostałe dzieciaki strzelać i nie mam pojęcia, jak to zrobić. Nie wiem, jak im to przekazać, by jednocześnie zrozumiały absurdalność i okropieństwo tej całej sytuacji.

– Może wcale nie musi tak być – powiedział cicho. – Może nie musimy ruszać na obozy przy huku wystrzałów.

Zupełnie mnie zaskoczył. Równie dobrze mógł zaproponować, byśmy po prostu poszli na całość i przeprowadzili zamach na Graya. Oparłam swój plan wyzwolenia obozu na tym, co on i pozostali wymyślili w East River. Wizja, która wówczas powstała, oraz moja strategia zakładały użycie siły.

– Nie. To musi być prawdziwa walka – stwierdziłam. – Musimy udowodnić, że z

nami nie ma żartów. Boję się tylko o jedno. Cały czas się zamartwiam, jak dzieci to zniosą. Co się stanie, kiedy znajdą się w sytuacji, gdy będą musiały pociągnąć za spust i zabijać. Możemy je nauczyć panować nad emocjami i porządnie wyszkolić, ale mam wrażenie, że podamy im truciznę, która już nigdy nie opuści ich krwiobiegu. Wiem, że to poświęcenie i że to do nich należy ostateczna decyzja, ale martwię się, że koszt będzie zbyt wielki. Nie potrafię przewidzieć, co ich czeka na końcu drogi.

Wyrządzono nam wielką krzywdę. Przed oczami stanęła mi zapłakana buzia Zu, którą po chwili zastąpiła twarz Pulpeta wyjawiającego mi zasady zostawiania łowcą nagród. Przypomniałam sobie, jak go postrzelono. Zobaczyłam zmienione chorobą oblicze Liama... Wszystkie okropności łączyły się teraz w całość. Te obrazy miały nigdy nie zgasnąć, nawet po zmierzchu zła.

– Myślę, że rozumiem więcej, niż ci się wydaje – odparł Liam, gładząc brzeg mojego ucha. – Dzieci, które nie były w Lidze, przez lata musiały radzić sobie same. Nikt z tu obecnych nie jest bez skazy. Pragną tego tak samo jak my. Znajdziemy sposób, by zapewnić im maksimum bezpieczeństwa. Zaopiekujemy się nimi.

– Czy to wystarczy?

– Wystarczy. – Jego pocałunek był nieznośnie czuły. – Tęskniłem za tym. Mam na myśli nasze rozmowy.

Przeszyło mnie poczucie winy – wyglądał na naprawdę szczęśliwego.

– Wszystko wokół wydaje się nierealne – dodał, gładząc mnie po rozpuszczonych włosach. – Po prostu tu zostanemy. Tylko ty i ja. Nie wpuszczajmy nikogo innego, zgoda?

Właśnie to było w nim tak niebezpieczne. Potrafił zdjąć cały ciężar z moich barków i odłożyć go na bok. Stawał się odpowiedzią na każdą wątpliwość i dręczące mnie pytanie. Moja uwaga skupiała się teraz wyłącznie na jego pięknej idealnej osobie. Nie musiałam myśleć o tym, co kiedyś zrobiłam ani co się z nami stanie w ciągu następnych pięciu minut.

Nie wiedziałam, czy kiedykolwiek całkowicie mi wybaczy. Ale teraz zupełnie o tym zapomniałam. Może nie potrafiłam wyjawić mu wszystkich sekretów ani wylać przed nim trosk swojego serca, ale mogłam przynajmniej okazać mu bliskość.

Potrzebował ciepła i ja też.

Pokiwałam głową i tak delikatnie, że niemal niewyczuwalnie, musnęłam go ustami za uchem. Reakcja była natychmiastowa – wstrząsnął nim dreszcz. Chciałam to powtórzyć kolejny i kolejny raz. Przetoczył się i położył na mnie, pozwalając, bym opłotła go nogami, po czym przylgnął do mnie, sięgając moich ust. Napięcie, które się między nami wytworzyło, przyjemnie mnie obezwładniało.

Liam, opierając łokcie po obu stronach mojej głowy, odchylił się w tył, by mi się przyjrzeć, i zmarszczył brwi. Poczułam, jak fala czerwieni zalewa mnie od twarzy, przez szyję, po klatkę piersiową. Nie pierwszy raz dał mi poznać, jak bardzo mnie pragnie, ale teraz, w tym pokoju, na tym łóżku, czułam, że czas podjąć decyzję. A nie byłam na to gotowa.

– Nie musimy posuwać się dalej – powiedział łagodnie. – Nie chcę, żebyś się do czegokolwiek zmuszała. I tak jest mi po prostu cudownie. – Pogładził mnie palcami po żebrach i po brzegu sportowego biustonosza, po czym znowu skupił się na moich ustach. – Ale jeśli... Kiedy wyszedłem po jedzenie, postarałem się też o... – Płatał się i chaotycznie składał słowa, ale wiedziałam, o co mu chodzi.

Przeszedł mnie nieśmiały, narastający dreszczyk szczęścia. Pragnął tego tak bardzo, że zadbał o konieczne zabezpieczenie.

– Jeśli za jakiś czas, za kilka dni, tygodni czy lat, będziesz gotowa, wiedz, że na ciebie czekam, dobrze?

Ciekawe, czy poczuł, jak szybko te kilka słów przyprawiło mnie o mocniejsze bicie serca. Byliśmy tak blisko siebie, że zobaczyłam, jak tętno wybrzusza mu skórę na szyi. Było to dodatkowe świadectwo tego, czego dowodziły jego drżące dłonie.

Objęłam go w pasie i jeszcze mocniej ku sobie przyciągnęłam.

– Co ja mam z tobą począć? – powiedziałam, tylko na wpół żartując.

Liam nachylał się nade mną z coraz większym uśmiechem.

– Mogłabyś wypróbować to i owo...

– Na przykład? – Droczyłam się z nim, odsuwając się, kiedy się przybliżał.

Wydał z siebie cichy odgłos zniecierpliwienia.

– Masz na myśli rzeczy, które wpakują nas w kłopoty?

– Ty jesteś chodzącym kłopotem – skwitował. – I to przez duże K...

Przyciągnęłam go do siebie, ucinając śmiech, który ledwie zdołał się z niego wyrwać. Mój pocałunek zelżał pod jego dotykiem, stając się wolniejszy, słodki i leniwy. Po raz pierwszy czułam, że mam czas. Nie musieliśmy się spieszyć. Mogliśmy się nawzajem odkrywać.

– Czy moglibyśmy czasem opuszczać kolację? – zapytałam, kiedy jego usta odkleiły się od moich i powędrowały w dół po szyi.

– Jak sobie życzysz.

Nie czułam się ani speszona, ani niezdarna. Znów wsunęłam mu dłoń pod koszulkę i podciągnęłam ją, a następnie całkiem zdjęłam. Gdy wypowiedział moje imię, jego niski zmysłowy głos zupełnie mnie odurzył. Pragnęłam, by je powtórzył. A potem znowu. I znowu... Bez końca.

Nagle rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi.

Liam odsunął się ode mnie gwałtownie, ciężko oddychając. Trudno powiedzieć, co lepiej dowodziło jego rozgorączkowania: włosy czy wzrok.

Nie odzywaj się – pomyślałam. – *Pójdą sobie...*

Wyglądało na to, że ktokolwiek to był, odszedł. Westchnęłam lekko, a Liam znowu nakrył mnie sobą, zasłaniając mi resztę świata szerokimi ramionami.

Wtedy drzwi się uchyliły.

Liam zerwał się jak oparzony, walnął głową w spód górnego łóżka, spadł z materaca i wylądował na podłodze. Poczułam na skórze zimne powietrze i kiedy spojrzałam na siebie, zdałam sobie sprawę, że moja koszulka jakimś cudem przewędrowała w nogi łóżka.

– Nie wchodzić! – warknął Liam. – Chwila!

Ubrałam się, a kiedy on podnosił z podłogi swoją koszulkę, z tylnej kieszeni spodni wypadł mu skrawek złożonego papieru i poszybował na ziemię. Liam, potykając się, dopadł drzwi, zanim całkiem się otworzyły. Następnie zasłonił sobą wejście, tak by ten, kto pukał, nie mógł ani wejść, ani zajrzeć do środka.

– Hej, wybaczyć – rozległ się nieśmiały głos. – Słuchawka prysznicowa wariuje. Mogłbyś rzucić na nią okiem?

Liam widocznie się rozluźnił.

– To nie jest najlepszy moment...

– Zalało całą łazienkę. Naprawdę cię przepraszam, ale to nie moja wina...

– Już dobrze. – Spojrzał na mnie przepraszającym wzrokiem i wyprostował palec wskazujący na znak, żebym poczekała.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, zajęłam się ścieleniem łóżka. Sięgnęłam po koc, który w pewnym momencie musiał spaść na ziemię, i nastąpiłam piętą na coś cieplejszego niż zimna podłoga.

Pochyliłam się i podniosłam kartkę, która wypadła Liamowi z kieszeni. Była złożona na pół w mały kwadrat, który się rozchylił, gdy dotknął podłogi. Zanim w ogóle przyszło mi do głowy, że to niestosowne, mój wzrok prześlizgiwał się już po pierwszych zapisanych równym pismem słowach.

„Nazywasz się Liam Stewart. Masz osiemnaście lat. Twoi rodzice to Harry i Grace Stewartowie. Cole to twój brat, a twoja siostra miała na imię Claire. Byłeś w obozie Caledonia, ale stamtąd uciekłeś. East River naprawdę spłonęło. Zgubiłeś się. Jesteś w Lodi z wyboru, bo chcesz zostać z Pulpetem, Zu i Ruby. Chcesz tu być, by im pomóc. Nie odchodź, nawet jeśli ci każą. NIE ODCHODŹ! Ruby może odebrać ci wspomnienia, ale twoje uczucia są prawdziwe. Kochasz ją, kochasz ją, kochasz ją”.

Przeczytałam notatkę drugi i trzeci raz, usiłując pojąć, o co chodzi. Znałam słowa, rozumiałam zdania, ale mój umysł nie dopuszczał do siebie ich znaczenia. Zupełnie się wyłączył i dopiero moje serce znalazło wytłumaczenie.

„Ruby może odebrać ci wspomnienia...”

To list, który napisał do samego siebie, najwyraźniej obawiając się, że kiedyś znów padnie ofiarą moich zdolności. Ściąga. Zabezpieczenie. Widocznie moje słowo mu nie wystarczało. Mogłam bez końca obiecywać, że nigdy nie tknę jego wspomnień, ale to nic dla niego nie znaczyło. Zawiodłam go i zaufanie zostało naruszone.

Przeszył mnie lodowaty dreszcz. Tak nagły przeskok od ciepła jego dotyku był nieznosnym szokiem. Zamieniłam się w chmurę popiołu rozwianą przez wiatr po wygaśnięciu ognia. *Jesteś taka głupia. Taka głupia! On ci nie ufa bez względu na to,*

co mówi.

– Przestań – powiedziałam do siebie. To słowo zatrzymało osuwanie się w nicość i nagle nieprzyjemne uczucie złagodniało. Wypowiadałam je raz po raz, przełykając podchodzący do gardła żal i uspokajając myśli. – Przestań, przestań – powtarzałam, aż w końcu mój głos nie brzmiał już jak suchy chrobot i znów usłyszałam siebie.

Chodziłam tam i z powrotem po pokoju, próbując okiełznać burzę myśli szalejącą mi w głowie. Z korytarza dobiegł mnie odgłos bosych stóp szybko uderzających o podłogę. Spanikowana wsunęłam zwitek do opakowania z płytą w chwili, gdy Liam przekroczył próg.

Na jego lewym ramieniu, a także wzdłuż prawego boku, z tyłu spodni i nad kolanami widniały mokre plamy, na twarzy zaś malował się zrezygnowany wyraz kogoś, kto został ogłoszony świętym wbrew swojej woli.

Zdobyłam się na uśmiech, wstrzymując oddech z nadzieją, że pozwoli mi to zahamować łzy. Jego widok wystarczył jednak, by opatrunek, którym owinęłam świeżą ranę, się poluzował.

Liam odgarnął sobie z twarzy wilgotne włosy i powiedział:

– Wygląda na to, że muszę przestać się chwalić, że znam się trochę na hydraulice. „Trochę” oznacza, że potrafię odkręcić i zakręcić kurki. Co się stało? Wyglądam aż tak żałośnie?

– Nie, wcale nie – wybąkałam.

– O co chodzi? – Zrobił krok w moją stronę. – Masz taki głos, jakbyś...

– Po prostu zdałam sobie sprawę, że już prawie siódma. Cole potrzebuje nas na górze, żeby obgadać plan wyzwalań obozów. Powinniśmy... Powinniśmy iść.

Zmarszczył czoło, ale odsunął się od drzwi i przytrzymał je dla mnie. Kiedy chciałam go minąć, chwycił mnie za ramię i odwrócił do siebie. Kropelka wody spadła mu z włosów i popłynęła po policzku, szczęce i grdyce, która uniosła się, kiedy przełknął ślinę. Przyglądał się mojej twarzy, ale nie byłam w stanie spojrzeć mu w oczy, a kiedy czule pocałował mnie w policzek, omal się nie wzdygnęłam.

Pozostali dopiero zaczęli się zbierać w sali komputerowej, w której Zieloni rozsuwali równe rzędy biurka i przenosili je pod ściany. Nico znów miał laptop tylko

dla siebie, siedział z tyłu plecami do nas. Reszta dzieci była zwrócona w przeciwnym kierunku, twarzą do starej pomazanej markerami tablicy i wiszącej obok niej mapy Stanów Zjednoczonych.

Pulpet stał przed mapą i wbijał w nią niewielkie czerwone pinezki, podczas gdy Vida odczytywała kolejne punkty z wydrukowanej listy – najprawdopodobniej nazwy miast.

– Twoje czary-mary działy cuda, mała – rzuciła na nasz widok. – Wybaczam ci więc, że nie przysłaś nam pomóc przewalać gratów w garażu.

Pulpet obejrzał się przez ramię, nie odrywając dłoni od mapy.

– Jeśli chcemy sprowadzić tu nowe dzieci, mamy przynajmniej cztery większe plemiona do wyboru. W samym Wyoming jest około dziesięciu osób – powiedział.

– O ile się nie przemieściły – zauważył Liam.

– Trochę więcej wiary, proszę...

Jeśli Liam chciał coś odpowiedzieć, to nie zdążył, bo do pomieszczenia jak burza wparował Cole z widocznie zadowoloną panią senator u boku. Przebłysk radości na twarzy kobiety odejmował jej dziesięć lat. Uśmiechnęła się do mnie i delikatnie skinęła głową na znak, że wszystko w porządku.

Udało się jej. Podejrzywałam, że załatwiła nam zaopatrzenie.

Zu, Hina i Kylie zjawiły się w drzwiach jako ostatnie i ostrożnie przecisnęły się przez tłum dzieci, by usiąść obok nas.

– Dobra – zaczął Cole, klaszcząc w dłonie. – Dziękuję wszystkim za niezwykle szczegółowe plany działania. Przejrzałem wszystkie propozycje i sadzę, że wybrałem najlepszą strategię.

Sięgnął po jeden z markerów i podzielił tablicę na pół niebieską linią. Nad jedną połówką napisał THURMOND, nad drugą: OAZA, po czym bez żadnego dodatkowego wyjaśnienia zaczął:

– Przeprowadzimy dwa uderzenia. Jedno na obóz Oaza w Nevadzie w ramach próby przed główną akcją, czyli wyzwoleniem Thurmond, które czeka nas za pięć tygodni. Celem uderzenia na mniejszy obóz jest oczywiście uwolnienie dzieci, ale również dopracowanie szczegółów strategii akcji głównej.

Skrzyżowałam nogi i oparłam łokcie na kolanach, składając przed sobą dłonie. Byłam spokojna. Coś w mojej głowie wróciło na miejsce. Dobrze znałam spotkania, podczas których planowano nowe akcje. Pozostałe dzieci z Ligi, łącznie z Vidą, zdawały się czuć to samo. Bez problemu wczuwaliśmy się w sytuację, która w pozostałych wzbudzała niepewność.

– Ochotnik lub dwóch da się zamknąć w Oazie przed planowanym uderzeniem. – Cole zwrócił się do grupki Zielonych siedzących razem: – Będziemy musieli zainstalować małą kamerę w oprawkach czyichś okularów, by otrzymać obraz obozu. Potrzebujemy mieć choćby ogólne pojęcie o wyglądzie tego miejsca, by dokładnie rozplanować wszystko w czasie.

– Czemu akurat w okularach? – zapytała senator Cruz. – Czy nie odbiorą ich przy wejściu do obozu?

– Nie. Okulary są uważane za przedmiot pierwszej potrzeby – wyjaśniłam. – To najprawdopodobniej jedyna rzecz, której im nie odbiorą.

Jeśli Liam rozpoznał, że to pomysł zaczerpnięty z planów, które stworzył w East River, nie dał tego po sobie poznać. Siedział na podłodze z wyciągniętymi nogami podparty z tyłu na rękach i czujnie przyglądał się swojemu bratu.

– Haczyk polega na tym, że ochotnikami mogą zostać tylko ci, którzy nigdy nie byli w obozie. W SSP panuje zasada, że schwytani uciekinierzy są umieszczani w obozach, w których przebywali pierwotnie, a Oaza to względnie nowe miejsce. Nie chcę, by ktokolwiek z was czuł presję. Tak jak mówiłem, pójdą tylko ochotnicy.

Zu spojrzała na Liama i Pulpeta, ale to Vida założyła jej pasemko włosów za ucho, by dodać jej otuchy.

– Tej części operacji nie będziemy powielać w Thurmond, bo są wśród nas trzy osoby, które były tam więzione i bardzo dobrze znają rozkład tego obozu. Kolejną różnicą między wstępnym a głównym uderzeniem będzie los wyzwolonych dzieci. Ze skąpych informacji, które udało się nam pozyskać – wiedziałam, że chodzi mu o informacje udostępnione przez Clancy’ego – wiemy, że w Oazie znajduje się w przybliżeniu pięćdziesięcioro dzieci. Chciałbym, by wszystkie wróciły tu z nami. W zależności od tego, czy będą gotowe walczyć, możemy je poprosić, by stanęły u

naszego boku w ataku na Thurmond, lub stopniowo odsyłać je rodzicom.

– Czy plan poszukiwania i werbowania dzieci z plemion jest nadal aktualny? – zapytał Pulpet, dźgając kciukiem w mapę.

Cole pokiwał głową.

– Zaczniemy wysyłać po nie samochody, kiedy tylko dostaniemy zaopatrzenie. Jeśli chcemy przeprowadzić to własnymi siłami, przyda się każda pomoc.

Cole szybko przeszedł przez pozostałe części planu, które były, łagodnie mówiąc, dość ogólne, ponieważ bez zdjęć z Oazy nie mogliśmy dopracować szczegółów. Grupa szturmowa miała liczyć najwyżej dziesięć osób. Mieliśmy być uzbrojeni, ale jeśli to możliwe, unikać walki. W obozie znajdowało się zaledwie pięćdziesięcioro dzieci, co oznaczało, że pilnowało ich najwyżej dwunastu żołnierzy SSP i nadzorca lub dwóch. Plan zakładał, że wjedziemy do środka z wojskowym transportem cotygodniowych zapasów. Miałam być na czele, by przejąć kontrolę nad jednym z nadzorców. Zakładaliśmy, że ofiara moich umiejętności będzie raportować do centrali, że wszystko jest w porządku, podczas gdy my wywieziemy dzieci, używając znajdujących się w obozie furgonetek, ciężarówek albo autobusu.

Zebrani przysłuchiwali się w milczeniu, aż w końcu Liam powiedział:

– Pięćdziesięcioro dzieci to pestka przy trzech tysiącach.

– Lepiej wypróbować plan w mniejszej skali – odparł Cole, uśmiechając się i jednocześnie zachowując powagę.

– Dobrze, może to i prawda, ale czy poza tym, że sobie poćwiczymy i uwolnimy niewielką grupę dzieci, osiągniemy coś jeszcze?

Cole oparł dłonie na biodrach i uniósł jedną brew.

– To dla ciebie za mało? Naprawdę?

– Nie, nie o to mi chodziło... – Liam nerwowo przeciągnął dłonią po włosach. – Plan jest dobry, ale może mógłby posłużyć czemuś jeszcze. Może upublicznimy zdjęcia albo film z tej akcji, żeby ludzie zobaczyli, jakie warunki panują w obozie.

Kilkoro dzieci wydało z siebie pomruki aprobaty, łącznie z Lucy, która wtrąciła:

– Bardzo podoba mi się ten pomysł. Wszyscy powinni się dowiedzieć, jaka jest prawda.

– Czy istnieje jakiś sposób, żeby to zrobić, nie ryzykując, że Gray wytropi źródło tych danych? Bez ryzyka, że nas znajdzie i wysadzi to miejsce w powietrze? – Liam wciąż miał zaciekle wyraz twarzy, ale wyczuwałam, że topnieje pod spojrzeniem brata.

– Czyj jest plan, który nam przedstawiłeś? – zwrócił się do Cole’a Pulpet. – Przejrzałem je wszystkie i go nie pamiętam...

Cole najpierw zacisnął zęby, ale po chwili odpowiedział spokojnie:

– To połączenie kilku pomysłów. Z każdego wybrałem to, co najlepsze.

Tak naprawdę było to dokładne odwzorowanie planu, który mu wręczyłam, i Cole dobrze o tym wiedział. Wbiłam wzrok w tablicę i nie odwróciłam głowy, choć czułam, że Pulpet obrzuca mnie spojrzeniem. Nie było sensu wszystkich w to wtajemniczać, bo jedynie dołaboby to oliwy do ognia.

– Pani senator. – Cole wskazał kobiecie, by wystąpiła do przodu.

– Dobry wieczór – zaczęła. – Udało mi się wyegzekwować obietnicę złożoną nam przez Kanadyjczyków. Zaopatrzą nas w żywność, benzynę, potrzebny sprzęt i niewielki zapas broni. Jedyny problem tkwi w tym, że nie przewiozą tego przez granicę z Kalifornią. Dowiozą wszystko łodzią do Gold Beach w Oregonie. Czy zdołamy to stamtąd odebrać?

Liam ubiegł Cole’a i odezwał się pierwszy:

– Będę potrzebował tylko mapy i samochodu. A tyle chyba mamy.

– I przynajmniej trojga pomocników – dodał Cole. – Kylie, Zach i Vida, pojedziecie z nim.

– I ja... – wyrwało mi się dokładnie w chwili, kiedy z tyłu pomieszczenia rozległ się łomot.

To Nico cofnął się niezgrabnie, wywracając krzesło, z którego przed chwilą wstał. Obróciłam głowę. Chłopiec przycisnął obie dłonie do ust i chwiał się, wydając z siebie wysokie, nieprzyjemne jęki. Zanim pomyślałam, zerwałam się i ruszyłam ku niemu, po czym chwyciłam go za ramiona, by go podtrzymać.

– Co? Co się dzieje?

Cole i pozostali w jednej chwili okrążyli laptop, zasłaniając mi ekran.

– Cate... – Nico łkał. – *C a t e*! Ruby, złapali ją. Zabrali Cate.

Przerażone westchnienia otoczyły mnie jak stado ptaków. Puściłam Nico i przepchałam się do przodu – tłum się rozstał, robiąc mi przejście. Vida zdążyła podnieść komputer i ścisnęła go tak mocno, że gdyby Pulpet nie chwycił jej za ramiona, najpewniej roztrzaskałaby go o coś twardego.

– Ty pieprzony łajdaku! – warczała na Cole’a. – To twoja wina! Do jasnej cholery! Niech to szlag!

Pulpet objął ją ciasno, unieruchamiając jej ręce, ale Vida wierzgała nogami, nie zważając na innych. Rzucała się, usiłując uderzyć Pulpeta głową, ale zdołała jedynie strącić mu okulary z nosa. Zu rzuciła się po nie, by ktoś ich nie podeptał.

Ekran komputera pokazywał stronę główną wiadomości i zamazany, nieostry, jakby nakręcony z dużej odległości film. Naszym oczom ukazał się długi rząd zakapturzonych i skrupowanych mężczyzn oraz kobiet leżących wzdłuż drogi. Obok dymił wrak samochodu. Po chwili pokazali się żołnierze, którzy zaczęli kolejno zaganiać jeńców na pakę samochodu wojskowego, późne popołudniowe słońce odbijało się od ich karabinów. Znajdujący się pod spodem napis głosił: „Agenci Ligi Dzieci schwytani w Kolorado”.

Dudniło mi w głowie. Filmik uruchomił się od nowa, a ja maksymalnie wyteżyłam uwagę, by wypatrzeć Cate i zrozumieć, skąd Vida i Nico wiedzieli, że jest wśród schwytanych. Prawie wszyscy jeńcy mieli na sobie czarne dresy albo mundury operacyjne – te same, w których opuścili Bazę. Niektórych można było zidentyfikować z łatwością: Sen po długim warkoczu, Trenera Johnsona po imponującym wzroście.

Może nie zdążyła ich dogonić? Może to właśnie ona nagrała ten filmik, a teraz cała i zdrowa do nas wraca? Może...

Cole zatrzymał nagranie na scenie, w której więźniowie ustawiali się przed ciężarówką, i wskazał na drobną postać na końcu kolejki. Pochyliłam się, przysuwając twarz do ekranu. Kiedy odsunął palec, dojrzałam pasemka jasnych blond włosów wystające spod kaptura. Stała spokojnie, mimo że związali jej ręce pod nienaturalnym kątem, podczas gdy pozostali agenci celowo wpadali na żołnierzy i dźgali ich łokciami, choć szli do niewoli. Cole ponownie wcisnął „play”: postać

ruszyła do przodu ze spuszczoną głową i jedynie nieznacznie się wzdrygnęła, kiedy żołnierze podnieśli ją na ciężarówkę.

Nie.

Poczułam, jak w sercu zagnieżdża mi się panika. Kształty i twarze wokół mnie zdawały się rozmywać. Zrobiłam krok w tył, oplatając się ramionami. Krew pulsowała mi w żyłach, sprawiając, że nogi miałam jak z waty, i kręciło mi się w głowie. Nie byłam w stanie pozbyć się tego uczucia, nie mogłam opanować drżenia i ułożyć choćby jednej spójnej myśli. *Cate.*

Odeszła.

Pozwoliłam jej odejść.

Zabiją ją. Stracą ją za zdradę. Pozwoliłam jej odejść i ją schwytali. Schwytali Cate. Usłyszałam łkanie Nico i poczułam, że mnie także zbiera się na płacz, a całą twarz ściąga ból.

– Co oznaczają litery PWE? – zapytał Liam. – Widnieją w prawym górnym rogu ekranu.

– Skrót od nazwy Powiększenie – odpowiedziała senator Cruz. – To podziemny kanał informacyjny. Gray musiał się wściec, bo ten materiał dowodzi, że atak na Los Angeles nie zdołał całkowicie unicestwić Ligi, jak obiecywał.

– Czy oni zbierają informacje? Jak je rozpowszechniają? – dopytywał się Liam. – Ma pani do nich jakieś dojścia?

– Tak, ale...

– To nie ma znaczenia, Lee – wtrącił się Cole.

– Tylko spójrzcie. – Liam wskazał na laptop. – Ich filmik pokazano w głównym kanale informacyjnym. Przekonali kogoś, by to nadał, wiedząc, czym to grozi. Na tym właśnie powinniśmy się skupić. Nie na walce.

Dzieci kiwały głowami i szeptały.

– Nie potrzebujemy broni. Musimy dostarczyć ludziom informacji na temat umiejscowienia obozów i tego, jakie panują w nich warunki. Powiększenie mogłoby nam pomóc w ujawnieniu prawdy! Kiedy ją poznają, rodzice sami zabiorą się do ratowania dzieci. Ruszą na obozy, zorganizują protesty...

– Liam! – warknął Cole. – Skup się na tym, co ważne. Nowym organizacjom nie można ufać bez względu na to, na jak „podziemne” się kreują. Podejrzewam, że za chwytną historię sprzedaliby nas bez mrugnięcia okiem. Wiesz, czemu się z nimi nie skontaktujemy? Bo nie będę ryzykował przypadkowego albo celowego ujawnienia miejsca naszego pobytu, a tym samym życia wszystkich tu obecnych. Poradzimy sobie sami. *Koniec dyskusji.*

Liam się nie poruszył. Widocznie podnosiło mu się ciśnienie, bo czerwień stopniowo zalewała mu szyję, a następnie twarz. Cole przybrał bojową pozę. Nigdy wcześniej nie widziałam go tak wściekłego.

– Musimy ich odbić – powiedziała Vida. – Dokąd się udali? Myślicie, że na wschód? Pewnie chcą zorganizować przesłuchanie, więc ich nie zabijają, prawda? Moglibyśmy się zorientować w sytuacji i przeprowadzić operację...

– Nie możemy tego zrobić i dobrze o tym wiesz – odparował Cole. Oparł się o biurko i zaplótł ręce na piersi, zauważyłam jednak, że jego dłoń delikatnie drgnęła, i widziałam, jak przyciska ją mocniej do siebie, by to ukryć. Na jego twarzy malował się gniew zmieszany ze współczuciem.

Te słowa nie miały dla mnie sensu. Nie, kiedy wypowiadał je z takim wyrazem twarzy.

– Co jest grane, do jasnej cholery? – syknęła Vida.

– Hej! Uspokój się! Myślisz, że nie chcę ruszyć jej na pomoc? Myślisz, że podoba mi się, że ją to spotkało? Nikt na to nie zasługuje, a już na pewno nie Cate. Ale jest zbyt późno, by cokolwiek zrobić. Masz rację: pewnie zabiorą ich na przesłuchanie, ale nie mamy szans, by ich odnaleźć. Przepadli. Już nigdy... – Przełknął ślinę. – Już nigdy nie zobaczymy ich żywych.

Vida wydała z siebie wściekły krzyk.

– Twój tyłek uratowaliśmy! Wydostaliśmy cię z jednego z ich więzień!

– Z pomocą w pełni uzbrojonego, świetnie wyszkolonego oddziału taktycznego – dokończył Cole. – A i tak nie obyło się bez ofiar. Nawet gdybyśmy się dowiedzieli, dokąd ich zabrano, myślisz, że Cate mogłaby żyć z myślą, że któreś z was ucierpiało, usiłując ją odbić? To dlatego w Lidze panowała zasada, że jeśli cię złapią, nikt po

ciebie nie przyjdzie.

– Tak. Chyba że chodziło o ciebie – warknęła Vida.

Wiedziałam, że Alban zorganizował dla niego akcję ratunkową jedynie dlatego, że pragnął odnaleźć pendrive z danymi z laboratorium Ledy, ten sam, który teraz był bezużyteczny. Spojrzałam na Cole’a bez słowa. Pragnęłam, by po prostu to przyznał.

– Na każdym kroku się przechwalasz, w jakich to brawurowych misjach brałeś udział. – Głos Vidy zaczynał brzmieć błagalnie. Opadła z sił. Wściekłość wypompowała z niej całą energię, tak że Pulpet musiał ją podtrzymywać, by nie upadła. – Dlaczego teraz nie chcesz zaryzykować? Dlaczego?

– Bo to nie byłaby brawura, ale samobójstwo. Najszybsza i najlepsza droga, by uratować Cate i pozostałych, to wcielić w życie nasz plan: odsunąć Graya od władzy.

– Porozmawiaj z Harrym – wtrącił Liam. – Zna różnych wojskowych. Może kogoś poleci.

Cole miał ochotę odmówić i wyglądał tak, jakby pomysł proszenia o pomoc ojczyzna go odstręczał. Ugryzł się jednak w język.

– Więszym zmartwieniem, które powinno nas teraz zajmować, jest to, czy zostać tu, czy odejść. Któryś z agentów może zdradzić lokalizację Rancza.

– Mówiłeś, że agenci są przekonani, że jedziemy za nimi do Kansas – wtrącił się Pulpet. – Zarzekałeś się, że nie mają pojęcia, że tu jesteśmy.

– Racja. – Cole się zawahał. – Ale Conner wiedziała, że zostajemy.

– Ale z ciebie gnój! – krzyknęła Vida, w końcu wyrywając się Pulpetowi. – Pieprz się, Stewart! Myślisz, że Cate by nas wydała?!

– Ponieważ doświadczyłem na własnej skórze ich metod przesłuchiwania, skarbie – rzucił Cole zjadliwie – podejrzewam, że niestety istnieje taka możliwość.

– Nie robi tego. – Wszyscy odwrócili się, by na mnie spojrzeć. Zastanawiałam się, czy wyglądam na tak rozgorączkowaną i oszalałą, jak się czułam. – Prędzej by umarła, niż nas zdradziła.

I w tym właśnie tkwił problem. Cate dałaby się zabić. Poświęciłaby siebie, by nie pozwolić, aby nas skrzywdzono. W piersi rodził mi się krzyk. Liam wyciągnął rękę, próbując mnie objąć, jednak zrzuciłam jego dłoń i odsunęłam się od niego. Nie

chciałam, by ktokolwiek mnie teraz dotykał. Zaczynało mi brakować powietrza. Coraz więcej osób wlepiało we mnie oczy, a ja czułam, że pomieszczenie robi się mniejsze i mniejsze.

Muszę stąd wyjść. Teraz. Natychmiast. Wiedziałam, że muszę uciec, zanim czern zaleje cały mój świat. Nie mogłam złapać tchu, wokół znajdowało się zbyt wielu ludzi.

Na korytarzu było przyjemnie chłodno. Chciałam po prostu ruszyć przed siebie, ale nie mogłam wyjść na zewnątrz, a chodząc tam i z powrotem, robiłam z siebie wariatkę. Nie pamiętam, jak to się stało, ale po chwili byłam na górnym poziomie, popychałam podwójne drzwi i wchodziłam do siłowni.

Dopałam najbliższej bieżni. Krew dudniła mi w uszach tak głośno, że zagłuszyła elektroniczne piski towarzyszące podkręcaniu prędkości. Zaczęłam biec. Wyświetlacz pokazywał kolejne poziomy, ale ja przyciskałam guzik ze zwróconą w górę strzałką, dopóki nie miałam wrażenia, że lecę. Stopy dotykały rozpędzonego pasa w rytmie mojego galopującego serca. *Odeszła, odeszła, odeszła tak jak Jude, ty kazałaś jej odejść, ty ją odesłałaś, zabij ją...*

Straciłam poczucie czasu. Straciłam głowę. Zupełnie się zapomniałam. Biegłam.

Nogi zaczęły mi słabnąć, ale mocniej machałam rękami, jakby mogły pociągnąć mnie do przodu. Zimny strumień z klimatyzacji przyprawiał mnie o dreszcze i chłodził skapujący mi z twarzy pot. Robiłam długie, gwałtowne wdechy i ze szlochem wyrzucałam z siebie powietrze.

Czerń przeniknęła w pole widzenia i mignęła mi przed oczami. Pas bieżni gwałtownie się zatrzymał, a ja poleciałam do przodu, ledwie łapiąc się uchwytów. Kiedy nogi przestały się ruszać, ugięły się pode mną. Nie byłam w stanie obciążyć kostek, nie wspominając o wyprostowaniu kolan.

Z prawej strony dochodziły mnie dźwięki. Pomruki zamieniły się w słowa, które po chwili nabrały znaczenia. Ciężko dysząc, położyłam się na plecach i podniosłam ręce, by zakryć twarz. Ktoś jednak ujął moje dłonie i zobaczyłam blond włosy, kanciastą szczękę i niebieskie oczy... *Liam?*

– Już dobrze. Uspokój się. Wystarczy.

Cole chwycił mnie za ręce, podciągnął do góry i przesunął w przód, bym usiadła

na brzegu pasa bieżni. Pot piekł mnie w oczy, na ustach czułam sól.

– Kazałam jej odejść – powiedziałam zachrypniętym głosem. – To moja wina.

– Nieprawda – odparł łagodnie i odgarnął mi z czoła pozlepiane włosy. – Sama dokonała wyboru. Zrobiła to, co uznała za słuszne. Tak jak ty i ja.

– Nie mogę jej stracić.

– Wiem. Ale myślę, że sobie poradzi. Masz rację, nie wyda nas. Jasne, że nie. Conner jest bystra, więc znajdzie sposób, by przeżyć i wrócić do dzieci. Taka już jest.

Ona, Jude i kto jeszcze? Kogo jeszcze będę musiała stracić, zanim to się skończy?

– Nasi ludzie z Kansas na pewno już się tym zajęli – dodał cicho. – W przeciwieństwie do nas mają sposoby, by do niej dotrzeć. Schwymano wielu agentów, i to świetnych. Postaram się dowiedzieć, czy zaplanowano jakieś działania.

Obrócił mnie delikatnie w prawo, tak bym spojrzała na drzwi. W progu stało przynajmniej dziesięcioro dzieci z mniej lub bardziej zmartwionymi twarzami. Wszystkie przyglądały się, jak Cole mnie pociesza. Chciałam zrobić krok do przodu, ale sztywne mięśnie blokowały mi ruchy.

– Musisz wstać i się przejść, perełko – szepnął, obracając się do gapiów plecami.

– Musisz się ruszyć. Nie dla nich, ale dla samej siebie. No dalej. Wyjdiesz stąd na własnych nogach.

Miał rację. Tenisówki obcierały mi stopy i z każdym krokiem czułam przenikliwy ból. Spojrzałam w dół na czerwone plamy powiększające się na białych bawełnianych skarpetkach.

Trzymałam dłoń na ramieniu Cole’a, usiłując ukryć, jak mocno się na nim wspieram. Zamiast skrócić w prawo w kierunku schodów prowadzących do sypialni na dole, ruszyliśmy w lewo. Nie miałam siły zaprotestować, kiedy Cole otworzył drzwi do starego pokoju Cate i włączył światło.

Zdołałam się utrzymać na nogach tylko do chwili, gdy znalazłam się na wyciągnięcie ręki od niewielkiego łóżka. Wtedy moje kolana się ugięły. Pochyliłam się do przodu i spróbowałam rozwiązać sznurówki, ale ręce trzęsły mi się tak bardzo, że Cole musiał zrobić to za mnie. Kiedy zdjęłam skarpetki, cmoknął, ale nic nie powiedział.

– Wszystko zepsułam, prawda? – wybąkałam. – Dzieci już mi nie zaufają.

Cole potrząsnął głową.

– Widzieli dziewczynę, która się zdenerwowała, bo straciła ukochaną osobę. Nic takiego się nie stało. Musisz pozwolić sobie na chwilę słabości, zanim dosłownie zajedziesz się na śmierć, rozumiesz? Żeby pomóc mi zadbać o dzieci, najpierw powinnaś zadbać o siebie. Nie przyjmuję sprzeciwu... Zaczyniesz w tej chwili. Zostaniesz tu i prześpisz przynajmniej siedem godzin.

– Ale Clancy...

– Dzisiaj to ja mogę zanieść jedzenie wielmożnemu panu. Czy naprawdę myślisz, że byłabyś w stanie się przed nim obronić, gdyby cię teraz zaatakował?

– Zabierz kogoś ze sobą – ostrzegłam. – Niech was obserwuje zza drzwi, na wypadek gdyby Clancy czegoś próbował.

– Poproszę Vidę.

– Pulpet będzie lepszy.

– Zgoda – odparł i wstał.

Wyciągnęłam nogi. Byłam zbyt zmęczona, by się kłócić – jedyne, co mogłam zrobić, to odprowadzić go wzrokiem. Kiedy wyłączył światło, powiedziałam tylko:

– Jutro. Jutro odnajdę Lillian Gray. Zajmę się tym.

Zajmę się wszystkimi. A kiedy to się skończy, odszukam Cate. Ocalę ją, tak jak ona ocaliła mnie.

– Zuch dziewczyna. Nie mam co do tego wątpliwości. – Cole zatrzymał się w drzwiach i dodał: – Ktoś chce się z tobą zobaczyć. Mam ją wpuścić?

Skinęłam głową.

W progu stanęła Zu. Gdy Cole zamknął za sobą, mogłam zobaczyć jedynie krawędzie jej ciemnej sylwetki okolone delikatną poświatą wnikałą do pokoju przez szparę pod drzwiami. Przykryła mnie cienkim prześcieradłem i pocałowała w czoło. Dopiero ten czuły gest – nie nagrania z obozu ani wizje tego, co zrobią Cate w niewoli – wycisnął ze mnie łzy.

– Przepraszam – szepnęłam. – Nie chciałam was zmartwić. Cate się o mnie troszczyła, a ja nigdy nie traktowałam jej tak dobrze, jak na to zasługiwała. A teraz

odeszła i nie wie, jak bardzo mi przykro. Mogą ją zabić...

Poczułam, jak Zu ujmuję moją dłoń i ściska ją w geście pocieszenia, jakby mówiła: „wiem, wiem”. Drugą ręką odgarnęła mi włosy z czoła.

– Ty też kogoś straciłaś. – Własny głos wydał mi się szorstki. – Znajomego, który pomógł ci się dostać do Kalifornii. Opowiesz mi o nim? Nie musisz zdradzać tego, co go spotkało, jeśli nie chcesz, ale chciałabym wiedzieć, jaką był osobą. Dasz radę?

Moje oczy przyzwyczyły się do ciemności na tyle, że zdołałam zobaczyć, jak kiwa głową. Nie widziałam jednak wyrazu jej twarzy.

– Jak miał na imię?

Zu wyciągnęła mały notesik, z którym ostatnio się nie rozstawała. Zamknęłam oczy, słuchając cichego chrobotu ołówka, i otworzyłam je, dopiero kiedy klepnęła mnie w ramię i sięgnęła do włącznika stojącej na komodzie lampki.

„GABE”.

Zanim zgasiła światło, zdołałam dojrzeć wzbierające pod jej rzęsami łzy. Wyraz jej twarzy przeszył mi serce ostrym bólem. Zrobiłabym wszystko, *w s z y s t k o*, żeby tylko zdjąć z niej ciężar tego cierpienia, zanim przemieni ją w pył. Dobrze jednak wiedziałam, że nikt nie jest w stanie całkowicie uwolnić drugiej osoby od takiej krzywdy. Mogliśmy jedynie służyć sobie nawzajem za wsparcie i dzielić się bólem, kiedy zdawał się zbyt wielki i ciężki, by samemu go znieść.

Przesunęłam się, by zrobić jej miejsce na wąskim materacu. Stała się strasznie koścista i pokraczna, tak jak wszyscy tuż przed przekroczeniem tej dziwnej, niewyraźnej granicy zamiany w nastolatka. W prawie dorosłego.

Jej płacz i sposób, w jaki mnie objęła i wtuliła swoją ciepłą, mokrą twarz w moją szyję, świadczyły jednak o tym, że wciąż jest dzieckiem. Dzieckiem, które zdążyło już wiele przeżyć, a znowu wymagano od niego więcej.

– Wiem, wiem – wyszeptałam.

Ciemność wezbrała i opadła na mnie jak chłodna fala. Zamknęłam oczy, korzystając z tego, że mój umysł był jak czysta karta – pozbawiony wszelkich myśli. Przez wiele godzin, mimo że leżałam zupełnie nieruchomo, nie mogłam się pozbyć wrażenia, że cały czas biegnę.

* *Wouldn't it be nice if we were older* (ang.) – Czyż nie byłoby miło, gdybyśmy byli starsi (przyp. tłum.).

Obudziłam się nazajutrz rano z pragnieniem, by komuś przyłożyć. Piekły mnie mięśnie, o których istnieniu nie miałam wcześniej pojęcia, a kiedy wsunęłam stopy do tenisówek, omal nie zawylałam z bólu. Sen zamienił otępiający smutek w czysty bezlitosny gniew. Rozpierała mnie energia. Otworzyłam drzwi i zamknęłam je za sobą najciszej, jak potrafiłam, by nie zbudzić Zu.

Wskaźówki zegara w korytarzu pokazywały 4.45. Wiedziałam, że zanim pierwsze ranne ptaszki wstaną i zaczną dzień, minie jeszcze godzina. Miałam więc mnóstwo czasu, by wybiegać buchający wewnętrzny żar i wrócić do stanu względnego spokoju.

Światło na siłowni było zapalone. Kiedy zobaczyłam, kto sunie po bieżni szybkimi, pewnymi krokami, cała się spięłam. Cole musiał mnie dostrzec kątem oka, ale nie przestawał biec – zwrócił na mnie uwagę, dopiero kiedy stanęłam tuż obok obracającego się pasa maszyny.

– Nie jestem w nastroju, perełko – rzucił beznamietnie, jakby chciał mnie ostrzec.

– Szkoda – powiedziałam, sięgając po dwie pary rękawic. – Bo ja tak.

Czekałam na niego. Włożyłam rękawice i zaczęłam się rozciągać, usiłując rozgrzać mięśnie przed walką. W końcu po dobrych pięciu minutach Cole jęknął, wyłączył bieżnię i podniósł rękawice z ziemi. Miał rozpaloną od wysiłku twarz i błyszczące oczy. Dał mi pół sekundy, żebym przyjęła odpowiednią postawę, po czym walnął mnie kolanem w brzuch. Odskokczyłam, ale dopadł mnie kolejnym łatwym do przewidzenia ciosem w mostek. Razem z resztką powietrza, która uszła mi z płuc, uleciały ze mnie wszelkie myśli. Byłam tak rozkojarzona, że zanim się obejrzałam, z całej siły przycisnął mnie do siebie tyłem.

Wykręciłam się spod jego ręki, próbując równocześnie przewrócić go na plecy, jakbym miała jakąkolwiek szansę. Zdołałam jedynie nadepnąć mu na podbicie stopy. Cole jednak nie ustąpił, inaczej niż zwykle. Poczułam, że temperatura w pomieszczeniu gwałtownie się podnosi i wtedy...

Cofnął się, wydając z siebie jęk pogardy i pozwalając mi upaść na podłogę. *Nie!*, krzyknęłam w myślach, kiedy Cole odwrócił się do mnie plecami i zaczął zdejmować rękawice. Wprawdzie nasze sparingi traktowałam jako sposób na ugaszenie ognia, który palił mi wnętrzności, ale mój umysł uzależnił się od nich bardziej, niż się spodziewałam. Potrzebowałam więcej. Pragnęłam wyrzucić z siebie czarne myśli o Cate, Judzie i tym, co czekało na nas na końcu drogi. A to wymagało potu albo krwi.

Opuściłam głowę i ruszyłam na niego. W lustrze naprzeciwko zobaczyłam, jak jego twarz ciemnieje – sekundę później w nie uderzył. Tym razem siła pędu naprawdę zadziałała i rzuciła nas oboje na brzeg maty. Cole bez słowa wciągnął mnie za szyję na jej środek, by mi udowodnić, jak bardzo jest wściekły.

Mogłam go okładać pięściami i kopać, ale i tak nie byłam w stanie go z siebie zrzucić. Przyciskał mnie do ziemi, a ciężar jego ciała miażdżył mi klatkę piersiową. Jedną ręką przyszpilił mi nadgarstek tuż nad głową, a drugą zaciskał na moim gardle tak mocno, że prawie zupełnie odcinał mi dopływ tlenu.

W końcu odrobinę poluzował chwyt na mojej krtani, ale niewystarczająco. Rzucałam się pod nim, podrywając kolana i usiłując dosięgnąć jego lędźwi. Skóra jakby ciaśniej opinała mu czaszkę, a na jego twarzy malowała się furia.

Krztusiłam się, ale Cole nie zwolnił chwytu... Świadomość zaczynała opuszczać moje ciało i zlewać się z morzem czerni, które miałam przed oczami.

– Cole – wydusiłam z siebie. – Przestań...

Nie słyszał mnie. Gdziekolwiek teraz był, nie mogłam go dosięgnąć. Wiedziałam, że jedyne, co mogę zrobić, to pójść za nim.

Zanurkowałam w jego umysł, jakbym wymierzała cios. Powinnam była dźgnąć go i odskoczyć, zadziałać jak porażenie prądem. Ale jego myśli miały haczyki – złapały mnie i pociągnęły za sobą, aż w nich utonęłam, i stopiły się z otaczającą mnie rzeczywistością. Światło zawirowało wokół, wyginając się w cienie, które w końcu zamieniły się w wyłożoną ciemną boazerią kuchnię. Przez zasłony zakrywające okno nad zlewozmywakiem wpadało przyćmione ciepłe światło. Czułam jakiś zapach, chyba przypalonego jedzenia. Unoszące się wokoło smugi szarości okazały się dymem wydobywającym się z zamkniętego piekarnika. Na kuchence kolejno

pojawiały się garnki i patelnie. Brązowy sos kipiał z rondla, cicho skwiercząc.

Tuż przede mną stanęła kobieta w prostej niebieskiej sukience. Leżałam na podłodze, więc nie byłam w stanie zbyt wiele dostrzec. Widziałam jedynie jej długie blond włosy i dłonie, które nie przestawały mnie odpychać coraz bardziej i bardziej do tyłu. Zalała mnie fala gniewu i zobaczyłam, bardziej niż poczułam, że unoszę ręce, sięgając do czegoś, do...

Ostatni w scenie pojawił się mężczyzna. Stał zwrócony przodem do kobiety. Jego twarz spowijały cienie, ale było w niej coś znajomego: kształt nosa i szczęki. Znałam tę twarz, widziałam jej dwie młodsze wersje. Mężczyzna zrobił się purpurowy i nie przestawał krzyczeć. Tryskający z niego pot i gniew wypełniały pomieszczenie, sprawiając, że wszystko stawało się powolne i ociężałe. Spuściłam wzrok, przyglądając się jego ciemnej wymiętej koszulce polo, i zatrzymałam oczy na wyrywającym mu się kilkulatku, którego trzymał jak worek pod pachą. Chłopczyk robił się coraz bardziej różowy od płaczu i próbował się uwolnić z uścisku, wyciągając do mnie ręce. Miał jasne kręcone na końcach włosy. Pierwszym dźwiękiem, który wybił się ponad pozostałe stłumione odgłosy, był przeszywający skowyt przerażenia, kiedy mężczyzna zdjął z deski do prasowania buchające parą żelazko i uniósł je, jakby chciał przyłożyć jego czubek do twarzy malca.

Kobieta upadła na kolana, błagając:

– Zostaw go, proszę cię. Poprawię się, poprawię i wszystko będzie dobrze. Przecież wiesz, że cię kocham. Już nigdy nikogo nie zaproszę. Obiecuję. Tylko, błagam, oddaj mi go, oddaj mi go...

Mężczyzna opuścił żelazko, a następnie odstawił je na deskę, przypalając leżącą na niej koszulę. Jego twarz się zmieniła – teraz malował się na niej ohydny wyraz triumfu. Przełożył łkającego chłopca do drugiej ręki i wyciągnął dłoń, by dotknąć kobiety i pogłodzić ją po policzku. Był tak skupiony na jej pochylonej głowie, że nie zauważył, iż zdjęła patelnię z niskiej półki obok. Zorientował się, co zamierza, dopiero gdy wzięła mocny zamach i huknęła nią prosto w jego twarz.

Dziecko upadło na ziemię. Jego histeryczny płacz zagłuszał odgłosy uderzeń metalu o ciało i kości oraz jęki bólu. Rzuciłam się ku niemu i wzięłam je w ramiona – było lekkie jak piórko. W kąciku ust, w miejscu, gdzie przygryzło sobie delikatną

skórę jednym z nowych zębów, miało rozcięcie. Rana obficie krwawiła, ale chłopiec uspokoił się i ucichł, patrząc na moją twarz szeroko otwartymi oczami mokrymi od łez. Wsunął sobie do ust kciuk, podczas gdy ja próbowałam zetrzeć mu z buzi krew. Rozkrzyczał się na nowo, dopiero kiedy zobaczył, że jego matka też płacze, sięgając, by go podnieść i przytulić do piersi.

Kobieta chwyciła mnie za rękę i odciągnęła od leżącego na plecach mężczyzny i kałuży krwi plamiącej biało-czarne kafle na podłodze. Drżała i kaszłała, ale szłyśmy coraz szybciej i szybciej w kierunku drzwi. Po drodze zgarnęła torebkę z blatu, ale musiała zawrócić po kluczyki, kiedy się zorientowała, że wypadły.

Drzwi prowadziły do garażu. Światło, które zalało zagracone, ciemne pomieszczenie, całkiem rozproszyło wspomnienia.

Opuściłam umysł Cole'a i w tym samym momencie jego ciało osunęło się z mojej piersi. Dyszałam i kaszlałam, dławiąc się masą powietrza wpadającą mi do płuc. Przetoczyłam się na bok i zwinęłam obronnie w kłębek najciaśniej, jak potrafiłam. Minęło kilka potwornych minut, zanim strach przestał wbijać we mnie swoje pazury.

Do moich uszu dobiegł delikatny bezgłośny szloch. Podparłam się na łokciach, szukając jego źródła.

Cole siedział tyłem do mnie na brzegu maty, pochylając się nad kolanami i próbując uspokoić oddech. Znajdujący się przed nim kawałek lustra był pajęczyną pęknięć poplamioną krwią. Z trudem się podniosłam i stanęłam na drżących nogach. Zrobiłam jeden sztywny krok w jego stronę, a po nim kolejny. Cole przyciskał prawą rękę do piersi, nie zwracając uwagi na to, że zakrwawia mu koszulę. Zdjęłam niewielki ręcznik z wieszaka, ujęłam jego dłoń i pociągnęłam ją ku sobie, by móc oczyścić ranę. Miał wrzącą skórę i cały się trząsł.

– Jasna cholera! – wysapał. – Przepraszam, nie powinniśmy tego więcej robić. Niech to szlag!

– Już dobrze – powiedziałam łagodnie, nie ruszając się z miejsca.

Stałam w łazience jeszcze mokra po kąpieli, kiedy usłyszałam głos Pulpeta niosący się po korytarzu. Ostatni raz zerknęłam w lustro, by się upewnić, że bluza zasłania najgorsze ze świeżych siniaków na szyi, i wypadłam na zewnątrz, wołając za

nim.

Odwrócił się na pięcie z widoczną ulgą.

– Tu jesteś. Minęłaś się z resztą... Musieli wyjść. Do Gold Beach jedzie się osiem godzin, a ci idioci chcą to załatwić w jeden dzień.

– Znaleźli ciężarówkę, którą przywiozą zaopatrzenie? – zapytałam.

– Tak, i też byś o tym wiedziała, gdybyś pojawiła się na śniadaniu. Przepraszam, głupio wyszło. Wczoraj nie zdążyliśmy porozmawiać. Przykro mi z powodu agentki Conner i chciałbym ci powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, ale myślę, że tylko bym ci się naraził.

Pierwszy raz tego ranka zdobyłam się na wąły uśmiech.

– Vi nie miała nic przeciwko temu, żeby jechać?

Westchnął ciężko i jakby trochę się skurczył.

– Szukała cię wczoraj, żeby obgadać z tobą swoje pomysły, ale chyba lepiej, że cię nie znalazła. Miała milion planów na to, jak we dwie mogłybyście się wymknąć i odszukać Cate.

Poczucie, że jestem największym padalcem na ziemi, stawało się dla mnie chlebem powszednim. Nawet nie próbowałam porozmawiać z Vidą. Obiecałam, że będziemy omawiać takie sprawy, przerabiać je razem, a co zrobiłam? Ukryłam się, żeby wyrzucić zamęt z własnej głowy.

– Plan rozmowy z Clancym jest dalej aktualny? – zapytał.

– Zaraz... Skąd o tym... – Nie przypominałam sobie, bym mu o tym mówiła, a właśnie w tej sprawie chciałam z nim zamienić kilka słów.

– Rozmawialiśmy o tym wczoraj po południu, kiedy szłaś się na chwilę położyć – wyjaśnił.

Rzuciłam mu pełne niedowierzania spojrzenie, bo w głowie miałam kompletną pustkę.

– Serio?

– Serio. Przez co najmniej dziesięć minut. Kiwałaś głową. A to ogólnie przyjęta oznaka, że rozumiesz i się zgadzasz.

– A, tak... Masz rację, przepraszam.

– Jesteś wycieńczona – rzucił, pukając mnie w czoło. – Zaburzony osąd i zapominalstwo to typowe objawy.

Skinęłam na znak, że przyznaję mu rację.

– Jesteś wolny? Mam przeczucie, że zajmie nam to dłuższą chwilę.

– Wprawdzie uniemożliwiasz mi spędzenie kolejnego dnia na przerzucaniu oblepionych brudem, rozpadających się gratów, ale prowadź.

Cole nie miał ostatnio głowy, a najprawdopodobniej również czasu, by przygotować Clancy’emu posiłek. Słuchałam, jak Pulpet narzeka na Vidę i jej niewyparzony język, jak snuje podejrzenia, że przez jej „brawurowe obchodzenie się z bronią palną” kiedyś nas wszystkich zabije. Równocześnie z całych sił starałam się opanować pokusę, by napełnić butelkę Clancy’ego wybielaczem zamiast wodą.

Jeszcze przed tygodniem nasza spiżarnia prezentowała się dość mizernie, ale zapasy z pomocy humanitarnej znacznie ją uzupełniły. Spojrzałam na listę przyczepioną obok drzwi i lekko się uśmiechnęłam na widok starannych, szczegółowych zapisków Liama, informujących o tym, co już zużyliśmy i co jest w menu na następny tydzień. Na dole strony widniały również notatki o alergiach pokarmowych. Jakżeby inaczej? Liam myślał o wszystkich i był gotowy ryzykować własne życie, by znaleźć mleko migdałowe i bezglutenowy makaron dla dwojga dzieci, które tego potrzebowały.

– Gotowa? – zapytał Pulpet, kiedy znaleźliśmy się w archiwum.

Pociągnęłam za wajchę i wprowadziłam go do małego korytarza oddzielającego pomieszczenie od celi Clancy’ego. Drzwi na jego końcu miały małe okno, przez które mógł nas obserwować.

– Nie ruszaj się stąd – poinstruowałam go. – Nie wolno ci wchodzić. Wiem, że twoim zdaniem on nie może na ciebie wpłynąć, ale wolałabym nie sprawdzać tej teorii.

– Nie mam najmniejszego zamiaru pakować się do środka. Jeśli przejmie nad tobą kontrolę, zamknę was tu i pobiegnę po pomoc. – Pulpet rzucił mi ostrzegawcze spojrzenie. – Nie możesz do tego dopuścić. Postaraj się nie stawiać mnie w takiej sytuacji.

Pokiwałam głową.

– Jeszcze jedno: bez względu na to, co się stanie, nie chcę, żebyś zdradzał Liamowi szczegóły dzisiejszej wizyty. Niezależnie od tego, co zajdzie. Obiecuj mi to.

– Co zamierzasz? Chcesz użyć swojego ciała, żeby nakłonić go do współpracy, zamiast swoich... Wow, nie jestem w stanie nawet skończyć tego zdania, bo mój mózg już je wypiera.

Ścisnęłam mocniej torebkę z jedzeniem.

– Nic z tych rzeczy. Po prostu wolałabym, żeby to, co zrobię, nie przypominało Liamowi o moich umiejętnościach...

– Ruby...

Odepchnęłam go, przekroczyłam próg i zatrzasnęłam za sobą drzwi. Obejrzałam się przez ramię, napotykając spojrzenie, które rzucał mi zza szyby, ale w tym momencie zrobił krok w tył, znikając mi z pola widzenia.

– W swoim wypełnionym nicnierobieniem grafiku znalazłaś okienko, żeby do mnie wpaść? Jestem zaszczycony. – Clancy siedział na środku pryczy oparty o ścianę i czytał.

Obok spoczywały starannie ułożone koc i poduszka, które dostał w prezencie od Cole'a kierującego się próżną, głupią nadzieją, że młody Gray da się tym obłaskawić i będzie bardziej skory do mówienia. Kiedy otworzyłam klapę w drzwiach, by wrzucić mu torebkę z jedzeniem, przewrócił stronę, zaznaczył ją, po czym odłożył książkę na poduszkę.

Był to egzemplarz *Wodnikowego Wzgórza*. Równie dobrze mógł cisnąć mi nim prosto w twarz.

– Czytałaś to? – zapytał niewinnie. – Stewart mi ją przyniósł, ponieważ byłem grzecznym chłopcem. Marzyła mi się *Wojna i pokój*, ale, jak to mówią, darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby.

Było to stare wydanie. Okładka miała zmarszczki od częstego wyginania, a na grzbiecie widniały wyglądające na wiekowe naklejki biblioteczne. Pożółkłe strony były pozaginane przez dziesiątki nieostrożnych dłoni. Miałam przeczucie, że gdybym uniosła książkę do nosa, poczułabym tę niepowtarzalną woń, której żadne porządki

nie są w stanie usunąć z bibliotek i księgarni. Pod pryczą Clancy'ego zauważyłam równy stos innych lektur. Leżały tam sfatygowane egzemplarze *Zabić drozda*, *Synów i kochanków* oraz *Pożegnania z bronią*. Po celi plątały się również skrawki wydarte z poradnika pod tytułem *Tiffany radzi nastolatkom. Dobre maniery przy stole*.

Cały Cole. Ciekawe, czy ktokolwiek go wczoraj osłaniał, kiedy przyniósł tu ten księgozbiór.

– Co mu za to dałeś?

– Okruchy informacji, na których mu bardzo zależało. – Clancy zajrzał do torby z jedzeniem i niespiesznie wrócił na pryczę. Odgarnął sobie z czoła ciemne włosy i znowu sięgnął po książkę. – Pozostali muszą być niezwykle tępi, skoro jeszcze się nie domyślili, czym jest Stewart. Przecież to z niego emanuje. Robi się okropnie żalosny, kiedy pyta...

– Czemu akurat ta książka? – Przerwałam mu, świadoma, że Pulpet wszystko słyszy. Wertowałam pamięć, usiłując sobie przypomnieć, kiedy mu powiedziałam, że kocham tę historię. To, jak trzymał moją ukochaną książkę, jak przyciskał ją do piersi, sprawiało, że miałam ochotę wparować do celi i wyrwać mu ją, zanim splugawi i tę część mojej przeszłości.

– Wspomniałaś mi kiedyś o tym w East River – odparł, jakby wyczuwał niewypowiedziane pytanie. – Mówiłaś, że to twoja ulubiona opowieść.

– Zabawne. Nie przypominam sobie.

Clancy odwzajemnił mój sztuczny uśmiech.

– W takim razie musiałem to podchwycić podczas jednej z naszych bardziej osobistych rozmów.

Osobistych rozmów? Czyżby tak nazywał wymuszane na mnie lekcje, podczas których opuszczałam gardę i pozwalałam mu wnikać w swoje myśli, by „nauczył” mnie kontrolować umiejętności?

– „Twój lud nie będzie panował nad światem, bo nie życzę sobie tego. Cały świat będzie ci nieprzyjazny, Książę o Tysiącu Wrogów – przeczytał. – ... i ktokolwiek cię schwyta, zabije cię Ale najpierw muszę cię schwytać, ciebie, który kopiesz, który nasłuchujesz, który biegniesz, książę o szybkim refleksie. Dżasprytny, pełen

sztuczek, a lud twój nigdy nie zginie”***. – Zamknął książkę z trzaskiem i oparł się o ścianę. – Nie sądziłem, że historia o królikach może być tak fascynująca. Ale najwyraźniej nawet od nich można się czegoś nauczyć.

– Czy ty w ogóle rozumiesz, co właśnie przeczytałeś? – Robiłam się coraz bardziej wściekła.

Słowa, które odczytał, zostały wypowiedziane przez króliczego boga Frysa. Zwracał się do księcia El-ahrery, który pozwolił, by jego królicza kolonia popadła w pychę przekonana o własnej sile i wymknęła się spod kontroli. W odwecie za tę arogancję Frys przemienił pozostałe zwierzęta leśne w drapieżniki i naturalnych wrogów królików. Równocześnie jednak obdarował nieposłuszne plemię cechami i umiejętnościami, które umożliwiały im walkę o przetrwanie.

Clancy był mistrzem wczuwania się w głównych bohaterów takich historii.

– Rozumiem, chociaż podejrzewam, że to, co chcę powiedzieć, lepiej wyraża ten fragment: „Królik, co nie poznaje daru przynoszącego mu bezpieczeństwo, biedniejszy jest od ślimaka, chociaż sam o tym nie wie”***.

Potrząsnęłam głową.

– Przestań. Po prostu przestań. Aż tak nisko upadłeś?

– Uwierz mi, że to nic w porównaniu z tym, jak nisko zamierzam upaść, żebyś w końcu zrozumiała, co chcę ci powiedzieć.

– Nie chodzi o to, że nie rozumiem, ale o to, że się z tobą nie zgadzam.

– Wiem. Bóg mi świadkiem, że wiem. Nie masz pojęcia, ile razy miałem nadzieję, że już nigdy nie pozwolisz, by ktokolwiek złamał cię tak, jak łamali cię w Thurmond. Jesteś dla siebie taka niedobra, a na dodatek nie potrafisz odróżnić prawdy od jej wykoślawionej wersji, jaką cię nakarmiono.

Miałam tak serdecznie dość jego wywodów, że gdybym nie potrzebowała wydobyć z niego informacji, wyszłabym, nie pozwalając mu zacząć. To była cena, jaką musiałam zapłacić. Musiałam wysłuchiwać tych bzdur, wyjaśnień, dlaczego wszystkich wkoło traktuje z takim szacunkiem jak trawę pod butami.

– Odkąd się znamy, ani raz nie nazwałaś tego, co potrafimy, darem. Wystarczy, że ktoś choćby wyszepta to słowo w twoim towarzystwie, a warczysz i kłapiesz zębami.

Jest w tobie upór, którego nie rozumiem bez względu na to, jak bardzo się staram. Mogę sobie tylko wyobrazić, jak wyczerpujące musi być dla ciebie korzystanie z, jak je nazywasz, *zdolności*. Biczujesz się zarówno wtedy, kiedy nie uda ci się nad nimi panować, jak i wówczas, kiedy odnosisz sukces. Cechą, która mnie w tobie szczególnie fascynuje, jest to, że jakimś cudem potrafisz świadomie oddzielić swój dar od samej siebie... Jakby to była zupełnie odrębna istota, którą można nauczyć posłuszeństwa.

Wstał, podszedł do mnie i zaplótł ręce na piersi, jakby mnie przedrzeźniał. Nad naszymi głowami z kliknięciem włączyła się klimatyzacja i dmuchnęła strumieniem zimnego powietrza. Palce chłodu musnęły moje odkryte ramiona, szyję i policzki. Było to jak pieszczota. Przez chwilę miałam silne wrażenie, że stoję gdzie indziej, a nozdrza wypełnia mi zapach liści i przypraw.

– Przestań. – Nie wiedziałam, jak to robi, ale nie byłam już tą samą Ruby co w East River. Potrafiłam rozpoznać jego sztuczki. W tej chwili tak jak zawsze znajdował drogę do mojego umysłu, wyprowadzając mnie z równowagi.

Uniósł brwi.

– Nic nie robię.

Wydałam z siebie cichy jęk pogardy i udałam, że odwracam się, by odejść. Chciałam sprawdzić, jak bardzo pragnie, bym została. Przekonać się, jak trudny do zrealizowania będzie mój plan.

– Nie zastanawia cię, czemu Niebiescy z taką łatwością kontrolują to, co potrafią?! – zawołał za mną. – To dlatego, że za każdym razem, kiedy coś przemieszczają, jest to naturalny przejaw ich woli... Coś, czego chcą. Zieloni też korzystają ze swoich darów, jak sobie zażyczą, bo dar oplata ich umysł jak sieć. Widzą w nim sposób funkcjonowania swojego umysłu. Nic więcej.

Nie wszyscy tak mieli. Zu, która była Żółtą, ja, a nawet Cole musieliśmy nauczyć się wyłączać swoje zdolności – i to całkowicie. W przeciwnym razie zniszczylibyśmy wszystko i wszystkich wokół. Używaliśmy swoich umysłów jak broni, trzymając je z całej siły, a potem z trudem odkładaliśmy je do kabury, usiłując nie zrobić sobie przy tym krzywdy.

– Ciągłe przebywanie w towarzystwie trojga Niebieskich pewnie jest dla ciebie torturą. Musi być ci trudno wysłuchiwać ich niekończących się zapewnień, że wszystko będzie dobrze i że możesz kontrolować to, co robisz... Do tego musisz patrzeć, jak jednym skinieniem uruchamiają swój dar i robią dokładnie to, co chcą. Spędziłaś w Thurmond sześć lat, bojąc się, że wystarczy jeden podejrzany ruch, a ściągniesz na siebie karę. Wiesz, co się stanie, jeśli kiedykolwiek cię złapią i z powrotem tam zamkną? Będą cię tam trzymać tak długo, aż przeprowadzą na tobie wszystkie testy i potwierdzą to, co już wiedzą. Widziałaś, jak szybko i niepostrzeżenie wywieźli stamtąd Czerwonych, Pomarańczowych i Żółtych. Czerwoni trafili do projektu Jamboree. Żółci do jednego z zaprojektowanych specjalnie dla nich obozów. A co się stało z Pomarańczowymi? Gdzie się podziały te dzieciaki?

Ścisnęło mnie w gardle. Resztki odwagi wyparowywały ze mnie momentalnie, zastąpione przez dobrze mi znane przerażenie.

– Chcesz, żebym ci powiedział? – zapytał cicho, opierając się ramieniem o szybę.

Ku własnemu zaskoczeniu wyszeptałam:

– Tak.

– Niektórzy trafili do programu badawczego Ledy. Tego samego, do którego zabrano mnie i Nico po tym, jak zakończono eksperymenty w Thurmond. Pozostali, jeśli wierzyć stacjonującym tam wówczas żołnierzom SSP, znajdują się trzy kilometry na północ od obozu, pogrzebani kilkaset metrów od torów kolejowych.

– Dlaczego?

Po co mieliby się ich pozbywać? Dlaczego mieliby potraktować ich jak zwierzęta, które należy uśpić? Czemu? Czemu akurat Pomarańczowych?

– Dlatego, że nie dało się ich kontrolować. To jedyny powód. Było to najmniej wymagające, najprostsze rozwiązanie problemu. Dodatkowo, jeśli obozy kiedykolwiek zostaną zamknięte, będą mogli powiedzieć, że Pomarańczowi nie przetrwali drugiej, nieistniejącej fali OMNI i po prostu wymarli. Nasz dar objawił się u tak niewielkiej liczby dzieci, że nie wzbudziłoby to zbyt wielu, a może i żadnych podejrzeń.

Wskaźnik urodzeń był obecnie dość niski – niewiele par ryzykowało posiadanie

dziecka – więc rzeczywiście mogło to przejść bez echa.

Ciemne oczy Clancy'ego błyszczały.

– Widziałem rozkazy wojskowe... Instrukcje podające, jak zrobić to „po ludzku”, wywołując minimalny ból. Nigdy nie udało mi się osiągnąć żadnego z nich na czas, by uratować choć jedno dziecko.

– Ty nigdy nikogo nie ratujesz – powiedziałam z goryczą. – Pomagasz jedynie sobie.

– Posłuchaj mnie! – warknął, uderzając dłonią w szybę. – Jesteś swoimi umiejętnościami, a one są tobą. Nie potrafię ci tego lepiej wyjaśnić. Wiesz, czemu tak nienawidzę myśli o leczeniu? Bo zakłada, że to, czym jesteśmy, to zło. Że to kara za coś, czemu nie zawiniliśmy. A wszystko dlatego, że oni nie są w stanie opanować strachu przed tym, co potrafimy. Ani przyjąć, że na świecie istnieją ludzie silniejsi od nich i mający większą władzę. Chcą cię odrzec z samej siebie... Z możliwości obrony prawa do stanowienia o swoim życiu i korzystania z niego, tak jak i z prawa do stanowienia o swoim ciele. Zapamiętaj moje słowa: kiedy nadejdzie koniec, to nie będzie kwestia wyboru. Zdecydują za ciebie.

– Leczenie nie jest *karą*. Przecież uratuje życie dzieciom, które urodzą się po nas. Oby nigdy nie musiały przechodzić przez to co my! Czy chociaż raz o nich pomyślałeś, zanim zabrałeś się do podpalania wyników?

– Oczywiście, że tak! Ale leczenie, o którym tyle gadasz, nie polega na łykaniu leków! To bolesna inwazyjna operacja pomagająca jedynie tym dzieciom, które przeszły przemianę. Najślabszym zupełnie się nie przyda, bo nie będą w stanie jej przetrwać.

– Musisz się bardziej postarać – powiedziałam. – Jestem coraz lepsza w wyczuwaniu, kiedy łżesz.

Nerwowo przeczesał dłonią swoje ciemne włosy. Był wyraźnie sfrustrowany.

– Powinnaś inwestować swoją energię w poszukiwanie przyczyny OMNI. To nie wirus. Tyle Leda zdołała ustalić. To musi być jakiś czynnik środowiskowy, jakieś zanieczyszczenie.

Nie wiem, czy zdawał sobie z tego sprawę, ale wszedł prosto w pułapkę, którą na

niego zastawiłam. Chciałam, żeby mówił i zastanawiał się nad leczeniem. Wiedziałam, że wówczas jego myśli naturalnie pobiegną w stronę matki, tego, co jej zrobił, i miejsca jej pobytu.

– Nie czas, by zmieniać samą siebie i dopasowywać się do świata. – Głos Clancy’ego był cierpki od myśli, które wrzały mu pod skórą. – To świat powinnaś zmieniać. Walczyć o rzeczywistość, która cię zaakceptuje i w której będziesz mogła istnieć taka, jaka jesteś. W której nikt nie otworzy ci głowy skalpelem, by cię zniszczyć.

Na to czekałam. W rozmowie pojawiła się dziura, zupełnie jakby powietrze między nami się rozstało. Clancy zawsze był w stanie wydobyć ze mnie to, co chciał, uporczywie drażniąc moje bolesne wspomnienia. Robił to do chwili, kiedy stawałam się zbyt rozkojarzona albo rozemocjonowana, by odeprzeć jego ataki. Wiedziałam, że zdarzało mu się tracić nad sobą panowanie. Wielokrotnie byłam tego świadkiem. Nie chciałam jednak, by wybuchł gniewem. Musiałam przyprowadzić go o udawkę, jaką ujrzałam na twarzy Nico w chwili, kiedy zobaczył swoje zdjęcie z przeszłości. Wiedziałam, że jeśli Clancy wróci myślami do tego, co mu zrobili, będę go mogła wyrabiać w dłoniach jak mokry piasek.

– Jeśli wszystko, co mówisz, jest prawdą... Jeśli leczenie jest okrutne i nas zmieni, udowodnij to.

Udało mi się go zaskoczyć.

– Jak?

– Pokaż mi. Dowiedź, że operacja jest tak straszna, jak mówisz. Nie mam absolutnie żadnego powodu, by wierzyć ci na słowo, biorąc pod uwagę twoją sławną prawdomówność.

Wyraz nadziei zniknął z jego twarzy zastąpiony przez kwaśną minę.

– Lata badań i zbierania danych ci nie wystarczą? Dałem wam wszystko, co miałem.

– Tak, na temat Thurmond i programu badawczego Ledy. O leczeniu w dalszym ciągu nie wiemy nic.

– Rozumiem. – Clancy zaczął się przechadzać wzdłuż dzielącej nas szklanej

ściany, przeciągając po niej palcami. – Chcesz się przekonać na własne oczy? Jeśli nie ufasz moim słowom, czemu miałabyś ufać moim wspomnieniom? Przecież, jak dobrze wiesz, je także można sfałszować.

– Jestem w stanie to wyczuć – powiedziałam, ku własnemu zaskoczeniu zdając sobie sprawę, że to prawda.

Kiedy ostatnio pokazywał mi, jak się zalogować na serwer i wydobyć potrzebne pliki, użył innego rodzaju wspomnienia. Czułam to. W całości je sobie wyobraziłam. To dlatego mogłam w nie wkroczyć i pozostając sobą, wejść w interakcję z otaczającym mnie światem, a nie tylko odegrać wydarzenia z przeszłości. Całe doświadczenie było zbudowane z innej materii.

– A jednak się połąpałaś. Brawo. – Clancy wyglądał na zadowolonego. – Pamięć i wyobraźnia to dwie różne bestie. Umysł przetwarza je i ujarzmia w odmienny sposób. Kiedy zastępowałaś czyjeś wspomnienia albo wkładałaś w czyjąś głowę myśl, robiłaś kilka różnych rzeczy naraz... Nie zdawałaś sobie jednak z tego sprawy, mam rację?

Czy tak rzeczywiście było? Do tej pory działałam intuicyjnie i podążałam za instynktem. Zastanawiałam się, czy analizowanie działania moich umiejętności ma jakikolwiek sens... Przecież w końcu kiedyś miałam się ich pozbyć razem z lękiem, jaki ze sobą niosły. Ale czy nie powinnam choć trochę się wysilić, by dokładniej zrozumieć, co robię i w jaki sposób?

– Zbaczasz z tematu – rzuciłam.

– Nie, po prostu na ciebie czekam – powiedział cicho. – Jeśli chcesz to zobaczyć. Jeśli to jedyny sposób, byś uwierzyła, to zapraszam...

Na próbę zbadałam zasłony wokół jego myśli mackami swojego umysłu. Clancy rzeczywiście na mnie czekał i kiedy tylko zamknęłam oczy i sięgnęłam ku niemu, poczułam, jakby wyciągał rękę, by wprowadzić mnie do środka. Wnikałam coraz głębiej pod przezroczyste warstwy poplamionych wspomnień, raz po raz napotykałam obraz czyjejś twarzy albo jakiś dźwięk. Clancy miał wybitnie poukładany umysł. Czułam się, jakbym zbiegała po wijących się korytarzach pełnych okien, które kusiły, by do nich zaglądnąć. Albo szła alejką w bibliotece, szukając właściwej książki, i jedynie pośpiesznie omiatała wzrokiem mijane tytuły.

Obrazy zaczęły się rozmazywać i zlewać jak plamy atramentu na mokrym papierze. Kolory zmieniały się i przenikały, ale nagle gwałtownie i niespodziewanie wszystko się uspokoiło. Wpadłam w tak ostre wspomnienie, że wyraźnie czułam, jak moja zdrętwiała skóra dotyka zimnego metalowego stołu. Kilkakrotnie zamknęłam i otworzyłam oczy, by pozbyć się poświaty otaczającej wszystko wokół. Spróbowałam się podnieść, ale tylko opadłam z powrotem na stół, do którego pasami przywiązano mi nadgarstki i kostki. Nie miałam na sobie żadnego przykrycia, jak kokonem oplatały mnie jednak kable odchodzące od elektrod przyczepionych do mojej czaszki i klatki piersiowej.

Otaczał mnie rój mężczyzn i kobiet w białych fartuchach, których głosy brzęczały mi wokół głowy. Wypinali ze mnie jedne kable i zastępowali je kolejnymi, dotykali mnie wszędzie – wszędzie – i brutalnie unosili mi powieki, raniąc oczy oślepiającym światłem. Słyszałam ich ciche żarty i pomruki, a pod papierowymi maskami widziałam zarysy uśmiechów.

Kiedyś, jeszcze w East River, Clancy pokazał mi podobne wspomnienie. Trudno było to obserwować, a grozy dodawał jeszcze fakt, że rozgrywało się w Infirmierii, którą od razu rozpoznałam. Wiedziałam już z doświadczenia, że im silniejsze wspomnienie i mocniejsze uczucia z nim związane, tym wyraźniejszy obraz. Nauczyłam się, że jeśli coś słyszę, czuję jakiś zapach albo dotyk w cudzym wspomnieniu, to dlatego, że zapisane w nim wrażenia głęboko odcisnęły się w umyśle tej osoby i zostawiły po sobie bliznę.

To nie było wspomnienie badań nad sposobem leczenia kontrolowanych przez jego matkę z dala od niego. Był to obraz tego, co zrobiono mu w Thurmond, zanim zdołał się stamtąd wydostać. Badali go niczym ciekawy okaz, tak samo jak tamtego Czerwonego. Jak Nico.

Na twarz nałożono mi plastikową maskę i płuca zalała fala mdląco słodkiego powietrza. Mój organizm poddał się działaniu substancji i nagle wrażenie nadmiaru bodźców osłabło.

Clancy powiedział kiedyś, że podczas zabiegów naukowcy odurzali dzieci, ale ich nie usypiali. Dzięki temu urządzenia mogły lepiej monitorować normalne funkcje ich mózgów i oznaczać drogi, po których rozchodzą się przepływające przez nie impulsy

zdolności psionicznych. Elektroniczne piski odbijały się od niebieskich kafelków Infirmerii, a ja odniosłam wrażenie, że maszyny zawładnęły pomieszczeniem i zbliżają się do mnie, czekając na swoją kolej. Miałam tak suchy i ciężki język, że nie mogłam przełykać śliny – wypływała mi z popękanych, spuchniętych ust do kagańca, który mi założyli.

Wstrząs jak kula ognia uderzył we mnie bez ostrzeżenia i przeciął zygzakiem kręgosłup, jakby miał mnie rozerwać... Z bólu aż zaparło mi dech. Uczucie było podobne do porażenia prądem, tylko tysiąc razy mocniejsze. Nie potrafiłam zapanować nad swoim ciałem, które na przemian napinało się i rozluźniało.

– Spróbuj ponownie, tym razem... – Krępy naukowiec jęknął z obrzydzeniem i odskoczył od stołu. Zapach chloru został zastąpiony smrodem moczu, krwi i spalonego ciała.

Mój żołądek pewnie też by się opróżnił, gdyby cokolwiek w nim było. W tej chwili oddałabym wszystko, by zadławić się własnymi wymiocinami i umrzeć. Nigdy nie czułam się tak upokorzona. Naukowiec machnął na pielęgniarkę, by mnie umyła, żeby mogli zacząć od nowa.

Zabiję was... Zabiję was, wszystkich... Słowa gubiły się w zalewającej mój umysł trzeszczącej, czystej bieli.

Oderwałam oczy od fluorescencyjnej żarówki w kształcie podkowy, by jej silny blask całkiem mnie nie oślepił. Znowu otaczały mnie białe fartuchy, notatniki, trzask uderzających o siebie metalowych przyrządów oraz cholerne popiskiwanie urządzenia rejestrującego bicie mojego serca, które nie chciało się poddać. Jedna z kobiet odeszła na bok i włączyła muzykę. Usłyszałam śpiew Beatlesów – *I want to hold your hand, I want to hold your hand* – idealnie zgrany z radosną melodią. Jeden z naukowców zaczął podśpiewywać, fałszując. Tymczasem moją czaszkę rozerwała kolejna rozpalona błyskawica.

Kiedy znów odzyskałam ostrość widzenia, a okalająca wszystko czerń ustąpiła, moje ciało wciąż pulsowało, ale wokół panowała ciemność. Słodka ciemność. A pod sobą czułam materiał, nie stal. *Już po wszystkim.*

– ... robi spore postępy...

– ... dokładnie dopasujemy sposób leczenia... w dobrych rękach... terapia pomaga...

Krepy łysiejący lekarz ścisnął dłoń mężczyźnie w kurtce. Jaki to kolor? *Nie niebieski... Nie niebieski...* Ogarnęła mnie panika i sparaliżowała mi umysł, który szukał odpowiedniego słowa. Mężczyzna w kurtce zdjął maskę. *Widzę brodę. Nos. Poznaję. Boli mnie głowa... Nie ma imienia, tylko twarz. Twarz obok słowa „ojciec”. Telefon. Zgłoszenie. Zgłaszają mnie. Ratunku. Ratunku. Ratunku.*

Podnieś rękę... podnieś rękę... spróbuj... Nie odchodź... Nie zostawiaj mnie... Słowa pękły i rozprysły się w mojej głowie, zostawiając tylko dźwięki i pojedyncze litery. Język uwiadł. *Ręce sparaliżowane. Palący ból... Wszystko piecze...*

Prycza obok mojej skrzypnęła i zobaczyłam nad sobą drobną postać. Byłam bezpieczna. *Nico. Nico, na pomoc.*

Zimny ręcznik na twarzy. Moje ręce. Szyja. *Ostrożnie. Ostrożnie, Nico.* Delikatny dotyk na obolałej głowie, miękkie opuszki palców. *Przyjemnie.* Podsadził mnie, włożył ręce w rękawy, wciągnął przez głowę koszulę. Przytulił. *Gorące serce. Płonące ciemne oczy. Bezpiecznie. „W porządku. Jestem przy tobie”. Kubek do warg. Woda. Metal w ustach... To nie jest widelec... To nie jest widelec... Czy to... łyżka? Łyżka. Słodkie. Jedzenie.*

Nico. Ni-co-las.

Łkanie.

Ciepły Nico.

Łkanie...

^{**} Richard Adams, *Wodnikowe Wzgórze*, przeł. Krystyna Szerer, Warszawa 1982, s. 29.

^{***} Tamże, s. 251.

Wyrwałam się ze wspomnienia, szarpiąc się z nim. Wyjście było trudniejsze niż wejście. Nie wiedziałam, w którym kierunku podążam, nie potrafiłam się odnaleźć. Pójście w przód oznaczało powrót do tej okropnej sceny – do огоłonej głowy Nico, jego wychudzonego ciała i rozrywającego serce wyrazu twarzy, który dobrze znałam. Nie chciałam znowu na to patrzeć, ale po prostu nie mogłam od tego uciec. Ruszyłam więc w drugą stronę, co w rezultacie było jak przemierzanie tyłem pola pokrytego drutem kolczastym. Bez względu na to, w którą stronę szłam, boleśnie się kaleczyłam.

Kiedy w końcu wróciłam bezpiecznie do własnej głowy, zorientowałam się, że klęczę, opierając czoło o szybę. Gwałtownie połykałam jeden haust powietrza za drugim.

– Wystarczy ci? – parsknął Clancy. Skóra chorobliwie mu błyszczała i cały się trząsał. – Zadowolona?

Nie wiem, jak to zrobiłam. Naprawdę. Po prostu odcięłam się od wszystkiego, co zobaczyłam, i odarłam swój głos z wszelkiego współczucia.

– Nie.

Zaskoczony odwrócił się gwałtownie w moją stronę.

– Wiem, jak wyglądały eksperymenty w Thurmond.

O Boże. O mój Boże. Miałam wrażenie, że zaraz zwymiotuję. Chociaż w końcu z tego wyszedł, to, co zrobili z jego umysłem, było...

– Miałeś mi udowodnić, że to sposób leczenia jest okrutny.

– Opracowała go na podstawie tych badań! Wywiodła swoją metodę z elektrowstrząsów. Myślisz, że nie wiem, co tak naprawdę kombinujesz? Łudzisz się, że jestem aż tak głupi, żeby pokazać ci sam zabieg albo miejsce pobytu mojej matki?

On wie. Wie, gdzie ona jest.

Skierował się ku pryczy. Połączenie między naszymi umysłami wciąż było na tyle mocne, że przez chwilę czułam, jak wstrząsa nim rozżalenie. Nie spodziewałam się

tego. Musiał się zatrzymać, chciałam, żeby się zatrzymał. Zupełnie znieruchomiałam i sięgnęłam głęboko w jego myśli, pozwalając, by intuicja przeprowadziła mnie przez jego wspomnienia do części, która była najbardziej rozpalona. Dałam się poprowadzić własnym odczuciom.

Clancy zamarł. Mięśnie, kończyny i twarz mu stężały. Poruszył się, dopiero kiedy ja to zrobiłam, w dodatku naśladować mnie jak w lustrze. To było niczym pociąganie za sznurki: reakcje Clancy'ego zależały od tego, których części jego umysłu dotykałam. Sterowałam nim jak marionetką, ignorując wysiłki jego woli, którymi próbował mnie zwalczyć.

Mam cię. To właśnie tak musiał się czuć, kiedy manipulował jednym z nas. Beztroski, oszołomiony ogromem możliwości.

Nie byłam w miejscu, w którym chciałam być. Nie do końca. Wiedziałam, że powinnam się skierować z powrotem w jego wspomnienia, ale nie miałam pojęcia, jak tam wrócić. Tu, gdzie utknęłam, było mrocznie i pociągająco...

Lustro, zadźwięczało w moich uszach. Głos Clancy'ego brzmiał pewnie, zmuszając, bym go słuchała. Wiedział, że sama się nie wydostanę, i musiał zdawać sobie sprawę ze zniszczeń, których mogłabym dokonać, gdyby spróbował mnie wyrzucić. *Lustrzane umysły.*

Zrozumiałam.

Moje myśli zadrżały. Zamknęłam mocno oczy, zacisnęłam dłonie w pięści i wymusiłam, by na powierzchnię wypłynęło wspomnienie mnie samej wchodzącej do pomieszczenia. Wyrываłam się ciemności, czując całą sobą, jak ktoś wciąga mnie w nią za włosy. Znowu byłam w korytarzu i patrzyłam, jak okna prowadzące do jego wspomnień zatrząskują się jedno po drugim. Miałam tylko sekundę, jedną krótką sekundę, zanim dojdzie do siebie...

– Lillian – powiedziałam. – Matka.

Sztuczka zadziałała tak jak zawsze. Na dźwięk tego słowa, jego myśli wydobyły wspomnienie, które przywoływał ostatnio, to, które starał się chronić.

Wiedziałam, czego szukam, bo już wcześniej widziałam fragmenty tego obrazu. Na widok pięknej kobiety z twarzą okoloną blond włosami i błaganiem na ustach od

razu zanurkowałam głębiej, prac mocniej niż kiedykolwiek. Wokół mnie coraz wyraźniej rysowało się laboratorium Lillian Gray i kolejne przedmioty wypełniały puste miejsca jak puzzle. Próbowала oszukać swojego syna, by go do siebie sprowadzić i poddać zabiegowi. Wypuściła do sieci przeciek o tym, że jest w Georgii, wiedząc, że Clancy wpadnie na jej trop. Tak też się stało. Szarpnęłam za obraz, wymuszając, by odtwarzał się szybciej. Kobieta unosiła dłonie, uspokajając syna słowami: „spokojnie, wszystko będzie dobrze”. Przypomniam sobie strużkę krwi na klapie jej białego fartucha i jak leżąc na podłodze, błagała: „Clancy, nie. Proszę, Clancy”, podczas gdy on podpalał wszystko wokół i z wściekłością niszczył maszyny.

Poprzednim razem nie widziałam jednak, jak chwyta ją za szyję. Teraz czułam pod palcami jej galopujący puls. O Boże, on zaraz ją...

Moje dłonie uniosły się jednak i ujęły jej twarz. Nie ma słów, które oddałyby to, co zobaczyłam później... Czytałam umysł, który wnikał w inny umysł, widziałam eksplozję wspomnień we wspomnieniu. Żar bijący mi w plecy był nie do zniesienia, ale nie dawałam za wygraną. Mocno trzymałam kobietę, wyginając, łamiąc i krusząc wszystkie jej myśli.

Usłyszałam wystrzał i nagle połączenie między mną a Lillian zostało zerwane. Prawą łopatkę przeszył mi ból. Odwróciłam się od nieobecnej twarzy doktor Gray, pozwalając jej bezwładnie opaść na podłogę w chwili, kiedy do pomieszczenia wpadły dwie ciemne postaci. Migające płomienie odbijały się w otaczających Lillian okruchach szkła. Dziwne hipnotyzujące piękno tego obrazu było ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałam, zanim zaczęłam uciekać.

Clancy wyrzucił mnie ze swojego umysłu z taką siłą, że upadłam i rozciąłam sobie głowę o ścianę. Leżał na podłodze najdalej ode mnie, jak tylko mógł. Odwracał się do mnie plecami, z trudem łapiąc powietrze. Prycza leżała na boku jak barykada, którą próbował się ode mnie odgradzić.

– Wynoś się! – warknął. – Wynoś się!

Tym razem naprawdę zaczęłam biec. Drżącymi rękami walczyłam z pierwszym zamkiem, podczas gdy Clancy nie przestawał wykrzykiwać za mną tych dwóch słów. Ktoś otworzył mi od drugiej strony i wpadłam na niego, usiłując nie dać mu się złapać, kiedy drzwi się za mną zatrzaskiwały.

– To ja, to tylko ja. – Pulpet ciągnął mnie za sobą krótkim korytarzem do archiwum.

Przywarłam do niego pełna kotłujących się myśli i uczuć, które nie należały do mnie.

Zanim wyszliśmy na korytarz, nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Pulpet wsunął klucz do zamka i go przekręcił, a kiedy znaleźliśmy się po drugiej stronie, zatrzymał się i pociągnął dla pewności za klamkę.

– Ruby?

Jego twarz podzieliła się na pół, a później na trzy części i cztery... Szliśmy szybkim krokiem, a ja cały czas się na nim wspierałam, trzęsąc się z wysiłku, jakiego wymagało ode mnie trzymanie się w pionie. Pulpet otworzył drzwi do jednej z sypialni i wciągnął mnie do środka.

Zsunęłam się po najbliższej ścianie, z każdym wydechem wyrzucając z siebie dźwięk głosu Clancy’ego. Pulpet przykucnął przede mną i w skupieniu mi się przyglądał. Ile słyszał z naszej rozmowy? Ile zrozumiał z tego, co zobaczył?

Przechytrzyłaś wcielenie chytrości. Nie podejrzewałam, że moje zdolności kiedykolwiek mi na to pozwolą. Pobiłam go, zdołałam się w niego zamienić. Wprawdzie zarzekałam się, że zrobię wszystko, by odnaleźć Lillian, ale czegoś takiego nie byłam w stanie sobie nawet wyobrazić... Nie ośmieliłam się podejrzewać, że jestem do tego zdolna.

Nie myśl o tym. Miałam, czego chciałam. Dostałam potwierdzenie, którego potrzebowałam.

– Ona ciągle jest w rękach Ligi – wybąkałam, zanim Pulpet zadał pytanie, które malowało się na jego twarzy. – Okazuje się, że po nią przyszli.

– Mówisz o pierwszej damie? Masz pewność, że jej nie zabił?

Potrząsnęłam głową.

– Zrobił coś dużo gorszego.

Ruszyłam szukać Cole’a, ale nie mogłam go nigdzie znaleźć. Na korytarzu na górnym poziomie spotkałam senator Cruz.

– Wyszedł spotkać się ze znajomym, który wciąż ma dojścia do Ligi. Chce sprawdzić, czy nie słyszał czegoś o aresztowanych agentach – powiedziała. – Kazał ci przekazać, żebyś się nie martwiła i że wróci wieczorem.

Oczywiście nie zabrał ze sobą telefonu i nie było możliwości nawiązania z nim jakiegokolwiek kontaktu. Nie mogłam więc poprosić go, by przy okazji spróbował wydobyć ze swojego „znajomego” informację o miejscu pobytu Lillian Gray. Nie miałam pojęcia, gdzie Liga mogła ją przetrzymywać.

Przeprowadzała swoje badania w pobliżu kwatery głównej w Georgii, gdzie do ochrony Liga dała jej zaledwie kilku agentów. Może przewieźli ją do Kansas, kiedy zamknęli tamtejszą bazę?

Gdy przechodziłam obok siłowni, moim oczom ukazał się zaskakujący widok: Zu, Tommy, Pat i kilkoro innych dzieci mocowało się z maszynami do ćwiczeń.

– Wybacz. – Na mój widok Pat odsunął się od sztangi. – My tylko... Nie mamy nic do roboty. A chcemy coś zrobić. Skoro mamy wziąć udział... To znaczy ja i Tommy.

– Weźmiecie udział? – powtórzyłam za nim.

Obok Pata pojawił się Tommy.

– Zgłosiliśmy się na ochotnika. Do wyzwalań Oazy. Wybacz, głosowaliśmy po tym, jak, eee, wyszłaś. – Jasnoczerwone włosy chłopca błyszczały w ostrym sztucznym świetle.

Obrzuciłam ich obu badawczym spojrzeniem. Tommy skurczył się skrzepowany, ale Pat szturchnął go karcąco w bok i uniósł brodę. Uśmiechnęłam się.

– Chcecie się pouczyć samoobrony? – zapytałam.

Nie wiem, czy ich reakcja byłaby równie entuzjastyczna, gdybym zaproponowała im słodycze. Pozostałe dzieci zostawiły przyrządy i rzuciły się ku matom, gdzie kazałam się im ustawić. Zarządziłam rozciąganie, pokazałam sposoby uwalniania się z różnych chwytów i wielokrotnie zademonstrowałam, jak przerzucić sobie przeciwnika przez ramię, nie będąc Niebieskim. Kiedy po kilku godzinach wreszcie skończyliśmy, nie wiem, kto był bardziej szczęśliwy, ja czy oni.

W końcu Cole oznajmił swój powrót trzema uderzeniami w drzwi prowadzące do

Rancza z zewnętrznego tunelu. Wypadłam jak poparzona z biura Albana, porzucając stare dokumenty, które przeglądałam, i pobiegłam, by mu otworzyć. Kiedy wychodził po schodach, na jego twarzy malował się kontrolowany, niepewny uśmiech.

– Pozostali też już wrócili – powiedział. – Kazałem im zanieść wszystko przed garaż. Mogłabyś zebrać dzieci, żeby pomogły im to zataczać do środka? Pójdę przodem, żeby przeciąć łańcuch oplatający tę cholerną bramę...

– Cole! – zawołałam stanowczo, kiedy ruszył, żeby odejść.

Zatrzymał się w pół kroku i nieznacznie obrócił głowę.

– Przykro mi, perełko. Szukają ich, ale też nic nie wiedzą. Wygląda na to, że Liam za moimi plecami skontaktował się z Harrym, bo ten zadzwonił do mnie rano z zapewnieniem, że popyta. Kiedyś pracował w siłach specjalnych i ciągle ma wielu kolegów w różnych jednostkach armii i rządu.

Słowo ojczym sprawiło, że przypomniałam sobie scenę, którą widziałam w umyśle Cole'a. Przed oczami stanął mi jego biologiczny ojciec uśmiechający się do żony z potwornym wyrazem twarzy... Poczułam ukłucie bólu.

– Rozumiem – powiedziałam cicho. – Dziękuję, że się starasz.

Zadrżał, wypuszczając z płuc strumień powietrza, i z widocznym trudem wzruszył ramionami.

– A u ciebie w porządku?

– Tak. Pójdę po dzieci. Spotkamy się na miejscu.

Zimne powietrze wypełniało garaż świeżą, czystą wonią, którą poczuliśmy już w wiodącym do niego tunelu. Drzwi na drugim końcu były otwarte, kiedy jednak przekroczyłam próg, stanęłam jak wryta.

Nie wiem, ile czasu było trzeba, by doprowadzić to miejsce do takiego stanu. Garaż lśnił. Wprawdzie gratów nie udało się wynieść – mogłoby to przyciągnąć czyjąś uwagę – ale zostały uporządkowane wzdłuż czterech ścian jak rama układanki. Wszystkie regały złożono i uzupełniono nowymi półkami skleconymi ze starych łóżek. Powstało również miejsce do pracy, w którym zgromadzono znalezione narzędzia. Wrak auta stojący na podnośniku wciąż zajmował centralną część tej ogromnej przestrzeni, ale wyglądało na to, że nad nim również pracowano. Ktoś

dołożył mu koła.

Po rampie załadunkowej do środka wjechały dwie duże furgonetki i biały van. Podbiegłam do Liama i Vidy, którzy za pomocą swoich zdolności wyciągali pudła z bagażników i odstawiali je na bok.

Liam podniósł na mnie wzrok i na jego twarzy odmalował się znajomy uśmiech. Machnięciem przywołał do siebie grupę dzieci, która za mną podążała.

– Sortujemy według rodzaju. Komputery i elektronika tam...

Głębokie radosne westchnienie, które wydał z siebie jeden z Zielonych, sprawiło, że się roześmiał.

– Żywność i woda tam. Powinno być tu też kilka toreb z ubraniami i pościelą... Nie, rzeczy z białego vana nie ruszamy – rzucił, podbiegając, by zamknąć bagażnik. – To... Cole się tym zajmie.

Domyśliłam się, że vanem przywieźli broń.

Vida wydawała się nieobecna. Na jej twarzy nie pojawił się nawet cień rozdrażnienia, kiedy Pulpet zasypał ją lawiną pytań. Nie byłam pewna, czy jest świadoma tego, co robi... Sprawiała wrażenie zupełnie odrętwiałej i wyłączzonej.

Zu stanęła obok, patrząc na mnie pytająco swoimi ciemnymi oczami. Chciałam jej powiedzieć, żeby się nie martwiła. Zaczynałam rozumieć, że im cięższe staje się serce, tym silniejszy musi być człowiek, by je udźwignąć. Wiedziałam, że ryzykuję rozkwaszony nos, ale pragnęłam przytulić Vidę. Podjęłam wyzwanie.

Pozwoliła mi.

Najpierw ręce zwisały jej bezwładnie wzdłuż ciała, powoli jednak się uniosły i przycisnęły moje plecy. Jej skóra miała zapach kurzu i słonej morskiej wody zmieszany z wonią spalin... Z całego serca żałowałam, że nie zgłosiłam się, by pojechać zamiast niej, dzięki czemu zyskałaby dzień na dojście do siebie.

– Odzyskamy ją, do jasnej cholery! – powiedziała z determinacją. – Puszczę z dymem chatę Graya i jego samego! Jeśli coś jej się stanie, wyrwę mu serce i je pożrę!

Pokiwałam głową.

– Nie powinnaś jeść surowego mięsa – rozległ się gdzieś z boku głos Pulpeta. – Może zawierać patogeny...

Obie powoli obróciłyśmy się w jego stronę. Postawił pudło z komputerem na ziemi i zrobił krok w tył.

– Kanadyjczycy naprawdę się postarali, prawda? – Senator Cruz omiatała wzrokiem dostawę zaopatrzenia, przechadzając się między stertami.

– Czego chcą w zamian za te wszystkie rzeczy? – zapytało jedno z dzieci.

– Nie martw się o to – odparła. – To nic w porównaniu z odszkodowaniami, które są nam winni. Nazwijmy to przysługą. O nie, nie dostarczyli benzyny?

– Przysłali cały zbiornik – odezwał się Liam. – Ukryliśmy go za barem, bo nie zmieścił się w drzwiach. Poza tym nie czułbym się szczególnie komfortowo, wiedząc, że mamy tu tonę materiału wybuchowego.

– Co racja, to racja. – Senator roześmiała się lekko.

– Wyglądało na to, że bardzo im zależy – dodał. – Ustaliliśmy miejsce, gdzie mogą zostawiać zaopatrzenie, kiedy pojawi się możliwość przeniknięcia przez granicę. Dali mi to... – Wyciągnął z kieszeni płaski srebrny telefon. – Żeby móc nas powiadomić, że wszystko gotowe.

– A farba w sprayu? – wtrącił Pulpet. – Pamiętaliście o tym?

– Po co? – zapytałam.

– Kiedy wyślemy samochody, by zgarnąć plemiona – podjął Liam, gestykulując, by dodać swoim słowom wagi – będziemy oznaczać bezpieczne szlaki za pomocą kodu drogowego. Oznakowania pozwolą nam bezpiecznie wrócić do bazy i być może zachęcą inne dzieci, o których nie wiemy, by za nimi podążyły.

Uśmiech, który w takich chwilach pojawiał się na jego twarzy, zawsze był zaraźliwy. Przygryzłam wargę od wewnątrz, bo patrzył na mnie, jakby miał przed sobą najwspanialszy widok w życiu.

Ruby może odebrać ci wspomnienia...

– Świetny pomysł – powiedziałam, odwracając wzrok.

– Tak... – Jego głos zadrżał. – Dzięki...

Dzieci były przeszczęśliwe, przenosząc zapasy do wnętrza bazy. Cole tymczasem obserwował otaczającą go krzątalinę, opierając się o tylne drzwi białego vana.

– Zaczekajcie... – Chwyciłam Pulpeta i Liama za koszulki, zanim weszli za Zu i

Hiną do tunelu. – Musimy o czymś porozmawiać.

Cole i Vida chyba wyczuli pobrzmiewające w moim głosie zdenerwowanie, bo natychmiast do nas dołączyli.

– Byłam dzisiaj u Clancy’ego... – oznajmiłam. – Chciałam się dowiedzieć, gdzie jest jego matka.

Cole się wyprostował.

– I?

– Pracowała w laboratorium w Georgii, chroniona przez agentów Ligi stacjonujących w tamtejszej bazie. Wygląda na to, że zdążyli ją uratować, ale jej pracownia doszczętnie spłonęła.

– Dobra robota – powiedziała cicho Vida. – Jesteś pewna?

– Na sto procent. I wątpię, by później pozwolili jej odejść.

– Myślisz, że ukrywają ją w Kansas? – zapytał Cole.

– To miałoby sens, nie sądzicie? Procedury Ligi zakładają, że jeśli organizacji coś zagraża, ocalałe siły i sprzęt są sprowadzane do głównej, bezpiecznej bazy. Myślę, że po tym, co zrobił Clancy, nie ryzykowaliby przetrzymywania jej w zewnętrznej placówce. I nie wierzę, że więźnia tego kalibru puściliby wolno...

– Byliby skłonni ją wymienić? – zapytała Vida. – Za innego więźnia?

– Pierwszą damę? – odparował Cole. – Nie wymieniliby jej nawet za stu agentów. Nie rozumiem tylko, czemu nie użyli jej wcześniej... Zwykle nie mają oporów, by posługiwać się zakładnikami przy wysuwaniu żądań.

– Cóż... Być może nie chcą jej stawiać przed kamerami – powiedziałam.

– Jak to?

– Clancy naruszył jej umysł. Naprawdę go naruszył.

– Psychowudu? – zapytała dla pewności Vida. – Cudownie. W takim razie możemy się pożegnać z odpowiedziami na nasze pytania.

– Chcesz ją odnaleźć – głos Liama był cichy i pobrzmiewała w nim niewypowiedziana nutka smutku. – Wierzysz, że możesz naprawić to, co jej zrobił.

Pokiwałam głową.

– Rozumiem, że chcesz wysłać zespół dzieci do strzeżonej bazy obstawionej przez

setki wyszkolonych byłych wojskowych, którzy specjalizują się w torturach i zastraszaniu, tylko dlatego, że masz teorię... – powiedział Cole.

– Nawet jeśli jej tam nie ma, dowiemy się, gdzie naprawdę ją przetrzymują. – Nie odpuszczałam. – To będzie błyskawiczna akcja. Przecież doskonale wiemy, gdzie znajduje się ta baza. Do zbadania sytuacji wystarczą dwie osoby. Jeśli zrobi się zbyt niebezpiecznie, wycofamy się. To naprawdę może się nam opłacić. Jeśli ją znajdziemy i uda mi się przywrócić jej umysł do normalnego stanu, zdobędziemy informacje dotyczące leczenia. Jeśli nie, zyskamy zakładnika, którego będziemy mogli wymienić za Cate.

Na te słowa Vida wyraźnie się ożywiła.

– Jeśli mi obiecasz, że po wszystkim wymienimy ją za Cate, to wchodzę w to. Możemy pójść we dwie. Robiliśmy to już wcześniej.

Pulpet jęknął i przyłożył sobie dłoń do czoła.

– Nie mów nam takich rzeczy. To jeszcze pogarsza sprawę.

– Ruby, ty nie możesz iść – powiedział Cole. – Jesteś tu potrzebna. Żeby się *n i m* zajmować.

Otworzyłam usta, by zaprotestować.

– Zaraz, zaraz... – wtrącił Liam. – Powoli. Jeszcze kilka godzin temu obawiałeś się, że agentka Conner może zdradzić lokalizację naszej kryjówki, a nie pomyślałeś, że żołnierze najpewniej wyciągnęli z jeńców informacje o bazie w Kansas? Co, jeśli Liga zdążyła się już spakować i stamtąd zwinąć?

– Wtedy będziemy ich śledzić – powiedziała Vida. – Chociaż założę się o sto dolców, że te zadufane w sobie dupki czują się tak niezniszczalne i bezpieczne, że nie spieszy im się do wyprowadzki. Jestem pewna, że ciągle tam są...

Zwróciłam się do Cole'a:

– Jeśli ktoś ma zanosić mu jedzenie, na razie musisz to robić ty. Zapewniam cię, że przez jakiś czas nie będzie chciał mnie oglądać.

Cole wyglądał na zaintrygowanego, ale po chwili potrząsnął głową.

– Nie, jesteś potrzebna na miejscu i to nie tylko w tym jednym celu. Masz przecież poprowadzić uderzenie na obóz.

– Zajmie nam to tylko kilka dni. – Upierałam się.

– Nie. Koniec i kropka.

Patrzyliśmy na siebie twardo, aż pozostali zaczęli niecierpliwie przestępować z nogi na nogę.

– Zgłosiłbym się, ale obiecałem dzieciom, że zacznę organizować poszukiwania plemion – powiedział Liam, przeczesując dłonią rozczochrane włosy. – Chciałbym osobiście wyruszyć śladami grupy Olivii. Chyba wiem, gdzie mogą się ukrywać.

– Naprawdę? – zapytałam.

Olivia, Brett i pozostali, których spotkaliśmy w Nashville, mieli pewne doświadczenie bojowe. Gdyby się do nas przyłączyli, byłiby nieocenionym wsparciem.

Pulpet wygładził wiatrówkę, którą miał na sobie, i zapiął ją pod szyję z zadziwiającą determinacją.

– Ja pójdę z Vidą.

Nastąpiła chwila całkowitej ciszy.

– Eee, nie, dzięki... – rzuciła Vida. – Podejrzewam, że bardziej przydałaby mi się gąbka do mycia naczyń.

– Ciągle mam dokumenty poświadczające, że jestem łowcą nagród. Wystarczy, że się gdzieś zatrzymamy, żeby wyrobić nową legitymację – powiedział bardziej do niej niż do nas.

– Ty? Byłeś łowcą nagród? – Cole wybuchł śmiechem, ale po chwili zorientował się, że nikt z nas tak nie zareagował. – Wow, no dobrze. Czemu nie? Mów dalej.

– Mam dostęp do ich sieci i systemu nawigacji, dzięki czemu możemy skutecznie ich ominąć. – Pulpet obrócił się do Vidy. – Nie bądź taka mądra! Może i umiesz się zaciąć i włamać do budynku, żeby wydostać tę kobietę, ale ja potrafię zapewnić nam bezpieczny transport tam i z powrotem. Działalem pod przykrywką przez wiele miesięcy i nigdy nie wzbudziłem niczych podejrzeń, nawet SSP.

– Może to dlatego, że twoja parszywa gęba odstraszała ich od pierwszego wejrzenia – odgryzła się Vida.

– Serio? Prostackie żarty? – syknął. – Tylko mi nie mów, że twój arsenał ciętych

ripost już się wyczerpał.

Liam wkroczył między nich, tak żeby nie musieli na siebie patrzeć, wciąż jednak pod nosem obrzucali się obelgami.

– Vido, zrozum, jestem gotowy zgodzić się na wymianę, którą proponujesz, ale szanse, że to się uda, są raczej marne – wtrącił Cole. – Nawet nie chcę myśleć, co by się stało, gdyby was złapali. Jakbyś to wtedy rozegrała?

– Powiedziałabym, że chciało mi się rzygać od tego, jakimi jesteście tchórzami, i że byłam w stanie podjąć prawdziwe ryzyko, wierząc, że uda mi się osiągnąć cel. Niech myślą, że „celem” było przyłączenie się do nich.

– Przyznaję, że brzmi to wiarygodnie – rzuciłam.

Vidzie nie chodziło o poznanie metody leczenia. Jej zaangażowanie w stu procentach wywodziło się z wiary, że to najprostsza droga do odbicia Cate. Żałowałam, że nie mam jej determinacji i że nie potrafię uwierzyć, iż Cate zostanie przy życiu wystarczająco długo. Wątpiłam jednak, czy taka postawa ma sens. Łatwiej było dać się obezwładnić smutnej pewności, niż żyć na rozżarzonej krawędzi nadziei.

– Zgoda. Już dobrze, możesz iść, o ile weźmiesz ze sobą naszego narwanego łowcę. Nie wolno ci podejmować niepotrzebnego ryzyka. Zrozumiano?

Na końcu języka miałam uwagę, że Vida i Pulpet mają dość przeciwstawne definicje „niepotrzebnego ryzyka”, ale nic nie powiedziałam. Nie chciałam tracić ich z oczu na tak długo ani myśleć, co może ich spotkać po drodze. Sprawa była jednak na tyle słuszną, że wiedziałam, iż musimy podjąć nawet tak duże wyzwanie.

– Będę uważać – powiedziała Vida. – Jeśli myślisz, że jestem gotowa zaprzepaścić szansę na odzyskanie Cate, to chyba się czegoś nałykałeś.

– Chciałbym, skarbie.

Cole, Liam i ja pracowaliśmy w ciszy, ostrożnie wypakowując broń. Tym razem byłam wdzięczna za milczenie, bo panujące między nami napięcie stało się tak nieznosne, że kolejna kłótnia skończyłaby się naprawdę źle. W pewnej chwili, gdy pochyliłam się, by podnieść karabin i zawiesić go na wieszaku w schowku na broń, zahaczyłam o coś bluzy. Liam sięgnął i ją odczepił, przy czym nie powiedział ani słowa na widok siniaka na mojej szyi – podciągnął tylko materiał i się odwrócił.

Kiedy skończyliśmy, wyszedł jako pierwszy i zniknął za podwójnymi drzwiami. Podejrzewałam, że poszedł zaszyć się w garażu.

Ruszyłam za nim, na wszelki wypadek wstępując po drodze do sypialni. Większość dzieci położyła się już spać, ale drzwi do naszego pokoju były otwarte. W środku przebywał jednak tylko Pulpet, który zasnął na łóżku z otwartą książką przy zapalonym świetle. Uśmiechnęłam się i już sięgałam do wyłącznika, kiedy zauważyłam na materacu Vidy małe kolorowe pudełko.

Domyślenie się, gdzie ją spotkam, zabrało mi niespełna pół minuty. Wieczko opakowania z farbą do włosów zostało zerwane, co oznaczało tylko jedno.

Wentylacja w łazienkach była tak marna, że musieliśmy podpierać drzwi, pozostawiając je uchylone, by nie umrzeć z duchoty. Mimo to w środku było teraz tyle pary, że zakręciło mi się w głowie.

– Nie ma w tym nic złego – usłyszałam głos Vidy. – Ale posłuchaj, Zet, to naprawdę gówniane życie.

Zatrzymałam się przed drzwiami, przycisnęłam do nich dłoń i pochyliłam się w przód, słuchając tego pozornego monologu.

– Tak, ale czy to cię nie wkurza? – ciągnęła Vida. – Nie uważasz, że są rzeczy tak ważne, że warto je wypowiedzieć?... Wiem, że możesz je zapisać, nie zrozum mnie źle, ale jak zamierzasz kiedykolwiek wyrzucić z siebie cały ból, jeśli nie chcesz o tym pogadać? Wiem, co czujesz, jednak swoim milczeniem krzywdzisz samą siebie i tylko siebie. Nie daj im takiej władzy. Nie daj im zamknąć się w pułapce wiecznego milczenia. Są ludzie, o których warto pamiętać, w których imieniu warto przemówić. Jesteś ważna. Zaslugujesz na to, by mieć głos. Ludzie powinni się zamknąć i cię posłuchać. Jesteś mądrzejsza niż dziewięćdziesiąt procent naszego społeczeństwa.

Zamknęłam oczy, cofnęłam się i oparłam o ścianę.

– Wiem, wiem, ja też się czasem boję. Zawsze mam stracha, kiedy wybieram się na akcję. Nie do takiego stopnia, że trzęsę portkami, ale zawsze się martwię, co będzie z innymi, jeśli nawalę albo nie zdołam ich wystarczająco chronić. Nasza koleżanka Roo wisi mi jakieś pięć lat życia. – Zamilkła, najprawdopodobniej czekając, aż Zu skończy coś pisać. – Zrozum, że strach nie ma sensu. Powstrzymuje

cię, kiedy powinnaś najmocniej przeć do przodu. I istnieje tylko w twojej głowie. Możesz się nienawidzić za to, że się boisz, ale w ten sposób w dalszym ciągu pozwalasz strachowi kontrolować swoje życie. Nie jesteś już tym zmęczona? To nigdy nie przestanie ciągnąć cię w dół.

Nastąpiła kolejna chwila ciszy, na tyle długa, że ponownie bardziej uchyliłam drzwi.

– Ludzie cały czas wkraczają do naszego życia i z niego znikają – mówiła teraz ze ściśniętym gardłem. – Czasem obiecują, że zaraz wrócą, a nie pojawiają się nigdy więcej. Mamy tu dobry zespół. Wiesz, dlaczego jest taki silny? Bo sami go wybraliśmy. Sami go tworzymy. Moja siostra nie była taka jak twoi rodzice, jednak też mnie porzuciła. Jędza zdradziła moją kryjówkę za pieniądze, ale nie pozwolę jej wygrać. Mogłabym już nigdy nikomu nie zaufać, ale nie dam jej tej satysfakcji. Ona mnie nie wybrała, lecz ja mogę wybrać sobie inną rodzinę.

Zaczekałam chwilę i weszłam, dopiero gdy zaczęła nucić coś pod nosem..

– Cześć, mała. Jak leci? – Obrzuciła mnie spojrzeniem.

Tym razem zapach wybielacza nie pochodził ze środków do czyszczenia pryszniców, ale z grubej warstwy kremu, który Vida wczeszała sobie w krótkie włosy. Na ramionach miała stary sfatygowany ręcznik chroniący jej sportowy biustonosz przed poplamieniem lepłą mazią. Przez moment nie mogłam oderwać oczu od blizn pokrywających jej łopatki. Były to pamiątki po poparzeniach, jakich doznała, walcząc z Masonem w Nashville. Ich widok przyprawił mnie o mdłości.

Zu siedziała na szafce obok niej i machała nogami, raz po raz wyrzucając w powietrze swoje małe stopy w białych skarpetkach. Wyciągnęła ku mnie dwa różne opakowania – jedno niebieskie, drugie czerwone – a następnie wskazała na Vidę.

– Zmusiłam twojego harcerzyka, żeby się na chwilę zatrzymał, kiedy wracaliśmy z Oregonu – wyjaśniła Vida, po czym zsunęła ręcznik z ramion i owinęła go wokół drobnych ramionek Zu. – Dobrze zrobiłam. Muszę przybrać barwy wojenne przed jutrzejszą bitwą.

Rzuciłam jej karcące spojrzenie w lustrze.

– Niech ci będzie: przed moją starannie zaplanowaną, niezwykle ostrożną misją

rozpoznawczą. – Vida uniosła brew. – Jesteś pewna, że nie chcesz się po prostu ze mną wymknąć?

– Pulpet ci się przyda – przypomniałam jej. – Proszę cię, postaraj się go nie zabić.

– Dobra, dobra, zobaczymy. Ale pamiętaj, że wypadki się zdarzają.

Zanim zdążyłam choćby pomyśleć, by ją powstrzymać, Vida zanurzyła okryte rękawiczką palce w kubku, w którym wymieszała farbę, i zrobiła na włosach Zu cienkie pasemko.

– Eee... – wybąkałam. Miałam pustkę w głowie, a pierwsza myśl, jaka mnie naszła, dotyczyła tego, jak Liam i co gorsza Pulpet zareagują na to upiększenie.

Zu spojrzała w lustro i niecierpliwym gestem wskazała, że chce więcej. Vida potrząsnęła głową.

– Na razie wystarczy. Zobaczysz, czy ci się spodoba. Wybrałaś już kolor?

– Najbardziej chciałaby różowy – powiedziałam, a Zu jak na komendę odwróciła się do Vidy z oczami pałającymi nadzieją.

Vida przekrzywiła głowę, przyglądając się obu farbom.

– Mogłabym zrobić oddzielną mieszankę i dodać trochę mniej czerwonego niż zwykle. Nie wiem, co z tego wyjdzie, ale warto spróbować.

Zu z entuzjazmem pokiwała głową, uśmiechając się szeroko.

– Charlie mnie za to zabije – nuciła Vida, nachylając się nad umywalką. – Ale mamy gdzieś, co pomyślą chłopaki, prawda, siostro?

– Charlie? – Roześmiałam się zaskoczona.

– W końcu ma na imię Charles, prawda? – wyjaśniła szybko, rzucając mi w lustrze groźne spojrzenie. – Że niby „Pulpet” brzmi lepiej?

– Racja – powiedziałam. – Cóż... zostawię was same...

– Gdzie ci się tak spieszy, mała? – zapytała Vida, wskakując na blat i sadowiąc się obok Zu. – Zostań na chwilę. Mam wrażenie, że trochę się ostatnio mijamy.

Zawahałam się, bo czułam, że muszę odnaleźć Liama. Ale jak mogłam odmówić, skoro po raz pierwszy od wielu dni Zu wyglądała jak dawna Zu? Zresztą ja też się za nimi stęskniłam.

– Zgoda – powiedziałam i sięgnęłam po miseczkę z farbą. – Zobaczymy, czy uda

się nam uzyskać idealny odcień różowego.

Po trzech godzinach leżenia w ciemności i liczenia pochrapywań Pulpeta w końcu postanowiłam poszukać Liama. Zwlekłam się z twardego materaca i wyszłam na korytarz. Nie chciałam mu przeszkadzać, ale musiałam się upewnić, że jest tam, gdzie podejrzewałam.

Muzyka Stonesów wypełniająca tunel wiodący do garażu była twardym dowodem na to, że idę właściwym tropem. Mick Jagger śpiewał o dzikich koniach, a pobrzmiwająca w jego głosie obietnica kazała mi się zatrzymać tuż przed drzwiami.

Pomyślałam o płycie, którą Liam mi podarował, i o schowanym w jej pudełku liściku. Nagle poczułam się rozdarta pomiędzy potrzebą wejścia do środka a odruchem, by wrócić do sypialni, schować się pod kocem i zniknąć.

Po garażu sнуło się kilkoro dzieci. Przy stole pod ścianą naprzeciwko siedziała tyłem do mnie jedna z dziewczynek, ale nie byłam w stanie dojrzeć, czym się zajmuje. Pozostali grali w karty na rozścielonym na podłodze kocu. Wydało mi się dziwne, że siedzą tu, zamiast wykorzystać krzesła i stoły w auli, gdzie musiało być przynajmniej o dobrych kilka stopni cieplej.

Ruszyłam do przodu, obejmując się ramionami, by zatrzymać choć trochę ciepła. Poczułam jednak, że podeszwy butów kleją mi się do podłogi. Spojrzałam w dół i natychmiast odskoczyłam. Podłogę znaczył wielki biały półksiężyc. Ktoś musiał go namalować całkiem niedawno.

Liam kucał plecami do mnie przy swoim nowym motocyklu. Zdążył już zetrzeć oblepiającą maszynę szarą skorupę brudu i wypolerować jej srebrne i czarne elementy na błysk. Wyglądała jak prosto ze sklepu.

Patrzyłam, jak nagle wstaje, sięga po kawałek piankowego materiału i zaczyna nim owijać siodełko, żeby zakryć pęknięcia w skórze.

– Ładnie tu posprzątaście! – Musiałam przekrzykiwać Micka Jaggera, żeby Liam mnie usłyszał. Radio stało zaledwie kawałek od mojej stopy, ale czułam, że nie mam

prawa go wyłączać. Podejrzewałam, że muzyka miała zagłuszyć wszystkich i wszystko wokół i otoczyć go jak tarczą rytmem i melodią.

Liam gwałtownie się odwrócił. Zaskoczyłam go. Na jego białym podkoszulku widniały plamy oleju i smugi kurzu, zresztą tak samo na czole i policzku, o które najprawdopodobniej nieświadomie wytarł dłoni. W moich oczach wyglądał rozbijająco atrakcyjnie. Miałam wielką ochotę podejść do niego i ująć jego twarz w dłonie. A potem całować go, całować bez końca, by przywrócić mu beztrojski uśmiech. Nagle zapomniałam o wszystkim, co się wydarzyło od początku aż do teraz. Pomyślałam o pękniętych oponach, skarpetkach i Beach Boysach...

– Co się stało? – zapytał.

– Nic – wybąkałam. – Po prostu... Zmartwiłam się, bo już dawno po ciszy nocnej, a nie wiedziałam, gdzie jesteś. Chciałam...

– Upewnić się, że nie zwałem? Serio? – Zaczął się odwracać z powrotem do motocykla, ale nagle znieruchomiał i przycisnął dłoń do czoła. – Cholera... Rzeczywiście kiedyś już to zrobiłem, prawda? W Nashville? Nie, chyba nie...

Maleńka bańka miłych wspomnień, którą się otoczyłam, pękła.

– Nie, to było w Oklahomie. W parku narodowym.

– Racja, racja. To ostatnie, co pamiętam jak przez mgłę. Zaraz przed tym, jak ty...

– Nie dokończył i tylko machnął ręką. – Wybacz. Musimy zawiesić tu zegar.

Omiotłam spojrzeniem jego profil, linię szczęki i z przygniatającą pewnością zdałam sobie sprawę, że nie jestem tu mile widziana.

– Dobrze, w takim razie... – podjęłam, nadając swoim słowom potworną lekkość.

– Rozumiem. Pójdę już sobie... – Kiedy wydobywałam z siebie te zdania, bolało mnie gardło, a do tego miałam wrażenie, że i tak paplam bez sensu.

Głupia! Jesteś taka głupia. Przecież pragnęłam nabrać do niego dystansu, prawda? Nie chciałam mówić mu o wszystkim... Teraz zdawało mi się jednak, że już zupełnie zapomniałam, jak z nim rozmawiać.

Cofnęłam się o krok, ale kiedy muzyka trochę ucichła, Liam zawołał:

– Myślę, że ochrzczę ją „Słodka Rita”! Co o tym myślisz?!

Mimo wszystko poczułam, że się uśmiecham.

– Jak z piosenki Beatlesów?

Oparł się o siodelko motocykla, wyciągnął przed siebie nogi i splótł ręce na piersi. Poprawiał się w myślach: dopiero *teraz* miałam przed sobą najcudowniejszy widok na świecie. Pierwszy raz od wielu miesięcy Liam wyglądał jak prawdziwy on. Od dłoni wiecznie przeczesującej włosy po sposób, w jaki dzinsy opadały mu luźno na biodrach.

– Pasuję do niej, prawda? – powiedział, a na jego twarzy pojawił się nieśmiały, uroczy uśmiech.

– Czy Rita w piosence nie jest przypadkiem policjantką? – zapytałam, kierując się z powrotem w jego stronę z walącym sercem.

Liam patrzył na mnie z taką uwagą, że niemal potknęłam się o własne stopy. Gorąco, które gromadziło się tuż pod moim sercem, prawie buchnęło żywym ogniem, kiedy wyciągnął ku mnie ręce i otworzył dłonie.

Dałam mu się objąć i oparłam się o jego ramię.

– Tak, ale też jest cudna – odparł cicho.

Przesunęłam dłonią w górę po jego plecach i z ulgą zauważyłam, że jego skóra jest równie gorąca jak moja. Miałam ochotę wypytać go o wyprawę po zaopatrzenie, o to, jacy byli ludzie, których spotkał, ale nagle wystarczyło mi, że mnie przytula i że całuje moje włosy i policzek.

Odchyliłam głowę, wpatrując się w jego twarz, a on sięgnął w dół i wsunął dłoń do tylnej kieszeni moich dzinsów. Przyglądał mi się, kiedy kciukiem starałam się zetrzeć mu z twarzy smugę oleju.

– Cholera – powiedział ze śmiechem. – Jestem strasznie upaprany, co?

Jesteś idealny. Moje palce i wzrok spoczęły na bladej bliźnie w prawym kącie jego ust i nagle poczułam, że w głowie pojawia mi się mroczne, nieustępliwe wspomnienie.

– Jak się nabawiłeś tej blizny? – zapytałam. Chciałam usłyszeć od niego to, co zobaczyłam zamknięte w umyśle Cole’a. – Nigdy cię o to nie pytałam.

– Nic nie straciłaś. – Sięgnął ku mojej dłoni i zamknął ją w swojej. – Nie kryje się za tym żadna ciekawa historia. Mam ją od zawsze. Cole twierdzi, że się skaleczyłem,

kiedy zepchnął mnie z łóżka.

Zamknęłam oczy i westchnęłam, a kiedy mnie pocałował, odepchnęłam od siebie prawdę.

– Cole powiedział, że zadzwoniłeś do Harry’ego, żeby poprosić go o pomoc w zlokalizowaniu Cate. – Zmieniłam temat. – Dziękuję. Bardzo ci dziękuję. Wiem, że starasz się nie mieszać w to swoich rodziców.

Roześmiał się.

– Ani Harry’ego, ani tym bardziej mojej mamy nie ustrzegę przed pakowaniem się w kłopoty. Historia Zu wyraźnie to potwierdza.

– Udało ci się z nimi porozmawiać?

– Tak. Użyłem jednorazowego telefonu. Niesamowicie było ich usłyszeć. Miałem wrażenie, że od ostatniej rozmowy minęły całe wieki.

Pogładziłam go po ramieniu. Cieszyłam się jego radością i to bardziej, niż się spodziewałam. Moja ekscytacja była na tyle duża, że zignorowałam niewielkie ukłucie zazdrości w jednym z zakamarków mojego wciąż posiniaczonego serca.

– Bałem się, że nie przyjmie pomocy od Harry’ego – ciągnął Liam. – Kłócili się od dnia, w którym się poznali.

– Dlaczego? – zapytałam.

Jeśli Cole rzeczywiście szczerze nienawidził swojego biologicznego ojca, to skąd brał się w nim tak duży opór wobec Harry’ego?

Liam wzruszył ramionami.

– Jako dziecko Cole był nie do okiełznania. Mama nie miała serca, by go dyscyplinować po tym wszystkim, co przeszliśmy, więc to zadanie przypadło Harry’emu. Jest świetnym, kochającym, zabawnym gościem, ale potrafi być surowy. Przez lata służył w wojsku.

– A Cole nigdy nie lubił, by ktoś mu mówił, co ma robić – dokończyłam. Co więcej, byłam przekonana, że kiedy przeszedł przemianę i rozwinął swe przerażające, trudne do opanowania zdolności, przez większość czasu był wściekły. Musiał też strasznie się bać, że ktoś to odkryje. Przełknęłam ślinę na tę myśl i nic nie powiedziałam.

Gdyby tylko wyznał prawdę Liamowi...

– Sądzę, że był... Nie wiem, czy to, co powiem, ma sens, ale wydaje mi się, że Cole nigdy nie pozwolił sobie, by zaufać Harry’emu. Pamięta więcej niż ja z okresu, kiedy był z nami nasz biologiczny ojciec, i boi się o mamę. Jestem w stanie to zrozumieć. Czasem jednak zachowuje się, jakby czekał, aż Harry nas zawiedzie. Aż nas skrzywdzi. A nigdy do tego nie dojdzie. Myślę, że Cole wstąpił do Ligi, żeby go wkurzyć.

– Może współpraca przy tej sprawie zbuduje między nimi zaufanie?

– Harry ma taką nadzieję. I chcę, żebyś wiedziała, że ja też. – Liam kolejny raz pocałował mnie we włosy i się odsunął. – Dość już o tym. Jestem wykończony.

Ja zupełnie nie byłam zmęczona i miałam przeczucie, że on też tylko tak mówi. Pocałowałam bliznę w kąciu jego ust, przeciągając dłonią po jego szyi i wsuwając mu palce we włosy. Jego jasnoniebieskie oczy zdawały się ciemnieć, kiedy pochylał się ku mnie, by spotkać mnie w pół drogi.

Ktoś za nami zakaszłał.

Odczekał chwilę i zrobił to znowu.

Liam mruknął pod nosem coś dość ostrego jak na siebie i odsunął się ode mnie. Widziałam, że twarz ciągle mu płonie, a w oczach błyszczy szaleństwo.

– Tak?

Przed nami stała dziewczynka, która wcześniej pracowała przy stole z tyłu garażu. Niebieska o imieniu Elizabeth, jedna ze zbieraniny, na którą natknęliśmy się, szukając Zu. W skrócie Liza.

– Skończyłam, ale nie wiem, czy... Myślę, że to bardziej przypomina białego banana. – Podniosła czarny kask, byśmy mogli się mu przyjrzeć.

Z boku widniało coś, co na moje oko wyglądało na półksiężyc. Poczułam, jak Liam ścisnął mnie mocniej w pasie.

– Wygląda świetnie – powiedział.

– Ty wiesz, co to miało być, ale co, jeśli ona się nie domyśli? – zapytała Liza.

– Ona? – wtrąciłam.

– Nasza łączniczka – wyjaśnił pospiesznie Liam. – To znaczy łączniczka senator

Cruz. Prosiła, bym miał coś, co pozwoli jej mnie rozpoznać, kiedy zjawię się po zaopatrzenie.

– Ale przecież będziesz prowadził samochód albo ciężarówkę, prawda? A nie motocykl.

Zawahał się. Wyprostował plecy i odsunął się od swojego nowego pojazdu, po czym odwrócił się do mnie z wyraźnie wymuszonym uśmiechem.

– Czasem będę wyjeżdżał na Ricie, w zależności od sytuacji. Ten sam symbol umieścimy na drzwiach ciężarówki.

Nie wiedziałam dokładnie, co najbardziej mnie zaniepokoiło: dziwny ton jego głosu, blada twarz Lizy, która nagle uciekła, czy to, jak szybko chwycił mnie za rękę i pociągnął za sobą do tunelu. Z reguły każda przechodząca mu przez głowę myśl, nieważne, czy dobra, czy zła, zawsze odzwierciedlała się na jego twarzy. Widząc, jak bardzo stara się to kontrolować i wykorzystuje mrok niczym zasłonę, powoli zdawałam sobie sprawę z jednego.

On też miał przede mną tajemnice.

Vida i Pulpet wyruszyli nazajutrz na długo przed wschodem słońca. Liam, Zu i ja odprowadziliśmy ich do końca tunelu. Nie zważając na to, czy mamy ochotę wstawać, czy nie, w chwili, gdy odezwał się budzik w zegarku Liama, Vi i Pulpet zaczęli się sprzeczać tak głośno, że żadne z nas nie miało już szans na ponowne zaśnięcie. Po kilku minutach pojawili się również Nico i Cole. Obaj byli bladzi ze zmęczenia, które nie miało nic wspólnego z pobudką o nieprzyzwoitej porze – w ogóle nie położyli się spać. Widząc, że unikają naszego wzroku, zaczęłam się denerwować, kiedy jednak zapytałam Cole’a, co się dzieje, powiedział tylko:

– Porozmawiamy później.

Vida podeszła jeszcze z Liamem i Cole’em do mapy, a ja odciągnęłam Pulpeta na bok i poprowadziłam go za sobą kawałek w głąb korytarza. Widziałam, że toczy ze sobą wewnętrzną walkę, by zachować względny spokój. Tak bardzo kierował się rozumem i logiką, że nie wykształcił mechanizmów radzenia sobie z silnymi emocjami burzącymi idealny porządek myślenia. Podejrzewałam, że boi się nie tyle o samego siebie, ile o to, co może się wydarzyć podczas ich nieobecności.

– Nie rób głupot – zaczął. – Dbaj o siebie. A w razie czego zastosuj odpowiednie leczenie...

– Czy to nie ja powinnam dziś prawić kazania tobie? – spytałam.

– Hej, nie ma czasu na pogaduchy i czułości! – zawołała Vida. – Spadamy!

Pulpet uniósł palec wskazujący na znak, że potrzebujemy minuty. Vida prychnęła niecierpliwie i odpowiedziała, pokazując mu zupełnie inny palec.

– Nie mam wątpliwości, że wam się uda – podjęłam – ale boję się, że zanim dobrniecie do końca, jedno z was udusi drugie.

– Uzupełniamy się nawzajem – stwierdził spokojnie. – Ona ma mięśnie, a ja umysł. Albo wrócimy oboje, albo w ogóle, bo się pozabijamy.

– Nawet tak nie żartuj – szepnęłam.

– Muszę się z tego śmiać, bo inaczej pewnie wybuchłbym płaczem. – Na jego twarzy odmalowało się napięcie.

– Nie musisz iść, jeśli nie chcesz – powiedziałam szybko. – Jeszcze nie jest za późno.

– Chyba jednak jest... A poza tym ja też muszę się czymś wykazać. – Wzruszył ramionami z nonszalancją, która zupełnie do niego nie pasowała. Jego głos był ściśnięty i przefiltrowany przez strach więznący mu w gardle.

– Oboje wróćcie cali i zdrowi – oznajmiłam, kładąc mu dłonie na ramionach i zmuszając, by spuścił wzrok i na mnie spojrzał. – Macie wszystko pod kontrolą. Bądźcie ostrożni i szybko wracajcie do nas w jednym kawałku.

Pulpet odwrócił się do Vidy, która była jedyną osobą potrafiącą chodzić tam i z powrotem tak, że wyglądała, jakby szykowała się na łowy.

– Cóż... Mam nadzieję, że najwyżej w dwóch. – Spojrzał na mnie przeciągle i smutno.

Mimo wcześniejszego pośpieszania Vida dała Pulpetowi czas, by ukląkł i porozmawiał z Zu, a później poklepał Liama po plecach. Cole otworzył drzwi, wpuszczając do korytarza strumień zimnego powietrza, i odsunął się, by Pulpet mógł ruszyć w dół tunelu.

Chociaż naprawdę w nich wierzyłam, musiałam zwalczyć odruch, by rzucić się ku

wyjściu i zagrozić je przed nimi własnym ciałem. Przycisnęłam dłoń do piersi, starając się opanować ogarniającą mnie panikę. Zu nie miała jednak podobnych oporów – nagle wyrwała się Liamowi i przepchnęła przed Cole’a, który zamykał drzwi. Kiedy ją dogoniliśmy, ciągnęła Vidę i Pulpeta za plecaki, zapierając się piętami o prowizoryczną podłogę i płacząc bezgłośnie. Nie sposób było na nią patrzeć. Nigdy wcześniej nie widziałam jej aż tak poruszonej. Potrząsała głową i poruszała ustami w niemym błaganiu. Pulpet spojrzał na nas zaskoczony.

Zu pod wieloma względami była najtwardsza z naszej grupy. Strach i smutek potrafiły całkiem ją przygnieść, ale najszybciej ze wszystkich wracała do równowagi. Zwykle skrywała uczucia za murem, który sama wzniosła, tym razem jednak okazał się on za niski, by powstrzymać pełen desperacji lęk. Nie mogłam na to patrzeć. Od tłumionego płaczu rozbolało mnie gardło.

Vida zsunęła plecak i uklękła przed dziewczynką.

– Hej, Zet, daj spokój. Będzie tak, jak uzgodniłyśmy, zgoda?

Zu przycisnęła twarz do plecaka Pulpeta.

– To, co się przydarzyło twojemu znajomemu... Temu, który przywiózł cię do Kalifornii, było... – widziałam, jak Vida gryzie się w język i dobiera inne słowa – strasznie popaprane. Naprawdę bardzo, bardzo mi przykro, że tak to się skończyło. Ale ze mną i z Charliem będzie inaczej. Wrócimy. Żadne z nas cię nie zostawi. O rodzinę trzeba dbać, prawda?

Nie zdawałam sobie sprawy, że Liam ciągle trzyma mi dłoń na ramieniu, do chwili, kiedy ją zacisnął. Jego twarz miała kolor popiołu.

Zu uspokoiła się na tyle, by puścić Pulpeta i całkiem odwrócić się do Vidy.

– Możesz mi zaufać, Zet. Nie zawiodę cię. Obiecuję.

Dziewczynka pokiwała głową, wycierając twarz w rękaw. Vida wyciągnęła zaciśniętą pięść, żeby przybić ją z piąstką Zu, ale ta ją ubiegła i oplótła jej szyję chudymi ramionkami. Vida szepnęła jej coś na ucho tak cicho, że reszta z nas nie była w stanie nic usłyszeć. Kiedy Zu się od niej odsunęła, kiwała głową z wyrazem zapiekłej determinacji na twarzy. Następnie bez chwili namysłu odwróciła się i uściskała Pulpeta, grożąc Vidzie palcem, jakby chciała powiedzieć: „zachowuj się”.

– Już ci mówiłam, że dotrzymuję obietnic – skwitowała Vida i się podniosła.

Liam wystąpił do przodu i odprowadził Zu z powrotem w głąb korytarza, żeby nie musiała patrzeć, jak zatrzaskują się za nimi drzwi. Widziałam, jak dziewczynka się prostuje, zaciska dłonie w pięści i unosi brodę. Wyglądała zupełnie jak Vida, kiedy szykowała się do walki.

– Chodź, pójdziemy coś zjeść, zgoda? – powiedział do niej Liam i oglądając się przez ramię, rzucił do mnie: – Idziesz z nami?

Potrząsnęłam głową.

– Muszę wziąć prysznic i zająć się kilkoma sprawami. Dołączę do was później.

Liam pomachał mi na pożegnanie i ruszył z Zu w kierunku kuchni na dolnym poziomie.

– Dobra, co się dzieje? – zapytałam, zanim Cole i Nico zdążyli się odezwać. – Co się wczoraj wydarzyło?

– Lepiej będzie, jeśli sama zobaczysz. – Cole minął mnie i ruszył śladem brata w kierunku schodów.

Poszłam za nim bez słowa, przyglądając się ze ściśniętym żołądkiem wgapionemu w podłogę Nico. Coraz trudniej było mi udawać, że mnie nie obchodzi.

Weszłam do sali komputerowej po raz pierwszy, odkąd wyposażono ją w nowy sprzęt. W miejscu, gdzie do tej pory znajdował się laptop, teraz stało pięć komputerów stacjonarnych. Dodatkowo wzbogaciliśmy się w trzy srebrne laptopy, które leżały na ustawionych pod ścianą biurkach. Środek sali wciąż był wolny i przeznaczony do zebrania. Zauważyłam również drukarkę i skaner. Nico jak zwykle zajął miejsce z tyłu pomieszczenia, a Cole zrzucił wydruki niezrozumiałych kodów z jednego ze stojących obok krzeseł i mi je podsunął.

Wpisał hasło i na ekranie komputera pojawiło się okno zawierające kolejne ciągi kodu.

– Nie bardzo rozumiem, czemu sądziliście, że powinnam to zobaczyć – powiedziałam. – Co to takiego?

– To zapisy z naszego serwera – wyjaśnił Nico. – Wczoraj wieczorem zwolnił, więc postanowiłem sprawdzić, co się dzieje. To tutaj – wskazał na ekran – oznacza,

że ktoś przerzucił jeden z naszych plików na inny zaszyfrowany serwer.

– Co to był za plik? – zapytałam.

– Jedno z nagrań z eksperymentów w Thurmond – powiedział Cole.

– To nie wszystko – ciągnął Nico. – Są luki w zapisie aktywności serwera między północą a czwartą nad ranem w dwa różne dni.

– I to nie dlatego, że wszyscy spali i nikt nie używał komputerów? – Próbowałam zrozumieć.

Nico potrząsnął głową.

– Zostawialiśmy komputery włączone na noc, żeby przesłać wszystkie dane do odległych zapasowych serwerów, na wypadek gdyby nasze padły. Wykres aktywności powinien się bardzo wychylać, a zamiast tego, spójrz...

Linia wykresu rzeczywiście wychylała się od dwudziestej trzeciej, ale o drugiej nad ranem gwałtownie się urywała. Rejestrowana aktywność zaczynała się na nowo cztery godziny później, kiedy najprawdopodobniej Nico albo inny Zielony zalogował się, by zacząć pracę.

– Nie ma żadnego sposobu, by sprawdzić, kto to? – Wpatrywałam się w ekran, mrużąc oczy.

– To na pewno Zielony – powiedział Nico.

– To *b y ć m o ż e* Zielony – poprawił go Cole.

– Nie. – Chłopiec się upierał. – To musiał być Zielony. Ile dzieci wie, jak wymazać zapis aktywności serwera?

– Rozumiem – powiedziałam. To niestety miało sens. – Ale jeśli ktoś zadał sobie tyle trudu, by zatrzeć ślady wysyłania plików, to czy myślicie, że wpadka była celowa?

Nico wzruszył ramionami.

– Może ktoś przeszkodził tej osobie? Albo tak bardzo się spieszyła, że zabrakło jej czasu?

Cole zadał kolejne pytanie, ale szum krwi wypełniający mi uszy zupełnie je zagłuszył. Wpatrywałam się w ekran, mrugając, bo rozmazywał mi się w błyszczący kwadrat.

– ... myśli? – Cole dotknął mnie w ramię, by przyciągnąć moją uwagę.

Podskoczyłam.

– Wybaczcie – powiedziałam pospiesznie, ignorując ich zdziwione spojrzenia. – Jestem zmęczona. O co pytałeś?

– Według mnie jeden z komputerów po prostu miał usterkę albo serwer działa nieprawidłowo – stwierdził Cole ze zmartwionym wyrazem twarzy.

– Brzytwa Ockhama – powiedział Nico. – Należy robić jak najmniej założeń. Najprostsze rozwiązanie jest zazwyczaj właściwe.

– Nie mam pojęcia, co to za brzytwa, ale do kogo, do jasnej cholery, dzieci miałyby wysyłać dane? – Cole się oburzył. – Kto jest na tyle głupi, by próbować sprzedać informacje, ryzykując, że zostanie złapany i wsadzony do obozu?

– Czy to możliwe, żeby ktoś z bazy w Kansas zdalnie dobierał się do naszych plików? – zapytałam Nico.

Potrząsnął głową.

– To ktoś stąd.

Niech to szlag. Wymieniłam spojrzenie z Cole’em.

– Chciałbym wierzyć, że to jednorazowa sprawa. Ale nie przestawaj szukać. Daj mi znać, jeśli znów zdarzy się coś podobnego, dobrze?

Rozległo się pukanie w szyby okien okalających pomieszczenie i naszym oczom ukazała się ubrana na czarno Kylie z włosami związanymi w puchaty kok.

– Widzę, że pierwsze zespoły zaraz wyruszają na poszukiwania plemion w Montanie. Wy dwoje spróbujcie sprawdzić kamery, zgoda? – oznajmił Cole.

– Zaraz, zaraz! Wyruszają dziś rano? Skąd mają samochody? – zapytałam.

– Skorzystają z furgonetek, które Lee skombinował wczoraj do przewozu zaopatrzenia – wyjaśnił Cole i wstał, rozciągając się.

Ruszyłam za nim ku drzwiom, przysłuchując się jego rozporządzeniom dotyczącym jutrzejszego szkolenia i rodzaju broni, którą trzeba do niego przygotować, ale kiedy przekroczył próg, nie wyszłam za nim na korytarz.

Cofnęłam się do pomieszczenia, ponieważ kątem oka zauważyłam na ścianie białą tablicę. Ktoś, najpewniej Cole, nabazgrał na niej różne informacje takie jak:

współrzędne, liczebność obozów, liczba żołnierzy do nich przypisanych i inne szczegóły pochodzące z dokumentów Ligi. Wpleciono w nie dane z plików Clancy’ego, zobaczyłam też skrawki informacji o nadzorcach obozów rzucone jako luźne refleksje.

Widniał tam również schematyczny plan obozu Oaza. Moje imię zapisano obok hasła: „wpłyńcie na strażników odpowiedzialnych za komunikację”.

– Nie musisz ze mną zostawać – powiedział Nico. – Mogę to zrobić sam.

– Wiem. – Wzięłam do ręki wyschnięty marker i zaczęłam zapisywać na tablicy dodatkowe informacje o Thurmond, uzupełniając poszczególne części planu.

– To ty obmyślałaś tę strategię, zgadza się? Widać, że to ty. – Głos Nico wzbił się ponad pomruk otaczających nas urządzeń.

– Skąd wiesz?

– Jest trochę brawurowa. Sprytna, ale pomija wiele szczegółów.

– Czyżby? – rzuciłam oschle, obracając się do niego.

Nico nie patrzył na mnie i kulił ramiona. Wiedziałam, że byłam wobec niego okrutna. Miałam wrażenie, że otacza mnie okrąg o promieniu półtora metra, który chłopiec boi się przekroczyć. Musiałam walczyć z odruchem wzdrygnięcia się na samą myśl o tym, jak źle go traktowałam.

– Jak ty byś to zrobił? – Kiwnęłam brodą, wskazując na pustą przestrzeń pod słowem „Thurmond” i starając się nie myśleć o tym, jak bardzo ta nazwa onieśmiela nas oboje.

Spojrzał na mnie, a po upływie długiej krępującej minuty zrobił niepewny krok w przód.

– To, co ja myślę, nie ma znaczenia.

– Powiedziałaś, że nie przykładałam wagi do szczegółów. Co przez to rozumiesz?

Nico spuścił wzrok i przesunął butem po podłodze. Przez głowę przebiegło mi wspomnienie przezwiska, którym Vida ochrzciła Zielonych. W Bazie nazywała ich Skrzypkami, bo chodzili, ciągnąc za sobą stopy i skrzypiąc butami o podłogę.

– Plan wyzwolenia Oazy jest w porządku – powiedział w końcu. – Całość w obecnej formie ma ręce i nogi. Wnosząc po rozmiarze obozu, można założyć, że

napotkamy dwóch, najwyżej trzech nadzorców i bez problemu się domyślisz, który z nich jest odpowiedzialny za ochronę i uaktualnianie statusu w sieci. W Thurmond będzie inaczej.

Obserwowałam, jak wykręca sobie palce u rąk, wciąż nie mogąc się zdobyć, by na mnie spojrzeć.

– Na Wieży Kontrolnej będzie jakichś dwudziestu nadzorców. Tak wynika z plików Clancy’ego... – kontynuował. – Stoi w samym centrum obozu, co oznacza, że nawet jeśli uda się nam sforsować bramę, i tak będziemy musieli przebrnąć przez kolejne linie bunkrów, żeby do niej dotrzeć. Rezultat będzie taki, że zanim zajmiemy się stacjonującymi tam żołnierzami i nadzorcami, oni już dawno wezwą posiłki. Nawet gdybyś potrafiła ich wszystkich sobie podporządkować, i tak będzie za późno. Włączą Biały Szum i będzie po nas. Na terenie obozu znajdują się i główny generator mocy, i zastępczy, więc podejrzewam, że odcięcie prądu automatycznie uruchomi alarm w sieci wojskowej.

W ciągu dwóch minut Nico zdołał rozbić moją pewność siebie w pył.

– Czyli potrzebujemy większej grupy szturmowej, która będzie jednocześnie szybsza i po prostu wejdzie, zrobi co trzeba, i wyjdzie.

– Pomysł Liama, żeby spróbować skłonić rodziców, by odbili obóz, nie jest bez sensu – odpowiedział. – Sukces w tym przypadku zależałby w połowie od tego, czy będziemy w stanie poderwać cywilów do powstania i wyzwolenia obozów, a w połowie od reakcji SSP. Niewykluczone, że zaczną strzelać albo wymyślą coś innego, by ich odstraszyć.

– Liam ma gotowy plan?

– Nie do końca, ale słyszałem, jak kilkoro dzieci pyta go, co by zrobił. – Nico wzruszył ramionami. – Jego pomysł też nie jest idealny.

– Istnieje trzecia możliwość?

W końcu Nico nieśmiało i sztywno podszedł do mnie. Podałam mu marker, ale go ode mnie nie wziął.

– Jesteś pewna, że chcesz wiedzieć? – zapytał.

– Zamieniam się w słuch.

– Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to uniemożliwić strażnikom wejście do systemu... Nie chodzi mi o jego zepsucie czy rozstrojenie, ale zablokowanie im dostępu. System cały czas działałby tak, że nikt z zewnątrz niczego by nie zauważył. Można to osiągnąć, instalując trojana i zdalnie go kontrolując. Wprowadziłoby to straszne zamieszanie i tym samym ułatwiło zadanie zespołowi taktycznemu.

– Czy możemy to wgrać na ich serwer? – Liga wprawdzie wyszkoliła nas z podstaw technologii i działania wirusów, ale to wykraczało poza moją wiedzę.

– Nie. Takie programy nie instalują się automatycznie jak wirusy. Ktoś musi to zrobić. Biorąc pod uwagę procedury bezpieczeństwa stosowane w Thurmond, wątpię, by któryś z nadzorców tak po prostu otworzył pierwszy lepszy załącznik do e-maila.

– W takim razie ktoś musiałby wejść do obozu i zainstalować program przed atakiem. Tylko że przecież od lat nie przyjmują tam nowych dzieci.

– Ale uciekinierzy trafiają do obozów, do których ich początkowo zesłano – powiedział cicho. – Już zacząłem kodować trojana. Cole kazał mi...

Uniosłam dłoń, by mu przerwać.

– Cole już się na to zgodził?

Nico pokiwał głową z szeroko otwartymi oczami.

– Mówił, że porozmawia o tym z tobą. Program będzie gotowy w tydzień. Kiedy go zainstalujemy, już nic nie zrobimy.

Poczułam, jak przerażenie wysysa mi z serca całą krew.

– *N i e*. Nie ma mowy – powiedziałam wystraszona.

– Mówiłem o sobie – dodał pospiesznie. – Nie o tobie. Wniosę program na pendrivie w taki sam sposób, jak planujemy przemycić kamery do Oazy. W okularach. Widziałaś je? – Nico przeszedł na drugi koniec pomieszczenia i sięgnął po okulary w czarnych plastikowych oprawkach.

Musiałam się oprzeć o biurko, bo nogi miałam jak z waty.

– Nico, nie...

– Już wszystko zamontowałem. O, tu... – oznajmił, ignorując moje słowa i wskazując na dwie srebrne śrubki, które wyglądały, jakby scalały oprawki. – To jest kamera, a to zwyczajna śrubka. Musimy się postarać, żeby wyglądały tak normalnie

jak to tylko możliwe. Tommy stwierdził, że mu pasują, więc dostanie tę parę. Do Thurmond wezmę jakieś w grubszych oprawkach, złamię jeden z uchwytów i wstawię do niego maleńki dysk. Do wyboru mam to albo wszczepić sobie chip pod skórę. Obawiam się jednak, że w dalszym ciągu każdy przechodzi dokładną rewizję osobistą i rana na pewno zwróciłaby czyjąś uwagę.

– Nico! – przerwałam mu. – Posłuchaj mnie! *Nie!* Nie wrócisz tam za żadne skarby świata! Nawet gdyby znów cię tam zamknęli, jak niby dostałbyś się na Wieżę Kontrolną, żeby wgrać program? Nie byłeś tam po wprowadzeniu zmian. Po Thurmond nie można sobie tak po prostu chodzić bez nadzoru. Wszystko, co tam robisz, jest zaplanowane co do minuty. A poza tym Wieża to najbardziej strzeżony obiekt w całym obozie.

Milczał, zastanawiając się nad tym, co powiedziałam.

– Musiałbym przeanalizować grafik SSP i znaleźć moment, w którym mógłbym się wymknąć. Tak naprawdę nie ma znaczenia, czy po wszystkim mnie złapią, czy nie. Jestem na to gotowy. Dzięki temu... Po tym, jak Cate odeszła, nie mam już nikogo. A w ten sposób mógłbym się stać użyteczny. – Ściszył głos do szeptu. – Chciałbym zrobić to dla Jude’a.

Na te słowa wyprostowałam się jak struna i spojrzałam mu prosto w twarz.

– Chcesz narazić się na niebezpieczeństwo i postawić na szali własne życie? Co Jude by na to powiedział? Co powiedziałyby Cate? Przez ostatnie kilka tygodni nie byłam dla ciebie dobrym przyjacielem, ale Nico, przysięgam, że ci wybaczyłam. Uwierz mi. Naprawdę. Rozumiem, co się stało, i przepraszam, że tak cię traktowałam. Za bardzo wszystko analizowałam i nie byłam w stanie zobaczyć prawdziwego obrazu rzeczy. Błagam, posłuchaj mnie...

– W porządku – wychrypiał.

– Nieprawda! – Wręcz przeciwnie. Moje zachowanie wobec niego nie było w najmniejszym stopniu w porządku. Za wszystko go obwiniałam. Nienawidziłam go, bo nie potrafiłam funkcjonować, kiedy całą swoją energię wkładałam w nienawidzenie samej siebie. Próbowałam odgadnąć, co Jude by powiedział i zrobił w takiej sytuacji. Albo Cate, która przecież nieraz musiała go uspokajać, kiedy popadał

w manię prześladowczą, wszędzie węsząc jakiś spisek. – Możemy naprawić to, co się stało w Los Angeles. Byłam wściekła, cholernie wściekła, że on po prostu odszedł... Że nie zdołałam go ocalić. Powinnam była z tobą porozmawiać, pomóc ci albo przynajmniej spróbować zrozumieć twoje postępowanie. To ja wszystkich zawiodłam, ale łatwiej było mi zrzucić winę na ciebie. Przynosiło mi to ulgę. Prawda jest jednak taka, że wiedziałam, co potrafi Clancy. Powinnam była sprawdzić prawdziwość jego słów w inny sposób. Ale wiesz co? Jude i tak poszedłby z nami, nawet gdybym mu zabroniła.

– Był moim najlepszym przyjacielem – wybąkał Nico.

– Wiem... Ale z Clancym jest inaczej, prawda? – wymamrotałam. – Kiedy się kogoś kocha, zasady przestają obowiązywać. A ty go kochałeś. I to inaczej niż Jude’a, inaczej niż ja kocham Pulpeta.

Domyśliłam się od razu, kiedy zobaczyłam jego twarz we wspomnieniu Clancy’ego. Pełen cierpienia wzrok i gwałtowny szloch były jedynie niewielką częścią całości. Chodziło o sposób, w jaki Nico podtrzymywał przyjaciela, jak go karmił i mył, wkładając w to całą swoją czułość. *Dostrzegasz to w innych* – pomyślałam – *kiedy potrafisz rozpoznać to w sobie.*

– Ufałeś mu, a on wykorzystał twoje słowa, wykoślawił je i użył do własnych celów – ciągnęłam. – Byłam na ciebie strasznie zła, że mu uwierzyłeś, że dałeś mu aż tak wiele. Ale z doświadczenia wiem, że dla ukochanych osób jesteście gotowi zrobić rzeczy, o które nigdy byśmy się nie podejrzewali.

Nico schował twarz w dłonie. Cały się trząsł, wypuszczając z siebie powietrze.

– Nie chciałem wszystkiego zniszczyć – wyszeptał. – Ufałem mu. A tajne dane, które mu przekazałem... Przysięgał, że są mu potrzebne, by nam pomóc. Myślałem, że...

– Myślałeś, że zatrzyma nas w bezpiecznym miejscu – dokończyłam. – Wiem. Wygląda na to, że przez chwilę zachowywałeś się zupełnie jak ja.

– Nie rozumiem tego. Wiedziałem, że to niewłaściwe i złe, ale myślałem, że on jest dobry. Kiedy go poznałem, był dobry. Pomógł mi. Uogólniłem to założenie, wierząc, że jest taki dla wszystkich. Jedynym powodem, dla którego trafiliście do

Bazy, było to, że błędnie oceniłem sytuację. Nie wziąłem pod uwagę wszystkich pobudek, które nim powodowały. – Mówił teraz tak cicho, że musiałam się ku niemu pochylić, by go usłyszeć. – Nie zawsze był taki jak teraz. Coś w nim złamali.

– Przepraszam, że nie dałam ci szansy na wyjaśnienie. Że tak się zachowywałam i nie starałam ci się pomóc.

– Muszę to naprawić – powiedział drżącym głosem. – Muszę wyprostować pewne rzeczy. Nie mogę przestać myśleć o tym, co by było, gdyby... Vida twierdzi, że gdybyście nie wrócili, nie zdobylibyśmy informacji o sposobie leczenia, ale przecież i tak ich nie mamy, prawda? Wszystko na nic.

Jego słowa były jak cios w brzuch. Czułam, że oczy nabiegają mi łzami, i z trudem powstrzymywałam się od płaczu. Ból, który Nico w sobie nosił, nie miał dna. Jego życie było zbudowane na tragedii, na którą nawarstwiła się kolejna tragedia i jeszcze kolejna. A ja go ignorowałam. Karałam. Vida też się za bardzo nie starała. Cate odeszła. Nico nie miał nikogo, kto mógłby pomóc mu przez to przejść. Pozostawiliśmy go w morzu ciemności, nie rzucając mu nawet kamizelki ratunkowej.

– Możemy to naprawić. – Chwyciłam go za ramiona. – Wiem, że zrobiłeś już bardzo wiele, ale jeszcze dużo przed tobą. Znajdziemy inny sposób.

– Nie masz żadnego rozsądnego powodu, by mi zaufać.

– Może nie zauważyłeś, ale nigdy nie byłam dobra w słuchaniu głosu rozsądku.

– To prawda. To nie twój schemat postępowania. Jude to w tobie lubił. Twierdził, że wiesz, kiedy można złamać zasady, by pomóc innym. Mówił, że jesteś jak superbohater, bo zawsze starasz się czynić dobro, nawet jeśli szanse, że się uda, są marne.

– W schemacie postępowania Jude’a była przesada – stwierdziłam z nadzieją, że nie wyłapie zaczepki w moim głosie.

Nico pokiwał głową i kruczoczarne włosy opadły mu na twarz. Wyglądał na chorego. Ból wypełniał mu ciało, umysł i serce. Jego zwykle złotobrązowa skóra była tak blada, że miało się wrażenie, iż dusza opuściła jego ciało.

– Jude nigdy nie podejmował racjonalnych decyzji, ale się starał.

Starał się. Starał się z całych sił we wszystkim i ze wszystkimi.

– Ruby, jak wygląda przyszłość? Nie potrafię jej sobie wyobrazić. Wysiłam się, jak mogę, ale jej nie widzę. Jude mawiał, że jest jak szeroka droga tuż po deszczu.

Odwróciłam się do tablicy i wbiłam wzrok w widniejące na niej ośmioliterowe słowo. „Thurmond”. Chciałam odjąć mu mocy, chciałam, by przestało być nazwą miejsca i zamieniło się w coś innego. Są wspomnienia, które nas zniewalają i nękają tysiącem drobnych szczegółów. Wilgotne, chłodne wiosenne powietrze poprzecinane mieszaniną płatków śniegu i mżawki. Buczenie elektrycznego ogrodzenia. Ciche westchnienie, które wydawała z siebie Sam każdego ranka, kiedy wychodziłyśmy z bunkra. Pamiętałam drogę do Fabryki, tak jak się pamięta pochodzenie swoich blizn. Czarne błoto ochlapywało mi buty, chwilami przykrywając zapisany na nich numer. 3285. Nie imię.

Nauczyliśmy się zadzierać głowy, wyginać szyje, by spojrzeć ponad drut kolczasty owinięty wokół szczytu ogrodzenia. Gdybyśmy tego nie robili, szybko zapomnielibyśmy, że poza granicami zardzewiałej zagrody, w której stłoczono nas niczym zwierzęta, istnieje świat.

– Widzę ją w kolorach – powiedziałam. – Głęboki błękit zlewa się ze złotym i odcieniami czerwieni jak ogień trawiący horyzont jeszcze długo po zachodzie słońca. Jakby niebo chciało, żebyśmy nie byli pewni, czy słońce zaraz wstanie, czy właśnie zaszło.

Nico potrząsnął głową.

– Chyba wolę wizję Jude’a.

– Ja też – powiedziałam łagodnie. – Ja też.

Zostawiłam Nico, by mógł pracować, i poszłam na górę. Ledwie trzymałam w ryzach rozsadzającą mnie wściekłość. Zupełnie się nie przejęłam, że w biurze Albana oprócz Cole'a była też pani senator i że prowadzili poważną, cichą dyskusję. Kiedy przekroczyłam próg, eksplodowałam.

Senator Cruz skoczyła na równe nogi i przycisnęła dłoń do piersi. Cole tylko rozparł się na krześle i rzucił beznamiętnie:

– Powiedział ci.

– Tak, powiedział – warknęłam. – Jak mogłeś się na to zgodzić?

– Zamknij drzwi, Ruby! – Cole walnął pięścią w biurko, przerywając mi tyradę, zanim zdążyłam na dobre ją rozpocząć. Ku mojemu zaskoczeniu jego głos jednak natychmiast zmieknął i nabrzmiał bólem. – Zamknij – powtórzył.

Kopnęłam drzwi i zaplotłam ręce na piersi.

– Wysyłając go do Thurmond wydajesz na niego *wyrok śmierci* – stwierdziłam. – Nie poradzi sobie, a nawet jeśli istniałaby taka szansa, to skąd wiesz, że zamknęliby go w obozie, a nie wcielili z powrotem do programu badawczego Ledy?

– Program, w którym brał udział, został zakończony wkrótce po tym, jak wykradłem z laboratorium pendrive z danymi – odparł Cole.

– Nie ma innych?

– Nie miałaś nic przeciwko wysłaniu Tommy'ego i Pata do Oazy – przypomniała mi pani senator.

Ona też wiedziała?

– Nieprawda. Nie podoba mi się to. Ale ich zadanie polega jedynie na byciu oczami i uszami, a poza tym po dwóch dniach wyciągniemy ich stamtąd. Nico nie zdoła się wymknąć, by zainstalować program, a nawet jeśli jakimś cudem mu się uda, nie ma szans, by po wszystkim wy dostał się z Wieży.

– W takim razie co proponujesz? – zapytał Cole. – Zamieniam się w słuch.

Przypomniałam sobie, jak Zu zareagowała na wyjazd Pulpeta i Vidy – jak przerażenie oplotło ją lodowatymi odnóżami. Jeśli Nico się nie mylił i był to jedyny sposób, to... Wzięłam głęboki oddech i zacisnęłam dłonie w pięści. To musiałam być ja. Nico był obecnie zbyt kruchy i powrót do obozu by go zniszczył. Ja dałabym radę. Jeśli miało to pomóc tym, których kochałam, i dzieciom, które przyjdą na świat po nas, byłam gotowa przyjąć tę rolę.

Zabiją cię, pomyślałam. Clancy jasno mi powiedział, co zrobili z resztą Pomarańczowych. *Znowu będziesz musiała ich zwieść... Sprawić, by wzięli cię za Zieloną*. Potrząsnęłam głową, usiłując myśleć jasno. Ostatnia szansa. To był plan ostatniej szansy.

– Myślę, że powinniśmy wziąć pod uwagę pomysły Liama – powiedziałam. – Może moglibyśmy zadziałać bardziej okreśną drogą. Użyć mediów. Włączyć rodziców. Jeśli stracimy Graya z piedestału i odrzemy go z resztek zaufania, jakim ludzie wciąż go darzą, może uda się nam obalić rząd. Społeczność międzynarodowa nie może dłużej ignorować dowodów nadużyć i krzywd. Wkroczą...

– Skarbie, oni od wielu lat przymykają na to oko – oświadczyła senator Cruz. – Próbowali zrzucić paczki z darami nad krajem, ale obróciło się to przeciwko nim. Gray zagroził, że zestrzeli ich samoloty, jeśli kolejny raz wkroczą w naszą przestrzeń powietrzną. Nieraz próbowałam to zmienić, wierz mi.

– Musimy po prostu przedstawić im właściwy dowód – upierałam się. – Moglibyśmy się posłużyć słowami Lillian Gray na temat leczenia i przyczyn OMNI. Być może to przekonałoby ich, że mogą bez obaw interweniować i pomóc nam obalić prezydenta. Przecież historia zna przypadki tworzenia sił pokojowych.

– Zawarliśmy układ. Wyzwolenie Oazy w zamian za zaopatrzenie – napomniwała ostro senator Cruz, zwracając się do Cole'a. – Chcecie się z tego wycofać?

– Nie. Dałem pani słowo, że to zrobimy. – Cole uniósł obie dłonie w pojednawczym geście. – To naturalne, że przed tego typu operacją pojawiają się wątpliwości. Czy mógłbym porozmawiać z Ruby na osobności przez kilka minut?

Pani senator wstała sztywno, rzucając mi smutne spojrzenie, po czym wyszła z

pomieszczenia i mocno zamknęła za sobą drzwi.

– O co chodzi, perełko? – zapytał Cole. – Martwisz się czymś?

– Plan dotyczący Oazy jest w porządku, ale uważam, że powinniśmy zrewidować strategię ataku na Thurmond. Nico nie zniesie takiej presji, poza tym nawet nie mamy gwarancji, że znowu go tam zamkną. Nie musimy się zachowywać jak Liga i nastawiać wyłącznie na bezpośrednie uderzenie.

Cole wybuchł kpiącym śmiechem i kolejny raz zakołysał się na krześle.

– Wiesz, dlaczego rozwiązania siłowe stały się ogólnie przyjętą taktyką? Nie zawsze tak było. Alban przez wiele lat usiłował ujawnić prawdę o Grayu i warunkach życia w obozach. Próbował propagandy i bezpośredniej manipulacji emocjonalnej. Ale wszystko, co przedostawało się do opinii publicznej, trafiało w pustkę. Nie chodzi o to, że ludzie pozostawali obojętni. Dali się jednak wciągnąć w grę Graya, a on w kółko powtarzał, że jeśli wezmą dzieci z obozów, to one umrą. Żeby pomysł Liama wypalił, rodzice muszą chcieć się do nas przyłączyć. Ale jeżeli myślisz, że żołnierze SSP nie otworzą ognia do cywili, to grubo się mylisz, Ruby. Naprawdę grubo się mylisz.

– Nic takiego nie miało dotąd miejsca.

Metalowa szuflada skrzypnęła, kiedy ją otworzył, a następnie zamknęła się z trzaskiem. Cole wstał i zaczął rozkładać na biurku kartki papieru jedną po drugiej, tworząc z nich równe rzędy, co jeszcze potęgowało ponury przekaz widniejących na nich zdjęć.

Na fotografiach uwieczniono dzieci w cienkich uniformach obozowych w kolorach, jakie przypisywano poszczególnym zdolnościom. Co niektóre miały otwarte oczy albo zakrwawione, opuchnięte twarze. Kilkoro wyglądało, jakby spały.

U stóp wszystkich postaci widniał długi pusty rów.

– Skąd je wzięłeś? – wyszeptałam.

– Powiększenie opublikowało je kilka dni temu. Chyba nie muszę ci mówić, że nie są sfalszowane, choć poplecznicy Graya robią, co mogą, by zdyskredytować je w mediach.

Potrząsnęłam głową, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Chciałam się cofnąć,

ale nie miałam gdzie. Wydawało mi się, że ściany zaraz spadną mi na głowę, przewrócą się i rozsypią.

Musiałam wyjść. Dłonie miałam tak śliskie od potu, że nie mogłam otworzyć drzwi. Cole chwycił mnie za rękę, przyciągnął z powrotem przed biurko i zmusił, bym spojrzała na zdjęcia. Chciał, żebym naprawdę je zobaczyła, zapamiętała krew, kości i puste oczy.

– Z takimi ludźmi mamy do czynienia – powiedział. – To jest rzeczywistość. Nie zawahają się zabić każdego, kto sprzeciwi się ich rozkazom. Taką cenę zapłacimy, jeśli zaczniemy się wahać. Dlatego musimy walczyć. Rewolucje wygrywa się krwią, nie słowami. Te zdjęcia krążą w mediach od kilku dni. I jak zareagowali ludzie? Czy rozgniewali się na tyle, by powstać i wszcząć protesty? Nie. Ruby, nawet to nie wystarczyło. Wszyscy uwierzyli, że to falsyfikaty.

– Puść mnie! – Wyrwałam mu się, czując, jak podłoga faluje mi pod stopami. Jedna z twarzy... znałam tę twarz... Dziewczyna w zielonym...

– Nikt tego za nas nie robi, Ruby... Sami musimy stanąć do walki. To my musimy to skończyć. Przemoc przeciwko przemocy. Każda sekunda, którą tracimy na wracanie do tych samych kwestii i ich omawianie, mogłaby zostać wykorzystana na wyzwolenie dzieci z tego koszmaru. Jak myślisz, czemu tak skończyły? Zostały załuszczone na śmierć. Czy dlatego, że próbowały uciec? Zostały przyłapane na bójce? Może któremuś z żołnierzy puściły nerwy? Czy to w ogóle ma znaczenie?

O Boże. Czułam, że zaraz zwymiotuję. Przycisnęłam pięści do oczu, próbując sobie przypomnieć, jak to jest normalnie oddychać.

– Te zdjęcia zrobiono w Thurmond. To *Thurmond*. Ta dziewczyna w zielonym...

Cole ścisnął mnie mocniej. Miałam dziwne poczucie, że tylko dlatego jeszcze trzymam się na nogach.

– Znam ją – wybąkałam. – Nazywa się Ashley... Była jedną ze starszych dziewczynek w moim...

– W twoim Baraku – dokończył Cole. – Jesteś pewna? Może przyjrzyj się dokładniej?

Zrobiłam, co kazał, ale to nic nie zmieniło. Wiele lat mieszkałam z tymi dziewczynkami i znałam ich twarze lepiej niż swoją. Kiedy trafiłam do Thurmond, Ashley przebywała tam od ponad roku. Dbała o nas jak starsza siostra. Była miła. Była...

Martwa.

– Już dobrze – powiedział cicho Cole. – Przykro mi. Wierzę ci. Strasznie mi przykro. Gdybym wiedział, nigdy bym ci ich nie pokazał. Ten, kto sprzedał je ludziom z Powiększenia, nie zdradził, z którego obozu są dzieci.

Boże, ten rów. Świadomość tego, na co patrzyłam, przygniotła mnie. Wrzucali je do rowu? Taki miał być ich koniec? Po wszystkim, co przeszły, spotykało je coś takiego?

Za późno.

Taka była rzeczywistość Thurmond. Działaliśmy zbyt wolno i nie zdołałam dotrzeć tam na czas. Poczułam, jak do gardła podchodzi mi żółć. Wyrwałam się z uścisku Cole'a i upadłam na kolana. Ledwie dowlokłam się do kosza na śmieci, wymiotowałam wszystko, co miałam w żołądku.

Kiedy odzyskałam świadomość, Cole jedną ręką przytrzymał mi z tyłu włosy, a drugą masował plecy kolistymi ruchami. Oparta o plastikowy pojemnik poddałam się palącej potrzebie płaczu.

– Czy ta osoba powiedziała, co się wydarzyło? – Użyłam chusteczki, którą mi podał, by wytrzeć sobie usta. Kręciło mi się w głowie, jakbym zaraz miała stracić przytomność, i z wielkim trudem przychodziło mi opieranie się temu uczuciu.

– Wydano oświadczenie, w którym poinformowano, że jeden z żołnierzy stacjonujących w obozie przemycił do środka telefon komórkowy i zrobił te zdjęcia. Ruby, mam nadzieję, że się mylę, ale podejrzewam, że to zdarzenie nieprzypadkowo zbiegło się z zamknięciem obozu. Mają tam ponad trzy tysiące dzieci, a pozostałe obozy są małe i zatłoczone. Czy to możliwe, że starają się zmniejszyć populację, zanim się przeniosą?

– Już wcześniej mordowali dzieci. Te, które próbowały uciec... Pomarańczowych. Czerwonych, którzy nie dali się kontrolować. Jeśli raz się tego dopuścili, zrobią to znowu. Nie przestaną. Siedzimy na tyłkach w oczekiwaniu na jedną przydatną

informację, a tymczasem dzieci *u m i e r a j ą*. Nie możemy czekać na dowód. Nie w przypadku Thurmond. Musimy je stamtąd wydostać, i to *n a t y c h m i a s t*.

Teraz jasno i wyraźnie zobaczyłam przyszłość i nie były to ani droga, ani niebo, a już na pewno nic pięknego. Usłyszałam buczenie metalowego ogrodzenia pod napięciem. Ujrzałam błoto, deszcz i tysiące dni zlewających się w czarną rzekę.

Cole musiał to wyczuć, a potem zobaczyć na mojej twarzy, bo odchylił się w tył i w końcu mnie puścił.

– Będziemy potrzebować prawdziwych żołnierzy – powiedziałam. – Na pierwszy ogień muszą pójść wyszkolone siły.

– Zgadza się – przytaknął i odwrócił wzrok. – Harry zaproponował, że przyłączy się do naszej walki... W pierwszej chwili nie zamierzałem się zgodzić. Nie podoba mi się, że będę mu coś zawdzięczał, ale nie mamy ani chwili do stracenia. Nico ma rację. Jedynym sposobem, żeby zablokować obozowy system bezpieczeństwa, jest atak od wewnątrz. Sprawdzę, czy da się przekupić któregoś z ich ludzi. Ktoś przecież musi mieć jakieś dojścia...

– Nie – przerwałam spokojnie. – To muszę być ja. Muszę tam wrócić. Przypadkowy żołnierz może nawalić, wziąć łapówkę, a potem dać nadzorcom cynk o naszych zamiarach. Jeśli ma się nam udać, muszę to zrobić sama.

– Pozostali nigdy się na to nie zgodzą – stwierdził cicho, ale się nie sprzeciwił. Nie chciał mnie zatrzymywać.

– Wiem. Dlatego nie powiemy im, póki nie będzie to konieczne...

Przez kolejne kilka tygodni Ranczo zmieniło się nie do poznania.

Kylie i jej towarzysz wrócili zwycięsko z poszukiwania plemion, w przeciwieństwie do Liama, który choć dwukrotnie wypuszczał się w teren z nadzieją, że odnajdzie Olivie, za każdym razem wracał z niczym. Nawet jeśli był zły, że zmarnował czas i paliwo, zupełnie tego nie okazywał. W głębi duszy zastanawiałam się, czy przypadkiem nie wykorzystywał okazji, by na kilka godzin uciec od problemów. Być może po prostu zabierał Słodką Ritę na przejażdżkę w kierunku wschodzącego słońca i wracał tuż przed jego zachodem.

Nowi rekruci byli dość chętni do walki. Wszyscy z grupy pięciu Niebieskich, w

której skład wchodził Isabelle, Maria, Adam, Colin i Gav, należeli kiedyś do straży patrolującej East River i teoretycznie potrafili posługiwać się bronią. Istniał jednak pewien problem... Po wielu miesiącach spędzonych w dziczy wyglądali tak, jakby przetrwali uderzenie meteoru, a na dodatek słuchali wyłącznie rozkazów Gava, który nieszczególnie miał ochotę podporządkowywać się komukolwiek... A już na pewno nie „dorosłemu palantowi” takiemu jak Cole. Gav narzekał na zatłoczone sypialnie i niewyszukane jedzenie, którym się żywiliśmy, a nawet na zapach szamponu – niczym ekspert od kwiatowych woni. Był krępy, miał rumianą cerę i wydawał się wystarczająco wredny, by walczyć, ale pod warunkiem że będziemy go o to błagać.

Kariera Gava Upierdliwca szybko się jednak skończyła. Pewnego dnia Cole podniósł go za ramię, wywlekł z jadalni i zamknął się z nim na strzelnicy. Pięć minut i jeden stłumiony wystrzał później Gav wrócił jako miłośnik pracy zespołowej, a Cole wyglądał na o niebo mniej skłonnego do podpalenia dzieciakowi włosów.

Kolejne nowo przybyłe plemię stanowiła grupa Zielonych. Spędzali czas na krążeniu wokół komputerów, które stali mieszkańcy Rancza nagle zaczęli oblegać niezależnie od pory dnia czy nocy, zapewne po to, by powstrzymać przybyszów przed mieszkaniem w ich ustawieniach. Tylko jedna z Zielonych, dziewczynka imieniem Mila, zgłosiła się do zespołu taktycznego. Okazało się jednak, że muszę z nią pracować każdego ranka, by zapamiętała gesty oznaczające różne komendy i była w stanie poprawnie na nie zareagować.

Trzecia grupa pojawiła się dwa dni po plemieniu Zielonych i tym razem to oni znaleźli nas. Znaliśmy ich.

To Nico zauważył troje nastolatków krążących wokół baru na powierzchni. Podejrzewaliśmy, że najprawdopodobniej zwabił ich półksiężyc, który namalowaliśmy na zepsutych drzwiach. Kylie i Liam rzucili się do tunelu, żeby ich przywitać. Dopiero kiedy na ekranie komputera zobaczyłam, jak Liam klepie po plecach opalonego chłopaka z potarganą ciemną czupryną, rozpoznałam, kto to.

– Jacyś wasi znajomi? – Cole wyszedł z biura, kiedy cała piątka wracała tunelem, śmiejąc się i jeden przez drugiego zasypując lawiną pytań.

– Pamiętasz Mike’a – powiedział Liam, wskazując na chłopaka w czapeczce bejsbolowej.

Był szczuplejszy, niż zapamiętałam – przez trudy życia w drodze ubyło mu dobre pięć kilo. Rozpoznałam go jednak po nieufnym spojrzeniu, jakim mnie obrzucił. Chłopak sztywno skinął głową w moim kierunku, po czym się odwrócił, by wpaść w ramiona Lucy.

Widząc to, Cole zagwizdał cicho.

– Rozumiem, że nie darzy cię zbyt dużą sympatią.

– I *vice versa* – zapewniłam go. Mike nigdy mnie nie lubił ani mi nie ufał. Co więcej, do końca nie chciał dopuścić do siebie prawdy o Clancym.

– Ci dwaj to Ollie i Gonzo. Są braćmi – ciągnął Liam, wskazując na dwóch chłopaków stojących z boku. Jeden z nich, wydaje mi się, że Gonzo, trzymał dłoń na prowizorycznym nożu wykonanym z kawałka szkła, patyka i materiału. – Chodziliśmy razem w patrolu. Jesteście głodni? Kolacja pewnie zaraz będzie gotowa...

Złapałam go za ramię, zanim ich odprowadził.

– Nie możesz im powiedzieć o Clancym.

– Już to zrobiłem – wydukał niepewnie. – Nie mają nic przeciwko temu, o ile pozostanie w zamknięciu.

– Jeśli będą go szukać...

– Nic takiego się nie stanie. – Liam uwolnił się z mojego uścisku. – Nie przyszli tu dla niego.

Chciałam zapytać, co dokładnie chciał przez to powiedzieć, ale nie zdążyłam, bo puścił się biegiem, by dogonić pozostałych. Zu, która snuła się w pobliżu, podeszła i spojrzała na mnie pytająco.

– Powiem ci później – obiecałam. Nie mieliśmy czasu. Ja nie miałam czasu na rozmyślanie o Liamie, nie wspominając o ciągłym łażeniu za nim do garażu, gdzie się zaszywał.

Dwa i pół tygodnia przed 1 marca, dokładnie dzień po tym, jak Zieloni dopracowali kamery wmontowane w okulary, Kylie wywiozła Tommy'ego i Pata z Kalifornii. Z samego rana ruszyli bocznymi, mało uczęszczanymi drogami, aż dojechali do Elko w Nevadzie. Miasteczko znajdowało się w bezpośrednim

sąsiedztwie obozu Oaza i składało się z paru domów zalanych przez piekące pustynne słońce. Chłopcy spędzili kilka kolejnych dni, włócząc się po jego obrzeżach. Pojawiali się i znikali, skutecznie wzbudzając podejrzenia, aż w końcu jakaś chciwa dusza zgłosiła ich dla nagrody. Nie obyło się bez momentów grozy. Przez chwilę wydawało się, że żołnierze, którzy ich schwytali, wywiozą chłopców poza granice stanu, do Wyoming, ale w ostatnim momencie zmienili trasę.

Okulary wszystko rejestrowały. Mieliśmy obraz jak z pierwszego rzędu w kinie. Obserwowaliśmy, jak jadą przez pustynię, docierają do Oazy i idą korytarzem z wieloma drzwiami po bokach. Patrzyliśmy, jak żołnierze szarpią chłopców i jak jeden z funkcjonariuszy, wpychając ich do celi, trochę po to, by się popisać, uderza Tommy'ego na tyle mocno, że strąca mu z nosa okulary. Zapisywaliśmy pory posiłków, gaszenia świateł, zmiany wart i dopasowywaliśmy nazwiska z list SSP do twarzy, które widzieliśmy.

Po jednym dniu dysponowaliśmy już obrazem całego obozu. Był to dwupiętrowy budynek skrywający się za wysokim ogrodzeniem pod napięciem, otoczony skrawkiem ogrodu, nad którym rozwieszono nieprzepuszczające słońca płachty zasłaniające widok z góry.

Wiedzieliśmy, że cotygodniowe dostawy zaopatrzenia przybywają tu o 4.30 rano w każdy piątek. Ich nadejście każdorazowo oznajmiał ryk silników i grzechot opon mielących żwir.

– Baterie w kamerach wkrótce się wyczerpią – ostrzegął Nico.

– Czy nagrania są gdzieś zapisywane? – zapytał Liam, stając za nim, obok widocznie oszołomionej pani senator.

Nico odwrócił się na krześle.

– Tak, czemu pytasz?

Liam wbił wzrok w podłogę.

– W razie, gdybyśmy musieli do nich wrócić, kiedy już dopracujemy plan i ramy czasowe głównego ataku.

– Pozostało nam jedynie wszystko przeciwżyć – powiedział Cole. – I czekać.

Cztery dni czekania.

Cztery dni szkolenia z podstaw samoobrony.

Cztery dni przypominania dzieciom, żeby nie odbezpieczały broni, póki nie będą gotowe strzelać, żeby trzymały nerwy na wodzy i by używały swoich zdolności, zanim choćby pomyślały o pociągnięciu za spust.

Przerabialiśmy całą akcję już trzeci dzień. Pierwszy z nich minął w miarę gładko. Dzieci z grupy szturmowej, a przynajmniej te, które były w East River, miały doświadczenie w napadaniu na duże ciężarówki na autostradach. Robiły to wiele razy, żeby zrabować zapasy żywności. Jedyne problem tkwił w tym, że trzeba było w kółko im przypominać, by tym razem nie zniszczyły pojazdu.

Zaciągnęłam pasek od hełmu bojowego tak mocno, że poczułam, jak wrzyna mi się w delikatną skórę pod żuchwą, a następnie przykucnęłam. Wdychałam czyste, chłodne lutowe powietrze. Byłam na zewnątrz pierwszy raz od, o ile dobrze pamiętałam, miesiąca, ale i tak zakazano mi oddalać się od bramy garażu.

Niemal pół dnia zabrało nam jego opróżnienie. Musieliśmy tymczasowo wyprowadzić na zewnątrz samochody, motor, wynieść większe meble oraz skrzynie. Zobaczyłam, jak Liam odchyła się w tył, jakby sprawdzał, czy wciąż stoją po drugiej stronie budynku, tam, gdzie je zostawiliśmy. Nie potrafiłam dziś wyczuć jego nastroju, który zdawał się zmieniać z minuty na minutę.

Dzieci za moimi plecami tworzyły chaotyczną zbitkę czarnych uniformów. Każdy z mundurów został odnaleziony, przytransportowany do bazy i specjalnie skompletowany przez Liama i pozostałych odpowiedzialnych za zaopatrzenie. Wiedziałam o tym, ponieważ wszystkie przypominały te noszone przez żołnierzy SSP. Całość dopełniały karabiny maszynowe w ich dłoniach. W ciągu ostatnich trzech dni wszyscy spędzili wiele godzin na prowizorycznej strzelnicy, którą urządziliśmy. Dźwięk świszczących kul hartował moje nerwy bardziej, niż się spodziewałam. Zawijając czarne bojowe buty, zaciągając paski od kabury i pasa na amunicję, czułam się, jakbym na nowo wkładała skorupę, którą zrzuciłam, kiedy odeszłam z Ligi. Leżała jak ulał. Uspokajała mnie – jej ciężar sprawiał, że pewniej czułam grunt pod stopami.

Liam poprawiał pasek karabinu. Położył mi rękę na ramieniu, aby nie stracić równowagi. Po raz dziesiąty tego dnia poczułam, jak moja klatka piersiowa się

kurczy, i ścisnęłam mocniej broń. Pomyśleć, że kiedyś bałam się, iż pobyt w Lidze Dzieci zniszczy Liama i zabije mieszkające w nim dobro. A teraz sama ciągnęłam go w ogień walki.

– *Do ataku!*

Rzuciliśmy się pędem ku bramie pchani buzującą energią i wpadliśmy do garażu. Odliczałam w głowie sekundy, czując, jak skacze mi poziom adrenaliny. Krocący przede mną Niebiescy Josh i Sarah unieśli do oczu celowniki karabinów i weszli do prowizorycznego korytarza, który stworzyliśmy z palet, pozorując rozkład dolnego poziomu Oazy. Oboje wyciągnęli dłonie w kierunku Zu i Hiny stojących na końcach niczym strażniczki, na co dziewczynki z pełnym zaangażowaniem udały, że zostały odrzucone w tył. Liam roześmiał się za moimi plecami, a ja cała się zjeżyłam.

– Stop! – zawołał Cole obserwujący akcję z drabiny. – Dziewczyny! Musicie podejść do tego poważnie, inaczej znajdę kogoś innego na wasze miejsce. Nie mamy czasu, żeby się wydurniać. Musicie działać szybciej. Zrozumiano?

Zu i Hina skurczyły się na dźwięk jego ostrych słów, ale pokiwały głowami.

– Od początku – rozkazał Cole. – Wszyscy na pozycje startowe. Liam, tym razem zamień się miejscami z Zachem. Tak, Zach, będziesz zaraz za Ruby. Lucy, wylatujesz. Ty też, Mila. Przykro mi, moje panie, ale nie nadajecie się do tej akcji. Gonzo i Ollie zajmą wasze miejsca.

Liam otworzył usta, ale ugryzł się w język. Szybko skinęłam głową na znak, że wszystko w porządku. Cole dokonywał ulepszeń i zamian od dwóch dni, starając się jak najbardziej usprawnić zespół. Było coraz lepiej, ale akcja rodziła się w bólach, a po każdym dniu dudniło mi w głowie.

Oddałabym wszystko, by mieć u swego boku Vidę. Codziennie pytałam Nico, czy nie aktualizowali swojego statusu, ale ostatni raz odezwali się, by dać znać, iż dojechali bezpiecznie do Kansas.

– *Do ataku!*

I przedstawienie zaczynało się od nowa.

Wkraczaliśmy do garażu po dwie osoby. Po mojej lewej Gav z jękiem upadł na kolano. Udawał, że osłania Josha i Sarah, podczas gdy oni udawali, że krępują ręce i

nogi Zu oraz Hinie.

– Pamiętajcie, że macie być tak cicho, jak to tylko możliwe! – krzyczał Cole, przykładając dłonie do ust. – Nie strzelajcie, chyba że od tego będzie zależało wasze życie! Obezwładnijcie żołnierzy bezszelestnie, żeby nie zaalarmowali innych!

Ruszyliśmy naprzód. Zach osłaniał mnie, a ja wskoczyłam w przerwę między paletami imitującą pomieszczenie centrum zarządzania. Wyciągnęłam dłoń w stronę Lucy, która teraz odgrywała rolę nadzorcy zarządzającego systemem bezpieczeństwa. Na mój widok zrobiła duży krok w tył, otwierając szeroko oczy, jakby naprawdę się wystraszyła. Ścisnęło mnie w żołądku.

Tymczasem Zach zajął się poskramianiem drugiego „nadzorcy”. Następnie przeszliśmy na tyły i dołączyliśmy do pozostałych, którzy zmierzali ku przeciwnemu końcowi korytarza, by wspiać się po nieistniejących schodach. Liam mruknął coś pod nosem, na co Mike, Gonzo, Ollie i Sarah parsknęli śmiechem.

– Stop! – krzyknął Cole. – Lee, wylatujesz. Ty też, Mike.

Liam obrócił się jak rażony piorunem, z wyrazem totalnego niedowierzania na twarzy.

– Co takiego?

Cole powoli, jakby mówił do kogoś, kto niedosłyszy, powtórzył:

– Liam, *wylatujesz*.

– Niby za co, do cholery?! – Liam odwrócił się do mnie i zaczął wymachiwać rękami, prosząc mnie o coś, czego nie miałam zamiaru robić.

W chwili, kiedy Cole wypowiedział te słowa, załapała mnie fala ulgi. Liam spochmurniał i kręcąc głową, zwrócił się z powrotem do brata:

– Dlaczego? Robię wszystko, co każesz. Zarówno ja, jak i Mike mamy doświadczenie w napadach na ciężarówki. Więc *dla czego?*

Pozostałe dzieci zaczęły przestępować z nogi na nogę, odwracając wzrok. Napięcie płynnie przechodziło z niezręcznego w bolesne.

Cole zeskoczył z drabiny i powiedział:

– Ponieważ stwierdziłem, że dwanaścioro członków zespołu to za dużo... Prawie się o siebie potykacie. Musimy wejść i wyjść szybciej i ciszej. Jeśli bierzesz to do

siebie, to jesteś idiotą.

– Akurat! – Liam oparł ręce na biodrach. – Po prostu chcesz się mnie pozbyć.

– Takie nastawienie działa na twoją niekorzyść, braciszku. – Cole wyciągnął przed siebie rękę. – Oddaj hełm i broń. Idź gdzieś ochłonać. Mike, będziesz udawał dodatkowego żołnierza... Trzecie drzwi po prawej stronie. Tak, właśnie tu...

Liam zerwał sobie pasek od karabinu z ramienia i wcisnął broń w pierś brata, po czym odpiął hełm i pozwolił mu spaść na ziemię. Następnie odwrócił się na pięcie i ruszył do wejścia do tunelu wyprostowany jak struna i sztywny z wściekłości.

Wyciągnęłam palec w kierunku Cole'a i nie czekając, aż się sprzeciwi, poszłam za Liamem. Gdy go dojrzałam, był już dobre kilka metrów za progiem.

– Hej! – zawołałam.

Liam zastygł, ale się nie odwrócił. Odpięłam hełm i powoli ruszyłam ku niemu. Rozpoznawałam czerwone plamy, które pojawiły się na jego karku, i sposób, w jaki zaciskał dłonie w pięści tak mocno, że wybrzuszało mu żyły na przedramionach.

– Liam, spójrz na mnie – powiedziałam łagodnie.

– Czego chcesz? – warknął, chwytając się za uniform. – To też mam wam oddać?

– Uspokój się. Przykro mi, ale przecież wiesz, że tak to działa.

– Niby jak? Chodzi ci o to, że w milczeniu przyglądałaś się, jak mnie wywala, jakby posyłał dziecko do kąta?

Wydałam z siebie pomruk frustracji.

– Musimy go słuchać. Potrzebujemy jakiegoś porządku, ram. W przeciwnym razie to wszystko się rozpadnie.

Liam patrzył na mnie, a niedowierzanie na jego twarzy zamieniło się w ironię.

– Rozumiem. Uwierz mi, Ruby, wszystko rozumiem – rzucił i ruszył przed siebie.

Kiedy sześć godzin później po skończonym treningu wracaliśmy jedno za drugim do środka, Liama już dawno nie było. Zu czekała na mnie w sypialni, ściskając w dłoniach złożoną kartkę papieru. Obserwowała mnie, kiedy czytałam. Jej wzrok przyprawiał mnie o ból serca.

„Szukam Liv. Powodzenia”.

Nie byłam zła. Byłam wściekła.

– Wyszedł, nie biorąc ze sobą żadnego wsparcia. Kolejny raz! – powiedziałam, zrzucając mundur i wkładając podkoszulkę. Zu zdążyła się już przebrać w za duży T-shirt i bokserki, w których spała. – Nie wierzę!

Moja mała przyjaciółka pokiwała głową i wyciągnęła ku mnie swój notatnik. Na jednej stronie widniało: „Co się dzieje?”, a na drugiej: „Czemu się tak kretyńsko zachowujecie?”.

– Czy to Pulpet kazał ci mnie o to zapytać?

Zu wróciła do poprzedniej strony i dwukrotnie podkreśliła zapisane na niej pytanie.

– To tylko nieporozumienie – zapewniłam ją, choć to małe kłamstwo od razu zaczęło mnie uwierać. Włożyłam sfatygowaną koszulkę i dres i usiadłam obok niej na łóżku. – Wygląda na to, że śpimy tu dziś tylko we dwie.

Położyłam się na plecach, a Zu poszła w moje ślady. Byłam wdzięczna za to, że czuję obok jej ciepło, jej obecność, które zdawały się osładzać każdą gorzką sytuację. Po odejściu Liama przez resztę ćwiczeń czułam się, jakby ktoś chodził po moim grobie. Za nic nie mogłam się pozbyć tego uczucia.

Zu znowu podniosła długopis i napisała: „Wszystko w porządku?”.

– Bywało lepiej – przyznałam.

„Ciągłe wracasz do ponurego miejsca w swoim wnętrzu. Ja też takie mam. Jeśli zostaję tam zbyt długo, nie mogę się wydostać”, dodała.

Zmieniłam pozycję, żeby móc objąć ją ramieniem i przysunąć bliżej.

„Nie musisz chodzić tam sama... – Zrobiła pauzę, jakby musiała zebrać myśli. – Pamiętasz, jak tuż przed opuszczeniem East River powiedziałam, że chcę ci coś wyznać, ale nie wiem jak?”

– Pamiętam. – Wracanie do tamtego dnia było jak oranie sobie serca paznokciami.

„Tak naprawdę nie chodziło o to, że nie wiedziałam jak... Chciałam znaleźć lepsze słowa. Może piękniejsze. Ale Lee powiedział mi, że to nie ma znaczenia i że czasem im prościej, tym lepiej”. Przewróciła stronę, szybko pisząc kolejne słowa. Chrobot długopisu przesuwającego się po papierze był dziwnie uspokajający. „Nie ma znaczenia, co zrobisz. Nic nie zmieni tego, co do ciebie czujemy. Jestem dumna,

że mogę być twoją przyjaciółką”.

Wbiłam w nią wzrok, przełykając węzeł, który ścisnął mi gardło.

– Dziękuję. To samo czuję do was. Dzień, w którym was spotkałam, to najszczęśliwszy dzień w moim życiu. Sama widziałas, jaka byłam przerażona...

„To nie dlatego, że byłaś przerażona – napisała, po czym pośpiesznie dodała: – No, może trochę... Wiesz, dlaczego byłam pewna, że mogę ci zaufać?”

Potrząsnęłam głową zafascynowana, że tak bardzo się przede mną otwiera.

„Kiedy ludzie, którzy cię śledzili, podeszli naprawdę blisko, byłaś gotowa ponownie rzucić się do ucieczki, zamiast schować się za Betty. To dlatego, że nie chciałaś, by przez przypadek trafili na mnie, prawda?”

– Prawda.

Rozłożyła dłonie, jakby chciała powiedzieć: „no widzisz”, po czym znowu chwyciła długopis. „Dowodłaś tym, że nigdy z własnej woli nie narazisz nas na niebezpieczeństwo. Że masz dobre serce”.

– To bardzo daleko idący wniosek. Nie przyszło ci do głowy, że po prostu spanikowałam i zupełnie nie wiedziałam, co zrobić?

Zu lekko wzruszyła ramionami. „Lepiej zaryzykować i komuś pomóc, niż żałować, że się tego nie zrobiło. Lee tak powiedział”.

– Cały Liam – odparłam oschle. To właśnie dlatego ja i Pulpet musieliśmy być tak czujni wobec każdego nowego dziecka, które napotkaliśmy na drodze.

„Kłóćcie się z Lee o wymazane wspomnienia?”

Pięknie. Ciekawe, kto się wygadał.

– Niezupełnie – rzuciłam. Tak naprawdę jednak nie wiedziałam, o co dokładnie nam chodzi. O to, że nie zachowywaliśmy się wobec siebie jak prawdziwi przyjaciele? Że przestaliśmy być dla siebie tym, kim byliśmy wcześniej? – To skomplikowane. Po tym, co mu zrobiłam, nie jest nam łatwo. Biorę na siebie całą odpowiedzialność, ale...

„Myślisz, że ci nie wybaczył”. Zu jak zawsze trafiła w samo sedno problemu.

Z ociąganiem sięgnęłam za nią i zdjęłam z komody płytę Beach Boysów. Niewielka kartka papieru zrobiła się miękka i zaczynała się przedzierać na środku, bo

nieustannie ją rozkładałam i składałam. Nie wiem dlaczego, ale czułam przymus, by czytać ją każdego wieczoru i sama siebie karać.

Zu przeczytała liścik i zmarszczka między jej ciemnymi brwiami jeszcze się pogłębiła. Widziałam, że rozpoznała jego charakter pisma, ale kiedy podniosła na mnie oczy, zobaczyłam w nich dezorientację i pytanie.

– Co? – wybąkałam.

„I czego to niby dowodzi?”

– Sam fakt, że czułam, iż musi coś takiego napisać, to całkiem poważny dowód... On się boi, że zrobię to znowu. Że odbiorę mu wspomnienia. Że go zostawię.

Zu spokojnie złożyła świstek, po czym trzepnęła mnie nim łobuzersko w nos z miną, jakby chciała powiedzieć: „Co ty wygadujesz?”.

Widząc, że ciągle jej nie rozumiem, znowu podniosła notes i długopis.

„*Być może* napisał to, bo bał się, że ktoś inny każe ci to zrobić, na przykład jego brat. Liam twierdzi, że chce tu zostać. Oznacza to, że tak jest naprawdę i że pragnie być z tobą i z nami bez względu na to, co się wydarzyło. Zapytałaś go o to? Wie, że to masz? – Po tych słowach spojrzała na mnie zupełnie inaczej. – Nie powinnaś przywłaszczać sobie rzeczy, które do ciebie nie należą”.

– Nie rozmawiałam z nim o tym – przyznałam.

„A to przegapiłaś?” Wskazała na ostatnią linijkę.

Potrząsnęłam głową, z trudem przełykając ślinę.

– Nie. Widziałam to.

Zu przypatrywała mi się przez chwilę. W jej przenikliwych ciemnych oczach migotało zrozumienie. „Czujesz, że nie zasługujesz na jego miłość?”

– Myślę, że on... Myślę, że Liam zasługuje na coś dużo lepszego niż to, co mogę mu dać. – Pierwszy raz przyznałam się do tego na głos. Wyrzucenie tych obaw na zewnątrz zdawało się jednak dodawać im ciężaru. Dostałam mdłości i zakręciło mi się w głowie.

Liam zasługuje na kogoś lepszego.

Zu wyglądała na rozdartą między potrzebą wymierzenia mi kopniaka a zamknięciem mnie w mocnym uścisku, ale w końcu zdecydowała się na to drugie. Za

późno zdałam sobie sprawę z tego, jak moja otwartość na nią wpłynie... Nie pomyślałam, jak zareaguje ktoś tak wystraszony, widząc, że osoba, którą uważa za swoją opokę, rozsypuje się na kawałki.

„Kiedy wróci, porozmawiasz z nim, zgoda?”

– Zgoda – powiedziałam, choć nie podzielałam jej pewności, że Liam w ogóle będzie chciał ze mną rozmawiać.

„Jeśli znowu wrócisz do ponurego miejsca – napisała najzwyczajniej w świecie – powiedz komuś z nas, żebyśmy mogli ci pomóc się stamtąd wydostać”.

– Nie chcę być dla was obciążeniem – wyszeptalam.

Od początku chciałam jedynie was chronić.

„To nie jest obciążenie, jeśli ludzie są gotowi pomagać”, zauważyła, po czym pozwalając, by były to jej ostatnie słowa, po prostu zasnęła.

Obróciłam się na bok, próbując zrobić to samo.

W końcu musiało mi się udać, bo znów przemierzałam wilgotne, ciemne korytarze Bazy, kierując się do zagraconego biura Albana ze wzrokiem wbitym w zwisające z sufitu gołe żarówki. Chwilę później przeniosłam się jednak do innego korytarza. Pod stopami miałam zimną podłogę, a koszulkę ścisnęły mi dziecięce piąstki.

Szarpnęło mnie. Mój umysł wyrwał się z mglistych sennych oparów, otworzyłam oczy i napotkałam przerażony wzrok Zu. Światła w korytarzu na dolnym poziomie były wyłączone jak zwykle po północy. Dziewczynka stała przede mną pośród cieni, a dezorientacja na jej twarzy ustępowała miejsca trosce. Niepewnie ruszyła ku mnie, marszcząc brwi. Sięgnęła do dłoni, którą przyciskałam sobie do serca, usiłując je uspokoić.

– Przepraszam – wybąkałam. – Wybacz, lunatykuję. To stres... – Mój język nie chciał się układać tak, bym mogła wypowiedzieć właściwe słowa, ale Zu zdawała się rozumieć, co chcę jej przekazać.

Chwyciła mnie mocno za rękę i zaprowadziła z powrotem do sypialni, pilnując, bym się nie potknęła.

Byłam tak nieprzytomna, że niemal odpływałam, a kiedy wdrapywałam się do

łóżka, walnęłam kolanami o jego metalową ramę. Ostatnie, co zapamiętałam, to Zu głaskająca mnie po włosach – gładziła je i gładziła, aż w końcu ból rozsadzający mi czaszkę złagodniał i znowu mogłam normalnie oddychać.

Nad ranem zespół szturmowy, a w nim ja, wyruszył ku pustyniom Nevady.

Przyciskałam brzuch do ziemi, ignorując ciągnący ból mięśni w lędźwiach. Zdawało mi się to nienaturalne, że pustynia jest tak przeraźliwie zimna, ale słońce jeszcze nie wzeszło, a nie rosły tu gęste liściaste drzewa ani krzewy, nic, co mogłoby zatrzymać ciepło poprzedniego dnia. Za naszymi plecami wznosiły się bezimienne góry, zarysowane jaśniejszym z dwóch głębokich odcieni czerni. Godziny mijały, a ja wciąż oglądałam się za siebie i obserwowałam, jak ich postrzępione granie robią się coraz wyrazistsze i nabierają koloru świeżego sińca. Oprócz pożółkłych, zeschniętych kęp niskich kłujących krzaków wokoło nie było nic, na czym można by zawiesić wzrok.

– Co to? – dobiegł mnie głos Gava. – Czy to grzechotnik? Słyszałem grzechot.

– To ja piłem z bidonu, ośle – warknął Gonzo. – Wyluzuj, stary! Zostawiłeś jaja w Kalifornii?

Uciszyłam ich, a po chwili musiałam zrobić to znowu, kiedy jedna z dziewczyn zaczęła narzekać, że chce jej się sikać.

– Mówiłam ci, żebyś tyle nie piła podczas jazdy – odezwała się Sarah. – Nigdy mnie nie słuchasz.

– Wybacz, że nie jestem pieprzonym leniwcem.

– Chyba *w i e l b ł q d e m* – poprawiła ją Sarah.

– Właśnie że leniwcem – odparowała dziewczyna. – Czytałam gdzieś, że załatwiają swoje potrzeby tylko raz w tygodniu.

Przewróciłam oczami i wzniosłam je ku niebiosom z prośbą, by zesłały mi siłę. Zastanawiałam się, czy tak codziennie czuła się Vida.

Status? W moim uchu rozległ się głos Cole’a.

– Taki sam jak przed godziną – powiedziałam, przyciskając słuchawkę. – Nic się nie dzieje, odbiór.

Przyjechaliśmy na to pustkowie dwoma furgonetkami międzystanową

osiemdziesiątką. My wyskoczyliśmy na poboczu, a Lucy i Mike zawrócili, by odstawić auta z powrotem do Lodi. Razem z Cole'em obraliśmy ten punkt na autostradzie ze względu na jego usytuowanie względem obozu. Znajdował się od niego na tyle daleko, że prawdopodobieństwo, iż ktoś zauważy dwa auta zatrzymujące się na krótką chwilę, było bardzo niewielkie. Jediną osłoną, którą tu znaleźliśmy, był rów biegnący wzdłuż splekanego asfaltu. Schowaliśmy się w nim i czekaliśmy skuleni.

Po kolejnych dziesięciu minutach moje uszy w końcu wychwyciły odległy, cichy pomruk silników. Wiedziałam, że dobrze słyszę, bo pozostali również zaczęli się wiercić i wyglądać z rowu. Kilka sekund później naszym oczom ukazały się pierwsze strużki światła reflektorów, które rosły i stawały się coraz intensywniejsze, przecinając ciemność.

Spojrzałam w głąb rowu i dostałam potwierdzenie w postaci trzech mignięć latarką. To Ollie, który zaszył się z dala od nas, by móc dla pewności sprawdzić oznaczenia na pojazdach. Były właściwe.

Zach klepnął mnie w plecy, uśmiechając się z ekscytacją. Miałam wrażenie, że przez ciało przebiega mi prąd, ale odwzajemniłam uśmiech i wstałam.

Wyszłam na sam środek drogi i wlepiłam wzrok w zbliżającą się półciężarówkę. Kiedy reflektory mnie oślepiły, wyciągnęłam do przodu drżące ręce. Nie widziałam dokładnie kierowcy za przednią szybą, ale zdołałam dojrzeć, że zamierza się, by nacisnąć klakson. Na oślep wyrzuciłam ku niemu niewidzialne macki swojego umysłu i rozwijałam je coraz dalej i dalej, aż w końcu dosięgnęłam jego świadomości.

Ciężarówka zatrzymała się metr ode mnie.

Po mojej lewej zapanowało poruszenie i po chwili nasz chaotyczny zespół bojowy wygramolił się z rowu i ruszył na tyły pojazdu, by otworzyć przyczepę i wskoczyć do środka.

Przycisnęłam słuchawkę i pobiegłam ku drzwiom od strony pasażera.

– Złapaliśmy okazję, odbiór.

Fantastycznie. Przejdźcie do fazy drugiej, nakazał Cole.

Kierowca siedział za kółkiem jak sparaliżowany, czekając na moje instrukcje.

Przeszukałam jego wspomnienia i wybrałam jedno z minionego tygodnia, w którym wwoził do obozu identyczny transport. Umieściłam je z przodu jego świadomości i powiedziałam tylko:

– Ruszaj.

Przykucnęłam tak nisko, jak tylko mogłam, i zsunęłam sobie na twarz czarną kominiarkę. Raz po raz wychylałam się, by spojrzeć ponad deskę rozdzielczą i sprawdzić, czy jedziemy we właściwym kierunku. Kierowca głośno słuchał rapu. Muzyka była tak gniewna i dudniąca, że nie wytrzymałam i sięgnęłam, by wyłączyć odtwarzacz, przez co przegapiłam chwilę, kiedy na widoku pojawił się szary, wyblaknięty od słońca dwupiętrowy budynek otoczony trzymetrowym ogrodzeniem.

– W zasięgu wzroku – powiedziałam. – Wszyscy na tyłach w porządku?

– *B a j e c z n i e* – odparł Zach. – Ile czasu do wjazdu?

– Dwie minuty.

Zaczerpnęłam kolejny uspokajający oddech w chwili, kiedy skręciliśmy i zjechaliśmy z autostrady w polną drogę. Dwóch żołnierzy otworzyło przed nami bramę, a nasz kierowca – tęgi brodac z krótkimi rękawkami – począł zawracać ciężarówkę, by wjechać na teren obozu tyłem. Jego twarz była beznamietna. W miejscu rozładunkowym przylegającym do głównego budynku rozścielono płachtę brezentu. Obok czekały już wózki do przewozu skrzyń, gotowe do przyjęcia ładunku. Siedzący na nich dwaj żołnierze palili papierosy, ale kiedy ciężarówka zaczęła się do nich zbliżać, wyrzucili je i wstali. Wartownicy przy bramie zamknęli ją i pośpiesznie ruszyli w naszą stronę. Wzięłam ostatni głęboki wdech.

– Jesteśmy na miejscu. Przygotować się do akcji – powiedziałam. – Dwóch żołnierzy przy waszych drzwiach, dwóch dodatkowych zbliża się od tyłu.

Dyskretnie i szybko – przypomniał nam Cole. – *Zaczynam odliczanie. Macie dziesięć minut.*

Pięty żołnierz podchodził do kabiny naszej ciężarówki, wykrzykując:

– Dobry, Frank!

Wsunęłam w umysł kierowcy wizję, jak opuszcza szybę, po czym pochyliłam się ku niemu i zanim zaskoczony wartownik zdążył szeroko otworzyć oczy ze

zdziwienia, wycelowałam pistolet prosto w jego twarz. Był młody. Może w wieku Cate. Na mój widok uśmiech zszedł mu z twarzy.

– Co, do jasnej...? – Wystraszony cofnął się i sięgnął do karabinu.

– Unieś ręce tak, żebym je widziała.

Nie potrafiłam kontrolować jednocześnie kierowcy i jego. Na szczęście dzięki Gonzo i Oliemu nie musiałam. Jeden z chłopaków walnął go w potylicę kolbą karabinu, a drugi unieruchomił twarzą do ziemi, zakneblował i skrępował zaciskami z plastiku. Następnie wrzucili go na pakę, gdzie leżało już bezwładnie czterech pozostałych mężczyzn.

Wiedziałam, że niektóre dzieci nie rozumiały, czemu przerabialiśmy całą akcję tyle razy. Miałam jednak wrażenie, że tempo, w jakim utworzyliśmy szyk bojowy, rozwiało ich wątpliwości. Najważniejszym celem symulacji było wyszkolenie układu nerwowego, by reagował w odpowiedni sposób i przyjmował tego typu sytuacje jako tak naturalne jak wstawanie i branie porannego prysznica. Wyglądało na to, że odniosły pożądaną skuteczną, bo nawet kiedy zbliżaliśmy się do drzwi, które żołnierze zostawili otwarte, zespół zdawał się zwarty i gotowy. Do tego w czarnych mundurach i kominiarkach prezentowaliśmy się dość groźnie.

Lampy w korytarzu były zgaszone, ale z trzeciego pomieszczenia po prawej stronie wylewał się strumień światła. Czułam, jak nieruchomieję. Odór chloru z nutą cytryny, woń pasty do butów i ludzkiego potu chwyciły mnie za gardło i mocno ścisnęły. W głębi duszy wiedziałam, że unoszący się tu zapach jest identyczny z tym w Infirmerii w Thurmond, dlatego że zapewne w obu miejscach używano tych samych narzuconych odgórnie środków czyszczących. Woń jednak podrażniała mi nerwy.

Gav zajął pozycję, przyklękając i przykładając celownik do oka, a pozostali przeszli do przodu. Zza otwartych drzwi dobiegały nas ciche głosy. Machałam na dzieci, żeby mnie wyminęły, a następnie przywarłam do ściany i ruszyłam za nimi. Nagle Zach chwycił mnie za ramię i wskazał na drzwi oznaczone CYN. Centrala Nadzoru. Tego szukaliśmy.

Kiedy opuszczaliśmy szereg, obróciłam się przez ramię, by zajrzeć do otwartego

pokoju. Moim oczom ukazało się czterech siedzących przy stole żołnierzy. Ich mundury leżały na sofie albo wisiały na oparciach krzeseł, a mężczyźni żartowali, palili i wyrzucali karty na niewielki blat. Kiedy Gav i Gonzo stanęli w drzwiach, jeden z żołnierzy podniósł na nich oczy, a gdy w końcu dotarło do niego, co się dzieje, sięgnął po broń. Było jednak za późno. Niebiescy wywrócili stół, cisnęli mężczyzn na ścianę i uciszyli ich, nie dając im szans na wezwanie pomocy przez radio.

Unieszkodliwiliśmy już dziewięciu ludzi. Nico w kółko analizował przesyłane przez Pata i Tommy'ego materiały, zliczając twarze mundurowych, które udało mu się dojrzeć. Według jego szacunków w obozie stacjonowało dwóch nadzorców i trzynastu żołnierzy SSP. Razem piętnaście osób.

Zach i ja przywarliśmy do ściany. Wyciągnęłam rękę i zapukałam do drzwi Centrali Nadzoru.

– Wejść – usłyszeliśmy w odpowiedzi.

Całe szczęście, że nie przyszło nam do głowy forsować drzwi, bo pomieszczenie było zamknięte od środka. Rozległo się bzyczenie, a następnie pstryknięcie, po którym Zach natychmiast pchnął drzwi ramieniem.

W środku znajdowały się dwie młode kobiety, obie w czarnych koszulach na guziki i materiałowych spodniach. Naszym oczom ukazała się ściana monitorów wyrastająca z rzędu komputerów. Kiedy weszliśmy, na większości ekranów widniały łóżka piętrowe i śpiące w nich dzieci, ale po chwili w ich miejsce pojawiły się obrazy z korytarza, otoczenia budynku i sąsiedniego pokoju rekreacyjnego. Na widok obrazów zza ściany funkcjonariuszka obserwująca monitory upuściła na siebie kubek z kawą. Jej koleżanka stojąca przed czymś, co wyglądało jak konsola z guzikami i wajchami, odwróciła się w naszą stronę i zaczęła krzyczeć. Zach uniósł ją i przycisnął do sufitu sekundę po tym, jak wniknęłam do umysłu pierwszej z nich.

Spadła na mnie gwałtowna lawina twarzy, dźwięków, kolorów i krajobrazów. Szukałam odpowiedniego wspomnienia i informacji, jak i kiedy należy aktualizować status bezpieczeństwa. Zach opuścił krzyczącą kobietę na ziemię, zakneblował ją, skrupował i przypiął plastikowym zaciskiem do rury biegnącej po ścianie w bezpiecznej odległości od kontrolek.

– Gotowe! – zawołał. – Mamy osiem minut! Wykasowuję nagranie z kamer.

Zakładając z dużym prawdopodobieństwem, jakich programów używano w Oazie, Nico nauczył Zacha, jak cofnąć nagranie i w odpowiednie miejsce wstawić obrazy zapisane wcześniej. Wyglądało na to, że rezultat wyszedł wiarygodnie, bo kiedy chłopak skończył, triumfalnie wyrzucił w powietrze zaciśniętą pięść.

– Otwórz pokoje na górze – powiedziałam, wskazując na najbliższy komputer. – Hasło to: duże S, duże S, duże P, jeden, trzy, dziewięć, trzy, osiem, wykrzyknik, gwiazdka. Przyjąłeś?

– Przyjąłem – potwierdził, po czym zwrócił się do pozostałych, którzy, jak mieliśmy nadzieję, właśnie udawali się na górę: – Otwieram drzwi.

Przywołałam w umyśle kobiety wspomnienie, w którym siedzi przed komputerem i wysyła informację do systemu SSP. Dokładnie pokazałam jej, jak to zrobić teraz i kolejny raz za dwie godziny. Kiedy wymykałam się z jej myśli, usunęłam obraz tego, jak weszliśmy do pomieszczenia. Kobieta po prostu pokiwała głową i zajęła się swoimi sprawami, stając przed monitorami z nieprzytomnym wzrokiem i twarzą bez wyrazu.

– Centrum Nadzoru unieszkodliwione, odbiór – powiedziałam, przyciskając słuchawkę.

Przyjąłem – usłyszałam pełną ulgi odpowiedź Cole’a. – *Ruszajcie na górę za pozostałymi.*

Zach wcisnął guzik przy drzwiach i kiedy się otworzyły, wyszedł na korytarz. Miałam zamiar zrobić to samo, ale nagle odskoczył, uniósł broń i wymierzył...

– To ja. To ja, nie strzelaj... – usłyszałam znajomy głos.

Kiedy potwierdziłam swoje podejrzenie i zobaczyłam, kto stoi przed drugim końcem karabinu Zacha, zawładnęło mną ogłupiające i odbierające mowę niedowierzanie.

Liam.

– Pogrzało cię, stary?! – wrzasnął Zach, uderzając go ze złością. – Jezu! O mało cię nie zabiłem!

Stałam nieruchomo. To nie miało sensu... *To nie on. Przecież wyjechał na*

poszukiwanie Olivii. Nie mógł za nami wejść, nie mógł być aż tak głupi. Nie Liam. Nie Liam...

Szarpnęłam za kominiarkę i ją podwinęłam. Byłam tak skupiona na jego twarzy, że nie zauważyłam stojącej za nim kobiety. Gęste rude loki opadały jej kaskadami na czarną bluzkę z długimi rękawami, na nogach miała czarne dżinsy i wysokie buty. Twarz zobaczyłam jednak dopiero wtedy, kiedy opuściła aparat, którym gorliwie nagrywała wszystko wokół.

– Kto to jest, do jasnej cholery? – Mój głos zrobił się nagle niski i wściekły.

Podaj status – odezwał się Cole. – *Ruby, status.*

Liam odwzajemnił mi się równie lodowatym spojrzeniem.

– To Alice z Powiększenia.

– Stary... Stary, to jakiś obłęd... – Zach potrząsał głową.

Alice miała zapewne około trzydziestki, ale jej gładka twarz bez śladu makijażu sprawiała, że wydawała się zaledwie kilka lat od nas starsza. Była wyższa od Liama i smuklejsza, ale wystarczająco silna, by dźwigać plecak, który wyglądał, jakby ważył dwa razy tyle, co ona.

– Miło was poznać – powiedziała. – Wow, to nie do uwierzenia...

Liam nie oczekiwał na moje pozwolenie, chciał jedynie zobaczyć, jak zareaguję. W jednej chwili mój organizm wyprodukował nową dawkę adrenaliny i nakazał działać. *Akceptacja, adaptacja, reakcja.* Przycisnęłam palec do słuchawki, odcinając Cole'a domagającego się aktualizacji statusu, i odwróciłam się do klatki schodowej na końcu korytarza.

– Liam tu jest – poinformowałam. – Z dziennikarką z Powiększenia.

Usłyszałam jedynie szum. Kiedy dopadliśmy schodów, Zach posłał mi zażenowane spojrzenie, jakby też wyobrażał sobie reakcję po drugiej stronie słuchawki.

W końcu Cole się odezwał: *Możesz powtórzyć?*

Powtórzyłam informację w chwili, kiedy minęliśmy zakręt schodów i przeszliśmy przez drzwi, które pozostali zostawili dla nas otwarte.

W końcu odkryłam źródło dziwnego znajomego zapachu, który wdychałam,

wbiegając na górę... Zakneblowani i skrupowani żołnierze leżeli przykuci do ściany, na której wyryli i namalowali napis: „Posłuszeństwo wyplenia zepsucie”.

Pozostali członkowie naszego zespołu byli w trakcie wyprowadzania dzieci z pięciu ciemnych pomieszczeń, do których prowadziły drzwi w przeciwległej ścianie. Widziałam, z jakim trudem namawiają je do wyjścia, i od razu zrozumiałam, w czym tkwi problem.

– Zdejmijcie maski – nakazałam. – Nie ma się czego bać, kamery są wyłączone.

Czułam, że tamci wyjdą, dopiero kiedy zobaczą, że my też jesteśmy dziećmi. Kiedy przestaną podejrzewać, że ktoś ich oszukuje albo że zostaną porwani przez kolejnych wykolejeńców w czarnych mundurach. Z pierwszego pomieszczenia wychyliła się głowa chłopca. Nastolatek zobaczył broń Gava i natychmiast się wycofał. Gdyby Josh nie złapał drzwi, zatrzasnąłby je przed nami.

Alice usiłowała zdobyć jak najwięcej różnych ujęć, jej aparat wydawał dźwięki niczym jakiś owad. Obróciłam się na pięcie i wytrąciłam go jej z ręki, żałując, że wisi na pasku u jej szyi i że nie roztrzaskał się o podłogę.

– Mogłabyś przestać? – warknęłam. Te dzieci przeżyły wystarczającą traumę. Czy nie mogła dać im czasu, by doszły do siebie?

– Ruby – zaczął Liam, ale Alice machnęła ręką, żeby dał spokój.

– W porządku. Zrozumiałam – powiedziała. Zobaczyłam jednak, że znowu unosi aparat, tym razem ustawiony na nagrywanie. Najwidoczniej nic nie rozumiała.

Pięć minut – ostrzegł Cole. – Wychodźcie już?

Podbiegłam do najbliższych drzwi i zajrzałam do środka. Drewniane łóżka skrzypnęły, kiedy leżące na nich postaci się poruszyły i spojrzały na mnie zmrużonymi oczami. Sięgnęłam do włącznika i zapaliłam światło, by mogły lepiej się przyjrzeć mojej twarzy. Najpierw uderzył mnie smród potu, a następnie moich uszu dobiegły jęki i wystraszone szepty. Z ciemności wyłoniły się dziesiątki małych twarzy i rąk zasłaniających oczy przed światłem.

O mój Boże.

Dzieci miały na sobie cienkie jak papier uniformy w kolorach odpowiadających ich umiejętnościom. Poczułam, że żołądek zaczyna mi się skręcać. Jedna z

dziewczynek odwróciła się, migając mi przed oczami numerem identyfikacyjnym Psi, który ktoś pospiesznie nabazgrał niezmywalnym markerem z tyłu jej podkoszulki. Pomieszczenie wypełniały maluchy – dziewięcio-, dziesięcio-, jedenasto- i dwunastoletnie. Starszych dzieci było zaledwie kilkoro. Wszystkie miały zapadnięte policzki i sylwetki wyrzeźbione przez głód. Wychudzone, jeśli nie z powodu braku jedzenia, to z powodu braku wszystkiego innego.

– Udało się wam! – Im dłużej patrzyłam na chłopca, który przepchnął się do drzwi pokoju numer trzy, tym trudniej było mi uwierzyć, że to Pat. Zgolili mu bujną ciemną czuprynę i rozebrali do lichej niebieskiej podkoszulki i spodenek. Przebywał w obozie od niespełna tygodnia, ale już zaczynał się zlewać z mrokiem tego miejsca.

W tej samej chwili chłopcy w pokoju Tommy’ego westchnęli ze strachu. Próbowali go powstrzymać przed wyjściem na korytarz i błagali szeptem, by zawrócił.

– W nocy nie wolno wychodzić z łóżka – powiedziała jedna z dziewczynek. – Nie wolno tego zrobić, nawet jeśli wybuchnie pożar. Oskarżą cię o próbę ucieczki, a to wystarczający powód, by cię zastrzelić.

Żadne z dzieci nie wyszło za Tommym i Patem.

Usiłowałam coś wymyślić, obawiając się, że koniec końców będziemy musieli je wynosić.

– Nazywam się Ruby – powiedziałam szybko. – Jestem jedną z was. Wszyscy jesteście tacy jak wy oprócz kobiety z aparatem. Chcemy was stąd wyciągnąć... Zabrać w bezpieczne miejsce. Ale powinniśmy się spieszyć. Musicie wyjść stąd tak szybko, jak tylko dacie radę bez zrobienia krzywdy sobie i pozostałym. Chodźcie za nimi... – Wskazałam na Gonzo i Olliego. – Raz-dwa, raz-dwa. Dacie radę?

Cholera... Nie podziałało. Dzieci nie ruszyły się z miejsc, a upływający czas głośno tykał mi w uszach. Nie potrafiłam rozróżnić mijających sekund i bicia własnego serca. Otworzyłam usta, zastanawiając się, co innego mogłabym im powiedzieć. Jakie słowa przekonały mnie, bym łyknęła tabletki, które zaproponowała mi Cate? A może po prostu zdałam sobie sprawę, że to moja ostatnia szansa, by się uratować?

Podjeżdżałam, że dla tkwiących tu dzieci był to zupełny szok. Wparowaliśmy do obozu tak szybko, że nie docierało do nich, co się dzieje.

– Rosa! – zawołałam. – Czy jest tu Rosa Cruz?!

Nikt się nie odezwał ani nie podniósł ręki, ale kątem oka dostrzegłam niewielki ruch: jedno z dzieci nieznacznie się wyprostowało. Okrążyłam Tommy’ego, rozglądając się po pokoju numer sześć. Z tyłu pomieszczenia zauważyłam trzynasto-, może czternastoletnią dziewczynkę mniej więcej mojego wzrostu. Zapewne kiedyś miała długie błyszczące loki, ale ktoś bardzo się postarał, by ją ich pozbawić. Nie widziałam nawet śladu senator Cruz w jej twarzy, oprócz ciepłego oliwkowego koloru skóry i ciemnych oczu. Kiedy jednak przechyliła głowę i pokonując strach, spojrzała na mnie, na sekundę zamieniła się w matkę.

– Rosa, twoja mama cię szuka – powiedziałam.

Wzdrygnęła się, nagle postawiona w centrum zainteresowania. Wzięła jednak głęboki wdech i wyszła z pogrążonego w ciemności pokoju, jakby wyrывała się z ostatniego uścisku koszmaru. Zaciśnęła dłonie w pięści, po czym ciężko oddychając, rozejrzała się po pomieszczeniu.

– Spójrz na mnie – rozkazałam, wyciągając do niej rękę. – Tylko na mnie. To dzieje się naprawdę. Wyciągnę cię stąd. Już dobrze.

Jej drżące, lodowate palce dotknęły opuszków moich, a następnie wsunęły się dalej. Napięcie przygniatające ramiona zelżało jednak dopiero wtedy, gdy mocniej ścisnęłam jej dłoń. Dziewczynki z jej pokoju ruszyły za nią, na co pozostałe dzieci w końcu pozbyły się wahania i zrobiły to samo.

– Baza, odbiór – powiedziałam, przyciskając słuchawkę. – Zaczynamy ewakuację.

Dwie minuty. Cole wydawał się o wiele bardziej spięty niż ja.

Wszystko działo się po naszej myśli. Dzieci wychodziły. Ufały nam. Byłam za to tak wdzięczna, że oczy zaczęły mnie szczypać od napływających łez.

Dzieci ustawiły się gęsiego i pospiesznie ruszyły za nami. Ich stopy kłapały o podłogę, rozmazując kałużę mokrej farby, która wypłynęła z jakiejś przewróconej puszk. Niektóre przystawały po drodze, żeby spojrzeć na dwóch skrupowanych żołnierzy, ale nie było widać uśmiezków, nie było słychać śmiechu czy

wiwatowania... Podejrzewałam, że czują się jak we śnie.

Poprowadziłam Rosę do szeregu i spojrzałam na ścianę, na której żołnierze zwykli zapisywać różne przesłania. Kiedy dzieci skręcały za róg na klatkę schodową, opierały się o nią i rozmazywały czerwoną farbę, przeciągając po niej dłońmi oraz opuszkami palców. Alice stała przed nią jak zamurowana, jeszcze raz unosząc aparat.

To był ostatni nieruchomy obraz, jaki zapamiętałam, zanim czas przyspieszył i wszystko zaczęło się ze sobą zlewać: bieg w dół schodów i przez korytarz oraz wyjście przez te same drzwi, przez które weszliśmy. Uderzenie zimnego powietrza ochłodziło pulsującą mi w żyłach rozpaloną krew. Strząsnęłam z siebie strach i pozwoliłam sobie wyobrazić, jak wspaniale bym się czuła, gdyby to było Thurmond. Gdybym właśnie po raz ostatni przekraczała jego próg.

Dopiero teraz w pełni zdałam sobie sprawę z tego, że chociaż Cate mnie stamtąd wydostała, ciągle byłam więźniem. Uświadomiłam sobie, że poczucie uwolnienia się od tej przerażającej rzeczywistości przyjdzie nie wraz z uleczeniem z choroby, ale dopiero wraz ze stuprocentową pewnością, że nigdy nie będę musiała tam wrócić.

Zach pomógł Liamowi wnieść motor na tył ciężarówki i ruszył wciągać do środka Alice. Kiedy podał jej rękę, spojrzał na mnie pytająco. Skinęłam głową. Dziennikarka musiała z nami wrócić. Zbyt wiele widziała i stanowiła zagrożenie dla naszego bezpieczeństwa. Gonzo i Ollie wdrapali się na przyczepę jako ostatni. Wcześniej zaciągnęli żołnierzy i kierowcę do budynku.

Dzieci musiały się rozlokować na owiniętych plastikową folią paletach i skrzyniach. Żeby nie zamykać ich w całkowitej ciemności, rozdaliśmy niektórym żółte i pomarańczowe świetliki oraz latarki. Kiedy zasuwalam drzwi ciężarówki, zobaczyłam Liama opartego o bok przyczepy z rękami na kolanach. Obserwował mnie. Zatrzasnęłam mocno drzwi i zabezpieczyłam je zasuwą.

Zach siedział już na miejscu kierowcy, wyrrywając z deski rozdzielczej urządzenie do nawigacji. Następnie opuścił szybę i wyrzucił je za okno, pozbawiając wojsko jednego ze sposobów namierzenia pojazdu, kiedy w końcu wyjdzie na jaw, co się stało. Pobiełam otworzyć bramę. Ogrodzenie nie było pod napięciem, ale wartownik zdołał zabezpieczyć wyjazd kłódką. Obróciłam się, by spojrzeć na Zacha, i pokręciłam głową. Pomachał mi, żebym wsiadła z powrotem do kabiny.

– Trzymajcie się – ostrzegł mnie i pozostałych siedzących z tyłu.

Samochód wyrwał do przodu i sforsował bramę, posyłając kawałki ogrodzenia w powietrze, jakby były zrobione ze styropianu. Jeden z nich przyczepił się do kołpaka w przednim kole i iskrzył ciągnięty po ziemi, ale odpadł, kiedy skręciliśmy na autostradę i pognaliśmy przed siebie. Za naszymi plecami właśnie zaczynało wschodzić słońce.

Jechaliśmy cztery godziny bez przerwy, po czym porzuciliśmy półciężarówkę w Reno. W idealnym scenariuszu udalibyśmy się prosto do Lodi, zatrzymując się po drodze tylko raz, by dzieci mogły załatwić swoje potrzeby i rozprostować nogi. Droga do miasteczka była jednak obstawiona przez wojskowych. Gdybyśmy pojechali dalej, ktoś w końcu by nas zauważył.

Senator Cruz zorganizowała autokar, który przytransportowano z Oregonu i zaparkowano na obrzeżach Reno. Zaznaczyła przy tym, że więcej nie uda się skorzystać z takiej możliwości. Jej kontakt, były gubernator stanu, którego znała ze szkolnej ławki, celowo unikał zbyt głębokiego angażowania się w sprawy Koalicji Federalnej, w zamian za co Gray pozwolił mu zatrzymać pracę.

Wraz z Zachem pomagałam dzieciom wysiąść z przyczepy. Nie mogłam się nie uśmiechać, widząc, jak wszystkie mają ochotę zatańczyć w ciepłych promieniach słońca. Rosa wysiadła jako jedna z ostatnich i omijając ręce Zacha, pochyliła się ku moim.

– Wszystko w porządku? Jak się trzymasz? – zapytałam.

Patrzyłam, jak dziewczynka wyciąga ręce w przód i w tył i zatacza nimi okręgi. Celowo nie przestawałam się uśmiechać, by uwierzyć, że wszystko się uda. Nauczyłam się tego od Cate.

Przenosiliśmy skrzynie z jedzeniem i zaopatrzeniem medycznym z półciężarówki do bagażnika autobusu. Zastanawiałam się, co Cate powiedziałaaby na to wszystko. Postanowiłam, że kiedy znowu ją zobaczę, dam jej w pełni odczuć, jak bardzo jestem jej wdzięczna za to, co dla mnie zrobiła. Chciałam wierzyć, że jeśli będę całą sobą o niej myśleć, jeśli przywołam przed oczy jej twarz i skoncentruję się na niej, to jakimś cudem dowie się, że o niej nie zapomniałam.

Że ją uwolnię.

Liam prowadził Alice do autobusu, ignorując spojrzenia rzucane przez resztę

zespołu, kiedy przechodzili obok. Zamienił z nią cicho kilka ostatnich słów, po czym wsiadł na swój motocykl i oznajmił Zachowi, że będzie jechał za nami.

Podalam Rosie rękę, a ona z wdzięcznością ją przyjęła. Zach wskoczył za kierownicę i wyciągając szyję, policzył nas, by się upewnić, że nikogo nie brakuje. Dzieci tłoczyły się na siedzeniach i na podłodze, a kiedy w końcu otrząsnęły się z przerażenia i niepewności, starsze z nich zaczęły sięgać do pokręteł wentylacji i włączników światła.

– Zaciągnijcie szczelnie zasłony – nakazałam. – Nadal mamy przed sobą trzy–cztery godziny drogi.

– Dokąd jedziemy? – zapytało jedno z dzieci.

– Do Ka-li-for-nii! – zanucił Gav i zabębnił pulchnymi rękami o siedzenie przed sobą. – Ruszajmy w końcu!

– Zapnijcie pasy! – zawołał Zach i uruchomił silnik, a kiedy zdał sobie sprawę, że pojazd ma system głośnomówiący, powtórzył nakaz do mikrofonu: – Proszę zapiąć pasy. Witam państwa w autobusie sieci Psi. Nazywam się Zach i będę państwa kierowcą podczas tej wiekopomnej podróży ku wolności. Jeśli wyjrzą państwo przez okno, czego oczywiście proszę nie robić zgodnie z zakazem Ruby, mogą państwo pokazać Nevadzie środkowy palec na pożegnanie.

Słowa Zacha sprawiły, że kilkoro dzieci się uśmiechnęło. Pokazałam mu uniesione kciuki i w odpowiedzi dostałam to samo. Autobus ruszył z impetem i znowu byliśmy w drodze, tym razem jednak czuliśmy się jak w prawdziwej podróży. Mimo wszystko uśmiechnęłam się, pozwalając sobie polatać na obłoku wypełniającego mnie szczęścia. Wróciłam na ziemię, dopiero kiedy spojrzałam na Rosę.

Siedziała na miejscu przy oknie z wsuniętymi pod koszulkę przyciśniętymi do piersi kolanami, w które wtulała twarz.

– Rosa – zwróciłam się do niej, kładąc jej dłoń na plecach. Numer na kieszonce podkoszulka, 9229, to jedyne, co identyfikowało ją w obozie. Chciałam usłyszeć jej imię. Potraktować ją jak człowieka.

– Nie powinniście byli przychodzić. Jeszcze nie jesteśmy gotowi. Wciąż jesteśmy

chorzy.

– Nie, nieprawda – zaprzeczyłam pospiesznie. – Jesteście inni, to wszystko.

– Powiedzieli nam, że dobrzy byli tylko ci, którzy zmarli – odparła.

Zauważyłam delikatną, wąską różową linię wijącą się na jej lewym policzku. Co mogło zostawić taki ślad? Podejrzywałam, że ktoś musiał specjalnie wyryć go na jej skórze.

– Twierdzili, że jesteśmy źli... I że nigdy stamtąd nie wyjdziemy. Nie robili jednak nic, by nam pomóc. Chcę... chcę, żeby mnie wyleczono. Wszyscy tego chcemy i robiliśmy *w s z y s t k o*, co nam kazano, ale to nigdy nie wystarczało.

– Jeśli sprawiali, że tak się czuliście, to oni byli źli. – Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, dlaczego te słowa przysły mi tak gładko. *Clancy*. Czym różniły się od tego, co usiłował mi powiedzieć? Poruszyłam się niespokojnie, usiłując myśleć nie o nim, ale o Cate i o tym, jak mnie uspokajała, kiedy uciekłam z Thurmond. – Umiejętność przetrwania to najważniejsza rzecz, jakiej się nauczyłaś. Nie pozwól nikomu wmówić sobie, że nie powinnaś żyć albo że zasłużyłaś, by trafić do tego obozu.

– Ty też przez to przeszłaś? – zapytała. – Wydostałaś się i wszystko zmieniło się na lepsze?

– Pracuję nad tym. Twoja mama nam pomaga.

Na jej twarzy w końcu pojawił się wąły, niepewny uśmiech.

– Dalej chodzi w swoim czerwonym kostiumie?

– Czerwonym kostiumie?

Rosa skinęła głową i w końcu odchyliła się na oparcie fotela.

– Mama miała ciemnoczerwony kostium, który wkładała zawsze, kiedy szła na ważne głosowanie lub debatę. Twierdziła, że odstrasza starych białych sztywniaków, którzy chcieli ją uciszyć albo usadzić na miejscu.

– Nie. Ale wiesz co? Nie sądzę, by go potrzebowała.

Dziewczynka rozłożyła palce dłoni na niebieskich spodenkach.

– Jesteś stuprocentowo pewna, że ona chce... To znaczy w pełni zrozumiem, jeśli nie będzie chciała mnie zobaczyć. Byłam z babcią, kiedy po mnie przyszli. Mama nie

widziała mnie po tym, jak zostałam zniszczona... To znaczy odmieniona.

– Niczego bardziej nie pragnie. – Słowa wylewały się ze mnie, płynąc z miejsca, którego nie śmiałam dotykać, odkąd opuściłam Thurmond. – Niczego! Ani twoje zdolności, ani to, co powiedzieli ci w obozie, nie mają żadnego znaczenia. Twoja matka czeka na ciebie z utęsknieniem.

To były właściwe słowa. Świadczył o tym ból towarzyszący wyciśnięciu ich z czeluści, w których je pogrzebałam.

Wiedziałam o tym, bo były to dokładnie te same słowa, które ktoś wypowiadał do mnie w marzeniach... Potem przyjeżdżała po mnie babcia i zabierała mnie ze sobą do domu.

Rosa odwróciła się w moją stronę.

– Dziękuję, że po nas przyszlście.

Nie byłam pewna, czy głos mnie nie zawiedzie, ale powiedziałam:

– Nie ma za co.

– Wyzwolicie też inne dzieci, prawda? Nie tylko nas?

– Uwolnimy wszystkich – zapewniłam ją, opierając się o siedzenie i zamykając oczy. Był to jedyny znany mi sposób na powstrzymanie łez.

Nasze plany stawały się rzeczywistością. Udało się w Oazie, więc możemy to powtórzyć w Thurmond. Wierzyłam, że potrafimy odmienić życie dzieci. Każdego z nich.

Zach wprowadził autobus do garażu, tak jak poinstruował go Cole. Pozostałe w bazie dzieci już na nas czekały i dźwigały ciężką bramę, którą normalnie trzymaliśmy zamkniętą na cztery spusty. Senator Cruz i Cole stali pośrodku w pewnej odległości od wejścia. Kobieta złożyła przed sobą ręce i chociaż pozowała na zupełnie opanowaną, nawet z daleka dostrzegłam zbielełe kości jej dłoni świadczące o tym, jak bardzo się denerwowała. Odsunęłam zasłonkę i odchyliłam się, żeby Rosa też mogła ją zobaczyć. Pani senator musiała od razu zauważyć córkę, bo przegrała walkę, którą toczyła z samą sobą, i zapominając o wszystkim, popędziła ku drzwiom autokaru. Wstałam, by przepuścić Rosę. Dziewczyna rzuciła się na matkę z najwyższego stopnia i o mało nie przewróciła jej na ziemię.

Pozostałe dzieci odwróciły wzrok. Po drodze wyjaśniliśmy im, co się wydarzyło w Los Angeles. To, że wielu z ich rodziców było związanych z Koalicją Federalną albo po prostu mieszkało w Mieście Aniołów, nie nastrajało ich pozytywnie.

– Pomożemy wam odnaleźć rodziców – obiecałam. – Jeśli senator Cruz nie będzie mieć stuprocentowej pewności, gdzie są, przetrząśniemy wszystkie sieci kontaktów w poszukiwaniu wskazówek.

Cole nie ruszył się z miejsca. Kiwał głową do członków zespołu szturmowego, którzy wysiedli z autokaru i otoczyli go zwartą grupą, poklepywał ich po plecach i z dumą im gratulował. U jego stóp leżał plecak. Schylił się po niego, dopiero kiedy zobaczył Liama i Alice. Wiedziałam, co się szykuje, ale szczerze mówiąc, byłam zbyt wkurzona, by temu zapobiec.

Cole pokiwał ręką na panią senator, która przytulając mocno córkę, powiedziała spokojnie:

– Już dobrze. Chodźcie za mną. Weźmiecie przyjemny ciepły prysznic, a potem dostaniecie nowe ubrania i smaczny posiłek. Co wy na to?

Liam i Alice ruszyli ku nam, ale zostali odcięci przez strumień dzieci formujących szereg i podążających za panią senator do tunelu. Zu, Hina, Mike i Kylie biegli pod prąd, by się z nami przywitać, a następnie dołączyli do grupki maruderów stojących na białym półksiężycu namalowanym na betonowej podłodze.

Kiedy Liam podszedł wystarczająco blisko, Cole podniósł plecak i rzucił go bratu, który aż ugiął się pod jego ciężarem.

– Pozwoliłem sobie spakować twoje rzeczy – powiedział lodowatym tonem. – Nie masz tu czego szukać. Wskakuj na motor i spadaj do domu.

– Nigdzie się nie wybieram. – Liam cisnął plecakiem w Cole’a z zaciętym wyrazem twarzy. – Dopiero się rozkręcam. Nie możesz kazać mi odejść.

Cole wybuchł szyderczym śmiechem, ale to ja odpowiedziałam. Słowa niespodziewanie sformułowały się w mojej głowie i wypełniły mi usta jak żółć.

– Nie. Ale ja mogę.

Widziałam, jak Zu patrzy to na Liama, to na mnie, otwierając ze zdziwienia buzię. Jeszcze większym bólem wypełnił mnie jednak widok Liama, który zacisnął zęby i

zbladł. Równocześnie w jego oczach rozbłysło okropne nieme rozczarowanie. Jak śmiał zachowywać się tak, jakby to on był ofiarą zdrady? Uknął samodzielną akcję za moimi plecami. Wyczuwałam, że ukrywa przede mną jakiś sekret, ale nie podejrzewałam go o coś takiego. Nie sądziłam, że jest zdolny narazić dzieci na ryzyko, a nawet śmierć.

I dlaczego? Bo Cole odrzucił jego pomysły? Nie rozumiał, jak działa ten świat. Opuścił Ligę. Uciekł. Porzucił szkolenie zbyt wcześnie, by pojąć, że ogień zwalcza się ogniem.

– Działaleś za moimi plecami. – Słowa wypływały z Cole’a jak rzeka. – Skontaktowałeś się z Powiększeniem, chociaż wyraźnie ci tego zakazałem. Byłeś na tyle głupi, by wysłać e-mailem poufne pliki, ryzykując, że hakerzy Graya je wyłapią i dzięki nim nas wyśledzą. Wygląda również na to, że kłamałeś, mówiąc, że jedziesz na poszukiwanie dzieci, a zamiast tego spotykałeś się z dziennikarzami, marnując naszą benzynę i czas. Zakłóciłeś przebieg operacji i naraziłeś na niebezpieczeństwo każde dziecko, które w niej uczestniczyło, jak również tych, którzy byli ewakuowani i samego siebie. Jakby tego było mało, wmieszałeś w to wszystko cywila. Mam nadzieję, że przyniosło ci to satysfakcję, bo choć ty się stąd wynosisz, ona zostaje z nami, żebyśmy mogli trzymać ją pod kluczem do czasu, aż to wszystko się skończy.

– Słucham? – Alice wystąpiła do przodu, miotając wściekłe spojrzenia, po czym wybąkała do Liama: – Mówiłeś, że będzie wkurzony, ale to jest...

– To jest rzeczywistość – dokończył Cole, wyciągając dłoń. – Oddaj mi aparat.

Kobieta odchyliła się w tył, mocniej przyciskając do siebie torbę ze sprzętem.

– Posłuchaj mnie uważnie – zripostowała – bo nie żartuję: po moim trupie. Myślisz, że się ciebie boję? Przeżyłam bombardowania Waszyngtonu i ośmiokrotnie relacjonowałam poważne zamieszki w różnych miastach. W tym bunt w Atlancie, podczas którego zginął mój operator i narieczony. Więc proszę bardzo, spróbuj mi go odebrać, dupku!

– Dobrze, słoneczko – prychnął Cole. – Zatrzymaj sobie aparat. Niech delikatne, błyszczące światło jego wyświetlacza dotrzymuje ci towarzystwa, kiedy zamkniemy cię w twoim nowym pokoju i wyrzucimy klucz.

– To...

Liam wyciągnął rękę, żeby ją powstrzymać. Kobieta nie cofnęła się jednak, a jej jasna porcelanowa skóra aż poróżnowiała z emocji.

– Masz rację – powiedział Liam. – Działalem za twoimi plecami i sam znalazłem dojsście do Powiększenia. Spotkałem się z Alice i jej zespołem, ale to było *p o t y m*, jak odnalazłem Olivie i Bretta. Jeszcze się nie pojawili, bo kazałem im poczekać, aż się upewnię, że przebywanie tu jest bezpieczniejsze niż samotne włóczenie się na wolności. Dane *ś c i ą g n ą ł e m* na dysk przenośny, żeby mieć czym podeprzeć swoją historię przed dziennikarzami. Nigdzie ich nie wysyłałem. A wiesz, czemu to zrobiłem? Bo bez względu na to, co mówiłeś w Los Angeles, to wszystko w niczym nie przypomina demokracji. A już na pewno nie jest nowym początkiem. Zignorowałeś wszystkie nasze pomysły na korzyść własnych i nawet nie chciałeś mnie wysłuchać, chociaż nie masz zielonego pojęcia o tym, jak wygląda nasze życie i przez co przeszliśmy! Wybrałeś drogę walki, ale nie wszystkim się to podoba.

– To chyba słaby argument – rzucił Cole, wskazując na zespół. – Dzisiejsza akcja przebiegła koncertowo...

– On mówi prawdę – upierała się Alice. – Nie poprosilibyśmy go, by ryzykował przesyłanie plików pocztą elektroniczną. Przyniósł nam jedynie kilka wydruków, żeby dowieść swoich powiązań z Ligą czy z tym, czym teraz jesteście.

Liam westchnął ze zrezygnowaniem.

– Możemy wykorzystać nagranie, które Alice dziś zrobiła. Wysłać gotowy materiał do jej sieci kontaktów i puścić w świat. Te ujęcia niosą ze sobą konkretne przesłanie i niezbiecie dowodzą choćby tego, że dzieci nie są dla nikogo zagrożeniem. Nic nie rozumiesz. Nieważne, czy uda się nam wyzwolić z obozów wszystkie dzieci i przebić przez każde cholerne ogrodzenie i mur, które nas od nich oddzielają. Jeśli nie zmienimy nastawienia społeczeństwa, to gdzie, do jasnej cholery, podzięką się ci, których uwolnimy?

Cole zaplótł ręce na piersi i powiedział tylko:

– Do widzenia, Liam.

Zaczęłam się odwracać z zamiarem ruszenia za Cole’em do tunelu. Wściekłość

pulsowała mi w skroniach, usuwając z serca ostatnie resztki jasności. Nagle jednak za moimi plecami odezwał się głos:

– Jeśli on odchodzi, to ja też.

Słowa wypowiedziała Zielona, którą poznałam kilka dni wcześniej. Ta sama, która namalowała półksiężyc na kasku Liama. Kiedy usiłowałam sobie przypomnieć, kim jest, nagle dotarło do mnie, że dzięki temu symbolowi Alice identyfikowała Liama podczas spotkań.

– Masz ku temu jakiś szczególny powód? – zapytał Cole.

– Kryłam go. – Dziewczynka odrzuciła ciemne włosy w tył. – Wiedziałam, że jedzie na spotkanie z Alice, i nic nikomu nie powiedziałam.

– Ja też – odezwała się Lucy, wykręcając sobie palce do czerwoności. – Kłamałam, że przynosi zapasy, których nie było. I tak naprawdę nie chcę walczyć. Przykro mi.

– I ja – zawtórowała im Kylie. – Z tym, że mnie nie jest przykro.

– I ja – pisnęła Anna, jedna z Zielonych, która wyszła cało z ataku na Los Angeles. – To ja mu pokazałam, jak dostać się do plików i je ściągnąć.

Stojący obok mnie Zach podrapał się po głowie i wbił wzrok w sufit.

– Wygląda na to, że nauczyłem go, jak stworzyć procedurę nawiązywania kontaktów. Na wszelki wypadek.

– A ja wyciągnąłem z senator Cruz informację, jak skontaktować się z Powiększeniem – dodał kolejny Zielony. – Więc podejrzewam, że też wylatuję.

– Ja też, bo...

Cole uniósł dłoń, przerywając Sarah.

– Dobrze, już dobrze. Chryste, rozumiem. Spartakus się znalazł.

Spojrzał na mnie. Wzruszyłam ramionami, pozwalając, by sam podjął decyzję. W tej chwili nie ufałam swojemu osądowi. Zresztą szczerze mówiąc, jeśli wszyscy planowali sabotaż naszego uderzenia na Thurmond, nie miałam nic przeciwko temu, by odeszli i układali sobie życie z dala od nas w jakimś bezpiecznym miejscu. Zwłaszcza jeśli Harry miał spełnić obietnicę i dostarczyć nam wyszkolonych żołnierzy.

– Macie jedną szansę – zwrócił się do buntowników Cole. – Jeśli udowodnicie, że wasze działania mają uzasadnienie, zweryfikujemy nasze plany.

Wokół wzniósł się podekscytowany gwar. Przysunęłam się do Cole’a, chcąc wykorzystać go jako tarczę do obrony przed oczywistą prawdą. Większość, jeśli nie wszystkie dzieci, wiedziało o planach Liama i żadnemu z nich nie przyszło do głowy, by mnie w to wtajemniczyć.

Pewnie myślę, że sobie na to zasłużyłaś – szeptał głos w mojej głowie. – *To twoja kara za to, że nie powiedziałaś im o planie pozbycia się agentów.*

Różnica jednak polegała na tym, że zatajając prawdę, chciałam ich chronić. Cole miał całkowitą rację: zakłócając starannie wyreżyserowaną akcję i wprowadzając w nią osobę z zewnątrz, Liam mógł ściągnąć na nas prawdziwe nieszczęście. Stworzył zagrożenie dla dzieci, które staraliśmy się uratować. Zalała mnie nowa fala wściekłości.

– Pod warunkiem – kontynuował Cole już ostrzej – że zostanieie tu i pod żadnym pozorem nie opuścicie Rancza bez pozwolenia. Łącznie z tobą, marchewko.

Alice poczerwieniała na dźwięk nowego przezwiska i odruchowo przygładziła rude włosy.

Cole zrobił krok w jej stronę. Znałam to spojrzenie, sposób, w jaki patrzył tymi swoimi niebieskimi oczami. Wiedziałam, że wyćwiczony miły uśmiech zaraz ustąpi wyrazowi wypełniającej go pogardy.

– Jeśli ujawnisz naszą kryjówkę komuś z Powiększenia, dowiem się o tym – powiedział cichym, szorstkim głosem.

Alice pochyliła się ku niemu ze splecionymi na piersi rękami, prowokacyjnie unosząc jedną brew.

– Nie, nie dowiedziałbyś się. Ale nie zamierzam nikogo narażać. W przeciwieństwie do ciebie.

– Uważaj na słowa – ostrzegłam ją.

Najwyraźniej Liam musiał jej o mnie wspominać, bo w końcu się cofnęła.

– Dobra. Wszyscy jesteście cali i zdrowi? Trzymacie się jakoś? – Cole kiwał głową, czekając, aż dzieci odpowiedzą mu tym samym. – Świetnie. Wyładujmy

zapasy z bagażnika i zrobmy tu trochę porządku. Ktoś musi mi opowiedzieć, jakie miny mieli żołnierze, kiedy was zobaczyli.

Jego słowa przełamały napięcie. Gav co chwila wybuchał śmiechem, kiedy opowiadał, jak jeden z żołnierzy prawie się posikał, kiedy zdał sobie sprawę, z kim ma do czynienia. Zu próbowała złapać mnie za rękę, kiedy przechodziłam obok, ale szczerze mówiąc, po prostu chciałam być sama. Nie przejmowałam się, że zranię jej uczucia ani że się o mnie martwi. Nie miałam ochoty udawać, że podoba mi się takie wyjście z sytuacji. Rozmieniać się na drobne było marnotrawstwem czasu. Oznaczało, że ocalę jeszcze mniej dzieci.

Najpierw chciałam wypytać Nico, czy ma jakiegokolwiek wieści od Cate i czy Vida i Pulpet się meldowali. Potem zamierzałam ustalić szczegóły tego, jak zostanę z powrotem zamknięta w Thurmond.

Spaliłam nadwyżkę energii, biegiem pokonując tunel między garażem a Ranczem. Frustracja uchodziła ze mnie z każdym uderzeniem butów o betonową podłogę. Przebiegłam kuchnię, mijając miski z makaronem i paluszki dla dzieci z Oazy, które teraz zapewne posilały się w dużej sali. I wtedy w końcu usłyszałam, jak woła moje imię.

Nie zwolniłam. Nie pozwoliłam ani trochę zmięknąć zbroi wściekłości, w którą się przyoblekłam. Liam musiał biec, by mnie dogonić.

– Ruby! Chcę z tobą porozmawiać.

– Uwierz mi, nie chcesz – odparłam.

Pędziłam dalej, ale w końcu złapał mnie za rękę i gwałtownie odwrócił. Wbiłam wzrok w jego twarz, na której malowało się napięcie. Szczękę i policzki pokrywał mu cień zarostu. Spojrzałam prosto w jego pełne pasji oczy i przez ułamek sekundy moje ciało nie było pewne, czy chce go zamordować, czy pocałować.

Wyrwałam mu się i pchnęłam drzwi prowadzące na klatkę schodową.

– Jesteś zła, bo ci nie powiedziałem czy dlatego że mam rację? – zapytał stanowczo. – Z tego, co widzę, to chyba z obu powodów.

– Uważam, że Cole przedstawił ci całkiem przyzwoity zarys rozlicznych powodów, dla których można się na ciebie wściec – warknęłam, odwracając się,

kiedy dotarłam na półpiętro.

Deptał mi po piętach, usiłując przyprzeć mnie do ściany w tym samym kącie, w którym wcześniej skradłam mu pocałunek. Nie wiem czemu, ale wprowiło mnie to w jeszcze większy gniew, jakby robił to celowo.

– Mam rację, Ruby – powiedział, znowu chwytając mnie za nadgarstek.

– Dotknij mnie jeszcze raz, a pożałujesz – ostrzegłam go.

Zwolnił chwyt i się wycofał.

– Proszę, wysłuchaj mnie...

– Nie! W tej chwili nie chcę nawet cię oglądać!

Uśmiechnął się kpiąco.

– Bo ośmieliłem się sprzeciwić Cole’owi, który nigdy przenigdy się nie myli?

Obróciłam się jak rażona piorunem i pchnęłam go obiema rękami.

– Bo byłeś milimetr od lufy karabinu Zacha, który omal cię nie rozwalił! Bo *mogłeś zginąć*, a ja nie byłabym w stanie temu zapobiec! Bo *nie pomyślałeś* i wszystko, nad czym tyle pracowaliśmy, mogło się rozsypać w drobny mak...

Oczy rozblęły mu dwoma niebieskimi płomieniami. Przyciągnął mnie do siebie.

Pocałował.

Pocałował mnie tak, jak ja całowałam go w lesie na obrzeżach obozowiska East River. W ciemnościach, kiedy otulał nas zapach wilgotnej ziemi, kurzu i skóry. Mocno i łapczywie. Kiedy jego dłonie tonęły w moich włosach, a moje ścisnęły jego kurtkę.

Całował mnie, a ja mu na to pozwoliłam, bo wiedziałam, że to już ostatni raz.

Odepchnęłam go w końcu, czując, jak w piersi otwiera mi się ziejąca przepaść i jak przestrzeń między nami wypełnia zimne powietrze. Oparł się o ścianę, próbując złapać oddech. Zwalczyłam idiotyczny odruch, by usiąść na schodach i po prostu się rozpłakać.

Liam zrobił wdech i drżącym głosem powiedział:

– Anna zdradziła mi, że Nico pracuje w tajemnicy nad jakimś wirusem... Pewnie ma posłużyć do ataku na Thurmond. Podobno ktoś będzie musiał wnieść go do środka

i zainstalować, żeby można było mówić o jakiegokolwiek akcji. – Jego głos brzmiał głucho. – Wiesz coś o tym?

Odwróciłam wzrok.

– Na litość boską, Ruby – szepnął.

Dawał mi szansę, bym wyznała mu prawdę o planowanej operacji, ale nic, a już na pewno nie on, nie mogło mnie powstrzymać przed zrealizowaniem tego, co zamierzałam. Nie potrzebowałam jego zgody.

– Zabiją cię. – Jego słowa przenikał gniew. – Zdajesz sobie z tego sprawę? Wiedzą, czym jesteś i co potrafisz. Zamierzasz przejąć kontrolę nad całym obozem? Wpłynąć na nich tak jak Clancy na dzieci w East River? Nie pozwolą ci wyjść stamtąd żywej. Ale ty masz to gdzieś, prawda? – Potarł twarz, wydając z siebie odgłos najszczerzego zirytowania. – Czy muszę pytać, kto podsunął ci ten pomysł? On nie jest jednym z nas, Ruby! Nie jest, a ty i tak trzymasz jego stronę i zwierzasz mu się z rzeczy, które kiedyś powierzałaś mnie. Powiedz mi, co się stało! Powiedz mi, jak mam naprawić to, co się między nami zepsuło. Nie rozumiem, jak mogliśmy się tak od siebie oddalić. Nie pojmuję, czemu on ma na ciebie taki wpływ!

– Nie muszę ci niczego wyjaśniać. – Wymawiając te słowa, poczułam, jak wzdłuż kręgosłupa przebiega mi lodowaty dreszcz. Nie dbałam o to, czy była to prawda, czy nie.

– Kiedyś pragnęliśmy tego samego. Chcesz wiedzieć, czemu nie powiedziałem ci o Alice i Powiększeniu? Setki razy byłem o krok od tego, by wszystko ci wyznać. Tamtej nocy w garażu miałem to na końcu języka, ale się powstrzymałem, bo ostatnio... Ostatnio to, co *ja* mówię, zupełnie nie ma znaczenia. Ty i Cole myślicie, że mój pomysł jest głupi i naiwny. Cholera jasna, robi mi się od tego niedobrze. Nie jestem idiotą ani ślepcem. Mogę nas żywić, mogę naprawiać każdą pierdołę, która się zepsuje, dbać o to, by samochody były na chodzie... Mogę umożliwić nam wykorzystanie ostatniej prawdziwej szansy, by zrobić coś dobrego i trwałego na tym świecie, który i tak jest już zbyt brutalny. To jednak za mało... Zupełnie się nie liczę, prawda? Dla niego. I dla ciebie też już nie.

Nic nie powiedziałam. Nic nie poczułam. Byłam niczym.

– Staram się myśleć, co będzie później... Zastanawiam się, jak będzie wyglądało nasze życie, kiedy to wszystko się skończy. Kiedyś o tym rozmawialiśmy. Nie chcę, żeby te dzieci musiały żyć naznaczone bólem, żalem i krwią. Dla ciebie też tego nie chcę. Możemy zrobić coś dobrego... Możemy pokazać całemu światu, że jesteśmy dobrymi dziećmiakami postawionymi w beznadziejnej sytuacji. Proszę cię, Ruby... Błagam. Cole zaprowadzi cię za rękę prosto na krawędź przepaści.

Przytrzymałam jego spojrzenie chwilę dłużej, pozwalając, by słowa wybrzmiały i wypełniły te części mnie, które się rozpadały. *Pomyśl o dziewczynach* – upominałam się. – *O Baraku dwadzieścia siedem. O Sam. O tysiącach dzieci, które zostawiłaś, kiedy się stamtąd wydostałaś. O twarzy Ashley i jej wpatrzonych w ciebie martwych oczach. O oskarżeniu, jakie w nich wyczytasz. „Gdzie byłaś? Czemu nie przyszedł wcześniej?”*

– Jeśli zraniłem cię choć w połowie tak dotkliwie, jak ty ranisz mnie – wyszeptał drżącym głosem – to po prostu mnie dobij! Nie zniosę tego. Powiedz coś. Powiedz *cokolwiek*.

Mogłam to poświęcić. Dla nich byłam gotowa zrezygnować ze swojego największego pragnienia, wiedząc, że rachunek i tak nie będzie równy. Byłam im winna więcej niż swoją miłość. Każdej z tych dziewczyn byłam winna własne życie. Chciałam, by poznały uczucie, które wypełniło mnie, kiedy opuszczaliśmy Oazę. Postanowiłam, że dowiem się, jak wyleczyć OMNI, choćby to była ostatnia rzecz, jaką zrobię, i że kiedy dzieci wyjdą, będą mogły z tego skorzystać. Pozbędą się strasznych umiejętności, które je naznaczyły i uczyniły z nich odmieńców, ale to nie dzięki temu poznają prawdziwą wolność. Wolność będzie oznaczać, że mogą dokonać każdego z wyborów, których przez lata im odmawiano. Będą mogły pojechać wszędzie i być z ludźmi, których kochają.

W ostatecznym rozrachunku mój los nie miał znaczenia. Teraz rozumiałam, o co chodziło Nico, kiedy mówił o wprowadzaniu ulepszeń. Nie mogłam cofnąć czasu i zmienić tego, co je spotkało. Było jednak więcej niż pewne, że potrafiłam ofiarować im władzę nad przyszłością. To warte swojej ceny. Utrata Liama... Opłaci się. Pewnego dnia.

Teraz jednak ta świadomość napełniała mnie wyłącznie bólem. Pragnęłam się

rozpaść na kawałki. Koniec nastąpił w ciszy. Wiedziałam, że Liam to czuje, choć był zbyt uparty, by przyznać się do tego przed samym sobą. Nie zostało już nic więcej do powiedzenia. Odwróciłam się i ruszyłam na górę.

– Wiesz, gdzie mnie szukać – zawołał za mną – jeśli będziesz mnie potrzebować!

Przełknęłam węzeł, który stanął mi w gardle, i nie odwracając się, rzuciłam:

– Nie czekaj na to.

Stałam na szczycie schodów, popychając drzwi, kiedy dodał:

– Może nie będę.

Drzwi zamknęły się za mną z cichym kliknięciem. Moje ciało sztywniało od rozrywającego bólu. Weszłam do najbliższej sypialni i opadłam na jedno z łóżek. Zaciskałam pięści i je rozluźniałam, zaciskałam i rozluźniałam, usiłując się pozbyć nieznosnego napięcia i uspokoić nierówny bolesny oddech, nadać mu jakiś rytm. Śmiech dobiegający ze znajdującej się w głębi korytarza auli zupełnie nie pasował do krzyku w mojej czaszce.

Pamiętam tylko, że nagle świat rozmazał mi się przed oczami. Nie wiem, jak to się stało, ale kiedy w końcu się ocknęłam, stałam w biurze Albana. Gdy się odwróciłam, zobaczyłam w drzwiach dwie postaci. Stały ramie w ramie z identycznym wyrazem troski na twarzach. Jedno spojrzenie wystarczyło im za całą rozmowę.

– Co nas ominęło? – zapytała Vida.

Pytania odbijały się od ścian, gdy Vida, Pulpet, ja oraz Cole, który do nas dołączył, ruszyliśmy tunelem do baru na powierzchni.

– Kiedy przyjechaliście? Czemu nie daliście znać, że wracacie? Naprawdę macie Lillian?

– O tak, mamy ją – potwierdził Pulpet, spoglądając na Vidę. – Tak jak wyjaśnienie głuchej ciszy w telefonie.

Vida prychnęła i splotła ręce na piersi.

– To był przypadek!

– No tak, cóż... – Pulpet ostrożnie poprawił okulary na nosie. – Nasz telefon służbowy *przypadkowo* wypadł z samochodu i ktoś *przypadkowo* najechał na niego, cofając. A wszystko przez to, że ten sam ktoś bardzo się spieszył po tym, jak *przypadkowo* ściągnął na nas uwagę znajdujących się w pobliżu łowców nagród przez *przypadkowe* użycie swoich zdolności do podniesienia latarni... W którą *przypadkowo* wjechał.

– Dobrze tobie radzę, przymknij się, zanim przypadkowo przywalę tobie pięścią w zęby. – Vida trąciła go w ramię, przy czym wyglądała niemal na rozbawioną.

– Dobrze *c i* radzę, przywalę *c i*.

– Poważnie? Chcesz mnie uczyć gramatyki?

Kiedy wspinaliśmy się po drabinie, pozwoliłam, by Cole wyjaśnił im, co się wydarzyło podczas uderzenia na Oazę. Nosłam w sobie zbyt wiele świeżych ran, żeby wyartykułować to, co należało powiedzieć. Co gorsza, miałam tak ciężką głowę, że zdawało mi się, iż jestem pod wodą. Nie mogłam spojrzeć Pulpetowi w oczy bez względu na jego przebiegłe próby zwrócenia mojej uwagi. Wiedziałam, że Liam wszystko mu opowie i że Pulpet stanie po stronie przyjaciela. Nie mogłam się tym przejmować. Nie mogłam zawracać sobie głowy rzeczami, które nie miały bezpośredniego związku z Lillian Gray bądź Thurmond.

Vida wprowadziła naszą czwórkę z zaplecza baru do głównego pomieszczenia. Budynek był zabity deskami i ogołocony z talerzy i szklanek, które zostały zniesione na dół. Otaczało mnie tyle cieni, że niemal przegapiłam drobną postać kulącą się w łożu w rogu na drugim końcu.

Miała na sobie wyraźnie za duże džinsy i koszulę na guziki, zapewne kiedyś należącą do jakiegoś mężczyzny, a na głowie czapkę bejsbolową, pod którą schowała blond włosy. Rozglądała się dookoła i czujnie obserwowała sytuację, trwając jednak w rodzaju stuporu. Rozpoznawałam niezłomność jej spojrzenia i postawy... Odziedziczył je po niej syn. Sam jej widok wystarczył, by nogi odmówiły mi posłuszeństwa, a krew zamieniła się w lód. Zawsze sądziłam, że Clancy fizycznie jest podobny do ojca, ale teraz zwróciłam uwagę na drobne szczegóły, to, jak kobieta splotła ręce na piersi i bębniła palcami o przedramię... Nie powiedziała ani słowa, ale uszy i tak wypełniał mi głos będący echem tego, co słyszałam w umyśle jej syna. „Clancy, mój słodki Clancy...”

Gwałtownie wciągnęłam powietrze.

– Nie trzymali jej w gmachu głównym bazy – powiedziała Vida – ale w jednym z mniejszych budynków na jej terenie. Trafiliśmy na trop tylko dzięki temu, że podsłuchaliśmy rozmowę radiową między członkami Ligi. Ustalali szczegóły wymiany doktor Gray na porwanych ostatnio agentów... Ludzie prezydenta zostawili ich przy życiu *w y ł q c z n i e* po to, by móc ich wymienić. Więc się myliłeś, baranie – zwróciła się do Cole’a. – I lepiej, żeby to naprawdę się opłacało, bo mogłam odzyskać Cate, zamiast sprowadzać tu tę szurniętą babę.

Cole skinął głową i ruszył w kierunku kobiety z taką troską i ostrożnością, jakby podchodził do spłoszonego zwierzęcia.

– Dzień dobry, pani doktor. Już nic pani nie grozi.

Albo go nie zrozumiała, albo miała to gdzieś. Odepchnęła jego dłoń, odwróciła się i rzuciła pędem do drzwi. Walała pięściami w wypłowiałe drewno tak mocno, że od samego patrzenia rozboleły mnie ręce.

– Błady... au... wyjść... auto... więcej... teraz... teraz... jeden, dwa, trzy, cztery, pięć...

Jej słowa nie brzmiały jak słowa. Wymawiała je dziwacznie i niepoprawnie akcentowała. Zupełnie jak ktoś, kto mówi z pełnymi ustami albo z językiem wciśniętym między zęby.

Odwróciłam się do Vidy, która wydała z siebie jedynie zmęczone westchnienie.

– Jak na kogoś, kto nie potrafi mówić i nie wie, po co się chodzi do toalety, nieźle daje popalić.

– Ale przecież coś mówi...

Przerwał mi gardłowy jęk i zobaczyłam, jak Cole podnosi kobietę i usiłuje unieruchomić jej ręce wzdłuż ciała.

– Nic nie rozumie... Próbowaliśmy pisać, mówić powoli i w różnych językach – powiedział Pulpet, pocierając brodę. – Jeśli cokolwiek zostało w jej głowie, to nie potrafi tego wydobyć.

Jest różnica między złamaniem a doszczętnym zniszczeniem. W pierwszym wypadku można mieć nadzieję, że obiekt da się poskładać w całość. W drugim nie ma odwrotu.

Wcisnęłam twarz w dłonie. Nie próbowałam dłużej złapać spojrzenia ciemnych oczu Lillian Gray, które chaotycznie błędziło wokoło. Przydzieliliśmy jej pokój po jednym z agentów. Była z nami od wczorajszego popołudnia, ciągle jednak się bała i trzęsła, jak gdybyśmy wyciągnęli ją z Atlantyku w połowie stycznia. To cud, że jeszcze nie padła ze zmęczenia.

Wnętrze jej umysłu... Nie potrafiłam go opisać. W gruncie rzeczy nie było czego opisywać. Kiedy wnikałam do jej wspomnień po raz pierwszy, natychmiast się wycofałam – tak bardzo zakręciło mi się w głowie, że prawie zwymiotowałam. Panował w nich zupełny chaos. Jaskrawe przebłyski obrazów migwały bez jakiegokolwiek porządku, w ułamku sekundy zastępowane przez nowe. Wszystko wirowało zbyt szybko, bym mogła się o cokolwiek zaczepić. Miałam wrażenie, że jadę samochodem, który w jednej chwili przyspiesza od zera do setki. Wbiło mnie w fotel, aż zaczęłam się zastanawiać, czy kobieta robi to celowo.

– Proszę pani – powiedziałam ostro, usiłując przyciągnąć jej uwagę. – Może mi pani powiedzieć, jak się pani nazywa?

– Naaahhzyyywaa – wybąkała, gniotąc w dłoniach brzeg czapki bejsbolowej. – Nie... dobry... blady... cień...

– Boże. – Senator Cruz schowała twarz w dłoniach. – Jak wy to znosicie? Biedaczka...

Cole odepchnął się od ściany, o którą się opierał.

– Myślę, że na dzisiaj wystarczy, perełko.

– Ale nie zrobiłam żadnego postępu.

– Może tu nie da się robić postępów – odparła pani senator i położyła mi rękę na plecach.

Pierwsza dama była jedynym dostatecznie ważnym powodem, dla którego senator Cruz dała się wyciągnąć ze swojego pokoju, z dala od Rosy. Zaczynałam żałować, że w ogóle przyszła – rozczarowanie samą sobą było dla mnie wystarczająco przykre... Świadomość, że po wszystkim, co dla nas zrobiła, zawodzę także ją, stawiała się nie do wytrzymania.

– Próbuję dopiero od niespełna dwóch dni. – Upierałam się przy swoim. – Dajcie mi przynajmniej jeszcze jedno popołudnie.

Lillian Gray zmieniła pozycję i teraz leżała na niewielkim łóżku z twarzą wciśniętą w poduszkę. Czułam wylewającą się z niej frustrację. Nie powstrzymałam jej, kiedy zaczęła raz po raz walić ręką w pokryty plastikowym workiem materac.

Westchnęłam, pocierając czoło.

– No dobrze. Zróbmy sobie przerwę.

– Ile możemy powiedzieć pozostałym o jej stanie? – zapytała pani senator.

Vida i Pulpet obiecali, że będą trzymać język za zębami i że jeśli któreś z dzieci zacznie o nią wypytywać, wyjaśnią, iż kobieta jest wycieńczona i potrzebuje odpoczynku. Dawało mi to nieco czasu, by wymyślić, jak jej pomóc.

Wyznanie pozostałym całej prawdy nie wchodziło dla mnie w rachubę. Gdyby zobaczyli, że ich jedyna nadzieja na odszyfrowanie wyników badań nad sposobem leczenia oraz dokumentów, które zdobyliśmy, jest w takim stanie... Podejrzewałam, że przekonałoby ich to jeszcze bardziej do stanowiska Liama. W przeciwieństwie do nas on przynajmniej coś robił.

Odkąd opuściliśmy Los Angeles, Cole i ja budowaliśmy zaufanie dzieci na zapewnieniach, że zdobędziemy informacje o przyczynach i leczeniu OMNI. Minęło wiele tygodni, a my nie mieliśmy nic, co potwierdzałoby, że spełniamy obietnice. Nawet dzieci z Oazy spędzały więcej czasu w garażu niż w samej bazie. Widywałam je tylko wówczas, gdy przychodziły do kuchni po posiłki, które zresztą i tak zabierały ze sobą, by zjeść je w garażu.

– Przełożę klamkę w drzwiach, żeby móc je zamykać od zewnątrz. Jeśli powiemy dzieciom, żeby nie przeszkadzały, nie będą jej niepokoić – stwierdził Cole.

Najpierw musiałyby wyjść z garażu.

– Martwię się o agentów. O Cate – powiedziałam. – Jaka będzie reakcja ludzi Graya, kiedy się zorientują, że Liga nie ma Lillian?

– Liga będzie robić dobrą minę do złej gry tak długo, jak to tylko możliwe – zapewnił mnie Cole. – Przecież mówiłem ci, co powiedział Harry. On i jego kilku kolegów ze służb specjalnych zamierzają zbadać doniesienia o tajnym więzieniu niedaleko Tucson. Wygląda na to, że odkurzają swoje zielone berety.

Nie byłam w stanie pojąć, jak Harry zdołał się dowiedzieć o tajnym więzieniu, skoro z definicji nie mogło widnieć w żadnych dokumentach. Nie chciałam jednak wypytywać o to Cole’a w obecności senator Cruz.

– Brzmi obiecująco – powiedziała kobieta i posłała mi lekki uśmiech.

Potrząsnęłam głową. To żadne pocieszenie.

Ściągnęłam Lillian czapkę i brudne tenisówki, by położyć ją pod kocem. Miała wynędzniałą twarz, ale dostrzegałam w niej ślady wyjątkowej piękności, którą kiedyś była.

Zmrużyła oczy i w jednej chwili zamieniła się dla mnie w swojego syna.

– Alban życzyłby sobie, by pani tu z nami była – zwrócił się do niej łagodnie Cole. – Ma tu pani przyjaciół. *Przyjaciół. Tu jest bezpiecznie.*

– Alban? – Lillian usiadła wyprostowana, skopując koc, którym starannie ją nakryłam. – John?

Wymieniliśmy z Cole’em czujne spojrzenia, ale tak samo niespodziewanie kobieta znowu zaczęła bełkotać pod nosem:

– Stało... to... zły... mnie...

Cole podszedł do małego biurka stojącego na prawo od wejścia i otworzył szufladę.

– Pani doktor, mamy kilka rzeczy, na które rzuci pani okiem, kiedy już pani odpocznie, zgoda? Zostawię je tutaj. Mogą się pani wydać skomplikowane. Jest tu wykres...

– Wyyykressy.

Cole podniósł dokumenty, by mogła na nie spojrzeć. Jej reakcja była natychmiastowa. Wyprostowała się jak struna i sięgnęła po nie.

– *Mó ż d ż e k , s z y s z y n k a , w z g ó r z e , o t w ó r m i ę d z y k o m o r o w y ...*

Jej sposób mówienia całkowicie się zmienił, był wyraźny, niemal wskazujący, że odzyskała świadomość. Słowa brzmiały elegancko, jakby przed wypowiedzeniem każdego z nich pieczołowicie nadawała mu kształt językiem.

– Nieźleee – powiedział Cole rozciągliwie. – To było... niespodziewane...

W tym momencie kobieta położyła się na boku i szybko usnęła.

Cole skierował się do drzwi, ale ja nie ruszyłam się z miejsca, wpatrzona w jej sylwetkę. Nie jestem pewna, czemu zapragnęłam znowu spróbować... Być może dlatego, że miałam trochę czasu, by przetworzyć to, co widziałam przedtem w jej głowie, i nagle zrobiłam się po prostu ciekawa.

– Co? – Głos Cole’a stawał się coraz odleglejszy, kiedy wnikałam w jej umysł.

Dotykałam jej najdelikatniej, jak potrafiłam. Tym razem zamiast próbować nawigować wśród połyskujących obrazów, które wyrastały mi pod powiekami, pozwoliłam się im porwać. Zobaczyłam sterty podręczników piętrzące się na biurku, młodych ludzi w ubraniach, które wyszły z mody kilka dekad temu, filmy migające na ekranach w ciemności i oceny z testów. Widziałam bukiet białych róż pasujących do sukienki, którą miała na sobie – którą ja miałam na sobie – i młodszą, przystojniejszą wersję prezydenta czekającego na końcu długiej nawy udekorowanej girlandami kwiatów. Szpitale, maszyny, place zabaw, dziecięce ubranka, małego chłopczyka z czarnymi włosami siedzącego przy kuchennym stole plecami do mnie. Wszystkie urywki wspomnień były spójne i przepływały tak gładko, jakbym sama je

prowadziła. Nagle nastąpiła jednak zmiana. Eksplozja tęczy kolorów zalała oglądane przeze mnie sceny i zaczęłam opadać do tyłu w białą mgłę, gdzie otaczała mnie jedynie pustka.

Sen. Zapadła w głęboki sen i zarówno jej ciało, jak i umysł się rozluźniły. Kiedy opuściłam jej wspomnienia i odsunęłam się od łóżka, nawet nie drgnęła.

– I co? Co widziałaś? – Cole się niecierpliwił.

Zobaczyłam umysł, który działa i który posiada pełne, spójne wspomnienia. I byłam bardziej zdezorientowana niż kiedykolwiek.

– Myślę... – zaczęłam, podnosząc się z klęczek. – Muszę porozmawiać z Pulpetem.

Wyczuwając, że coś się święci, albo po prostu z czystej ciekawości, Pulpet czekał na mnie w sali komputerowej przy jednym z biurek z przodu pomieszczenia. Niczym mury fortecy otaczały go stosy opasłych, wyglądających bardzo groźnie książek. Kilkoro Zielonych zabrało laptopy do garażu, by tam pracować nad planem Liama i Alice, ale Nico jak zwykle siedział na swoim miejscu. Zauważył mnie wcześniej niż Pulpet. Miał taki wyraz twarzy, że wiedziałam, że to z nim muszę porozmawiać w pierwszej kolejności.

– Trzy kwestie – rzucił. – Pierwsza już załatwiona.

– Chodzi o to, o czym rozmawialiśmy wcześniej?

Uniósł wiszący na sznurku u szyi zwykły czarny pendrive.

– Muszę jedynie znaleźć mniejszy. Taki, żebym mógł go przerobić i wbudować w oprawki okularów.

– Jesteś mistrzem – powiedziałam najzupełniej szczerze.

Cole miał rację: Nico był po naszej stronie, i to nie tylko dlatego, że musiał coś udowodnić.

Słyszając komplement, chłopiec trochę się zarumienił i zaczął się wiercić zakłopotany, ale po chwili dodał szeptem:

– Druga kwestia, o której rozmawialiśmy...

– Rozmawialiśmy o wielu rzeczach – zauważyłam.

Nico zaczął klikać myszką i otworzył znajomą bazę danych.

– Ktoś coś wysłał? Znowu?

– E-mail dwa dni temu. Noc przed akcją w Oazie. Adres IP należy do jednego z laptopów. Skorzystano z niego, kiedy jeszcze był w tym pomieszczeniu. Wiadomość wysłano na adres, który następnie został skasowany.

– Możliwe, że ktoś kontaktował się z Powiększeniem? – zapytałam, nie kryjąc goryczy w głosie.

Wzruszył ramionami.

– Najprostsze wyjaśnienie zwykle jest najlepsze – stwierdził.

Lekko zmrużyłam oczy.

– Ale ty w to nie wierzysz, tak?

– To po prostu podejrzane... Liam twierdzi, że kontaktował się z ludźmi z Powiększenia wyłącznie osobiście. Nie mam pojęcia, po co ktoś miałby teraz przekazywać im nasze dokumenty i kto mógłby to być. To przyciągnęło moją uwagę, bo zawierało bardzo prosty przekaz. Myślisz, że to mógł być Cole?

– Zapytam go. Nie wiem, w jaki sposób kontaktuje się ze swoim ojczymem.

– To dość bezpieczna metoda nawiązywania kontaktów – stwierdził Nico z uznaniem. – Liam i pozostali nie kryli się z tym, że wczoraj w nocy wysłali zmontowany materiał filmowy.

– Tak szybko go poskładali? – zapytałam oschle. – Czy cokolwiek z tego trafiło do mediów?

– To właśnie jest trzecia rzecz, którą chciałem poruszyć. – Nico kliknął i otworzył kolejne okno. – To, co zobaczysz, jest już *offline*. Ludzie Graya zablokowali główne serwisy informacyjne, by zyskać czas na przerobienie całej historii, ale zdjęcia i film pokazały się na setkach forów i kilku stronach, które Powiększenie wpuściło do sieci. Stworzyli setki różnych wersji tej samej strony z odmiennymi nazwami domen i słowami kluczami zapisanymi w kodzie. Dzięki temu, kiedy ludzie wpisują w wyszukiwarce różne terminy, zawsze wyskakuje przynajmniej jedna z nich. Zrobiłem rzuty ekranu wszystkiego, co udało mi się znaleźć, na wypadek gdybyś chciała to zobaczyć.

Jako przykład otworzył zdjęcie strony głównej CNN, której połowę zajmował materiał o Oazie. Moim oczom ukazały się miniatury zdjęć budynku obozu i dzieci wychodzących z pomieszczeń sypialnych z zamazanymi twarzami oraz nas od tyłu, kiedy bieглиśmy korytarzem ku drzwiom w ostatnich chwilach akcji. Największa fotografia przedstawiała ścianę z dziesiątkami czerwonych odcisków dłoni, które na pierwszy rzut oka wyglądały jak rozmazana krew. Nad wszystkim widniał tytuł: *TO NIE OAZA. OBÓZ „REHABILITACYJNY” WIDZIANY Z BLISKA*.

– Wyświetlili również ten film – dodał Nico.

Już kiedy się ładował, zatrzymany na pierwszym nieruchomym kadrze, wiedziałam, co zobaczę.

Nie było widać mojej twarzy, Alice filmowała zza moich pleców, by lepiej uchwycić wychodzące z pomieszczeń dzieci. *Nazywam się... – Moje imię zostało zastąpione piskiem. – Jestem jedną z was. Wszyscy jesteście tacy jak wy oprócz kobiety z aparatem. Chcemy was stąd wyciągnąć... Zabrać w bezpieczne miejsce. Ale powinniśmy się spieszyć. Musicie wyjść stąd tak szybko, jak tylko dacie radę bez zrobienia krzywdy sobie i pozostałym. Ruszajcie za nimi. Raz-dwa, raz-dwa. Dacie radę?*

Ścisnęłam krawędź biurka tak mocno, że Nico odchylił się w tył i powiedział:

– Rozumiem, że nie zapytali cię o zgodę na upublicznianie wizerunku.

– Nie. Nie zapytali. – Kolejny raz zrobiło mi się przykro. Poczułam się tak, jakby rzucali mi to w twarz.

Reszta nagrania zawierała różne ujęcia zmontowane ze sobą nie po kolei. Pokazywały skrupowanych, zakneblowanych żołnierzy i zbliżenia ich mundurów oraz sprzętu z oznaczeniami wojskowymi. Wszystko dobrane celowo, by dodać przekazowi autentyczności.

– Z komentarzy, które wyczytałam na różnych forach, wynika, że przynajmniej dwie duże gazety podchwyciły tę historię. Kiedy jednak włączyłem wiadomości, pokazywali w nich już ekspertów rządowych, którzy analizowali materiały, wskazując na szczegóły świadczące o rzekomym fałszerstwie. Wiedziałaś, że upublicznili też listę wyzwolonych dzieci? Opublikowali ich zdjęcia portretowe i informacje o tym, jaką funkcję w Koalicji Federalnej pełnili ich rodzice.

– Nie wiedziałam. – Zgrzytnęłam zębami. – Czy Cole to widział?

– Tak, obejrzelśmy to razem wcześniej. Posłuchaj, podejrzewam, że Liam i reszta właśnie poklepują się z dumą po plecach. Prawda jest jednak taka, że to wszystko na nic. Niespełna dwadzieścia minut po tym, jak materiał dostał się do sieci, Gray wszystko wyczyścił. Co więcej, działalność wielu firm hostingowych została zawieszona. A co do komentarzy na forach, popatrz. – Wskazał na godzinę, o której umieszczono wpis. – Ten jest z samego rana, wpisano go zaraz po upublicznieniu materiału.

Ktoś skomentował: „To ohydne. Czy we wszystkich obozach tak jest?”.

– Dwie godziny później ton wypowiedzi się jednak zmienił.

„To mistyfikacja! Za ładnie to poskładali. Sam mógłbym coś takiego zmontować we własnym ogródku z kilkoma aktorami”.

W komentarzu poniżej czytałam: „W takim razie jak zdobyli zdjęcia dzieci? Ze starych dokumentów? Starych filmów?”.

„Słyszałeś kiedyś o Photoshopie?”, brzmiała odpowiedź.

– Wielu ludzi uważa, że to nieprawda. Problem po części leży w tym, że oni... że my nie mamy nazwy ani tożsamości jako grupa. Nie możemy wziąć tego na siebie i dowieść swojej wiarygodności, przedstawiając dowody na przeprowadzenie podobnych akcji w przeszłości. Powiększenie jest znane jedynie z rozdmuchiwania informacji upublicznionych przez inne instytucje, stąd też ich nazwa. Tylko że nawet oni nie mieli wystarczająco dużych sukcesów, by zdobyć pełne zaufanie społeczeństwa.

– Ale ludzie przynajmniej zobaczyli zdjęcia – powiedziałam. Bez względu na to, jak bardzo Nico temu zaprzeczał, niewątpliwie było to małe zwycięstwo. Miałam nadzieję, że jeśli teraz ktoś pomyśli o obozach, pierwszym, co stanie mu przed oczami, będą te obrazy.

– To nie wyzwoli dzieci z Thurmond. – Ciemne oczy Nico błyszczały. – Wierzę w nasz plan. To jedyne rozwiązanie.

– Dzięki. – Ścisnęłam jego ramię. – Informuj mnie na bieżąco, zgoda?

Pokiwał głową i odwrócił się do komputera, przenosząc palce nad klawiaturę.

Wstałam i skierowałam się do Pulpeta. Był nieznacznie pochylony w stronę stanowiska Nico i miał minę kogoś, kto udaje, że nie podsłuchuje, choć i tak wszystko słyszy.

– Dlaczego nie pracujesz w garażu? – rzuciłam i usiadłam na pustym krześle obok.

– Nie wiem, o co ci chodzi – odparł, chociaż było jasne, że miał pełny obraz sytuacji. Albo przynajmniej jego połowę: z punktu widzenia Liama.

– Pewnie. Ale jeśli właśnie tam chcesz być... Rozumiem, że staniesz po stronie przyjaciela. Tak jak wszyscy pozostali. – Nawet Zu. *N a w e t Z u*.

Walnął dłońmi w blat biurka.

– Jest tylko jedna strona. Strona przyjaźni, zaufania i miłości! I to po tej stronie powinniśmy stanąć jak jeden mąż! *O d m a w i a m* uznania, że istnieje jakakolwiek inna strona! Rozumiesz?!

Zamrugalam.

– Tak.

– Niemniej jednak jako współzałożyciel Zastępu Realistów jestem *s k ł o n n y* sądzić, że dzieciaki z garażu są zbytними idealistami, skoro wierzą, że ich działania przyniosą szybki skutek... Zresztą dowiodła tego twoja rozmowa z Nico.

– Co sądzi o tym Vida? – zapytałam.

– Vida jest teraz na siłowni, nie w garażu. Zresztą z natury bardziej ciągnie ją do rozwiązań zakładających użycie broni i materiałów wybuchowych.

Skinęłam głową, po czym wskazałam na książki – z bliska byłam w stanie stwierdzić, że wszystkie traktowały o medycynie.

– Próbujesz się dowiedzieć, co dolega doktor Gray?

– Tak. Poczyniliście jakieś postępy na tym froncie?

Odwzajemniłam jego wątki uśmiech.

– To dziwny przypadek. Gdy próbowałam zajrzeć do jej umysłu, kiedy była przytomna, panował w nim potworny chaos: był pełen niesamowicie intensywnych kolorów, dźwięków i pędzących obrazów. Kiedy jednak zrobiłam to ponownie, gdy spała, napotkałam prawdziwe wspomnienia. Spójne i kompletne.

– Jak długo zdołałaś wytrzymać w jej głowie za pierwszym razem?

– Tylko chwilę. Zemdliło mnie.

Pokiwał głową, analizując nowe informacje.

– Może o to chodziło. Może to jedyny sposób, jaki zna, by nie dopuszczać do siebie Pomarańczowych?

– Też o tym pomyślałam.

– To ma sens. Gdyby twój syn był w stanie wnikać w twoje myśli i zrobić z nich kompletny bigos, nie chciałabyś się nauczyć kilku sposobów, by mu na to nie pozwolić? By się chronić?

Ktoś inteligentny i wystarczająco zdeterminowany, żeby wynaleźć metodę leczenia OMNI, powziąłby wszelkie środki ostrożności, by nie stracić wyników swojej pracy.

– Więc wspomnienia są w jej pamięci, i to nieuszkodzone... – Pulpet zawiesił głos, przebiegając palcem wzdłuż brzegu jednego z otwartych podręczników.

– Skąd je wytrzasnąłeś? – zapytałam, podnosząc jeden z ciężkich jak cegła tomów.

– Z księgarni... Zostały zdobyte po godzinach otwarcia. Vida je dla mnie załatwiła, bo miałem takiego pietra, że nie dałem rady wysiąść z samochodu.

– Cieszę się, że zrobiliście sobie taki przystanek.

Przerzucałam kolejne strony. Większość podręczników dotyczyła anatomii, ale kilka – włącznie z tym, który przeglądałam – traktowało o neurologii. Na ich okładkach widniały ryciny ludzkiego mózgu.

Pulpet podniósł wzrok z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Clancy potrafi się włamywać do ludzkich umysłów, prawda? Co jest w stanie zrobić, gdy już się do jakiegoś dostanie?

Zastanawiałam się.

– Wpływać na uczucia, zamrażać je, by nawet nie drgnęły. Właczać w nie obrazy, by człowiek widział rzeczy, których nie ma.

Za naszymi plecami rozległ się głos Nico:

– Może również... – zaczął, a kiedy na niego spojrzeliśmy, tak się zawstydził, że

wyglądał, jakby pragnął jedynie z powrotem zniknąć za ekranem komputera. – To nie tak, że potrafi tylko zamrażać uczucia... Może sterować ludźmi jak kukiełkami. Kilkakrotnie widziałem, jak to robi z naukowcami w Thurmond. Wnikał do ich umysłów w połowie rozmowy, by podsłuchać ich myśli. Ale ciężko to znosił. Po ostatniej takiej próbie potrzebował całego dnia snu, by dojść do siebie. Dostawał potwornych migren, więc musiał przestać.

Pulpet posłał mi spojrzenie, które odczytałam bezbłędnie. *Przestał, bo miał migreny, a nie z ludzkiej przyzwoitości.*

– Potrafi wpłynąć na czyjeś wspomnienia? – dopytywał Pulpet. – Wymazać je...? Nie sądzę, by dało się wymazać wspomnienia, można je co najwyżej stłumić. Ale czy Clancy umie nimi manipulować?

– Umie w nie wejrzeć. – Ku własnemu zaskoczeniu nagle uderzyła mnie pewna myśl. – Wchodził w moje wspomnienia tylko wtedy, kiedy mu na to pozwalałam. Nie sądzę, by mógł to robić sam z siebie. Kiedy byliśmy w East River, uczył mnie tak naprawdę dlatego, że chciał odkryć, jak ja to robię.

– A co potrafił drugi Pomarańczowy, którego znałaś?

Martin. Na myśl o nim, przeszły mnie ciarki.

– Manipulować uczuciami innych.

Pulpet wyglądał na zaintrygowanego i znowu zaczął przerzucać strony książki, wracając do diagramu przedstawiającego różne części mózgu.

– To fascynujące... Każde z was podczas ataku wpływa na inną część ludzkiego mózgu. Eee, wybacz, nie chciałem, żeby tak to zabrzmiało.

Uniosłam dłoń.

– Nie szkodzi.

– Trudno to wyjaśnić, ale mimo że mózg ma w swoim obrębie wiele odmiennych struktur, wszystkie współpracują ze sobą na różne sposoby. To nie tak, że docieracie do innych części mózgu, ale po prostu działacie na inne systemy w jego obrębie. Na przykład płaty czołowe odgrywają rolę w tworzeniu i przechowywaniu wspomnień, ale tak samo ważna jest w tym część przyśrodkowa płata skroniowego. Czy to ma sens?

– Mniej więcej. Uważasz więc, że jakimś cudem zakłócam różne etapy tego procesu w zależności od tego, co robię?

– Dokładnie. Patrzę na pamięć jako na zbiór różnych systemów, z których każdy działa w nieco odmienny sposób. Należą do nich na przykład tworzenie wspomnień czy choćby przechowywanie. – Pulpet podniósł leżącą przed nim książkę. – Zapamiętanie tego, czym jest ten przedmiot, jak go podnieść, jak czytać tekst i jaki mamy do niego stosunek emocjonalny, wymaga uruchomienia różnych systemów. Z dużą pewnością zakładam, że kiedy „usuwasz” czyjeś wspomnienia, tak naprawdę wcale tego nie robisz. Zakłócasz jedynie kilka głównych systemów i szlaki prowadzące do prawdziwych wspomnień kierujesz do tych wymyślonych... Albo zakłócasz proces kodowania, zanim wspomnienie zostanie ukształtowane i uruchomią się neuroprzekazniki, więc dana osoba nie jest w stanie...

– Dobrze, ale w jaki sposób można się poruszać między różnymi systemami i kontrolować ich odmienne funkcje?

– Nie wiem. Jak zrobiłaś to Clancy’emu?

To pytanie zupełnie mnie zaskoczyło.

– Unieruchomiłaś go tak samo, jak on unieruchomił Liama i Vi. Co zrobiłaś inaczej?

– Wydaje mi się, że chodziło o moją wolę... Zupełnie zeszytniałam i chciałam, żeby z nim stało się to samo... – Urwałam w pół zdania.

Lustrzane umysły.

To mi powiedział, kiedy nie potrafiłam odnaleźć drogi powrotnej z ciemności i rozerwać łączącej nas nici. W chwili, kiedy przywołałam własne wspomnienie, równocześnie przeniosłam się do sfery jego wspomnień. Kiedy znieruchomiałam i chciałam, by zrobił to samo, tak się stało.

Wyjaśniłam swoją teorię Pulpetowi, który pokiwał głową i powiedział:

– To po części ma sens. Kiedy celowo wnikasz w czyjeś wspomnienia, używasz zapamiętanej informacji o tym, jak to zrobić, a nie całej swojej pamięci. O matko, kiedy słyszałem to w swojej głowie, nie brzmiało aż tak zawile. W każdym razie... Wymaga to gotowości na to, że osoba, w której umysł wnikasz, zobaczy twoje

wspomnienia. Czyli rodzaju naturalnej empatii z twojej strony. Nie wyobrażam sobie, by Clancy był gotowy na zrezygnowanie choćby z ułamka kontroli, jaką ma nad swoim umysłem. Albo że ma choćby ślad empatii. Chciałabyś poeksperymentować? Zobaczmy na przykład, czy potrafisz poruszyć moją ręką?

– Nie! – krzyknęłam przerażona. – Chcę tylko wiedzieć, czemu doktor Gray jest w takim stanie. Na jaki system jej mózgu albo na którą z jego części wpłynął Clancy?

Pulpet odchylił się na oparcie krzesła. Jego podekscytowanie nie gasło, przeciwnie – zdawał się niemal radosny.

– Będę potrzebował czasu, żeby znaleźć odpowiedź. Muszę przejrzeć te wszystkie podręczniki.

– Hej, kujony! – krzyknęła Vida, która pojawiła się w progu. Ciągłe była rozgrzana i spływała potem po treningu. – Wydaje mi się, że zainteresuje was to, nad czym pracują ci z garażu.

Zabrało mi dłużą chwilę, żeby zrozumieć, na co patrzę, nawet kiedy podeszliśmy już całkiem blisko. Z tyłu garażu na taśmie klejącej zwisały dwa białe prześcieradła, tworząc tło dla siedzącej przed nimi na składanym krześle Zu. Dziewczynkę zalewał strumień światła z czterech odwróconych i skierowanych na nią lamp biurkowych. Studio nagrań w wersji dla ubogich.

Stały tam dwa dodatkowe krzesła. Jedno naprzeciwko Zu obok aparatu było przeznaczone dla Alice, gmerającej teraz przy urządzeniu. Drugie po prawej stronie Zu zajmował Liam, który właśnie szeptał coś do dziewczynki.

To on pierwszy nas zauważył. Skrzywił się na nasz widok.

– Co tu się dzieje? – zapytał Pulpet, usiłując objąć wzrokiem całą scenę.

– Suzume zgodziła się udzielić nam wywiadu – odparła Alice, wykręcając szyję, by na nas spojrzeć. W dalszym ciągu cała była ubrana na czarno, ale włosy upięła w luźny kok. Obok niej leżały dwa otwarte notesy pełne bazgrołów zapisanych niebieskim atramentem. Na kolanach miała kolejny.

Cole powiedział, że macie tylko jedną szansę, by dowieść, że wasz plan zadziała. Prawie to powiedziałam, ale stwierdziłam, że nie będę sobie strzepić języka. Po kilku godzinach nie można było w pełni ocenić, jaki skutek odniesie pierwszy materiał, który wypuścili.

– Jakiś problem? – zapytał Liam.

Vida gwizdnęła, jakby przewidywała, jak rozwinie się sytuacja. Wbrew pozorom nie przysłałam tu jednak, by wszczynać awanturę.

– Zu, mogę z tobą porozmawiać? Dosłownie przez sekundę – zapewniłam.

Dziewczynka bez wahania pokiwała głową i poczułam, jak napięcie przestaje ściskać mi żołądek.

– Na pewno chcesz to zrobić? – zapytałam, kiedy oddaliśmy się nieco od pozostałych.

Zu entuzjastycznie pokiwała głową i uniosła kciuki.

– Rozumiesz, że jeśli to zrobisz, wszyscy zobaczą twoją twarz? Powiedzieli ci o tym, tak? – Nie chciałam, by pomyślała, że traktuję ją jak dziecko niezdolne do podejmowania własnych decyzji, ani insynuować, że Liam byłby zdolny celowo ją oszukać. Potrzebowałam jednak potwierdzenia od niej samej. Niezależnie od sytuacji zawsze moim pierwszym odruchem w relacjach z przyjaciółmi było zamienić się w tarczę. Stanąć między nimi a bezlitosnym wzrokiem świata. Wyglądało na to, że Zu to rozumiała. Jak to Zu.

Wysunęła z kieszeni mały, cienki notesik i napisała: „Nie było mi wolno walczyć w Oazie. Do Thurmond też mnie nie zabierzecie, prawda?”.

Kiedy potrząsnęłam głową, wydała się nie zdenerwowana, jedynie zrezygnowana. „To jedyne, co mogę zrobić. Chcę pomóc!”

– Mam nadzieję, że nie myślisz, że nie zauważam albo nie doceniam tego, co do tej pory dla nas zrobiłaś – powiedziałam.

Zu odpisała: „Wczorajsze wydarzenia uświadomiły mi, że to ważne, by podnieść głowę i ogłosić światu, w co się wierzy”.

– Liam tak działa na ludzi – szepnęłam.

Chwyciła mnie za rękę i odsunęła kciuk z rogu kartki, żebym przeczytała dalszy ciąg tego, co napisała: „Chcę być taka silna jak ty. Chcę to zrobić, by pomóc ci osiągnąć to, czego pragniesz. Jestem zmęczona strachem. Nie chcę, żeby wygrali”.

Jej słowa na krótką chwilę wypędziły ból z mojego serca. Zdobyłam się na uśmiech i przytuliłam ją tak mocno, że wydała z siebie cichy śmiech, który wstrząsnął jej ramionami.

– W porządku. Liam będzie za ciebie mówił?

Skinęła głową. „Zgodziłam się na to, pod warunkiem że nie będzie go w kadrze. Przysłał na to. Nie chcę, żeby ktoś prześladował z tego powodu jego rodzinę”.

– A co z twoją rodziną?

„Moja rodzina jest tu”.

Przygryzłam usta.

– Masz rację. Jesteśmy z tobą. Jestem przekonana, że zwalisz wszystkich z nóg.

Zu nagryzmoła coś w notesie i podetknęła mi pod nos. „Wiem, ćwiczyłam. Zostaniesz, żeby mnie zobaczyć?”

– Jasne.

Pulpet i Vida stali tam, gdzie ich zostawiłam, rozmawiając cicho zwróceniami plecami do Liama. Kiedy do nich podeszłam, odsunęli się od siebie. Zu usiadła z powrotem na krześle i cicha wymiana zdań między Liamem i Alice również się urwała.

Czułam, że na krótką chwilę oczy Liama spoczęły na mnie, ale nie oderwałam wzroku od Zu. Kiedy rzuciła mi ostatnie spojrzenie, uśmiechnęłam się do niej, by dodać jej odwagi.

– Gotowa? – zapytał Liam.

– Mam dla niej zeszyt i długopis – oznajmiła Alice, po czym podniosła z podłogi jeden z notesów i podała go Zu. – Jeśli w którymś momencie będzie chciała przestać, musi mi tylko powiedzieć. Tak się umówiliśmy.

– Wiem. Zaczynamy.

Liam otworzył i zamknął usta, ale już nic więcej nie dodał. Alice zaczęła jeszcze chwilę, na wypadek gdybym chciała wystosować ewentualny protest, po czym się odwróciła. Stałam za nią i widziałam, jak przełącza aparat z trybu robienia zdjęć na nagrywanie. Zu nie dała rady długo patrzeć w obiektyw bez wyrazu nieufności na twarzy. Obserwowałam, jak poprawia sobie białą podkoszulkę i džinsy, jak układa dłonie na kolanach, splata i rozplata palce, krzyżuje i rozkrzyżowuje nogi.

– Dobrze, skarbie, postaraj się pisać wyraźnie i dużymi literami, żeby Liam mógł to z łatwością przeczytać. Jeśli nie będziesz chciała odpowiadać na któreś pytanie, po prostu potrząśnij głową. Zgodza? Świetnie, zacznijmy od dwóch prostych pytań. Powiedz mi, proszę, jak masz na imię i ile masz lat.

Zu pochyliła się nad notesem. Wyglądała, jakby odczuła ulgę, że nie musi patrzeć w obiektyw. Podejrzywałam, że to właśnie dlatego postanowiła zapisać odpowiedź, mimo że Liam świetnie ją znał.

– Nazywam się Suzume – odczytał Liam. – Mam trzynaście lat.

– Suzume? Co za urocze imię.

– Dziękuję. Przyjaciele mówią na mnie Zu.

– Wyjaśnisz nam w kilku słowach, dlaczego mówi za ciebie przyjaciel?

Zu oderwała wzrok od aparatu i spojrzała na kogoś tuż obok mnie. Kątem oka zauważyłam mały ruch – to Vida pospiesznie, ale dyskretnie uniosła kciuki.

„Ćwiczyłam”, przypomniałam sobie słowa Zu.

– Ponieważ... ponieważ przez bardzo długi czas byłam zbyt przerażona, by cokolwiek powiedzieć. I nie sądziłam, że ktokolwiek będzie chciał mnie słuchać – odparła samodzielnie Zu.

Liam podskoczył, jakby postrzelono go prosto w serce. Był w takim szoku, że zrobił się całkiem blady. Na dźwięk jej słodkiego wysokiego głosu świat nagle przestał wirować mi pod stopami. Mówiła, delikatnie się zacinając, a jej słowa zabarwiało zdenerwowanie, którego nie zdradzała jej twarz. Brzmiała zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy mówiła przez sen, w jej głosie nie było szorstkości nieużywanych strun głosowych.

– Udało mi się – powiedziała, jakby sama się zaskoczyła.

– Udało ci się! Dobra robota, Zet! – krzyknęła Vida. Tylko jej donośne klaskanie zakłócało zalegającą wokół ciszę.

Usadowione na podłodze dzieci oglądające wywiad wyglądały na zszokowane. Pulpet pospiesznie wyminął mnie, Vidę i Alice, która podniosła się, by przestawić aparat, po czym bez ostrzeżenia rzucił się na Zu. Kiedy ją przytulał, jego twarz wyrażała najszczerszą radość i nawet nie próbował ukrywać łez, które zaczynały mu się toczyć po policzkach.

– Ja tu próbuję udzielić wywiadu... – protestowała Zu głosem tłumionym przez jego koszulkę. Po chwili jednak poddała się i tylko klepała przyjaciela po plecach.

– Dobra, Charlie – powiedziała Vida. – Pozwól dziewczynie dokończyć, zanim utopisz ją we łzach. Daj spokój. – Ostrożnie usunęła go z planu i gdy przyprowadziła go z powrotem na miejsce, to na mnie skierował resztki swojej czułości.

Z wdzięcznością wykorzystałam okazję, by odwrócić wzrok od Zu. Dzięki temu łatwiej przełknęłam łzy, które mnie również zaczynały nabiegać do oczu.

– Czemu zachowujecie się jak nie... niepoważni? – głos Zu zaczął brzmieć

pewniej i silniej. – Możemy zacząć od nowa?

Liam wstał z zamiarem odsunięcia od niej swojego krzesła, ale chwyciła go za rękę i szepnęła mu coś na ucho. Stał do nas plecami, jednak kiedy przeciągał krzesło poza zasięg obiektywu, zdołałam dostrzec wyraz jego twarzy – widniały na niej duma i szczęście, od których aż ścisnęło mnie w gardle. Usiadł, a Zu natychmiast zmieniła pozycję, zwracając się ku niemu zamiast ku dziennikarce. Mała wyglądała zupełnie inaczej. Dziewczynka rozluźniła się na tyle, że zaczęła machać nogami.

– Może tak być? – Liam skierował pytanie do niej i do Alice.

Dziennikarka skinęła głową i wykreśliła dwa kolejne punkty ze swojej listy.

Następne pytanie dotyczyło koloru, jaki został przypisany Zu, oraz jej umiejętności i płynnie prowadziło do ważniejszej kwestii.

– Zostałaś wysłana do obozu przez rodziców czy schwytali cię żołnierze?

– Zniszczyłam samochód ojca. Przez przypadek zepsułam silnik. Nie chciałam. Do tamtej pory spaliłam tylko kilka lamp i swój budzik. Rodzice rozmawiali o terrorystach... Wydaje mi się, że mówili, że to terroryści wywołali OMNI i że jak najszybciej musimy wrócić do Japonii. Zdenerwowałam się i... Straciłam nad sobą kontrolę... Spaliłam silnik i uderzyły w nas jadące z tyłu samochody. Mama miała złamaną miednicę. Kiedy wyszła ze szpitala, uparła się, żebym od poniedziałku wróciła do szkoły. To były pierwsze łapanki.

Łapanki były serią porwań przygotowywanych za plecami dzieci. Jeśli rodzice czuli się zagrożeni przez własne potomstwo albo sądzili, że maluchy mogą zrobić krzywdę sobie lub innym, wysyłali je do szkoły w określone dni tygodnia i tam przejmowały je Siły Specjalne Psi.

– Wspomniałaś, że teraz już potrafisz kontrolować swoje umiejętności. Jak się tego nauczyłaś?

Zu wzruszyła ramionami.

– Ćwiczyłam. I przestałam się ich bać.

– Co chciałabyś powiedzieć ludziom, którzy uważają, że jeśli dzieci z Psi nauczą się panować nad swoimi zdolnościami, staną się zagrożeniem dla innych?

Zu zrobiła minę, jakby chciała powiedzieć: „chyba sobie żartujesz”.

– Większość dzieci chce je kontrolować, by móc poczuć się normalnie. Czemu miałabym palić każdy włącznik światła czy każdy telefon, którego dotykam? Każdy komputer? Być może są tacy, którzy to wykorzystują, ale większość z nas... Jesteśmy bardziej niebezpieczni, kiedy nie umiemy nad tym panować. Każdy jest w stanie się tego nauczyć, jeśli tylko da mu się czas.

– Jak się czułaś, kiedy zdałaś sobie sprawę, że zostałaś porwana przez Siły Specjalne Psi tamtego dnia? – zapytała Alice.

– Sądziłam, że to jakaś pomyłka. – Zu spuściła wzrok i wbiła go w dłonie. – A potem czułam się głupia i mała... Jak śmieć.

Dziennikarka najwyraźniej ułożyła wywiad tak, by wycisnąć z ran Zu ostatnią kroplę krwi. Chciała poznać każdy przerażający szczegół. Po pytaniu o porządek dnia w Caledonii zadała następne o to, jak żołnierze traktowali dzieci na co dzień i w chwilach, kiedy im czymś podpadły. Świadomość, że Zu przeszła przez to wszystko, była nieznośna, ale Alice nie odpuszczała.

– Wspomniałaś wcześniej, że wydostałaś się z Caledonii, bo udało ci się uciec. Możesz opowiedzieć, jak to się stało?

Zu skrzyła się trochę i pochyliła, by lepiej widzieć Liama. Obserwował ją z rękami zaplecionymi na piersi, z trudem kontrolując emocje malujące mu się na twarzy. Kiwnął delikatnie głową i posłał jej rozdzierający serce łagodny uśmiech, jakby mówił: „no dalej”.

– Mój przyjaciel planował to od wielu miesięcy... Wtedy jeszcze się nie przyjaźniliśmy, ale był dla wszystkich bardzo miły. To mądry chłopak. Wiedzieliśmy, że będziemy mieć tylko jedną szansę, by się wydostać. On był tą szansą... – Następnie Zu wdała się w szczegóły ucieczki i systemu przekazywania sobie informacji przed pamiętną nocą. – I potem zaczęliśmy realizować plan... Wszystko szło dobrze. Dzień wcześniej spadł śnieg i wszędzie piętrzyły się zasy. Trudniej było przez to biec, ale dzięki temu wiedzieliśmy, że starsze dzieci dotarły do budki... Do budki strażniczej przy wyjściu. Próbowaliśmy wyłączyć prąd i otworzyć bramę. Nie wiem, co dokładnie, ale coś poszło nie tak. Nadzorcy jakoś je zatrzymali. Potem po prostu...

Alice dała jej kilka chwil na pozbieranie myśli, po czym przynagliła:

– Co zrobiliście? Jak zareagowali żołnierze i nadzorcy obozu?

Zu nie potrafiła tego z siebie wydusić. Zapamiętałam tę scenę bardzo żywo, choć widziałam ją tylko odtworzoną w pamięci dziewczynki. Ktoś, kto naprawdę to przeżył... Rzuciłam ukradkowe spojrzenie Liamowi. Ani drgnął. Wciąż siedział sztywno, a jego skóra nabrała popielatej barwy.

W końcu Zu podniosła dłoń, złożyła palce, imitując lufę pistoletu, i „wysztrelila” w kierunku aparatu. Alice aż się wzdrygnęła.

Czemu to takie zaskakujące? – zastanawiałam się. – *Przecież właśnie to robią żołnierze. Jakim cudem społeczeństwo nie brało pod uwagę takiej możliwości, skoro oddało dzieci w ręce wojskowych?*

– Czy twierdzisz, że otworzyli ogień do uciekających dzieci? Jesteś pewna, że używali ostrej amunicji?

– Śnieg zrobił się czerwony – odparła beznamiętnie Zu.

Alice wbiła wzrok w notes na kolanach, jakby nie wiedziała, o co zapytać.

– Podejrzewam, że oni nie widzą w nas ludzi – dodała dziewczynka. – W przeciwnym razie nie dopuszczaliby się takich rzeczy. Żołnierze zawsze wydawali się nam trochę wystraszeni, ale też strasznie wściekli. Nie podobało im się, że muszą być w obozie. Przezywali nas na różne sposoby. Byliśmy „zwierzętami”, „odmieńcami”, „potworami”. Używali też brzydkich słów, których nie powinnam powtarzać. Dzięki temu jakoś sobie radzili. Dopóki w ich umysłach nie byliśmy ludźmi, mogli się dopuszczać okrucieństw bez wyrzutów sumienia. Tamtej nocy byliśmy jak zwierzęta w zagrodzie. Większość z nich strzelała do nas z okien budynku obozu. Czekali, aż któregoś z nas zbliży się do bramy, i wtedy...

Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jaką Zu zgromadziła publiczność, do chwili, kiedy usłyszałam, jak ktoś wydaje z siebie cichy jęk. Niedaleko za nami stał Cole i pozostałe dzieci. Większość z nich skupiała się na bladej twarzy Zu, ale Cole obserwował brata.

– Jak uniknęłaś ich losu? – Alice wyglądała na szczerze poruszoną i zaangażowaną.

– Kiedy w końcu udało się nam otworzyć bramę, mój przyjaciel, ten sam, który to

wszystko zaplanował, wziął mnie na ręce i wyniósł. Upadłam i nie mogłam się zmusić, by wstać i biec. Niósł mnie godzinami. Potem znaleźliśmy samochód, niewielką furgonetkę, i jechaliśmy przed siebie przez wiele dni, by uciec jak najdalej. Od tamtej pory nieustannie szukaliśmy bezpiecznych kryjówek.

– Jak przetrwaliście taką tułaczkę? Jak znajdowaliście żywność i schronienie?

– My... Nie chcę odpowiadać... – powiedziała, a kiedy Alice wyprostowała się zaskoczona, dodała: – Na wolności ciągle przebywa wiele dzieci, które wciąż muszą zabiegać o te rzeczy. Nie chcę zdradzać ludziom, którzy ich szukają, gdzie są albo gdzie można się ich spodziewać. Mieliliśmy wiele różnych sposobów. Musieliśmy się nauczyć być niewidzialni i minimalizować ryzyko.

– Mówiąc o „ludziach, którzy ich szukają”, masz na myśli łowców nagród? Sprawdziłam twój profil w ich sieci. Nagroda za „odzyskanie” i zwrócenie cię w ręce SSP wynosi trzydzieści tysięcy dolarów. Wiedziałaś o tym?

Zu pokiwała głową.

– Czy złości cię, że ktoś chce zarobić na tobie w taki sposób?

Dłuższą chwilę namyślała się nad odpowiedzią, która powinna być bardzo prosta: „Tak, złości mnie to. Jestem wściekła”.

– Nie wiem – odparła w końcu. – Czasem jestem bardzo zła. Cena nie jest odzwierciedleniem tego, ile warte jest moje życie: tego nie można oszacować. Istnieje stała stawka początkowa wynosząca dziesięć tysięcy dolarów, która następnie wzrasta w zależności od naszego koloru i tego, jak oceniają naszą zdolność do walki. Myślę, że to niezła cena, bo pokazuje, że niełatwo się poddać. Oznacza, że będę walczyć we własnej obronie.

Alice zrobiła zbliżenie i twarz Zu wypełniła wyświetlacz z tyłu aparatu. Dziewczynka mówiła dalej:

– Są ludzie, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, którzy z tego żyją. I to nie z powodu braku pieniędzy, ale dlatego, że to *l u b i q* albo myślą, że są w tym dobrzy. To obrzydliwe. Zachowują się tak, jakby panował sezon łowiecki. Myślę jednak, że większość tych nieszczęśników została do tego zmuszona. Potrzebują środków do życia. Żołnierze SSP muszą to robić ze względu na obowiązkowy pobór do wojska.

Podaję, że gdyby przystanęli na dłuższą chwilę, by się nad tym wszystkim zastanowić, zrozumieliby, że tak naprawdę nie są źli na nas za to, co się stało. Być może się nas boją, ale w rzeczywistości są wściekli na ludzi, którzy nie zapewnili im bezpieczeństwa: na rząd i prezydenta. Nie mają do nich dostępu, więc wyżywają się na nas. Zachowują się, jakby OMNI było naszą winą, a nie czymś, co nas spotkało. Winią nas i za krach gospodarczy, i za utratę domów.

Alice zaczęła zadawać kolejne pytanie, ale Zu jeszcze nie skończyła.

– Znałam jednego z nich. Był dobrym, wspaniałym człowiekiem. Niestety, jeśli ktoś chce zostać łowcą nagród, musi dowieść, ile jest wart. Dostęp do systemu i cały sprzęt dostaje się dopiero po tym, jak zgłosi się pierwsze dziecko. – Zu wyrzucała z siebie lawinę słów, mnąc notes w dłoniach. – Jechałam do Kalifornii z grupą dzieci. Ścigało nas dwóch prawdziwych, żądnych pieniędzy łowców, o jakich wspominałam. Sprawili, że nasz samochód się wywrócił i rozbił z taką siłą, że jeden z moich przyjaciół zginął na miejscu... Pojmaliby mnie, ale nagle pojawił się jeszcze jeden łowca i wydostał mnie z auta... Uwięził mnie zaklinowany pas. Powinnam była od tego zacząć. Nie mogłam sama się wydostać i uciec jak pozostali.

Liam głośno zaklął. Ja byłam zbyt oszołomiona, by zdobyć się na jakąkolwiek reakcję – mogłam jedynie słuchać dalej.

– Czy był jednym z tych, o których wspomniałaś? Musiał wydać dziecko, żeby zacząć? Możesz nam o nim opowiedzieć?

Skinęła głową.

– Był stary. Nie jakoś strasznie, ale z pewnością grubo po dwudziestce. Może miał jakieś dwadzieścia siedem?

Alice roześmiała się cicho.

– Dwadzieścia siedem to nie taki stary.

Zu tylko wzruszyła ramionami.

– To wszystko stało się w Arizonie... Podaję, że pochodził z Flagstaff albo Prescott, ale nie jestem pewna. Był naprawdę wściekły. Przytrafiło mu się coś bardzo smutnego. Widziałam to po nim, choć nigdy o tym nie wspomniał. Pragnął odmienić swój los, ale nie mógł tego zrobić, bo nie miał pieniędzy. Bez względu na to, ile razy

powtarzał, że mnie zgłosi, wiedziałam, że tego nie zrobi.

– Skąd miałaś taką pewność? – zapytała Alice.

Właśnie – pomyślałam. – Jak, na Boga, mogłaś mu zaufać?

– Już mówiłam, że był dobrym człowiekiem. Naprawdę ze sobą walczył. Coś zjadało go od środka. Choć z całych sił próbował traktować mnie jak odmieńca, za każdym razem się poddawał. Miał dwie okazje, żeby wydać mnie SSP, ale nie był w stanie tego zrobić. Uratował mnie, a do tego pomógł ocalić jeszcze jednego chłopca i oddać go opiekunom. To on przywiózł mnie do Kalifornii.

Kawałki układanki łączyły się w całość. Ludzie, o których mówiła, to zapewne rodzice Liama. Podejrzewałam, że to właśnie wtedy spotkała jego matkę.

– Co się z nim stało?

– On... Mówiłam już, że miał na imię Gabe? Więc Gabe był naprawdę dobry...

– Co się z nim stało? – Alice nie odpuszczała.

– Gabe umarł.

Pulpet wypuścił z siebie wstrzymywany oddech i potarł twarz dłońmi. Wiedziałam, jak kończy się ta historia, ale i tak poczułam się wstrząśnięta. Jej twarz, jej głos, gdy wypowiadała te dwa słowa...

– Co się z nim stało? – Pytanie tym razem zabrzmiało delikatniej i mniej pewnie. Alice odwróciła się, by spojrzeć na Liama, jakby chciała zapytać, czy powinna kontynuować ten wątek.

Pokiwał głową. On też rozumiał, że Zu pragnie o tym opowiedzieć. Podejrzewałam, że zgodziła się na wywiad właśnie po to, by świat dowiedział się o Gabie i o tym, co dla niej zrobił.

– Dzieci, z którymi podróżowałam wcześniej, wyprzedziły nas i dojechały do Kalifornii przed nami. Czekały na nas w domu mojego... W umówionym wcześniej punkcie. Nie wiedzieliśmy o tym...

O Boże...

– Gabe kazał mi się trzymać z tyłu, kiedy robiliśmy obchód okolicy. Było zupełnie ciemno i prawie nic nie widzieliśmy. Kiedy otworzyliśmy drzwi do jednego ze stojących tam budynków... Okazało się, że ukrywają się w nim pozostałe dzieci.

Zobaczyły go i rozpoznały w nim łowcę nagród z Arizony. Sądziły, że je śledził. Jedna z dziewczyn spanikowała i go zastrzeliła.

Spojrzałam na Liama w tej samej chwili, kiedy on popatrzył na mnie. Byłam totalnie zszokowana.

– Był dobrym człowiekiem i po prostu starał się pomóc... Zaszła pomyłka, ale nie dało się już nic zrobić. Dzieci myślały, że chce je skrzywdzić. Nie wiedziały tego, co ja. Zginął, bo mi pomógł, zamiast pomagać sobie.

– To straszne – powiedziała Alice i szukając odpowiedniejszych słów, dodała: – To...

– Wszyscy tak bardzo boimy się siebie nawzajem – mówiła dalej Zu. – Nie chcę patrzeć na każdego dorosłego, zakładając, że się zastanawia, ile może za mnie dostać. Nie chcę, by dorośli patrzyli na mnie, myśląc o tym, jak bardzo mogę ich skrzywdzić. Zbyt wielu moich przyjaciół cierpi... Życie dotkliwie ich doświadczyło, ale mimo to zatroszczyli się o mnie. To druga strona medalu. Są ludzie, którzy strasznie się boją, ale są i tacy, którzy mają wielką odwagę. Przeżyliśmy głód, strach i rozpacz, bo mieliśmy siebie nawzajem.

Alice nagrywała jeszcze przez kilka sekund, po czym w końcu wyłączyła aparat i odchyliła się na oparcie krzesła.

– Myślę, że wystarczy na dziś.

Zu pokiwała głową, wstała, odłożyła notatnik na krzesło i ruszyła prosto w kierunku Vidy.

– Jak mi poszło?

Vida wyciągnęła pięść, by przybić ją z piąstką Zu.

– Rozwaliłaś ich, dziewczyno!

Liam jednym uchem słuchał, co mówi do niego Alice, a drugim starał się wyłączyć rozmowę Vidy i Zu. Nakrył mnie na tym, że mu się przyglądam, ale zamiast odwrócić wzrok, posłał mi nieśmiały uśmiech. Poczułam, że go odwzajemniam, ale ta chwila minęła tak szybko, jak się pojawiła. Teraz liczyła się tylko Zu. Małeńka kropla szczęścia, która pojawiła się we mnie w wyniku tego przelotnego zawieszenia broni, była niczym w porównaniu z radością wypełniającą mnie na dźwięk słów Zu i na

widok jej wymachujących dłoni podkreślających ich wagę. Kiedy tak słuchałam, jak uroczo wznosi się jej podekscytowany głos, w głowie narodziła mi się pewna myśl.

Szturchnęłam Pulpeta, by zwrócić na siebie jego uwagę.

– Która część mózgu kontroluje mowę? – zapytałam.

Wyrwał się z osłupienia, jakbym chlusnęła mu w twarz wiadrem lodowatej wody.

– Odpowiada za to cały system, pamiętasz?

– Racja. Rozumiem. W takim razie zapytam inaczej: czy istnieje takie uszkodzenie ludzkiego mózgu, w wyniku którego człowiek nie może mówić albo nie jest w stanie przetwarzać słów, mimo że wszystko inne działa jak należy?

Pulpet wyglądał na zdezorientowanego.

– Zu milczała z wyboru.

– Chodzi mi o Lillian. To tak, jakby w domu paliły się wszystkie światła, a mimo to nie można było otworzyć drzwi... Jest w stanie podchwycić kilka słów, ale nie potrafi się z nami porozumieć. Słyszałeś o takim przypadku?

Zamyślił się.

– Nie mogę sobie przypomnieć terminu medycznego, ale takie rzeczy czasem zdarzają się pacjentom po wylewach. Kiedyś na ostry dyżur do mojego ojca trafił człowiek, który dostał wylewu w trakcie prowadzenia lekcji na temat Shakespeare'a i dwie minuty później zupełnie nie był w stanie się komunikować. To chyba afazja ekspresyjna. A może afazja recepcyjna? Nie jestem pewien. Muszę to sprawdzić. Któraś z nich jest spowodowana uszkodzeniem ośrodka Wernickego.

– Mów normalnie, *por favor* – powiedziała Vida, łapiąc tylko końcówkę jego wywodu. – Niestety tylko ty w tym towarzystwie mówisz płynnie w kujonomowie.

Pulpet prychnął.

– Chodzi o to, że formułujemy nasze wypowiedzi w obszarze mózgu nazywanym ośrodkiem Wernickego. Następnie taka zaplanowana wypowiedź jest przenoszona do ośrodka Broki, odpowiedzialnego za samą czynność mówienia. Zastanawiam się...

– Nad czym? – Pospieszałam go.

– Może Clancy zdołał zablokować albo sparaliżować te części jej umysłu? Może je stłumił, tak że nie działają w pełni... – Posłał mi przenikliwe spojrzenie. – Kiedy

przywracałaś Liamowi wspomnienia, co *dokładnie* zrobiłaś?

– Myślałam o... Przypominałam sobie coś, co się między nami wydarzyło – powiedziałam. *Pocałunek*. – Próbowałam sięgnąć w głąb niego. Działałam instynktownie. Usiłowałam się połączyć z czymś w jego wnętrzu. – Próbowałam odnaleźć dawnego Liama, którego porzuciłam.

Lustrzane umysły.

– Już wiem... – wybąkałam, przyciskając dłonie do ust.

– Oświeć nas – rzuciła Vida, trzymając ręce na ramionach Zu. – Twoja połowa tego dialogu jest jedyną, którą rozumiem.

– Muszę pomóc jej zastartować – wyjaśniłam.

– Słucham? – Do rozmowy włączył się Cole. – Komu zamierzamy zaaplikować terapię szokową?

– Myślisz, że zdołasz zresetować ten system w jej umyśle? – zapytał Pulpet, łapiąc, o co mi chodzi. – Ale w jaki sposób?

– Clancy powiedział mi coś, kiedy ostatnio wniknęłam w jego głowę – odparłam. – Użył określenia „lustrzane umysły”. Podejrzewam, że właśnie to się dzieje, kiedy wchodzę w czyjeś myśli. Odbijam to, co w nich widzę, w swoim umyśle. Kiedy penetruję czyjeś wspomnienia i je przeszukuję, to tak, jakbym stawiała między sobą a drugim człowiekiem lustro. Dzięki temu każda zmiana, którą sobie wyobrażam, natychmiast odbija się w jego umyśle.

– Aha? – bąknął Cole.

Wiedziałam, że bardzo trudno będzie mi to wytłumaczyć. Moi przyjaciele nie mieli pojęcia, jakie to uczucie, a ja nie do końca wiedziałam, jak to opisać.

Na szczęście miałam przy sobie Pulpeta.

– Sądysz, że jeśli uruchomisz tę część swojego mózgu, to automatycznie pobudzisz tę samą część u niej i dzięki temu ją uaktywnisz?

Uniosłam ręce.

– Warto spróbować?

– Bardziej niż warto – powiedział Cole. – I tak powinniśmy do niej zajrzeć.

Niespodziewanie ktoś załomotał w bramę. Pojedynczy donośny dźwięk zabrzmiał

jak wystrzał w ciszy, która zalegała w garażu. Liam zerwał się na równe nogi i z szerokim uśmiechem na ustach rzucił się otwierać. Tylko dzięki temu patrzyłam rozluźniona, jak razem z Kylie zdejmują kłódkę, którą sami wcześniej założyli, i jak brama podnosi się z głośnym łoskotem, wpuszczając światło słoneczne.

Do środka weszło ośmioro dzieci, przy czym każde wyglądało gorzej od poprzedniego. Były brudne i ubrane w wełniane łachmany różnej maści. Z daleka poczułam ich zapach, co Cole podkreślił uniesieniem brwi i miną, jaką wiele razy widziałam u Liama.

Rozpoznałam twarze nowo przybyłych, ale zbyt krótko przebywałam w obozie Knoksa w Nashville, bym mogła przywołać z pamięci ich imiona. Dzieci, które tam widziałam, były w rozpaczliwym stanie i nie miały prawie nic, bo Knox i jego poplecznicy zagarniali całe zaopatrzenie dla siebie. Stojąca przed nami grupa wyglądała niewiele lepiej. Mieli ze sobą kilka plecaków i własnoręcznie zrobionych toreb pozszywanych ze starych prześcieradeł. Można było pomyśleć, że przywędrowali tu aż z Nashville.

Liam wyciągnął rękę w górę, by opuścić bramę, ale jeszcze wychylił się na zewnątrz i machnął na ostatnich maruderów. Jedną z nich okazała się postawna blondynka – kiedy wchodziła, przystanęła, by poklepać Liama po ramieniu. Drugim był chłopak w kapeluszu myśliwskim w jaskrawoczerwoną kratę, jeszcze wyższy od niej. Po wejściu rzucił plecak na ziemię i się przeciągnął.

Olivia – pomyślałam. – Brett.

Nie minęła chwila, a Kylie i Lucy rzuciły się ku niej pędem, wykrzykując:

– Liv!

Blondynka odwróciła się do nich, na co obie gwałtownie zahamowały, ślizgając się na betonie. Zaskoczył je widok twarzy dziewczyny – jej połowa została spalona przez Czerwonego, którego Knox więził w swoim obozie, i bardzo brzydko się zbliżniła.

– Trochę mnie przerobili – rzuciła lekkim tonem. – Jak widzicie. Cześć, Ruby.

W jednej chwili u boku Liv pojawił się Brett – przeciągnął dłonią po jej długim warkoczu i oparł rękę na jej lędźwiach.

Pokonałam ostatnie metry dzielącej nas odległości. Mimo że żadna z nas nie była szczególnie skora do okazywania czułości i przytulania, objęłam Olivie, jak gdyby od naszego rozstania minęły nie miesiące, ale lata.

– Dobrze cię widzieć – powiedziałam całkiem szczerze. – Ciebie też, Brett.

– Wzajemnie – zapewnił mnie.

Cofnęłam się, pozwalając, by Kylie, Lucy i Mike przywitali się z Olivią i wprowadzili ją do środka.

– Więc to jest Lodi, tak?

– Tak. To właśnie tu – potwierdził Liam. – Byliśmy ostatnio bardzo zajęci. Słuchaliście dzisiaj wiadomości? Wyzwoliliśmy ten obóz, o którym wam wspominałem.

– Udało się wam? – Olivia szeroko otworzyła oczy. – Pamiętam, że o tym wspominałeś, ale... – Wymieniła z Brettem zdezorientowane spojrzenie.

– Kiedy po drodze słuchaliśmy radia, nie mówili o niczym innym – powiedział Brett. – Wiecie o tym, że Liga Dzieci przypisała sobie przeprowadzenie tej akcji?

Wiatr, który dmuchał w żagle Liama, nagle zupełnie zgasł. Szczerze mówiąc, miałam wrażenie, że z garażu całkowicie wyssano powietrze. Cole podszedł do biurka z narzędziami, odsunął stojące przy nim dzieci i włączył radio.

Złapaliśmy wypowiedź prezentera w pół zdania.

... przed chwilą otrzymaliśmy następujące oświadczenie wydane przez przedstawicieli Ligi Dzieci...

Wbiłam wzrok w swoje buty i oparłam ręce na biodrach. Z tunelu do garażu wpadły pani senator i Rosa, a za nimi Nico. Kobieta miała bladą twarz. Otworzyła usta, by donieść, co się stało, ale uprzedził ją wydobywający się z głośników ponury głos.

„Wczoraj wcześniej rano przeprowadziliśmy atak na jeden z obozów rehabilitacyjnych, zlokalizowany w Nevadzie obóz Oaza. Przejęliśmy ofiary okrucieństwa naszego rządu, czyli przetrzymywane tam dzieci. Uwolnimy je jednak, wyłącznie pod warunkiem że prezydent natychmiast zrezygnuje z urzędu. Jeśli nasze żądanie nie zostanie spełnione, uderzymy w kolejny cel”.

To mocne słowa. Tych z państwa, którzy włączyli odbiorniki dopiero teraz,

informuję, że podajemy przełomowe informacje w sprawie zdjęć i nagrań upublicznionych dziś rano przez kilka uznanych serwisów informacyjnych...

– Nie mogą tego zrobić! – Zach przekrzykiwał panujący wokoło gwar. – Nie mieli z tym nic wspólnego! Robią z nas terrorystów...!

– Czy to prawda? – zwróciła się do Cole’a senator Cruz. – Wzięliby na siebie odpowiedzialność za coś takiego? A może to Gray stara się im to przypisać, żeby usprawiedliwić kolejny atak, który na nich planuje?

– Myślę, że to Liga – powiedziałam, czując, że w atmosferze narastającej paniki przyda się spokojny głos. – Gray nie potrzebuje kolejnej wymówki, by ich zaatakować. Co więcej, na razie uporczywie trzyma się wersji, że wszystko zostało sfałszowane. Przypuszczam, że to i tak nie ma znaczenia. Teraz to Liga jest na celowniku, nie my.

Cole zdołał się pozbyć aroganckiego wyrazu twarzy albo przynajmniej odrobinę go złagodzić.

– Wygląda na to, że udało się wam wpiąć kolejny niezasłużony medal w ich klapę. Ruby ma jednak rację. To dla nas korzystne – stwierdził.

Prezenter kontynuował pewnym głosem:

... piętnastu funkcjonariuszy Sił Specjalnych Psi odniosło niegroźne obrażenia, które opatrzono na miejscu. Podczas wstępnych przesłuchań odmówili oni komentarza na temat sposobu traktowania dzieci oraz warunków panujących w obozie. Jednak do tej pory nie otrzymaliśmy również żadnego oświadczenia od prezydenta Graya... Waszyngton milczy.

Niewypowiedziane słowa przeniknęły do mojego umysłu. *Ale już niedługo.*

Kiedy otworzyliśmy drzwi i weszliśmy do środka, Lillian nie tylko nie spała, ale w ciemności chodziła po pokoju. Wszystkie światła były zgaszone poza lampką na biurku. W porównaniu ze swoim wcześniejszym stanem prezentowała się nieco lepiej. Ktoś – najpewniej Cole – przyniósł jej mokre chusteczki do przemycia twarzy, szczotkę do włosów i czyste spodnie od dresu. Widziałam ją na zdjęciach z wycinków gazet w roli pierwszej damy – pamiętałam kostiumy, idealne fryzury i perły. W umyśle Clancy’ego widziałam ją też jako naukowca – konkretną i profesjonalną w białym kitlu. Teraz jednak mogła być kimkolwiek. Skracало to dystans i sprawiało, że

było mi łatwiej zrobić to, co musiałam.

– Dzień dobry, pani doktor – powiedziałam. – Nazywam się Ruby, a to Pul... Charles. Pamięta nas pani?

Vida i Cole chcieli być świadkami tej próby, ale obawiałam się, że obecność zbyt wielu osób mogłaby ją przytłoczyć. Chciałam, by była spokojna, a przynajmniej spokojniejsza niż wcześniej, kiedy starałam się nad nią pracować.

Kobieta wymamrotała coś pod nosem, nie przestając stawiać ostrożnych kroków. Niestrudzenie chodziła tam i z powrotem w równym tempie, łypiąc oczami w kierunku łóżka i rozłożonych na nim papierów. Nagle się zatrzymała i wskazała ponagląco na dokumenty, z trudem usiłując wydobyć z siebie dźwięki. Trzęsła się od rozsadzającej ją frustracji. Przycisnęła dłoń do gardła i zaczęła je pocierać.

Wtedy to zrozumiałam. Clancy uciszył ją nie tylko dlatego, że chciał jej uniemożliwić podzielenie się z innymi wiedzą o metodzie leczenia. Pragnął również wymierzyć jej karę, i to najdotkliwszą z możliwych. Wniknął do jej genialnego umysłu i ją tam uwięził.

– Właśnie tak. Chcielibyśmy porozmawiać o badaniach, które pani przeprowadzała.

– Wykreeee... – Przełknęła ślinę i podjęła kolejną próbę.

Nigdy nie widziałam, by ktoś wyglądał na tak upokorzonego. Musiałam zwalczyć pokusę, by chwycić ją za rękę, którą do nas wyciągnęła.

– Wykreeesy.

– Właśnie, wykresy. – Delikatnie ujęłam ją za ramię i poprowadziłam w stronę łóżka. Nie wiedziałam, czy pamięta, co się wydarzyło, kiedy ostatni raz byłam z nią w tym pokoju. Nie protestowała jednak, a przynajmniej do chwili, gdy chciałam ją zmusić, by usiadła.

– Ruby? Jesteś gotowa? – zapytał Pulpet.

Poczułam, jak kobieta się garbi i jak mięśnie jej ramion napinają się pod moimi dłońmi. Przygotowywała się na to, co miało się stać. Wiedziała, czym jestem.

Wniknięcie w jej umysł po raz drugi nie było ani trochę mniej bolesne niż pierwsza próba. Pani doktor zamieniła swoje wspomnienia w dziką rzekę, której nie

potrafiłam przejść. Prąd niósł ze sobą krajobrazy, drogi, zabawki, podręczniki, kwiaty i sztucce – wszystko, co była w stanie wymyślić, by chronić istotne wspomnienia.

– Ruby...

Wiedziałam, że Pulpet stoi za moimi plecami, ale jego głos brzmiał tak, jakby dochodził z korytarza.

– Ruby, jaki jest twój, eee... ulubiony kolor?

– Mój ulubiony kolor... – powtórzyłam, czekając, aż mózg ukształtuje odpowiednie słowo – to zielony.

Zmiana nastąpiła, kiedy byłam w połowie wypowiedzanego słowa. W jednej chwili zostałam wciągnięta między sceny trwające nie dłużej niż ułamek sekundy, a w następnej miałam wrażenie, że wpadam na ścianę odłamków szkła. Wzdrygnęłam się fizycznie i mentalnie.

– Powiedz mi, jak masz na drugie imię – kontynuował Pulpet.

– Na drugie mam... – Słowa przyciągały mnie bliżej do jej cierpienia i pokazywały, jak jest dotkliwe.

Ta część jej umysłu była zupełnie ciemna i nieznośnie mroczna. Każda próba mówienia i uruchomienia tego obszaru mózgu musiała być dla niej bolesna. Clancy chciał, by cierpiała. I to bardzo.

– Jak masz na drugie imię? – powtórzył Pulpet.

– Elizabeth. – Poczułam, jak moje usta formują słowo, ale nie słyszałam go, ponieważ zagłuszył je szum krwi wypełniający mi głowę.

Muszę się przez to przebić. To szkło. Muszę je rozbić. Muszę przejść. Lustrzane umysły.

– Po kim je dostałaś? – Pytania Pulpeta utrzymywały mnie w odpowiedniej części jej umysłu. Za każdym razem, kiedy musiałam się zatrzymać i zastanowić nad odpowiedzią, ból stawał się odrobinę bardziej znośny.

– Po babci – odparłam.

Babcia. Babcia. Babcia. Osoba, która mnie pamiętała. Która mnie odnajdzie, kiedy to wszystko wreszcie się skończy. *Potrzebuję cię. Potrzebujemy cię.*

Zanurzyłam się w jej umysł jeszcze głębiej – byłam pewna, że równocześnie

wbijam jej paznokcie w ciało. Wzięłam ostatni oddech i z całej siły natarłam na ścianę szkła. Zamieniłam swoją świadomość w ciężki kij i uderzałam nim w przeszkodę, dopóki nie poczułam, jak pęka z ogłuszającym trzaskiem. Następnie rzuciłam się na nią całą sobą, aż rozpadła się w drobny mak, tnąc istniejące między nami połączenie na strzępy.

– Ruby, jak nazywał się nasz samochód? Jak go ochrzciliśmy? – Pulpet musiał chyba wykrzykiwać swoje pytanie, bo aż zachrypl.

– Czarna... – mamrotałam. Miałam całkowicie roztrzaskane myśli, wszystko wypełniał rozpaczliwy ból. – Czarna Betty.

Zamiast prześlizgnąć się przez pozostałości bariery, raczej przez nie przeleciałam. Świat wokół mnie eksplodował elektrycznym niebieskim światłem.

Kiedy doszłam do siebie, leżałam plackiem na podłodze. Pulpet pochylał się nisko nade mną z zatroskanym wyrazem twarzy.

– Żyjesz? – zapytał i ujął mnie za ramię, by pomóc mi usiąść. – Jak się czujesz?

– Jakby ktoś wbił mi w czaszkę rozpalone ostrze – syknęłam przez zaciśnięte zęby.

– Byłaś nieprzytomna przez całą minutę. Zaczynałem się martwić.

– Co się stało? – Odwróciłam się w stronę łóżka. – Co...?

Lillian Gray siedziała na jego krawędzi, skrywając twarz w dłoniach. Ramiona trzęsły się jej z każdym zaczerpniętym haustem powietrza.

Płacze – uświadomiłam sobie, podnosząc się, by uklęknąć. – *Zrobiłam jej krzywdę.*

Miała czerwoną, spuchniętą od gwałtownego płaczu twarz. Atmosfera w pomieszczeniu się zmieniła – burza uczuć minęła, zostawiając po sobie pogodne błękitne niebo. Kiedy na mnie spojrzała, wiedziałam, że naprawdę mnie widzi. Jej usta rozszerzyły się w pełnym bólu uśmiechu.

– Dziękuję ci. – Wypowiadała każde słowo, jakby było małym cudem.

I wtedy bez ostrzeżenia ja również zaczęłam płakać. Napięcie, które skumulowało się w mojej piersi, skurczyło się pod naporem ciężkiego wdechu i uszło ze mnie z kolejnym wydechem.

Udało mi się. Nawet jeśli to była ostatnia wartościowa rzecz, jaką miałam zrobić, to wiedziałam, że do końca życia będę pamiętać, że przynajmniej pomogłam tej kobiecie. Zwróciłam jej głos. Tym razem nie łamałam umysłu, ale pomagałam posklejać go w całość.

– Eee... – zaczął niezręcznie Pulpet. – Może powinienem...

Wstałam, wycierając twarz ze śmiechem.

– Idę poszukać Cole’a – powiedziałam. – Możesz wyjaśnić pani doktor, co się dzieje? Upewnij się, że wszystko z nią w porządku, dobrze?

Kiedy wyszłam z pomieszczenia, jeszcze raz przetarłam twarz brzegiem podkoszulki i dałam sobie czas na zaczerpnięcie kilku uspokajających oddechów. Następnie zajrzałam do siłowni, biura i auli, w której dzieci siedziały już z talerzami pełnymi makaronu z serem.

Już pora kolacji. To oznacza, że...

Wbiegłam po schodach, pokonując je po dwa naraz, i popędziłam korytarzem do kuchni. Dzieci pełniące tam dyżur jedynie wzruszyły ramionami i powiedziały, że Cole wpadł na chwilę, wziął dwa talerze i zniknął. Obawiałam się, że jeśli będę czekać na niego przed drzwiami archiwum, wzbudzę czyjeś podejrzenia. Ściągnęłam klucz z szyi i rozglądając się wokoło dla pewności, że nikt mnie nie widzi, weszłam do środka i zamknęłam za sobą wejście. Wisząca u sufitu żarówka zakołysała się pchana ruchem powietrza, a drzwi ukryte za półkami skrzypnęły – ktoś zostawił je otwarte.

Powodowana głównie ciekawością weszłam do wąskiego korytarza. Miałam zobaczyć Clancy’ego pierwszy raz od wielu dni. Przez ten czas ilekroć proponowałam, że do niego zajrzę, Cole zbywał mnie, mówiąc, że lepiej go nie denerwować, bo jest na mnie wystarczająco wściekły. W stosunku do Cole’a był za to nad wyraz uprzejmy i nie zdradzał żadnych niecných zamiarów.

Po części spodziewałam się zastać tu również Vidę. Sądziłam, że zobaczę, jak obserwuje ich przez niewielkie okienko w drzwiach na końcu korytarza. Nie było tam jednak ani jej, ani nikogo innego, kto mógłby pilnować, by Clancy nie mieszał w umyśle Cole’a.

Gdyby ktoś mi powiedział, że zobaczę, jak Cole i Clancy siedzą naprzeciwko

siebie na podłodze i spożywają razem posiłek przedzieleni jedynie kuloodporną szybą o grubości centymetra, powiedziałabym mu, żeby się leczył. Ale tak właśnie ich zastałam. Dwóch rozluźnionych rozmawiających ze sobą chłopaków, sprawiających wrażenie starych znajomych.

Nachyliłam się i przycisnęłam ucho do drzwi z nadzieją, że uda mi się złapać choć urywki rozmowy.

– ... nie będzie tam żadnych plików, to ściśle tajne. Wiem, że wciąż istnieje, dzięki relacji jednego z żołnierzy SSP...

– ... warto, jeśli to oznacza więcej ludzi w terenie...

– Nie lekceważ propagandy, którą się posługują... Spróbuj ją wykorzystać, by przekazać światu swoje przesłanie. Rekrutuj chętnych żołnierzy...

Minęło dziesięć minut. Piętnaście. Podekscytowanie, które czułam jeszcze przed chwilą, przemieniło się w coś przypominającego trwogę. Nie chodziło o sam fakt, że rozmawiają – ufałam, że Cole podchodzi do słów Clancy’ego z ogromnym dystansem. Niepokoiło mnie to, że zgadzałam się z tym, co słyszałam.

– Należy zostawić dzieciom jak najwięcej możliwości do wyboru. Nie możemy pozwolić, by ktoś wprowadził regulacje dotyczące tego, jak mają albo powinny się zachowywać – kontynuował Clancy. – Czy senator Cruz w ogóle jest gotowa stanąć w obronie ich prawa do podejmowania niezależnych decyzji o swojej przyszłości?

Leczenie jest kolejnym sposobem, by nas kontrolować. By odebrać nam prawo do dokonywania własnych wyborów.

Zrobiłam krok w tył, potrząsając głową. Nie, to badania doktor Gray miały dać nam prawdziwy wybór. Nie mogliśmy podjąć decyzji, dopóki nie wiedzieliśmy, na czym polega leczenie.

W takim razie czemu ostatnie kilka godzin nagle wydało mi się takim błędem?

– ... jest jeszcze coś, co mógłbyś mi powiedzieć o Sawtooth? – Cole wstał i odebrał od Clancy’ego pusty talerz przez otwór w drzwiach.

Młody Gray wrócił na swoją prycę. Zauważyłam na niej nowy, grubszy koc i prawdziwą poduszkę. Stos książek piętrzący się obok sięgał teraz wysokości łóżka. Najwidoczniej nasz więzień był ostatnio bardzo grzeczny, skoro Cole zadał sobie trud, by tak go wyposażyć.

– Powiedziałem ci już wszystko, co wiem. Nie pomagałem zakładać tego obozu, tylko jego pierwowzór w Tennessee – odparł, po czym zawołał: – Czy zamierzasz w końcu wejść, Ruby?!

Odsunęłam się od drzwi, ale nie było już odwrotu. Jego wzrok poszybował ku mnie i złapał przez szybę moje spojrzenie. Z głębokim wdechem otworzyłam drzwi i podparłam je stopą. Dłoń Cole’a drgnęła, kiedy ruszył w moją stronę. Zaczynałam mieć trudności w odróżnianiu jego strachu od zirytowania.

Zaczekałam, aż oboje znaleźliśmy się w korytarzu, i dopiero wtedy otworzyłam usta.

– Przestań – powiedział, unosząc dłoń. – Mam to pod kontrolą.

– Z nim nie da się wszystkiego kontrolować – zauważyłam. – Trzeba zachować ostrożność...

– Dobijasz mnie – rzucił i palcami zaczesał włosy do tyłu. – Masz do mnie jakąś sprawę?

– Myślę, że nie uwierzysz, póki nie zobaczysz.

Pozostałe dzieci były zajęte edytowaniem wywiadu z Suzume albo udzielaniem własnych za zachętą Liama. Dzięki temu mogliśmy z Cole’em spokojnie oddać się obmyślaniu uderzenia na Thurmond. Spędziliśmy całą noc nad ustalaniem szczegółów. Zaplanowaliśmy, że wejdę do obozu z pendrive’em 27 lutego. Zespół dwadzieścioro dzieci oraz czterdziestu kilku żołnierzy Harry’ego miał napaść na Thurmond 1 marca około dziewiętnastej. Ich zadaniem było zaatakowanie i unieszkodliwienie funkcjonariuszy SSP. Ja musiałam załadować program na ich serwer kwadrans przed szturmem. Następnie więzione w obozie dzieci miały zostać przewiezione w bezpieczne miejsce nieopodal obozu, skąd mogli je odebrać rodzice. Cała akcja rozpisana krok po kroku wydawała się prosta. Rzeczywistość była jednak zupełnie inna.

Poranek oficjalnie rozpoczął się dla mnie, kiedy Cole upuścił mi na głowę dużą płachtę papieru. Gwałtownie się obudziłam i zdałam sobie sprawę, że zasnęłam przy jednym z biurek w sali komputerowej.

– Co to jest? – zapytałam, chwytając za połączone ze sobą kartki papieru.

Było ich przynajmniej piętnaście i trzymały się razem za pomocą taśmy klejącej, tworząc szczegółową, dużą mapę. Widniały na niej okręgi Baraków, liche ceglane budynki, szare ogrodzenie i otaczające je tereny zielone.

Skoczyłam na równe nogi.

– To Thurmond? Skąd to wziąłeś?

W odpowiedzi Cole wręczył mi srebrny telefon. W jego wyrazie twarzy zauważyłam pewną niechęć i opór. Wzięłam od niego aparat i uniosłam do ucha.

– Halo?

Czy to Ruby?, zapytał nieznajomy głos.

– Tak – odparłam, obserwując wpatzonego we mnie Cole’a.

Nazywam się Harry Stewart... – W słuchawce rozległ się szum, co sprawiło, że jeszcze mocniej ścisnęłam telefon. Harry. Ojczym Liama. Jego głos brzmiał głębiej, niż się spodziewałam, ale było w nim słyszeć uśmiech. – *Chciałem cię poinformować, że zeszłej nocy przeprowadziliśmy pewną akcję...*

– My? – zapytałam osłupiała.

Nico podszedł do nas i stanął obok Cole’a z wyrazem oszołomienia na twarzy. Przełączyłam telefon na głośnik, by też mógł słyszeć naszą rozmowę.

– Której ze mną nie ustaliłeś... – mruknął pod nosem Cole.

Zebrałem grupę starych wojskowych emerytów – odpowiedział ze śmiechem Harry. – *Było z nami również kilku nowych kolegów, którym ostatnio przestało się podobać służenie prezydentowi. Minionej nocy około drugiej nad ranem przeprowadziliśmy szturm na teren, gdzie, jak podejrzewaliśmy, znajdowało się tajne więzienie.*

Serce mi stanęło. Dosłownie. Na początku jeszcze czułam, jak pulsuje, ale kiedy wstrzymałam oddech, przestało bić.

Odnieśliśmy sukces i zdołaliśmy zatrzymać kilku ludzi podejrzanych o zdradę oraz paru informatorów. – Słowa „zdradę” i „informatorów” wypowiedział lekko, z nutką humoru w głosie. – *Obecnie sprawdzamy tajne dane, które udało się nam przejść, oraz informacje pozyskane dzięki naszym źródłom w rządzie. Dołączymy do was pod koniec tygodnia, ale chciałem wam powiedzieć, że dostaliśmy wasze...*

Jego głos zrobił się stłumiony, jakby oddalił się od mikrofonu. Usłyszałam

kolejną osobę. Mówiła wyższym tonem. Zapewne była to kobieta.

Położ się z powrotem – powiedział Harry. – Cieszę się, że już nie śpisz... Panowie wyjaśnij ci, co się stało... Tak, będziesz mogła z nią porozmawiać, ale za chwilę...

Teraz serce waliło mi jak szalone. Słyszałam je w uszach i czułam nawet w palcach u stóp. Usłyszałam szamotaninę i telefon przeszedł w inne ręce.

Ruby?

Nico krzyknął i przycisnął dłonie do ust. Dźwięk jej głosu... Nie wierzyłam, że to dzieje się naprawdę... Oni... Cate była...

– Cate – wydusiłam z siebie – nic ci nie jest? Gdzie jesteś?

Ruby – powiedziała, nie dając mi dokończyć – posłuchaj mnie... – Miała tak zachrypnięty głos, że ze współczucia rozbolało mnie gardło. – Nic nam nie jest. Nic nam nie jest, ale musisz mnie wysłuchać... Coś się stało z Ligą, prawda? Oni...

W tle usłyszałam głos Harry'ego:

Wszystko w porządku. Proszę, położ się...

Cole oparł dłonie o biurko.

– Conner, co się dzieje?

Podśłuchaliśmy... To znaczy kilku strażników dręczyło nas informacją, że baza w Kansas zostanie zaatakowana. Żaden z agentów... Nikt z nas nie jest w stanie się z nimi skontaktować. Możecie ich ostrzec? Przekażecie im tę wiadomość?

– Zajmiemy się tym – obiecał Cole. – O nic się nie martw, Harry sprowadzi was z powrotem.

Gdy Cole uspokajał Cate, Nico usiadł do swojego komputera i jego palce już biegały po klawiaturze.

Nasi agenci chcą jechać do Kansas, odparła Cate z napięciem w głosie.

– Cóż, chyba nie mają wyboru – rzucił Cole niezbyt uprzejmie. – Conner, dobrze cię znowu słyszeć.

Ciebie też. Dbasz o moje dzieciaki?

Cole posłał mi lekki uśmiech.

– To one dbają o mnie.

Ruby?

– Jestem tu. Dobrze się czujesz? Powiedz, że nic ci się nie stało... – Wyrzucałam

z siebie słowa jak karabin maszynowy.

Nic mi nie jest. Do zobaczenia wkrótce, rozu... rozumiesz? Przykro mi... rozłącza...

W słuchawce zabrzmiał przerywany sygnał.

Wgapiłam się w telefon, pozwalając, by Cole po niego sięgnął i go wyłączył. Nie miałam siły powstrzymywać odrętwiającej fali przygnębienia, która mnie zalewała. Pragnęłam czegoś więcej. Cate musiała się dowiedzieć, jak bardzo było mi przykro.

– Jadą przez kompletne pustkowia – wyjaśnił Cole. – Mają słaby zasięg. Kiedy będą bliżej, Harry znowu zadzwoni.

Skinęłam głową.

– Myślisz, że to prawda? Że wojsko zaatakuje kwaterę w Kansas?

– Serwery Ligi zgasły – wtrącił się Nico. – Sprawdziłem ich adres IP i nie ma go w sieci.

– Spróbuję telefonicznie skontaktować się z agentami, którzy są w terenie, żeby sprawdzić, czy coś wiedzą. – Cole założył mi włosy za ucho i pogładził mnie kostkami dłoni po policzku. – Odnieśliśmy zwycięstwo. Cate jest cała. Przybywa nam z pomocą prawdziwy oddział zbrojny. Za dwa tygodnie będziemy po drugiej stronie tego całego bałaganu. Skup się teraz tylko na tym. Nie pozwól, żeby zamieszanie z Kansas cię zdekongcentrowało. Z mojego punktu widzenia to i tak się nie liczy.

– Oczywiście, że się liczy – zaprotekowałam. – Zginęło już tylu ludzi...

– Rozumiem – odparł. – Nie o to mi chodziło. Chciałem powiedzieć, że Liga i tak jest skończona. Wzięcie na siebie odpowiedzialności za atak na Oazę było desperacką, ostatnią próbą odzyskania reputacji. Skup się na przyszłości. Na leczeniu. Doktor Gray znów jest zdolna do działania, wykorzystajmy to.

Wstał, zabrał z biurka posklejaną mapę ze zdjęciem satelitarnym obozu i przypiął ją do ściany. Zaczekałam, aż wyjdzie, by wywiązać się z obietnicy i zbadać doniesienia Cate. Następnie nieprzytomnie podniosłam się i ruszyłam ku mapie. Prześledziłam wzrokiem pierścienie Baraków: były koślawe i nierówne. Kiedy tak patrzyłam na wszystko z góry, z perspektywy wolnego ptaka, mdlące uczucie, które zaczynało się rodzić w moim żołądku, złągodniało.

– Teraz jest dużo większy – powiedział Nico i podał mi niezmywalne markery.

Pokiwałam głową, a on cofnął się i oparł o biurko, by obserwować, co robię. Im dłużej pracowałam, tym więcej przyciągałam uwagi, aż w końcu zgromadziłam za swoimi plecami prawdziwą publiczność. Oznaczyłam najistotniejsze punkty na planie. Na dwóch prostokątnych większych budynkach na lewo od pierścienia Baraków napisałam FABRYKA i BARAKI SSP. Na zielonym kwadracie w najdalej na północ wysuniętej części obozu: OGRÓD, a po prawej MESA, INFIRMERIA i BRAMA. Następnie przesunęłam się w głąb i oznaczyłam Wieżę Kontrolną. Pierścienie Baraków zakreśliłam zielonym i niebieskim kolorem, w zależności od tego, jakie dzieci je zamieszkiwały.

Między łopatkami poczułam czyjś skupiony wzrok – palił jak słońce przechodzące przez soczewkę. Zaczęły mnie zalewać niewielkie fale dyskomfortu, które coraz trudniej znosiłam. To irracjonalne, ale czułam się tak, jakbym ujawniała coś haniebnego, coś, czego powinnam się wstydzić. Mój nastrój w rekordowym tempie zmienił się z gorliwego podekscytowania w przerażenie i żal. Poczułam, że wszystko mnie mrowi...

– Przetrzymują tam tylko Zielonych i Niebieskich? – zapytał kobiecy głos.

Odwróciłam się ku drzwiom i zobaczyłam senator Cruz trzymającą pod rękę doktor Gray, która sprawiała wrażenie, jakby chciała podejść bliżej. Nico obrzucił ją spojrzeniem, zamarł, po czym uciekł na tył sali i usiadł, omal się nie wywracając.

– Byli tam również Żółci, Pomarańczowi i Czerwoni – odpowiedziałam, patrząc na kobiety. – Usunięto ich jednak z obozu jakieś pięć i pół roku temu. Czerwoni zostali wcieleni do programu szkoleniowego o nazwie Jamboree. Żółtych przeniesiono do innego obozu w Indianie, który miał specjalne nieelektroniczne zabezpieczenia.

– A co z Pomarańczowymi? – zapytała pani doktor.

Moja ręka znieruchomiała. Tak jak otaczające mnie powietrze.

– Nie mamy sprawdzonych informacji na temat miejsca ich pobytu – odparłam.

– Co to za obóz? – Doktor Gray wciąż odrobinę się zacinała, jakby z obawy, że słowa w każdej chwili znów mogą wypowiedzieć jej posłuszeństwo. Podeszła, przyglądając się plamom trawy i śniegu. Z bliska można było dostrzec również

maleńkie niebieskie kropki, czyli uniformy dzieci pracujących w Ogrodzie.

– To nie jest Thurmond – powiedziała. – Thurmond to pojedynczy budynek. Widziałam go na własne oczy.

– Kiedy zatrzymali wstępne programy badawcze, szybko go rozbudowali, by pomieścić więcej osób – odparłam. – Odpowiednio podpisałam Baraki według kolorów dzieci, które początkowo je zamieszkiwały, małymi literami „c”, „p” albo „ż”. Po pewnym czasie żołnierze wyłączyli elektryczne zamki w pomieszczeniach dla Żółtych i potem nigdy ich już nie włączyli. O ile wiem, pomieszczenia Czerwonych miały w środku jedynie dodatkowe dysze z opryskiwaczem.

Senator Cruz położyła mi rękę na ramieniu i pochyliła się do przodu, by lepiej się przyjrzeć moim uzupełnieniom planu.

– Dlaczego Czerwonych i Pomarańczowych umieszczono w drugim okręgu od centrum zamiast w najbardziej zewnętrznym? Myślałam, że byli więzieni z dala od Wieży Kontrolnej, na wypadek gdyby sprawiali problemy.

– Otoczyli ich ze wszystkich stron buforem Baraków Zielonych – wyjaśniłam. – Przy takim układzie, gdyby chcieli zaatakować nadzorców albo spróbować uciec za pomocą swoich zdolności, musieliby po drodze spalić kilkoro dzieci.

– Czy to ich powstrzymało?

Pokręciłam głową.

– Czy komukolwiek udało się uciec?

Znowu zaprzeczyłam.

– Ci, którzy próbowali, zostali zastrzeleni, zanim dotarli do ogrodzenia. Przez cały czas na Wieży Kontrolnej czuwał snajper, a jeśli dzieci akurat pracowały w Ogrodzie, było ich dwóch.

– To właśnie zabiło resztkę wiary w ludzkość, jaka mi została – powiedział Cole, wchodząc z powrotem do sali.

– Dowiedziałeś się czegoś? – zapytałam.

– Nie. Pogadamy później. Czy teraz mogłabyś nam opowiedzieć, jak wygląda zwyczajny dzień w obozie? Podejrzewam, że podlegaliście jakiemuś porządkowi, prawda?

– Piąta rano alarm na pobudkę. Pięć minut później otwarcie drzwi. Potem różne zadania w zależności od miesiąca. Dostawaliśmy dwa posiłki dziennie. Kiedy akurat nie przysługiwało ci śniadanie, szedłeś do łazienki, a następnie do pracy na sześć godzin. W południe wydawano lunch. Potem mieliśmy około dwóch godzin czasu wolnego w Barakach, a następnie odbywaliśmy wieczorną zmianę, która zwykle obejmowała sprzątanie, pranie albo odblokowywanie ohydnych systemu kanalizacyjnego, który ciągle się zapychał. Później kolacja. O dwudziestej gaszono światła.

– Boże – skomentowała moje słowa senator Cruz.

– Było nas ponad trzy tysiące. Cały system działał z perfekcyjną dokładnością. Wymyślili nawet, jak przeorganizować obóz w związku z malejącą liczbą funkcjonariuszy SSP, kiedy wszystkim zaczął się kończyć czteroletni okres obowiązkowej służby.

– Jak myślisz, jaka była proporcja dzieci do żołnierzy? – zapytał Cole. – Tak mniej więcej.

Podalam mu tę informację już wcześniej, kiedy przygotowywałam plan, więc wiedziałam, że pyta ze względu na panią senator i panią doktor.

– Cate twierdziła, że zwykle w obozie przebywało na stałe dwustu żołnierzy plus dwudziestu ludzi pracujących na Wieży Kontrolnej. Teraz są w trakcie zamykania obozu, więc najprawdopodobniej będzie ich mniej. – Potrząsnęłam głową. – To być może nie jest jakaś wielka liczba, ale żołnierze są rozlokowani strategicznie i mają pozwolenie na strzelanie i znęcanie się nad dziećmi.

Jak na kogoś, kto kiedyś był mocno zaangażowany w badania nad leczeniem OMNI, doktor Gray wyglądała dość mizernie. Robiło się jej niedobrze, jakby słyszała o tym wszystkim po raz pierwszy. Wydawało mi się to niemożliwe. Owszem, pewne sprawy trzymano w tajemnicy, ale przecież jej mąż odegrał znaczącą rolę w rozwoju programu obozów rehabilitacyjnych.

Odwróciła wzrok.

– Jesteś taka jak mój syn, prawda? – zapytała.

– Tak, ale nie pod względami, które mają znaczenie.

– Byliście w Thurmond w tym samym czasie?

– Trafiłam tam później. Mój pobyt nawet nie zahaczył o jego. Kiedy mnie przywieziono, obóz był już w trakcie rozbudowy. Pyta pani z jakiegoś konkretnego powodu?

Przekrzywiła głowę na bok, a ja zwalczyłam dreszcz, który próbował wstrząsnąć moim ciałem. W tym zwyczajnym geście tkwił Clancy. Cały Clancy.

– Przypuszczam, że jestem tu, ponieważ chcecie się dowiedzieć o moich osiągnięciach w kontrolowaniu zdolności psionicznych u dzieci, mam rację? – powiedziała, prostując się na krześle. – Oraz o ostatecznych wynikach badań Ledy nad przyczyną OMNI.

– Właśnie tak – przyznał Cole. – Naturalnie nie za darmo. Co chciałaby pani w zamian?

Propozycja Cole’a była uczciwa i konkretna, ale z jakiegoś powodu i tak mnie zszokowała. Nie wiem, dlaczego spodziewałam się po niej, że zrobi to z dobroci serca – przecież nazywała się Gray. Pewnie po prostu miałam nadzieję, że w przypadku jej syna jabłko padło bardzo daleko od jabłoni.

– Czy moglibyśmy porozmawiać w bardziej kameralnym gronie? – zapytała, spoglądając przez szyby na krzątające się na korytarzu dzieci.

– Oczywiście. Nico, daj nam znać, jeśli wyłapiesz jakiegokolwiek wieści o Kansas – rzucił Cole.

Ja, pani senator i doktor Gray ruszyliśmy za Cole’em na górę. Mijały nas grupki dzieci krążące między pokojami, ale żadne z nich nie zdawało sobie sprawy, kim jest idąca obok mnie blondynka. Kiedy dotarliśmy do biura, Cole wskazał kobietom, by usiadły, a sam przeszedł na drugą stronę biurka. Zamknęłam za nami drzwi. Doktor Gray odchyliła się na krześle i omiotła pomieszczenie przeciągłym spojrzeniem.

– To było biuro Johna, prawda? – zapytała.

Jakimś cudem zapomniałam, że Grayowie i John Alban kiedyś się przyjaźnili. Alban pomógł pierwszej damie zniknąć, a potem sponsorował jej badania i zawarł z nią układ...

Układ.

– Chce pani, byśmy spełnili obietnicę złożoną przez Albana – powiedziałam. – Przekaze nam pani informację w zamian za możliwość przeprowadzenia zabiegu w pierwszej kolejności na Clancym.

Cole zagwizdał cicho.

– Podejrzewałem, że chodzi o pewnego rodzaju operację. Chyba nie myśli pani, że uda się ją przeprowadzić tutaj...?

– Oczywiście, że nie – odparła. – Nawet gdyby wyszorować każdy centymetr tego miejsca chlorem, wciąż nie byłoby tu wystarczająco sterylnie. Chciałam was prosić, byście, zachowując dyskrecję, pomogli mi ustalić termin zabiegu w miejscowym szpitalu i załatwić przeszkolony personel.

– Prosi pani o bardzo wiele. Utrzymanie tego w tajemnicy będzie prawie niemożliwe.

– Plan od początku zakładał, że po przeprowadzeniu operacji zabiorę Clancy’ego ze sobą i zniknę. Chcę wrócić do życia, które będzie choć namiastką normalności, z synem, którego kiedyś miałam.

Leczenie jest kolejnym sposobem, by nas kontrolować. By odebrać nam prawo do dokonywania własnych wyborów.

Słowa Clancy’ego pojawiły się w moim umyśle jak szept. Posłuchałam ich.

– Ja nie... – podjęłam.

Dlaczego miałam taki problem z tą myślą? Clancy wielokrotnie dowiódł, że nie wolno mu ufać. I najwidoczniej nie potrafił używać swoich zdolności tak, by nie krzywdzić innych. East River... Jude... Ile jeszcze razy musiał mi pokazać, jak daleko potrafi się posunąć? A wszystko po to, by nie stać się na powrót bezsilnym jak w Thurmond. Czułam, jaki był bezbronny, kiedy przywiązali go do stołu w Infirmarii... Czułam ból, kiedy przepuszczano mu przez mózg wstrząsy elektryczne, zażenowanie utratą kontroli nad czynnościami fizjologicznymi i wściekłość, że potraktowano go jak zwierzę.

Z wielu tysięcy dzieci ocalił tylko siebie. Tym razem najpierw musieliśmy ocalić tysiące.

– Dobrze – wybąkałam, kiedy stało się jasne, że Cole czeka, aż dokończę.

Nie wiedziałam, czym była iskierka, którą zobaczyłam w jego oczach.

Rozczarowaniem? Zrozumieniem? Zniknęła tak szybko, jak się pojawiła, za maską jego zwykłego ponurego uśmiechu, tak że przestałam być pewna, czy w ogóle ją widziałam.

– Umowa stoi – powiedział. – Dziś zgromadzimy dzieci, by mogła im pani to wyjaśnić. Jutro z samego rana zaczniemy rozpatrywać możliwe rozwiązania w sprawie szpitala.

Doktor Gray pochyliła głowę na znak, że się zgadza. Wstałam, mamrocząc coś o tym, że muszę sprawdzić, jak idzie przeprowadzane przez Vidę szkolenie. Tak naprawdę nie potrafiłam oddychać ciężkim powietrzem wypełniającym pomieszczenie. Nie mogłam zrobić ani wdechu, ani wydechu. Dusiły mnie słowa, które zawisły między czterema ścianami biura. Pospiesznie wytarłam dłonie o spodnie, ale i tak nie byłam w stanie pozbyć się uczucia, że umaczałam je we krwi.

Byłyśmy z Vidą same w sali komputerowej. Siedziałam z przyciągniętymi do piersi kolanami i opowiadałam jej o krótkiej rozmowie, jaką odbyłam z Cate. Starłam się jak najlepiej odpowiadać na jej pytania, które tak naprawdę sprowadzały się do: „ale nic jej nie jest, tak?”.

Przez cały czas wpatrywałam się w ekran komputera, na którym Nico ustawił wiadomości na żywo, czekając na jakiegokolwiek informacji o Kansas. Nagle pojawiła się na nim twarz Zu. Opuściłam nogi na podłogę z takim impetem, że krzesło przechyliło się razem ze mną do przodu.

– Włącz dźwięk – powiedziałam.

... kolejne nagranie opublikowane dzisiaj przez źródła związane ze skandalem dotyczącym obozów rehabilitacyjnych, który wstrząsnął nowo zainstalowanymi władzami w Waszyngtonie. Dziś wieczorem Powiększenie wypuściło serię nagrań z dziećmi rzekomo wyzwolonymi z obozu w Nevadzie. Przyjrzyjmy się im...

Nie miałam pojęcia, czy materiał zmontowali ludzie z kanału informacyjnego, czy zdolna Alice, ale najpierw pojawiły się w nim kolejno wszystkie dzieci, które zgodziły się udzielić wywiadu.

Zach... Mam siedemnaście lat.

Nazywam się Kylie i mam szesnaście lat.

I tak dalej, aż w końcu pojawiła się twarz Zu. Kiedy dziewczynka skończyła się

przedstawić, nagranie natychmiast przeskoczyło do momentu, kiedy opowiadała, jak rodzice odwieźli ją do szkoły. Następnie każde z dzieci przytoczyło swoją opowieść o tym, jak wymknęło się żołnierzom, rodzicom i światu.

Przycisnęłam dłoń do ust i spojrzałam na Vidę, by ocenić jej reakcję. Wzięła łyk wody ze swojej butelki i trzasnęła dłonią w zatyczkę, by ją zamknąć.

– Działają szybko i sprawnie, przyznaję – powiedziała. – Ale chyba wiesz, że trzymam twoją stronę? Owszem to świetny sposób, by wzruszyć kilka serc, ale ile tyłków poderwie to z kanap? Gdzie w tym wszystkim zagrzewanie do podjęcia działań? Potrzebują naszego wkładu. Za dużo w tym nadziei, za mało strategii.

– Ale wychodzi na to, że mieli rację – stwierdziłam, czując dziwną pustkę w środku. – Rzeczywiście potrzebowaliśmy czegoś takiego... Musimy pokazać ludziom prawdę, żeby było komu oddać wyzwolone dzieci. To świetny materiał. – Intuicja kolejny raz nie zawiodła Liama.

– To, że mają rację, nie oznacza, że ty się mylisz, mała – odparła ciszej. – Charlie to przewidział: nie było nas zaledwie przez chwilę, a wy już zdążyliście się podzielić. Banda gówniarzy.

Na ekranie znowu pojawiła się prezenterka – żywiołowa blondynka w bordowym kostiumie – ale niemal natychmiast przykryło ją zdjęcie przysłane przez jednego z widzów. Przedstawiało, jak nas poinformowano, nowojorski Times Square. Na jednym ze zbitki trzech billboardów znajdujących się na środku placu błyszczała twarz Zu, wyróżniając się na tle ciemnych powierzchni reklamowych zgaszonych od wielu lat. Jej podobizna była poruszająca, nawet jeśli się jej nie znało i nie miało się pojęcia, z jakich powodów zrobiono jej to zdjęcie. Nie można jej było zignorować, domagała się uwagi. Powyżej błyszczały słowa: WRÓG PUBLICZNY, TRZYNAŚCIE LAT – perfekcyjnie obmyślona manipulacja emocjonalna.

– Gdzie jest Pulpet? – zapytałam.

Vida zaczęła zdzierać naklejkę ze swojej butelki.

– Zapytałam Cole’a, czy nie moglibyśmy wykorzystać jednego z pustych pokoi po agentach, żeby zorganizować w nim coś w rodzaju... sali chorych. Ośrodka pierwszej pomocy. Mógłby tam umieścić te swoje medyczne ustrojstwa i książki, które

wszędzie ze sobą wozi jak jakiś pieprzony kujon. Jest tam teraz. Układa na półkach słoiki z wacikami i patyczkami do uszu.

– Rozczulasz mnie, Vi – rzuciłam. – To niemal urocze...

Nagle elektryczny białoniebieski blask emitowany przez kanał wiadomości zniknął zastąpiony czerwienią, która zmieniała nawet kolor włosów Vidy.

– O cholera.

Budynek był niemal nierozpoznawalny, ale słowa, które pojawiły się poniżej, wszystko wyjaśniały: „Kwatera główna Ligi Dzieci została zniszczona”.

... nadajemy na żywo z przedmieść Colby w Kansas. Przedstawiciele rządu potwierdzili, że za pomocą dronów przeprowadzono atak na magazyn, w którym, jak wynikało z doniesień, stacjonowali agenci pozostali z Ligi Dzieci. Dziś rano do prasy przeciekły sfabrykowane zdjęcia oraz dokumenty i organizacja ta wydała oświadczenie, w którym...

Nie zostałam, żeby usłyszeć resztę. Jeśli wysłali drony do Colby, gruzy na ekranie naprawdę były kwaterą w Kansas i o ile agenci nie zdążyli się ewakuować, wszyscy zginęli.

Cole był w biurze, ale nie zamknął drzwi na klucz. Wślizgnęłam się do środka, zastając go na krześle z twarzą schowaną w dłoniach. Na dźwięk zatraskujących się drzwi podniósł wzrok i przełączył telefon na głośnik.

Chłopaki twierdzą, że kiedy tam dotarli, wszystko jeszcze się paliło – mówił Harry. – Znaleźli dwoje ocalałych w odległości około kilometra od gruzów budynku, ale nie byli w stanie bardziej się zbliżyć. Każę im się wycofać i dołączyć do nas w Utah.

– Jak uciekli? – zapytałam. Jak komukolwiek mogło się udać?

Nie wiemy. Połączenie było kiepskie, a ci, którzy przeżyli, byli kompletnie dezorientowani, kiedy ich odnaleziono. Wersja wydarzeń, którą zdobyliśmy, jest niewiarygodna.

– Czemu tak twierdzisz? – zapytał Cole.

Szum wypełnił pomieszczenie i mój umysł. Wiedziałam, że się nie przesłyszałam, bo na twarzy Cole’a odmalowała się mordercza wściekłość, a żar rozlewający mu się pod skórą wyparł z niego resztki łagodności.

Ocaleni twierdzą, że zostali zaatakowani przez oddział dzieci. Podobno Czerwonych.

– Wierzysz w to? – zapytałam. – Myślisz, że zrobili to Czerwoni?

Cole podniósł wzrok.

– Cholernie chciałbym wiedzieć. Mam ochotę...

– Na co?

Gwałtownie zerwał się na nogi, nie mógł dłużej usiedzieć. Jego prawa dłoń przez cały czas spazmatycznie drgała.

– Muszę ci coś powiedzieć, zanim wyjdziemy i przedstawimy nasz plan pozostałym.

Wyginając sobie palce i usiłując mówić spokojnie, zapytałam:

– O co chodzi?

– Chciałbym, żebyśmy sprawdzili i udokumentowali działalność obozu Sawtooth w Idaho. Clancy twierdzi, że to jeden z ośrodków szkolenia Czerwonych.

– A ty mu wierzysz? – Potrząsnęłam głową. – Cole...

– Tak. Wierzę mu... I nie dlatego, że przeciągnął mnie na swoją stronę za pomocą swoich zdolności. Każda tajna informacja, jaką wyjawiał mi do tej pory, sprawdziła się... Przyznaję, że obiecałem, iż go uwolnię, jeśli nam pomoże. Oczywiście tego nie zrobię, ale to dobra motywacja.

– Dobrze. Ale dlaczego mielibyśmy się przyglądać temu miejscu?

– Senator Cruz powiedziała, że potrzebuje twardych dowodów na istnienie armii Czerwonych, żeby sprowokować międzynarodową społeczność do działania. Chcę to dla niej zrobić. A przynajmniej spróbować. Jeśli to ślepa uliczka, trudno. Powiedz, że mam twoje poparcie. Obiecuję, że to nie wpłynie na uderzenie na Thurmond.

Moja cierpliwość w końcu się wyczerpała.

– Jeśli chcesz to zrobić, musisz powiedzieć pozostałym, że jesteś Czerwony. Tylko wtedy się zgodzę.

Cofnął się zaskoczony.

– A co to ma do rzeczy?

– Tracimy poparcie dzieci. Czuję to. Muszą wreszcie się dowiedzieć, że naprawdę szczerze zależy ci na ich dobru, ponieważ jesteś jednym z nich. – Byłam świadoma znużenia pobrzmiewającego w moim głosie. – Czy nie za długo to trwa?

Otworzył usta – był zły i wyraźnie gotowy się bronić – ale zamknął je i przyglądał się mojej twarzy. Po długiej chwili w końcu się odezwał:

– Powiem Liamowi. Zaczę od niego jeszcze dziś wieczorem. Następnie, w zależności od tego, jak mi pójdzie, wyjawię to innym. Czy to rozsądne?

Miałam ochotę płakać, tak bardzo mi ulżyło.

– Tak. Ale musisz z nim porozmawiać przed dzisiejszym zebraniem.

Machnął lekceważąco ręką i usiadł.

– Najpierw chcę z tobą omówić to, jak widzę umieszczenie cię z powrotem w Thurmond. Doszedłem do wniosku, że będziesz wolą pogadać o tym w cztery oczy.

Skinęłam głową.

– Powiem reszcie, ale dopiero kiedy ustalimy wspólną strategię. Ciągłe planujesz przerzucić mnie do Wirginii?

– Tak. Chodzi o to, by podstawić cię pod nos jakiemuś łowcy nagród. Oczywiście trzeba się upewnić, że cię nie rozszyfruje już na samym początku. Zgłosimy fałszywy raport o Zielonym dziecku na wolności, ale będziesz musiała wniknąć do umysłu łowcy, zanim zdąży sprawdzić twój profil w sieci. Kiedy odstawi cię na najbliższy posterunek SSP, by odebrać nagrodę, podpowiesz mu, by przyprowadził do ciebie żołnierza, który „oficjalnie” cię przetestuje i potwierdzi, że jesteś Zielona. Będziesz musiała przeskakiwać między umysłami wszystkich, których napotkasz na swojej drodze. Nikt nie może poznać prawdy, w przeciwnym razie nigdy nie dostaniesz się do Thurmond. Kluczem do sukcesu jest przejęcie kontroli nad każdą osobą, z którą w danej chwili masz do czynienia. Czy to możliwe?

– Tak, to możliwe – powiedziałam, czując, jak determinacja każe mi wyprostować plecy.

Dwie godziny później zebraliśmy się w garażu wkoło białego półksiężyca namalowanego na podłodze. Dla Cole’a, pani senator i doktor Gray przygotowałam

krzesła, ale Cole postawił dodatkowe po swojej prawej stronie, po czym delikatnie popchnął mnie, bym również usiadła. Spojrzałam na niego z ukosa, usiłując odgadnąć, jak poszła mu rozmowa z bratem, ale przybrał kontrolowany beznamiętny wyraz twarzy.

W przeciwieństwie do niego Liam wyglądał tak, jakby przed chwilą przeszła nad nim chmura burzowa. Cały czas czułam na sobie jego wzrok, ale nie miałam odwagi na niego spojrzeć.

– Jak pewnie zdążyliście zauważyć, dzisiejszy wieczór jest szczególny, bo mamy nowego gościa – podjął zdecydowanie Cole z zaplecionymi na piersi rękami. – To pani doktor, która przeprowadziła badania nad sposobem leczenia OMNI. Wyjaśni nam dzisiaj przyczyny tej choroby i powie, co dokładnie obejmuje leczenie.

Szepty ucichły tak nagle i całkowicie, że miałam wrażenie, iż słyszę dochodzące z odległości setek kilometrów charczenie silnika jakiegoś samochodu.

Lilian wygładziła niewidzialne fałdy na spodniach od dresu i zaczęła się podnosić z krzesła, ale po chwili zmieniła zdanie i znowu usiadła. Kilkoro starszych dzieci ewidentnie pamiętało jej twarz z dawnych wydań wiadomości, ale większość zebranych patrzyła na nią zdumiona i zupełnie nieświadoma, kim jest ta kobieta. W przeciwieństwie do Alice. Dokładnie zauważyłam chwilę, kiedy uświadomiła sobie, co się dzieje.

– Dobry wieczór – powiedziała doktor Gray, po czym zwróciła się do Cole’a: – Od czego powinnam zacząć?

– Proszę zacząć od przyczyny i zakończyć na sposobie leczenia – odparł.

– No dobrze. Na samym początku, kiedy po raz pierwszy zdiagnozowano ostrą młodzieńczą neurodegenerację idiopatyczną, w skrócie OMNI, uznano, że wywołuje ją wirus, który ma cięższą i groźniejszą postać u dzieci niż u dorosłych. Środowisko naukowe szybko obaliło jednak tę teorię, ponieważ przypadki zachorowań poza Stanami Zjednoczonymi były raczej rzadkie i miały relatywnie łagodny przebieg. Po kilku latach Leda Corporation podsumowała wyniki swoich badań i potwierdziła to, co wielu naukowców, w tym ja, uważało za przyczynę.

Pochyliłam się do przodu, czując, jak wali mi serce, i przygryzłam usta.

– Mniej więcej trzydzieści lat temu doszło do prób naruszenia bezpieczeństwa narodowego. Było ich kilka... Wrogowie Stanów Zjednoczonych przeprowadzili zamachy bioterrorystyczne obejmujące ingerencję w nasze uprawy i zapasy wody.

Liam stał na obrzeżach grupy obok Alice. Oglądał doktor Gray przez wyświetlacz cyfrowy z tyłu aparatu fotograficznego, ale na te słowa zaskoczony podniósł wzrok. Ja też zaczęłam się wiercić, niecierpliwie czekając na dalszy ciąg. Od lat krążyły teorie, że OMNI jest wynikiem ataku terrorystycznego – to nie była dla nas nowość...

– Ówczesny prezydent... nie mój... to znaczy nie prezydent Gray... podpisał tajny rozkaz rozpoczęcia badań nad substancją chemiczną niwelującą działanie licznych trucizn, bakterii i leków, którymi mogłaby zostać zanieczyszczona woda. Nikt o tym nie wiedział. Leda Corporation opracowała substancję o nazwie Czynniki Ambrozja i wprowadziła ją do oczyszczalni na terenie całego kraju.

Potałam sobie dłonią czoło, starając się odzyskać ostrość widzenia.

– Czy sprawdzono, jak ten czynnik reaguje z minerałami i innymi substancjami zwykle dodawanymi do wody? – zapytała senator Cruz ze złością.

Doktor Gray pokiwała głową.

– Tak, przeprowadzono rutynowe badania. Uczestniczący w nich naukowcy podpisali wiążące deklaracje poufności i zostali sowicie wynagrodzeni za swoją pracę. Badali dzieci, dorosłych i zwierzęta. A nawet kobiety w ciąży, które jak się później okazało, urodziły bez komplikacji zdrowe potomstwo. Prawda jest jednak taka, że badacze pracowali pod tak ogromną presją ze strony rządu, któremu spieszyło się, by wprowadzić program, że nie byli w stanie ocenić długoterminowych skutków spożycia tej substancji.

Zatruli nas. Skrzywiłam się z obrzydzenia i musiałam się chwycić brzegów krzesła, by na nim pozostać. *Zatruli nas, a potem zamknęli za własny błąd.*

Cole poderwał się z miejsca i zaczął chodzić tam i z powrotem, słuchając ze spuszczoną głową.

– Ostatnie badania laboratoryjne Ledy dowiodły, że Czynniki Ambrozja jest teratogeny... Oznacza to, że kobiety, które piły zawierającą go wodę i wprowadziły go do swoich organizmów, nieświadomie pozwoliły, by wpłynął na komórki

mózgowe ich przyszłego potomstwa. Z tego, co wyczytałam z raportu, mutacje pozostały uśpione w mózgach dzieci, to znaczy w waszych mózgach, aż do wejścia w okres dojrzewania, czyli do około ósmego, dziewiątego, dziesiątego lub jedenastego roku życia. Objawy zostały uruchomione przez burzę hormonalną i zmiany w poziomie substancji chemicznych w mózgu.

– Dlaczego tyle dzieci umarło? – zapytał Cole, a jego dłoń znów drgnęła.

– Niektóre matki przyjęły wyższe dawki substancji. W wielu przypadkach znaczenie miał również trzeci, nieokreślony czynnik środowiskowy – wyjaśniła chłodnym, naukowym tonem. Nie przejawiała zupełnie żadnych emocji, co dodatkowo mnie rozzłościło.

To dotknęło też panią. Czemu się pani nie wścieka? Czemu się pani nie denerwuje?

Pierwsza wstała Olivia. Na widok jej pooranej bliznami twarzy doktor Gray odruchowo się wzdrygnęła.

– Jak wyjaśni pani to, że mamy różne zdolności? Jak to jest, że każdy z nas potrafi co innego?

– Najpopularniejsza hipoteza zakłada, że całkowicie zależy to od genów, indywidualnych procesów chemicznych zachodzących w mózgu oraz od tego, które ścieżki neuronalne zostały dotknięte w chwili przemiany.

– Czy ta substancja wciąż jest obecna w naszej wodzie?

Doktor Gray wahała się tak długo, że domyśliliśmy się odpowiedzi, zanim zdążyła otworzyć usta.

– Tak. Chociaż podejrzewam, że w związku z tym, iż Leda potwierdziła szkodliwość Czynnika Ambrozja, rząd planuje wprowadzić do wodociągów substancję neutralizującą. Zapewne zaczną od większych miast. Niestety, biorąc pod uwagę ogromną liczbę skażonych młodych kobiet i dzieci, można założyć, że mutacja zniknie najwcześniej w przyszłym pokoleniu albo jeszcze w kolejnym.

Pokolenia. Nie miesiące ani lata. Pokolenia. Schowałam twarz w dłonie i wzięłam głęboki oddech.

– Dobrze, już wiemy, skąd pochodzi choroba. Jakie leczenie pani proponuje? – zapytał Cole.

Pani doktor zmieniała pozycję i odrobinę się rozluźniła. To było jej terytorium i wkraczając na nie, poczuła się dużo pewniej.

– Naukowcy już od jakiegoś czasu wiedzą, że wasze zdolności psioniczne są uaktywniane głównie dzięki zmianie normalnego przepływu impulsów elektrycznych w mózgu. Mówiąc kolokwialnie, podkrecają ten proces. Kiedy dziecko zakwalifikowane na przykład jako Pomarańczowe wpływa na kogoś, manipuluje aktywnością elektryczną mózgu tej osoby. Zakłóca normalne działanie jego systemów i procesów. Nie różni się to aż tak bardzo od tego, co potrafią Żółci, z tym, że oni robią to na większą skalę i działają bardziej zewnętrznie, kontrolując przepływ prądu w urządzeniach elektrycznych albo liniach wysokiego napięcia. I tak dalej. Wszystko, ludzie również, składa się z cząsteczek, a te mają ładunki elektryczne. – Nie zważając na to, czy którekolwiek z nas rozumie, o czym mowa, kobieta mówiła dalej: – Sposób leczenia polega nie na zaaplikowaniu leku, lecz na terapii, którą trzeba stosować do końca życia. Obejmuje kontrolę, a nie zlikwidowanie przypadłości.

Serce gwałtownie przestało mi bić. Zobaczyłam twarz Clancy’ego, kiedy mówił mi dokładnie to samo. Nie uwierzyłam mu, bo przecież we wszystkich innych sprawach kłamał. Byłam pewna, że prawdziwe leczenie *musi* całkowicie zlikwidować mutację.

– Leczenie obejmuje operację chirurgiczną, podczas której choremu wszczepia się tak zwany głęboki stymulator mózgu. To rodzaj implantu wyciszającego aktywność neuronów. Miejsce jego umieszczenia w dużym stopniu zależy od rodzaju zdolności. We wszystkich przypadkach urządzenie to emituje własny ładunek elektryczny regulujący niewłaściwy przepływ i przywracający mu właściwości charakterystyczne dla zdrowych ludzi.

– Wygasza zdolności, ale ich nie likwiduje – podsumował Cole.

– Właśnie.

– Czy taki zabieg jest bezpieczny dla pacjenta? Robiła to już pani? – odezwała się Alice.

– Tak. Udało mi się w ten sposób pomóc jednemu dziecku.

– Jeden wyleczony pacjent to marny dorobek, pani doktor – rzucił Cole. – Jeden

przypadek nie świadczy jeszcze o skuteczności metody.

Kobieta lekko uniosła dłoń i powiedziała:

– Nie było czasu na więcej. Przykro mi.

– Czy mam rozumieć, że...? – Nie mogłam wydusić z siebie pytania. Byłam zdruzgotana, dławił mnie strach. – Twierdzi pani, że każde nowo narodzone dziecko będzie musiało zostać poddane takiej operacji, by uniknąć śmierci albo przemiany? W jakim wieku?

– W wieku mniej więcej siedmiu lat – wyjaśniła. – Nie wyklucza to zabiegów kontrolnych w przyszłości.

Dzieci w końcu otrząsnęły się z pierwszego szoku i w tłumie rozległy się niespokojne pomruki.

– Jaki będzie kolejny krok? – zapytała Alice, poprawiając ustawienie aparatu. – To wszystko brzmi niesamowicie, ale nie mamy żadnego twardego dowodu na to, że Czynniki Ambrozja zostały dodane do wody. Leda natychmiast zlikwidowała program badań, a nikt z Zielonych nie przechwycił żadnych informacji na ten temat.

– O jaki dowód wam chodzi? – zapytała doktor Gray.

Alice bez wahania odparła:

– O dokumentację, w której zapisano, że Czynniki Ambrozja wchodzi w skład mieszanki uzdatniającej wodę.

– Moglibyśmy sprawdzić pobliskie oczyszczalnie – zaproponował Liam. – Włamać się, zrobić zdjęcia, poszukać informacji w komputerach.

– To jest jakiś pomysł – powiedziała Alice z błyskiem w oku. – Podejrzewam, że musielibyśmy odwiedzić przynajmniej pięć lub sześć, na wypadek gdyby się okazało, że niektóre to podpuchy. Akcja musiałaby objąć inne stany, żeby udowodnić, iż skażenie nie dotknęło jedynie Kalifornii. Mamy wystarczająco dużo benzyny, żeby to zrobić?

– Zaraz, zaraz – przerwał jej Cole. – Obecnie naszym priorytetem powinno być dopracowanie szczegółów ataku na Thurmond. W międzyczasie mamy czekać na posiłki i się nie wychylać. Jeśli już ktoś stąd wyjdzie, to tylko po to, by zrekrutować więcej ludzi do walki.

– Posiłki? – Liam praktycznie warknął.

Cole uniósł brwi.

– Ty dupku! Nie wierzę! Poprosiłeś Harry’ego, żeby *walczył*?!

– Sam to zaproponował. Jest bardzo chętny, by nas wspomóc. Przyprowadzi ze sobą oddział czterdziestu byłych wojskowych – odparł Cole, a następnie zwrócił się do dzieci: – W przeciwieństwie do tego, czego mój brat wam naopowiadał, nigdy nie poprosiłbym o pomoc w walce nikogo, kto nie chce tego robić.

– Ile jeszcze razy będziemy musieli to powtórzyć, zanim zrozumiesz, o co chodzi?

– wtrąciła się Alice. – Dzieci nie chcą *zadnej* walki.

– Pragną walki. – Cole obszedł siedzących na podłodze i stanął prosto przed nią. – Nie chcą tylko w niej uczestniczyć.

– Nie. Chcemy przeprowadzić medialne bombardowanie prawdą! – powiedział Liam. – Ujawnić lokalizację znanych nam obozów wraz z listami więzionych w nich dzieci. Zmobilizujemy Amerykanów, by powstali i je wyzwolili. Owszem, wywoła to pewien chaos, ale teraz, kiedy mamy dowody na to, że OMNI nie jest zaraźliwe, zwiększa się prawdopodobieństwo, że siły międzynarodowe wkroczą na nasze terytorium, by wprowadzić pokój. Mam rację, pani senator?

– Nie mogę dać gwarancji, ale spróbuję nad tym popracować.

– Przeszacowałaś liczbę ludzi, których to obchodzi – powiedziałam, potrząsając głową i zauważając z pewnym zadowoleniem, że pozostali mnie słuchają. – Wiele razy przekonałam się, że jeśli chcemy kiedykolwiek zrealizować nasze zamiary, jeśli pragniemy to skończyć, musimy to zrobić sami. Obozy są wyposażone w wymyślne systemy bezpieczeństwa, a Gray nieraz udowodnił, że robi wszystko, by chronić swój tyłek. Skąd możemy mieć pewność, że w chwili, kiedy upublicznimy te informacje, władza nie odegra się na dzieciach? Że ich nie wykorzysta jako zakładników, że ich nie przeniesie albo nie *zabije*, by pozbyć się dowodów?

Jeśli wzięli to pod uwagę, planując swoją strategię, to zupełnie nie dali tego po sobie poznać. Co więcej, to, że doktor Gray nie starała się obalić moich argumentów, dodawało im jeszcze wagi.

– Absolutnie nie wolno wam tak po prostu ujawnić informacji o Czynniku

Ambrozja. Przykro mi, ale nie mogę na to pozwolić – dodała. – Nawet nie podejrzewacie, jaką panikę może to wywołać w społeczeństwie.

– To prawda – poparła ją senator Cruz. – Wolałabym uniknąć widoku ludzi, którzy skaczą sobie do gardeł, by dotrzeć do naturalnych źródeł wody. Zgadzam się jednak z Alice, że potrzebujemy dowodu. Nie dla społeczeństwa, ale dla naszych sojuszników z zagranicy.

Szmer, który przebiegł przez tłum, był niemal namacalny. Dzieci od razu zaczęły zmieniać miejsca i łączyć się w grupy, chętne wyruszyć do oczyszczalni. Cole tylko się im przyglądał. Jego dłoń drgnęła boleśnie, kiedy ją uniósł, by rozmasować kark. Zastanawiałam się, czy też dostrzega powolny rozpad naszego planu. Pociąg, którym zawiadywaliśmy pewną ręką, całkiem wypadł z torów. Kiedy Cole na mnie spojrzał, w jego oczach było błaganie i desperacja, jakiej nigdy wcześniej u niego nie widziałam.

Nie mogłam tego znieść. Byłam bardziej niż wściekła. Zrobił wszystko, co było w jego mocy, by nam pomóc, i zawsze wspierał nas w trudnych decyzjach. Nie wierzyłam, że dzieci próbowały usunąć go teraz z pozycji lidera. Nie mogłam patrzeć, jak Liam i Alice rzucają sobie prześmiewcze spojrzenia. W tej chwili Cole równie dobrze mógł wyjść z pomieszczenia, bo i tak nikt prócz mnie by tego nie zauważył.

– Mam dla was pewne informacje, jeśli was to interesuje – powiedział w końcu.

Alice przewróciła oczami.

– Na pewno – parsknęła.

– Twierdzicie, że chcecie przekazać światu, kim są te dzieci, ale tak naprawdę posługujecie się nimi, by wzbudzić litość. – Cole wsunął ręce do tylnych kieszeni dżinsów. Jego głos brzmiał coraz donośniej, a otaczający go harmider cichł. – Jedyne, co motywuje bardziej niż gniew, jest strach. Proszę bardzo, możecie upublicznić informacje o Ambrozji. Zobaczymy, gdzie to zaprowadzi ten kraj, kiedy ludzie zaczną wszczynać zamieszki, by dostać się do ostatnich źródeł świeżej nieskażonej wody. Zamiast tego możecie im jednak pokazać asa chowanego przez Graya w rękawie: armię Czerwonych, którą buduje.

– Co ty wygadujesz? – oburzyła się Alice.

– Wszyscy widzieliście, co się dziś stało w bazie w Kansas. W wiadomościach nie podano jednak, że istnieją doniesienia, iż ataku nie dokonało wojsko, tylko oddział Czerwonych.

– Bardzo łatwo mówić o doniesieniach, kiedy nie ma się ich czym podeprzeć – odparowała Alice.

Cole odzyskał jednak kontrolę nad dyskusją. Znowu ją prowadził, nie pozwalając, by toczyła się obok niego.

– Z zaufanego źródła wiem, że niedaleko stąd, w miejscu o nazwie Sawtooth, znajduje się obóz Czerwonych. Chciałbym się tam udać i udokumentować jego istnienie oraz szkolenia, jakim poddawani są tamtejsi więźniowie. Jestem gotowy przekazać zdobyty przez siebie materiał Powiększeniu, pod warunkiem że zostanie wykorzystany w połączeniu z wyzwoleniem obozu.

– Skąd masz tę informację? – zapytał Liam, mrużąc podejrzliwie oczy.

– Z zaufanego źródła.

Liam parsknął z niedowierzaniem. Cole zdobył jednak zainteresowanie Alice. Był jak kot, który dojrzał skradającą się pod ścianą mysz. Dziennikarka chciała mieć tę historię i nie zamierzała ryzykować, że ktoś sprzątnie jej taką gratkę sprzed nosa.

– Dobra, co powiesz na to, żebyśmy wysłali pięć zespołów do oczyszczalni ścieków, a jeden przydzielili tobie do zbadania tego miejsca i zrobienia kilku zdjęć? – zaproponowała.

– Potrzebuję tylko jednej dodatkowej osoby – odparł, patrząc na mnie.

– Ja pójdę – powiedział Liam, zanim zdążyłam zareagować, i zacisnął zęby, rzucając swojemu bratu wyzwanie.

Cole zaplótł ręce na piersi, łypiąc na mnie oczami, jakby czekał na koło ratunkowe.

Nie chce iść z Liamem. Wyraźnie zobaczyłam, że nie chodzi o wątpliwości co do tego, czy jego młodszy brat sobie poradzi, ani o brak zaufania.

– Ja też chciałabym wziąć w tym udział – rzuciłam. – Uważam...

– Przecież powiedział, że wystarczy mu jedna osoba. – Liam nie odpuszczał. Znow zwrócił się do brata: – Chyba że się obawiasz, że spieprzę tę twoją małą misję?

Cole prychnął, wykrzywiając usta w kpiącym uśmiešku.

– Dobrze, postanowione. Teraz niech mi ktoś powie, jak wygląda sprawa z samochodami. Jaką ilością benzyny dysponujemy w tej chwili.

Doktor Gray wróciła na miejsce, wbiła wzrok w dłonie, które położyła na kolanach, i wsłuchiwała się w pytania senator Cruz. Spotkanie dobiegło końca w momencie, kiedy ostatecznie utworzyło się pięć zespołów gotowych do odwiedzenia oczyszczalni. Dowodzenie nad nimi przejęła Alice, która przydzieliła każdej z grup inny stan kraju i sama dołączyła do wybranej z nich.

Nie chciałam zostać i słuchać oschłej wymiany zdań między Cole’em a Liamem. Odwróciłam się na pięcie, ledwie wyłapując wypowiedziane do mnie słowa Pulpeta, i skierowałam swoje kroki do tunelu prowadzącego do wnętrza bazy. Następnie udałam się do pustej sali komputerowej. Usiadłam na miejscu Nico i włączyłam wiadomości na żywo.

... oczywiście, jeśli te okropieństwa okażą się prawdziwe, prezydent będzie miał się z czego tłumaczyć...

Był to ostatni działający kanał informacyjny. Pozostałe wyłączono jeden po drugim. Powstał pewien schemat: najpierw stacja emitowała wywiady z dziećmi, potem w rozmowach tęgich głów coraz częściej padało zdanie „to są prawdziwe obozy”, a następnie przekaz się urywał. Wyglądało na to, że tej stacji udawało się uniknąć cenzury dzięki kreowaniu gościnnego komentatora na adwokata diabła, a nie na tak zwanego eksperta.

... a co, jeśli te dzieci nie mówią według gotowych scenariuszy? Co, jeśli to nie jest żaden wybieg mający na celu przykucie publicznej uwagi albo sianie zamieszania wśród rodziców? Jeśli zostały usunięte z programów rehabilitacyjnych, to czy nie są w niebezpieczeństwie? Powinniśmy się skupić na sprowadzeniu ich z powrotem do obozów, zanim będzie za późno.

Prowadzący program uniósł siwe, krzaczaste brwi i powiedział głębokim przenikliwym głosem: *Czy pan naprawdę obejrzał te wywiady? Dzieci twierdzą, że nie ma żadnego programu. Biorąc pod uwagę, że minęło już prawie dziesięć lat, a informacje o sposobie leczenia są, łagodnie mówiąc, bardzo zdawkowe, jestem gotowy w to uwierzyć. Nie sądzę, by te dzieci ryzykowały upublicznianie swoich wizerunków, gdyby nie...*

Ekran zaczął śnieżyć.

I na tym koniec, pomyślałam, pocierając twarz. W pomieszczeniu było ciepło, a urządzenia buczały swoją melodię w idealnym unisono. Zamknęłam oczy. Im dłużej się im przysłuchiwałam, tym łatwiej było mi przyswoić zalew informacji, który wcześniej spadł na mnie z hukiem. Tym łatwiej było mi dać się ogarnąć cichemu gniewowi.

Nie miało sensu tłumienie tego w sobie. Byłam wściekła na decyzje podjęte przed niemal dwudziestoma laty.

Ten cały „sposób leczenia” to jakiś żart. Poddanie się inwazyjnemu zabiegowi, który mógł się udać albo nie, było maskowaniem problemu, a nie rozwiązaniem. Czułam się dziwnie zdradzona przez własną nadzieję. Sądziłam, że nauczyłam się już nie liczyć na rzeczy, które są całkowicie poza moją kontrolą. Niemniej jednak... Mimo wszystko cierpiałam.

Jaki jest sens wyzwalań dzieci, jeśli nie czeka ich żadna przyszłość? Na samą myśl ścisnęło mnie w gardle. *W obozach są przynajmniej chronione przed tym, z czym musiałyby się mierzyć tutaj.* Jak wielu ludzi naprawdę z otwartością przyjąłoby to, że „odmieńcy” chodzą po ich ulicach? Zwalczyłam odruch, by podejść do mapy satelitarnej Thurmond, zerwać ją ze ściany i własnoręcznie podrzeć na tysiące małych kawałeczków – takich, na jakie rozpadłam się w środku. Czemu po prostu nie pozwolić, by SSP i wojsko ewakuowało obóz, a następnie starło budynki z powierzchni ziemi, nie pozostawiając po nich nawet śladu?

Ponieważ póki dzieci przebywają w obozie, mogą zostać zmuszone do poddania się operacji, czy tego chcą, czy nie.

Ponieważ zasługują na to, by móc wybrać, jak przeżyć własne życie.

Ponieważ długie lata nie widziały swoich rodzin.

Ponieważ tak trzeba.

Wstałam i rozciągnęłam zastale kończyny, po czym podeszłam do mapy Thurmond i przyglądałam odklejający się od ściany róg. Oprócz komentarzy i symboli, które sama naniosłam, znajdowały się tam również nowe. Zauważyłam między innymi narysowane przez Cole’a strzałki oznaczające kierunek ataku. Plan zakładał, że wjedziemy wozami bojowymi do środka przez główną bramę.

Podejrzewałam, że mieliśmy udawać albo dodatkowe jednostki ewakuacyjne, albo siły wsparcia. Pierwsze uderzenie miało być wymierzone w Infirmerię i Wieżę Kontrolną – dwójki lub trójki bojowników miały przeniknąć przez kręgi Baraków.

Cofnęłam się, by zobaczyć pełny obraz, i usiadłam przy jednym z pustych biurk.

To słuszne posunięcie. Wiedziałam, że trzeba tylko przekonać do niego pozostałych.

Drzwi otworzyły się z impetem.

– Jak to się...? – Odwróciłam głowę i przerwałam w pół słowa.

Był to nie Cole, jak się spodziewałam, ale Liam. Zaciskał zęby, a z jego niebieskich oczu sypały się gromy. Niczego nie musiałam się domyślać – kipiał z wściekłości. Trząśł się z wysiłku, jakiego wymagało wejście do środka i zamknięcie za sobą drzwi z zachowaniem pozorów spokoju.

Cały mój świat pochylił się w jego stronę. Było we mnie mnóstwo pustych przestrzeni, z czego najwyraźniej nie zdawałam sobie sprawy, póki się nie pojawiał, by je wypełnić. Tęsknota zamieniła się w głuchy ból otepiający mi umysł. Gniew Liama zderzył się z moją rozpaczą tak mocno, że aż trysnęły iskry i zostaliśmy zamknięci w naelektryzowanej chwili ciszy.

– Przepraszam – odezwałam się w końcu. – Wiem, że jest za późno, ale przepraszam.

Liam odchrząknął i odparł cicho:

– Od jak dawna wiesz?

Nie było sensu kłamać ani osładzać prawdy. Już dłużej nie mogłam. Nie potrafiłam nosić pod skórą poczucia winy, które rozdzierało mnie na pół za każdym razem, gdy coś przed nim tajałam albo wypowiadałam choćby najmniejsze kłamstwo. Cole poprosił mnie, bym dotrzymała tajemnicy, i zrobiłam to, ponieważ uważałam, że ma prawo uporać się ze swoimi demonami na własnych warunkach i w swoim tempie. Nie powinnam była jednak dopuścić, by to przedstawienie trwało tak długo, skoro wszystkich raczej dzieliło niż jednoczyło.

Co więcej, w tej chwili nie sądziłam, że jest możliwe, by Liam znienawidził mnie jeszcze bardziej.

– To stało się w Bazie – odparłam. – Kiedy wrócił wraz z innymi agentami, by ją odbić, uratował mi życie. Wtedy to zobaczyłam.

Liam gwałtownie nabrał powietrza i dając ujście swojej furii, walnął pięścią w ścianę obok drzwi tak mocno, że posypał się tynk.

– Au! Cholera jasna! – Odskoczył, przyciskając dłoń do piersi. – Chryste, jak mogła mi poradzić, że dzięki temu poczuję się lepiej?

Zerwałam się na równe nogi i ruszyłam ku niemu, zanim zdążyłam się opamiętać.

– Kto? Alice? – zgadywałam, karcąc się za gorycz, którą słyszałam we własnym głosie.

– Jasne, bo na wieść o tym, że mój brat jest Czerwonym, od razu poleciałem do pierwszej lepszej dziennikarki! – wypalił. – *V i d a* . Pytałem ją, gdzie jesteś.

– Wybacz – odparłam. Słyszając, jak to słowo wychodzi z moich ust, zdałam sobie sprawę, że do tej pory balansowałam nad przepaścią. Teraz jednak uchodziły ze mnie resztki siły... Poczułam, że robię kolejny krok, ale kolana ugięły się pode mną i upadłam na podłogę. Nie potrafiłam znaleźć odpowiednich słów, nie umiałam ich poskładać w jedną całość. Przycisnęłam dłonie do twarzy i wybuchłam niepohamowanym płaczem. – Przepraszam, przepraszam, przepraszam...

Słyszałam, że do mnie podchodzi, a przez szpary między palcami zobaczyłam, że siada nieopodal na ziemi i opiera się o biurko. Położył ręce na kolanach, pozwalając, by spuchnięta prawa dłoń zawisała w powietrzu. Nie odzywał się ani słowem. Nie wiedziałam, czy czeka, aż skończę, czy aż coś w nim samym pęknie.

– Twierdzi, że kazał ci przysiąc na własne życie, że mi nie powiesz – odezwał się w końcu zachrypniętym głosem. – Że to jego powinienem winić, nie ciebie.

– Tak. Ale mogłam ci powiedzieć mimo wszystko – wyszeptałam.

– Jednak tego nie zrobiłaś.

– Nie zrobiłam.

Wydał z siebie jęk frustracji i przeczesał ręką włosy.

– Ruby, możesz przynajmniej pomóc mi zrozumieć, dlaczego? *C h c ę* do tego dojść... To mnie dobija. Nie pojmuję, czemu żadne z was nawet nie spróbowało ze mną porozmawiać.

– Dlatego, że... Wiem, jak to jest, gdy... – Z trudem szukałam odpowiednich słów, a kiedy stwierdziłam, że już je mam, wymykały mi się. – Sytuacja moja i Cole’a jest inna niż wasza. Jesteśmy niebezpieczni. Wiem, że trudno ci tego słuchać, ale taka jest prawda, przykro mi. Świadczy o tym sposób, w jaki żołnierze traktowali Pomarańczowych i Czerwonych w Thurmond, oraz trud, jaki Zu musiała włożyć, by nauczyć się kontrolować swoje zdolności. I ciągle widzę to w twarzy każdego dziecka, z którym rozmawiam. W pełni rozumiałam, dlaczego Cole nie powiedział o tym ani tobie, ani rodzicom. Żyłam w strachu, że ktoś odkryje mój sekret, i Cole miał tak samo. Najpierw krył się przed rodziną, a później przed resztą Ligi.

– Nikt z Ligi nie miał o tym pojęcia? – zapytał z niedowierzaniem.

– Wiedziały trzy osoby: Alban, Cate i ja. Nikt więcej.

Westchnął głęboko, potrząsając głową.

– Chciałabym móc ci to lepiej wyjaśnić – ciągnęłam. – Nieustannie myślałam o tym, jak długo sama ukrywałam prawdę przed światem. Sześć lat. A później w jednej chwili, mając zaledwie kilka sekund na decyzję, musiałam odkryć przed wami, czym jestem, żeby wydostać nas z rąk tamtej kobiety. To była jednocześnie najtrudniejsza i najprostsza decyzja, jaką kiedykolwiek podjęłam. Z jednej strony oznaczała zapewnienie wam bezpieczeństwa, z drugiej ryzyko utraty przyjaźni całej waszej trójki.

– Czy mówisz o...? To działo się w lesie po tym, jak prawie wpadliśmy w łapy łowcy... – Liam usiłował poskładać fragmenty wspomnienia. – Myślałaś, że cię zostawimy...

– Tak. – Wypowiedzenie kolejnych słów przyprawiło mnie o ostry ból w klatce piersiowej. – Porozmawiałeś ze mną jednak i przekonałeś mnie, że wszyscy chcecie, bym dalej była częścią waszej grupy. Nie masz pojęcia, jak to jest, kiedy słyszy się coś takiego po latach spędzonych samotnie we własnej głowie... Odmieniłeś wtedy moje życie. Wiem, że zabrzmiało to głupio, ale w głębi serca uwierzyłam, że mogę zrobić to samo dla Cole’a. Pragnęłam doprowadzić go do momentu, kiedy przestanie się tak bardzo wstydzić tego, czym jest. Chciałam, by czuł się komfortowo z tym, że jest jednym z nas, i by nie był tak strasznie samotny. Nie mogłam tego znieść. Wciąż jest uwięziony pomiędzy dwoma światami. Nie jest jednym z nas, ale dorosłym też

nie.

– Bo tak wybrał. Mógł nam powiedzieć.

– Widziałeś, jak zareagowała połowa dzieci, kiedy wspomniał o obozie dla Czerwonych? Patrzyłeś na Olivie? Na Bretta? Cole nie znalazł w ich oczach akceptacji. Widząc ich, zapewne myślał: „Wszyscy mnie znienawidzą. Będą się mnie bać. Nigdy więcej nie spojrzą mi w twarz”.

Liam wbił wzrok w swoje dłonie.

– Sama też masz ciągle takie obawy? – zapytał.

– Przychodzą i odchodzą – przyznałam cicho. – Czasem. Kiedy jestem z tobą, czuję się jak promień słońca... Odganasz ode mnie całe zło. Cole jednak rozumie mrok, którego nie jestem w stanie z siebie wyrzucić. Kiedyś sądziłam, że jest typem faceta, który niczego się nie boi, ale on boi się własnego cienia, Liam. Myślę, że dopiero dzisiaj zrozumiałam, jak bardzo obawiał się przed tobą odsłonić.

– Ale to strasznie niesprawiedliwe. – Głos Liama nabrzmiwał kolejną falą gniewu. – Wiem, że nie powinienem, ale nienawidzę go za to, że pomyślał, iż ja, mama, Harry czy którekolwiek z dzieci, wielbiących przecież ziemię, po której stąpa, przestalibyśmy go kochać. Szkoda, że nam nie zaufał, bo otrzymałby wsparcie. Dla mnie to nic nie zmienia.

– Nic?

– Zupełnie nic – powtórzył z zaciekłością w głosie. – Oprócz tego, że teraz wiem, że nie podpalał mi złośliwie zabawek zapalnikami. A to już chyba coś.

– Nie potrafił tego kontrolować. Nadal ma z tym problemy.

Liam nie wyglądał na przekonanego.

– Po tym, co mi zademonstrował, zupełnie nie odniosłem takiego wrażenia.

– Naprawdę. – Nie dawałam za wygraną. – Wszystko zależy od sytuacji.

Najgorzej jest wtedy, kiedy się boi albo kiedy ktoś go zrani, albo kiedy ty umierasz, dodałam w myślach.

– Ale jeśli ty to potrafisz, to on też musi.

– Opanowanie kontroli nad zdolnościami nie oznacza jeszcze, że ludzie ufają ci, że dokonasz właściwych wyborów, prawda? – Poczułam, jak głos łamie mi się w

połowie zdania, i natychmiast pożałowałam, że poruszyłam tę kwestię.

– O czym ty mówisz...? – Liam mocno ściągnął brwi. Widziałam, jak gniew ulatuje z niego zastąpiony przez osłupienie i szok. – Znalazłaś mój list? Ruby, dlaczego nic nie powiedziałaś?

– A co miałam powiedzieć? Masz rację, że mi nie ufasz. Tylko spójrz, dokąd doprowadziło cię to w przeszłości.

– Nie! Cholera jasna! Nie powinienem był pisać tych bzdur, ale przeczuwałem, że Cole każe mi odejść. Że przekona cię, iż tak będzie lepiej.

Odsunęłam się od niego. Nie chciałam słuchać dalszych wyjaśnień, bo ból, który mnie wypełniał, stał się tak samo nieznosny jak tamtej nocy. Liam nie pozwolił mi jednak odejść. Usiadł przede mną i po raz pierwszy od długiego czasu, który był dla mnie niby całe lata, wysunął dłoń, by dotknąć mojego ramienia... Jednak kiedy tylko zgiął rękę, skrzywił się z bólu.

– Au, cholera!

– Pokaż. – Ostrożnie ujęłam jego dłoń, by się jej przyjrzeć. Jej dotyk wystarczył, by na nowo przyspieszył mi puls, a mój nastrój zaczął się zmieniać. Liam spojrzał na mnie i poczułam, jakby w ten sposób również czule mnie dotykał. Zastanawiałam się, czy też za tym tęsknił i czy tak jak ja odczuwał gromadzące mu się pod sercem ciepło. Potrzebę.

Uderzając w ścianę, rozciął sobie skórę na kłykciach. Rana już nie krwawiła, ale jej okolice zaczynały sinieć i puchnąć. Badałam jego delikatne kości, pozwalając, by luźny warkocz opadł mi na ramiona. Liam sięgnął do niego zdrową ręką, ujął go między palce i przeciągnął je przez całą długość. Kiedy musnął mój obojczyk, wstrzymałam oddech i zamknęłam oczy. Poczułam, jak otaczające nas ciepłe powietrze drgnęło, kiedy się ku mnie nachylił i pogładził palcem skrawek mojej odsłoniętej skóry. Nie zasługiwałam na czułość, ale minęło tyle czasu, a ja pragnęłam go tak bardzo, że nie miałam siły się tym przejmować.

Uniosłam jego dłoń i przycisnęłam ją do ust w miejscu skaleczenia. Zamknął oczy i zadrżał.

– Nie są złamane – wyszeptałam, muskając oddechem jego skórę. – To tylko

stłuczenie.

– A my?

Jego pytanie wypełniło mnie w równej mierze nadzieją i strachem.

– Nie potrafię zapomnieć, a ty? – odparłam.

– Czy to ma znaczenie? Nie chcę zapominać. Przeszliśmy bardzo wiele, to prawda, ale czy to ma znaczenie, skoro idziemy do przodu tą samą drogą? Ostatnie kilka dni było piekłem. Patrzę na twoją twarz i tak strasznie żałuję, że napisałem ten idiotyczny list. Żałuję, że nie powiedziałem ci o Alice. Chciałam się poczuć choć odrobinę potrzebny. Chciałem, żebyś zobaczyła, że jestem coś wart.

– Liam... – Wstrzymałam oddech. – Zawsze to wiedziałam. Tak bardzo pragnę mieć normalne życie. Wrócić do domu i znów pobyć z rodziną. Wierzyłam, że zdołam się naprawić i stać się osobą, która zasługuje na kogoś takiego jak ty. I na Zu, Pulpeta, Vidę, Jude’a, Nico i Cate. Sądziłam, że dzięki leczeniu znów będę normalna. Pragnęłam jedynie, żeby to się wreszcie skończyło. Ale teraz chcę tylko być lepsza dla samej siebie. Nie pozwolę, by ktoś instalował mi coś w głowie albo mieszał w tym, kim jestem. Kiedy to wszystko się skończy, niezależnie od tego, ile czasu to zajmie, już nigdy nie będę musiała korzystać ze swoich zdolności. Ale teraz jeszcze muszę i to ufając, że działam dla dobra innych. Powiedz mi, co mam zrobić, by zasłużyć na twoją obecność w swoim życiu, a to zrobię. Zrobię wszystko...

Liam przesunął dłonią w górę po moim warkoczu i pogłaskał mnie po policzku. Jego usta dotknęły moich i rozkwitła we mnie czysta wspaniała ulga. Po chwili odsunął się i uważnie badał moją reakcję. Kiedy uśmiechnęłam się nieśmiało, znowu mnie pocałował, rozbijając w drobny mak resztki moich wątpliwości. Pogłębiłam pocałunek, chcąc odebrać mu dech, tak jak on robił to ze mną.

Odsunął się, ale policzki mu płonęły, a oczy błyszczały. Wiedziałam, że jego twarz wyraża to samo co moja. Cała dygotałam, nie mogąc się doczekać na więcej, pragnąc jedynie podążyć za gwałtowną miłością, którą do niego czułam. Uważając na zranioną dłoń, Liam uklęknął, a następnie wyciągnął do mnie rękę i zaczął wstawać z podłogi. Nagle jednak kątem oka coś zauważył i stanął jak wryty.

– Co to jest? – zapytał, zbliżając się do wydruku przymocowanego taśmą do

ściany.

– To Thurmond – wyjaśniłam. – Harry zdobył to zdjęcie od swojego kontaktu w rządzie.

Liam powoli się do mnie odwrócił.

– Czy to...? Czy to wszystko jeden obóz?

Podeszłam bliżej i oparłam się o jego ramię.

– Wieża Kontrolna, Infrmeria, Mesa, Fabryka... Wszystko oznaczyłam, spójrz.

Pokiwał głową w milczeniu.

– Gdzie mieszkałaś?

Wyciągnęłam rękę, by wskazać na rzędy licznych brązowych budynków otaczających górującą nad nimi ceglana wieżę.

– Barak dwadzieścia siedem.

– Ruby, to jest... Z twoich opowieści o Thurmond wiedziałem, że jest wielki, ale nie aż tak! – Potrząsnął głową, burcząc coś pod nosem tak cicho, że nie rozróżniałam słów. Kiedy znów na mnie spojrzał, wyglądał na poruszonego.

– Teraz rozumiesz? – zapytałam. – Jeśli chcemy wyzwolić Thurmond, musimy przygotować akcję z prawdziwego zdarzenia. Żeby pokonać żołnierzy, potrzebowalibyśmy setek cywili, a i tak nie wiadomo, czy udałoby się im sforsować bramę. Podoba mi się to, co próbujecie zrobić, i uważam, że powinniśmy połączyć nasze strategie. Zwrócić całą uwagę mediów na Thurmond i wypuścić materiał w momencie ataku. Moglibyśmy wykorzystać media do przekazania informacji o miejscu zbiórki, gdzie rodzice będą mogli odebrać swoje uwolnione dzieci.

– Ale najpierw ktoś musi przeniknąć do środka i zainstalować program komputerowy, który unieszkodliwi ich system bezpieczeństwa – powiedział Liam. – Jest dokładnie tak, jak podejrzewałem. Ty chcesz to zrobić...

– Nie mam wyjścia.

– Właśnie, że masz! – zaprzeczył ostro. – Nie ma mowy, żebym cię puścił! Obiecay mi, że kiedy wrócę, usiądziemy i omówimy tę część planu, Ruby. Błagam cię.

Wyglądał na tak zdruzgotanego tą myślą, że mimowolnie się zgodziłam.

Mogliśmy porozmawiać, ale wiedziałam, że to i tak niczego nie zmieni. Musiałam to zrobić.

Uścisnął moją dłoń.

– Jestem takim idiotą... Myślałem, że Cole wciągnął w to Harry'ego, żeby się na mnie odegrać. A przecież to dlatego, że jako były wojskowy zna się na tego typu akcjach.

– Harry naprawdę chce wziąć w tym udział.

– Skąd wiesz? Rozmawiałaś z nim?

– Tylko przez chwilę. Powiedział mi, że odnaleźli Cate i pozostałych i wyciągnęli ich z więzienia.

Liam roześmiał się cicho.

– Można się było tego spodziewać! Harry Zawodowy Bohater! Powinnaś jeszcze poznać Harry'ego Kibica, Harry'ego Szefa Kuchni i Harry'ego Mechanika. On nie robi nic na pół gwizdka.

Znowu wsparłam się na jego ramieniu, usiłując zastąpić wspomnienie, które zobaczyłam w umyśle Cole'a, czymś łatwiejszym do strawienia.

– Jak twoja mama go poznała? Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby cię o to zapytać...

– O Boże, to tak romantyczne, że aż obrzydliwe. – Liam się wzdrygnął. – Kiedy mama w końcu odeszła... Kiedy postanowiła zostawić swoje dawne życie, wpakowała nas do auta i jechała przez całą noc, żeby jak najbardziej oddalić się od domu. Samochód zepsuł się w Karolinie Północnej. Harry właśnie wracał na stałe ze służby za granicą i zobaczył, jak mama wydiera się na starą toyotę, waląc w maskę w ataku szału. Zatrzymał się obok i zaproponował, że rzuci okiem na nasze auto, a kiedy się okazało, że trzeba wymienić części, zawiózł nas wszystkich do domu swojej matki. Kobieta tylko spojrzała na naszą mamę i w jednej chwili zaadoptowała ją w pełnym tego słowa znaczeniu, pomijając jedynie kwestie prawne. Zostaliśmy z nimi przez tydzień. Podejrzewam, że Harry nigdy w życiu niczego nie naprawiał tak powoli. Mówiłem już, że właśnie skończył służbę w armii i zamierzał otworzyć warsztat samochodowy? Uparł się, żeby mama została jego pierwszą klientką, i

nalegał, by pozwoliła zreperować auto za darmo, co miało mu przynieść szczęście w interesach. Drań łągał jak pies, że nie jest w stanie zdobyć potrzebnych części, żeby tylko przedłużyć naszą wizytę. Dzięki temu mama miała czas, by znaleźć pracę i przytulne miejsce do mieszkania. Zaczęli się jednak ze sobą umawiać dopiero po trzech latach. Wcześniej mama... nie była gotowa na zmiany w tej kwestii. A później zakochali się w sobie jak dzieci.

– Nieżle – powiedziałam. – Co za zrządzenie losu. Gdyby pojechała inną drogą albo gdyby on przejeżdżał tamtędy godzinę wcześniej lub później...

– Cóż... – Liam lekko spuścił głowę. – Z nami było podobnie, prawda? Chyba ci tego nie mówiłem, ale w dzień, kiedy cię spotkaliśmy, znaleźliśmy się na zachodzie Wirginii przez zupełny przypadek. Robiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby tamtędy nie jechać.

– Z powodu twojego ojca? – Zaryzykowałam.

– Widzę, że Cole cię wtajemniczył. – Zaczekał, aż pokiwam głową, po czym dodał: – Odnosiłem wrażenie, że nad całym stanem wisi złowieszczą chmura. Mam wielkie szczęście, że nie pamiętam naszego życia z czasów sprzed pojawienia się Harry’ego, bo z tego, co opowiadali mi mama i Cole, to było prawdziwe piekło. Już jako małe dziecko wiedziałem jednak wystarczająco dużo, by obawiać się Wirginii i mężczyzny, który tam mieszkał. Gdy mama wspominała o minionych wydarzeniach, zawsze zaznaczała, że działy się w Wirginii Zachodniej. Kiedy pewnego razu dokuczałem Cole’owi, nastraszył mnie, że jeśli się nie uspokoję, to ten mężczyzna przyjdzie po mnie i mnie zabierze. – Skrzywił się. – Wiem, że ten człowiek wciąż żyje i tam mieszka. Mimo usilnych zapewnień Pulpeta o irracjonalności mojego lęku nie mogłem się go pozbyć. Zanim skończyłem osiemnaście lat, bałem się, że jeśli tam wrócę, to on mnie odnajdzie i nie pozwoli mi odejść.

– W takim razie czemu tamtędy jechaliście? – Wiedziałam, że Liam miał świetną orientację w terenie i z łatwością mógł ominąć ten stan.

– Ponieważ pewna łowczyni nagród, Lady Jane, ścigała nas do upadłego. Chciałem ją zgubić. Kiedy tak jechaliśmy, zauważyłem nazwę naszego starego miasteczka i po prostu... To było jak zatoczenie koła, domknięcie etapu, który, choć o tym nie wiedziałem, zostawiłem otwarty. Wtedy w razie czego byłbym już w stanie

się stamtąd wydostać. Wiedziałem, że jeśli zajdzie taka potrzeba, mogę z nim walczyć i wygrać, że mama i Cole są bezpieczni. Jadąc tamtędy, miałem wrażenie, że odbieram mu ostatnie resztki kontroli, jaką ma nad moim życiem. Musiałem tam wrócić, żeby sobie to uświadomić. Nie wiem, czy kiedykolwiek bym uwierzył, że mogę to zrobić, gdybym nie znalazł się tam wtedy razem z wami wszystkimi.

Poczuł drżenie mojej dłoni i przycisnął ją sobie do piersi, tak że pod palcami miałam jego dudniące serce.

– Zmierzam do tego, że mimo całego zła, które nas otacza, uważam, że w samej esencji życie jest dobre. Nie obarcza nas niczym, czego nie bylibyśmy w stanie znieść... I nawet jeśli to trochę trwa, wszystko zawsze kończy się tak jak powinno. Z całego serca pragnę, żebyś się od tego uwolniła. Chcę ruszyć na Thurmond i wyzwolić te biedne dzieci, żebyś mogła zamknąć tamten etap. A jeśli nam się nie uda i wszystko obróci się przeciwko nam, to chcę przynajmniej, żebyś wiedziała, że cię kocham i nic nigdy tego nie zmieni.

– Ja też cię kocham. – Zarumieniłam się w odpowiedzi na jego uśmiech, zaskoczona, że wypowiedzenie tych słów jest tak przyjemne. *Kocham cię. Kocham cię. Kocham cię.*

– Nareszcie. Sławny urok Stewarta cię powalił, co?

Roześmiałam się.

– Na to wygląda. Ale nie było łatwo, co?

– No, nie wiem.

Drzwi znowu się otworzyły. Wychyliłam się z objąć Liama, wyciągając szyję, by zobaczyć, kto to. W progu stanął Nico, który cofnął się na nasz widok, bąkając:

– Przepraszam. Wy...

– Cześć – rzuciłam.

– Zapomniałem, że... Mam coś do zrobienia. – Zakołysał się na piętach. – Ale jeśli chcecie tu zostać, to sobie poradzę...

– Nie – powiedział Liam, spoglądając na mnie. – Już skończyliśmy, prawda?

– Sala jest do twojej dyspozycji – potwierdziłam. – Ale potem spróbuj się trochę przespać, zgoda?

Nico pokiwał głową z roztargnieniem. Stałam na chwilę w drzwiach, patrząc, jak podchodzi do swojego komputera i daje się zalać niebieskobiałemu światłu ekranu.

Liam pociągnął mnie do równoległego korytarza, a następnie na schody i piętro z sypialniami. Zawróciłam go jednak i poprowadziłam w przeciwnym kierunku, do pustego pokoju Cate. Nieśmiały uśmiech malujący się na jego twarzy przyprawiał mnie o przyjemny zawrót głowy. Jedną ręką zaczął mnie delikatnie gładzić wzdłuż kręgosłupa, rozbudzając na dnie mojego brzucha zupełnie nowe doznania.

Wspięłam się na palce, ujmując jego twarz w dłonie. Kątem oka zauważyłam jednak ciemną postać wychodzącą z pobliskiego pomieszczenia, które przerobiliśmy na pokój zabiegowy. Liam odwrócił się, słysząc skrzypnięcie, a następnie trzask zamykających się drzwi, na co skradający się Pulpet podniósł wzrok, opuścił go, po czym znowu podniósł, usiłując zrozumieć, co się dzieje.

– Tu jesteś! – powiedział Liam, zupełnie ignorując osłupiały wyraz twarzy przyjaciela. – Zastanawialiśmy się, gdzie się podziewasz.

– Ja tylko... Skręcałem nowe półki na... eee, na zaopatrzenie i książki w salce zabiegowej – wymamrotał, łypiąc oczami na przemian na nas, na drzwi i za siebie, jakby szukał drogi ucieczki.

– I skończyłeś? – zapytałam, nagle zauważając, że ma nierówno zapiętą koszulę. Wystrzeliłam ku drzwiom, usiłując się nie roześmiać ze śmiertelnie przerażonego wyrazu jego twarzy. – Z przyjemnością ci pomożemy.

Liam w końcu zaczął pojmować, o co chodzi, i coraz wyżej unosił brew...

– Nie! Nie, zgubiłem śrubkę i musiałem sobie odpuścić. Dokąd idziecie? Pójdę z wami...

– Wszystko w porządku? – zapytał go Liam. – Zachowujesz się dziwnie.

– Tak, tak, wszystko gra. – Pulpet poprawił sobie na nosie okulary, które zrobiła mu Vida, i spojrzał w dół na swoją koszulę. Następnie bez ostrzeżenia chwycił mnie za rękę i pociągnął w głąb korytarza. – A jak wy się macie? Wszystko już między wami dobrze? Chcę znać najdrobniejsze szczegóły...

Za naszymi plecami rozległo się skrzypnięcie uchylanych drzwi. Pulpet skurczył

się i przywarł do ściany, podczas gdy z pomieszczenia wymaszerowała Vida z wypiętą piersią i wysoko uniesioną rozczochraną czupryną. Spuchnięte usta wydeła w dziobek, co nadawało jej twarzy wyraz zarozumiałej satysfakcji. Liam cofnął się, by zejść jej z drogi.

Nie odezwała się do nas ani słowem, jedynie zarzuciła Pulpetowi kurtkę na głowę, pozwalając, by na nim zawisała. Pulpet zaczekał, aż dźwięk jej butów uderzających w posadzkę ucichnie, a następnie osunął się na ziemię. Przyciskał sobie kurtkę do twarzy, sprawiając nieodparto wrażenie, iż chce się udusić.

– O Boże – jęknął. – Ona doprowadzi mnie do grobu. Naprawdę mnie zabije.

– Zaczekaj... – powiedział Liam, nawet nie starając się ukryć szerokiego uśmiechu. Położyłam mu rękę na ramieniu w obawie, że zacznie skakać pod sufit z wielkiej i niepohamowanej radości. – Czy wy...?

Pulpet w końcu opuścił kurtkę i ciężko wzdychając, pokiwał głową.

No ładnie – pomyślałam, zaskoczona swoim brakiem zaskoczenia. – *Proszę, proszę.*

– Wow... Nieźle! Obawiam się, że mózg zaraz wycieknie mi przez uszy – entuzjasmował się Liam, przyciskając sobie nasady dłoni do czoła. – Jestem z ciebie bardzo dumny, Pulpeciku. Ale jestem też strasznie zdezorientowany... To znaczy nie bardziej niż dumny... Chyba muszę się położyć...

– Od jak dawna to trwa? – zapytałam. – Chyba tego nie...? Nie jesteście...?

Jedno pełne udręczenia spojrzenie powiedziało mi wszystko, co chciałam wiedzieć. Zrobili to. I byli razem. Liam aż się zakrztusił.

– Co? – oburzył się Pulpet. – To zupełnie normalna ludzka reakcja na... na stres. A do tego jest zima, więc jak się śpi w aucie albo w namiocie, człowiek może zamarznąć... A tak w ogóle to nie wasz interes!

– To nasz interes, jeśli nie podchodzisz do tego z głową – odparł Liam.

– Wyobraź sobie, że wiem o antykoncepcji, odkąd skończyłem...

– Nie o to mi chodziło – przerwał mu Liam pospiesznie, unosząc rękę. – Zupełnie nie o to, ale dobrze wiedzieć.

Kucnęłam przed Pulpetem i położyłam mu dłoń na ramieniu.

– Podejrzewam, że Liam chciał powiedzieć, że jeśli to nie wypali albo jedno z was zostanie zranione, nie będzie wam łatwo.

– Na przykład gdyby przyszło jej do głowy wymazać mi wspomnienia i musiałbym na wszelki wypadek zapisać sobie, kim jestem?

Widziałam, że w chwili, kiedy usłyszał swoje słowa, pożałował, że nie może wtłoczyć ich z powrotem do głowy, gdzie powinny były zostać. To przynajmniej odrobinę osłabiło ich jad.

– Hej! – zawołał ostrzegawczo Liam.

– Daj spokój, to prawda – powiedziałam. – Pulpet, wiem, że sobie poradzisz, ale Vi... Ludzie naprawdę przepuścili ją przez emocjonalną wyrzynarkę. Uważaj na jej serce, dobrze?

– W naszym układzie serca nie grają żadnej roli – zapewnił mnie, zupełnie nieprzekonująco i absolutnie niewiarygodnie. – To sposób na przetrwanie...

– W porządku – odparłam.

– Vida nie potrzebuje nikogo, kto by ją chronił czy toczył za nią bitwy, okej? – dodał, patrząc to na mnie, to na Liama. Gwałtowność w jego głosie odrobinę zelżała.

– Boże, nie wierzę, że to spaprąłem. Ona mnie zabije. Od naszego powrotu nie minął nawet tydzień... Nikomu nie powiecie, prawda?

– Vida ma głęboko gdzieś, co myślą inni – zauważył Liam. – To cecha, którą bardzo w niej podziwiam.

– Czy kazała ci trzymać to w sekrecie, dlatego że się wstydzi? – zapytałam. – Wstydzi się, że z tobą jest?

– Nie powiedziała tego wprost, ale to chyba oczywiste.

– Może chce, żeby to zostało między wami, bo to dla niej nowość – zasugerowałam. – Albo po prostu uważa, że nikogo poza wami nie powinno to obchodzić.

– Jesteś niezłą partią, stary – dokończył Liam. – Na pewno się ciebie nie wstydzi. A poza tym nie może być aż tak wściekła, skoro widziała, że wiemy tylko my... Przecież nigdy nie zwierzymy się nikomu z zewnątrz. Jediną dodatkową wtajemniczoną może być Zu, która oczywiście dostanie ocenzurowaną wersję.

Człowieku, uwierz w siebie trochę. Przecież musi być w tobie coś, co się jej podoba, skoro jest na ciebie taka napalona.

– Liam Michael Stewart, literat i poeta – podsumował go Pulpet i podniósł się z ziemi, kręcąc głową. Patrzyłam, jak milknie i wykręcając sobie palce, analizuje nasze argumenty. Przez twarz przemknął mu cień. Nie mogłam odgadnąć, nad czym się zastanawia ani co sobie przypomina. W końcu jednak ponownie potrząsnął głową. – Ja nie... Nie mam złudzeń co do swojej roli w tym wszystkim. Wiem, kim jestem i kim jest ona. To jakby położyć jabłko obok cebuli. Czy jakoś tak. Zawarliśmy układ.

Liam pocieszająco uścisnął jego ramię.

– Dobranoc – rzucił na koniec Pulpet. – Połóżcie się w miarę wcześniej. Pamiętajcie, że jutro ważny dzień.

Liam czekał, aż przyjaciel zniknie za rogiem na drugim końcu korytarza, i odwrócił się do mnie z uśmiechem od ucha do ucha.

– Masz ochotę skrócić ze mną kilka półek?

Wyciągnęłam ku niemu dłoń, prowadząc go do właściwych drzwi. Serce puchło mi z wdzięczności i czegoś, co – jak podejrzewałam – musiało być czystym, niezmaconym szczęściem. Uczucie to było tak silne, że niemal bolesne. Pragnęłam, by trwało wiecznie.

Pośród wielu innych ten jeden wybór nie został dokonany pod presją, ze strachu ani z desperacji. Był czymś, czego chciałam. Pragnęłam być tak blisko Liama, jak to tylko możliwe, nie pozwalając, by cokolwiek nas rozdzieliło. Pragnęłam wyrazić to, czego nie potrafiłam wyrazić słowami, bo zdawały się zbyt nieporadne i wstydlive.

Żadne z nas się teraz nie śmiało. Byliśmy bardzo blisko. Coś we mnie się napięło, sprawiając, że serce zrobiło się lekkie od oczekiwania. Jego oczy pociemniały i spoważniały, nabrzmiewając najważniejszym pytaniem. Wyciągnęłam rękę i odgarnęłam mu z czoła niesforne kosmyki włosów, a następnie pochyliłam twarz i musnęłam ustami jego wargi z tym samym pytaniem. Wydobył z siebie czułe, miękkie westchnienie i pokiwał głową. Pociągnęłam go za sobą do pokoju i oderwałam się od niego na sekundę jedynie po to, by zamknąć drzwi i zaczerpnąć powietrza.

Liam usiadł na krawędzi łóżka. Jego jasny kształt odznaczał się w ciemności. Wyciągnął do mnie rękę i wyszeptał:

– Chodź tu.

Zachwiałam się odrobinę, kiedy wtuliłam się w jego czekające ramiona i patrzyłam, jak jego usta powoli rozciągają się w uśmiechu. Odgarnęłam mu włosy z twarzy, świadoma, że na mnie czeka. Przez cały czas, odkąd się poznaliśmy, czekał, aż sobie uświadomię, że zna mnie na wskroś i nie chce, bym się zmieniała.

– Kocham cię taką, jaka byłaś kiedyś, jaka jesteś teraz i jaka będziesz – powiedział cicho, jakby czytał w moich myślach. – Kocham cię całym sercem. Do końca życia, bez względu na to, ile mi jeszcze zostało, nic się dla mnie nie zmieni.

Jego głos brzmiał szorstko i bił z niego ten sam żar, który wypełniał i mnie. Ulga, pewność i przytłaczająca wdzięczność wobec losu za to, że mi go zesłał, piekła mnie pod powiekami i odbierała mi mowę. Całowałam go więc ciągle i ciągle od nowa między oddechami, oddając mu się cała do chwili, kiedy na świecie zostaliśmy tylko my i obietnica wiecznej miłości.

Nazajutrz rano Liam zbudził mnie pocałunkiem. Całował mnie, dopóki ciepła leniwa mgiełka się nie rozpierzchnęła i musiałam wrócić do rzeczywistości. Odsunął się ode mnie niechętnie, sięgnął po leżące na podłodze ciuchy i zaczął się ubierać. Przyglądałam mu się przez chwilę, zdumiona tym, jak spokojnie i błogo się czuję. Zupełnie jakby świadomość, że Liam mnie pragnie i kocha bezwarunkowo, w końcu poukładała moje rozproszone kawałki w spójną całość. W uczuciu, jakie do niego żywiłam, było proste piękno i szczerość. Coś tak ważnego stało się dla mnie zupełnie jasne.

W końcu kiedy się odwrócił, pochwyciłam jego rozbawione spojrzenie, przemogłam się i wstałam. Nie mogłam dłużej ignorować tego, że musi wyjść, ale to nie znaczy, że nie próbowałam – złapałam go w progu na ostatni długi pocałunek.

Tego ranka byliśmy pierwszymi osobami w tunelu prowadzącym na zewnątrz, mimo że Liam jeszcze zahaczył o kuchnię, żeby zabrać coś do jedzenia, i wziął prysznic. Kiedy poszedł na dół, by pożegnać się z Pulpetem, po mojej lewej pojawił się Cole wychodzący z biura Albana. Zanim drzwi się zamknęły, wsunął między nie stopę i jeszcze rozejrzał się po pomieszczeniu. Sprawiał wrażenie wycieńczonego, a na jego lewym policzku widniało świeże rozcięcie.

– Co ci się stało? – Wskazałam na ranę.

– To nic takiego. – Cole przewrócił oczami i się zaśmiał. – Zachowałam się jak ten niedojda mój brat: nad ranem przewróciłam się na łóżku i walnąłam w komodę. Piękny początek dnia.

– A spałeś choć trochę? – zapytałam.

Gdy na mnie spojrzał, odpowiedź stała się jasna. Wiedziałam, że to musiało nastąpić i że nie mógł dłużej żyć, zatajając prawdę przed bratem. Sama jednak miałam wiele sekretów i ciągle czułam się winna, że zeszłej nocy postawiłam go w takiej sytuacji.

– Wszystko w porządku?

– W porządku. Wyznanie prawdy sprawiło, że poczułem się lepiej, niż podejrzewałem. Liam nie jest jednak najlepszym papierkiem lakmusowym. Mój brat oddałby wszystko jednookiemu wyleniałemu psu bez łapy, gdyby tylko zamachał ogonem w jego kierunku. Musiałem demonstrować mu swoją sztuczkę dobre pięć razy, zanim uwierzył, że nie mam w dłoni zapalniczki.

Cole zarzucił sobie na ramię czarną sportową torbę, głośno grzechocąc jej zawartością.

– Masz wystarczająco dużo broni?

– Tylko na wszelki wypadek. – Puścił do mnie oko.

– Oby tak było. To ma być zwiad, a nie atak, pamiętaj.

– O nic się nie martw. – Położył mi dłoń na potylicy i pogładził mnie po włosach, przesuwając rękę wzdłuż szyi. – Przyprowadzę go z powrotem jeszcze dziś wieczorem.

Odepchnęłam go, przewracając oczami.

– Mówię poważnie. Proszę cię, bądźcie ostrożni.

– Ty też – odparł. – Przykro mi, że muszę cię znowu zostawić z jego wysokością. Jeśli coś wywinie, nie miej oporów przed posłaniem go do łóżka bez kolacji. Upewnij się też, że zespoły, które wyruszają do oczyszczalni, mają wszystko, co trzeba.

– Zrozumiano.

– Harry powiedział, że spróbuje się z nami skontaktować dziś około dwudziestej. Jeśli do tego czasu nie wrócimy, przekaż mu, że będziemy potrzebować jeszcze dodatkowych dwóch kilogramów materiałów wybuchowych. Powiedz mu też, że sprawdziłem możliwość wynajęcia autobusów, by przerzucić ich wszystkich z powrotem na wschód, ale nic z tego.

– Dobrze. – Nie mogłam się doczekać, aż Harry pojawi się na Ranczu pod koniec tygodnia, bo to oznaczało, że zobaczę Cate. – Nico dał ci telefon?

Alice nie chciała się rozstać ze swoim aparatem, a nie było czasu na załatwienie drugiego. Nico zaprogramował więc specjalny telefon komórkowy, który miał automatycznie przysyłać do nas wykonane przez Cole'a zdjęcia.

Cole spojrział na zegarek, a następnie ponad moją głowę w głąb korytarza, gdzie pojawili się pozostali.

– Nie spiesz się za bardzo – zauważył, patrząc na brata.

– A może ktoś tu za bardzo się niecierpliwi? – wytknęłam mu.

– Po prostu jestem gotowy. Mógłbyś się ruszyć, słoneczko? – rzucił do Liama. – Wyglądasz, jakby coś cię przeżuło i wypluło.

– Spójrz na siebie. Ty wyglądasz, jakby coś cię przeżuło i wydziło drugim końcem.

Cole się roześmiał.

– Niech ci będzie, braciszku.

Kiedy Liam mnie mijał, chwyciłam go za rękę i pocałowałam w policzek.

– Do zobaczenia wieczorem.

Wkroczył do tunelu i zarzucił sobie na ramię plecak, który Cole tam dla niego zostawił.

Kiedy się odwróciłam, by pożegnać jego brata, ten przystanął i wyczekująco nadstawił policzek. Pstryknęłam go palcami, co wywołało kolejny wybuch śmiechu.

– Jesteś niemożliwy – rzuciłam.

– W tym tkwi mój urok – odparł, poprawiając sobie ciężką torbę na ramieniu. – Zajmij się wszystkim, teraz ty tu rządzisz.

– A ty dbaj o niego – powiedziałam stanowczo.

Cole zasalutował mi na odchodne, po czym zatrzaskał za sobą drzwi. Przekręciłam zamek, dopiero kiedy odgłos ich kroków zupełnie ucichł.

Przez chwilę miałam wielką ochotę, by wrócić do łóżka. Wizja prysznic i kilku dodatkowych godzin pod kołdrą była nieprzyzwoicie kusząca. Dzień dopiero się zaczął, a mnie wydawało się, że trwa już strasznie długo.

Około czternastej zdałam sobie sprawę, że ktoś mnie śledzi.

Choć nic nie mówiła i trzymała się z daleka, Lillian Gray wyraźnie mnie obserwowała. Pod jej ciekawskim wzrokiem cierpła mi skóra.

Przeglądała się szkoleniu przez okna siłowni, snuła się przed salą komputerową,

wychodziła z kuchni w chwili, kiedy do niej wchodziłam. Zajęło mi kolejne dwie godziny, by zdać sobie sprawę, że kobieta najprawdopodobniej zbiera się na odwagę, by mnie o coś zapytać. Dowiedziałam się jednak, o co chodzi, dopiero kiedy Alice odciągnęła mnie na bok po tym, jak zmusiła pierwszą damę do udzielenia krótkiego wywiadu.

– Chce zobaczyć syna – powiedziała prosto z mostu, a kiedy zobaczyła moją minę, dodała: – Słuchaj, nie mam dzieci, więc nie potrafię ci wytłumaczyć, na jakich zasadach działa mózg matki. Nie wiem, jak to jest, że kobieta może kochać swoje dziecko, nawet jeśli okazało się potworem, który zrobił jej z umysłu papkę. Mam jednak przeczucie, że pani doktor będzie w stosunku do nas dużo bardziej otwarta, jeśli dostanie to, na czym jej zależy.

– Powiedziała ci coś, co będziesz mogła wykorzystać? – zapytałam, kiedy ruszyłyśmy w kierunku auli.

– Jest nieodrodną żoną polityka – rzuciła Alice zaczepnie. – Gadała przez dwie godziny i nie powiedziała nic przydatnego. A jeśli już o tym mowa, może ty masz ochotę usiąść i pogadać?

– Nie wspomniała nawet słowem o prezydencie? – zapytałam, naprowadzając tok rozmowy na właściwe tory. To najbardziej mnie w tym wszystkim zmartwiło. Doktor Gray zawarła układ z Albanem za plecami swojego męża, żeby pomóc Clancy’emu. Z tego, co wiedzieliśmy, od lat nie kontaktowała się z prezydentem, ale nie mieliśmy pojęcia, jaki tak naprawdę ma do niego stosunek. Na dźwięk jego imienia zupełnie zamykała się w sobie.

– Myślę, że będzie mówić... Da mi niezbity dowód na to, że prezydent wiedział o Czynniku Ambrozja. Ale nie robi tego za darmo. Czy istnieje jakakolwiek szansa, żeby...?

– Nie – powiedziałam stanowczo. – To nie jest dobry pomysł.

Do tej pory Clancy zachowywał się w miarę przyzwoicie. Nie chciałam kusić losu i bałam się choćby mu zasugerować, że jego matka jest tak blisko.

– Liam by się zgodził.

– W takim razie dobrze, że go tu nie ma.

Irytacja malująca się na twarzy Alice ustąpiła miejsca rozbawianiu.

– Okej, w końcu ty tu teraz rządzisz. Wymyślę inny sposób, by skłonić ją do mówienia jeszcze przed wieczorną wyprawą.

– Jesteście gotowi?

– Powinno się nam udać. Oczyszczalnia, która nam przypadła, nie jest zbyt daleko. W przeciwnym razie musielibyśmy wyruszyć rano tak jak pozostali.

Nie miałam pojęcia, czy Alice powiedziała pani doktor, że to ja jestem przeszkodą na drodze do spełnienia jej pragnienia, ale mniej więcej godzinę później kobieta nakryła mnie w kuchni, gdzie powoli i niechętnie przygotowywałam posiłek dla Clancy’ego. Kiedy spojrzałam na kurczące się zapasy w spiżarni, przestałam o niej myśleć, w końcu jednak wkroczyła do środka jak nieprzyjemny chłód i zamknęła za sobą drzwi.

– Jeśli śledzi mnie pani z nadzieją, że się zapomnę i przypadkiem zdradzę pani, gdzie on jest, to muszę panią rozczarować – oznajmiłam, po czym dodałam: – A do tego opóźnia pani jego kolację.

Jej usta rozciągnęły się w cienką, pozbawioną koloru linię. Pomyślałam, że wszystko, co dotyczy się jej rodziny, jest zimne i odległe. Zarówno przy niej, jak i w obecności jej syna zawsze miałam wrażenie, że muszę chodzić na palcach i z trudem utrzymuję równowagę.

– Ma łagodną alergię na orzechy – powiedziała, kiwając głową w kierunku słoika po maśle orzechowym, który wyskrobałam do czysta. – I nie przepada za zielonymi jabłkami.

Zamiast poczuć się wzruszona tym przejawem matczynej troski, pozwoliłam, by ogarnęło mnie niepoahamowane rozdrażnienie.

Musiałam się ugryźć w język, by nie warknąć: „ma szczęście, że w ogóle dostaje jeść”.

– Widzę, że pani Wells powiedziała ci o mojej prośbie, mam rację?

Pani Wells? Czyli Alice... Przekroiłam kanapkę na pół i zaniósłam nóż do zlewu. Kobieta nie ruszyła się z miejsca, obserwując mnie wyczekująco.

– Tak, powiedziała mi. Jestem jednak zaskoczona pani prośbą.

– Dlaczego?

– Czy naprawdę muszę pani przypominać, co się wydarzyło, kiedy ostatni raz się widzieliście? Ma pani szczęście, że udało się pani przeżyć.

W końcu coś w niej pękło.

– Clancy by mnie nie zabił. Nie jest do tego zdolny. Zdaję sobie sprawę, że cierpi na poważne zaburzenia, ale to dlatego, że po wyjściu z obozu nie udzielono mu emocjonalnego wsparcia.

– Wielu z nas ma za sobą pobyt w obozach. A nie wszyscy jesteśmy tacy jak on.

Pani doktor świdrowała mnie wzrokiem, aż zaczęłam się czuć nieswojo.

– Czyżby?

Wyprostowałam się, ignorując znajome ukłucie poczucia winy.

– Tak – odparłam lodowatym tonem.

Nie wierzy mi. Zupełnie.

– Musisz wiedzieć, że od początku byłam przeciwna programowi obozów rehabilitacyjnych, nawet zanim zamienił się w to, czym jest dzisiaj – wyznała. – Nie popierałam również polityki zagranicznej mojego męża i nie byłam w stanie pojąć ostatecznych rozwiązań, jakie zastosował w Kalifornii. Gdyby jednak zaoferował mi miejsce oraz sprzęt potrzebne do przeprowadzenia operacji u mojego syna, nie wahałabym się ani chwili. Wróciłabym do niego w mgnieniu oka. Dla Clancy’ego.

Niemal zrobiło mi się jej żal. Prawda była taka, że obozy nie zniszczyły nas wszystkich w ten sam sposób. Jeśli człowiek czuł się tam mały i przerażony, po wyjściu za ogrodzenie elektryczne nie potrafił ot tak wyprostować pleców i wrócić do swojego starego życia. Nie dało się łatwo wymazać wielu lat rozpaczliwych starań, by stać się niewidzialnym. Jeśli pobyt w obozie był naznaczony wściekłością i bezsilnością, człowiekiem zawładnął gniew, który przenikał do jego teraźniejszości.

Niepokoilo mnie, że tak dobrze rozumiem Clancy’ego. Jego matka naprawdę nie miała bladego pojęcia, co zrobili mu w Thurmond. Jak to możliwe, że ktoś, kto w tym uczestniczył, a przynajmniej miał wgląd w badania nad dziećmi z Psi, zupełnie nie zdawał sobie sprawy z bólu i upokorzenia, przez jakie przeszliśmy?

– Jest pani świadoma, że operacja go nie wyleczy, prawda? – zapytałam. – Nie w

taki sposób, o jaki pani chodzi.

– Nie będzie w stanie nikim manipulować – upierała się. – Wróci do siebie.

Jej słowa były więcej niż śmieszne. Były absurdalne.

– Odebranie mu zdolności psionicznych nie pozbawi go potrzeby kontrolowania innych – powiedziałam. *A już na pewno nie wyleczy go z bycia dupkiem.* – Stanie się jeszcze bardziej wściekły.

I jeszcze bardziej cię znienawidzi.

– Wiem, co jest dla niego najlepsze. On potrzebuje tej operacji, Ruby. A jeszcze bardziej potrzebuje swojej rodziny. Chcę się tylko upewnić, że nic mu nie jest. Nie wystarczą mi wasze słowa. Muszę się przekonać na własne oczy. Proszę. Tylko na chwilę. Wczoraj wieczorem powiedziałam wam wszystko, o co prosiliście, prawda? Czy nie możecie tego potraktować jako przejawu dobrej woli?

Musiałam jej to przyznać – do tej pory wierzyła nam na słowo i dała z siebie więcej, niż się spodziewałam. Zaufała nam, mimo że nie było wśród nas Albana, jej jedyne go znajomego z Ligi Dzieci, który mógłby za nas poświadczyć.

Usłyszałam w myślach głos Nico. *Coś w nim złamali.* Może kobieta musiała zobaczyć swojego syna, by się przekonać, jak zasadnicza zaszła w nim zmiana.

– Jeśli zgodzę się panią ze sobą zabrać, nie może pani dać mu żadnego znaku swojej obecności. Ani słowa. Musi pani robić dokładnie to, co każe. Jeśli się zorientuje, że pani tu jest, przestanie współpracować i zapewne zacznie obmyślać plan ucieczki. Po wizycie odpowie pani na wszystkie pytania Alice, tym razem naprawdę.

– Mogę się na to zgodzić. Chcę go jedynie zobaczyć, upewnić się, że jest dobrze traktowany i wystarczająco silny, by przejść operację. Nie muszę go dotykać, po prostu...

Chcesz go zobaczyć jako matka czy jako naukowiec?, zastanawiałam się, choć nie wiedziałam, co jest lepsze.

– Dobrze – rzuciłam, zgarniając jedzenie i butelkę z wodą. – Ani słowa. I zostanie pani dokładnie tam, gdzie każe.

Nie wiedziała, dlaczego to zaznaczyłam, dopóki nie dotarliśmy do wewnętrznego

przejścia wiodącego do korytarza z niewielkimi celami. Potrząsnęłam głową, blokując pytanie, które miała na końcu języka. Następnie wskazałam jej, gdzie ma stanąć, tak by widziała Clancy'ego przez niewielkie okienko, ale pozostała niezauważona.

Po raz pierwszy od niemal tygodnia Clancy podniósł wzrok i spojrzał na mnie, kiedy weszłam. Książka, którą czytał, leżała niedbale na jego kolanach do chwili, kiedy podeszłam do metalowej klapy w drzwiach i podałam mu jedzenie. Czekając, aż je weźmie. Wstał i zanim przeszedł dzielącą nas odległość, jeszcze się przeciągnął. Jego ciemne włosy urosły tak bardzo, że można je było związać w kucyk, ale nosił je gładko przyczesane z przedziałkiem.

Miał do dyspozycji trzy pary spodni dresowych, które wkładał na przemian. Dziś najwidoczniej przypadał dzień prania, bo bez słowa pochylił się, podniósł z podłogi dwie pozostałe pary i podał je przez klapę.

– Nie spodziewałem się ciebie – powiedział jak gdyby nigdy nic. – Stewart pojechał do Sawtooth?

Czy naprawdę wierzył, że mu odpowiem?

Nie. Najwyraźniej nie.

– Jak to jest? – zapytał, przyciskając płasko dłoń do szyby. – Być po drugiej stronie? Kontrolować przepływ informacji?

– To niemal tak przyjemne, jak świadomość, że ty już nigdy tego nie doświadczysz.

– Niewiarygodne, jak to wszystko się potoczyło. Jeszcze przed rokiem byłaś w obozie, za ogrodzeniem. A teraz, spójrz na siebie. Spójrz na mnie.

– Patrzę na ciebie i widzę jedynie kogoś, kto zmarnował wszystkie okazje, by odmienić bieg rzeczy.

– Ale teraz już rozumiesz, prawda? – zapytał zaskoczony. – Rozumiesz, dlaczego dokonałem pewnych wyborów? Każdy stara się przeżyć na swój sposób. Czy gdybyś się nad tym naprawdę zastanowiła, zmieniłabyś którąkolwiek ze swoich decyzji, nieważne, czy dobrych, czy złych? Zostałabyś w Thurmond, odrzucając możliwość ucieczki? Pojechałabyś prosto do Virginia Beach i nie dała się przekonać, żeby udać się do East River? Zapieczętowałabyś wspomnienia młodszego Stewarta? Przeszłaś

bardzo długą drogę. Byłoby szkoda kończyć naszą znajomość w taki sposób.

– Podejrzewam, że gdzieś w twoich słowach tkwi pogrzebany komplement.

Parsknął.

– Tylko obserwacja. Nie sądziłem, że to w sobie masz, choć miałem taką nadzieję.

– Czyżby?

– Nigdy się nie zastanawiałaś, dlaczego chciałem zabrać cię ze sobą po ataku na East River? Nie dlatego, że pałam do ciebie aż tak wielką sympatią.

– Jasne, że nie. Chciałeś, żebym ci pokazała, jak mieszam w ludzkich wspomnieniach.

– To też. Ale głównie dlatego, że pragnąłem zgromadzić wokół siebie ludzi, którzy potrafią postawić na swoim i pomogą mi zbudować przyszłość. Na pewno nie marnowałbym czasu na obmyślanie strategii wyzwalań obozów. Zaprowadziłbym nas prosto na szczyt. Ciągle zamierzam to zrobić.

– Szkoda tylko, że siedzisz zamknięty w tej małej szklanej klatce – rzuciłam beznamiętnie.

– Szkoda. – Uśmiechnął się. – W obecnym stanie rzeczy pozbycie się władzy będzie bardzo proste... Jeśli to, co mówił starszy Stewart, jest prawdą, poważnie podważyliście pozycję rządu. Ja pójdę o krok dalej. Zabiorę się za swojego ojca, jego bezmyślnych doradców, nadzorców obozów i rozerwę ich życie na strzępy. Ruby, jesteś w stanie przewodzić tym dzieciom. Będą cię słuchać choćby dlatego, że jesteś Pomarańczową i tak nakazuje porządek rzeczy. Jednak tylko ja zdołam rzucić świat na kolana.

– Tak? A jak zamierzasz to zrobić? – zapytałam, pukając w szybę. – I kiedy?

Clancy uniósł kącik ust i poczułam, jak coś zimnego pełźnie mi wzdłuż kręgosłupa.

– Ruby, to twoja ostatnia szansa, by stanąć po słusznej stronie – powiedział. – Nie proponuję ci tego kolejny raz. Możemy odejść teraz i nikomu nic się nie stanie.

Jego spojrzenie było gniewne i bezdenne. Jak zawsze wsysało mnie i próbowało zatopić w gładkiej, łatwej propozycji, którą mi przedstawiał.

– Miłego pobytu w klatce – rzuciłam i odwróciłam się, żeby odejść, z

obrzydzeniem trzymając jego pranie daleko od siebie.

– I jeszcze jedno! – zawołał. Nie obejrzałam się, ale zupełnie nie miało to dla niego znaczenia. – Witaj, *m a t k o*!

Pchnęłam drzwi na korytarz, ale Lillian Gray już za nimi nie było. Uciekła, ścigana przez śmiech swojego syna.

W nocy zasnęłam głębokim snem z rodzaju tych, które ściskają człowiekowi klatkę piersiową i długo nie pozwalają mu się obudzić. Wypełniający mi uszy głos odbijał się echem gdzieś w oddali, kiedy przemierzałam znajomą drogę do Baraku dwadzieścia siedem w Thurmond, aż nagle zmienił się z głębokiego męskiego barytonu w głośny, niemal piskliwy kobiecy krzyk.

– Wstawaj! Ruby! Ruby, obudź się!

Lampa w pokoju była zapalona i oświecała popielatą twarz, która się nade mną pochylała. Vida potrząsnęła mną z całej siły kolejny raz, aż w końcu wyrwałam się z ostatniego uścisku dziwnego snu.

– Co się stało? – Nie wiedziałam, ile czasu minęło, odkąd się położyłam: pięć minut czy pięć godzin. Nagle zauważyłam też Zu z policzkami mokrymi od łez. Chwyciłam Vidę za rękę i kiedy poczułam, jak bardzo się trzęsie, ogarnął mnie paniczny strach.

– Byłam w sali komputerowej. – Słowa wylewały się z niej strumieniem.

Czy ona się trzęsie? Vida się trzęsie?

– Rozmawiałam z Nico, oglądając zdjęcia, które na bieżąco przysyłał Cole, i nagle przekaz urwał się na godzinę... Wyszłam, chcąc położyć się spać, ale wtedy przyszło kolejne zdjęcie. Nico wybiegł za mną i... Ruby...

– Co? Mów, co się dzieje! – Próbowałam się wyplątać z pościeli. Serce waliło mi w piersi, jakbym przed chwilą przebiegła maraton.

– Powtarzał tylko... – Vida przełknęła ślinę. – Powtarzał w kółko: „Stewart nie żyje”.

– Liam czy Cole?

Szłyśmy korytarzem w kierunku sali komputerowej, a pytanie, które zadawałam Vidzie już po raz setny, stało się jeszcze bardziej gorączkowe. Zegar ścienny wskazywał drugą nad ranem.

– Błagam cię, powiedz mi: Liam czy Cole?

– Nie wiadomo – odpowiedziała tak samo jak poprzednie dziewięćdziesiąt dziewięć razy. – Na zdjęciu nie widać.

– Ja potrafię... – Usłyszałam swoje słowa, zanim dotarło do mnie, jaki to koszmarny pomysł. – Pokażcie mi je. Potrafię ich rozróżnić.

– Nie sędzę. – Vida złapała mnie za rękę, zanim wparowałam do sali. Ledwie czułam jej dotyk, bo stałam się soplem lodu. Panika zwichnęła mi myśli i zamieniła je w eksplozję mrozących krew w żyłach obrazów połączonych refrenem: *nie on, nie oni, nie teraz...* Nie mogłam tego zatrzymać. Nie mogłam złapać oddechu.

– Nie! – Gwałtowny krzyk Pulpeta zatrzymał Vidę w pół kroku. – Absolutnie nie! Zabierz ją z powrotem do pokoju i zostań tam!

Za wychodzącymi na korytarz oknami zebrało się kilkoro Zielonych.

– Spadajcie stąd! – wrzasnęła na nich Vida i dzieci ze strachu przed jej ostrym tonem rzeczywiście się rozstąpiły. Otworzyła drzwi i wepchnęła mnie do środka.

– O co chodzi? Stało się coś? – W korytarzu pojawiła się senator Cruz.

Zaraz za nią wyłoniła się Alice – ognistorude włosy upięła w przekrzywiony kucyk, a na jej twarzy widniały czerwone odciski od poduszki. Podejrzewałam, że Vida coś im wyjaśnia, ale nie słyszałam ani słowa. Nico wyglądał tak, jakby zdążył już kilkakrotnie zwymiotować, co potwierdzał również zapach wypełniający pomieszczenie. Kiedy do niego podeszłam, zobaczyłam, że spływa potem.

– Czy ty...? Czy naprawdę chcesz to zobaczyć?

– To nie jest dobry pomysł! Ruby, posłuchaj mnie: nie chcesz tego... – Głos

Pulpeta robił się coraz cieńszy i w końcu ucichł. Chłopak oparł się o ścianę i schował twarz w dłoniach.

Nico siedział nieruchomo z dłońmi bezwładnie złożonymi na udach. Sama musiałam sięgnąć do myszki i przeglądnąć zdjęcia. Było wśród nich ujęcie próbne, a na nim odległa góra i plecy zwróconego w jej stronę Liama. Moim oczom ukazało się również kilkadziesiąt niskich budynków sfotografowanych po zmroku, wartownicy SSP, drabina prowadząca na jakiś dach i snajper na pozycji. Jeśli obóz znajdował się za ogrodzeniem, to Liam i Cole musieli wcześniej przez nie przejść, zanim zrobili te zdjęcia.

– Weszli tam? – Pani senator się zdziwiła. – Myślałam, że mieli zostać na zewnątrz.

Weszli do środka. Zdjęcia zrobiły się nieostre z powodu braku światła, które na zewnątrz dawał księżyc w pełni. Wspięli się na coś i patrzyli z góry na znajdujące się w dole stoły i pochylające się nad nimi dzieci spożywające posiłek. Więźniowie mieli na sobie takie same uniformy, jakie nosiliśmy we wszystkich obozach, ale w kolorze, którego nie widziałam od lat: ciemnoczerwonym.

Na kolejnym zdjęciu widniała zadarta twarz jednego z Czerwonych wpatrującego się prosto w telefon. Zawahałam się, zanim kliknęłam na kolejne. Nico wydał z siebie cichy jęk i nakrył moje dłonie swoimi.

– Ruby, nie chcesz tego...

Wcisnęłam przycisk.

Przez pierwszą chwilę mój umysł nie potrafił zrozumieć, na co patrzę. Zdjęcia wykonano w ciemnym pomieszczeniu o czarnych ścianach, w którym światła znajdowały się na podłodze zamiast na suficie. Mężczyzna siedzący na krześle na środku był pochylony do przodu, a ciężar jego ciała opierał się na więzach krępujących mu piersi. Blond włosy opadały mu na twarz, zupełnie ją zasłaniając. Chwyciłam się biurka i znowu kliknęłam. Usta wypełnił mi metaliczny smak, kiedy zauważyłam plamy krwi na jego szyi i uszach. Na tym ujęciu nie byłam w stanie go rozpoznać, potrzebowałam kolejnego...

Klik.

– Kto zrobił te zdjęcia? – zapytała senator Cruz, ale nikt nie kwapił się z odpowiedzią.

– Domyślałam się, że ludzie, którzy złapali... – Alice nie była pewna, czy powinna powiedzieć „jego”, czy „ich”.

Zignorowałam kobiety i skupiłam się na ekranie. Ktoś zawiesił więźniowi na szyi kartkę papieru, na której widniały dwa nabazgrane grubymi nierównymi literami słowa: SPRÓBUJCIE ZNOWU.

W rogu zdjęcia było widać skrawek czerwonego materiału. Mimo że wiedziałam, co zaraz zobaczę i głowę wypełnił mi wrzask, przeszłam do następnego zdjęcia.

Ogień.

Obraz trawiły rozżarzone płomienie.

Ogień.

Ogień.

Zasłona szarego dymu i...

Senator Cruz zerwała się i przeszła na drugą stronę pomieszczenia, usiłując uciec od widoku zwęglonych zwłok.

– Dlaczego? Dlaczego to zrobili? *D l a c z e g o ?*

Obojętne, oziębłe stworzenie, które skrupulatnie wyhodowała we mnie Liga Dzieci, utorowało sobie pazurami drogę na zewnątrz. Przez sekundę byłam w stanie patrzeć na spalone, okaleczone ciało badawczym, zdystansowanym spojrzeniem, jakim naukowiec obrzuciłby ciekawy okaz. Na niewielkim skrawku twarzy widocznym na zdjęciu widziałam spaloną czarną skórę zamienioną w chropowaty strup.

Ponownie przejrzałam zdjęcia pożaru. *Chorzy wykolejeńcy, cholerne, przekłute śmieci. Zabiję ich.* Wiedziałam, gdzie ich szukać. Miałam zamiar wybić ich co do jednego. Z całej siły trzymałam się lodowatej furii, bo zamrażała ból i nie pozwalała mi się zapaść w sobie, tak jak chciałam. Palący szloch wypełniał mi oczy, gardło i piersi.

– Nie jestem w stanie stwierdzić. – Pulpet z każdą chwilą zbliżał się do hysterii. – Niech to szlag!

Z żołądkiem ściśniętym jak pięść ponownie obejrzałam wcześniejsze zdjęcia. Gdybym zaczęła płakać, nikt nie zdołałby mnie uspokoić. Musiałam się skupić. Musiałam... Zatrzymałam się na drugim zdjęciu więźnia, na którym miał już na szyi kartkę. Głowa opadała mu na bok, ale rozpoznałam go. Wiedziałam, kto to.

– To... – Vida przybliżyła się do ekranu, wbijając mi paznokcie w ramię. – Nie mogę...

Alice gwałtownie odwróciła głowę pokonana przez szarpiące nią torsje. Nico patrzył na mnie. Czułam, że słowa opuszczają moje usta, ale ich nie słyszałam.

– To Cole.

– Co? – Vida patrzyła to na ekran, to na mnie. – Co powiedziałaś?

– To Cole.

Tysiące igieł wypełniło mi żyły i wystrzeliło w kierunku serca. Opadłam na biurko. Nie byłam w stanie mówić ani myśleć, jedynie wpatrywać się w jego ciało – w okaleczone ciało Cole’a. Wzięłam płytki wdech, usiłując zwalczyć wzbierający we mnie ból. Pragnęłam, by otepiająca kontrola wróciła. W głowie kręciło mi się szybciej i gwałtowniej niż w żołądku. Wiedziałam, co miałoby znaczenie dla Cole’a i o co by zapytał. *Gdzie jest Liam? Skoro Cole...*

– Jesteś pewna? – Pulpet jako jedyny zdołał wydusić z siebie pytanie.

Kątem oka zobaczyłam, jak do sali wchodzi Lillian. Przez zapierającą dech w piersiach sekundę miałam wrażenie, że blond włosy należą do Cate i że ona i Harry już dojechali. Usłyszałam ciche wyjaśnienia, jakich pani doktor udzieliła senator Cruz.

– Harry... Musimy mu powiedzieć. I Cate, o Boże, Cate...

– Ja to zrobię – oznajmiła Vida z gardłem ściśniętym tak mocno jak obejmujące ją ramiona Pulpeta. – Zostaw to mnie.

– Czy Liam...? – podjął Pulpet. – Jest jakiś sposób, by sprawdzić, czy wzięli go do niewoli? Może zrobili jakąś aktualizację w sieci?

Jeśli został zabity i poprawnie zidentyfikowany, zaktualizowano by jego profil w sieci SSP i usunięto z bazy danych łowców nagród.

– Próbuję się dostać do sieci Sił Specjalnych Psi – powiedział Nico. – Próbuję...

Chyba jednak będzie szybciej, jeśli wejdziemy przez bazę łowców. Możesz podać mi swój login i hasło?

– Daj, ja je wpiszę – oznajmił Pulpet.

– Czy telefon dalej działa? – usłyszałam wychodzące z własnych ust pytanie. Odsunęłam się od komputera, ale siedziałam nieruchomo, nie ufając swoim nogom na tyle, by spróbować wstać.

Dostaniemy więcej zdjęć? Mieliliśmy tak po prostu siedzieć beczynn timer, czekając, aż nadejdą? Dławił mnie gniew.

– Czerwoni? – odezwała się doktor Gray. – Jesteście pewni? Czy mogę zobaczyć te zdjęcia?

Nico kolejny raz otworzył folder, ale sam przeniósł się do komputera obok, by pracować. Pani doktor pospiesznie przerzucała fotografie aż do chwili, kiedy znalazła to, czego szukała. Brutalność obrazu i jego groza wywołały u niej jedynie zmarszczenie brwi.

– Już nie żył, kiedy to się stało – stwierdziła. – Wykrwawił się natychmiast od strzału w szyję.

Sama mogłam jej to powiedzieć. Cole na pewno walczył do końca. Nie pozwoliłby im, by wcielili go do programu. Wiedziałam, że walczył, póki nie zgaśł w nim ostatni płomień.

Kobieta potrząsnęła głową i spojrzała na mnie.

– To właśnie dlatego. Dlatego musimy wprowadzić leczenie. Dzieci nie powinny być w stanie robić takich rzeczy i krzywdzić siebie i innych.

Mój gniew eksplodował, otaczając mnie nabrzmiałą chmurą niedowierzania.

– Nie! To dowodzi, że nikt nie ma prawa grzebać nam w głowach, do cholery!

– Nie znalazłem nawet wzmianki – powiedział Pulpet. – Jeszcze... Minie godzina albo dwie, zanim zmiany w sieci SSP wpłyną do bazy łowców.

– Dajmy mu trochę czasu. Być może ciągle próbuje się stamtąd wydostać. – Vida kręciła głową, przeczesując palcami włosy. – Ostatnie zdjęcie przyszło godzinę temu. Gdyby mieli Liama, przysłaliby coś więcej, prawda?

Senator Cruz spojrzała na mnie.

– Gdzie jest telefon, z którego dzwonił do ojczyma? Ja się z nim skontaktuję.

– W biurze. – Nico zerwał się z krzesła tak szybko, że je przewrócił. – Przyniosę go. Muszę...

... stąd wyjść – dokończył mój umysł. – Muszę uciec od tych zdjęć.

Chłopiec wrócił jednak po niespełna minucie, ciężko dysząc. Wyciągnął niewielki telefon z klapką ku pani senator, ale upuścił go w chwili, kiedy jego ekran się podświetlił i aparat zaczął wibrować.

Przez sekundę nikt się nie poruszył. Telefon dzwonił jednak uparcie i nieprzerwanie.

W końcu sięgnął po niego Pulpet.

– Halo? – Zdążył odebrać, zanim połączenie zostało przerwane. Jego ciało ugięło się pod wpływem ulgi. – Lee... Liam, gdzie jesteś? Musisz...

Senator Cruz ubiegła mnie: natychmiast doskoczyła do Pulpeta i wyrwała mu telefon, uciszając jego protesty machnięciem ręką. Przełączyła aparat na głośnik.

... zabrali go. Nie mogłem nic zrobić. Nie mogłem...

Głos, który znałam tak dobrze jak własny, który słyszałam w wersji roześmianej, wystraszonej, wściekłej oraz bezwstydnie flirtującej, nie był głosem dobiegającym teraz z małego głośnika. Prawie zupełnie go nie poznawałam. Połączenie sprawiało, że zdawał się odległy, jakby Liam mówił z drugiego końca autostrady, gdzie nie mieliśmy do niego dostępu. Słowa, które opuszczały jego pierś, były tak chropowate i zbolące, że z trudem się go słuchało.

– Liam, tu senator Cruz. Musisz wziąć głęboki oddech i powiedzieć mi, czy jesteś bezpieczny.

Ja nie... Nie wiem, czy powinienem. To jedyny numer, który zapamiętałem. To chyba nie jest bezpieczne, nie bardzo...

– Postąpiłeś właściwie – uspokajała go senator Cruz. – Skąd dzwonisz?

Z budki telefonicznej.

Vida stanęła obok i spojrzała na mnie. Nie byłam w stanie mówić. Pod sercem czułam dziwne odrętwienie. Nie potrafiłam wydusić z siebie ani słowa.

Nie mogłem go stamtąd wydostać... Weszliśmy do środka, robiliśmy zdjęcia, ale jeden z nich nas zauważył i nie zdołaliśmy uciec... Postrzelili go. Upadł i nie mogłem

go stamtąd zabrać. Próbowałem go nieść, ale zobaczyli nas i otworzyli ogień. Nie chciałem go zostawiać, ale musiałem... Podali jakąś informację w wiadomościach? Czy Harry będzie w stanie się dowiedzieć, gdzie go przetrzymują? Było tyle krwi...

Nie wiedział.

Zerknęłam na Pulpeta. Wyglądał, jakby zobaczył samochód pędzący prosto na niego. Zabrałam telefon pani senator i wyłączyłam głośnik.

– Liam – wydusiłam z siebie. – Cole nie przeżył. Wysłali nam dowód.

Do tej chwili szok i paniczny strach o Liama wyłączył tę część mnie, która mogłaby się zastanowić nad szczegółami tragedii. Wypierałam myśli o tym, czy Cole żył, kiedy wprowadzili Czerwonego, czy wiedział, co się dzieje, czy się bał, czy cierpiał. Kiedy jednak przekazałam wiadomość Liamowi, coś we mnie pękło. Liche drzwi powstrzymujące ból wgięły się do środka, a następnie roztrzaskały w drzazgi, które weszły w każdą komórkę mojego ciała. Nie mogłam oddychać. Musiałam przycisnąć sobie dłoń do ust, by nie wybuchnąć szlochem. *Mój przyjaciel Cole... Dlaczego? Czemu musiało tak być? Po wszystkim, przez co przeszliśmy, tak wyglądał koniec? Przecież obmyśliliśmy plan... Po raz pierwszy miał przed sobą prawdziwą przyszłość.*

Pulpet zrobił krok do przodu, sięgając po telefon, ale odsunęłam się, by nie mógł go zabrać. Wypełniał mnie oszalały gniew i ból – zupełnie jakby ktoś polał mi skórę kwasem. Musiałam utrzymać połączenie, musiałam być przy Liamie. To mogło go zniszczyć. Świadomość tego, co się stało, była tak samo rozdzierająca jak sama strata. Nie mogłam stracić jeszcze jego.

Jak to dowód? Co mu zrobili? – Liam mówił zupełnie nieskładnie, z każdym słowem coraz bardziej poddając się rozpacz, aż w końcu zaczął szlochać. – *Nie mogłem go wyciągnąć...*

– Nie mogłeś nic zrobić – powiedziałam zachrypniętym głosem. – Nie było żadnego sposobu, a poza tym Cole nie chciałby, żebyś ryzykował, że złapią i ciebie. Liam, wiem, że to teraz tak nie wygląda, ale podjąłeś właściwą decyzję.

Odgłos jego płaczu w końcu pochłonął i mnie. Straciwszy czucie w dłoni, zwolniłam chwyt na telefonie i pozwoliłam Pulpetowi go sobie odebrać.

– Stary, stary. Wiem, bardzo mi przykro. Dasz radę sam wrócić czy mamy po

ciebie przyjechać? – Przygłodził sobie włosy i mocno zacisnął powieki. – Dobrze. Wszystko mi opowiesz, ale chcę, żebyś to zrobił osobiście. Musisz pozwolić nam się sobą zaopiekować. Powoli, już dobrze...

Pulpet rzucił mi bezsilne spojrzenie. Wyciągnęłam rękę po słuchawkę.

Nie wracam. Nie mogę, to..., bełkotał Liam.

Przerwałam mu.

– Liam, posłuchaj mnie: przyjadę po ciebie, ale musisz mi powiedzieć dokąd. Jesteś ranny?

Ruby. Gwałtownie zassał powietrze. Wyobraziłam go sobie bardzo dokładnie. Ciągłe miał na sobie czarny strój bojowy i opierał się o aluminiową obudowę aparatu telefonicznego z rozpaloną, oszalałą twarzą. Poczułam, jak pęka mi serce.

Ścisnęłam telefon tak mocno, że usłyszałam chrobot jego plastikowej obudowy, i obróciłam się do ściany, żeby nie widzieć wpatrzonych we mnie twarzy. Przykucnęłam w kącie i szepnęłam:

– Wszystko będzie dobrze...

Nieprawda! – krzyknął. – *Przestań to powtarzać! Nie będzie! Nie wracam! Muszę powiedzieć Harry’emu i mamie... O Boże, mama...*

– Proszę, pozwól mi po siebie przyjechać – błagałam.

Nie mogę wrócić do bazy ani do was...

Mdlące uczucie, które narastało we mnie, skręcając mi żołądek, teraz wezbrało jak rozszalała fala. Jego głos zaczął zanikać.

Połączenie zaraz się zerwie, nie mam więcej pieniędzy...

– Liam? Słyszysz mnie? – Panika brzęczała mi w głowie jak rój os.

... wiedziałem, że tak się to skończy... Cholera... ty... wybacz... Ruby... wybacz...

Nie wiem, kiedy ani jak udało się jej niepostrzeżenie precyzyjnie ku mnie... A może zrobiła się tak mała i cicha, że choć była tu od początku, nikt jej nie zauważył? Zuabrała mi telefon. Próbowałam jej go odebrać, ale zdążyła przyłożyć go do ucha.

– Nie odchódź, proszę, nie odchódź. Wróć... – powtarzała w kółko głosem dźwięcznym jak mały dzwonek.

Usłyszałam przerywany sygnał, zobaczyłam, jak telefon wypada jej z ręki, i wiedziałam, że to już koniec. Pulpet wyciągnął do niej rękę i Zu przywarła do niego,

wtulając twarz w jego ramię.

– Chodź, pójdziemy się czegoś napić i zaczerpnąć świeżego powietrza...

– Chcę go odnaleźć – powiedziałam.

– Idę z tobą – dodała pospiesznie Vida. – Nico wysłedzi, skąd dzwonił.

– Nie możesz – zwrócił się do mnie Pulpet łagodnym głosem. – Masz tu obowiązki.

I co z tego!? Chciałam krzyczeć. Miałam ochotę rwać sobie włosy z głowy i rozedrzeć ubranie, ale nie mogłam. Nie mogłam, bo Cole wymusił na mnie tę głupią obietnicę! „Zajmij się wszystkim, teraz ty tu rządzisz”. Cate i Harry mieli przyjechać dopiero za dwa dni. To ja musiałam powiedzieć wszystkim o tragedii...

Ufał, że sobie poradzisz. Wierzył w ciebie. Musisz to zrobić.

Nie miałam wyjścia. Jeśli Cole odszedł, a Liam nie miał zamiaru wracać, to ja przejmowałam dowodzenie i to ja musiałam o wszystkim powiedzieć dzieciom. Moim obowiązkiem było zostać w bazie i wszystkiego dopilnować.

– Dajcie mi chwilę – powiedziałam. Potrzebowałam jednej chwili.

Ruszyłam energicznie w kierunku pokoju Cate i zatrasnęłam za sobą drzwi. W ciemności odnalazłam krawędź niewielkiego łóżka, tego samego, na którym spędziliśmy z Liamem ostatnią noc, i na nie opadłam. Przeciągnęłam dłońmi po szorstkim prześcieradle i natrafiłam na miękki materiał bluzy z kapturem, której zapomniał. Wtuliłam w nią twarz, wdychając jego zapach, i w końcu wyrzuciłam z siebie wszystko w niemym, palącym gardło krzyku.

Po co tam wchodziliście? Jak ja sobie teraz poradzę?

Czemu nie sprzeciwiłam się Cole’owi, skoro wiedziałam, skąd zaczerpnął informację o Sawtooth?

Nie doczekałam się odpowiedzi, zamiast niej spadła na mnie przerażająca ciemność i cisza.

Clancy.

Wiedział, że to się stanie. Na to liczył. Powiedział Cole’owi o obozie i podsunął mu odpowiednie obrazy, bo był pewny, że ten nie zdoła tego odpuścić. Że nie pozwoli, by takich jak on traktowano z okrucieństwem. Zdawał sobie sprawę, że to przerodzi się w jego obsesję i że Cole nie weźmie pod uwagę ryzyka ewentualnej

akcji ratunkowej. Zresztą przecież nieraz udało mu się przeżyć wbrew wszystkiemu.

Od początku nie miał żadnych szans.

Te słowa wyrosły w moim umyśle jak pęcherze. Zachwiałam się pod naporem wrzącego uderzenia, które przebiegło mi od skroni do podstawy czaszki. Przed oczami pojawił mi się błysk i nagle drzwi, na które patrzyłam, podwoiły się, a następnie potroiły. Raczej zobaczyłam, niż poczułam, jak moja ręka sięga do klamki. Im dłużej szłam, tym bardziej zdawałam się jednak cofać, jakby ktoś nieustannie ciągnął mnie w tył...

To ostatnie, co zapamiętałam, zanim rozmazany mrok zamienił się w falę zalewającej mnie szarości, a żyły wypełniły mi igły i haczyki.

Kiedy odzyskałam świadomość, w ręce ścisnęłam zimną broń, mierząc w głowę Lillian Gray.

... robisz? Przestań!

Ruby, obudź się!

Nie możesz tego zrobić, Ruby, przestań!

Dryfowałam pod powierzchnią wody tak głęboko, że otaczała mnie jedynie słodka, chłodna ciemność. Nie musiałam się poruszać, nie mogłam mówić. Unosił mnie łagodny prąd, nadając odpowiedni kierunek. Niósł mnie w przód i chętnie całkowicie mu się poddałam. To było lepsze niż ból.

Spójrz na mnie! Otwórz oczy, Ruby!

Fale zniekształcały głosy, zamieniając je w przeciągłe monotonne buczenie. Słowa wypełniały przerwy pomiędzy uderzeniami mojego serca – rytmicznym dudnieniem rozsadzającym mi uszy. Nie chciałam dać im się odnaleźć.

Perełko. Hej, perełko.

Odwróciłam się, szukając źródła tych słów, zmuszając sztywne mięśnie, by się poruszyły.

Zajmij się wszystkim, teraz ty tu rządzisz.

Nikogo tam nie było. Czarne odmęty wody wirowały wokół, mocniej ocierając się o moją lodowatą skórę. Niczego tam nie było.

Perełko. Ruby.

Uwięzione w moich płucach powietrze paliło mnie żywym ogniem. *Gdzie jesteś?*

Roo, wszystko w porządku?

Szamotałam się w wodzie, machając rękami w górę i w dół, by wydostać się na powierzchnię. Zobaczyłam światło, maleńki przeblysk, który robił się coraz większy. Czekałam...

Dalej, skarbie. Dasz radę...

Miotalam się, szarpałam ku górze.

Ona zaraz...

Zrób coś! Powstrzymaj ją!

Ruby!

Gwałtownie odzyskałam świadomość. Gęsta, mulista woda zniknęła zastąpiona przez kształty rzeczywistości. Nozdrza wypełnił mi elektryczny, suchy zapach sali komputerowej, a moim oczom ukazał się blask monitorów odbijający się od przeciwległej ściany. Zobaczyłam też Nico – był blady jak trup i wyciągał przed siebie ręce. Powędrowałam wzrokiem od ciemnego, ciężkiego pistoletu w swojej dłoni do jasnowłosej kobiety leżącej na podłodze z rękami osłaniającymi głowę w obronnym geście.

Podskoczyłam, spoglądając na Nico i opuszczając broń o milimetr. Ręka piekła mnie z bólu, jakby od wielu godzin dźwigała wielki ciężar. W oczach chłopca dojrzałam zrozumienie i zauważyłam, że się rozluźnia, ale zaraz znowu się spiął, krzycząc:

– Vi! Nie!

W jednej chwili runęłam na ziemię, a ból pożarł każdą z moich zdezorientowanych, zagubionych myśli. Vida powaliła mnie uderzeniem między łopatki, a teraz, przypierając do ziemi, wyciskała ze mnie ostatnie resztki oddechu.

– Zaczekaj! – odezwała się Zu. – Ruby?

– Co...? – Miałam wrażenie, że usta wypełnia mi piasek.

– Ruby? – Zobaczyłam nad sobą twarz Pulpeta. – Vi, złaż z niej.

– O mało jej nie zastrzeliła... Myślałam, że ją zastrzeli... – wydusiła z siebie Vida.

– Co się dzieje?! – Z góry dobiegł mnie głos senator Cruz.

– Ja nie... – zaczęłam mówić, ale ból rozsadzał mi czaszkę. Czułam się zupełnie zdezorientowana. – Skąd się tu wzięłam?

– Nie pamiętasz? – Doktor Gray wyglądała najspokojniej ze wszystkich wokół. – Wyszłaś, po czym wróciłaś i bez słowa pchnęłaś mnie na ziemię.

– Co? – Przejechałam paznokciami po podłodze. – Nie! Nigdy bym tego nie zrobiła...

– Nie byłaś sobą – powiedział Pulpet, chwytając mnie za ramiona. – Zupełnie nie reagowałaś na to, co mówiliśmy.

– Przepraszam. Niech to szlag, wybacz – mamrotała Vida. – Nie wiedziałam, co

robić. Za każdym razem, kiedy się do ciebie zbliżaliśmy, wyglądałaś, jakbyś chciała wystrzelić!

– Nico! – zawołałam, przyciskając dłoń do oczu, by powstrzymać łzy. Nie udało mi się jednak. Ból otępił mi umysł, dyktując reakcje ciała. – Nico!

– Przed chwilą wybiegł... – odparła senator Cruz. – Spojrzał na monitor i po prostu zniknął... Co tu się dzieje?

On. To był on. Mimo bólu i dezorientacji wczepionych w mój umysł w końcu zrozumiałam, o co chodzi.

Chwyciłam Pulpeta za rękę.

– Posłuchaj mnie uważnie.

– Dobrze, Ruby, dobrze. Tylko złap oddech.

– Nie! Posłuchaj! Weź ze sobą Vidę i zbierzcie pozostałych. Dzieci. Idźcie po nie, a potem wyprowadźcie je oraz senator Cruz i doktor Gray na zewnątrz przez garaż. Udajcie się do jednego z pobliskich budynków. Nie wolno wam nikogo pominąć. Rozumiesz?

– Tak, ale co ty...?

– Zabierzcie ze sobą tyle wody i jedzenia, ile zdołacie udźwignąć. Czekaćcie w ukryciu, aż dostaniecie sygnał do wyjścia.

Puste miejsca w mojej pamięci wypełniały się kolorem. Kiedy zamykałam oczy, widziałam się w połowie rozmowy, której zupełnie nie pamiętałam. Siedziałam w sali komputerowej przy zgaszonym świetle. Opuszki palców przypominały sobie każde muśnięcie klawiszy, mrowiąc na to wspomnienie. Lunatykowanie. *Może sterować ludźmi jak kukiełkami.* Ostatnie ostrzeżenie Clancy'ego.

Moje myśli zwijały się w spirale i skręcały ze sobą, aż w końcu dotarła do mnie przerażająca prawda.

Planuje ucieczkę.

Nadchodzi.

Ktoś po niego przyjdzie. Użył mnie, żeby sobie to załatwić.

– Ktoś wsypał – powiedziałam. – To ja.

– Co ty wygadujesz, do cholery? – zapytała Vida, pomagając mi wstać.

– Nico zauważył, że ktoś wysyła z Rancza informacje, usiłując to zatrzeć przez wymazywanie zapisów aktywności serwera. Myśleliśmy – odwróciłam się do Alice – że to ty albo któreś z pomagających ci dzieci. Ale to nieprawda, mam rację?

– Nieprawda! Przecież już wam mówiłam! – Alice się oburzyła.

– Wiem. Przepraszam. Teraz to wiem. Używał mnie jak szpiega, który obserwował, co się dzieje. To ja wysłałam dla niego te informacje! Niech to szlag!

Ucieczka. Próbowałam podążyć torem myśli Clancy’ego. Wydostać mogli go jedynie żołnierze prezydenta albo jacyś najemnicy. Nie wiedział dokładnie, gdzie znajdowało się Ranczo, a przynajmniej nie do czasu wyprawy do Oazy, kiedy moimi oczami mógł sobie obejrzyć drogę powrotną.

Potrzebował ludzi tylko do otwarcia drzwi celi. Potem z łatwością mógł ich przekonać, by dali mu spokój i zajęli się wyłapywaniem dzieci. Wtedy pozostałoby mu jedynie się wymknąć.

Ale dlaczego nie kazał mi po prostu się uwolnić? Po co czekał i robił to tak okrężną drogą?

– Jeśli nie byłeś sobą, to kto cię kontrolował? – zapytała doktor Gray.

Wbiłam w nią wzrok, zdając sobie sprawę, o co chodziło jej synowi. Clancy chciał, byśmy ją odnaleźli i przyprowadzili do niego, by mógł skończyć, co zaczął. Lillian miała jednak rację – nigdy by jej nie zabił.

Chciał, żebym zrobiła to za niego.

Odwróciłam wzrok. Zdawałam sobie sprawę, że już niedługo się dowie, że nie będę mogła dotrzymać naszej umowy.

– Lillian, chodźmy – powiedziała senator Cruz. – Muszę pójść po Rosę i pozostałych. Ruby zaraz do nas dołączy, prawda Ruby?

– Ale... – W oczach kobiety było widać sprzeciw, pani senator wzięła ją jednak stanowczo pod ramię i zaczęła prowadzić w stronę drzwi.

Podbiegłam ku tablicy z przodu pomieszczenia i starłam ją do czysta, po czym zerwałam ze ściany zdjęcie satelitarne Thurmond, zwinęłam je i rzuciłam Vidzie.

– Proszę was – powiedziałam do niej i do Pulpeta – idźcie po dzieci. Wyprowadźcie je stąd... Muszę się zająć Clancym, ale niedługo do was dołączę.

Proszę was! Odłączcie serwer i opróżnijcie schowek z bronią.

Stan naszego uzbrojenia nie przedstawiał się za dobrze. Zespoły, które wyszły do oczyszczalni, na wszelki wypadek wzięły ze sobą większość broni krótkiej. W bazie zostało bardzo niewiele dzieci, głównie maluchy z Oazy, które wciąż nie były gotowe do walki. Nie mieliśmy czasu, by je przygotować na coś takiego.

– Jeśli myślisz, że cię tu zostawię, to chyba całkiem oszalałaś – powiedział Pulpet.

Chwyciłam go jeszcze mocniej, wbijając mu w skórę połamane paznokcie.

– Ruszaj! Nie masz wyjścia! I to już! Nasza lokalizacja została ujawniona. Musisz zabrać stąd dzieci i obie kobiety! Charles! Posłuchaj mnie! Zaraz do was dołączę, ale jeśli zostaniesz, nikt się stąd nie wydostanie. Idź!

Ciemne oczy Vidy błyszczały, kiedy chwyciła go za rękę i zaczęła siłą ode mnie odciągać.

– Zaraz za nami.

– Zaraz za wami.

Wybiegłam z sali komputerowej, otworzyłam ramieniem podwójne drzwi i stanęłam jak wryta. Przeszedł mnie dreszcz, ponieważ nienaturalną ciszę zalegającą w korytarzu raz po raz rozdzierał czyjś histeryczny głos. Rozpoznałam go i ogarnęło mnie okropne poczucie nieuchronnej katastrofy.

Obróciłam się w kierunku archiwum. Drzwi były otwarte i nieco uchylone. Byłam tak zdenerwowana, że już nie wiedziałam, czy niski pomruk dobiegający z oddali wydawały helikoptery, czy to moja wyobraźnia.

– Obiecałeś! Obiecałeś, że już więcej tego nie zrobisz!

Rzuciłam się w głąb krótkiego korytarza, przerywając toczącą się rozmowę.

Nico szarpał się za czarne włosy, burząc zaczesaną do tyłu fryzurę i rozczochrując je na wszystkie strony. Chodził tam i z powrotem wzdłuż celi Clancy’ego i miał poczerwieniałą od płaczu twarz.

– Czemu jej to zrobiłeś? Jak mogłeś skrzywdzić Ruby? *J a k m o g ł e ś?*

Clancy siedział ze skrzyżowanymi nogami na łóżku i sprawiał wrażenie zirytowanego, ale zupełnie nieporuszonego atakiem hysterii, jaki przeżywał przed nim

Nico. Kiedy weszłam, spojrzał na mnie i ciasno splótł ręce na piersi. Nico dzięki Bogu nie otworzył celi, ale w jego dłoni zobaczyłam kopię kluczy, których używałam.

Zestaw Cole’a, pomyślałam. Trzymaliśmy to miejsce w tajemnicy przed niemal wszystkimi na Ranczu, ale Nico mógł podejrzeć, jak któreś z nas tu wchodzi, albo znaleźć plan budynku na którymś z serwerów. Mógł też najzwyczajniej w świecie się domyślić.

– Ruby... On nie może ciągle unikać odpowiedzialności! Nie może! – W oczach chłopca błyszczały łzy. – Musisz go stąd wypędzić. Pozwól mu odejść, zanim...

– Nareszcie – odezwał się do mnie Clancy. – Czy mogłabyś go stąd zabrać? Mam już wystarczająco silną migrenę.

– Boli cię głowa? Wyobraź sobie, co poczujesz, kiedy ci ją wyrwę? – prychnęłam.

Clancy obrzucił mnie spojrzeniem od stóp do głów i z kpiącym uśmiechem odparł:

– Wygląda na to, że miałaś interesującą noc.

– Zamknij się! Zamknij się! Ruby, on... – Nico zaczerpnął powietrza. – Jest tak, jak ci mówiłem. On potrafi kontrolować innych ludzi bez ich wiedzy i kierować nimi jak marionetkami. Ciągłe robił to naukowcom. Wiem o tym! Zmusił cię, on cię zmusił, byś przesłała te informacje!

Przez chwilę byłam pewna, że Clancy wszystkiemu zaprzeczy, stwierdzając, że Nico postradał zmysły. On jednak nawet nie zadał sobie trudu, by ukryć lekki uśmiech czający mu się w kącie ust.

– Ale cię nabrałem, co?

– Ty... – Nie mogłam nawet o tym myśleć.

Przychodził do mnie we śnie, bym nie wyczuła mrowienia, które pojawiało się w potylicy, kiedy ktoś chciał wymusić połączenie z moim umysłem. Kierował mną jak lalką, podsłuchiwał rozmowy, kradł chwile z mojego życia. Byłam jego oczami i uszami, a nawet nie podejrzewałam, że w ogóle istnieje taka możliwość.

– Od kiedy? – zapytałam.

– A od kiedy cierpisz na „napięciowe bóle głowy”? – Clancy złożył ręce na

udach. – Są straszne, co? Cieszę się, że nie musiałem ich znosić sam. Powinnaś jednak wiedzieć, że to wyłącznie twoja wina. Za każdym razem, gdy wnikasz do czyjegoś umysłu, tworzysz formę połączenia... Wspomnienia i myśli tej osoby stają się twoimi. Za każdym razem, kiedy wchodziłaś do mojego umysłu albo opuszczałaś gardę i pozwalałaś mi wniknąć do swojego, miałem szansę umacniać naszą więź. To dzięki tobie mogłem to zrobić.

– Co było w tych wiadomościach? – zapytałam, podchodząc do szyby, podczas gdy Nico osunął się na podłogę po ścianie za moimi plecami i ukrył twarz w dłoniach.
– Do kogo zostały wysłane?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – odparł Clancy. – Widzę, że oboje jesteście zbyt rozemocjonowani, by to zrozumieć. Życie w strasznym napięciu. Ruby, trudniej kontrolować zdolności, kiedy jest się tak rozwalonym...

„Zgodzisz się ze mną?”

Usłyszałam te słowa, jakby wypowiedział je w mojej czaszce, i natychmiast wzniosłam między nami ścianę czerni, ucinając połączenie, zanim w pełni się uformowało.

To tak mnie zwiódł. Znał objawy niepokoju i braku skupienia i wiedział, że bóle głowy mogą być wytłumaczone stresem, któremu podlegaliśmy.

Za każdym razem. Ciągle od nowa wchodzę prosto w tę samą pułapkę, pomyślałam. Byliśmy na różnych poziomach i musiałam w końcu przestać udawać, że jest inaczej. Mój mózg nie był wystarczająco pokręcony, by choćby wyobrazić sobie coś takiego.

– Tak lepiej. – Clancy skinął głową z uznaniem. – Teraz rozumiesz. Twoja rola dobiegła końca. Czerwony zginął. Tak ładnie wszystko przygotowałaś, że z łatwością przyjdzie mi wkroczyć i to skończyć. Teraz możesz odpocząć. Przecież tego właśnie chciałaś, prawda?

– Wiedziałaś, że zrobią mu krzywdę... Że go zabiją – wyksztusiłam.

– Tylko dlatego, że ty o to zadbałaś – odparł, a w jego oczach zabłysł triumf. – Jak myślisz, kto wysłał wiadomość szkoleniowcom w Sawtooth i nakazał im czujność?

Głowę wypełnił mi rozsadzający ból, a potem zaczęłam krzyczeć. Krzyczałam i

krzyczałam bez końca, waląc dłońmi w szybę, aż z płuc wydobywał mi się jedynie cichy szloch. *To moja wina. Moja wina. Moja wina.*

– To trochę tragiczne, co? Dać komuś jedyną rzecz, której desperacko pragnie, wiedząc, że ma moc, by go zniszczyć. Tak bardzo pragnął mieć pocucie, że nie jest sam z tym, czym jest, i zostać jednym z nas. To żałosne.

Ruszyłam na niego. Przed oczami migały mi plamy czerwieni, czerni i bieli. Wysunęłam ku niemu niewidzialne macki.

Nie mogłam pozwolić mu wygrać.

East River, Los Angeles, Jude, wyniki badań, Cole – odebrał mi tak wiele. Za każdym razem, kiedy nadzieja stawiała się czymś namacalnym, wyrywał mi ją. *Nie dam mu wygrać.* Byliśmy tak blisko. Byliśmy zbyt blisko, by teraz się poddać.

Zupełnie niespodziewanie Nico wepchnął się przede mnie, kołysząc kluczami. Ze skupieniem na twarzy pewnym ruchem odblokował wszystkie trzy zamki w drzwiach.

– Wynoś się! – powiedział, otwierając je na oścież. – Znikaj tak jak zawsze! Wynoś się, zanim wszystko zniszczysz! Odwołaj ludzi, których zatrudniłeś, i po prostu przepadnij!

Clancy podniósł się z pryczy z dziwnym wyrazem twarzy.

– Niczego nie rozumiesz – ciągnął Nico. – To, co zrobiłeś, nie uderzyło w ludzi, którzy cię skrzywdzili, i nigdy nie uderzy. Ale ty nie chcesz tego przyznać! Nigdy nawet się do nich nie zbliżysz! Jedyne, co potrafisz, to ranić dzieci, które chciały ci pomóc! Wszyscy chcieliśmy ci pomóc!

– To trzeba było zejść mi z drogi.

– Czemu pomogłeś Lidze wyrwać mnie z rąk Ledy? – zapytał Nico, stojąc nieruchomo, kiedy Clancy powoli ruszył w jego kierunku. – To ty poddałeś im plan, jak wyciągnąć mnie z Filadelfii, prawda? Ale najpierw zostawiłeś mnie w Thurmond... Zostawiłeś nas wszystkich, chociaż obiecałeś, że uciekniemy razem i ułożymy sobie życie bez wstydu i bólu. Clancy... Już zapomniawszy tamten ból? – Głos chłopca zamienił się w szept. – Czemu po prostu nie pozwoliłeś mi umrzeć tak jak innym? Powtarzałeś mi, że muszę żyć, ale żałuję, że po prostu nie... Żałuję, że nie umarłem, bo wtedy nie mógłbyś mnie użyć.

Clancy obserwował go z wyrazem twarzy, jakiego nigdy wcześniej u niego nie widziałam.

– Czemu musisz wziąć każde dobro, które próbujemy ci dać, i rozbić je w pył? Pozwoliłeś im, by cię w to zamienili...

– Taki jestem – warknął Clancy. – Nie pozwolę im się zmienić. Nie pozwolę im się tknąć. Nigdy więcej.

– Nikt nie będzie cię zmuszał, byś się poddał tej operacji. – Nico uniósł dłonie w uspokajającym geście. – Możesz teraz odejść. Możesz się ulotnić. Błagam cię... po prostu odwołaj ludzi, którzy po ciebie jadą. Proszę, Clancy. *P r o s z ę*.

– Mówiłem, żebyś się w to nie mieszał – odparł Clancy drżącym głosem i obrzucił spojrzeniem wyjście. Widziałam, że rozważa propozycję Nico. – Czemu ty nigdy mnie nie słuchasz?

– Proszę – błagał Nico.

– Już za późno. – Clancy ścisnął w dłoniach materiał spodni. – Wiedziałbyś o tym, gdybyś nie był taki głupi! Nie słyszysz ich? Wylądowali na dachu. Już tu są.

– To spraw, by odeszli. Przecież możesz to zrobić.

Manipuluje nim, zauważyłam oniemiała. Clancy naprawdę brał to pod uwagę i ważył słowa Nico. Nie poruszałam się, zbyt wystraszona, że rozwieję dziwne zaklęcie, które opadło na pomieszczenie. Patrzyłam zza drzwi celi to na jednego, to na drugiego chłopca. Napięcie wokół opadało i naturalnie zaczęło ustępować.

– Kto to? – Zza moich pleców dobiegł miękki kobiecy głos. – Kogo wezwałeś na pomoc?

W jednej chwili Clancy znów zrobił się niedostępny i odepchnął Nico na bok.

– Witaj, matko. Miałaś nadzieję, że wyjadę bez pożegnania?

– Kogo wezwałeś? – powtórzyła, stając w sztywnej pozie identycznej z pozą syna.

– A jak myślisz? – odezwał się ociekającym słodyczą głosem. – Tatę.

– Kazałam pani wyjść! – warknęłam na nią.

– Nie, zostań – powiedział Clancy. – Ostatnio się nie udało. Będziemy musieli spróbować znowu, ale tym razem Ruby ci już nie pomoże.

Nastąpiła chwila ciszy, po której nagle budynek zakołysał się pod wpływem siły

eksplozji. Clancy spojrzał na drzwi za matką – byłam pewna, że nigdy nie żywiłam do niego tak wielkiej nienawiści.

Światło odbiło się od broni, mojej broni, tej samej, którą Vida wytrąciła mi z ręki w sali komputerowej. Lillian Gray uniosła ją i wymierzyła w Clancy'ego.

– Kocham cię – powiedziała i wystrzeliła.

Z jego ramienia trysnęła krew i w tej samej chwili przewrócił się na szklaną ścianę. Ale Lillian jeszcze z nim nie skończyła. Ignorując krzyk bólu, który wydał z siebie jej syn, zrobiła kolejny krok w jego stronę i wycelowwała niżej, tym razem trafiając go w nogę. Jej twarz pozostawała bez wyrazu, jak gdyby musiała wyłączyć jakąś istotną część siebie, aby dokończyć dzieła.

Ja i Nico wzdrygaliśmy się z każdym strzałem. Chłopiec zakrył sobie twarz i odwrócił się, by nie patrzeć. Ja jednak nie odrywałam od nich wzroku. Musiałam mieć pewność, że tym razem Clancy się nie wymknie.

Nad naszymi głowami rozległo się dudnienie ciężkich kroków, od których trząsł się sufit. Przypuszczałam, że mamy tylko kilka minut. Trzeba było działać szybko. Nie mogłam w to uwierzyć, ale nagle ogarnął mnie dobrze znany spokój i do głowy przyszła mi prosta fraza: „akceptacja. adaptacja, reakcja”.

Poczucie pewności było raczej kojące niż przerażające. To także wydało mi się bardzo dziwne. Gdzieś po drodze zepchnięta w najmroczniejszą część umysłu alternatywa zakorzeniła się i rozkwitła. Pierwotny plan zniknął. Na jego miejsce pojawił się nowy.

Pendrive, który Nico miał na szyi, wyslizgnął się mu spod koszulki, kiedy chłopiec odsuwał się od opadającego na szklaną ścianę Clancy’ego. Dосkoczyłam do niego i nim złapał oddech, chwyciłam czarny kawałek plastiku, pociągając za niego tak mocno, że zerwałam sznurek, na którym wisiał. Zanim wstrząśnięty Nico zdążył zareagować, wepchnęłam go do pustej celi i zatrzęsnęłam drzwiami.

– Nie!

Miałam klucze. Usłyszałam, jak zamek cichutko przeskakuje.

– Nie, nie, nie – jęczał. – Ruby, wiesz, co zrobią. Z powrotem cię tam zabiorą, zabiją cię. Zabiją.

Doktor Gray podeszła do syna, osunęła się na kolana i zaczęła uciskać jego rany.

Słyszając łkanie Nico, spojrzała na mnie zszokowana.

– Nie dam się im skrzywdzić – odparłam, choć wiedziałam, jak puste są te słowa. W tej chwili jednak byłam zupełnie pewna swojego planu. Tak bardzo pragnęłam dowieść, że to, co się wydarzyło, go nie przekreśla, iż nabrałam przekonania, że uda mi się wpłynąć na wystarczającą liczbę żołnierzy SSP i ocaleć.

Chcę żyć.

– To miałem być ja. To powinienem być ja.

– Pierwszego marca. Przekaż to pozostałym – powiedziałam, przyciskając dłoń do szyby i upuszczając klucze na podłogę. – Pierwszego marca. Harry zna plan.

– Ruby – zaszlochał – nie rób tego.

Oparłam czoło o zimną szybę.

– Widzę ją teraz: drogę, o której opowiadał Jude. Jest taka piękna. Przestało padać i chmury się rozstępują – szepnęłam.

Chcę żyć.

Chwyciłam doktor Gray za ramię i odciągnęłam ją na bok. Następnie złapałam Clancy'ego pod pachami i pewnie przeciągnęłam go przez drzwi do krótkiego korytarza.

– Co robisz? – Kobieta szła za mną. Ręce, koszulę i twarz miała poplamione krwią syna. – Dokąd go zabierasz?

– Proszę zamknąć drzwi! – rzuciłam ostro.

Zrobiła, co kazałam. Za szklaną szybą zobaczyłam jeszcze Nico walącego w nią pięściami. Spojrzałam na ciemne włosy Clancy'ego i wsłuchałam się w jego półprzytomne jęki. Nozdrza wypełnił mi metaliczny zapach krwi. Popatrzyłam na swoje dłonie i pomyślałam, że nawet teraz Clancy zostawia na mnie swój ślad.

Kiedy przeciągałam go przez ostatnie drzwi, odcięto zasilanie. Clancy wyslizgnął mi się z rąk i bezwładnie uderzył o podłogę. Odwróciłam głowę, by sprawdzić, czy doktor Gray zatrzasnęła drzwi, zamykając Nico bezpiecznie wewnątrz. Wsunęłam pendrive do buta i położyłam się na brzuchu na zimnej posadzce. Założyłam ręce za głowę, dumna, że nie drżą.

Oddychaj.

Zanurzyłam się w to miejsce w głębi siebie, o które kiedyś pytała mnie Zu. Kiedy

pierwszy promień światła przeszył ciemność korytarza, schowałam się w najdalszym zakątku tego wewnętrznego schronienia. Tutaj strach nie mógł mnie dosięgnąć, nawet kiedy podnoszono mnie za włosy i ramiona i przyświecono mi skanerem prosto w oczy. Ciemne plamki majaczące mi przed oczami ułożyły się w twarz żołnierza. Nie słyszałam nic oprócz spokojnych uderzeń własnego serca. Kiedy trzymający mnie mężczyzna wzmocnił uścisk i przycisnął mi coś zimnego i metalowego do potylicy, wiedziałam, że mnie zidentyfikowali.

Mężczyźni w ciemnych mundurach otoczyli Clancy'ego i odciągnęli doktor Gray na bok. Kobieta wbiła palce jak szpony w ramię żołnierza, który oddzielił ją od syna. Jeden z nich, lekarz, odsunął się nieco i zobaczyłam, jak nakładają Clancy'emu na twarz plastikowy kaganiec.

Wokół brzęczały krótkofalówki, nad głową przelatywały mi roje głosów, ale nie docierały do mnie żadne słowa. Związano mi ręce. Ucisk plastikowych opasek stał się nie do zniesienia, kiedy żołnierz zacisnął je mocniej i przewrócił mnie na plecy. Coś ukłuło mnie w szyję i poczułam, jak jakaś substancja rozchodzi się w moich żyłach.

Zabiją mnie. Jeśli mi się nie uda, nie mam co marzyć o wyzwoleniu Thurmond – nie opuszczę nawet tego budynku. Powinnam była ćwiczyć. Powinnam była znaleźć sposób, by przetestować to z grupą, kiedy moje życie nie zależało od czyjegoś kciuka na spuście.

Narkotyk, który mi podano, zupełnie sparaliżował mi kończyny. Czułam się lekka – miałam wrażenie, że mogłabym zostać zdmuchnięta, ale nie wpłynęło to na mój umysł. Jeszcze nie. Walczyłam z opadającymi powiekami, z ciężarem, który je przygniatał. Miałam jeszcze... Miałam jeszcze jedną rzecz do zrobienia.

Wiele miesięcy skrupulatnie zwijałam swój dar w ciasny kłębek, popuszczałam tylko odrobinę i tylko wtedy, kiedy go potrzebowałam. Napięcie związane z utrzymaniem go w ryzach ciągle przypominało mi o tym, że muszę pracować nad zachowaniem życia, które sobie zbudowałam. Był to miesiąc dobrze przeze mnie wytrenowany, tak by zniósł niemal każde napięcie.

Wypuszczenie zdolności było jak wstrząśnięcie butelką wody sodowej i zdjęcie z niej kapsla. Wytryskiwały ze mnie z sykiem, szukając umysłów, w które mogłyby wniknąć. Nie sterowałam nimi i ich nie powstrzymywałam. Nie wiem, czy w ogóle

byłabym w stanie. Przemieniłam się w płonące centrum galaktyki twarzy, wspomnień, miłości, złamanych serc, rozczarowań i marzeń. Jakbym przeżywała życie kilkunastu osób naraz. Złączenie naszych umysłów było zaskakująco piękne, co równocześnie wypełniało mnie nadzieją i rozpaczą.

Odrobinę przestało mi się kręcić w głowie i równocześnie spowolnił się ruch dookoła mnie. Czułam, że czas się zatrzymał i czekał, aż będzie mógł wrócić do swojego normalnego rytmu. Ciemność zaczęła przysłaniać mi pole widzenia, przenikając mój umysł jak kropla atramentu wodę. Panowałam jednak nad sytuacją. Musiałam im powiedzieć jeszcze jedną rzecz, zaszcześcić w ich głowach ostatnią ideę.

– Jestem Zielona.

Obudziła mnie zimna woda i łagodny kobiecy głos.

Zapach wybielacza.

Posmak wymiocin.

Suchość w gardle.

Spękane, zaciśnięte wargi.

Metaliczny łomot i stukot starego grzejnika tuż przed tym, jak wydał z siebie ciepły powiew powietrza.

– ... trzeba przeprowadzić badanie, kiedy jest przytomna...

Obudź się – rozkazałam sobie – *obudź się, Ruby, obudź.*

– Dobrze. Nie wolno nam się pomylić, rozumiesz?

Uniosłam się i otrząsnęłam z bólu i oszołomienia. Miałam sklezione powieki. Spróbowałam unieść rękę, żeby je przetrzeć i pozbyć się łaskotania w opuszkach palców. Chciałam się podnieść z przeraźliwie zimnego lekarskiego łóżka, ale poczułam jedynie gwałtowny opór pasów, które ostro wbiły się w nagą skórę moich nadgarstków.

To, co wzięłam za zimną wodę, okazało się potem. Jego krople skapywały po wnętrzu białego plastikowego kagańca, który więził każdy mój ciężki, ciepły oddech. Ciemne plamki zniknęły sprzed oczu. Wzrok przyzwyczajał się do ostrego, sztucznego oświetlenia. Wszystko zaczynało mieć sens. Na ścianie wisiał plakat z

kolorowym wykresem, który przedstawiał każdą ze zdolności – od Czerwonych po Zielone. „System Klasyfikacji Psi”, przeczytałam nagłówek, poruszając ustami.

Wysoko w rogu pomieszczenia w rytmie uderzeń mojego serca mrugało pozbawione powieki oko kamery.

Uspokój się, Ruby. Przynajmniej racjonalna część mojego mózgu nadal działała. *Uspokój się. Żyjesz. Uspokój się...*

Tylko dzięki silnej woli udało mi się przywrócić ciału normalne tętno. Robiłam wdechy przez nos i wydychałam powietrze przez usta. Byłam w Thurmond – w Infirmerii. Rozpoznałam cytrynowy zapach grozy i wycie dzieci, stukot wózków, odgłosy kroków stawianych w ciężkich buciorach. Mimo to w głębi duszy miałam wrażenie, że to nie dzieje się naprawdę, nawet gdy wspomnienie ostatnich chwil na Ranczu wróciło do mnie z impetem. *Pendrive.* Nadal miałam buty na nogach. Dzięki Bogu, nie zdjęli ich. Próbowałam obrócić stopę w pasku, ale nie czułam go na kostce. Zgięłam, a potem wyprostowałam palce, prawie płacząc z ulgi, kiedy poczułam pod piętą ostrą plastikową krawędź. Dysk musiał się zsunąć.

Przyszłaś tu po coś – przypomniałam sobie. – Musisz doprowadzić to do końca. Dla innych.

Zamknęłam oczy, próbując zablokować obrazy, które wypływały z zakamarków mojej wyobraźni. *Nie przyprowadziliby cię tu, gdyby chcieli cię zabić.* Zobaczyłam bladą, poszarzałą twarz Ashley. I to, w jaki sposób jej bezwładna ręka opadła na ziemię i zwisała do dołu, do którego mieli ją włożyć. Może chodziło o oficjalne miejsce pochówku mojego ciała?

Nagle to, kim byłam i przez co przesłam, przestało mieć znaczenie. Znowu miałam dziesięć lat i czekałam w przerażającej ciszy, by ktoś obudził mnie z koszmaru, w który pozwoliłam się złapać. *Pomocy!* – zawołałam w myślach. – *Niech ktoś mi pomoże...*

Perełko.

Zamknęłam oczy na dźwięk znajomego, przyduszonego rozpaczą głosu, który szeptał mi do ucha. *Nie pozwól mi tego schrzanić, proszę, pomóż mi,* pomyślałam. Byłam tu sama, wiedziałam, że tak będzie, ale nie przewidziałam, że okaże się to aż tak przerażające. Przywołałam z pamięci twarz Cole’a i przytrzymałam na samym

wierzchu wspomnień. On by się nie bał. Nie zostawiłby mnie.

Musisz stąd wyjść. Czuję, jak słowa osiadają w moim umyśle. Nie tylko dla nich, lecz także dla samej siebie. Musisz stąd wyjść na własnych nogach.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do wnętrza zaczęły napływać odgłosy z innych części budynku. W progu pojawiła się twarz starego mężczyzny o siwych włosach – okalały jego głowę jak warstwa zastygłego kurzu. Zmrużył oczy przysłonięte okularami. Nie rozpoznałam go, dopóki nie wszedł do środka i nie wciągnęłam w płuca jego okropnego zapachu – alkoholu i mydła cytrynowego. Doktor Freemont nadal nawiedzał korytarze tego miejsca.

Mężczyzna wydał z siebie odgłos zaskoczenia.

– Obudziła się.

Zaraz za nim pojawiła się kobieta w szarym kitlu. Szybko odsunięto ją jednak na bok, aby zrobić miejsce dla dwóch żołnierzy SSP. Ich czarne mundury były nieskazitelne: od wypolerowanych oficerek po wyszyty na ich piersiach czerwony znak Ψ . Zobaczyłam ich twarze i poczułam się tak, jakbym żyła we wspomnieniu. Wizja stała się nieprawdopodobnie wyraźna.

Skup się.

Do pokoju weszła jeszcze jedna osoba – mężczyzna w średnim wieku. W sztucznym świetle jego piaskowe włosy wyglądały na siwe. Mundur, który miał na sobie, różnił się od mundurów żołnierzy. Składał się z czarnej zapinanej na guziki bluzy i luźnych spodni. Znałam ten mundur, ale z bliska widziałam go tylko raz. Nadzorca obozu. Jeden spośród kobiet i mężczyzn pracujących na Wieży Kontrolnej, odpowiedzialnych za sprawdzanie kamer i pilnowanie planu dnia.

– A, tu jesteś – odezwał się doktor Freemont. – Właśnie miałem zacząć badanie.

Mężczyzna z wyhaftowanym na koszuli nazwiskiem O’Ryan zrobił krok w przód i wyciągnął przed siebie rękę, jakby chciał powiedzieć „proszę bardzo”.

Zacisnęłam zęby, a palce zwinęłam w pięści. Nie musiałam pytać, co się dzieje. Wystarczająco szybko odczytałam sytuację, aby się domyślić. Stary mężczyzna wyciągnął z kieszeni małe ręczne urządzenie do produkcji Białego Szumu i dostroił jego ustawienia.

Zawsze, kiedy wizualizowałam sobie wykonanie tego planu, widziałam, jak

spotykając nadzorców i żołnierzy SSP, wpływam na każdego z nich z osobna i zaszczeplam sugestią, że jestem Zielona. Teraz jednak, kiedy doktor nacisnął największy guzik urządzenia, zrozumiałam, że nie muszę wpływać na całe tabuny, tylko na cztery osoby.

– Zielony – powiedział doktor Freemont.

Dźwięk, który wydobył się z urządzenia, był łagodniejszy niż się tego spodziewałam: jakby dzieliło go ode mnie kilka pięt. Przeszywający ton oraz mieszanina pisków i brzęczenia sprawiły, że stanęły mi włosy na karku, a żołądek się skurczył. I tak jednak było to nic w porównaniu z Białym Szumem, który zwykle emitowano przez obozowe głośniki.

Widzę, jakie częstotliwości słyszę – pomyślałam. – Cholera.

Nasze mózgi odczytywały dźwięki inaczej niż mózgi zwykłych ludzi. Jeśli dorośli znajdujący się w pomieszczeniu słyszeli ten dźwięk, to brzmiał on ledwie jak bzyczenie muchy za uchem. Na nas za to oddziaływało całe mnóstwo tonów – każdy dostrojony tak, aby dźwięczał inaczej dla danego koloru. Dowiedziałam się o tym, kiedy Cate i Liga zdołali połączyć zwykły Biały Szum z dźwiękami przypisanymi Pomarańczowym i Czerwonym. Chcieli w ten sposób namierzyć tych z nas, którzy ukrywali się lub udawali przynależność do innego koloru. Dźwięk ten, ciąg paraliżujących umysł stukotów i trzasków, przeszywał mnie na wylot, aż straciłam przytomność.

Teraz napierałam na pasy i wybałuszając oczy, trzęsłam się i rzucałam całym ciałem, jak gdyby dźwięki zadawały mi rany niby nóż raz po raz wbijany w pierś. Odgłosy wydostające się spod mojego kagańca były niskimi zwierzęcymi jękami.

O’Ryan uniósł rękę i słaby dźwięk zniknął. Podeszedł do łóżka i przyjrzał się mojej twarzy. Musiałam zmienić malującą się na niej nienawiść w strach.

– Właściwa reakcja – powiedział doktor Freemont. – Czy powinienem...?

Nadzorca miał niewzruszony wyraz twarzy, chociaż zauważyłam, że wygiął wargi, jakby się nad czymś zastanawiał. Teraz przyjrzałam mu się uważnie. Miał szerokie ramiona, a stojąc nade mną, sprawiał wrażenie bardzo wysokiego. W jego postawie było coś, co przypominało mi ostrze noża. Stał sztywno i dumnie.

Wzrokiem przebijał się przez każdą ochronną powłokę, którą się otoczyłam, i sekundę za późno uświadomiłam sobie, że to nie jest zwykły nadzorca obozowy, ale główny dowodzący. A ja patrzyłam mu w oczy.

Gwałtownie odwróciłam od niego wzrok, ale było za późno. Okazałam za dużo woli. Odebrał to jako wyzwanie.

– Ustaw na Pomarańczowy.

Potrafiłam znieść bardzo wiele, ale wiedziałam, że uderzenie tego Białego Szumu będzie jak spotkanie z rozpędzonym pociągiem. O’Ryan stał nade mną, wpatrując się w moją twarz. Wierzył, że on tu rządzi. Sądził, że jeśli przyjrzy mi się wystarczająco uważnie, wyczuje, czy korzystam ze swoich zdolności. Uważał, że skoro kaganiec nie pozwala mi mówić, to nie mogę wydać polecenia.

Nie musiałam na niego patrzeć. Nie musiałam się do niego odzywać. Okazało się, że wystarczy, że wpłynę tylko na jedną osobę.

Umysł doktora Freemonta był grzęzawiskiem pełnym dzieci bez twarzy i ekranów komputerowych. Umieściłam między nimi staranną czystą wizję opartą na moich wspomnieniach z pierwszego przyjęcia do obozu, po czym od razu się wycofałam.

Podsunęłam mu obraz, w którym gmera przy urządzeniu, znowu unosi je do piersi i wprowadza wcześniejsze ustawienia. Stał bokiem do znajdujących się przy drzwiach żołnierzy. O’Ryan patrzył na mnie z takim samozadowoleniem i pewnością siebie, że aż uśmiechnął się znacząco. Przymknęłam oczy, po raz pierwszy ciesząc się, że mam na twarzy kaganiec, bo nie pozwolił mi zrobić tego samego.

– Zaczynaj – powiedział.

Z łatwością przesłałam doktorowi Freemontowi polecenie przyciśnięcia guzika. Widziałam, jak to robi zaledwie przed chwilą, więc mogłam odtworzyć gest w identyczny sposób. Ponownie rozległ się Biały Szum i przebiegł po mojej skórze jak prąd. Nerwowo strzelałam na boki oczami, ale tym razem było mi trudniej udawać strach. Umysł miałam spokojny i chłodny.

O’Ryan spojrzał za siebie przez ramię.

– Włącz.

Jest włączony, pomyślałam.

– Jest włączony – powiedział doktor Freemont.

Zamarłam, słysząc beznamiętny ton jego głosu, i zaryzykowałam spojrzenie na O’Ryana, by sprawdzić jego reakcję.

Nadzorca się skrzywił.

– Sprowadzę jedno z urządzeń testujących z powrotem z Nowego Jorku.

Nowy Jork? Czyżby już wywieźli wszystkie duże urządzenia i rentgeny?

Podsunęłam doktorowi słowa: *to może potrwać całe tygodnie.*

– To może potrwać całe tygodnie – powiedział doktor Freemont.

Ten egzemplarz jest niezawodny.

– Ten egzemplarz jest niezawodny.

O’Ryan przenosił miazdzący wzrok to na mnie, to na doktora. Wysunęłam macki umysłu dalej, wchodząc do głowy nadzorcy obozu. Przejrzałam powierzchowne wspomnienia – wilgotne poranki, mgłę, rzesze dzieci w uniformach – po czym siłą przedarłam się przez nie i zasiałam myśl: *Ta dziewczyna jest Zielona. Omyłkowo zidentyfikowano ją jako Pomarańczową.*

Wycofałam się, opuszczając umysły obu mężczyzn, i wlepiłam spojrzenie w podłogę.

– Dobra. Zaklasyfikowanie jej do Pomarańczowych było błędem. – O’Ryan zwrócił się do jednego z żołnierzy: – Przynieś mundur Zielonych i buty z pudełka. Jej numer to 3285.

– Jaki rozmiar?

– Czy to ma znaczenie? – warknął O’Ryan. – Wykonać.

Lekarz zamrugął.

– Czyli nie zostanie w Infirmerii? Sądzę, że na jej widok pozostałe dzieci mogą się poczuć... zaniepokojone.

– Jedna noc wystarczy. – O’Ryan odwrócił się w moją stronę i dodał: – Niech się dowiedzą, że nieważne, jak daleko uciekną, i tak je znajdziemy. I przywlecziemy tu z powrotem.

Jedna noc. Chryste, leki, które mi podali, ścięły mnie tak mocno, że straciłam cały dzień. Podejrzewałam, że wojskowi przerzucili nas tu samolotem – ziemny transport

byłby zbyt ryzykowny. W takim razie mieliśmy już 25 lutego. *Cholera. Zostały mi trzy dni, żeby coś wymyślić.*

Doktor nie odwiązał mnie ani nie zdjął mi kagańca, dopóki jeden z żołnierzy nie wrócił i nie rzucił cienkiego, bawełnianego uniformu i tenisówek bez sznurówek na stół.

– Przebierz się – rozkazał O’Ryan, rzucając we mnie ubraniem. – Ruchy.

Kiedy podniosłam strój, w nozdrza uderzył mnie zapach niezmywalnego markera. Poruszałam obolałą szczęką w przód i w tył. Bolały mnie wszystkie mięśnie i stawy, ale nie zamierzałam dać im satysfakcji i starałam się nie kuleć, kiedy wstałam i poszłam w kąt pokoju. Cały czas czułam na sobie ich spojrzenia. Zaczęłam od butów – szybko je rozwiązałam i odchylając prawą cholewkę, wyjęłam spod niej czarny pendrive. Następnie opuchniętymi dłońmi włożyłam niezdarnie nowe buty, udając, że poprawiam materiałowy język. Były przynajmniej o dwa rozmiary za duże. Ale moi oprawcy zupełnie się tym nie przejmowali. Stałam twarzą do ściany i zaczęłam się rozbierać. Wrzałam nienawiścią. Ocierający się o zmarzniętą skórę uniform był niczym tępe ostrze. Kiedy skończyłam, odwróciłam się, nie podnosząc głowy.

Żołnierz, który przyniósł mi ubranie, Laybrook, podszedł do mnie i złapał za ramię.

– Barak numer dwadzieścia siedem – powiedział O’Ryan, szyderczo się uśmiechając. – Wiedzieliśmy, że jeszcze tu wrócisz, więc trzymaliśmy dla ciebie twoje łóżko. Jestem pewien, że pamiętasz drogę.

Następnie dał znak ręką i dosłownie wywleczono mnie na korytarz. Kiedy skręcaliśmy w stronę najbliższej klatki schodowej, Laybrook wykręcił mi rękę. Boże, obrazy stanęły mi przed oczami jak żywe – wszystkie te dzieci wlekące się w przeciwnym kierunku i nieświadome tego, co je czeka. Ujrzałam siebie w pizamie i Sam w płaszczu.

Maszerował tak szybko, że nie mogłam nadążyć. Kiedy doszliśmy na półpiętro, poślizgnęłam się i prawie upadłam na kolana. Twarz Laybrooka spochmurniała od irytacji. Mężczyzna złapał mnie z tyłu za koszulę i podciągnął, z powrotem stawiając na nogi.

Tak to będzie wyglądało – pomyślałam – z nimi wszystkimi. Wydostałam się i

pokonałam ich system. I co teraz? Będą musieli mi udowodnić, że już nigdy tego nie powtórzę? Że mając siedemnaście lat, jestem tak samo mała i bezsilna jak dziesięciolatka? Chcieli, żebym została w tym ciemnym kącie, do którego pozwoliłam się zapędzić. Bym skuliła się w sobie, odcięła się od pozostałych. Ponownie pragnęli odrzeć mnie ze wszystkiego. Pozostawić bezbronną.

Nie wytrzymałam.

Spojrzałam do góry na schody, które już pokonaliśmy, a potem w dół, w stronę kolejnych stopni. Zatrzymałam wzrok na kamerze, która wisiała nad naszymi głowami. Kiedy znaleźliśmy się poza jej zasięgiem, zgięłam ramię i wyrzuciłam łokieć w górę, przyciskając go do szyi Laybrooka. Popatrzyłam na jego zaskoczoną twarz, która znajdowała się centymetry od mojej, i wtargnęłam do jego umysłu. Broń żołnierza uderzyła o ścianę, a pasek zsunął mu się z ramienia. Był o wiele starszy ode mnie i ważył przynajmniej pięćdziesiąt kilo więcej, ale to nie miało znaczenia. Od tego momentu mieliśmy iść w moim tempie.

O’Ryan miał rację co do jednego – naprawdę pamiętałam drogę do Baraku dwadzieścia siedem. Mój umysł tak bardzo kojarzył ją ze strachem, że w chwili kiedy obóz rozpostarł się przed moimi oczami, z trudem opanowałam drżenie nóg.

Okazało się, że w ciągu miesięcy mojej nieobecności pewne rzeczy się zmieniły.

Dolny poziom Infirmerii kiedyś wyglądał jak obszerny korytarz zastawiony łózkami, które rozdzielały kotary. Teraz jednak wszystko to zniknęło zastąpione przez nieoznaczone pudła ułożone jedno na drugich. Kiedy je mijaliśmy, widziałam, jak żołnierze SSP donoszą kolejne z zapleczy i biur. Ich zaciekawione spojrzenia odprowadziły nas na zewnątrz, wprost w ulewny deszcz.

Sinoszare niebo zawsze podkreślało żywą zielenią otaczających ogrodzenie trawy i drzew. Ulewny deszcz spadał na nas niczym kurtyna, ale ani trochę nie psuł tego efektu. Nie zmył również ziemistego zapachu, który natychmiast przytłoczył moje zmysły olbrzymim ładunkiem wspomnień. Przygryzłam wargę i potrząsnęłam głową. *Teraz jest inaczej – przypominałam sobie. – Masz nad tym kontrolę. Wydostaniesz się stąd.* Próbowałam przywołać stare znajome uczucie pustki i otepienia, które wypełniało mnie, kiedy tu przebywałam, jednak go nie znalazłam.

Kiedy weszłam na błotnistą ścieżkę, mokra ziemia zapadła się pod moimi stopami. Spojrzałam w dół i zatrzymałam wzrok na białych tenisówkach. Zmoczony brudną wodą i oblepiony trawą numer 3285 kłuł mnie w oczy.

Uspokoilałam oddech i przemogłam się, by ruszyć naprzód. *Jesteś tu w konkretnym celu. Wydostaniesz się stąd.* To tylko kolejna misja. Tu też dam radę być twarda i pewna siebie. Potrafiłam walczyć. Nie mogłam się teraz rozsypać i poddać strachowi. Nie mogłam, jeśli miałam uratować pozostałych.

Moim oczom ukazały się kręgi Baraków. Wyglądały mroczniej i wydawały mi się mniejsze, niż je zapamiętałam. Zauważyłam przykryte zniszczonym plastikiem dziury w dachach. Drewno, którym były wyłożone ściany, wypaczyło się i łuszczyło z powodu skapujących z dachów pozostałości ostatniej śnieżycy. Szczypiące, przeszywające zimno kłuło moją skórę jak igły, aż w końcu poddałam się i zaczęłam się trząść.

Wieża Kontrolna z czerwonej cegły, stojąca w samym środku obozu, pociemniała od deszczu. Na wyższym balkonie nadal jednak stali z gotowymi do strzału karabinami liczni żołnierze SSP i śledzili każdy rząd dzieci brodzących błotnistymi ścieżkami z Ogrodu. Niebieskie uniformy przyklejały się do ramion i zapadniętych brzuchów małych więźniów.

Większość dzieciaków, które mijaliśmy, miała opuszczone głowy, ale wyłapałam kilka ciekawskich, szybkich jak błyskawica spojrzeń. Pilnowali ich strażnicy SSP. Nie, to nie byli żołnierze.

Obróciłam się na pięcie i zerknęłam na ludzi maszerujących na końcu rzędu dzieci. Szli z wyprostowanymi plecami i wykonywali sztywne, wystudiowane ruchy. Na czarne mundury mieli narzucone szkarłatne kamizelki.

Lekko naciskając ramię Laybrooka, sprowadziłam go ze ścieżki tak, aby następna grupa mogła przejść obok nas do swoich Baraków. I znowu na początku i końcu dwóch równych rzędów szli żołnierze w szkarłatnych kamizelkach. Bez pistoletów. Bez żadnej broni. Kiedy ostatnia grupa podeszła do nas, w głowie rozbrzmiał mi ostrzegawczy dźwięk, a paskudne podejrzenie przerodziło się w szok.

Mężczyźni w czerwonych kamizelkach pilnowali dzieci, nie okazując żadnych

emocji. Byli młodzi – mieli okrągłe, pełne twarze. Mogli być w moim wieku, może kilka lat starsi. Zastąpiono nimi kurczące się siły SSP.

Czerwoni.

Pomiędzy zakończeniem zmiany pracy – czy to w Ogrodzie, Fabryce, czy przy sprzątaniu Mesy lub Łazienek – a kolacją była godzinna przerwa. Dzieci wracały do Baraków, a każda grupa miała dokładnie wyznaczony czas, w którym musiała pokonać dystans dzielący budynki. By obóz mógł sprawnie funkcjonować, wszystko musiało działać jak w zegarku. Dzieci wyglądały niczym niebieskie i zielone strumienie i były tak mocno skupione na odgrywaniu swojej roli, że nigdy nie myliły kroku i nie ważyły się zakłócić rytmu marszu.

Czerwoni. Chryste, pozostali nie mieli pojęcia. Nie mogłam ich ostrzec, a im bliżej Baraku dwadzieścia siedem byłam, tym bardziej byłam przekonana, że jest już za późno.

Laybrook podszedł ze mną do Baraku, otworzył drzwi i z wymuszoną grzecznością przytrzymał je dla mnie. Weszłam do środka i po raz ostatni spojrzałam w jego jasne oczy. Podsunęłam mu fałszywe wspomnienia, jak mnie bije i szarpie, pozwalając, aby myślał, że jest tak silny, jak mu się wydawało. Drzwi automatycznie się zamknęły, gdy tylko się obrócił i zniknął w deszczu.

Z ciszy, która mnie przywitała, wywnioskowałam, że dziewczyny jeszcze nie wróciły. Niedawno przeniesiono je z pracy w Fabryce do Ogrodu i przypuszczalnie jeszcze brodziły w błocie albo czekały przy ogrodzeniu na komendę do odejścia.

Barak, mój Barak, był tak mały, że mogłam w całości omieść go wzrokiem, wykonując jeden obrót. Gdziekolwiek spojrzeć, wszystko było tu brązowe, oprócz żółtych narzut na piętrowych łóżkach. Odór pleśni mieszał się z naturalnym zapachem ludzkiego ciała i przesiąkał nawet najdrobniejsze pyłki trocin. Plamy srebrzystego światła przebijały przez pęknięcia w deskach. Wiatr wnikał do wewnątrz, zmuszając mnie do przejścia obok kilku pierwszych łóżek pod ścianę.

Wpatrywałam się w swoją pryczę. Ogarniała mnie znajoma, pozbawiona nadziei rozpacz. Zaciśnęłam wargi, by się nie rozpłakać.

Przez ścianę przesiąkał deszcz i ściekając po niej, moczył materac. Poruszając się, jakbym była pod wodą, podeszłam do łóżka i usiadłam na nim otumaniona. Zabrakło mi tchu w piersiach, kiedy spojrzałam w górę na spód materaca Sam. Palcami przebiegłam po konturach kształtów, które wydrapywałam nocami, kiedy nie mogłam spać.

Zostawiłaś ich tu. Uniosłam dłoń i przycisnęłam ją do piersi, upewniając się, że serce nadal mi bije. *Zostawiłaś ich tu, w tym piekle.*

– Przestań – wyszeptałam. *Przestań.*

Nigdy nie będę w stanie im tego wynagrodzić. Nie mogę się cofnąć w czasie i zmienić podjętej tamtej nocy decyzji o połknięciu pigułek od Cate. Jedyнным wyjściem było iść naprzód.

Wydostanę się stąd i zabiorę ich wszystkich ze sobą.

Drzwi do Baraku gwałtownie się otworzyły. Dziewczyny weszły w ciszy i stanęły rzędem w wąskiej przestrzeni między łózkami.

Po chwili pojawiła się strażniczka SSP i przeliczyła je, a następnie z kpiącym uśmieszkiem obróciła się w moją stronę i dodała mnie do listy. Dziewczyny poruszyły się, dopiero gdy wyszła i zamknęła za sobą drzwi. Nic jednak nie zaskoczyło mnie tak bardzo, jak wyraz nadziei malujący się na twarzy Sam, kiedy się obróciła.

Miodowe włosy miała spięte w niedbały kucyk, a na jej policzkach widniały czarne smugi brudu. Wyglądała na zmęczoną, może nawet wycieńczoną, ale jej postawa z rękami na biodrach i głową przekrzywioną w oczekiwaniu była taka jak kiedyś. Cała Sam.

– Boże – wymamrotała Ellie, jedna ze starszych dziewczynek.

Razem z Ashley zawsze robiły, co mogły, by opiekować się młodszymi. Ledwie ją rozpoznałam bez jej najlepszej przyjaciółki u boku. Na chwilę wszystko stanęło w miejscu, a potem Ellie ruszyła ku mnie, wspinając się na rozdzielające nas łóżka. Byłam jej wdzięczna, bo sama nie mogłabym się poruszyć, nawet gdybym chciała. Jak to możliwe, że choć rozpierało mnie szczęście, i tak bałam się ich osądu?

– Boże – powtarzała w kółko, przykucając przede mną. Jej zielona koszulka była

mokra od deszczu. Objęła moją twarz zmarzniętymi dłońmi i kiedy dotarło do niej, że nie jestem zjawą, delikatny dotyk przerodził się w żarliwy uścisk. – Ruby?

– Wróciłam – wydusiłam z siebie.

Pozostałe dziewczynki tłoczyły się pomiędzy łózkami, a kilka, w tym Sam, przeszło ku mnie na czworakach po materacach. Vanessa, Macey, Rachel. Wszystkie wyciągały ręce w moją stronę i dotykały mojej twarzy i bezwładnie leżących mi na kolanach dłoni. Bez złości. Bez pretensji. Bez lęku.

Nie płacz, powiedziałam do siebie w myślach, uśmiechając się, pomimo że pod powiekami piekły mnie oczy.

– Powiedzieli, że umarłaś – odezwała się Ellie, która ciągle przede mną klęczała. – Na OMNI. Co się stało? Tamtej nocy zabrali cię i już nie wróciłaś...

– Uciekłam – wyjaśniłam. – Jedna z pielęgniarek wszystko zaplanowała. Były tam też inne dzieciaki takie jak my. Ukryliśmy się. – Ta półprawda musiała im na razie wystarczyć.

Nigdy nie spytałam Cate, czy kamery oprócz obrazu rejestrowały także dźwięk, ale już sam widok dziewczyn zgromadzonych dookoła mnie był wystarczająco podejrzany. Nie powinnyśmy się dotykać.

– Ale znaleźli cię? – zapytała Vanessa, której ciemne oczy nadal wypełniało niedowierzanie. – Wiesz, czy zabrali także Ashley? Masz o niej jakieś wieści?

– Co się stało? – zapytałam, usiłując wyglądać na opanowaną.

– Przydzielili ją do pracy w Kuchni jakieś dwa miesiące temu – wyjaśniła Ellie.

Nie kryło się w tym nic nadzwyczajnego: jeśli trzeba było wykonać jakieś drobne czynności albo pomóc w Kuchni czy Pralni, przydzielano tam kogoś ze starszych Zielonych, ponieważ uważano ich za godnych zaufania.

– Tamtej nocy nie pozwolili nam zjeść w Mesie. A ona po prostu nie wróciła. Wiesz, czy może ktoś ją stąd zabrał?

Wszystkie wpatrywały się we mnie z nieznośną nadzieją w oczach. Jak przyjmą prawdę? Nie miałam pojęcia, czy przemawia przeze mnie życzliwość, czy tchórzostwo, ale odparłam:

– Nie wiem.

– Jak było na zewnątrz? – zapytała jedna z nich.

Podniosłam wzrok, a z moich ust wyrwał się słaby śmiech.

– Dziwnie i tak... głośno. Przerazająco, brutalnie. Ale ta przestrzeń, olbrzymia przestrzeń i piękno... – Przyglądałam się ich wygłodniałym twarzom, które desperacko pragnęły tego, co znajdowało się po drugiej stronie ogrodzenia. – Wszystko już prawie gotowe...

– Na co? – zapytała Ellie.

– Na nas.

Po zjedzeniu chleba i pozbawionej smaku zupy, którą podano nam w Mesie na kolację, wróciłyśmy do Baraku. Jeden z Czerwonych podążał za nami niczym cień, kołyszając rękami. Ogolili mu głowę, zostawiając pod czapką jedynie krótkiego jeża. Miał ziemistą cerę, puste oczy i ani śladu emocji na twarzy. W trakcie posiłku musiałam odwrócić od niego wzrok, by opanować drżenie serca. Zauważyłam, że Sam też go obserwuje. W pewnej chwili stanął za nią. Najpierw upuściła łyżkę i przestała udawać, że je, później jednak utkwiała spojrzenie w jego plecach, jakby chciała pożreć go wzrokiem. Dało mi to do myślenia...

Aż do tej chwili udawało mi się nie zastanawiać nad tym, co się dzieje z innymi. Nie miałam pojęcia, co robią, czy są bezpieczni ani czy naprawdę się pojawiają. Nie mogłam pozwolić, aby wątpliwości odciągały mnie od zadania, które miałam wykonać. Na samą myśl o tym, że Liam zupełnie sam próbuje odszukać rodziców i przekazać im, co się wydarzyło...

Kiedy szłyśmy do Baraku, sięgnęłam do przyjemnych wspomnień. Przywołałam z pamięci śmiech przy obiedzie, blask kominka odbijający się w uśmiechniętej twarzy Zu, obraz Jude'a i Nico skaczących z radości, kiedy jeden z ich samodzielnie wykonanych samochodzików ruszył z miejsca. Przypomniałam sobie Pata i Tommy'ego wielbiących ziemię, po której stąpa Vida, i niespodziewane spotkanie z Pulpetem w Karolinie Północnej po wielomiesięcznej rozłące. Zobaczyłam łagodnie uśmiechającego się Cole'a wyciągającego dłoń, by pogłodzić mnie po włosach. I Liama za kierownicą, śpiewającego nam do wtóru. Liama całującego mnie w ciemności.

Wydostanę się stąd.

Będę żyła.

Sam patrzyła na mnie z ukosa i nagle zacisnęła wargi, robiąc smutną minę. Od jej spierzchniętych ust do nosa ciągle biegła lekko różowa zakrzywiona blizna. Ale szrama zdążyła zblednąć, tak jak reszta Sam. Kiedy spojrzałam jej w oczy, odwróciła wzrok.

Ciągle ją jednak dobrze znałam. Nie widziałyśmy się od roku, a odkąd wymazałam jej wszystkie wspomnienia związane ze mną, minęły już trzy lata. Nadal potrafiłam jednak czytać z jej twarzy, jakby była moją ulubioną wysłużoną książką. Z biegiem czasu nabierała odwagi i moja obecność coraz mniej ją niepokoiła. Widziałam w jej jasnych oczach, że intensywnie myśli. Obserwowała mnie od chwili, kiedy o piątej rano zawył alarm, a także w Mesie, gdzie na zjedzenie owsianki mieliśmy całe dziesięć minut, i potem, kiedy w wilgotnym, zimnym powietrzu szła obok mnie do pracy.

Kiedy poprzedniego wieczoru szłyśmy na posiłek i z powrotem, zauważyłam, że lekko kuleje, ale dzisiaj rano jej noga była znacznie bardziej zesztywniała, a nienaturalny ruch jeszcze bardziej zaznaczony.

– Co się stało? – szepnęłam, obserwując, jak przytrzymuje się krawędzi łóżka.

Kiedy ześlizgnęła się na podłogę, wykrzywiła się jej kostka. Mnie nie dano pościeli, więc pochyliłam się, by pomóc jej zaścielić materac i przy okazji wy badać, w czym tkwi problem.

Z typowym dla siebie okrucieństwem żołnierze dali mi zestawy letnich uniformów: krótkie spodenki i podkoszulki. Pozostali nosili jednak zimowe stroje, na które składały się bluzy z długimi rękawami i spodnie. Luźny materiał zakrywał kontuzję Sam.

– Wąż ją ukąsił – odpowiedziała Vanessa, kiedy Sam mnie wyminęła, aby stanąć do zbiórki. – Nie pytaj. Nie chce o tym mówić.

Ogród znajdował się na odległym krańcu obozu naprzeciwko bramy wjazdowej. Jeśli podeszło się wystarczająco blisko ogrodzenia pod napięciem, słyszało się jego buczenie. Kiedy byłam młodsza, wyobrażałam sobie, że ten dźwięk wydają z siebie

rodziny robaków żyjących na pobliskich drzewach. Nie wiem dlaczego, ale dzięki temu było mi łatwiej go znieść.

Eskortował nas ten sam Czerwony co wczoraj: ogolona głowa, ciemne oczy w kształcie migdałów. Obok mnie, zaciskając dłonie w pięści, kuśtykała skulona Sam.

Pozbawili ich życia, pomyślałam, kiedy przeszłam przez niski biały płot i wzięłam do ręki małą plastikową łopatę, którą mi podano. Niewiele wiedziałam na temat procesu, jak nazywał to Clancy, przeprogramowania czy przekształcania Czerwonych. Mason zupełnie się rozpadł po tym, co zrobili z jego umysłem. Może popełnili jakiś błąd, a może nie był dość silny, by poradzić sobie z tym, czym go potraktowali.

Ilu Czerwonych włączono w projekt Jamboree? Czy to możliwe, aby... Nie. Przestań się nad tym zastanawiać – rozkazałam sobie. – *Pomyśl o czymś innym.*

Żołnierz SSP rozdawał robocze okrycia, które mogliśmy nosić, będąc w Ogrodzie. Popatrzył jednak na numer na mojej piersi i pominął mnie. Dawniej przyjąłabym to z pokorą, bicząc się myślami o okrutnym uśmiechu, którym żołnierz mnie obdarzył zamiast dać mi kurtkę. Teraz jednak nie musiałam się na to godzić. Jego umysł był przezroczysty jak szkło, więc wystarczyło, że przeszyłam go niczym promień światła. Przerwałam kontakt, gdy wręczył mi okrycie.

Ruszyłam za innymi gęsiego ścieżką w stronę hałd ziemi, którą przerzucono wczoraj, i uklęknęłam. Gleba ustępowała pod najlżejszym dotykiem i wchodziła pod paznokcie, kiedy łopatką wyciągałam z niej ziemniaki. Stałam brud.

Kolor oparzonej skóry.

Przyłożyłam wierzch dłoni do ust i odruchowo spojrzałam w górę na stojących przy wejściu trzech chłopaków w czerwonych kamizelkach. Ze spokojem obserwowali, jak dzieci ze wszystkich Baraków pokornie wypełniają swoje zadania.

Czy to ci sami Czerwoni?

Zacisnęłam palce na łopatkę. Spojrzałam w prawo. Sam grzebała w ziemi, udając, że pracuje. Tak jak kiedyś byliśmy ustawieni według kolejności alfabetycznej.

– Jak długo tu są? Czerwoni – zapytałam cicho.

Z początku myślałam, że mnie nie usłyszała. Wykopałam kolejny ziemniak i wrzuciłam go do plastikowego pojemnika, który leżał między nami.

– Chyba jakieś trzy miesiące. – Odpowiedź była tak samo cicha. – Nie jestem pewna.

Westchnęłam i skuliłam się nieco. To nie byli Czerwoni z Sawtooth. Oznaczało to jednak, że istniało więcej takich obozów i więcej szkoleń.

– Poznajesz któregoś z nich? – wyszeptała, pochylając się i udając, że mi pomaga. – Kilku z nich kiedyś było tu z nami.

Nie mogłam zaryzykować kolejnego spojrzenia w ich stronę, aby to sprawdzić, ale i tak wątpiłam, że udałoby mi się kogoś rozpoznać. Czerwoni z Thurmond żyli w mojej pamięci z zacienionymi twarzami. Przynajmniej ci niebezpieczni. Z całą pewnością nie rozpoznawałam tego, którego Sam ciągle szukała. Na jego widok niezmiennie się wzdygała i odwracała głowę, ale jej wzrok mimowolnie do niego powracał.

– Znasz go? – zapytałam szeptem.

Wahała się tak długo, że już myślałam, że nie odpowie. W końcu jednak kiwnęła głową.

– Sprzed? Zanim...?

Sam wstrzymała oddech, a potem ponownie skinęła głową.

Ogarnęło mnie współczucie i nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie byłam w stanie wyobrazić sobie, jak się czuje.

Za naszymi plecami, fałszywie pogwizdując, przeszedł żołnierz, który robił obchód pomiędzy grządkami. Ogród był olbrzymi, długi na przynajmniej dwa kilometry, więc wymagał szczególnego nadzoru. Przenośne urządzenie do generowania Białego Szumu wiszące u jego paska na narzędzia kołysało się i grzechotało w rytm jego kroków.

Zaryzykowałam spojrzenie w górę i uświadomiłam sobie, dlaczego na sam jego widok dostałam gęsiej skórki. Był to ten sam żołnierz SSP, który nadzorował pracę w Fabryce. Ten sam, który miał w zwyczaju lepić się do dziewczyn, dokuczać im, by je zdenerwować, a potem karać za najmniejszą reakcję. Wtedy nie rozumiałam, co robi. Tak jak Sam i inne dziewczyny nieruchomiałam i znosiłam to w milczeniu. Teraz jednak doskonale wiedziałam, o co mu chodzi, i wpadłam w furję. Kiedy przechodził

obok, Sam cała się spięła. Zastanawiałam się, czy tak jak ja wyczuła jego zapach – słonawą, ostrą woń octu zmieszaną z dymem papierosowym i płynem po goleniu.

Odprężyłam się dopiero wtedy, kiedy był kilkanaście metrów od nas.

– Ruby – szepnęła Sam, ściągając na siebie karcące spojrzenia dziewczyn pracujących w rzędzie przed nami. – Coś się stało po tym, jak odeszłaś... Zrozumiałam, że coś było nie tak. Ze mną. Z moją głową.

Wpatrywałam się w dołek w ziemi.

– Wszystko z tobą w porządku.

– Tęskniłam za tobą – wyznała. – Bardzo, chociaż ledwie cię znam... Doznaję dziwnych odczuć, przychodzą do mnie obrazy. Jak sny.

Pokręciłam głową, usiłując zapanować nad przyspieszonym biciem serca. *Ani mi się waży. Nie możesz. Jeśli ktoś nabierze podejrzeń... Jeśli ona się wygada...*

– Jesteś inna – dodała Sam. – Prawda? Zawsze byłaś...

Ktoś szarpnął Sam i odciągnął ją ode mnie. Obróciłam się do tyłu. Żołnierz, który minął nas wcześniej, wrócił i teraz wplatał palce w długi kucyk Sam.

– Znasz zasady – warknął. – Pracujemy w ciszy albo nie pracujemy w ogóle.

Po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, co ten rok z nią zrobił. Dawna Sam, która niezliczoną ilość razy stawiała w mojej obronie, odpyskowałaby mu albo próbowała się wyrwać z jego uścisku. Okazałaby jakikolwiek sprzeciw.

Teraz jednak odruchowo uniosła ubrudzone ręce, aby się osłonić, a kiedy cisnął ją w błoto, opadła w nie bezwładnie. Przepełniła mnie wściekłość. Myśl, że niedługo zabiję tego człowieka, nie wystarczyła. Chciałam go upokorzyć.

Podesłałam mu pojedynczy obraz, prostą potrzebę.

Z przodu jego czarnych spodni pojawiła się ciemna plama, która następnie zaczęła się powiększać, obejmując nogawkę. Odskokczyłam, udając wyolbrzymione obrzydzenie i zwracając uwagę innego żołnierza, który stał przy grzędce obok. Mężczyzna doszedł do siebie ze wzdrygnięciem, a kiedy spojrzał w dół, powoli zaczęło go ogarniać przerażenie.

– Jasna cholera.

– Tildon! – zawołał żołnierz, który nas obserwował. – Podaj swój status!

– Cholera. – Żołnierz usiłował się zasłonić, czerwieniejąc na twarzy. Był wyraźnie rozdarty pomiędzy udawaniem, że nic się nie stało, a odruchem, by się oddalić i doprowadzić do porządku.

Dzieci ukradkiem patrzyły na niego i na siebie nawzajem. Najwidoczniej wyczuł ich spojrzenia, bo stanął prosto na chwiejnych nogach. Panowałam nad nim jeszcze na tyle, że kiedy odstawiłam prawą nogę do boku, w odpowiedzi wykonał identyczny ruch i padł na kolana tuż przed bramą. Sprawiałam, by pomyślał, że się o kogoś potknął. Był to ostatni obraz, który wtłoczyłam mu do głowy, a potem delikatnie wycofałam się z jego umysłu, nie patrząc już, jak pospiesznie maszeruje w kierunku Wieży Kontrolnej.

Przesadziłam, skarciłam samą siebie. Następnym razem będę musiała wymyślić coś subtelniejszego. Nie miałam jednak zamiaru żałować swojego czynu. Niepewnie podniosłam się z klęczek, aby pomóc Sam wstać, i poprowadziłam ją z powrotem na nasze miejsca. Trzęsła się, patrząc na mnie, jak gdyby wiedziała, co tak naprawdę się stało.

– Napraw to – szepnęła. – Cokolwiek mi zrobiłaś. Proszę. Muszę wiedzieć.

Nie byłam w stanie na nią spojrzeć, bo wiedziałam, co malowało się na jej twarzy. Przecież tak samo było z Liamem. Wszystkie uczucia, ale żadnych wspomnień – z tym ją zostawiłam. Nie dziwię się, że po tym, jak wymazałam jej pamięć, była dezorientowana i wrogo nastawiona. Musiało ją to przytłaczać. Jeśli czuła się ze mną związana choć w niewielkim stopniu tak jak ja z nią, to każdego dnia musiało ją rozdzierać dziwne, niepokojące uczucie.

Moje błagalne spojrzenie napotkało jej zrozpaczony wzrok i jak zawsze zrozumiała. Znów była dawną Sam. Zmarszczyła brwi i ściągnęła usta. To był nasz tajny język, którego nauczyliśmy się przez lata.

Żołnierz, który patrzył w naszym kierunku, osłonił dłonią oczy, próbując dojrzeć coraz bardziej oddalającą się postać Tildona. Następnie przeszedł ponad kopczykami ziemi do naszego rzędu. Napięłam się w oczekiwaniu, aż jego cień padnie na mnie. *Tylko spróbuj zrobić coś któremukolwiek z dzieci, a zobaczysz, co cię spotka.*

Mężczyzna przeszedł jednak dalej i zajął miejsce warty Tildona. Wstrzymałam oddech i wsunęłam dłoń pod sypkie grudki ziemi, by złapać Sam za rękę.

Pracowałyśmy cały ranek aż do popołudnia, z jedną małą przerwą na zjedzenie jabłek i kanapek, które rozdano na lunch. Brudnymi rękami łapczywie wkładałam sobie do ust jedzenie, wpatrzona w zmieniające się kolory na niebie.

Tej nocy, kiedy leżałam w łóżku, delikatnie jak łagodna bryza wślizgnęłam się w umysł śpiącej nade mną Sam.

Myślałam o dniu, kiedy stanęłam za nią w Infirmarii, przypominając sobie, jak metka jej płaszcza wywinęła się do góry. Wróciłam do chwili, gdy przez pomyłkę wymazałam jej wszystkie wspomnienia związane ze mną. Samo odtwarzanie tego wydarzenia wywoływało nieznośne uczucie ciężkości w klatce piersiowej.

Teraz obrazy znajdowały się także w jej umyśle i doskonale pasowały do moich. Porwały mnie i wiodły przez białe, zmieniające się wizje. Wspomnienia były zbyt jasne i zbyt ulotne, by je uchwycić. Kiedy to zobaczyłam, nie miałam wątpliwości, że znalazłam, czego szukałam: czarny węzeł schowany głęboko pod pozostałymi. Sięgnęłam do niego i tak długo nad nim pracowałam, aż się rozwiązał. Jeśli każde wspomnienie, które się z niego uniosło, zamieniłoby się w gwiazdę, to znalazłabym się w samym centrum galaktyki otoczona rozległymi konstelacjami zapomnianych radości i cichego śmiechu. Ujrzałam długie, niekończące się dni wypełnione brązem, szarością i czernią, które spędziłyśmy tylko ze sobą i których mogłam się uchwycić.

Sądziłam, że Sam śpi, bo jej umysł był zupełnie spokojny i niewzruszony pod moim dotykiem. Z góry jednak opadła ku mnie chuda ręka. Znajomy gest wzruszył mnie tak mocno, że musiałam zacisnąć wargi, aby powstrzymać niebezpiecznie napływające do oczu łzy. Sięgnęłam, by spotkać się z nią w połowie drogi, i splotłam palce z jej palcami w geście, w którym tkwiły sekret i obietnica.

W ciągu następnych dwóch dni mój plan stopniowo się krystalizował. Pospiesznie sklejałam go w całość w trakcie pracy w Ogrodzie, ignorując odciski na dłoniach, oraz wieczorem, tuż przed tym, jak wycieńczona zapadałam w sen. Świadomość, że niedługo będzie po wszystkim, że od zakończenia dzielą nas jedynie godziny, sprawiła, iż zupełnie zapomniałam o możliwych konsekwencjach. Czasu było równocześnie zbyt dużo i zbyt mało. Nie mogłam się pozbyć obawy, że moi przyjaciele nie dotrzymają terminu, który ustaliliśmy razem z Nico i Cole'em, kiedy tworzyliśmy pierwotny plan. Mieli się zjawić 1 marca, ale co, jeśli dotarcie na czas okaże się niemożliwe?

Co, jeśli nie pojawią się w ogóle?

Odgoniłam tę myśl, zanim zakorzeniła się w moim sercu.

O osiemnastej tego wieczoru leżałam u siebie z rękami na brzuchu. Kiedy Sam przewróciła się na bok, jej materac ugiął się, deformując kształty, które wyskrobałam na spodzie jej łóżka. Sięgnęłam w górę i połamany paznokciem dotknęłam małego kawałka postrzępionej plastikowej obudowy. Lekko szarpnęłam za zwisający wąski pasek i ostrożnie ciągnąc, formowałam go, aż osiągnął kształt równego kółka.

– Więc po tym, jak złodzieje zdecydowali się ją zabrać, dziewczynie udało się ukraść im jeden z noży i przeciąć linę krępującą jej ręce. – Rachel opowiadała nam historię, wypełniając godzinny czas oczekiwania na kolację. Snuła opowieść o kolejnej bezimiennej dziewczynie, która znalazła się w sytuacji zagrożenia.

Zamknęłam oczy i uśmiechnęłam się lekko. Opowieści nie zmieniły się na lepsze ani nie zyskały na oryginalności. Wszystkie miały tę samą fabułę: dziewczyna zostaje skrzywdzona, dziewczyna walczy, dziewczyna ucieka. Główna fantazja w Thurmond.

Fizyczne wyczerpanie pozbawiło mnie sił. Na Ranczu sporo trenowałam, ale godziny nieprzerwanej pracy przy skąpej ilości wody i jedzenia wysysały z nas całą energię, byśmy nie mogli zorganizować ucieczki albo buntu. Ze zmęczenia drżały mi

wszystkie mięśnie, czułam jednak w sobie dziwny spokój, chociaż wiedziałam, co się stanie, jeśli wykonam choćby jeden fałszywy ruch albo jeśli odkryją, kim jestem, zanim osiągnę cel.

Muszę się stąd wydostać.

– Ruby! – zawołała Ellie z łóżka pośrodku pomieszczenia. – Twoja kolej!

Wsparałam się na łokciach i przerzuciłam nogi przez ramę ciasnej pryczy. Zastanawiałam się, jak zakończyć opowieść.

– Dziewczyna...

Kiedy byłam młodsza, po dodaniu kilku zdań przekazywałam pałeczkę Sam, ale teraz chciałam wykorzystać okazję, by im coś wyjaśnić. Nie wiedziałam, czy zrozumieją. Miałam jednak nadzieję, że niektórzy z nich odczytają ostrzeżenie, kiedy nadejdzie właściwy czas.

– Dziewczyna odciąła linę, uwolniła się i zrzuciła bandytę z konia. Złapała za cugle i zawróciła wierzchowca na drodze, kierując się w stronę, skąd przyjechali, z powrotem do zamku.

Usłyszałam pomruki. Vanessa prawie przez kwadrans opisywała rozszalałą pod murami zamku bitwę, która miała odwrócić uwagę od bandytów porywających dziewczynę.

– Skorzystała z tego, że było ciemno – wyjaśniłam. – Zostawiła konia w pobliskim lesie i podczołgała się w kierunku tajnego przejścia ukrytego w odległym kamiennym murze. Bitwa ustała, kiedy rycerze w czerni przejęli zamek. Białych rycerzy przepędzono, więc rodziny uwięzione na zamku zostały pozostawione same sobie. Nikt jednak nie zwrócił uwagi na małą skromną dziewczynkę, która weszła tylnym wejściem. Niosąc koszyk z jedzeniem do kuchni, wyglądała jak bezbronna służąca. Spędziła na zamku wiele dni, bacznie wszystko obserwując i czekając na właściwy moment. Kiedy w końcu nadszedł, dziewczyna wymknęła się na zewnątrz i pod osłoną nocy otworzyła bramę licznym zastępom białych rycerzy.

– Po co wracała? Czemu po prostu nie uciekła i się nie ukryła? – dopytywała nieśmiało Sam.

Odetchnęłam z ulgą, bo wiedziałam, że mnie rozumie.

– Ponieważ nie mogła porzucić swojej rodziny – wyjaśniłam.

Dziewczyny cicho kręciły się na łózkach, rzucając sobie spojrzenia, jak gdyby zastanawiały się nad tym samym. Żadna nie zapytała, co dalej. Nie wiem, ile z nich odważyło się obudzić w sobie choćby najśłabszą nadzieję. Kilka minut później elektroniczny zamek w drzwiach Baraku odskoczył i do środka weszła kobieta w mundurze.

– W szeregu zbiórka! – wrzasnęła.

Szybko stanęłyśmy w porządku alfabetycznym i wbiłyśmy wzrok prosto przed siebie. Kiedy nas odliczyła, gestem nakazała wyjść dziewczynom z przodu.

Nie mogłam się powstrzymać i krok przed dotarciem do drzwi spojrzałam za siebie. Bez względu na to, co miało się wydarzyć, mógł to być ostatni raz, kiedy widzę Barak dwadzieścia siedem.

Kiedy przekroczyłyśmy próg Mesy, okazało się, że muszę jeszcze raz przemyśleć zasadniczy element planu. Pod przeciwległą ścianą po lewej stronie od okna, pod którym ustawiano nas w rzędzie po odbiór jedzenia, mieścił się duży biały ekran. Przed nim zaś obłany niebieskim światłem projektora stał z założonymi rękami O’Ryan. Gdy pilnująca nas kobieta pchnęła Sam w stronę stołu, przyjaciółka rzuciła mi nerwowe spojrzenie.

Ostatni raz użyli tego ekranu w pierwszym tygodniu naszego pobytu w obozie. Nadzorcy wyświetlili na nim listę zasad panujących w Thurmond. „Zakaz rozmawiania w czasie pracy. Zakaz rozmawiania po zgaszeniu świateł. Zakaz odzywiania się do żołnierzy SSP bez pozwolenia”. I tak dalej.

Zamiast ustawić nas w kolejce po jedzenie, żołnierze kazali nam usiąść i pozostać na miejscach. W pomieszczeniu panowała niepokojąca atmosfera, ale nie byłam w stanie nic wyczytać w umysłach żołnierzy ani nadzorców.

– Ostatnio zaszły pewne pozytywne zmiany w waszej sytuacji – rozbrzmiał donośny głos O’Ryana. – Uważajcie, bo zobaczycie to tylko raz.

Przenosiny, pomyślałam. W końcu powiedzą o zamknięciu obozu.

Kiedy O’Ryan odsunął się na bok, przyciemniono światła. Projektor był podłączony do komputera, dlatego zanim okno z filmem się powiększyło i kliknięto

„odtwórz”, przez krótką chwilę widzieliśmy ekran pulpitu.

Film nie dotyczył przeprowadzki.

Siedząca obok mnie Sam aż podskoczyła i złapała mnie za rękę. Patrzyłam na ekran z przerażeniem i niedowierzaniem.

Od ośmiu lat nie widziałam tej scenerii: prezydent Gray stał na podium z godłem Białego Domu za plecami. Uśmiechał się tak szeroko, że w policzkach robiły mu się dołki. Gestem przywoływał kogoś, kto stał poza kadrem, na co w pomieszczeniu pełnym reporterów i operatorów zrobił się szmer. Niespodziewanie obok Graya stanęła jasnowłosa kobieta ubrana w nieskazitelną garsonkę. Doktor Lillian Gray.

Nigdy nie miałem w zwyczaju robić długich wstępów, prawda? – Prezydent się roześmiał, podczas gdy pierwsza dama zniknęła w błyskach rozszalałych fleszy. Odgłosy gorączkowo wciskanych spustów aparatów mogłyby zawstydzić niejednego pistolet. – Dobrze być z powrotem w domu, w Waszyngtonie. Z radością stoję tu przed państwem z moją wspaniałą żoną u boku. Jak państwo widzicie, na przekór wszelkim plotkom jest cała i zdrowa.

Odpowiedział mu nerwowy śmiech.

Jej obecność tutaj oznacza, że w końcu mogę państwu powiedzieć, iż nasze modlitwy zostały wysłuchane! Dysponujemy już bezpieczną metodą leczenia, która na zawsze zwalczy u amerykańskich dzieci zaburzenia psioniczne, powiedział.

Więcej pomruków i fleszy. Otaczające mnie dzieci były tak wytresowane, że zareagowały jedynie przerażonym westchnieniem albo ukradkowym spojrzeniem rzuconym kolegom. Większość z nich po prostu siedziała i patrzyła z niedowierzaniem.

Przez lata Lillian trzymała się z dala od życia publicznego, ponieważ prowadziła badania właśnie w tym zakresie. Były one tajne, aby nie narażać się na ingerencję ze strony grup terrorystycznych takich jak Liga Dzieci czy innych rodzimych wrogów. Nadal szukamy przyczyny tego strasznego schorzenia, ale zapewniam państwa, że wszystkie dzieci zostaną poddane ratującemu życie leczeniu. Dokładne informacje o zabiegu są właśnie państwu rozdawane.

Kilku dziennikarzy, wykrzykując imię Lillian, próbowało zadać jej jakieś pytanie. Wyraźnie chcieli ją zwabić do mikrofonu. Doktor Gray jednak wpatrywała się w dywan. Ten, kto ją tak wystroił, równocześnie musiał wyssać z niej życie.

Jak zobaczę państwo na materiałach filmowych oraz w raportach, które do nich dołączyliśmy, nasz syn Clancy został poddany operacji jako pierwszy.

Zakręciło mi się w głowie. Po tych słowach obok prezydenckiej pary pojawił się chłopak w ciemnym garniturze. Miał ogolone włosy i czapkę z daszkiem z naszytym herbem prezydenckim. Stał ze spuszczoną głową, chowając twarz przed kamerami, dopóki prezydent czegoś do niego nie powiedział, odchyliwszy się od mikrofonu. Kuląc ramiona, Clancy uniósł głowę. Skojarzył mi się z koniem, który leży na ziemi ze złamaną nogą. Wiedział, że już nigdy na niej nie stanie i że już nigdy nie zagalopuje.

Biorąc pod uwagę te wszystkie okropieństwa, których się dopuścił, i to, że chciałam mu wyrządzić krzywdę, nie spodziewałam się, że się tak pocuję. Wstrząsały mną narastające emocje. Były zbyt silne i zbyt liczne, abym mogła odróżnić jedną od drugiej. Zrobiło mi się niedobrze.

Clancy drżał. Wydawał się mniejszy. Tymczasem jego rodzice z przyklejonymi do twarzy uśmiechami dawali dziennikarzom to, co należało: portret rodzinny. Matka i ojciec zgotowali Clancy'emu piekło, którego najbardziej się obawiał.

Zapewne pamiętacie państwo, że kilka lat temu Clancy opuścił obóz rehabilitacyjny. Niestety, jak to bywa przy różnych schorzeniach, pojawiły się nawroty. Między innymi właśnie dlatego obawialiśmy się wypuścić dzieci z obozów. Musieliśmy znaleźć rozwiązanie dające trwalsze rezultaty i ufam, że właśnie się nam to udało. Niedługo pojawią się bardziej szczegółowe informacje co do terminu rozpoczęcia wprowadzania leczenia oraz przypuszczalna data zakończenia programu rehabilitacyjnego w obozach. Zdaję sobie sprawę z tego, jak wiele państwo poświęciliście i ile przeszliście przez te długie lata, ale proszę was o jeszcze trochę cierpliwości oraz zrozumienie. Proszę o wiarę w przyszłość, do której zmierzamy. Przyszłość, w której odrodzi się dobrobyt i nasz dawny styl życia. Dziękuję i niech Bóg błogosławi Amerykę.

Prezydent Gray objął żonę ramieniem, przyjacielsko machając do kamer, i pomógł jej zejść z podium, zanim spadła na niego lawina pytań. Następnie wyprowadził Lillian z pokoju, nie dając jej wypowiedzieć ani słowa.

Transmisja się zakończyła, a na ekranie została zatrzymana ostatnia scena. Ja też poczułam, że nieruchomieję.

Nie – pomyślałam. – Pamiętaj, po co tu przyszłaś. Teraz. Zrób to teraz.

Zniecierpliwiona strażniczka dała nam sygnał do uformowania kolejki i odbioru posiłków. Nieoczekiwany seans filmowy zburzył mój pierwotny plan, ale dość łatwo było pozbierać jego fragmenty i ponownie poukładać w odpowiedniej kolejności. Przesuwałyśmy się naprzód w kierunku kuchni, kiedy nagle poczułam na sobie spojrzenie strażniczki.

Popchnęłam Sam tak mocno, że się przewróciła, po czym na dokładkę zaczęłam krzyczeć:

– Zamknij się! Po prostu się zamknij!

Wokół zaległa kompletna cisza. Mój głos przebił się przez nią i z impetem uderzył w zdezorientowaną Sam.

Podejmij grę. Rzuciłam jej błagalne spojrzenie. *Proszę.*

W odpowiedzi dostałam dyskretne kiwnięcie głową. Zrozumiała. Uniosłam ręce, jakbym chciała ją uderzyć. Odepchnęłam Vanesę, która próbowała złapać mnie za nadgarstki, by mnie powstrzymać. Najtrudniej było mi zignorować strażniczkę, która pokonała dzielącą nas odległość kilkoma nerwowymi krokami. Podejrzewałam, że to powinno wystarczyć, by mnie ukarano.

Dziewczęta, które stały obok, trzymały spuszczone głowy, ale ich strach i zaniepokojenie zatruwały powietrze. Kobieta chwyciła mnie za kołnierz i odciągnęła. O’Ryan i pozostali nadzorcy obozu zajęci odłączaniem projektora i składaniem ekranu nawet nie spojrzeli w stronę zamieszania.

Nie musiałam sugerować strażniczce, aby zaciągnęła mnie do kuchni. Niebiescy szorujący tu garnki i patelnie podskoczyli, a kilkoro z tych, którzy segregowali składniki na jutrzejsze posiłki, rzuciło nam badawcze spojrzenia. Rozejrzałam się po suficie w poszukiwaniu kamer i naliczyłam trzy. Jedna znajdowała się nad oknem do wydawania posiłków, druga obok spiżarni, a trzecia nad długim stołem ze stali nierdzewnej, przy którym kilkoro dzieciaków obierało ziemniaki świeżo zebrane w Ogrodzie.

Tył Mesy wychodził na las. Pomiedzy płotem a budynkiem znajdowały się może trzy metry wolnej przestrzeni. Kamery nigdy nie nagrywały tego, co się tam dzieje, bo skierowano je na drzewa. Był to jeden z martwych punktów, które dość szybko

poznałyśmy i które napawały wszystkich strachem.

Strażniczka pchnęła drzwi ramieniem, dając mi ułamek sekundy na reakcję. Szarpnęłam ją i wykręciłam jej rękę tak, że usłyszałam trzaśnięcie stawu. Kiedy wniknęłam w jej myśli, wydała z siebie jedynie krótkie zdziwione westchnienie.

Rozpięła czarną koszulę i spodnie, a następnie zdarła z siebie buty, pasek oraz ciemną czapkę i rzuciła wszystko na ziemię. Zdjęłam tenisówki, próbując nadażyć za dzikim tempem, które narzuciłam jej umysłowi. Zabrała ode mnie uniform i ze ślepym posłuszeństwem włożyła go na siebie. Zbyt spokojnie. Wprowadziłam w jej pamięć obraz, w którym jako dziecko stała w samym sercu obozu otoczona przez zbliżających się do niej żołnierzy. Zaczęła płakać, więc trochę odpuściłam.

Z mojego buta na zmrożoną trawę wypadł pendrive. Szybko go podniosłam i mocno zacisnęłam w dłoni dla pewności, że naprawdę go mam.

Podmiana zajęła mi nie więcej niż dwie minuty. Może o dwie minuty za długo? Nie byłam pewna. Żołnierze mieli pozwolenie, by zabierać nas w ciemne niemonitorowane kąty i bić przed wymierzeniem oficjalnej kary. Jeżeli nadzorcy obserwujący obóz z Wieży Kontrolnej nie widzieli nic i tym razem, wiedziałam, że na razie jestem bezpieczna.

Poprowadziłam strażniczkę w stronę Ogrodu. Każdy z moich gwałtownych wydechów zamieniał się w parę. Utkwiłam wzrok w cienkich łańcuchach przyczepionych do jednego ze słupów podtrzymujących ogrodzenie.

Chciałabym móc powiedzieć, że mam tak dobre serce, że nie odczuwałam satysfakcji, sadzając kobietę w zimnym błocie i przypinając ją twarzą do ogrodzenia, a plecami do żołnierzy patrolujących teren oraz do kamer umieszczonych na pobliskich Barakach. Byłaby to jednak nieprawda. Widziałam zbyt wiele dzieci pozostawionych tak na wiele godzin w ramach kary za zwykłą odzywkę albo za krzywe spojrzenie. Chciałam, aby chociaż jeden z żołnierzy wiedział, jakie to uczucie. Chciałam, żeby kobieta zrozumiała, co czuła Sam za każdym razem, kiedy ją tu przyprowadzali.

Dopiero gdy wracałam, mijając rozstawionych wzdłuż ścieżki prowadzącej do Wieży Kontrolnej i Mesy Czerwonych, dopadły mnie pierwsze oznaki

zdenierwowania. Nie wiedzieć czemu, kiedy podeszłam bliżej, ceglana wieża wydała mi się dwukrotnie wyższa niż zwykle. Miałam wrażenie, że jej krzywe ściany są pochylone jeszcze mocniej.

To tylko kolejna akcja – uspokajałam się. – Niczym się nie różni od wcześniejszych, w których brałaś udział. Skończysz to i wrócisz do domu.

Żołnierze stojący przed drzwiami Wieży Kontrolnej przeszywali mnie wzrokiem w ciemnościach. Światła reflektorów umieszczonych na platformie obserwacyjnej przecinały się przede mną, omiatając obóz i sięgając w mroczne zakamarki, w które nie docierały inne lampy.

– Houghton? To ty?

Kiwnęłam głową, naciągając czapkę jeszcze bardziej na oczy i przytrzymując strzelbę, którą przewiesiłam sobie przez ramię.

– Co...? – Myśli żołnierza układały się w zielone, białe i czerwone spirale.

Chciałam, by przyłożył identyfikator do czarnego czytnika za swoimi plecami, a następnie zasugerowałam mu, żeby się odsunął. Robił wszystko, co mu kazałam, i nawet przytrzymał dla mnie drzwi, kiedy wchodziłam do środka.

Przekroczyłam próg i znalazłam się w samym sercu obozu. Ciepło z wentylatorów przechodziło przez czarny mundur, który miałam na sobie, i docierało do skóry i kości. Spojrzałam w głąb korytarza na schody prowadzące na platformę dwa piętra wyżej. Nie wiem, czy kiedykolwiek w życiu czułam się tak silna.

Z pomieszczenia po mojej prawej wyszedł jeden z nadzorców obozu z kubkiem kawy w dłoni. Drzwi powoli się za nim zamknęły, ale zdążyłam zobaczyć mieszczące się wewnątrz telewizor, kanapy i krzesła. Czarna zapinana na guziki koszula mężczyzny zmarszczyła się, kiedy podniósł rękę, aby przysłonić usta – ziewał. Spojrzał na mnie, jakby chciał zapytać, czy może mi w czymś pomóc, na wpół zażenowany, na wpół przepraszający – jakby to wszystko było jednym wielkim żartem.

Uśmiechnęłam się, pozwalając mu się wyminąć i ruszyć w kierunku uchylonych drzwi w głąbi korytarza. Po chwili poszłam za nim. Lewa strona dolnej części budynku była olbrzymią stacją monitorującą. Na ścianie wisiały duże i małe ekrany, a każdy z nich pokazywał inny fragment obozu. Na jednym wyświetlał się obraz z

satelitarną prognozą pogody, a na innym szedł kanał informacyjny bez dźwięku.

Komputery stały w trzech rzędach, ale tylko połowa miejsc przy nich była zajęta. Wyglądało na to, że również stąd powoli wynoszono sprzęt i zaczynając od lewej strony, usuwano niepotrzebne stanowiska pracy.

To dlatego potrzebowali Czerwonych, pomyślałam. Bardzo wielu żołnierzy skończyło służbę, a ci, którzy pozostali, oraz nowi rekruci mieli za zadanie przenieść dokumentację i sprzęt odpowiednio wcześniej przed zamknięciem obozu.

Skup się.

Podeszłam do drugiego rzędu komputerów i osunęłam się na fotel. Monitor się obudził i zobaczyłam obraz pulpitu. W uszach szumiała mi krew, ale pewnym ruchem wpięłam pendrive.

Otworzyłam folder i przekopiowałam plik na pulpit. Na początku wydawało mi się, że z podenerwowania źle przeczytałam jego nazwę... JUDE.EXE szybko się jednak skopiował i pokazał na czarnym tle ekranu obok ikony kosza, a pod czarnym trójkątem podpisanym „Bezpieczeństwo”.

Kiedy skończyłam kopiowanie, skasowałam oryginalny plik z pendrive’a, upuściłam urządzenie na podłogę i rozdeptałam obcasem żołnierskiego buta. Zegar w dolnym prawym rogu ekranu pokazywał 19.20.

Otworzyłam odpowiedni program, wpisałam START JUDE.EXE i ikona zniknęła z pulpitu.

Nic więcej się nie stało.

Cholera – pomyślałam, ponownie patrząc na zegarek. – *Coś jest nie tak? Dlaczego...?*

Oberwałam prosto w głowę tak mocno, że prawie spadłam z krzesła. W ostatniej chwili ktoś mnie złapał, szarpnął i rzucił na biurko, przykładając rękę do gardła i celując z pistoletu prosto w twarz.

– Tutaj! – wrzasnął żołnierz. Do pomieszczenia napływało coraz więcej postaci, a ja próbowałam odzyskać ostrość widzenia. – Tutaj!

Mężczyzna ściągnął mnie z blatu i rzucił na podłogę, trzymając lufę pistoletu centymetry od mojej skroni. Na moim miejscu usiadł nadzorca obozu i zaczął stukać w klawiaturę. Podejrzewałam, że ktoś musiał coś zauważyć. Obawiałam się, że ze

mną koniec, ale czułam, że wypełniłam swoje zadanie.

Zaszłam tak daleko.

Przynajmniej tego dokonałam.

Pozostałe osoby pracujące w pomieszczeniu z zaniepokojeniem wstały, ale natychmiast usiadły na miejscach, kiedy O’Ryan rozkazał:

– Wracajcie do pracy. – Nadzorca otworzył okno na pulpicie i wpisał komendę. – Co zrobiłaś? – warknął.

Skupiłam się na jego twarzy, ignorując ciepłą stróżkę spływającą mi z tyłu szyi. Odzyskałam ostrość widzenia i wzruszyłam ramionami, przywołując na usta kpiący uśmieszek.

O’Ryan odepchnął ode mnie żołnierza, nakazując mu stanąć w kręgu mundurowych, którzy mierzyli do mnie z broni. Następnie cisnął mnie na ścianę tak mocno, że aż zaszczękałam zębami.

– Po co tu przyszedłaś? – zapytał.

Starłam krew z kącika ust. Nie odpowiedziałam. Teraz już niczym nie mógł mnie wystraszyć ani sprawić, że poczuje się mała czy bezsilna.

Obrócił się do siedzącej w pobliżu kobiety.

– Podkręć moc paralizatora.

– Grupa C nadal jest w Mesie – odpowiedziała. – Mają najpierw wrócić do Baraków?

– Zwiększ go.

Kobieta odwróciła się w stronę monitora i jak szalona zaczęła pisać na klawiaturze. Skończyła, wciskając „enter” małym palcem.

– Co jest?...

Monitory na ścianie wyłączyły się jeden po drugim, a następnie ekrany wszystkich komputerów zgasiły ze złowieszczym sykiem.

– Uruchom tryb awaryjny – powiedział.

– Nie mam dostępu. – Kobieta próbowała nie poddać się panice.

– Do czego?

– Do niczego.

– Ja też.

– Tu tak samo.

Choć wiedziałam, że nie ma to najmniejszego sensu, wstałam. Nie chciałam przyjąć, że to koniec. Jeszcze nie. Nie byłam na to gotowa. Każdy z otaczających mnie pistoletów był odbezpieczony, ze wszystkich stron okrężały mnie czarne mundury. Dzwoniło mi w uszach, a ziemia pod moimi stopami falowała, ale wyciągnęłam niewidoczne macki swoich myśli i wysłałam je do otaczających mnie umysłów jak strzały zmierzające do celu.

O’Ryan wziął zamach i walnął mnie w twarz.

Nie zdążyłam się osłonić, aby zablokować cios. Nie zdążyłam też opuścić rąk, by się podeprzeć. Upadłam na podłogę, uderzyłam czaszką o posadzkę i ponownie straciłam ostrość widzenia. O’Ryan pochylił się nade mną, odpinając od paska małe urządzenie, i przyłożył mi je do prawego ucha. Splunęłam mu w twarz, a on tylko się roześmiał i włączył Biały Szum.

Świat wokół mnie rozpadł się na kawałki. Jakieś ręce złapały mnie za ramiona i wlekły po podłodze wśród płataniny nóg i krzeseł. Nie widziałam dobrze i nie mogłam oczyścić umysłu z dźwięków, które go zatruwały. Moje mięśnie spazmatycznie się napinały, tak że cała się wyginałam i uderzałam stopami o podłogę. Krzyczałam, że jeszcze nie skończyłam, ale nie słyszałam własnych myśli. Biały Szum porwał mnie i wrzucił w ciemność, aż całkiem mnie pochłonęła.

Ktoś uderzył mnie boleśnie w policzek, wybudzając z nieprzytomności. Gwałtownie otworzyłam oczy, ale natychmiast je zmrużyłam pod wpływem światła. Wszystko wokół było rozmazane. Pękała mi głowa i miałam wrażenie, że jest tak wrażliwa i poobijana jak reszta mojego ciała. Tylko połowicznie zdawałam sobie sprawę z tego, że moje mięśnie nadal drżą i że ciałem ciągle wstrząsają dreszcze. Przemijający ból otumaniał i spowalniał reakcje, ale nie pamiętałam, skąd się wziął, co było jego przyczyną.

Hałas przeszywający mój umysł gwałtownie ucichł. Pomieszczenie, w którym się znajdowałam, bardzo powoli zaczynało nabierać kształtów. Zobaczyłam podłogę wyłożoną płytkami, cztery ciemne ściany i lampę. Obok znajdowały się również dwie postaci ubrane na czarno, które raz po raz wyłaniały się z cienia i znów się w nim chowały, rozmawiając przyciszonymi głosami. Jedna z nich zbliżyła się do mnie i usłyszałam słabe metaliczne stukotanie.

– Mała suka... – prychnął żujący gumę mężczyzna, roztaczając zapach mięty.

Nagle pamięć mi wróciła.

Wieża.

Wyjście.

Biegnij.

Szarpnęłam się, próbując wstać z krzesła, na którym mnie posadzili, ale dłonie i kostki miałam przywiązane do jego metalowej ramy. Wywołane strachem uderzenie adrenaliny rozjaśniło mi myśli tuż przed kolejnym policzkiem wymierzonym mi przez O’Ryana.

– Skoro udało nam się odzyskać twoją uwagę... – warknął, wstając. Przeszył mnie chłód. Spojrzałam w dół i zobaczyłam, że obydwie nogawki mam podwinięte do kolan. Zdjęli mi kurtkę, zabrali nóż, broń i wszystko inne, czego mogłabym użyć do obrony. Buty także, chociaż nie rozumiałam dlaczego, dopóki O’Ryan nie wskazał gestem na pałkę, którą trzymał stojący za nim żołnierz.

Mężczyzna uruchomił przenośne urządzenie do generowania Białego Szumu. Ryczałam jak dzikie zwierzę, kiedy hałas otępił mi umysł. *Mogę... mogę jeszcze...* Nic już nie mogłam zrobić.

– Kto cię przysłał? – zapytał O’Ryan. – W jakim celu tu przysłaś?

– Po to, by ci powiedzieć... – słowa, które z siebie wyrzucałam, nawet w połowie nie były tak nasycone wściekłością jak moje myśli.

Nadzorca obozu, mrużąc oczy, pochylił się w moją stronę.

– ... żebyś się pieprzył.

Biały Szum niczym pocisk przeszył moje skronie głośnym wysokim tonem. Nie mogłam powstrzymać krzyku. Na plecach i piersiach poczułam krople potu. Poddawałam się rytmowi, który przeplatał agonalny ból z chwilami ulgi. Nie byłam w stanie złapać oddechu. Musiałam walczyć z ogarniającą mnie kuszącą pustką. Nie mogłam zasnąć. Nie mogłam stracić kontaktu z rzeczywistością. Zabiliby mnie. Nie mogłabym, nie dałabym rady...

– Kto cię przysłał?

– Pieprz się! – wrzasnęłam mu prosto w twarz.

Widząc, że bierze zamach, przygotowałam się na cios, ale nic mi to nie dało. *N i c* nie byłoby w stanie przygotować mnie na eksplozję zabójczego, niemal agonalnego bólu, który przeszył mnie od uderzenia pałką w nagą skórę. Krzyczałam, szarpiąc pasami. Usłyszałam trzask i miałam wrażenie, że czaszka pęka mi na kawałki. Żołnierz, który stał za nadzorcą obozu, biernie przyglądał się, jak O’Ryan ponownie uderza mnie w złamaną kość, i uśmiechnął się, kiedy zwymiotowałam na podłogę.

Nadzorca wziął kolejny zamach, ale zatrzymał cios tuż przy mojej nodze i szyderczo się uśmiechnął. Machnął ręką w stronę żołnierza, który sięgnął po urządzenie do generowania Białego Szumu.

– Na pewno nie Liga Dzieci – powiedział O’Ryan, przebijając się przez fale dźwięków, które drażniły moje przemęczone nerwy. – To nie mogli być oni. Kto w takim razie?

Słyszałam echo Szumu nawet po wyłączeniu urządzenia. Pod powiekami migotały mi białe plamki.

– Odpowiedz, 3285. – Pochylił się w moją stronę i rzucił mi w twarz roztrzaskany pendrive. – Co tu było? Mów, a przeżyjesz.

Chcę żyć.

O’Ryan złapał mnie za podbródek.

– 3285, powinnaś wiedzieć, że nie mam oporów, aby pozbywać się takich jak ty.

Takich jak ja.

Pomarańczowych. Wzięłam głęboki wdech i oblizałam krew, która skapywała mi z nosa na wargę. Pomarańczowych.

O’Ryan obrócił się w stronę żołnierza i podszedł do niego. Chciałam tylko skoncentrować się na swojej nodze, która pochłaniała całą moją uwagę, ale spojrzałam na młodszego mężczyznę i sięgnęłam...

O’Ryan w jednej ręce trzymał urządzenie do generowania Białego Szumu, a w drugiej pistolet.

– Co wolisz?

Muszę stąd wyjść.

Uniósł broń i przesuwając nią po mojej szyi, przycisnął mi lufę do gardła. Urządzenie do Białego Szumu gniotło mnie w ucho.

– Wielką przyjemność sprawi mi widok papki, która wypłynie ci uszami i rozbryzga się na podłodze. Powiedz mi, po co tu przyszłaś, 3285, a przerwę to. Wszystko się skończy.

Chcę żyć.

Budynkiem targnął wstrząs, który zachwiał nadzorcą, przewrócił stojący w pobliżu stół i zrzucił wiszącą nad nami lampę. Dobiegły mnie odgłosy odległej strzelaniny. Dziwna, słodka symfonia nadziei.

W korytarzu zadudniły kroki. Było słychać, że zmierzają do wyjścia. O’Ryan odsunął się ode mnie i podszedł do ściany z przyciemnianymi szybami. Przyłożył do nich dłonie, by zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz. Uderzył w szybę i znieruchomiał. Ponownie zaczynałam tracić świadomość i robiło mi się ciemno przed oczami. Drzwi, przez które tu weszliśmy, nie miały klamki. Można je było otworzyć tylko z zewnątrz.

Zamknęłam oczy i zacisnęłam pięści, próbując powstrzymać kolejną falę mdłości.

Chcę żyć.

Chcę żyć.

Muszę żyć.

– Ruby – zacharczałam.

O’Ryan powoli obrócił się w moją stronę.

– Co tam, 3285? Jesteś gotowa, aby mówić?

– Mam na imię – wydukałam przez zaciśnięte zęby – Ruby.

Przewróciłam krzesło, na którym siedziałam i kolejne uderzenie bólu przeszło moją nogę. Odgrywałam tę scenę w myślach, a dźwięki rzeczywistości docierały do mnie z półsekundowym opóźnieniem. Żołnierz, który stał w rogu pomieszczenia, uniósł pistolet i wystrzelił z niego trzykrotnie. Pierwsza kula nie trafiła O’Ryana, ale roztrzaskała szyby za jego plecami. Drugi i trzeci pocisk jednak go dosięgły. Dostał w pierś i w głowę.

Zanim osunął się na ziemię, O’Ryan zdążył wystrzelić i trafił żołnierza w gardło.

Podjeżdżam, że straciłam przytomność na kilka sekund albo nawet minut. Wieża Kontrolna złowieszczo milczała i jedyny dźwięk, który słyszałam, odzyskując świadomość, stanowiło powolne, równomierne bicie mojego serca.

Rusz się – rozkazałam sobie. – Rusz się, Ruby, ruszaj.

Powoli, walcząc z niewiarygodnym bólem, przesuwałam się po podłodze w stronę ciała O’Ryana. Chciałam użyć noża, który miał przypięty do paska, by przeciąć zaciski krępujące mi ręce i nogi. Aby do niego dotrzeć, musiałam przeciągnąć krzesło przez kałuże zastygającej krwi. Jak szalona piłowałam nożem pęta za plecami, raniąc siebie przy tym dłonie.

Głośno wciągnęłam powietrze i spojrzałam w dół. Zwymiotowałam na widok wybrzuszonej skóry na goleni, co przypomniało mi o bólu. Podskakując i kulejąc podeszłam do drzwi, ale tak jak zauważyłam wcześniej, nie miały klamki, a zawiasy były po drugiej stronie.

Podniosłam pistolet O’Ryana i stanęłam pod przeciwległą ścianą, wykorzystując ją do podparcia się po odrzucie po strzale. Wycelowałam i z drżącymi rękami patrzyłam, jak szkło rozpryskuje się na kawałki.

Zabezpieczyłam pistolet i zaczęłam rozbijać pozostałe fragmenty szyby, po czym

dźwigając się na rękach, wspięłam się na ramę drzwi i przeszłam na drugą stronę. Opadając na podłogę korytarza, poraniłam sobie ramiona i nogi.

Pistolet wyleciał mi z rąk. Namacałam go pomiędzy odłamkami szkła i kiedy zacisnęłam palce na jego rękojeści, dobiegł mnie odgłos gumy zgrzytającej o posadzkę.

Przekręciłam się na plecy i uniosłam tułów na tyle, by móc wycelować w stronę zbliżającej się do mnie ciemnej postaci. Z trudem udało mi się w końcu odbezpieczyć broń. Dźwięki licznych strzałów padających na zewnątrz przyspieszały mi tętno i pomogły mi się skupić. Zobaczyłam czarny mundur i położyłam palec na spuście. *Wydostanę się stąd... Wydostanę się...*

– Nie strzelaj!

Odcięto zasilanie i budynek pograżył się w ciemności, ale zdążyłam zobaczyć jego twarz, kiedy uniósł hełm. Najpierw pomyślałam, że widzę ducha, i rzeczywistość wydała się jeszcze bardziej nieprawdopodobna.

Liam.

– Nie możesz tak robić! – krzyknęłam z przerażeniem, upuszczając pistolet. – Prawie cię zastrzeliłam!

Miał szczupłą, zapadniętą twarz. Podbiegł bliżej, padł na kolana i ostatnie dzielące nas metry pokonał ślizgiem. Dotykał mnie zachłannie i łapczywie całował w usta, policzki i czoło, gdzie tylko mógł sięgnąć. A ja, przywierając do jego całkowicie przemoczonej koszuli, wdychałam jego zapach i nie mogłam uwierzyć, że mam go obok całego i zdrowego.

Zmienił pozycję, wykrzywiając mi nogę. Nie udało mi się powstrzymać krzyku.

– Cholera, cholera. Przepraszam. Chryste! – Sięgnął po krótkofalówkę, którą miał przypiętą do kurtki. – Znalazłem ją. Tato, potrzebna mi twoja pomoc!

Reszta potoczyła się bardzo szybko. Za plecami usłyszałam dudniący odgłos kroków. Kiedy Liam podniósł wzrok, jego bezsilny gniew nabrał kształtu i jakby odsłonił kły. Sięgnął po pistolet do przypiętej do uda kabury, a mnie przeszył dreszcz. Wiedziałam, co oznacza mroczny wyraz jego twarzy: zdecydowanie zbyt często widywałam go u jego brata. Uniosłam rękę i mocno przycisnęłam ją do dłoni Liama, powstrzymując go przed wyjęciem broni.

Nie Liam. Nie teraz. Nigdy. On nie był zabójcą. Jedna chwila zapomnienia mogłaby go złamać, a pęknięcie zrastałoby się krzywo i zmieniłoby go na zawsze.

Zobaczyłam, że wraca do siebie, bo zmarszczył nos, a w jego oczach na nowo pojawił się blask. Kiedy ponownie spojrział na biegnącego w naszą stronę żołnierza, wyrzucił rękę w górę, popychając go na najbliższą ścianę. Mężczyzna stracił przytomność.

Liam wzdrygnął się, odetchnął i znów popatrzył na mnie. Łagodnie i z czułością, która kontrastowała z jego zachowaniem sprzed chwili, obejrzał rozcięcia na moich rękach i zaklął. Cała trzęsłam się z bólu, ale Liam najwyraźniej stwierdził, że marznę, bo zdjął kurtkę, zarzucił ją na mnie i zapiał zamek pod samą szyję. Zacisnęłam zęby, powstrzymując narastające w piersi łkanie.

– Dlaczego musiałaś to być ty? – zapytał. – Dlaczego ty?

– Przepraszam – wyszeptałam. *Za Cole’a, za to, że musiałeś tu przyjść, za wszystko.* Na wszelki wypadek, gdybym znowu straciła przytomność, dodałam jeszcze: – Przepraszam. Kocham cię, tak bardzo cię kocham.

Pocałował mnie ponownie.

– Możemy już stąd pójść, do cholery?

Na schodach pojawił się kolejny mężczyzna w czarnym mundurze, który ciężko łąpał oddech. Sięgnęłam po broń, ale tym razem to Liam mnie powstrzymał.

– Jesteśmy tutaj.

Biegł w naszą stronę. Zobaczyłam jego przystojną czarnoskórą twarz i szpakowate włosy.

– Nic jej nie jest?

– Nie całkiem – powiedział Liam, odsuwając się, aby jego ojczym mógł obejrzeć moją nogę. – Wszystko będzie dobrze, słyszysz? – zwrócił się do mnie stanowczym tonem.

– No ładnie – syknął Harry, przykucając, aby zbadać złamanie. – Zabierzemy cię stąd, dobrze?

– Muszę wyjść... Muszę stąd wyjść – odpowiedziałam, choć moje myśli przyćmiewał ból. – Muszę stąd wyjść. Na własnych nogach.

Harry z napięciem spojrzał na Liama.

– Trzeba ją opatrzyć – rzucił Liam, rozglądając się dookoła.

– Nie mamy na to czasu – odpowiedział Harry. – Na miejscu zbiórki będą lekarze.

– Muszę wyjść. – Nie obchodziło mnie, jak szaleńczo to brzmiało. Musieli mnie zrozumieć. Cole zrozumie... Cole by zrozumiał... Teraz również Cole należał do czasu przeszłego. Zaciśnęłam oczy.

Kiedy ponownie je otworzyłam, Harry sięgał do przypiętej do lewego ramienia krótkofalówki.

– Tu Stewart. Mamy ją. Idziemy do wyjścia. Będziemy na miejscu za mniej więcej trzy minuty.

Odpowiedziały mu szумы i trzaski.

– Dobrze, skarbie, podniosę cię – powiedział Liam, wstając. – Obejmij mnie za ramiona. Właśnie tak. Dobrze.

Dotrzymali słowa i postawili mnie tak, że mogłam stanąć na zdrowej nodze.

Nie wiem, jak pokonałam korytarz, pamiętam jedynie, co czułam, kołysząc prawą nogą. Pamiętam mroźne powietrze na skórze, kiedy wyszliśmy w noc, i pierwsze krople deszczu. Czułam zapach dymu. Powietrze było od niego gęste.

Przed nami przez bramę obozu wylewały się niebieskie i zielone strumienie. Dzieci szły cicho ponaglone przez ludzi ubranych na czarno ze śnieżnobiałymi opaskami na rękawach. Podziwiałam ich spokój i to, jak słuchają poleceń pomimo przerażenia i szoku. Przynajmniej tego nauczył ich Thurmond.

– Czerwoni. – Próbowałam wykrztusić z siebie słowa. W oddali, na końcu obozu, tam, gdzie znajdowała się Fabryka, zobaczyłam ciepłą poświatę ognia.

– Zostali zabezpieczeni – zapewnił Harry, lekko ściskając dłoń, którą zarzuciłam mu na szyję. – Zaciekle się bronili.

– Są jacyś ranni?

– Wszyscy są cali – zapewnił. Zagwizdał ostro, na co najbliższej stojąca postać obróciła się niecierpliwie i podbiegła do nas.

Poruszała się ze swego rodzaju zwierzęcą gracją. Kiedy przebiegała przez kałuże i gęste ciemne błoto, ręce podskakiwały jej po bokach, a spod butów wypryskiwała

brudna maź.

W rześnistym deszczu nie widziałam jej twarzy, ale i tak wiedziałam, kto to. *Vida*.

Wpadłaby na nas, gdyby Harry nie chwycił jej stanowczo.

– Uważaj! – ostrzegł Liam, przyciągając mnie bliżej do siebie, kiedy Harry wycofał się, zwalniając uścisk.

Vida zajęła jego miejsce, obejmując mnie obydwoma rękami.

– Cholera – powiedziała. – Zabiję cię, normalnie skręcę ci ten chudy kark. Zrobię...

– Pójdę sprawdzić ostatni raz, czy w Mesie nie zostali jacyś maruderzy – oznajmił Harry. – Mac, John i ja zabezpieczymy tyły.

– Do zobaczenia w punkcie zbornym – rzucił Liam. – Ruby, pozwól mi się ponieść, proszę.

– Muszę iść. – Bolało mnie gardło, więc słowa brzmiały chrapliwie. – Pomożesz mi?

Zaczął poprawiać uścisk, kiedy Vida przerwała mu, podtrzymując mnie z drugiej strony.

– Zrobię wszystko, co chcesz, pod warunkiem że wiąże się to z zabranie cię z tej fabryki koszmarów, mała.

Przemieszczaliśmy się przez błoto powolnym i dziwacznie chwiejnym krokiem, ale parliśmy do przodu. Wmieszaliśmy się w tłum dzieci przechodzących przez otwartą na oścież bramę.

Kiedy przywieziono nas do Thurmond, padał deszcz.

Kiedy z niego wychodziłam, też padało.

Wiedziałam, że nie jest ze mną najlepiej, bo nie mogłam się rozgrzać. Nie byłam w stanie przestać się trząść. Podążając za dziećmi i ludźmi w czarnych mundurach z białymi opaskami, szliśmy przez las, ale dreszcze paraliżowały mi mięśnie i stawy.

Vida spojrzała na Liama i przyspieszyła kroku.

– Boli – wyszeptałam.

– Chcesz się zatrzymać? Odpocząć? – spytała. – Boli cię noga?

Pokręciłam głową.

– Wszystko.

Aby wypełnić ciszę albo odwrócić moją uwagę, Liam starał się opowiedzieć, co się wydarzyło.

– Mama chciała, bym skontaktował się z Harrym i poinformował go o Cole’u... Dała mi jego numer i kazała go odnaleźć. Czekali na mnie, ale wiedziałem, że powinienem być wrócić wcześniej... Chciałem wrócić. Zanim dotarliśmy do Rancza, ciebie już dawno tam nie było. Pulpet odchodził od zmysłów, tak samo Zu i wszyscy pozostali... Nico trzymał się jakoś ze względu na nich, ale tylko dopóki się nie pojawiliśmy.

– Pieprzony Clancy – rzuciła Vida. – Pieprzona, powalona rodzina Grayów. Prezydent i Lillian wyemitowali nagranie...

– Widziałam – odparłam, nie chcąc wdawać się w szczegóły. Zresztą i tak nie miałam na to siły.

– Jak to? W sumie to i tak bez znaczenia – stwierdził Liam. – Powiesz mi później, jak już wydobrejesz.

– Cole – zaczęłam, ściskając go mocniej.

Na jego twarzy pojawił się wyraz żalu.

– Później, dobrze? Już niedaleko. Punkt zbiórki jest blisko, bo takiej liczby dzieci nie zdołalibyśmy wywieźć. Szkoda, że tego nie widziałaś... Powiększenie zalało media informacjami, które im podaliśmy. Telewizja, internet, billboardy: zbombardowali świat prawdą.

– Zobaczmy, czy to podziałało – wymamrotała Vida. – Jeśli rodzice nie czekają...

– Będą czekali – zapewnił Liam.

Nieważne, ile kroków zrobiłam, cały czas miałam wrażenie, że zamiast się zbliżać, oddalamy się od świateł przebijających przez drzewa. Wiedziałam, że Liam ma rację. W górze pojawił się pierwszy helikopter, którego śmigła jeszcze wzmagaly siłę wiatru i deszczu. Światło, które rzucał, było tak oślepiające, że nie mogłam stwierdzić, czy należał do wojska, czy do kanału informacyjnego.

Rozległ się dziwny hałas – słabe i niskie brzęczenie, które ledwie przedzierało się

przez dzwonienie w moich uszach. Jakbym słyszała tętno otaczającego mnie świata pulsujące mi pod stopami. Z przodu pojawiło się jeszcze więcej światła, wszystkie skierowane na nas.

Tuż za linią drzew niespodziewanie wpadliśmy wprost na idący z naprzeciwka oddział żołnierzy. W pobliżu znajdowały się budynki, które najprawdopodobniej stanowiły porzucone centrum niegdyś tu istniejącego miasteczka. Liam i Vida prowadzili mnie przez morze oniemiałych postaci do przodu.

Trzy tysiące dzieci rozlewało się pomiędzy drzewami jak lawina, wypełniając każdą wolną przestrzeń. Widziałam, że jesteście blisko, bo ktoś wyjął megafon i warknął:

Zostańcie, gdzie jesteście! Wszelki ruch uznamy za oznakę wrogiej agresji!

Podjeżdżałam, że skoro widzą nas uzbrojeni żołnierze, musiały nas także dojrzeć zgromadzone za ich plecami rodziny.

Znowu ruszyliśmy przed siebie, tym razem wolniej, ale w równym tempie. W końcu z oślepiającego światła na polu przed nami zaczęły się wyłaniać kształty.

Ktoś ustawił tu dwa duże białe namioty. Oświeślały nas niebieskie i czerwone światła karetek i samochodów policyjnych, a za podwójnym szeregiem żołnierzy stały setki, a może nawet tysiące ludzi.

Zamknęłam na chwilę oczy, próbując uspokoić myśli. Mówiłam sobie, że wszystko jest w porządku, że tak właśnie ma być. Alice upubliczniła ostatnie porcje gorących wiadomości w trakcie ataku, podając nazwiska dzieci z obozu oraz miejsce, z którego można je będzie odebrać. Przypuszczałam, że wojsko również wykorzysta te informacje, i się nie myliłam. Żołnierze, Gwardia Narodowa, policja i SSP uzbrojeni w sprzęt bojowy przyjęli pozycje.

Rzucicie broń, połóżcie się na ziemi z rękami na głowie – rozkazał ten sam głos. – Wszelki ruch zostanie uznany za oznakę agresji i otworzymy ogień.

Nadal szliśmy do przodu w stronę kobiet i mężczyzn w moro i kilku osób w mundurach SSP. Aż dzieliło nas nie więcej niż sto metrów.

Wysokie przezroczyste osłony używane w czasie zamieszek formowały ścianę, ale i tak było przez nie widać spojrzenia rzucone nam przez wojskowych. Żołnierze w kolejnym rzędzie byli uzbrojeni i przygotowani do spełnienia groźby dowódcy: lufy

ich karabinów tkwiły ostrożnie wycelowane pomiędzy osłonami. Stali przed agentami FBI i policjantami, którzy z kolei ustawili się przodem do tłumu dziennikarzy i cywili. Wszędzie były aparaty błyskające fleszami i rejestrujące zajście, pomimo że mundurowi blokowali ujęcia, a nawet niszczyli sprzęt.

Odgłos helikoptera zdradził jego przybycie na długo, zanim pojawił się na niebie. Światło reflektora przemknęło po nas kilka razy, jak gdyby szukano konkretnej osoby. W otwartych drzwiach maszyny pojawił się żołnierz z karabinem w rękach i przyglądał się sytuacji.

Oficer dowodzący stał na lewo od środka, za drugą linią żołnierzy. Do ucha przyciskał telefon satelitarny. Raz po raz przykucał, znikając z widoku, tak jakby mogło to zredukować hałas tłumu, który nasilał się za jego plecami i otaczał nas wszystkich.

Każdy z nich ma imię, pomyślałam i zmusiłam się, by popatrzeć ponad bronią i osprzętem bojowym na twarze pełne żalu i nadziei. Jedno z dzieci za mną najwidoczniej rozpoznało którąś z nich, bo ruszyło naprzód, krzycząc: „mamo, mamo!”.

Połóżcie się na ziemi z rękami za głową! – wrzasnął oficer do megafonu. – *Teraz!*

– Tutaj! – odkrzyknęła kobieta. – Jestem tutaj, Emily! Jestem!

Obserwowałam żołnierza, który stał tuż przede mną, i miałam wrażenie, jakby niewielki strumień przeradzał się w rwącą rzekę. W jego oczach widać było szalejące emocje i nawet błysk reflektora helikoptera nie zniekształcił spojrzenia, które rzucił kobiecie wyrywającej się trzem agentom FBI popychającym ją na ziemię. Stojący w pobliżu cywile próbowali jej pomóc.

Żołnierz nie był już pierwszej młodości. Zarost na jego policzkach miał srebrny kolor i pasował do grubych brwi i jasnoniebieskich oczu. Mężczyzna obrócił się z powrotem w moją stronę, nie zwracając uwagi na niepokój ogarniający ludzi po jego lewej. Spojrzał na dziewczynkę, która stała kilka metrów ode mnie i płakała, nieprzerwanie wołając: „mamo! mamo!”. Ciemne loki przylepiły się jej do mokrych policzków.

Żołnierz spokojnie pokręcił głową i upuścił tarczę do błota przed sobą. Dźwięk

uderzenia zaskoczył wszystkich. Następnie postawił swój karabin maszynowy na ziemi, wyprostował się i wypiął pierś, uchylając się przed dotykiem zdziwionego kolegi, który bez przekonania chciał go zatrzymać.

Przeszedł po leżącej na ziemi tarczy i odpiął zapięcie kuloodpornej kamizelki, po czym ją z siebie zrzucił. Reflektor helikoptera namierzył go, dzięki czemu mogliśmy zobaczyć, że nie jest uzbrojony. Żołnierz wyciągnął rękę w stronę dziewczynki, a ona po chwili wahania chwyciła ją, pozwalając, by mężczyzna założył jej kamizelkę. Następnie zdjął hełm i chociaż był na nią za duży, nałożył jej na głowę i wyregulował pasek pod brodą.

Żołnierz podniósł dziewczynkę, a ona zarzuciła mu ręce na szyję w całkowitym zaufaniu. Kiedy niósł ją w stronę rzędów mundurów, oficer dowodzący w końcu otrząsnął się z odrętwienia, zdając sobie sprawę, że powinien wydawać rozkazy. Spróbował. Nikt jednak – zupełnie nikt – go nie posłuchał. Coraz głośniejszy słyszałam bicie swojego serca i wstrzymałam oddech.

Żołnierz wyciągnął rękę przed siebie i przedzierał się przez rzędy wojskowych, którzy próbowali uzupełnić lukę w miejscu, gdzie wcześniej stał. W końcu agenci FBI, nadal stojący nad kobietą, puścili ją. Spotkała się z żołnierzem w połowie drogi, praktycznie wyrwała mu dziewczynkę i mocno ją do siebie przytuliła. Dopiero kiedy Liam lekko ścisnął moje ramię, zdałam sobie sprawę, że dzieci znowu ruszyły naprzód. Wyrwa w linii żołnierzy się powiększyła i przeszło przez nią dwoje dzieci, a następnie troje i czworo...

Oficer krzyczał przez megafon, ale żołnierze w większości rozbili formację szyku, unosząc tarcze i stając bokiem. Dzieci tłumnie przechodziły pomiędzy nimi jak między drzewami. Znajdowały luki, po czym zbierały się na odwagę i ich wymijały.

Vida coś powiedziała, ale jej nie usłyszałam. Głowa ciążyła mi tak bardzo, że nie byłam w stanie jej utrzymać. Lewa noga również się pode mną ugięła, przez co podpierający mnie przyjaciele stracili równowagę. Liam przyłożył mi dłonie do twarzy, zmuszając do otworzenia oczu. Było mi bardzo zimno, a mimo to miałam wrażenie, że się pocę.

Liam wziął mnie na ręce i poniósł przez tłum rodzin. Wiele osób pomyślało o przygotowaniu tabliczek z imieniem swojego dziecka i umieściło na nich dziwaczne

niewyobrażalne dla nas zdania takie jak: „Witaj w domu” i „Kochamy cię”.

Kiedy ponownie otworzyłam oczy, zobaczyłam twarz Pulpeta. Wyglądał na zszokowanego. Była tam też Cate: z zadrapanym policzkiem i łzami w oczach. Obejmowała moją twarz rękami i mówiła do mnie, kiedy podnoszono mnie z ziemi.

Czerwone i niebieskie światła odbijały się od jej skóry. Wiedziałam, że biegniemy, ale nic nie czułam, nawet kiedy podniesiono mnie jeszcze wyżej i ułożono na czymś miękkim. Otaczały mnie nieznajome twarze, migotające światła, trzaskające dźwięki, głosy, Liam...

Znalazłam się w karetce. Liam próbował wejść razem ze mną, ale kazano mu zostać na zewnątrz, a zamiast niego do środka wsiedli dwaj członkowie grupy szturmowej. Jeden z nich ścisnął nienaturalnie bezwładne ramię, a drugi obficie krwawił z łuku brwiowego.

– Odnajdę cię! – krzyczał Liam, kiedy się wycofywał. – Znajdziemy cię!

Sanitariusze popchnęli mnie na plecy i przywiązali do noszy. Liam stał kilka metrów dalej. Zobaczyłam, jak Pulpet obejmuje go ramieniem i próbuje uspokoić i zatrzymać w miejscu. Tak jak ja widział, że targa nim atak paniki.

Drzwi pojazdu zostały zatrzaśnięte i włączono syreny.

– ... masz na imię? Jak masz na imię? – Sanitariuszka, młoda kobieta o poważnym wyrazie twarzy, przyglądała mi się z uwagą. – Mamy tu podejrzenie złamania z przemieszczeniem prawej kości piszczelowej. Cztery, pięć, sześć ran kłutych od czterech do sześciu centymetrów, rozmieszczonych w górnej i dolnej części ciała. Popatrz na mnie. Jak masz na imię? Możesz mówić?

Pokręciłam głową. Język miałam zdrętwiały.

– Czujesz ból?

Potaknęłam.

– Ciśnienie krwi niskie, przyspieszone tętno. Wstrząs hipowolemiczny. Czy możesz...?

Jeden z mężczyzn na podłodze blokował dostęp do szuflady, do której sanitariuszka potrzebowała się dostać. Otworzył ją zdrową ręką i podał kobiecie coś, co wyglądało jak duży arkusz folii aluminiowej. Sanitariuszka przykryła mnie nią, a

ktoś inny zaczął bandażować mi rękę.

Dziwny koc skumulował odrobinę ciepła. Zaczęłam się trząść, bo na nowo powrócił ból.

– Co ci się stało w nogę?

Jęknęłam, kiedy sanitariuszka mnie dotknęła.

– Możesz powiedzieć, co ci się stało w nogę?

– Boli – wykrztusiłam.

Trzymała moją twarz w dłoniach. Patrząc jej w oczy, poczułam dzikość, prawie szaleństwo.

– Wszystko dobrze. Jesteś bezpieczna. Zajmiemy się tobą. Jesteś bezpieczna.

Jeden z żołnierzy siedzących na podłodze wyciągnął poplamioną krwią dłoń i chwycił mnie za rękę.

– Dobra z ciebie dziewczyna – powiedział. – Dobra, odważna dziewczyna. Świetna robota.

– Jesteś bezpieczna – powtórzyła sanitariuszka. – Zajmiemy się tobą.

Mur, który zbudowałam, by nie dopuścić do siebie bólu, strachu i gniewu, w końcu runął. Wybuchłam płaczem. Szlochałam tak jak wtedy w garażu rodziców, tego ostatniego ranka, zanim mnie zabrano. Zalałam się łzami. Czułam wielką ulgę, że nie muszę już trzymać tego w sobie, że nie muszę udawać.

Mogłam się w końcu oddać ogarniającej mnie łagodnej nicości.

Przez wiele dni czułam się jak uwięziona we własnym ciele.

Chwilami wiedziałam, że się wybudzam i zbliżam do powierzchni rzeczywistości. Otaczały mnie dziwaczne trzaski, świsty i piski oraz twarze skryte za niebieskimi papierowymi maskami, a nad głową przepływały mi sufity. Nawiedzały mnie realistyczne sny pełne obrazów z przeszłości, wypełnione ludźmi, których nie widziałam lata. Podróżowałam w nich na przednim siedzeniu czarnego samochodu z czołem opartym o szybę i patrzyłam na ocean, drzewa i niebo.

Tak jak ziemia, która po ulewie znowu twardnieje, czułam, że staję się spójną całością. Pewnego ranka po prostu się obudziłam.

Pomieszczenie było zalane słońcem.

Głowę i ciało miałam ociężałe i powolne, ale mrugając, obróciłam się w kierunku źródła światła. Moim oczom ukazało się okno z zasłonami okalającymi widok na ukwieconą gałąź pobliskiego drzewa. Ściany pokoju miały kojący jasnoniebieski odcień i ostro kontrastowały z otaczającymi mnie ze wszystkich stron popiskującymi i migającymi ciemnoszarymi urządzeniami.

Szpital.

Podniosłam się, napotykając opór kabli przymocowanych do wierzchu mojej dłoni i delikatnie za nie pociągając. Ktoś przykrył mnie cienkim białym prześcieradłem, które musiałam rozkopać i zsunąć lewą nogą, by sprawdzić, czym jest zaskakujący ciężar przygniatający mi prawą kończynę. Moim oczom ukazał się gips. Dostrzegłam też, że pod długą flanelową koszulą moje ręce były ciasno obwiązane bandażami. Uczucie ciągnięcia wzdłuż obojczyka okazało się spowodowane plastrem, który przytrzymywał opatrunek.

Rozluźniłam mięśnie i przez chwilę wsłuchiwałam się w dochodzące z dołu odgłosy ulicy i dobiegający zza ściany gwar. Gdzieś w głębi duszy czułam, że powinnam się bać, ale byłam zbyt wyczerpana, by próbować. Kiedy nie mogłam już

dłużej znieść kwaśnego posmaku i suchości w ustach i gardle, sięgnęłam do stolika obok po szklankę wody i opróżniłam ją jednym haustem, niemal wywracając mały wazon z kwiatami.

Pod telewizorem przy przeciwległej ścianie stały kule. Przerzuciłam nogi nad krawędzią łóżka, ale w tym momencie drzwi do pokoju się uchylily.

Nie wiem, kto był bardziej zaskoczony, ja czy drobna siwowłosa kobieta, która weszła do środka z niewielką tacą z jedzeniem.

– Obudziłaś się! – Otworzyła szeroko zielone oczy, po czym pośpiesznie zamknęła za sobą drzwi i odwróciła się ku mnie, promieniejąc.

Wpatrywałam się w nią oniemiała. Najwyraźniej wzięła moje milczenie za objaw zdenerwowania albo dezorientacji, bo szybko odstawiła tacę i przysunęła sobie stojące nieopodal krzesło.

– Wiesz, kim jestem?

Odpowiedź wystrzeliła ze mnie jak pocisk.

– Babcia.

Uśmiechnęła się, ujmując mnie za rękę dłońmi o delikatnej jak papier skórze. Przez długą chwilę nic nie mówiłyśmy, jedynie przyglądałyśmy się sobie nawzajem. Miała łagodniejsze rysy niż kiedyś, a jej ciemne włosy zupełnie posiwiały. W oczach wciąż widniał jednak figlarny błysk tak dla niej charakterystyczny, że na jego widok aż ścisnęło mnie w gardle.

– Przeszłaś swoje, prawda? – zapytała.

Pokiwałam głową, na co ona się pochyliła i pocałowała mnie w czoło.

– Jesteś tu – powtarzałam zupełnie osłupiała. – Znalazłaś mnie.

– Skarbie, szukaliśmy cię nieprzerwanie od chwili, kiedy cię zabrali. Kiedy opublikowano listę dzieci i lokalizacje obozów, natychmiast wskoczyliśmy w samochód i pojechaliśmy po ciebie. Zajął nam wiele godzin, żeby się dowiedzieć, w którym jesteś szpitalu. Pilnował cię prawdziwy tłum, ledwie wpuścili mnie i twoich rodziców.

Potrząsnęłam głową, próbując zrozumieć, co usłyszałam.

– Rodzice przecież mnie nie pamiętają.

– To bardzo dziwne, bo rzeczywiście nie pamiętają szczegółów, ale... Jak by to powiedzieć? Cały czas jesteś z nimi głęboko w środku... Nie tu – powiedziała, pukając się w czoło. – Ale tu. – Przesunęła dłoń na klatkę piersiową.

Ledwie wydobywałam z siebie głos.

– Wiesz, czym jestem?

– Cóż, zacznijmy od tego, że jesteś moją ukochaną, cudowną wnuczką o dość oryginalnym umyśle – odparła, a jej miękki południowy akcent wybrzmiał mocniej niż kiedykolwiek. – Zdaje się też, że jesteś ulubienicą mediów.

Oparłam się o łóżko na te słowa, stopniowo nabierając podejrzeń.

Babcia uniosła palec i ruszyła do drzwi, żeby wyjąć gazetę z torebki, której wcześniej nie zauważyłam.

– Od wielu dni przed szpitalem zbiera się rozszalały tłum dziennikarzy, a przed twoim pokojem cały czas stoi dwóch uzbrojonych strażników. Jesteś sama w tym skrzydle, a i tak jeden sęp zdołał się tu wedrzeć i zrobić ci zdjęcie.

„The New York Times” obszernie opisywał uderzenie na obóz oraz to, co nastąpiło potem. Rozłożyłam sobie gazetę na kolanach i przez mój z trudem zdobyty spokój zaczęły przenikać obawy. Pod moją nieobecność pierwotny pomysł Alice dotyczący zawartości pakietu informacyjnego uległ zmianie. Materiał rozrósł się w szczegółowy artykuł obejmujący zdarzenia z Los Angeles i Rancza. Moim oczom ukazały się dziesiątki zdjęć, które dziennikarka zrobiła nam podczas planowania, zabawy i pracy, a nawet informacje o kodzie drogowym. Alice wyjaśniła, czemu musieliśmy działać w ukryciu i którzy wydawcy i magnaci medialni współpracowali z nami, ukrywając prawdę, zanim rozpoczęła się akcja wyzwolenia Thurmond. Znajdowała się tam też szczegółowa notatka o Cole’u, opatrzona jego czarno-białą uśmiechniętą podobizną.

W końcu trafiłam również na artykuł o sobie. Alice nie opisała wprawdzie moich zdolności, ale w pozostałych kwestiach odsłoniła przed czytelnikami niemal wszystko. Widniałam w tle wielu zdjęć, wychodząc poza kadr albo z twarzą ukrytą w cieniu lub za włosami. Inni, głównie Cate, najwyraźniej opowiedzieli dziennikarce, jak uciekłam z Thurmond, jak wyglądało moje życie na wolności i z Ligą oraz to, jak

chciałam wrócić do obozu, by pomóc innym. Historię uzupełniono zdjęciami z chwili, kiedy wnoszono mnie do karetki. Mógł na nich widnieć ktokolwiek, bo zupełnie nie poznawałam tej małej, bladej dziewczyny na noszach.

Wtuliłam się w poduszkę, czując się odsłonięta pod czujnym wzrokiem babci.

– Jest tego więcej, jeśli masz ochotę – powiedziała, zabierając mi gazetę.

– Nie teraz – odparłam. – Czy ktoś jeszcze...?

– Słucham? – Babcia wstała, odłożyła gazetę i wróciła z tacą szpitalnego jedzenia, którą ułożyła mi na nogach. – Czy ktoś jeszcze co?

– Wpadł z wizytą? – wybąkałam.

Posłała mi łobuzerski uśmiech.

– Chodzi ci o pewną czarującą młodą kobietę z buzią tak niewyparzoną, że zawstydziłaby niejednego wilka morskiego? A może o słodką dziewczynkę, która przyniosła ci kwiaty? O chłopaka, który pół dnia prześladował lekarzy, żądając, by udzielili mu informacji na temat twojego stanu? A może o niezwykle ułożonego młodzieńca z Południa?

– O wszystkich – wyszeptałam. – Są tu?

– Nie w tej chwili. Musieli wrócić do hotelu na bardzo ważną konferencję prasową. Ale byli tu i prosili, bym ci to dała, kiedy się obudzisz. Dzięki temu będziesz wiedziała, gdzie ich szukać.

Babcia podała mi złożoną kartkę papieru. Był to, jak się okazało, hotelowy papier listowy, na którym widniał nabazgrany numer telefonu i napisana ręką Liama informacja: „Zadzwoń, jak tylko będziesz mogła”.

– Bardzo za tobą tęskniłam, moja kochana – powiedziała łagodnie babcia. – Mam nadzieję, że pewnego dnia opowiesz mi, co się stało. Nie chcę o tym czytać, znacznie bardziej wolę usłyszeć to od ciebie.

– Ja też za tobą tęskniłam – wyszeptałam. – Bardzo. Chciałam cię odszukać.

Odgarnęła mi włosy z twarzy.

– Chcesz ich teraz zobaczyć?

Nie potrzebowałam żadnych wyjaśnień. Dobrze wiedziałam, o kogo jej chodzi.

– A czy oni... – Przełknęłam ślinę. – Czy oni chcą zobaczyć mnie?

– Tak. O ile nie masz nic przeciwko temu.

Po chwili pokiwałam głową i kiedy wyszła, ostrożnie odłożyłam tacę na stojący obok mały stolik. Na dźwięk ich kroków serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi.

Ostatni raz – pomyślałam. – Zrobię to po raz ostatni.

W progu pierwsza pojawiła się babcia, ale zaraz usunęła się na bok, wpuszczając drobną, kruchą kobietę, za którą podążał szpakowaty mężczyzna.

To niebywałe, jak słabo ich pamiętałam. Być może minione lata doświadczyły ich równie dotkliwie jak mnie, wysysając z nich siły i obijając o ostre krawędzie życia. Czułam się bardzo nieswojo, widząc nos o kształcie identycznym z moim na twarzy innej osoby. Moje oczy. Moje usta. Dołek w brodzie. Mężczyzna miał na sobie koszulkę polo wpuszczoną w spodnie, a kobieta sukienkę. Ogarnęło mnie dziwne uczucie, że wystroili się specjalnie dla mnie.

Było im aż do bólu niezręcznie – widziałam to w ich twarzach. Patrzyli na mnie i jedyne, co pamiętali, to poranek, kiedy zabrano mnie po tym, jak zdezorientowani wypchnęli mnie z domu. Lata rozłąki zaległy między nami puste i bolesne.

Zaczęłam od przyjemnych rzeczy. Od wycieczki pod namiot do Blue Ridge Mountains, którą odbyliśmy bardzo dawno temu, i spaceru wśród jesiennych drzew właśnie zaczynających zmieniać kolory. Powietrze było świeże i przejrzyste, a rozciągające się wokoło góry jedynie kilka odcieni ciemniejsze od nieskończonego nieba nad naszymi głowami. Spaliśmy obok siebie we trójkę w namiocie jak w małej ciepłej kieszeni. Łowiliśmy ryby na obiad. Patrzyłam oniemiała, jak tata rozpałał ognisko.

Wystarczyło delikatne muśnięcie, by zasupłane wspomnienia puściły, zupełnie jakby już wcześniej zaczęły się rozplątywać. Wycofałam się kolejno z ich umysłów, ledwie kontrolując własne uczucia pod nagłym zalewem uczuć rodziców.

– Niech ktoś coś powie – odezwała się zaniepokojona babcia.

Nie musiałam jednak nic mówić, a jedynie pozwolić im się tulić i wypłakać.

Ludzie czasem mówią, że życie potrafi odmienić się jednego dnia i całkiem stanąć na głowie. Mylą się. Życie nie potrzebuje jednego dnia.

Potrzebuje trzech.

Trzech dni, by z nieba nad najbardziej potrzebującymi miastami zaczęły spadać spadochrony z pakunkami i żołnierzami w niebieskich beretach Narodów Zjednoczonych.

By niewielka koalicja przywódców zagranicznych państw po raz pierwszy od siedmiu lat postawiła stopę na amerykańskiej ziemi.

By wypuszczono senator Cruz, która następnie została wybrana na nadzorcę narodowej odbudowy.

By sekretarz obrony zrezygnował z urzędu i przeżykając wstyd, odebrał odprawę.

By siły zbrojne wydały nowe rozkazy i by ich dowództwo zdało sobie sprawę, że ludzie, którzy odeszli ze stanowisk, już nigdy nie wrócą.

By prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki zniknął z powierzchni ziemi.

By Narody Zjednoczone podzieliły kraj na cztery strefy pokojowe, nad którymi władzę miał odtąd sprawować były senator danego regionu oraz przedstawiciel z zagranicy. I by wysłać do nich oddziały mające stanąć na straży ładu.

By wybuchły pierwsze z niemal setki zamieszek o dostęp do wody.

By Leda Corporation wydała oświadczenie, w którym wyparła się jakiegokolwiek związku z Czynnikiem Ambrozja, oraz by wielce szlachetnie zaproponowała, że zapewni środek chemiczny, który rzekomo go zneutralizuje.

Czytałam o tym w gazetach przynoszonych mi przez rodziców i widziałam w wiadomościach. Przyswajałam tę nową rzeczywistość. Tamtej nocy, kiedy godziny odwiedzin minęły i dwie miłe, lecz stanowcze pielęgniarki wyprosiły moją rodzinę, sięgnęłam do telefonu na ścianie. Środki przeciwbólowe, które mi podano, sprawiały, że robiłam się senna, ale nie chciałam się kłaść, nie usłyszawszy wpierw dźwięku jego głosu. Musiałam się upewnić, że nic im nie jest.

Wybrałam numer i opadłam na poduszkę, wtulając słuchawkę między ucho a ramię. Okręciłam sobie kabel wokół palców i czekałam. Telefon dzwonił i dzwonił. I dzwonił.

Pewnie gdzieś wyszli. I coś robią... Próbując odpędzić rozczarowanie, sięgnęłam, by odłożyć słuchawkę. Postanowiłam spróbować znowu rano.

– *Halo?* – rozległ się zdyszany głos po drugiej stronie. – *Halo?*

Przyciągnęłam słuchawkę z powrotem i z uśmiechem wyszeptałam:

– Cześć.

Liam westchnął lekko.

– *Jak dobrze cię słyszeć. Jak się czujesz?*

– Już lepiej.

– *Przepraszam, że nie zostaliśmy, ale senator Cruz poprosiła, byśmy wrócili do hotelu... Wiem, że to żadna wymówka, ale dużo się dzieje. Pulpet i Vida stwierdzili, że byłabyś zła, gdybyśmy się tu nie pojawili.*

– Mieli rację. – Przekręciłam się na bok. – Co się dzieje? Babcia wspominała mi coś o konferencji prasowej.

– *Tak, chodzi o kwestie planu. Wielkiego planu. Straszny tu młyn, ciągle ktoś wchodzi i wychodzi. I posłuchaj: mamy reprezentanta w obradach.*

– Kogo?

Skoro to nie Liam, to kto?

– *Zgadnij, kto pewnej nocy przy kolacji otworzył swoje pulpetowate usta i zaczął niewiarygodnie szczegółowo wyjaśniać, co według niego powinna zrobić senator Cruz? Cóż to był za wywód!*

Zamknęłam oczy i się roześmiałam.

– Nie. Serio?

– *Serio. Powiedziała mu, że koniecznie musi to przedstawić na posiedzeniu nazajutrz rano. Nie do końca wiedziałem, czy ten zaszczyt go ucieszył, czy zirytował. Czasem trudno po nim poznać.*

Przysłuchiwałam się szelestowi jego oddechu wypełniającego ciszę, która nastąpiła po tych słowach.

– Dobrze się czujesz? – zapytałam.

– *Tak. Tak, skarbie, wszyscy mają się dobrze* – odparł, ale w jego głosie pobrzmiwało wyraźne napięcie. – *Mama przyjeżdża jutro. Ona też ciągle powtarza, że wszystko będzie dobrze. Ja... Po prostu chciałbym, żebyś tu była, to wszystko. Przyjdę do ciebie jutro z samego rana.*

– Nie. To ja przyjdę do ciebie z samego rana.

– *Może po prostu spotkamy się w pół drogi.* – Jego głos brzmiał prawie wesoło.

Słuchałam, jak opowiada o setkach dzieci, które wciąż czekają na swoich rodziców. Wszystkie zostały ulokowane w hotelu i dostawały darmowe posiłki, a wielka armia wolontariuszy zaopatrywała je w potrzebne rzeczy i ubrania. Opowiedział mi też, jak przyłapał Vidę i Pulpeta na migdaleniu się w windzie. I o tym, jak Zu jedynie wzruszyła ramionami na wieść, że jej rodzice zdołali wyjechać z kraju. Do chwili nawiązania z nimi kontaktu mogła wybrać między zamieszkaniem w domu z ciotką, wujkiem i Hiną a pozostaniem z Vidą, Nico i Cate gdzieś w pobliżu stolicy. Podobno Zu, nie namyślając się nawet sekundy, wybrała drugą możliwość.

Ja powiedziałam mu z kolei o swoich rodzicach. O ochroniarzach przed wejściem do sali, którzy za każdym razem, gdy drzwi się otwierały, zaglądali do środka. O tym, jak lekarzowi, który badał moje rany, trzęsły się ręce. W końcu poczułam, że zaczynam zasypiać.

– *Rozłącz się i idź spać* – powiedział Liam równie zmęczonym głosem.

– Ty się rozłącz.

W rezultacie żadne z nas tego nie zrobiło.

Nazajutrz rano siedziałam wciśnięta między swoich rodziców na kanapie w holu Marriotta na drugim końcu Charleston w Wirginii Zachodniej. Hotel wypełniały takie tłumy, że żaden z licznych dziennikarzy nawet nas nie zauważył. Kiedy do spotkania pozostał mniej więcej kwadrans, ludzie zaczęli się przemieszczać w kierunku wind, by udać się na górę do dużej sali konferencyjnej.

Mama ciągle wychodziła z nowym pomysłem, twierdząc, że na pewno potrzebuję się napić, coś przekąsić albo zażyć środek przeciwbólowy, aż w końcu tata położył jej na ramieniu kojącą dłoń. Zauważyłam jednak, że on też kątem oka ciągle spogląda w moją stronę, jakby chciał sprawdzić, czy nigdzie nie zniknęłam. Oswajaliśmy się ze sobą powoli, niezręcznie, ale z uporem.

Babcia chodziła przed nami tam i z powrotem – zorientowałam się, że coś się dzieje, tylko dlatego, że nagle się zatrzymała.

Moim oczom nie ukazali się jednak ani Liam, ani Vida, tylko Cate. Jasne włosy zaczesła w schludny kucyk, miała makijaż i sukienkę. Z jakiegoś powodu wyglądała jednak na przygnębioną, a widok jej spiętej twarzy aż ścisnął mi serce. Poderwałam

się na równe nogi, ale tata musiał mnie podtrzymać, kiedy zakołysałam się z powodu gipsu. Na mój widok Cate zwolniła kroku, na jej twarzy pojawił się jednak uśmiech. Gdyby zaczęła płakać, zapewne sama również wybuchłabym łzami.

– Jestem z ciebie bardzo dumna – wyszeptała. – Podziwiam cię. Dziękuję.

Przytuliłam ją z całej siły i aż po brzegi wypełniło mnie ciepło jej miłości. Kiedy w końcu zwolniłam uścisk i przedstawiłam ją rodzinie, okazało się, że dobrze wiedzą, kim jest.

Ujęła moje dłonie.

– Możemy porozmawiać później? Powinnam już być na górze, ale nie mogłam wytrzymać ani minuty dłużej bez zobaczenia cię na własne oczy.

Pokiwałam głową, pozwalając się jej objąć kolejny raz. Kiedy zaczęła się odsuwać, powiedziała cicho:

– Jest tu ktoś, kogo pewnie nie chcesz widzieć.

Dokładnie wiedziałam, o kogo jej chodzi, i byłam wdzięczna, że mi powiedziała, bo dzięki temu mogłam się przygotować.

Z windy, do której wsiadła, wyszli Liam, Vida, Nico i Zu. Nie byłam w stanie powstrzymać szerokiego uśmiechu, który cisnął mi się na twarz. Pierwsza rzuciła się ku mnie ubrana w różową sukienkę Zu, przecinając hall, by mocno mnie przytulić. Nico trzymał się z tyłu, przestępując z nogi na nogę do chwili, kiedy przywołałam go gestem. Vida nie miała takich skrupułów i walnęła mnie w ramię, co – jak podejrzewałam – miało być „zadziorne”. Z kolei Liam, świadomy spoczywających na nim oczu moich rodziców, ponownie się przedstawił, ściskając im dłonie. Potem powoli ruszył do mnie, dając mi czas, bym mogła się mu przyjrzeć. Miał obcięte, uczesane włosy i ogoloną na gładko twarz. Jeśli czuł się zmęczony, to nie było tego po nim widać, choć dostrzegłam cień rozpaczy w jego spojrzeniu. Kiedy rzucił mi nieśmiały delikatny uśmiech, odwzajemniłam go, a serce chciało wyskoczyć mi z piersi.

– Dzień dobry pani – powiedział grzecznie, ściskając dłoń babci.

W odpowiedzi ucałowała go mocno w policzek, a następnie odwróciła się do mnie i puściła oko.

Kiedy w końcu do mnie podszedł, po prostu wziął mnie za rękę i zapytał:

– Wszyscy gotowi, żeby iść na górę?

To głupie, ale fakt, że się ze mną porządnie nie przywitał, nieco mnie rozczarował. Ręce niemal paliły mnie z pragnienia, by dotknąć jego włosów i pogładzić linie jego twarzy.

Gdy drzwi windy się otworzyły, ruszyłam do przodu, ale Liam zatrzymał mnie, przepuszczając moich rodziców, Zu, Vidę, Nico i małą grupkę innych osób.

– Wie pan co? – rzucił tacie, kiedy ten przytrzymał dla nas drzwi. – Pojedziemy następną.

W chwili, kiedy winda się zamknęła, jedną ręką objął mnie w pasie, a drugą wsunął mi we włosy, całując mnie tak, że zaparło mi dech.

– Cześć – przywitał mnie, kiedy w końcu musiał zaczerpnąć oddechu.

– Cześć – powiedziałam oszołomiona i bez tchu, gdy oparł się o moje czoło. – Musimy iść na górę?

Pokiwał głową, ale minęło kilka chwil, zanim wyciągnął rękę i wcisnął guzik windy.

Konferencję zorganizowano w sali balowej, gdzie zmieściła się setka krzeseł. Kiedy weszliśmy, trzy czwarte z nich były już zajęte. Okazało się, że pozostali trzymali dla nas miejsca z samego tyłu, za co byłam im bardzo wdzięczna. Przyciągałam coraz więcej ciekawskich spojrzeń i zapewne gdybym usiadła w miejscu, gdzie cała sala mogłaby się gapić na tył mojej głowy, czułabym się jeszcze bardziej niekomfortowo. A tak w razie potrzeby mogłam się wymknąć niezauważona. Liam najwidoczniej wyczuł mój niepokój, bo położył mi rękę na lędźwiach i poprowadził na miejsce.

Kiedy tylko usiedliśmy, dwóch mężczyzn w wojskowych mundurach natychmiast się podniosło i przeszło na drugi koniec sali. Po drodze odwrócili się jeszcze w naszą stronę, na co Vida posłała im słodki uśmiech, odsłaniając zęby, i pomachała im.

Kiedy na scenie pojawiły się pierwsze osoby, gwar umilkł. Na początku naszym oczom ukazali się sami mężczyźni, a wśród nich wojskowi i politycy, których można było rozpoznać po tym, że odwracali się w kierunku kamer z szerokimi uśmiechami.

Wypuściłam powietrze. Za nimi weszła senator Cruz, doktor Gray i, ku mojemu zdziwieniu, Cate. Liam chwycił mnie za rękę i w tej samej chwili naszym oczom ukazał się wyprostowany, skoncentrowany Pulpet. Miał na sobie elegancki granatowy garnitur i krawat w paski – całości dopełniały nowe okulary w cienkich metalowych oprawkach.

– Kujon – wymamrotała Vida, ale zauważyłam, że na jej twarzy maluje się nieśmiały zadowolony uśmiech.

Spojrzałam na Liama, który był tak samo ponury jak ja. Pulpet prezentował się naprawdę świetnie i eleganckie ubranie niemal odwróciło moją uwagę od jego twarzy. Widziałam tę minę wiele razy – wysunięta szczeka i posępny wzrok. Tak wyglądał ktoś, kto właśnie przegrał swój głos.

– Cholera – mruknął Liam. – Będzie źle...

Nie pomylił się.

– Dziękuję państwu za przybycie – zaczęła senator Cruz bez notatek, które dopiero po chwili ktoś jej podsunął. – Ostatnie pięć dni było prawdziwym sprawdzianem dla amerykańskiego hartu ducha. W imieniu swoich byłych kolegów i koleżanek z Kongresu oraz naszych zagranicznych sojuszników pragnę podziękować państwu za współpracę przy rozpoczęciu procesu odbudowy kraju. Dobra wiadomość jest taka, że osiem dni pierwszego etapu już za nami.

Rozległ się trzask aparatów.

– Pragnę z tego miejsca zapoznać państwa ze szczegółami porozumienia, które podpisaliśmy dziś rano. Proszę, by zaczekali państwo z pytaniami do samego końca, kiedy to będziemy mieć chwilę, by na nie odpowiedzieć. – Zrobiła wdech i przełożyła kartki papieru. – Utworzone cztery strefy pokojowe będą obowiązywać przez kolejne cztery lata. W każdej z nich koalicja sił pokojowych zajmie się odbudową miast zrujnowanych w wyniku walk bądź katastrof naturalnych, po których rząd nie udzielił im pomocy. Szczegóły działań zostaną przedstawione podczas oddzielnych konferencji prasowych w najbliższej przyszłości. – Pani senator dała zgromadzonym chwilę na przyswojenie informacji, po czym podjęła: – Władze każdej ze stref będą odpowiedzialne za dopilnowanie neutralizacji Czynnika Ambrozja w wodach

gruntowych oraz w studniach znajdujących się pod ich jurysdykcją. Oraz za zniszczenie potencjalnych zapasów tej substancji. Używanie Czynnika Ambrozja w jakimkolwiek celu i gdziekolwiek na świecie oraz wykorzystywanie młodzieży z Psi przez siły zbrojne, wywiad czy sprawujących władzę w naszym kraju bądź innych krajach jest surowo zabronione i na mocy podpisanego porozumienia będzie karane.

Lillian omiotła wzrokiem salę i nasze spojrzenia niemal się spotkały. Siedziała prosto i sprawiała wrażenie cierpiącej – najwyraźniej wiedziała, co zaraz usłyszy.

– Dzieci znajdujące się w obozach rehabilitacyjnych powrócą do rodziców w ciągu najbliższych kilku miesięcy. Stworzymy ogólnodostępną bazę danych, dzięki której będzie można sprawdzić, gdzie przebywa dane dziecko. Rodzice nie będą jednak mieli dostępu do obozów. Na mocy tego porozumienia miejsca te zostaną zniszczone.

Poczułam się, jakbym dostała w twarz. Wśród zebranych podniósł się szum. Słyszać było wszystko – od ściszonych rozmów po głośno wykrzykiwane pytania. Kątem oka dostrzegłam, że babcia usiłuje ocenić moją reakcję, ale nie byłam w stanie oderwać wzroku od sceny.

– Ratująca życie operacja chirurgiczna opracowana przez doktor Lillian Gray będzie dostępna dla każdego za darmo tak długo, jak ta okropna mutacja będzie obecna w naszym społeczeństwie. Każda osoba z Psi powyżej osiemnastego roku życia będzie mogła zrezygnować z prawa do zabiegu, ale wówczas będzie zobowiązana nosić przy sobie specjalny identyfikator. W przypadku dzieci poniżej osiemnastego roku życia decyzja o operacji pozostanie w gestii ich rodziców lub opiekunów prawnych.

Lillian wbiła wzrok w stół.

– Dysponujemy wielkimi terenami, gdzie zostaną wybudowane centra dla tych dzieci, po które nikt się nie zgłosi, oraz tych, które obawiają się, że powrót do domu jest dla nich zagrożeniem. Ustaliliśmy również, że wszyscy obywatele dotknięci Psi, którzy nie zgodzą się poddać operacji, przez resztę życia będą zamieszkiwać w wybranym centrum.

Musiałam wydać z siebie dźwięk obrzydzenia, bo cała moja rodzina obróciła się,

by na mnie spojrzeć.

W tej samej chwili ktoś na scenie rzucił wściekle:

– To jakaś kpina!

Tym kimś był Pulpet.

– Uważaj na słowa... – podjął jeden z mężczyzn w mundurach, ale Pulpet posłał mu spojrzenie, które niejednego zwałoby z nóg.

Cate wbiła oczy w stół, przygryzając usta, by ukryć uśmiech.

Senator Cruz zakaszłała i przeglądała notatki. Zanim jednak zdążyła znów się odezwać, Pulpet był już w połowie kolejnego zdania.

– Przyjrzyjmy się temu uważniej, dobrze?

– O Boże – bąknął Liam, wznosząc wzrok ku niebu.

– Jako osiemnastolatek mam prawo o sobie decydować – powiedział Pulpet. – Jeśli jednak podejmę niewłaściwą decyzję i tak zostanę za nią ukarany, prawda?

– Proszę zachować wątpliwości na koniec – powiedziała senator Cruz, ale zauważyłam, że wykonuje niewielki, niemal niezauważalny gest ręką, by go zachęcić.

– Jeszcze nie skończyłem – burknął Pulpet. – Jeśli postanowię, że nie chcę, by ktoś potencjalnie niekompetentny rozcinał mi mózg, czyli najważniejszy organ mojego ciała, żeby go „naprawić”, to wyląduję w kolejnym obozie. Tylko że tym razem do końca życia, dobrze rozumiem?

– Podoba mi się ten chłopak – rzuciła babcia z zachwytem.

– To nie jest obóz – odparł niecierpliwie jeden z mundurowych. – To wspólnota. A teraz wróćmy do...

– Wspólnota zamknięta za drutem kolczastym? Pilnowana przez uzbrojonych strażników? Zdają sobie państwo sprawę z tego, że robiąc coś takiego, osiągacie tylko jedno: utwierdzenie Amerykę i świat w przekonaniu, że „inny” oznacza „zły, brzydki i groźny”. I to ma być troska? Chcecie po prostu zamieść nas pod dywan z nadzieją, że czas się z nami rozprawi. Przykro mi, ale to dość ohydne. Dwie sekundy zajęło państwu obmyślenie planu, który dotyczy tysięcy losów. Losów wcześniej zrujnowanych przez ludzi, z których kilku pewnie jest dziś w tej sali.

– Osoby z Psi mają zdolności, które są niebezpieczne i których nie da się

kontrolować – argumentował mężczyzna. – Mogą być wykorzystywane do popełniania przestępstw, czerpania bezprawnych korzyści albo krzywdzenia innych.

– Tak? To samo może zrobić worek pieniędzy. Liczy się to, jak osoba z Psi używa swoich zdolności. Zamykając nas i podejmując za nas decyzję dotyczącą naszego życia, do którego mamy wyłączne prawo, mówią państwo jedno: że nam nie ufają. Nie wierzycie, że dokonamy słuszných wyborów i że będziemy z szacunkiem traktować innych. Czuję się dotkliwie obrażony... A przy tym proszę spojrzeć, jak kontroluję swoje zdolności. Czy cokolwiek po mnie widać?

– Twierdzisz, że dzieci w wieku ośmiu, dziewięciu czy dziesięciu lat powinny mieć prawo do podejmowania decyzji, które znacząco wpłyną na całe ich życie? – Senator Cruz podsuwała mu kontrargumenty do zbicia.

Nieco odetchnęłam, z ulgą stwierdzając, że nie bardzo się co do niej pomyliłam. Być może została przegłosowana przez członków rady, wśród których się teraz pokazywała, ale znalazła pomysłowy sposób, by jej zdanie zostało usłyszane.

– Twierdzę, że dzieci, którym skradziono wiele lat życia, miały czas, by się zastanowić nad możliwością leczenia – odparł Pulpet. – Miały wiele lat, by przemyśleć swój wybór, i są gotowe, by podjąć rozsądną decyzję. Mogą mi państwo zaufać, myśleliśmy o tym przez cały czas: wtedy, gdy każda nasza godzina i minuta była ściśle kontrolowana, i wtedy, gdy musieliśmy walczyć o jedzenie, wodę i schronienie, nieustannie śledzeni przez łowców. Ustalą państwo granicę wieku na osiemnaście lat, wiedząc, że dzieci, które przeszły przez obozy, w osiemdziesięciu procentach są młodsze? Ja mam osiemnaście lat i byłem w obozie rok. Jedną z moich najlepszych przyjaciółek była więziona przez sześć lat, choć ma dopiero siedemnaście... Czy mam rozumieć, że teraz musi poddać się woli tych samych ludzi, którzy kiedyś odesłali ją do niewoli?

Skrzywiłam usta, powstrzymując się, by nie spojrzeć na swoich rodziców. Nie chciałam, by czuli się jeszcze bardziej winni.

– Przejdźmy do kolejnego tematu – zasugerował mężczyzna. – W przeciwnym razie nie starczy nam czasu, by odpowiedzieć na pytania...

– Zgadza się – powiedziała doktor Gray, po czym dodała: – z tym młodym

człowiekiem. Uważam, że o ile nie popełniły żadnego przestępstwa, nikogo nie skrzywdziły, a psychologiczny bagaż ich doświadczeń nie wpłynął na ich proces podejmowania decyzji, wyzwolone z obozów dzieci powinny móc wybrać. Niemniej jednak rodzice dzieci, które jeszcze nie osiągnęły wieku, w którym OMNI się objawia, będą musieli zdecydować o leczeniu za swoje potomstwo przed ukończeniem przez nie siódmego roku życia.

Miałam wrażenie, że jej głos zaraz ucichnie z wyczerpania. Dziennikarze łapczywie pożerali każde jej słowo. W końcu zaczęli się zrywać na równe nogi i zasypywać ją lawiną pytań, które w gruncie rzeczy sprowadzały się do jednego: „Gdzie jest prezydent Gray?”.

Senator Cruz przejrzała swoje notatki, po czym jakby nigdy nic zapytała:

– Czy jest możliwość stworzenia lepszego systemu, biorąc pod uwagę nasze ograniczone zasoby?

– Tak – odpowiedział Pulpet bez cienia arogancji. – Uważam też, że jeśli wprowadzą państwo ten plan, to nie tylko zignorują państwo psychiczne i emocjonalne potrzeby dzieci, ale również skazą je na życie w strachu i wstydzie. Jeśli tam ma to wyglądać, trzeba je było zostawić w obozach.

– Dobrze, w takim razie wznowimy dyskusję nad tą kwestią po zakończeniu konferencji – powiedziała senator Cruz. – Jeśli ktoś z młodych ludzi dotkniętych Psi ma ochotę do nas dołączyć, proszę zgłosić się do mnie.

W trakcie tej wymiany zdań jedna osoba z pierwszego rzędu opuściła swoje miejsce. Był to młody mężczyzna w czapce bejsbolowej. Zauważyłam go pod ścianą, pośpiesznie kierującego się w stronę wyjścia. Z twarzą zwróconą ku ziemi i splecionymi na piersi rękami mógł być kimkolwiek.

Ja jednak dokładnie wiedziałam, kto to.

Uspokoiwszy Liama i Vidę, którzy rzucali mi pytające spojrzenia, wystawiłam w górę palec wskazujący na znak, że potrzebuję minuty, i wymknęłam się z sali. Miałam przeczucie, że zajmie mi to dużo więcej czasu, ale wiedziałam, że senator Cruz skupi całą ich uwagę. Zwłaszcza że właśnie zaczynała mówić o nadchodzących wyborach prezydenckich i do Kongresu.

Na zewnątrz było znacznie chłodniej niż w sali balowej, która zamieniała się w duszną saunę. Podejrzywałam jednak, że Clancy wyszedł, licząc raczej na ciszę niż na ochłodę. Przeszedł prawie na sam koniec długiego korytarza i usiadł naprzeciwko okna wychodzącego na hotelowy parking.

– Przyszedłeś się pośmiać? – zapytał zachrypniętym głosem. Nie odwrócił jednak głowy i siedział z oczami utkwionymi w oknie. – Dobrej zabawy.

– Nie po to tu jestem – odparłam.

Prychnął, ale nie odpowiedział. Zauważyłam, że splótł dłonie na kolanach i zaczął je spinać i rozluźniać.

– Ciągłe tracę czucie w palcach prawej dłoni. Twierdzą, że nigdy nie obserwowali takich komplikacji.

Przełknęłam odruchowe „przykro mi”. Zupełnie nie było mi przykro.

– Mówiłem ci, że tak to się skończy, prawda? Że wybór, za którym tak ślepo wszyscy goniliście, pozostanie w rękach ludzi, którzy was oddali. Nie musiało tak być.

– Nie. Nie musiało – stwierdziłam twardo.

Po raz pierwszy odwrócił głowę i spojrzał mi prosto w oczy. Rekonwalescencja po operacji widocznie go wyszczupliła i wyssała kolor z jego skóry. Podejrzywałam, że gdybym podniosła mu czapkę, zobaczyłabym świeżo ogoloną głowę pokrytą nowymi bliznami.

– Co się stało z Nico? – zapytał.

Muszę przyznać, że zupełnie się tego nie spodziewałam.

– Jest tu. Nie widziałeś go?

Jego ramiona uniosły się i opadły z kolejnym głębokim westchnieniem.

– Chciałeś z nim o czymś porozmawiać? – Nie odpuszczałam. – Może o czymś, czego *żałujesz*?

– Żałuję wyłącznie utraty kontroli nad sytuacją. Ale... To nie ma znaczenia. Dam radę wymyślić sposób, jak to obejść i jak dezaktywować urządzenie, które mi wszczepiła. Jak wszystko odzyskać. Zrobię to. Jestem bliżej właściwych ludzi niż kiedykolwiek. Odnajdę ojca, gdziekolwiek się ukrywa. Zrobię to.

W głębi serca wiedziałam, że taka właśnie będzie odpowiedź. Odezwała się prawdziwa natura Clancy'ego – miał wszystko, a ciągle chciał więcej. I nieprzerwanie pragnął jednej rzeczy, której nigdy nie zdoła osiągnąć.

Kiedy jednak na mnie spojrzał, jego ciemne zapadnięte oczy powiedziały mi coś innego. Być może nie był w stanie przyznać na głos, że tak naprawdę tęskni do tego, czego od wielu lat pragnie jego matka. Duma grała w jego sercu w niebezpieczną grę, walcząc z wyczerpaniem. Poczułam, że się waham, i zacisnęłam dłonie w pięści, przypominając sobie, jak bezdusznie igrał z życiem innych, i przywołując z pamięci dobrych ludzi, którzy zginęli, by on mógł przeżyć.

Ale w tej samej chwili zobaczyłam również chłopca na stole zabiegowym – wystraszonego, samotnego i kipiącego bezbronną nienawiścią.

Chłopca ze słodkim uśmiechem, który żył jedynie w pamięci swojej matki.

Wiedziałam, co by zrobił, gdybyśmy zamienili się rolami. Z trudem ignorowałam cichy głos, który podpowiadał mi, żebym odeszła, pozwalając, by ból i upokorzenie urosły w nim jak rak i w końcu go pożarły. Wiedziałam, że nie mogę się temu poddać. Bez względu na to, ile razy próbował, nie zdołał mnie do siebie upodobnić. A teraz miało to już nigdy nie nastąpić.

Nie robiłam tego, by uwolnić go od poczucia winy.

Nie robiłam tego, by go ukarać.

Był to wyłącznie czysty akt litości.

Nie było między nami żadnych barier ani blokad. Jego życie przepływało przez mój umysł w wirujących kolorach i dźwiękach, których nigdy wcześniej nie pozwolił mi zobaczyć i do których nie zdołałam dotrzeć własnymi siłami. Zabrałam to, co mogłam, i zastąpiłam czymś lepszym. Sprawiałam, że nigdy nie był obiektem eksperymentów ani Pomarańczowym, nigdy nie był w East River ani w Kalifornii. Zobaczyłam w nim tajemnice tak straszne, że zdruzgotałyby każdego, kto by je poznał. Skupiłam się na tym, co jasne. Zostawiłam go z prostą historią, w której przez cały ten czas przebywał z matką, pomagając jej i kochając ją dobrą, czystą miłością, zawsze przynoszącą ukojenie.

Kiedy się odwracałam, by odejść po tym, jak wyszłam z jego umysłu po raz

ostatni, widziałam, że znów wygląda przez okno. Tym razem patrzył na bawiące się w powietrzu kosy, pikujące i zataczające koła na tle błękitnego nieba. Uśmiechał się.

Ruszyłam z powrotem, wbijając oczy w podłogę. W głowie miałam chaos. Nie zauważyłam kobiety wychodzącej z łazienki, póki się z nią nie zderzyłam i prawie nie udławiłam pękiem jej ognistorudych loków.

– Przepraszam – rzuciłam, wyplątując się. – Przepraszam, nie zauważyłam pani.

– Mam szczęście – odparła kobieta cichym, łagodnym głosem. – Od wielu dni próbuję cię namierzyć. Jak tam noga?

Na te słowa podniosłam wzrok i w końcu zdałam sobie sprawę, na kogo wpadłam. Alice wyglądała elegancko, zamieniła stare džinsy i płaszcz, w których widziałam ją na miejscu zbiórki, na garsonkę, ale nie bardzo jej pasowała. Rozpuszczone włosy opadały jej na ramiona niczym gęsta grzywa. Zaczesała je do góry za pomocą okularów w grubych oprawkach i wetknęła w nie długopis, o którym najprawdopodobniej zapomniała.

– Bywało lepiej – odparłam, przyglądając się jej bacznie.

Widząc, że nie odwzajemniłam uśmiechu, Alice westchnęła.

– Posłuchaj, jeśli chodzi o to, że opublikowałam twoją historię, to nie mam zamiaru przeproszać. Moim obowiązkiem jest upubliczniać fakty. Prawdę... A prawda jest taka, że to niewiarygodna historia. Wciąż brakuje w niej kilku informacji, które mogłabyś mi przekazać, jeśli znajdziesz wolną chwilę.

– Nie, nie znajdę.

Alice poczuła się wyraźnie niezręcznie, zupełnie jakby sobie przypominała, czym jestem i co potrafię. Ściszyła głos i rozejrzała się wokoło, upewniając się, że nikt nas nie słyszy.

– Krążą słuchy, że senator Cruz rozmawiała z tobą i pozostałymi o nowym programie. To jakaś ściśle tajna rzecz. Niezły z niej numer, biorąc pod uwagę, że właśnie oznajmiła całej sali, że nikomu nie wolno wykorzystywać was do jakichkolwiek celów wojskowych czy śledczych.

Nie zareagowałam, przywołując neutralny wyraz twarzy. Nic takiego się nie stało, ale nie wątpiłam, że miało do tego dojść.

Ominęłam ją, ale ruszyła za mną i znów zaszła mi drogę. Już przedtem nie miałam ochoty z nią rozmawiać, ale teraz miarka się przebrała.

– Muszę cię ostrzec: *n a p r a w d ę* źle znoszę, kiedy przypiera się mnie do muru – parsknęłam.

Uniosła ręce.

– Dobrze już, dobrze – powiedziała i włożyła dłoń do torebki przewieszanej przez ramię, szukając czegoś... Wizytówki. – Jeśli kiedykolwiek będziesz chciała porozmawiać, dzwoń o każdej porze. Uważnie cię wysłucham.

Zaczekałam, aż zniknie w sali balowej, po czym przedarłam wizytówkę na pół i upuściłam na podłogę. Odwróciłam się w kierunku wejścia dokładnie w chwili, kiedy z sali, trzymając się za ręce, wypadły Vida i Zu i popędziły do wind. Zaraz po nich w drzwiach ukazał się również Liam i wymęczony Pulpet.

– Tu jesteś! – Pulpet ruszył ku mnie, mrużąc oczy. – Nie powinnaś przemęczać tej nogi...

Liam puścił jego ramię i złapał mnie za rękę.

– Chodźmy, chodźmy...

– Co się dzieje? – zapytałam, zaglądając do sali, kiedy przechodziliśmy obok.

Poza tym, że przy pulpicie stał teraz inny mówca, wszystko wyglądało tak samo.

– Zrywamy się – rzucił Liam z błyskiem w oku, kiedy drzwi windy się otworzyły, po czym wciągając nas do środka, dodał: – Zaufajcie mi.

Zjeżdżaliśmy na sam dół do podziemnego garażu, a z każdą chwilą coraz mniej się bałam. Liam cały czas niecierpliwie bujał się na piętach, a kiedy wyprowadził nas na zewnątrz, Pulpet rzucił mu podejrzliwe spojrzenie.

Liam wydobył z kieszeni zestaw kluczyków i uniósł czarny breloczek, nasłuchując dźwięku otwierającego się zamka. Vida i Zu wyłoniły się zza rzędu aut i ruszyły w kierunku piszczącej i migającej światłami zakurzonej furgonetki.

– Jesteś niepoważny – poinformował Liama Pulpet, poluzowując krawat, kiedy ruszyliśmy w stronę samochodu. Szedł jednak dalej, a na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu.

Złapałam Liama za rękę, z bólem zauważając, że posmutniał na widok mojej

miny.

– O co chodzi? – zapytałam.

Wiedziałam, jak wygląda, kiedy coś wypiera, i właśnie to malowało się teraz na jego twarzy – uparta odmowa przyznania, że coś jest nie tak. Coś w nim się odmieniło i już nie dało się tego w pełni naprawić.

– Chodzi o... – Zaczesał ręką włosy. – Chodzi o to, że od teraz wszystko się zmieni. Ty wrócisz do rodziny w Wirginii, a ja do Karoliny Północnej. Kiedy przyjdzie nam ochota się zobaczyć, będę musiał prosić o pozwolenie na zabranie samochodu, a ty negocjować zgodę z rodzicami. Zaczną nas obowiązywać zasady, których nie mieliśmy od lat. Wiem, że to na swój sposób wspianale, ale chcę... Chcę na chwilę o tym zapomnieć. Zostawić za sobą cierpienie. Ostatni raz pragnę uciec gdzieś, gdzie nikt nas nie znajdzie.

Uśmiechnęłam się, ujmując jego wyciągniętą dłoń. Poprowadził nas powoli i ostrożnie wokół samochodu. Następnie otworzył drzwi i pomógł mi się wdrapać na miejsce pasażera, delikatnie układając mój nieporęczny gips. Pochylił się, by zapiąć mnie pasem, i wykorzystując okazję, znów mnie pocałował.

– Dokąd jedziemy?! – zawołał do niego Pulpet, kiedy Liam pospiesznie obchodził samochód, by wsiąść za kierownicę.

– Cicho, skarbie – powiedziała łagodnie Vida, kładąc mu dłoń na udzie.

– Tak jest, skarbie – mruknął Pulpet.

Siedząca obok nich Zu promieniała.

Nie mogłam przestać się uśmiechać, kiedy Liam zapinał pasy i odwrócił się do pozostałych.

– Dobra, ludzie. Dokąd? Podejrzewam, że do końca konferencji została mniej więcej godzina i nareszcie nie musimy się martwić o bezyne.

– Zawsze w taki sposób podejmowaliście decyzje? – dumiała na głos Vida. – To cud, że udało się wam przeżyć, gamonie.

– A nie mówiłem? – wybąkał Pulpet.

Sięgnęłam w tył i palnęłam go w ramię.

– Dobrze już, dobrze. Dokąd chcecie pojechać?

– Pla-ża, pla-ża, pla-ża, pla-ża – skandowała Zu.

– Nie sędę, by jakaś plaża była w pobliżu, więc musimy to przełożyć na kiedy indziej. Ktoś ma jeszcze jakiś pomysł? Głosujemy?

– Obojętnie gdzie – powiedziałam, opierając głowę o siedzenie. – Możemy po prostu się zgubić i zobaczyć, co z tego wyniknie?

– Kochanie, już dawno nie słyszałem tak fantastycznej propozycji. Będiesz pilotem. Mów kiedy i gdzie skręcić. – Przekręcił kluczyk w stacyjce i wydał z siebie zadowolony pomruk, kiedy z głośników wydobyła się piosenka Allman Brothers. Do czasu, gdy pokonaliśmy podjazd i wyjechaliśmy na zewnątrz, nawet burczenie Pulpeta zamieniło się w śmiech.

Jechaliśmy przed siebie, pokonując ulice miasta, aż w końcu znaleźliśmy się na drodze wśród zieleni i drzew. Kierowaliśmy się ku leniwej linii rzeki biegnącej wzdłuż wijącego się kręgosłupa miasta. Liam spojrzał na mnie, przerywając fałszujące nucenie. Nasze palce splotły się na podłokietniku między siedzeniami oświetlone ciepłym popołudniowym światłem. Zu bujała się do muzyki, wesoło komentując każdy drogowskaz, który mijaliśmy. Pulpet wyciągnął książkę z kieszeni za siedzeniem i po obejrzeniu okładki otworzył ją. Bębnił palcami o jej spękany grzbiet, podczas gdy Vida położyła mu głowę na ramieniu i zamknęła oczy.

Opuściłam szybę i wystawiłam rękę na zewnątrz, łapiąc w nią wiatr.

Przed nami rozpościerała się szeroka droga.

Podziękowania

To cudowne, słodko-gorzkie uczucie dobrnąć do tej strony i zdać sobie sprawę, że oto kończę historię, która dostarczyła mi wielu niesamowitych przeżyć i wprowadziła w moje życie naprawdę wspaniałych ludzi.

Znów pragnę zacząć od podziękowania genialnemu zespołowi redakcyjnemu, który miałam szczęście widzieć w swoim narożniku. Mojej redaktorce Emily Meehan za to, że dostrzegła potencjał w historii o nastolatkach z ponadnaturalnymi zdolnościami, rozbijających się po Wirginii rozklekotanym minivanem. Oraz za to, że potrafiła wydobyć esencję z każdej z moich książek i nie wyrzuciła mnie przez okno, kiedy przysłałam jej kolejny sześćsetstronicowy szkic (poważnie). Podziękowania składam Laurze Schreiber, która jako pierwsza przeczytała tę historię, zakochała się w jej bohaterach i od początku bardzo ciężko pracowała nad każdym manuskrypcem. Dziękuję też Jess Harriton za wspaniałe zakulisowe starania, dzięki którym nasza współpraca układała się gładko.

Z serca dziękuję wszystkim swoim bohaterom, bajkowym matkom chrzestnym, mędrcom i czarownikom, którzy każdego dnia sprawiają, że w wydawnictwie Hyperion dzieją się cuda. Dzięki pracy z wami doprowadziłem tę podróż do prawdziwie szczęśliwego zakończenia. Wyrazy wdzięczności dla Suzanne Murphy, Stephanie Lurie, Diny Sherman, Simona Taskera, Joann Hill, Marci Senders, Elke Villi, Seale Ballenger, Jamie'ego Bakera, Andrew Sansone'a i wszystkich pozostałych.

Ta historia byłaby jedynie plikiem na moim komputerze, gdyby nie wsparcie, zachęta i opieka mojej niesamowitej agentki Merrilee Heifetz. Jestem również niezmiernie wdzięczna Sarah Nagel i Chelsey Heller za ich wsparcie i mądrość. Dziękuję zespołowi agencji Writers House.

Serdecznie dziękuję swoim pierwszym krytykom za mądre i ciepłe spojrzenie na moją pracę. Annie Jarzab, która od początku zdawała się znać tę historię i jej

bohaterów lepiej ode mnie i była dla mnie nieocenionym krytykiem i mistrzem. Sarah Maas, która dodaje mi odwagi i nieustannie mnie inspiruje, bym jeszcze bardziej zagłębiła się w historię i wykorzystała jej cały potencjał.

Jestem niezmiernie wdzięczna członkom mojej rodziny. Mamie – królowej wytrwałości i niezachwianej miłości – za to, że zachęca mnie do podejmowania ryzyka. Danielowi za przeczytanie pierwszych szkiców i wartościowe wskazówki. Oraz Steph za to, że zawsze kierowała mnie we właściwą stronę w kwestiach PR.

Dziękuję też Tobie, Drogi Czytelniku, za podążanie śladem Ruby i jej przyjaciół do końca. Mam nadzieję, że kiedy świat otworzy przed Tobą swoje podwoje i w Twoim życiu pojawi się szansa poznania nowych ludzi i wyruszenia w nieznana, zaskakującą drogę, zrobisz jedno – wyciśniesz z tego, ile tylko się da!

Tytuł oryginału: *In the Afterlight*

Copyright © 2014 by Alexandra Bracken

Copyright © for the translation by Magdalena Krzysik

Projekt okładki: Weronika Raj

Fotografie na okładce: mężczyzna w garniturze – © Nejrón Photo / Shutterstock.com,
chłopak – © mimagephotography / Shutterstock.com,
dziewczyna – © InnervisionArt / Shutterstock.com

Opieka redakcyjna: Anna Małocha, Agnieszka Urbanowska

Korekta: Anna Woś / d2d.pl,
Magdalena Adamek / d2d.pl

ISBN 978-8-37515-788-8

WYDAWNICTWO
otwarte
www.otwarte.eu

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków, tel. [\(12\) 427 12 00](tel:124271200)

Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak, w której można kupić
książki Wydawnictwa Otwartego: www.znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

